

JAMES ROLLINS

REBECCA CANTRELL



NIEWINNA KREW

Druga, po EWANGELII KRWI, część cyklu
ZAKON SANGWINISTÓW

O książce

**KRUCJATA, która nigdy się nie kończy.
Chłopiec, który wcale nie chce być ANIOŁEM.
TRIADA, która znowu może uratować świat.**

Zdobycie w 1099 roku Jerozolimy kończy pierwszą wyprawę krzyżową. Ale nie dla członków zakonu sangwinistów – nawróconych wampirów, które zamiast ludzką krwią, żywią się krwią Chrystusa, czyli konsekrowanym winem.

Biblijny Judasz Iskariota, za zdradę skazany na nieśmiertelność, chcąc spełnić przepowiednię swojej ukochanej, wykorzystuje dwunastoletniego chłopca do otwarcia bram piekła. Jeśli nie zostaną one w porę zamknięte, ludzkość czeka zagłada.

Przeciwko Iskariocie i dowodzonym przez niego oddziałom wampirów *strigoi* stają sangwiniści – świetnie wyszkoleni i obdarzeni niezwykłą mocą „komandosi” Kościoła – i para Amerykanów: archeolog, doktor Erin Granger, i sierżant Jordan Stone. Tylko oni mogą powstrzymać Armagedon. I uratować chłopca.

Genialne połączenie naukowej wiedzy o świecie z religią oraz mitami w pasjonującej książce, która spełnia wszystkie kryteria doskonałej powieści sensacyjnej!

JAMES
ROLLINS
REBECCA CANTRELL

NIEWINNA KREW

Z angielskiego przełożył
GRZEGORZ KOŁODZIEJCZYK

Wydanie elektroniczne



JAMES ROLLINS

Amerykański pisarz, z zawodu weterynarz, z zamiłowania pletwonurek i grotolaz. Absolwent University of Missouri, karierę literacką rozpoczął w 1999 r. powieścią o wyprawie do wnętrza Ziemi, **Podziemny labirynt**. Kolejne m.in. **Ekspedycja, Amazonia** oraz książki z cyklu SIGMA FORCE zapoczątkowanego w 2004 r. **Burzą piaskową** – których akcja toczy się często w niedostępnych rejonach świata – dżunglach, głębinach oceanów, podziemnych grotach oraz na pustyniach i lodowcach – odniosły międzynarodowe sukcesy. Obecnie trwają przygotowania do ekranizacji **Mapy Trzech Mędrców**.

www.jamesrollins.com

REBECCA CANTRELL

Autorka cyklu powieści kryminalnych **Hannah Vogel**, jest zdobywczynią nagrody Macavity. Jej powieść **iDrakula**, nominowana do nagrody Apsy, według „Booklist” znalazła się wśród 10 najlepszych horrorów dla młodzieży w 2010 roku.

www.rebeccacantrell.com

Tego autora

LODOWA PUŁAPKA
AMAZONIA
OŁTARZ EDENU
EKSPEDYCJA
PODZIEMNY LABIRYNT

Cykl SIGMA FORCE

BURZA PIASKOWA
MAPA TRZECH MĘDRCÓW
CZARNY ZAKON
WIRUS JUDASZA
KLUCZ ZAGŁADY
OSTATNIA WYROCNIA
KOLONIA DIABŁA
LINIA KRWI
OKO BOGA
SZÓSTA APOKALIPSA

James Rollins, Rebecca Cantrell
Cykl ZAKON SANGWINISTÓW

EWANGELIA KRWI
NIEWINNA KREW

Wkrótce

LABIRYNT KOŚCI

Tytuł oryginału:
INNOCENT BLOOD

Copyright © James Czajkowski and Rebecca Cantrell 2013
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c. 2016

Polish translation copyright © Grzegorz Kołodziejczyk 2016

Redakcja: Marta Grał

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Skład: Laguna

ISBN 978-83-7985-335-9

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS ANDRZEJ KURYŁOWICZ S.C.

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Spis treści

Prolog

CZEŚĆ PIERWSZA

CZEŚĆ DRUGA

CZEŚĆ TRZECIA

CZEŚĆ CZWARTA

CZEŚĆ PIĄTA

Boże Narodzenie

Później

Od Jamesa

Carolyn McCray za inspirację, zachętę i przyjaźń bez granic

Od Rebekki

Mojemu mężowi, synowi i kotce Twinkle

*Oto Bóg przyjął ofiarę z rąk kapłana – czyli tego, który jest
sługą błędu¹.*

Ewangelia Judasza 5,15

Prolog

Jerozolima

Lato 1099

Krzyki konających unosiły się ku pustynnemu słońcu, a Bernard białymi jak kość palcami ścisnął krzyż wiszący na jego szyi. Poświęcone srebro parzyło go w dłoń stwardniałą od miecza i wypalało piętno na przeklętym ciele. Zignorował swąd szerniałej skóry i wzmacnił uścisk. Godził się na ten ból.

Dziękuję niemu służył Bogu.

Mijali go rycerze piesi i konni, na fali krwi wlewali się do Jerozolimy. W ostatnich miesiącach krzyżowcy przedarli się zbrojnie przez wrogie tereny. Dziewięciu na dziesięciu nie dotarło do Świętego Miasta – polegli w bitwach, zabrała ich bezlitosna pustynia albo choroby pogan. Ci, którzy przeżyli, nie kryli łez, kiedy po raz pierwszy ujrzeli Jerozolimę. Krew nie została jednak przelana na próżno, bo miasto wróci teraz do chrześcijan; było to ciężko wywalczone zwycięstwo, kosztowało życie tysiące niewiernych.

Bernard odmówił za zgładzonych krótką modlitwę.

Na więcej nie miał czasu.

Skrył się w cieniu furmanki ciągniętej przez konie i mocniej nasunął kaptur na głowę, zakrywając białe włosy i blade oblicze. Potem chwycił uzdę ogiera i pogładził jego szyję; walenie zwierzęcego serca słyszał zarówno koniuszkami palców, jak i uszami. Lęk burzył krew wierzchowca, parował z jego spoconych boków.

Mimo to ogier szarpnął do przodu i stąpał obok Bernarda, ciągnąc po zbryzganych krwią kamieniach drewniany wóz, na którym stała żelazna klatka wystarczająco duża, by pomieścić więźnia. Szczelnie owinięta grubą skórą nie pozwalała podejrzeć, co kryje się w środku. Bernard jednak wiedział. Koń również to wiedział i nerwowo strzygł uszami, tak że trzęsła się jego zmierzwiona czarna grzywa.

Odziani w czerń bracia Bernarda, rycerze z zakonu sangwinistów, posuwali się w zwartym szyku i wyrąbywali drogę przed wozem. Każdy stawiał to zadanie ponad własne życie. Walczyli z siłą i determinacją, jakim nie mógł dorównać żaden człowiek. Właśnie jeden z nich frunął wysoko w powietrze z mieczami w rękach, ujawniając w ten sposób swoją nieludzką naturę. Błysk stali w jego dłoniach trudno było uchwycić wzrokiem, w tej samej chwili załśniły w ustach ostre kły. Wszyscy bracia byli kiedyś – jak ten, który siedział w klatce – nieczystymi bestiami, odartymi z dusz i porzuconymi. Później Chrystus wskazał im drogę do zbawienia. Każdy z osobna zawarł z nim mroczne przymierze, zgodnie z którym nie wolno mu już było sycić pragnienia ludzką krwią, lecz jedynie konsekrowaną krwią Zbawiciela. Błogosławieństwo to pozwalało im stąpać na wpeł w cieniu i na wpeł w słońcu. Balansowali na ostrej jak klinga miecza krawędzi między łaską a potępieniem.

Złożyli śluby Kościołowi i służyli Bogu jako wojownicy oraz kapłani.

Te właśnie obowiązki przywiodły Bernarda i innych do bram Jerozolimy.

Furmanka toczyła się w równomiernym tempie pośród zgiełku i rzezi. Bernard pragnął, by koła obracały się szybciej. Dławił go lęk.

Trzeba się spieszyć...

Temu marszowi towarzyszyła jeszcze jedna potrzeba; pulsowała w Bernardzie głośno i natarczywie. Z mijanych murów ściekała krew i płynęła strumieniami po kamieniach. Słonawo metaliczny zapach wypełniał głowę Bernarda, zasnuwał mu mgłą widok i rozniecał głód sięgający do szpiku kości. Sangwinista oblizwał wyschnięte wargi, jakby chciał posmakować tego, co zostało mu zakazane.

Nie on jeden cierpiał katusze.

Z zaciemnionej klatki dochodziło wycie bestii, która także zwęszyła rozlaną krew. Jej wrzaski przemawiały do takiego samego potwora kryjącego się w ciele Bernarda; różnica polegała jedynie na tym, że nie krępowały go żelazne kraty, lecz śluby zakonne i błogosławieństwo. Jednakże w reakcji na zew głodu zęby Bernarda wydłużyły się i zaostrzyły, łaknienie jeszcze bardziej się wzmogło.

Odgłos ryków sprawił, że sangwiniści ruszyli naprzód ze zdwojoną siłą, jakby salwowali się ucieczką przed tym, czym byli kiedyś.

Koń tymczasem zachował się inaczej.

Usłyszawszy upiorne zawrozdzenia, znieruchomiał w uprzęży.

I dobrze się stało.

Bernard pojmał demona przed dziesięcioma miesiącami w opuszczonej drewnianej stajni w pobliżu Awinionu. Przekłete monstra tego rodzaju, znane od stuleci, różnie nazywano. Niegdyś istoty ludzkie, stały się plagą wielu ciemnych zakątków, żywiły się krwią człowieka i bydłęcia.

Uwięziwszy bestię, Bernard opatrzył klatkę grubymi skórami, żeby się do środka nie przedostała ani jedna smuga światła. Skóry chroniły ją przed palącym blaskiem dnia, wszelako tarcza taka miała swoją cenę. Bernard dawał bestii tylko tyle krwi, żeby mogła przeżyć. Ona zaś, nie mogąc się nasycić, przeraźliwie cierpiała z głodu.

Dzisiaj głód ten przysłuży się Bogu.

Cel wyprawy był już boleśnie blisko, toteż Bernard próbował popędzić wierzchowca. Pogłaskał go po spoconym nosie, jednak zwierzę nie dało się uspokoić. Napařło na jeden postronek, potem na drugi, próbując się wyrwać.

Wokół uwijali się bracia sangwiniści w dobrze znanym bitewnym płasie. Krzyki ginących odbijały się echem od obojętnych kamieni. Bestia w klatce waliła w skórzane zasłony niczym w bęben i wyła, domagając się, by dopuszczono ją do rzezi, żeby mogła posmakować krwi.

Koń zarżał jękliwie i z przerażenia szarpnął raptownie łbem.

Z pobliskich uliczek i zaułków niósł się śwąd spalonej wełny oraz ludzkich ciał. Krzyżowcy podkładali ogień w niektórych częściach miasta. Bernard obawiał się, że mogą zrównać z ziemią dzielnicę Jerozolimy, do której chciał się dostać – tę, w której spoczywał święty oręż.

Widząc, że koń na nic już mu się nie przyda, dobył miecza. Kilкома zręcznymi cięciami przerwał skórzaną uprzęż. Uwolniony ogier nie potrzebował innej zachęty. Skoczył ile sił do przodu, potracił jednego z sangwinistów i galopował, nie zważając na masakrę.

Szczęśliwej drogi, pomyślał Bernard.

Podszedł do tylnej części wozu; wiedział, że żadnemu członkowi zakonu nie wolno się uchylać od bitwy. Ostatni etap podróży musi pokonać sam.

Tak jak uczynił Chrystus z brzemieniem krzyża.

Schował miecz do pochwy i przystawił bark do tyłu wozu.

Sam dopchnie go do celu. W innym życiu, kiedy jego serce wciąż biło, był krzepkim mężczyzną pełnym energii. Teraz z jego siłą nie mogła się równać siła żadnego śmiertelnika.

Zawiesisty posmak krwi zamienił powietrze w wilgotną zupę. Bernard zaczerpnął go w płuca, lekko się zachłystując. Skraj jego pola widzenia mąciła czerwona żądza. Chciał napić się z każdego mężczyzny, kobiety i dziecka, którzy byli w mieście. Pragnienie przepęśniało go do granic eksplozji.

Chwycił parzący krucyfiks i pozwolił, by uspokoił go święty ból.

Zrobił powolny krok; koła obróciły się raz, potem drugi. Każdy obrót zbliżał go do kresu wędrówki.

Jednakże krokom Bernarda towarzyszył uporczywy lęk.

A może już się spóźniłem?

...

Słońce zniżało się do horyzontu, kiedy dobrnął wreszcie do celu. Drżał z wyczerpania, zużył prawie cały zapas swojej przeogromnej fizycznej mocy.

Przy końcu ulicy, za ostatnim punktem oporu obrońców miasta, ku obojętnemu błękitowi nieba pięła się ołowiana kopuła meczetu. Jego białą ścianę znaczyły ciemne plamy krwi. Bernard słyszał z daleka bicie zatrwożonych serc mężczyzn, kobiet i dzieci, którzy schronili się w grubych murach.

Napierając na tył wozu, wsłuchiwał się w modły o litość, które zanosili do swojego obcego boga. Nie zaznają jej od bestii uwięzionej w klatce na wozie.

Ani od Bernarda.

Ich małe żywoty blakły w obliczu nagrody, której poszukiwał: oręza dającego nadzieję na oczyszczenie świata z wszelkiego zła.

Myśl o niej rozproszyła uwagę Bernarda i koło zapadło się w głęboką szczelinę między kamieniami. Zakleszczyło się i wóz stanął.

Niewierni, jak gdyby wyczuwając przewagę, przebili się przez obronny szereg wokół wozu. Chudzielec z potarganą dziko czupryną rzucił się w kierunku Bernarda, błyskając zakrzywioną szablą. Chciał poświęcić własne życie, by bronić meczetu i rodziny.

Bernard przyjął ten dar i rozplątał śmiałka szybkim jak błyskawica cięciem stali.

Gorąca krew chlusnęła na jego kapłańską szatę. Mimo że było to dozwolone jedynie w skrajnych okolicznościach i potrzebie, dotknął plamy palcami i uniósł je do ust. Zlizał z nich szkarłatną wilgoć. Tylko krew mogła mu dać siłę, by zdołał przeć dalej. Później odpokutuje, przez setki lat, jeśli będzie trzeba.

Język zapłonął mu ogniem, który rozpląnął się po całym ciele, i do członków powrócił wigor. Pole widzenia Bernarda zawęziło się do punktu. Oparł ramię o tył wozu i potężnym pchnięciem wprawił go znowu w ruch.

Na wargach zagościła modlitwa; Bernard prosił o siłę i przebaczenie grzechu.

Popychał wóz, a jego bracia torowali mu drogę.

Wejście meczetu ukazało się w chwili, gdy jego ostatni obrońcy ginęli na progu. Bernard zostawił wóz, zbliżył się do zakratowanych drzwi i otworzył je kopnięciem o sile nieosiągalnej dla zwykłego mężczyzny.

Z wnętrza doleciały okrzyki przerażenia, odbiły się echem od pokrytych ornamentami ścian. Trwoga wyznaczała rytm bicia serc, były zbyt szybkie i było ich zbyt wiele, by dało się wyodrębnić pojedyncze. Zlewały się w jeden odgłos niczym szum morza. W mroku pod kopułą błyszcząły przeleknione oczy.

Bernard stanął w drzwiach, żeby te oczy mogły go zobaczyć na tle gorejącego miasta. Niech rozpoznają kapłańskie szaty i srebrny krzyż, niech widzą, że to chrześcijanie ich zwyciężyli.

Najważniejsze jednak, by ci, którzy kryją się w meczecie, zrozumieli, że nie zdołają ujsć.

Inni sangwiniści podeszli do Bernarda i ustawili się z nim ramię w ramię. Nikt się nie wymknie. Woń strachu przepęniała olbrzymi meczet, od terakotowej posadzki aż po kopułę.

Bernard jednym susem znalazł się znów obok wozu. Uniósł klatkę i pociągnął ją do drzwi; żelazne dno zgrzytnęło o kamienne stopnie, zostawiało na nich długie czarne krechy. Mur sangwinistów rozstąpił się przed nim, a potem znów się zamknął.

Klatka zakołysała się, gdy Bernard postawił ją na wypolerowanych płytach z marmuru. Miecz jednym cięciem strzaskał zamek. Bernard cofnął się i szarpnięciem otworzył pokryte rdzą drzwi. Skrzypiący odgłos zagłuszył puls i oddechy.

Stwór poruszył się, po raz pierwszy od wielu miesięcy wolny. Długie ramiona wysunęły się, jakby szukając od dawna znanych krat.

Bernard z trudem rozpoznawał w nim istotę, która była niegdyś człowiekiem: skóra przybrała trupio blade odcienie, złociste włosy urosły i zmierzwiły się na plecach, kończyny były cienkie jak odnóża pająka.

Przerażeni ludzie cofnęli się na widok bestii, cisnęli się do ścian, w panice tratując innych. Wionęła od nich nikła woń krwi i strachu.

Bernard uniósł miecz i czekał, aż bestia się do niego odwróci. Nie mógł pozwolić, by wydostała się na ulicę. Miała zadanie do spełnienia tutaj. Musi splugawić święte miejsce nikczemnością i bluźnierstwem. Musi zmasakrać każdą cząstkę sacrum, która mogła się w nim ostać. Dopiero wtedy będzie je można ponownie poświęcić Bogu Bernarda.

Jak gdyby posłyszawszy jego myśli, bestia uniosła głowę i zobaczył jej pomarszczone oblicze. Bliźniacze oczy łyśnęły mlecznymi białkami. Od dawna trzymano ją z dala od słońca, a była już sędziwa, kiedy ją przemieniono.

Jakieś dziecko zakwiliło w meczecie.

Takiej pokusie bestia nie mogła się oprzeć.

Chude jak kości członki mignęły, gdy sprężyła się i dała susa w stronę ofiary.

Bernard opuścił miecz, nie musiał już pilnować wściekłej bestii. Obietnica krwi i cierpienia zatrzyma ją jakiś czas w tych murach.

Zmusił stopy, by podążyły w ślad za nią. Krocząc pod kopułą meczetu, zamykał uszy na zawodzenia i modlitwy. Odwracał wzrok od rozszarpanej skóry, od ciał, nad którymi przechodził. Nie pozwalał sobie reagować na obezwładniającą moc zapachu ludzkiej krwi, który wypełnił powietrze.

Mimo to monstrum, które się w nim kryło, świeżo pokrzepione paroma kropelkami purpury, nie dało się całkowicie okiełznać. Pragnęło przyłączyć się do uczt tamtej bestii, pożywić się i zatracić w zaspokajaniu elementarnej potrzeby.

Nasycić się, nasycić się naprawdę po raz pierwszy od lat.

Bernard przyspieszył kroku, bojąc się, że straci nad swoim monstrum panowanie i ulegnie żądzy. Dotarł do schodów po przeciwnej stronie wnętrza.

Tam zatrzymała go cisza.

Ustało już bicie wszystkich serc. Wszystko zamarło i on też stanął jak wryty. Tylko poczucie winy dźwięczało w nim jak bicie dzwonu.

Nagle pod kopułą rozległ się nienaturalny wrzask. To sangwiniści zaszlachtowali bestię, kiedy ta wypełniła już swoje zadanie.

Boże, przebacz...

Uwolniony od ciszy, pospieszył schodami w dół, a potem korytarzami wijącymi się pod meczetem. Prowadziły go coraz głębiej w trzewia miasta. Gęsty odór rzezi ścigał Bernarda niczym duch przemykający w cieniu.

Nagle pojawił się inny zapach.

Woda.

Bernard opadł na czworaki, wczuł się do ciasnego tunelu i dojrzał migający płomień pochodni. Światło przyciągało go niczym ćmę. Na końcu tunelu otwierała się jaskinia wystarczająco wysoka, by można było stanąć.

Pozbierał się na nogi. Na ścianie wisiała pochodnia z witek, rzucająca migotliwy blask na lustro czarnej wody. Wysokie sklepienie było pokryte sadzą gromadzącą się tam od pokoleń.

Postąpił krok, gdy wtem zza głazu wysunęła się kobieta. Kosmyki lśniących hebanowych włosów spływały na ramiona okryte prostą tuniką, nieskazitelnie gładka, ciemna skóra połyskiwała odcieniem umbrzy. Na smukłej szyi wisiał na cienkim złotym łańcuchu odłamek metalu długości dłoni. Spoczywał między jej kształtnymi piersiami, które rozpychały stanik z czystego lnu.

Od dawna już był kapłanem, lecz ciało zareagowało na jej powab. Ledwo się zmusił, by zerknąć nieznanym w oczy. Zmierzyła go jasnym spojrzeniem.

– Ktoś ty? – spytała.

Nie słyszał bicia serca w jej piersi, mimo to rozumiał intuicyjnie, że kobieta nie jest ani taka jak bestia, którą przywiózł w klatce, ani taka jak on. Nawet z tej odległości czuł emanujące od niej ciepło.

– Czy to ty jesteś Panią Studni?

Takie imię znalazł zapisane na skrawku starożytnego papirusu wraz z planem podziemi.

Zignorowała jego pytanie.

– Nie jesteś gotów na to, czego szukasz – oznajmiła. Mówiła po łacinie, lecz z akcentem, który brzmiał bardziej nawet staroświecko niż akcent Bernarda.

– Szukam tylko wiedzy – odparł.

– Wiedzy? – Słowo to wypłynęło jej z ust niczym lament żałobny. – Tu znajdziesz jeno rozczarowanie.

Musiała wyczuć jego determinację, bo odstąpiła na bok i ciemną dłonią o pięknych długich palcach skinęła w kierunku sadzawki. Górną część jej ręki okalała wąska bransoleta ze złota.

Bernard przeszedł obok kobiety i ich ramiona prawie się o siebie otarły. W ciepłym powietrzu zatańczyła subtelna woń kwiatów lotosu, która ją otaczała.

– Zostaw odzienie – rozkazała. – Do wody musisz wnieść nago, jako z niej kiedyś wyszedłeś.

Na skraju sadzawki Bernard gmerał przy szacie, zmagając się z nieprzystojnymi myślami, które hulały mu w głowie.

Kobieta się nie odwracała.

– Sprowadziłeś wiele śmierci na to święte miejsce, kapłanie krzyża.

– Zostanie oczyszczone – odparł, żeby ją ułagodzić. – I poświęcone jednemu

Bogu.

– Jednemu tylko? – W jej głębokich oczach obudził się smutek. – Taki jesteś pewny?

– Jestem.

Wzruszyła ramionami. Tunika spadła z jej ramion i zasześciła na szorstkiej kamiennej posadzce. Blask pochodni wydobyl z mroku ciało tak doskonałe, że Bernard zapomniał o złożonych ślubach i gapił się zuchwale. Jego wzrok spoczął chwilę na krągłościach pełnych piersi, na brzuchu, na linii długich umięśnionych ud.

Odwróciła się i zanurkowała w ciemną wodę, ledwie marszcząc jej powierzchnię.

Bernard pospiesznie rozpiął pas, ściągnął z nóg zalane krwią buty i zerwał z siebie habit. Nagi wskoczył do wody. Lodowata woda zmyła krew z jego skóry. Ten chrzest uczynił go na nowo niewinnym.

Wydmuchnął powietrze z płuc, gdyż jako sangwinista go nie potrzebował. Zanurzył się głęboko i popłynął za kobietą. Gdzieś w oddali mignęły bielą jej stopy, a potem obróciła się na bok zwinnie jak ryba i znikła.

Bernard mocniej zamachał nogami, jej jednak nigdzie nie było widać. Dotknął pektorału i pomodlił się o wskazówkę. Szukać nieznaną czy kontynuować misję?

Odpowiedź była prosta.

Odwrócił się i popłynął przed siebie krętymi korytarzami wedle wskazań planu, który miał w głowie. Na skrawkach starożytnego papirusu przedstawiony był szlak prowadzący do tajemnicy ukrytej głęboko pod powierzchnią Jerozolimy.

Mknął tak szybko, jak pozwalała mu odwaga, sunął przez płataninę tuneli. Śmiertelnik już wiele razy postradałby życie. Bernard jedną ręką dotykał ściany i liczył odnogi. Dwa razy dotarł do ślepego zaułka i musiał zawracać. Borykał się ze strachem, mówił sobie, że źle odczytał plan; powtarzał, że miejsce, którego szuka, naprawdę istnieje.

Jego desperacja stała się bolesna jak ukłucie szpilą, lecz raptem obok niego w lodowatej toni przemknęła jakaś postać, tak że poczuł jedynie ruch wody na

skórze. Kierowała się w stronę, z której nadpłynął. Zdjęty nagłą trwogą sięgnął po miecz i wtedy przypomniał sobie, że pozostawił go wraz z ubraniem.

Wyciągnął ręce, ale wiedział, że kobieta już się oddaliła.

Odwrócił się w kierunku, z którego przybyła, i z nowym wigorem zamachał nogami. Pokonał narastający w piersi lęk, że będzie wiecznie błądził w ciemności i nigdy nie odnajdzie tego, czego szuka.

W końcu dotarł do okazałej grotty.

Nic nie widział, ale zdawał sobie sprawę, że znalazł właściwe miejsce. Woda była tam cieplejsza i miała w sobie esencję świętości, od której swędziała go skóra. Podpłynął w bok, wyciągnął ręce i dotknął ściany.

Poczuł pod dłońmi wzór wyżłobiony w skale.

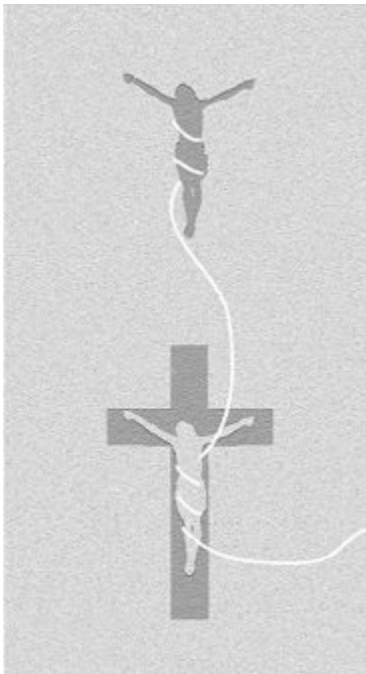
Nareszcie...

Jego palce wędrowały po powierzchni kamienia, chciał zrozumieć wykute na nim wizerunki.

Obrazy, które mogły przynieść mu ocalenie.

Które mogły go doprowadzić do świętego oręża.

Wyczuł pod palcami zarys krzyżofixsu i rozpiętą na nim postać mężczyzny. Wyżej znajdowała się ta sama postać z twarzą skierowaną w górę oraz ramionami wyciągniętymi ku niebu. Unoszącą się duszę i ciało przybite do krzyża łączyła linia.



Przesuwając po niej palcami, czuł pieczenie w ich koniuszkach, była bowiem zrobiona z najczystsze­go srebra. Od krzyża biegła po zakrzywionej ścianie ognista ścieżka wiodąca do sąsiedniego rysunku. Był to wizerunek gromady mężczyzn z mieczami, którzy przyszli pojmać Chrystusa. Dłoń Zbawiciela dotykała głowy jednego z nich.

Bernard wiedział, co przedstawia ów rysunek.
Uzdrowienie Malchusa.

Ostatni cud, którego Chrystus dokonał przed zmartwychwstaniem.

Płynąc wzdłuż ściany jaskini, Bernard przesuwiał dłońią po wyobrażeniach licznych cudów, które Jezus sprawił za życia: rozmnożenie ryb, wskrzeszanie umarłych, uzdrawianie trędowatych. Kreślił je sobie w myślach, jakby je widział. Miarkował nadzieję i uiesienie, które w nim narastały.

Wreszcie dotarł do rysunku przedstawiającego ślub w Kanie Galilejskiej, podczas którego Chrystus zamienił wodę w wino. Był to pierwszy odnotowany cud Zbawiciela.

Jednakże srebrne pasmo wiodło dalej i płonęło w ciemności.

Ale dokąd? Czyżby miało ujawnić nieznanne wydarzenia?

Bernard, posuwając się za nim, dotarł do części skalnej ściany, która kruszyła się pod jego palcami. Gorączkowo zataczał po niej dłońmi coraz to szersze łuki. Odłamki poskręcane srebro wbite w kamień paliły mu ogniem ręce. Ból go otrzeźwił i zmusił, by stanął twarzą w twarz ze swoim największym strachem.

Ta część obrazu została zniszczona.

Rozpostarł ręce na ścianie, aby objąć jak największą część rytu. Z informacji zawartej na skrawkach starożytnego papirusu wynikało, że historia objawień Chrystusowych wskazuje miejsce ukrycia najświętszego oręża – oręża, który pozwalał jednym dotknięciem zgładzić najmocniejszą nawet potępioną duszę.

Bernard unosił się w wodzie i znał już prawdę.

Tajemnica została unicestwiona.

A on wiedział, czyją ręką.

Rozbrzmiały mu w głowie jej słowa:

Wiedzy? Tu znajdziesz jeno rozczarowanie.

Uznała go za niegodnego, przypląnęła prosto do tego miejsca i zniszczyła święty ryt, zanim Bernard zdążył go zobaczyć. Jego łzy mieszały się z zimną wodą. Płakał nie za tym, co obróciło się wniwecz, lecz z powodu surowszej prawdy.

Zawiodłem.

Śmierć każdego, kto dzisiaj zginął, poszła na marne.

CZĘŚĆ PIERWSZA

*„Zgrzeszyłem, wydawszy krew niewinną”. Lecz oni odparli:
„Co nas to obchodzi..”²*

Ewangelia wg św. Mateusza 27,4

Palo Alto, Kalifornia

18 grudnia, 9.58 czasu miejscowego

Ostry jak brzytwa lęk utrzymywał ją w napięciu.

Doktor Erin Granger, wchodząc do sali wykładowej w kampusie Uniwersytetu Stanforda, upewniła się wzrokiem, czy jest sama. Przykucnęła nawet i zajrzała pod puste krzesła, by mieć pewność, że nikt się tam nie chowa. Jedną jej ręką spoczywała na pistolecie Glock 19, który trzymała w kaburze na kostce nogi.

Był piękny zimowy poranek, słońce wisiało na czystym błękitnym niebie przetykanym chmurami. Przez wysokie okna wlewało się do wnętrza jasne światło, nie miała więc powodu, by bać się ciemnych stworów, które nękały ją w snach.

Mimo to po wszystkim, co na nią spadło, miała świadomość, że bliźni także zdolni są do czynienia zła.

Wyprostowała się, podeszła do mównicy i westchnęła cicho z ulgą. Wiedziała, że jej lęki nie mają logicznego uzasadnienia, to jednak nie powstrzymało jej przed sprawdzeniem, czy w sali, do której za chwilę wsypie się gromada młodzieży, jest bezpiecznie. Studenci potrafili być niesłychanie denerwujący, lecz Erin gotowa była walczyć na śmierć i życie, by żadnego z nich nie spotkała krzywda.

Nie zawiedzie po raz drugi swoich studentów.

Jej palce zacisnęły się na skórzanej torbie, którą trzymała. Nakazała sobie siłą woli, by je rozewrzeć, i położyła ją obok pulpitu wykładowcy. Wciąż wodząc wzrokiem po sali, otworzyła torbę i wyjęła notatki do wykładu. Zazwyczaj uczyła się ich na pamięć, ale tę grupę przejęła po wykładowczyni, która odeszła na urlop macierzyński. Tematyka była ciekawa i pozwalała jej oderwać myśli od wydarzeń, które wywróciły jej życie do góry nogami. Wszystko zaczęło się od śmierci dwojga magistrantów w Izraelu przed paroma miesiącami.

Heinricha i Amy.

Niemiecki student zmarł od obrażeń odniesionych po trzęsieniu ziemi. Śmierć Amy nastąpiła później, zabito ją, bo Erin nieświadomie przesłała studentce

zakazaną informację. Młoda kobieta zginęła właśnie z powodu tej wiadomości.

Archeolożka potarła dłonie, jak gdyby usiłowała z nich zetrzeć krew, ślad odpowiedzialności. W sali nagle jakby powiało chłodem. Temperatura na dworze nie przekraczała dziesięciu stopni, wewnątrz było niewiele więcej. Jednakże dreszcz, który wstrząsnął Erin, kiedy przesuwała papiery, nie miał nic wspólnego z działaniem centralnego ogrzewania.

Po powrocie na uczelnię, do domu, powinna się poczuć dobrze z rutyną codziennych zajęć uniwersyteckich, które miały potrwać aż do ferii Bożego Narodzenia.

Tak się jednak nie stało.

Nic bowiem nie było już takie samo.

Wyprostowała się i przygotowała do rozpoczęcia wykładu. Studenci wchodzili pojedynczo i dwójkami, kilkoro zeszło na sam dół i usadowiło się w przednich rzędach; większość jednak pozostała z tyłu i zajmowała miejsca na górze.

– Pani profesor?

Erin zerknęła w bok i zobaczyła chłopaka z pięcioma kolczykami w brwi. Zbliżył się do niej z wyrazem determinacji na twarzy. Na jego ramieniu wisiał aparat z długim obiektywem.

– Tak? – powiedziała, nie starając się ukryć irytacji.

Chłopak położył na drewnianym blacie złożony skrawek papieru.

Inni studenci patrzyli na to z udawaną obojętnością, ale grali swoje role nieprzekonująco. Była świadoma, że jej się przyglądają i zastanawiają, jak się zachować. Nie musiała rozkładać świstka; wiedziała, że widnieje na nim numer telefonu.

– Jestem ze „Stanford Daily” – oznajmił chłopak, dotykając palcem kolczyka w brwi. – Pomyślałem, że może udzieli mi pani krótkiego wywiadu dla szkolnej gazetki?

Przesunęła kartkę w jego stronę.

– Nie, dziękuję.

Od powrotu z Rzymu Erin odmawiała udzielania wywiadów. Nie przerwie milczenia również teraz, zwłaszcza że zezwolono jej wyłącznie na łgarstwa.

W celu zatajenia prawdy o tragicznych wydarzeniach, które pociągnęły za sobą śmierć dwojga studentów, spreparowano bajeczkę o tym, że po trzęsieniu ziemi w Masadzie Erin przez trzy dni tkwiła uwięziona w rumowisku. Fałszywa wersja miała głosić, że znaleziono ją żywą wraz z pewnym wojskowym,

sierżantem Jordanem Stone'em, oraz jedynym magistrantem, który przeżył, Nate'em Highsmithem.

Rozumiała, że istnieje konieczność ukrywania wydarzeń, które nastąpiły w czasie jej pobytu w Watykanie. Tego zdania było także wąskie grono osób w rządzie znających prawdę. Opinia publiczna nie była gotowa na wieści o potworach czających się w mroku nocy, o ciemnej podszewce ludzkiego świata.

Mimo to Erin ani się śniło opowiadać bujdy.

Tymczasem student z kolczykami nie ustępował.

– Pozwolę pani profesor przejrzeć tekst, nim go zamieszcze. Jeśli nie spodoba się pani choćby jedno słowo, dopracujemy go razem.

– Doceniam pana wytrwałość i gorliwość, ale nie zmienię zdania. – Erin wskazała gestem zapelnioną do połowy salę. – Proszę już zająć miejsce.

Chłopak zawahał się i chciał coś powiedzieć.

Wyprostowała się i zmierzyła go swoim najsurowszym spojrzeniem. Nie była bardzo wysoka, a jej blond włosy upięte były w luźny kok. Doprawdy trudno było złąknąć się na jej widok.

Decydujące jest jednak wewnętrzne przekonanie.

W jej oczach pojawiło się coś, pod wpływem czego student się odwrócił i ze spuszczoną głową usiadł na krześle.

Uporawszy się z nim, Erin złożyła kartki w równy plik i poprosiła słuchaczy o spokój.

– Dziękuję państwu za przybycie na ostatni wykład z cyklu „Historia, rozdział sto czwarty: Odzieranie historii biblijnej z elementów nadprzyrodzonych”. Dziś zajmiemy się popularnymi fałszywymi wyobrażeniami związanymi ze świętem religijnym, które jest już prawie za pasem, czyli z Bożym Narodzeniem.

Kiedyś w takiej chwili rozlegał się znajomy szelest kartek papieru. Teraz dał się słyszeć szum uruchamianych laptopów.

– Co obchodzimy dwudziestego piątego grudnia? – Wzrok Erin płasał przez chwilę po twarzach studentów; niektórzy mieli ćwieki, inni tatuaże, a jeszcze inni wyglądali na skacowanych. – Dwudziesty piąty grudnia? Ktoś wie? Przecież to łatwizna.

Rękę podniosła dziewczyna w pierwszym rzędzie w koszulce z wyhaftowanym aniołem.

– Narodziny Chrystusa?

– Właśnie tak. Ale kiedy naprawdę urodził się Chrystus?

Na to pytanie nikt nie znał odpowiedzi.

Erin uśmiechnęła się. Łęki znikwały, w miarę jak wchodziła w dawną rolę wykładowczyni.

– Bardzo słusznie państwo milczą, bo unikają w ten sposób pułapki. – Tu i ówdzie odezwał się śmiech. – Data urodzenia Chrystusa pozostaje kwestią dyskusyjną. Klemens z Aleksandrii twierdził...

Kontynuowała wykład. Jeszcze rok temu powiedziałyby, że nie ma wśród żywych nikogo, kto zna prawdziwą datę narodzin Chrystusa. Teraz nie mogła już tego zrobić, gdyż w trakcie wypraw do Izraela, Rosji i Rzymu poznała kogoś, kto ją zna – kogoś, kto żył w czasie, gdy Chrystus przyszedł na świat. Wtedy uprzytomniła sobie, jak duża część powszechnie przyjętej historii jest obciążona błędem – albo z powodu niewiedzy, albo dlatego, że świadomie ją zaciemniono po to, by ukryć mroczniejsze prawdy.

Jako archeolog, uczona poszukująca śladów historii ukrytych pod piaskiem i skałami, poczuła się tym odkryciem zaniepokojona i wytrącona z równowagi. Tak jakby usunął jej się grunt spod nóg. Po powrocie do komfortowego świata akademickiego spostrzegła, że nie może już dać najprostszego wykładu bez starannego przemyślenia. Przekazanie studentom prawdy, nawet jeśli nie byłaby to cała prawda, wydawało się niemożliwe. Każdy wykład brzmiał jak stek bujdy.

Jak mogę stąpać po tej linii, okłamywać tych, którym powinnam mówić prawdę?

Ale czy miała wybór? Na chwilę uchyliły się przed nią drzwi i zobaczyła utajoną naturę świata, lecz potem znów się zamknęły na głucho.

Nie zamknęły się. Zatrzaśnięto mi je przed nosem.

Odcięta od prawd ukrytych po drugiej stronie, pozostawiona na zewnątrz, musiała się głowić, co jest prawdą, a co fałszem.

Wykład dobiegł końca. Erin w pośpiechu starła białą tablicę, jakby chciała wymazać nieprawdziwe i półprawdziwe informacje, które na niej umieściła. Wreszcie koniec. Pogratulowała sobie, że przebrnęła przez ostatni wykład w roku. Pozostało tylko ocenić prace pisemne, a później będzie swobodna, będzie mogła się zmierzyć z wyzwaniem ferii.

Kiedy nie pracowała, przypominały jej się niebieskie oczy i wyraziste, mocno ciosane rysy twarzy, pełne usta skore do uśmiechu i gładkie czoło pod krótką jasną grzywką. Miło byłoby zobaczyć znów sierżanta Jordana Stone'a. Minęło kilka tygodni od ich ostatniego spotkania, choć często rozmawiali przez telefon.

Nie była całkiem pewna, dokąd ta znajomość zmierza, ale chciała się tego dowiedzieć.

Naturalnie oznaczało to, że będzie musiała owo pragnienie wyrazić, wybierając odpowiedni upominek gwiazdkowy. Uśmiechnęła się na tę myśl.

Kiedy ścierała ostatnią linijkę z tablicy, szykując się do odprawienia studentów, chmura przesłoniła słońce i pogrzyżyła salę w cieniu. Gąbka znieruchomiała na tablicy. Erin zakreśliło się w głowie i poczuła, że spada...

W całkowitą ciemność.

Kamienne ściany napierały na jej barki. Usiłowała usiąść. Głowa uderzyła o kamień i Erin runęła z płaszczyzną na wznak. Rękami macała gorączkowo wokół siebie, świat spowija czerń.

Ze wszystkich stron kamień: u góry, z tyłu, po bokach. Nie szorstki kamień górskiej ściany, która ją przywaliła, lecz gładki, wypolerowany jak szkło.

Na wieczku szkatułki widniał wzór wyryty w srebrze. Parzył ją w palce.

Przełknęła ślinę i jej usta napełniło wino. Było go tyle, że mogła się utopić.

Wino?

Drzwi w końcu sali wykładowej trzasnęły i Erin się ocknęła. Spojrzała na białą tablicę i gąbkę, na zaciśnięte na niej palce z pobielającymi kostkami.

Jak długo tutaj stałam w ten sposób przed całą grupą?

Doszła do wniosku, że nie dłużej niż kilka sekund. Ostatnio zdarzały jej się takie napady, ale nie w obecności innych osób. Machnęła na nie ręką, zaliczyła do objawów stresu pourazowego i miała nadzieję, że same ustąpią. Ten jednak miał najjaskrawszy przebieg.

Wzięła głęboki oddech i odwróciła się do studentów. Nie wyglądali na zaniepokojonych, więc jej stan nie mógł trwać długo. Musi nad tym zapanować, nim stanie się coś złego.

Skierowała wzrok w stronę drzwi, które trzasnęły.

Stała tam miła jej oku postać. Widząc, że zwróciła na niego uwagę, Nate Highsmith uniósł dużą kopertę i nią zamachał. Uśmiechnął się przeproszająco i ruszył przed siebie w kowbojskich butach; jego utykanie przypominało o udźre, którą przeżył jesienią.

Erin zacisnęła usta. Należało go otoczyć lepszą opieką. Jego i Heinricha. A zwłaszcza Amy. Gdyby nie naraziła jej na niebezpieczeństwo, dziewczyna mogłaby dalej żyć. Rodzice nie spędziliby po raz pierwszy świąt bez córki. Nigdy nie chcieli, żeby Amy została archeolożką. To Erin przekonała ich w końcu, by

puścili z nią dziewczynę na wykopaliska do Izraela. Zapewniła ich, że córka będzie bezpieczna.

Okazało się, że popełniła straszliwy błąd.

Przechyliła but, żeby poczuć krzepiący ucisk pistoletu na kostce. Nie pozwoli się znowu zaskoczyć. Żadna niewinna ofiara nie zginie już pod jej pieczęcią.

Odchrząknęła i skupiła uwagę na słuchaczach.

– To by było na tyle, moi drodzy. Jesteście wolni. Życzę miłych ferii.

Kiedy sala opustoszała, Erin zmusiła się, by wyrzec przez okno na jasne niebo. Chciała odpędzić mrok, który spowił ją w jej wizji i pozostał.

Kiedy sala była już pusta, Nate podszedł do Erin.

– Pani profesor – odezwał się z niepokojem w głosie. – Mam dla pani wiadomość.

– Jaką wiadomość?

– Właściwie dwie. Pierwsza jest od izraelskich władz. W końcu cofnęli zakaz udostępniania danych, które uzyskaliśmy na wykopalisku w Cezarei.

– No to super. – Usiłowała nasycić swoje słowa entuzjazmem, ale daremnie. Amy i Heinrich dostaną pochwałę za swoją ostatnią pracę, to będzie epitafium ich krótkiego życia. – A druga wiadomość?

– Od kardynała Bernarda.

Popatrzyła na Nate'a zaskoczona. Od tygodni usiłowała nawiązać kontakt z kardynałem, który był mistrzem zakonu sangwinistów w Rzymie. Myślała już nawet o tym, by polecieć do Włoch i zakraść się do jego apartamentów w Watykanie.

– No proszę, jest reakcja na moje telefony – mruknęła pod nosem.

– Chce, żeby pani do niego jak najszybciej zadzwoniła. To chyba coś pilnego.

Erin westchnęła. Kardynał ignorował ją przez dwa miesiące, a teraz czegoś od niej potrzebuje. Miała do niego tysiące pytań; od powrotu z Rzymu nagromadziło się w niej tyle niepokojących myśli. Zerknęła na tablicę, na starty do połowy ostatni wiersz. Pragnęła między innymi zapytać o swoje wizje.

Czy ataki tego rodzaju są następstwem stresu pourazowego? Czy przeżywa na nowo chwile spędzone w kamiennej pułapce pod Masadą?

A jeśli tak, to dlaczego powtarza się w nich smak wina?

Potrząsnęła głową, żeby oczyścić myśli.

– Co jest w tej kopercie? – spytała, wskazując dłoń studenta.

– Jest zaadresowana do pani. – Nate podał jej przesyłkę.

Była za ciężka jak na zwykły list. Erin zerknęła na adres zwrotny.

Izrael.

Jej palce drżały lekko, kiedy długopisem rozdzierała brzeg.

Twarz chłopaka, który zauważył to drżenie, wyrażała z troską. Erin wiedziała, że Nate rozmawiał z psychologiem o własnych objawach stresu pourazowego. Byli dwojgiem ocalonych i nie wolno im było mówić głośno o tajemnicach, których stali się świadkami.

Potrząsnęła kopertą i wyleciał z niej zadrukowany arkusz papieru oraz przedmiot w kształcie i rozmiarach przepiórczego jajka. Na jego widok serce Erin się ścisnęło.

Nate otworzył usta i cofnął się o krok.

Ona nie mogła sobie pozwolić na taki luksus. Szybko przeczytała pismo. Nadawcą była izraelska służba bezpieczeństwa. Ustalono, że przedmiot nie ma już znaczenia dla prowadzonego śledztwa, więc Erin miała go przekazać prawowitemu właścicielowi.

Wzięła do ręki wypolerowany kawałek bursztynu, jakby to był najcenniejszy obiekt na świecie. W mdłym blasku świetlówek przypominał fragment połyskliwego brązowego kamienia, lecz był ciepły w dotyku. Światło odbijało się od jego powierzchni, a w samym środku tkwiło jak zawieszony małe czarne piórko, które przetrwało tysiące lat. Chwila czasu zamrożona na zawsze w bursztynie.

– Szczęśliwy amulet Amy – wymamrotał Nate i głośno przełknął ślinę. Był przy tym, jak ją zamordowano. Odwrócił głowę, by nie patrzeć na drobną jajowatą grudkę bursztynu.

Erin położyła rękę na jego ramieniu. Ten bursztyn był czymś więcej niż tylko talizmanem. Pewnego dnia w czasie wykopalisk Amy powiedziała Erin, że znalazła go w dzieciństwie na plaży i zafascynowało ją piórko w środku; dociekała, skąd pochodziło, wyobrażała sobie skrzydło, z którego mogło wypaść. Bursztyn zawładnął jej wyobraźnią tak mocno, jak mocno zamknął w sobie piórko. To właśnie on stał się iskrą, która roznieciła w niej pragnienie, by zostać archeologiem.

Erin wpatrywała się w spoczywający na jej dłoni bursztyn ze świadomością, że ten drobny przedmiot nie tylko doprowadził Amy do dziedziny, w której się specjalizowała, ale także do śmierci.

Gdy palce Erin zacisnęły się na gładkiej bryłce, złożyła sobie przyrzeczenie.

Nigdy więcej...

Arlington, Wirginia

18 grudnia, 11.12 czasu miejscowego

Sierżant Jordan Stone kroczył w granatowym mundurze i czuł się jak oszust. Dzisiaj pochowa ostatniego członka swojej byłej drużyny, młodego kaprała Sandersona. Jego ciała, podobnie jak ciało pozostałych, nie odnaleziono.

Po paru miesiącach przesiewania ton gruzu, w które zamieniła się dawna góra Masada, wojsko dało za wygraną. Pusta trumna uciskała Jordana w biodro, gdy on i jego koledzy miarowo stawiali kroki.

Podczas grudniowej zamieci śnieg przysypał bielą zbrązowiałą trawę i bezlistne gałęzie drzew na Cmentarzu Narodowym w Arlington. Piętrzył się na wierzchołkach marmurowych nagrobków, których było więcej, niż Jordan mógł zliczyć. Każda mogiła miała numer, na większości umieszczono nazwiska; wszyscy żołnierze zostali pochowani z honorami i ciężą.

Jednym z nich była jego żona Karen, która zginęła w akcji ponad rok temu. Z jej ciała nie zostało nic, co można byłoby złożyć w grobie, tylko nieśmiertelniki. Trumna była pusta tak jak trumna Sandersona. Zdarzały się dni, kiedy nie był w stanie wierzyć, że już jej nie ma, że nigdy więcej nie przyniesie jej kwiatów i nie dostanie długiego buziaka w podzięce. Teraz będzie mógł tylko przynosić kwiaty na jej mogiłę. Złożył na niej czerwone róże, zanim poszedł na pogrzeb Sandersona.

Wyobraził sobie jego nakrapianą piegami twarz. Sanderson był młody i gorliwy, traktował służbę poważnie i starał się najlepiej, jak umiał. W nagrodę spotkała go samotna śmierć na szczycie góry w Izraelu. Jordan zacisnął mocniej dłoń na uchwycie trumny; żałował, że misja nie zakończyła się inaczej.

Uczestnicy ceremonii minęli ogołocone drzewa i wnieśli trumnę do lodowato zimnej kaplicy. Jordan czuł się w niej bardziej swojsko niż w kąpiących bogactwem kościołach Europy. Sanderson miałby podobne odczucia.

Na dworze czekały jego matka i siostra. Mimo śniegu i chłodu miały na sobie prawie identyczne czarne suknie i cienkie buty na oficjalne okazje. Obie miały

jasną karnacją Sandersona i brązowe pęgi na twarzach, nawet zimą. Ich nosy i oczy były czerwone.

Brakowało im syna i brata.

Jordan wiedział, że nie powinno tak być.

Za ich plecami stanął na baczność jego dowódca, kapitan Stanley, który siedł po lewej stronie Jordana podczas wszystkich pogrzebów. Jego wargi były ściągnięte w wąską linię, gdy trumny opuszczano do grobów. Wszyscy co do jednego byli dobrymi żołnierzami.

Dowódca, podręcznikowy służbista, nienagannie poprowadził przesłuchanie, a Jordan robił wszystko, żeby trzymać się historyjki wysmażonej przez Watykan: góra zapadła się podczas trzęsienia ziemi, wszyscy ponieśli śmierć. On i Erin znaleźli się w tej części, która nie uległa zawaleniu i trzy dni później uratował ich oddział poszukiwawczy przysłany z Watykanu.

Proste, a jakże.

Ale niezgodne z prawdą. I tak się, niestety, składało, że z Jordana był marny łgarz. Dowódca podejrzewał, że podkomendny nie ujawnił wszystkiego, co zdarzyło się w Masadzie oraz podczas akcji ratowniczej.

Jordana zwolniono ze służby czynnej i przydzielono mu do opieki psychologa. Ktoś bez przerwy go obserwował na wypadek, gdyby się załamał. On zaś chciał tylko wrócić do służby polowej i robić swoje. Jako członek komórki śledczej sił ekspedycyjnych w Afganistanie prowadził dochodzenia w sprawach przestępstw wojskowych. Był w tym dobry i chciał do tego wrócić.

Byleby tylko się czymś zająć, być w ruchu.

Tymczasem stał na baczność obok kolejnej trumny, chłód marmurowej posadzki przenikał mu przez buty do palców. Siostra Sandersona trzęsła się obok niego. Chętnie oddałby jej górę swojego munduru.

Kapelan mówił, a Jordan bardziej niż w słowa wsłuchiwał się w posępny ton jego głosu. Ksiądz miał zaledwie dwadzieścia minut na odprawienie ceremonii. W Arlington codziennie odbywało się wiele pochówków i plan był ściśle ustalony.

Wkrótce potem Jordan znalazł się przed kaplicą, między nagrobkami. Odbył ten przemarsz tyle razy, że jego stopy same znalazły drogę do właściwego grobu. Trumna Sandersona spoczywała na przysypanej śniegiem brązowej ziemi obok mogiły.

Zimny wiatr kręcił płatkami śniegu nad gruntem i rzucał je ludziom w twarz, do nosów; przypominały wysokie cirrusowe obłoki tak często widywane na

pustyni, na której zginął Sanderson. Jordan odczekał do końca ceremonii; padła potrójna salwa, trębacz odegrał capstrzyk. Następnie kapelan zwinął flagę i przekazał ją matce poległego.

Jordan musiał znosić widok tej sceny przy okazji pogrzebu każdego ze swoich kolegów.

Nie było mu dzięki temu ani trochę łatwiej.

Na koniec uścisnęła dłoń matce Sandersona. Była chłodna i wåtła, bał się, że ją złamie.

– Głęboko pani współczuję z powodu tej straty. Kapral Sanderson był świetnym żołnierzem i dobrym człowiekiem.

– Lubił pana – odparła ze smutnym uśmiechem kobieta. – Mówił, że jest pan inteligentny i odważny.

Zmusił zmarznięte usta do uśmiechu.

– Miło mi to słyszeć, proszę pani. On również był bystry i odważny.

Zamrugwała, żeby odpędzić łzy z oczu, i odwróciła się. Jordan zrobił krok, chciał za nią pójść, choć nie miał pojęcia, co jej powiedzieć. Zanim zdążył to zrobić, kapelan położył mu rękę na ramieniu.

– Myślę, że mamy coś do omówienia, sierżancie.

Jordan odwrócił się i przyjrzał młodemu księdzu. Kapelan miał na sobie granatowy mundur tak jak Jordan, odróżniały go tylko krzyżyki wszyte w kłapy marynarki. Przyjrząwszy się bliżej, sierżant zobaczył, że jego skóra jest zbyt biała nawet jak na zimową porę, ciemne włosy ciut za długie, a postawa nie całkiem wojskowa. Duchowny wpatrywał się w niego zielonymi oczami, które nie mrugały.

Po plecach Jordana przeszły ciarki.

Chłód dłoni kapelana dawał się wyczuć przez materiał rękawicy. To nie była dłoń zbyt długo odsłonięta w mroźny dzień. Ta ręka nie miała w sobie ciepła od lat.

Sierżant poznał już wielu takich jak on. Stał przed nim nieumarły drapiezca, wampir określany mianem *strigoi*. Jednak żeby taki stwór mógł przebywać na słońcu, musiał być sangwinistą, czyli *strigoi*, który ślubował, że nie będzie już pił ludzkiej krwi, że będzie służył Kościołowi katolickiemu i żywił się wyłącznie krwią Chrystusa, a ściśle rzecz biorąc, winem przemienionym mocą sakramentu w jego krew.

Ślubowanie takie czyniło stwora mniej niebezpiecznym.

Ale tylko trochę mniej niebezpiecznym.

– Nie jestem pewien, czy mamy cokolwiek do omówienia – odparł Jordan. Odsunął się od kapelana i przyjął postawę bojową. Jeśli zostanie do tego zmuszony, będzie walczył. Widział już sangwinistów w akcji i nie miał wątpliwości, że drobny kapelan się z nim rozprawi. Nie zamierzał jednak sprzedać tanio skóry.

Kapitan Stanley wszedł między nich i odchrząknął.

– Sprawa została uzgodniona aż do samej góry, sierżancie Stone.

– Jaka sprawa, panie kapitanie?

– On panu wszystko wyjaśni. – Dowódca wskazał gestem kapelana. – Proszę się z nim udać.

– A jeżeli odmówię? – Jordan wstrzymał oddech.

– To rozkaz, sierżancie. – Kapitan zmierzył go nieruchomym spojrzeniem. – Rzecz rozstrzygnęła się na samej górze.

Jordan zdławił jęk.

– Przykro mi, panie kapitanie.

Stanley poruszył lekko kącikiem ust; gest ten był odpowiednikiem gromkiego śmiechu człowieka bardziej skorego do wesołości.

– W to nie wątpię, sierżancie.

Jordan zasalutował mu, nie wiedząc, czy robi to po raz ostatni, a potem podążył za kapelanem do czarnej limuzyny zaparkowanej obok krawężnika. Zatem sangwiniści znów pakują się nieproszeni do jego życia, gotowi stratować swoimi nieśmiertelnymi stopami nędzne strzępy jego kariery zawodowej.

Kapelan otworzył drzwi i sierżant wszedł. Kabina zalatywała skórą, brandy i drogimi cygarami. Nie tego się oczekuje po wnętrzu samochodu księdza.

Jordan przesunął się na siedzeniu. Szklana szyba była podniesiona i widział jedynie gruby kark szofera, krótkie jasne włosy oraz czapkę od munduru.

Kapelan uniósł przed wsiadaniem nogawki spodni, żeby nie zagnieść kantów. Jedną ręką zamknął drzwi, a te stuknęły dostojnie. Sierżant znalazł się w pułapce.

– Proszę włączyć ogrzewanie dla naszego gościa! – zawołał kapelan do kierowcy, po czym rozpiął górę munduru i oparł się wygodnie plecami o kanapę.

– Mój dowódca wspomniał, zdaje się, że wszystko mi ksiądz wyjaśni – odezwał się Jordan, krzyżując ręce na piersi. – No to słucham.

– Łatwe to nie będzie. – Młody kapelan nalał brandy do szklanki, podniósł ją sobie do nosa i powąchał. Z westchnieniem opuścił dłoń i podsunął drinka

Jordanowi. – Całkiem dobry rocznik.

– Więc proszę pić.

Kapelan zakręcił szklanką, śledząc wzrokiem wir brązowego trunku.

– Chyba pan wie, że nie mogę, choć bardzo bym chciał.

– Czekam na wyjaśnienie.

Kapelan uniósł rękę i wóz ruszył płynnie z miejsca.

– Przepraszam za maskaradę w stylu płaszcza i szpady. A może należałoby powiedzieć: „w stylu habitu i krzyża”? – Uśmiechnął się melancholijnie i jeszcze raz powąchał brandy.

Jordan zmarszczył czoło. Zachowanie kapelana odróżniało go nieco od drętwych i nadętych braci sangwinistów, których dotąd poznał.

Kapelan zdjął białą rękawiczkę i wyciągnął rękę.

– Christian jestem.

Sierżant nie uścisnął mu dłoni.

Duchowny uniósł ją i przesunął palcami po swoich gęstych włosach.

– Owszem, zdaję sobie sprawę, jak to brzmi. Sangwinista imieniem Christian... chrześcijanin. Tak jakby moja mama wszystko zaplanowała. – Prychnął drwiąco.

Jordan nie wiedział, co o nim sądzić.

– Myślę, że mało brakowało, a spotkalibyśmy się w kaplicy w Ettal – ciągnął tamten. – Ale Rhun wybrał Nadię i Emmanuela jako uzupełnienie triady w Niemczech.

Jordan pamiętał śniade oblicze Nadii i mroczną minę Emmanuela.

Christian pokręcił głową.

– I chyba trudno mu się dziwić.

– A to dlaczego?

Sangwinista uniósł brwi.

– Zdaje się, że jak na gust ojca Rhuna Korzy jestem za mało cierpiętniczy.

Sierżant powstrzymał się od uśmiechu.

– Tak, to może go uwierać.

Christian odstawił szklankę na tackę obok drzwi i pochylił się. Jego zielone oczy przybrały poważny wyraz.

– To właśnie z jego powodu się tu znalazłem.

– Przysłał cię? – Jordanowi trudno było to sobie wyobrazić. Wątpił, by Rhun chciał mieć z nim jeszcze kiedykolwiek do czynienia. Nie rozstali się na najlepszej stopie.

– Niezupelnie. – Christian oparł kościste łokcie na kolanach. – Kardynał Bernard chce to zachować w sekrecie, ale Rhun zniknął bez słowa.

Jakżeby inaczej... facet nie był wylewny, o nie.

– Kontaktował się z tobą po twoim wyjeździe z Rzymu w październiku? – zapytał młody sangwinista.

– Czemu miałyby to robić?

Christian przechylił głowę na bok.

– A czemużby nie?

– Nienawidzę go. – Jordan nie miał powodu łąć. – I on zdaje sobie z tego sprawę.

– Rhuna nie jest łatwo polubić – przyznał sangwinista. – Ale co takiego zrobił, że go znienawidziłeś?

– Poza tym, że o mało nie zabił Erin?

Christian w zatroskaniu ściągnął brwi.

– Myślałem, że ocalił jej życie... I tobie też.

Jordan zacisnęła szczęki. Pamiętała Erin leżącą bezwładnie na ziemi z pobielełą skórą i włosami zbrotzonymi krwią.

– Rhun ją ukąsił – rzucił bez ogródek. – Wypił jej krew i zostawił na śmierć w tunelach pod Rzymem. Gdybyśmy z bratem Leopoldem nie znaleźli jej w porę, już by było po niej.

– Ojciec Korza pożywił się Erin? – Christian odchylił się z wyrazem zaskoczenia na twarzy. Przez kilka sekund bez słowa przyglądał się Jordanowi, najwyraźniej zdruzgotany informacją o popełnionym grzechu. – Jesteś tego pewien? Może...

– Oboje to przyznali, Erin i Rhun – wpadł mu w słowo sierżant i znowu skrzyżował ręce na piersi. – Nie ja tu jestem kłamcą.

Christian unióśł ręce w przepaszającym geście.

– Wybacz, nie chciałem wątpić w twoje słowa. Chodzi o to, że to takie... nietypowe.

– Ale nie dla Rhuna, oj nie. – Jordan położył ręce na kolanach. – Twój złoty chłoptaś zaliczył już kiedyś potknięcie.

– Tylko raz. Z Elżbietą Batory, ale to było wieki temu. – Christian unióśł szklanke brandy i przyjrzał się jej uważnie. – Więc powiadasz, że brat Leopold o wszystkim wiedział?

– Bez dwóch zdań.

Najwyraźniej Leopold osłaniał Rhuna. Jordan poczuł się rozczarowany, ale nie zaskoczony. Sangwiniści trzymali sztamę.

– Pożywił się nią... – Christian oglądał szklanke, jakby spodziewał się tam znaleźć odpowiedź na jakieś pytanie. – A zatem ma w sobie dużo jej krwi.

Jordan zadrżał z niepokoju na tę myśl.

– To wszystko zmienia, musimy do niej jechać, i to już. – Christian pochylił się i zapukał w szybę. – Na lotnisko, natychmiast!

Szofer momentalnie wykonał polecenie i wcisnął gaz. Podwozie zazgrzytało na garbie na drodze, kiedy wyjeżdżali z cementarza.

Sangwinista zerknął na Jordana.

– Na lotnisku się rozdzielimy. Możesz stamtąd dotrzeć sam do domu, prawda?

– Mógłbym – potwierdził sierżant. – Ale jeśli Erin jest w tę sprawę jakoś uwikłana, to lecę z tobą.

Christian wziął długi oddech i wypuścił powietrze. Następnie wyjął z kieszeni telefon komórkowy i wystukał numer.

– Nie wątpię, że przy poprzedniej okazji kardynał Bernard uraczył was już przemową o tym, że angażując się w nasze sprawy, narażacie na szwank swoje życie i dusze?

– Owszem.

– No to nie marnujemy czasu i udawajmy, że ją powtórzyłem. – Christian uniósł komórkę do ucha. – Muszę wyczarterować lot do Kalifornii.

– Więc nie masz nic przeciwko temu, żebym z tobą poleciał?

– Kochasz Erin i chcesz ją chronić. Kim ja jestem, żebym stawał ci na drodze?

Jak na umarlaka Christian okazywał się całkiem równym gościem.

Mimo to, siedząc w limuzynie mknącej przez zasypane śniegiem miasto, Jordan z każdym kilometrem odczuwał coraz dotkliwszy niepokój.

Erin groziło niebezpieczeństwo.

Znowu.

Prawdopodobnie na skutek poczynań Rhuna Korzy.

Może byłoby lepiej, gdyby drań się nie odnalazł, ani teraz, ani w przyszłości.

Watykan

18 grudnia, 18.06 czasu miejscowego

Kardynał Bernard przesuwiał gazety na lśniącym blacie biurka, jakby liczył, że ułożenie ich równo może zmienić treść. Z pierwszych stron krzyczały budzące trwogę tytuły:

Seryjny zabójca w Rzymie
Krwawy morderca okalecza młode kobiety
Policja oszołomiona brutalnością zabójcy

Blask świecy odbijał się od wysadzanego klejnotami globusa, który stał obok biurka. Kardynał powoli obracał zabytkową kulę i myślał o tym, że chciałby być gdziekolwiek, byle nie tam, gdzie był. Spoglądał na starodruki, na zwoje papirusu, na białą broń na ścianie, pochodzącą z czasów wypraw krzyżowych; wszystkie te zabytkowe przedmioty zgromadził w ciągu wielowiekowej służby Kościołowi.

Służyłem długo, ale czy dobrze?

Zapach farby drukarskiej znów przyciągnął jego uwagę do gazet. Niepokoiły go szczególnie zbrodni. Wszystkim kobietom rozcięto gardła, a z ciał wysączono krew. Wszystkie były piękne i młode, miały czarne włosy i niebieskie oczy. Pochodziły z najróżniejszych środowisk i wykonywały najrozmaitsze zawody, ale wszystkie zginęły w najstarszym rzymskim osiedlu, w najciemniejszej porze między zachodem a wschodem słońca.

Z publikacji wynikało, że jest dwadzieścia ofiar.

Jednakże Bernard zdołał zataić wiele zgonów. Od ostatnich dni października niemal codziennie ginęła jedna kobieta.

Trudno było tego nie zauważyć.

Koniec października.

Mordy zaczęły się tuż po bitwie stoczonyj w krypcie pod Bazyliką Świętego Piotra, bitwie, której stawką była Ewangelia Krwi. Sangwiniści pokonali

połączone siły Beliala składające się z ludzi i *strigoi*, kierowane przez nieznanego wodza, który nękał zakon Bernarda.

Wkrótce po bitwie zniknął ojciec Rhun Korza.

Gdzie przebywa? Co popełnił?

Bernard wzdrygnął się na tę myśl.

Popatrzył na stos gazet. Czyżby jakiś *strigoj* samotnik uniknął bitewnej rzezi i krążył po ulicach Rzymu, polując na młode kobiety? W podziemnych korytarzach było wiele bestii. Jedna mogła się wymknąć z sieci.

Kardynał po trosze chciał, by tak właśnie było.

Drugiej możliwości wolał nie rozważać. Czekał lękliwie, nie podejmując żadnych decyzji, a niewinne dziewczęta ginęły.

Ktoś zapukał do drzwi.

– Wasza Eminencjo?

Rozpoznał głos i wolne tętno mężczyzny za drzwiami.

– Proszę wejść, ojcie Ambrose.

Ksiądz, zwykły człowiek, nie sangwinista, otworzył jedną ręką drewniane drzwi; druga była lekko zaciśnięta.

– Przepraszam, że przeszkadzam Waszej Eminencji. – Głos wcale nie świadczył o tym, że księdzu jest przykro. Zabrzmiała w nim źle skrywana radość. Ambrose kochał kardynała i służył gorliwie w jego urzędzie, lecz pozostała w nim pewna małostkowość sprawiająca, że czerpał przewrotne zadowolenie z nieszczęść innych.

Bernard stłumił westchnienie.

– Tak?

Ambrose wszedł do gabinetu. Jego tęga postać była pochylona, przypominał ogara na tropie. Rozejrzał się po oświetlonym świecami wnętrzu, prawdopodobnie, by upewnić się, że pryncypał jest sam. Ambrose uwielbiał sekrety. Ale być może właśnie dlatego tak bardzo kochał Bernarda. Po wiekach życia w żyłach kardynała płynęło tyle samo sekretów co czarnej krwi.

Uspokojony ksiądz skłonił z szacunkiem głowę.

– Nasi ludzie znaleźli to na miejscu ostatniego morderstwa. – Podeszedł do biurka i wyciągnął rękę. Powoli odwrócił ją i wyprostował palce.

Na dłoni spoczywał nóż. Jego zakrzywiona klinga przypominała pazur tygrysa. Ostrze miało wydrążony otwór, do którego władający nim wojownik mógł wsunąć palec i obracać nim tak, by zadawać śmiertelne cięcia na tysiąc

różnych sposobów. Starożytny oręż nosił nazwę „karambit” i pochodził sprzed wielu wieków. Patyna na powierzchni ostrza świadczyła o tym, że broń, choć bardzo stara, nie jest eksponatem muzealnym. Nosiła ślady użycia w boju, i to skutecznego użycia.

Bernard wziął karambit z dłoni Ambrosego i poczuł na palcach ogień, który potwierdził jego najgorsze obawy. Klingę powleczone srebrem; to była broń sangwinisty.

Wyobraził sobie twarze pozbawionych życia dziewcząt, gardła rozprute na całej szerokości.

Zacisnął palce na piękącym srebrze.

W całym świętym zakonie tylko jeden sangwinista nosił taką broń, ten, który zaginął w tym samym czasie, gdy rozpoczęły się mordy.

Rhun Korza.

Hrabstwo Santa Clara, Kalifornia 18 grudnia, 16.32 czasu miejscowego

Erin cwałowała na ulubionym koniu przez łąkę, którą kalifornijska zima zabarwiła na złoty brąz. Przesunęła ciężar ciała i czarny wałach, reagując na jej lekki ruch, wydłużył krok.

Brawo, Blackjack.

Trzymała go w stajni nieopodal Palo Alto. Jeździła na nim, ilekroć miała możliwość; wiedziała, że koń potrzebuje ruchu, ale przede wszystkim robiła to dla czystej radości, którą sprawiało jej pędzenie po polach na grzbiecie masywnego wierzchowca. Blackjack nie był dosiadany od paru dni i tryskał energią.

Zerknęła przez ramię. Nate jechał niedaleko za nią na siwce imieniem Gunsmoke. Chłopak wychował się w Teksasie i był wprawnym jeźdźcem; widać było, że próbuje możliwości klaczy.

Erin pozwoliła Blackjackowi dać upust radości, skupiła się na podmuchu wiatru na twarzy, dusznym zapachu konia i bezwiednej więzi łączącej ją z wierzchowcem. Od wczesnego dzieciństwa uwielbiała jazdę konną. Pomagała jej zebrać myśli. Dzisiaj głowiła się nad swoimi wizjami, rozważała, co z nimi począć. Wiedziała, że nie są objawem stresu pourazowego. Znaczyły coś więcej.

Słońce dotknęło grzbietu wzgórz falujących na horyzoncie.

– Powinniśmy wracać! – zawołał Nate. – Za pół godziny zajdzie słońce!

Usłyszała nikły ton niepokoju w jego głosie. W Rzymie chłopak spędził kilka dni uwięziony w ciemności, to była męczarnia. Noc zapewne przynosiła mu pewną dozę strachu.

Kiedy to sobie uprzytomniła, zrozumiała, że niepotrzebnie się zgodziła, by z nią jechał. Po południu bezskutecznie usiłowała dodzwonić się do kardynała Bernarda, a potem wyszła z pracy z myślą o tym, by jakoś wyrzucić z siebie zmartwienia. Nate zapytał, dokąd się wybiera, a ona nierozważnie zgodziła się, by jej towarzyszył.

W ostatnich miesiącach trudno jej było mu odmawiać. Po tragicznych wydarzeniach w Izraelu i Rzymie przechodził jeszcze cięższe chwile niż ona, choć rzadko się tym dzielił. Starła się być dla niego podporą, pomagać mu w radzeniu sobie ze wspomnieniami, które go przygniotły. Tylko tyle mogła dla niego zrobić.

Kiedyś ich kontakty miały luźny charakter, jeśli tylko udawała, że nie zauważa, że go pociąga. Po tym jednak, jak zakochała się w Jordanie, Nate odsunął się od niej i zaczął ją traktować z dystansem, jak student wykładowczynię. Ale czy przyczyną tego były zranione uczucia, gniew czy może jeszcze coś innego?

Niestety, po dzisiejszym wieczorze nie będzie to miało znaczenia.

Westchnęła bezgłośnie. Może i dobrze się stało, że wybrał się z nią na tę przejażdżkę. Dzięki temu miała doskonałą okazję, by porozmawiać z nim sam na sam.

Zwiększając lekko napięcie wodzy, wstrzymała Blackjacka. Nate zrównał się z nią. Gdy uśmiechnął się do niej, zabolalo ją serce. Mimo to musiała mu powiedzieć. Lepiej teraz, przed feriami, żeby miał czas na oswojenie się z nową sytuacją.

Zaczerpnęła głęboki oddech.

– Nate, muszę z tobą o czymś pomówić.

Przechylił słomkowy kapelusz i spojrzał na nią z ukosa. Konie szły obok siebie szeroką drogą.

– Tak?

– Rano rozmawiałam z dziekanem. Zasugerowałam innych wykładowców, z którymi współpraca mogłaby być dla ciebie interesująca.

Nate nagle posmutniał i ściągnął brwi.

– Zrobiłem coś nie tak? Od naszego powrotu nie było łatwo, ale...

– Cały czas spisywałeś się doskonale. Nie o ciebie tu chodzi.

– Mam inne wrażenie, bo przecież widać, jak bardzo mi zależy.

Erin skupiła wzrok na miękkich czarnych uszach wierzchowca.

– Po tym, co się stało w Izraelu... Nie mam pewności, czy jestem dla ciebie najodpowiedniejszą wykładowczynią.

Złapał uźdę Blackjacka i powoli zatrzymał konie.

– O czym pani mówi?

Odwróciła się do niego twarzą. Jego mina wyrażała zaniepokojenie, ale i złość.

– Nate, na uczelni nie są zadowoleni, że straciłam dwóch magistrantów.

– Trudno to uznać za pani winę.

– Dziekan uważa, że byłoby najlepiej, gdybym wzięła urlop i uporządkowała sobie wszystko w głowie.

– W takim razie poczekam. – Nate splótł dłonie na łąku siodła. – Żaden problem.

– Nie rozumiesz. – Międlila w palcach uzdę, chciała przerwać tę rozmowę i zwiać galopem na koniu, ale tego nie zrobiła. Trzeba było zmierzyć się z trudną prawdą. – Słuchaj, wydaje mi się, że to jest pierwszy krok do zwolnienia mnie.

Chłopak aż rozdziawił usta ze zdziwienia.

– Nie ma sensu, żebyś wiązał swoją pracę magisterską z wykładowniczą, która za chwilę wyleci z uczelni – mówiła szybko, wyrzucając z siebie myśli. – Świetny z ciebie student, Nate, na pewno znajdziemy ci lepszego promotora, kogoś, kto będzie otwierał przed tobą drzwi, bo ja już nie mogę.

– Ale...

– Doceniam twoją lojalność, ale źle ją kierujesz.

Gniew Nate'a wziął w końcu górę.

– Nie ma takiej możliwości!

– Słuchaj, mnie to nie pomoże, jeśli przy mnie zostaniesz. Cokolwiek ma się stać z moją karierą zawodową, stanie się tak czy inaczej.

– Wybrałem panią na promotorkę, bo jest pani najlepsza w swojej dziedzinie. – Złość chłopaka wypaliła się, jego ramiona się przygarbiły. – Absolutnie najlepsza i nic się nie zmieniło.

– Kto to wie? Może z czasem sprawa przycichnie.

Erin nie liczyła na to i wcale nie była pewna, czy naprawdę tego pragnie. Kiedyś uczelnia stała się dla niej przystanią racjonalizmu po surowym wychowaniu religijnym, ale już tego nie odczuwała. Pamiętała, z jakimi trudnościami musiała się zmagać w minionym semestrze podczas wykładów. Nie potrafiła dłużej okłamywać studentów.

I nie mogła taić prawdy przed Nate'em.

– Nawet jeśli sprawa ucichnie, stracisz przez ten czas cenne okazje – powiedziała. – A ja do tego nie dopuszczę.

Nate chciał się spierać, protestować. Klacz być może wyczuła, że jest spięty, bo rzucała łbem i tańczyła lekko na przednich nogach.

– Nie utrudniaj sprawy jeszcze bardziej – ucięła Erin.

Chłopak potarł dłonią górną wargę i nie zdołał spojrzeć na swoją wykładownicę. Ostatecznie pokręcił głową, zawrócił wierzchowca i pogalopował bez słowa w kierunku stajni.

Blackjack zarżał, już tęskniąc za towarzystwem, lecz Erin mocno trzymała uzdę. Wiedziała, że Nate'owi potrzeba trochę czasu. Dała mu duże fory i dopiero wtedy skierowała konia na szlak.

Ostatnie promienie słońca przesłaniały już wzgórze, ale było jeszcze dość widno, by Blackjack mógł omijać dziury wykopane przez pieski preriowe. Erin poruszyła się w siodle podenerwowana. W przedniej kieszeni spodni czuła amulet Amy. Zapomniała, że go tam schowała, i nadal nie wiedziała, co z nim począć. Rozważała, czy zwrócić go rodzicom Amy, ale czy w ten sposób by im pomogła? Bryłka bursztynu wiecznie by im przypominała, że córka wybrała sobie zawód, który doprowadził ją do krwawej śmierci na piaskach dalekiej pustyni.

Erin nie mogła im tego zrobić, ale nie chciała także zatrzymywać talizmanu dla siebie. W dojmujący sposób przypominał jej o roli, jaką odegrała w strasliwym losie Amy.

Nadal nie umiała podjąć decyzji, więc skierowała myśli ku Nate'owi. W Rzymie ocaliła mu życie, a teraz robi wszystko, by uratować jego karierę, choćby miała go tym rozgniewać. Może chłopak zdąży pogodzić się z jej prośbą, zanim Erin dojedzie do stajni. Tak czy owak, wyśle mu wieczorem e-mail z listą nazwisk. Umieści na niej solidnych archeologów, a jej rekomendacja przyda im wagi.

Nate jakoś to wytrzyma.

A im dalej znajdzie się od niej, tym lepiej dla niego.

Zdecydowana i nieco zrezygnowana, poklepała Blackjacka po szyi.

– Damy ci owsa i porządnie wyczyścimy, co ty na to?

Wierzchowiec zastrzygł nagle uszami i Erin poczuła, że nieruchomieje.

Bez zastanowienia ścisnęła go kolanami.

Blackjack parsknął i zatańczył w bok, przewracając oczami.

Coś go spłoszyło.

Erin omiotła szybko spojrzeniem szeroką łąkę. Po prawej stronie rozciągał się cienisty zagajnik dębów z gałęziami obwieszonymi obłokami srebrzystej jemioli. Mogło się w nim kryć wszystko.

Od ściany drzew dobiegło chrupnięcie łamanej gałązki – trach! – i przecięło ciszę spokojnego wieczoru.

Erin wyjęła pistolet z kabury na kostce i odbezpieczywszy go, szukała wzrokiem zagrożenia. Było jednak za ciemno, by cokolwiek dojrzeć. Dudnienie serca odbijało się echem w jej uszach, kiedy zerkała w kierunku dalekiej stajni.

Nate pewnie już tam był.

Wierzchowiec stanął raptem dęba, omal nie wyrzucając jej z siodła. Pochyliła się nisko nad jego szyją, kiedy pocałował ku stajni. Nie próbowała go powściągać ani zatrzymać.

Ze strachu ćmiło jej przed oczami, gdy rozglądała się na wszystkie strony. Przygryzła wargę i czuła smak krwi na języku.

Wtem jej nozdrza wypełnił zapach wina.

Nie, nie, nie...

Walczyła, by nie spaść, i przeczuwała zbliżający się atak. Strwożona zacisnęła mocniej dłonie na wodzach Blackjacka. Jeśli teraz je wypuści, runie z całym impetem na ziemię.

Wtedy pojawiła się nowa groza.

Z mroku nocy dobiegło niskie gardłowe warczenie, przetoczyło się po zboczach wzgórz. Nie pochodziło z gardła naturalnego stworzenia, lecz od czegoś przerażającego...

...i bliskiego.

Krypta pod Watykanem

19 grudnia, 2.02 czasu miejscowego

Rhun rzucił się w bok, podskakując, i uderzył głową w gładki kamień. Rozciął sobie skórę i z głośnym plaśnięciem runął z powrotem w parzącą winną kąpiel. Budził się w ten sposób wielokrotnie – uwięziony w kamiennym sarkofagu, z ciałem do połowy zanurzonym w winie, które zostało poświęcone i zamienione w krew Chrystusa.

Jego przeklętą powłokę cielesną palił ogień w zetknięciu ze świętą substancją, toteż Rhun unosił się w morzu czerwonego bólu. Chciał z nim walczyć, ale zarazem wiedział, że na niego zasłużył. Zgrzeszył przed wiekami, a teraz przyszła na niego prawdziwa pokuta.

Ile czasu minęło?

Godziny, dni, lata?

Ból nie ustępował. Rhun zgrzeszył ciężko, więc i kara musi być ciężka. Potem znajdzie odpoczynek. Jego ciało łaknęło wytchnienia, kresu bólu i kresu grzechu.

Mimo to, kiedy czuł, że zapada w nieświadomość, walczył, wiedząc, że nie wolno mu ulec. Miał obowiązek do spełnienia.

Ale wobec czego?

Siłą woli zmusił oczy, by pozostały otwarte, i patrzył w czerń, której nawet nadnaturalnie bystry wzrok nie mógł przebić. Udręka pustoszyła jego osłabione ciało, lecz on walczył wiarą.

Wyciągnął rękę do ciężkiego srebrnego krzyża, który nosił zawsze na piersi – i znalazł jedynie mokrą tkaninę. Wtedy sobie przypomniał. Ktoś mu skradł pectorał i różaniec, wszystkie dowody jego wiary. Ale on ich nie potrzebował, by sięgnąć niebios. Wypowiedział w ciszy kolejną modlitwę i rozmyślał o swoim losie.

Gdzie jestem? Kiedy...

Miał za sobą ciężar lat, którego żadna ludzka istota nie była w stanie pojąć.

Wiele żywotów grzechu i służby.

Nękały go wspomnienia, kiedy tak pływał w parzącym morzu. Na przemian zapadał się w nie i budził.

...konny wóz ugrzązł w błocie. Rhun wpycha pod koła kawałki kory, a jego siostra śmieje się z niego, jej długie warkocze fruwią na boki.

...kamień nagrobny z kobiecym nazwiskiem. Właśnie jej, roześmianej siostry. Tym razem jednak Rhun ma na sobie sutannę.

...zbieranie lawendy na polu i pogaduszki o dworskich intrygach. Blade aż do białości dłonie układają szkarłatne łodygi w wiklinowym koszyku.

...pociągi, automobile, aeroplany. Coraz szybsze sposoby podróżowania przez ziemskie połacie i coraz bardziej zawężone widzenie.

...kobieta ze złotymi włosami i oczami o barwie bursztynu, oczami, które zdołały dojrzeć to, czego on zobaczyć nie potrafił.

Wyrwał się spod przytłaczającej masy reminiscencji.

Liczy się tylko chwila obecna.

Jedynie to miejsce.

Musi trzymać się bólu, trzymać się swojego ciała.

Pomacał dłońmi wokół, ręce zanurzyły się głębiej w zimną cieć, która parzyła tak, jakby była w stanie wrzenia. Rhun został Rycerzem Chrystusa tamtego wieczoru, kiedy w blasku księżyca odwiedził grób siostry. I choć od tamtego czasu dzięki krwi Chrystusa przeżył długie wieki, to poświęcone wino paliło go bez ustanku, święta esencja toczyła wojnę ze złem utajonym głęboko w jego jestestwie.

Zaczerpnął głęboko powietrza, poczuł woń kamienia i swojej krwi. Wyprostował ramiona i przesunął dłońmi po wypolerowanych powierzchniach. Poglądził marmur śliski niczym szkło. Na sklepieniu komory, która go więziła, wyczuł palcami srebrną inkrustację. Parzyła go w koniuszki palców.

Mimo to przyłożył dłonie do rysunku i pchnął kamienne wieko sarkofagu. Miał niejasne wrażenie, że powtarzał tę czynność już wielokrotnie i na nic się zdała, tak jak i teraz. Kamień nawet nie drgnął.

Wyczerpany tym znikomym wysiłkiem Rhun osunął się bezwładnie w winną toń.

Złożył dłonie i napełnił je palącym, gorzkim płynem i uniósł do warg. Krew Chrystusa użyczy mu siły, lecz zmusi także do przeżywania na nowo najcięższych grzechów, jakie popełnił. Przygotował się na nieuchronną pokutę i wypił. Jego gardło zapłonęło ogniem, a on splótł ręce do modlitwy.

Którą spośród jego przewin udręczy go wino tym razem?

Zapadając się we wspomnienia, uświadomił sobie, że kara polega na odsłonięciu grzechu sprzed setek lat.

Służba zamku w Čachticach stłoczyła się za stalowymi drzwiami komnaty w wieży, która nie miała okien. Więziono w niej ich była panią oskarżoną o zabicie setek dziewcząt. Hrabina należała do węgierskiej szlachty i nie mogła zostać ukarana za swe zbrodnie śmiercią, więc zamknięto ją w wieży, by jej krwiożerczy apetyt odgrodzić od ludzi cegłami i stalą.

Rhun przybył na miejsce w jednym tylko celu: by uwolnić świat od bestii, by zadośćuczynić za to, że niewiastę łagodnego ducha, zręczną w sztuce leczenia, przemienił w potwora, który nękał okolicę i pozbawiał życia młode dziewczęta.

Stał teraz przed hrabiną, zamknięty razem z nią w komnacie. Milczenie służby kupił złotem i obietnicą wyzwolenia. Chcieli, żeby zniknęła z zamku, on także tego pragnął.

Wiedzieli, kim on jest, i kulili się ze strachu.

Przynosił hrabinie także dar, coś, czego zażądała w zamian za uległość. Aby ją ułagodzić, znalazł młodą dziewczynkę dotkniętą gorączką, mającą niebawem dokonać żywota. Zabrał ją z pobliskiego sierocińca i przyprowadził potworowi.

Stojąc obok więziennej pryczy, Rhun wsłuchiwał się w nierównomierny, coraz wolniejszy puls dziewczynki. Nie uczynił nic, by ją ocalić. Nie mógł. Musiał czekać. Nienawidził się za to, ale trwał bez ruchu.

W końcu wątłutkie serce drgnęło i zamarło.

Ciebie ostatnią pozbawiła życia, przyrzekł w duchu.

Bliska śmierci hrabina, od dawna cierpiąca w zamknięciu głód, uniosła głowę od gardła dziewczynki. Z jej białego podbródka skapywały krople krwi. Srebrzyste oczy miały senny wyraz nasycenia; widział go już u niej kiedyś. Wolał tego nie wspominać. Modlił się, by zajęła czymś swoje myśli i żeby znalazł w sobie dość siły, by zakończyć sprawę.

Nie wolno mu powtórzyć błędu.

Schylił się i zdjął jej cienkie ręce ze zwłok dziewczynki. Delikatnie wziął zimne ciało hrabiny w objęcia i odniósł od zbrukanego łózka.

Oparła policzek o jego policzek.

– Dobrze znów być w twoich ramionach – wyszeptala, a on jej wierzył. Srebrne oczy hrabiny błyszczały, gdy na niego patrzyła. – Złamiesz swoje śluby jeszcze raz?

Zaszczyciła go powolnym, leniwym uśmiechem, hipnotycznie pięknym. On także się uśmiechnął, przelotnie zniewolony jej urokiem.

Przypomniawszy sobie miłość do niej; w chwili pychy uwierzył, że wolno mu złamać przysięgę sangwinisty i iść z nią do łóżka jak zwyczajny mężczyzna. Jednakże w chwili żądzy, kiedy był z nią złączony, był w niej, stracił panowanie nad sobą i dopuścił, by ukryty w jego wnętrzu demon zerwał więzy. Kły wbiły się w miękkie gardło i piły zachłannie, aż źródło niemal wyschło, a kobieta znalazła się na progu śmierci. By ją uratować, przemienił ją w potwora, napoił własną krwią, żeby z nim została, i modlił się, by złożyła śluby i tak jak on wstąpiła do zakonu sangwinistów.

Nie zrobiła tego.

Szuranie po drugiej stronie grubych desek ściągnęło jego myśli z powrotem do komnaty, do martwej dziewczynki na pryczy i wielu innych ofiar, które podzieliły jej los.

Kopnął czubkiem buta w drzwi i służący otworzyli. Pchnął je barkiem, a oni pierzchli w dół po ciemnych schodach wieży.

Na ustanej trzcina posadzce spoczywał marmurowy sarkofag. Rhun napełnił go wcześniej konsekrowanym winem i pozostawił otwarty.

Widząc, co ją czeka, hrabina uniosła głowę; wciąż była oszołomiona żądzą krwi.

– Rhunie?

– To cię ocali – powiedział. – Ciebie i twoją duszę.

– Nie chcę ocalenia duszy – odparła, wczepiając w niego palce.

Zanim zdołała stawić mu opór, uniosł ją nad otwarty sarkofag i zanurzył w poświęconym winie. Krzyknęła, gdy pierwszy raz dotknęło jej skóry. Zaciśnął zęby, wiedząc, jak bardzo Elisabeta cierpi, zapragnął uwolnić ją od bólu i wziąć go na siebie.

Zaszamotała się w jego ramionach, lecz osłabiona nie mogła dorównać jego sile. Wino rozprysło się na boki. Przycisnął ją do kamiennego dna, nie bacząc, że wino pali go ogniem. Rad był, że nie widzi twarzy hrabiny, którą zakrywała czerwona toń.

Przytrzymał ją, aż wreszcie znieruchomiała.

Będzie spała aż do czasu, gdy on znajdzie sposób, by odwrócić swój czyn, na powrót wsączyć życie w jej obumarłe serce.

Ze łzami w oczach położył na miejsce ciężkie kamienne wieko i zabezpieczył je srebrnymi pasami. Następnie oparł dłonie na marmurze i pomodlił się za duszę hrabiny.

I za własną.

Pomału dochodził do przytomności. Teraz już pamiętał w pełni, jak został uwięziony w tym samym sarkofagu, w którym przed wiekami zamknął hrabinę. Przypomniawszy sobie, jak wraca do tego miejsca, do trumny zamurowanej w kamiennej krypcie głęboko pod Watykanem. Tam właśnie ukrył swoją tajemnicę, z dala od wszystkich oczu.

Przybył do niej, kierując się słowami proroctwa.

Okazało się bowiem, że hrabina ma jeszcze odegrać jakąś rolę w dziejach świata.

Kiedy dobiegła końca batalia o Ewangelię Krwi, wybrał się samotnie tam, gdzie pogrzebał swój największy grzech. Rozwalił młotem ceglany mur, połamał pieczęcie sarkofagu i wydobyl hrabinę z trwającej wieki winnej kąpieli. Widział teraz jej srebrzyste oczy, które otworzyły się pierwszy raz od stuleci i na niego spojrzwały. Na krótką chwilę opuścił gardę, jego myśli pomknęły do dawnego minionego lata – do czasów, gdy ośmielił się uwierzyć, że może być kimś więcej niż tym, kim był, że ktoś taki jak on może kochać i nie wyzwolić niszczącej siły.

Nie zauważył odłamka cegły, który hrabina trzymała w dłoni. Zareagował zbyt wolno, ona zaś zdzieliła go twardym kamieniem z mocą nienawiści dojrzewającej setki lat. A może Rhun wiedział po prostu, że sobie na to zasłużył.

Gdy się ocknął, już znał prawdę.

Skazała mnie na taki sam wyrok.

Miał świadomość, że zasługuje na ten los, ale wiedział także, że musi się wyrwać.

Chociażby dlatego, że wypuścił potwora na niczego niespodziewający się świat.

Mimo to wciąż widział ją taką, jaka kiedyś była, pełna życia, niezmiennie w blasku słońca. Zawsze nazywał ją Elisabetą, lecz historia nadała jej inne imię, które brzmiało jak czarne epitafium.

Elżbieta Batory, Krwawa Hrabina.

Rzym, Włochy

2.22 czasu miejscowego

Elżbieta wybrała sobie siedzibę stosowną do jej arystokratycznego pochodzenia. W wysokich, zwieńczonych łukami oknach wisiały grube pluszowe zasłony. Dębowa podłoga miała subtelny złoty połysk i emanowała ciepłem pod zimnymi stopami hrabiny, która usadowiła się w fotelu z delikatnie wyprawionej skóry; pod chemiczną wonią dał się wyczuć kojący zapach dawno zabitego zwierzęcia.

Na mahoniowym stole migotała bliska wypalenia świeca. Elżbieta przystawiła do zamierającego płomienia nową. Knot zajął się ogniem, a ona wcisnęła świecę w miękki wosk tej, która zgasła. Nachyliła się do małego płomyka; wołała blask ognia od jaskrawego światła, którym płonął współczesny Rzym.

Zajęła trzy pokoje po zgładzeniu byłych lokatorów. Później przeglądała szuflady pełne nieznanymi przedmiotów, usiłując przeniknąć myślą obce stulecie; przypominało to rekonstruowanie zaginionej cywilizacji na podstawie pozostałych po niej artefaktów.

Jednakże kluczy do zrozumienia bieżącego wieku nie znalazła w szufladach.

Na stole, w migoczącym blasku świecy, spoczywały nierówne stosy rzeczy zabranych z kieszeni i zwłok zabitych. Skupiła uwagę na tej, którą zwieńczał srebrny krzyż. Wyciągnęła ku niemu dłoń, lecz nie dotknęła palcami ognistego gorąca metalu, który nosił w sobie błogosławioną esencję.

Koniuszkiem palca musnęła srebro. Sparzyło ją, lecz o to nie dbała; ktoś inny cierpiał z powodu utraty krucyfiksów o wiele mocniej niż ona.

Uśmiechnęła się, ból przywołał wspomnienia.

Krzepkie ręce unoszą ją z trumny pełnej wina, przerywają sen, budzą. Pozostała wiotka jak zwierzę w zagrożeniu, wiedziała, że największą przewagę zapewni jej skryty atak.

Otworzywszy oczy, rozpoznała swego dobroczyńcę po białej koloratce, ciemnych oczach i surowych rysach twarzy.

Ojciec Rhun Korza.

Ten sam mężczyzna, który podstępnie uwięził ją w trumnie.

Ale jak dawno temu?

Trzymał ją w ramionach, a ona pozwoliła, by jej ręka osunęła się ku ziemi. Wierzch dłoni spoczął na luźnym kamieniu.

Uśmiechnęła się do niego. On także się uśmiechnął, jego oczy rozjaśniało uczucie.

Z niezmierną szybkością grzmotnęła go kamieniem w skroń. Jej druga ręka wślizgnęła się do jego rękawa, do miejsca, w którym trzymał zawsze srebrny sztylet.

Chwyciła go, zanim Rhun ją puścił. Drugi cios go powalił.

Przetoczyła się na niego błyskawicznie, jej zęby poszukały miękkiej zimnej skóry na białym gardle. Kiedy ją przebiła, los mężczyzny zależał wyłącznie od niej. Musiała znaleźć w sobie siłę, by przestać pić, zanim go uśmierci, oraz cierpliwość, by opróżnić do połowy trumnę, nim go w niej zamknie. To jednak było konieczne. Gdyby spoczywał w niej cały, po prostu by spał aż do czasu, gdy ktoś go wydobędzie, tak jak to było z nią.

Zostawiła tylko trochę wina, wiedząc, że niebawem Rhun obudzi się w samotnym grobowcu i będzie powoli konał z głodu tak jak ona, gdy tkwiła uwięziona w zamkowej wieży.

Uniosła palec od skradzionego krzyża i pozwoliła sobie na chwilę zimnej satysfakcji. Poruszyła ręką i przesunęła palcami po zdezelowanym bucie spoczywającym na drugim stosie.

Drobny skórzany przedmiot stanowił pamiątkę jej pierwszego zabójstwa w nowym wieku.

Smakowała wspomnienie tej chwili.

Kiedy nie mając ani miejsca, w którym była, ani czasu, umykała ciemnymi katakumbami, chropawe kamienie przecinały cienkie skórzane podeszwy jej trzewików i kaleczyły stopy. Nie zwracała na to uwagi. Miała tylko jedną szansę ucieczki.

Nie wiedziała, dokąd biegnie, ale rozpoznawała stopami dotyk świętej ziemi, która odbierała siłę jej mięśniom i spowalniała kroki. Mimo to czuła się mocniejsza niż kiedykolwiek. Czas spędzony w winie dodał jej sił, choć trudno określić ile.

Wtem usłyszała bicie serca i odgłos ten powstrzymał jej szaleńczą rejteradę ciemnymi tunelami.

Człowiek.

Puls był spokojny i równy. Istota jeszcze nie wiedziała o obecności hrabiny. Ona zaś, słaniając się z głodu, oparła głowę o ścianę korytarza. Oblizła usta i poczuła cierpki smak krwi sangwinisty. Łaknęła słodszej, gorętszej.

Dalekie migotanie świecy rozjaśniło mrok. Hrabina usłyszała człapanie butów, było coraz bliżej.

– Rhun! – zawołał nieznajomy.

Hrabina przywarła do ściany. A więc jednak ktoś go szuka.

Zrobiła jeszcze kilka kroków i wypatrzyła niewyraźną męską postać, która wysunęła się zza zakrętu i zbliżała. W uniesionej dłoni nieznajomy niósł świecę

w lichtarzu; w jej blasku ukazał się brązowy habit.

Mnich nie zauważył hrabiny i kroczył dalej nieświadom zagrożenia.

Kiedy podszedł bliżej, skoczyła na niego jednym susem i powaliła na ziemię. Nie zdążył nawet wydać tchnienia, gdy jej zęby wbiły się w soczyste gardło. Krew płynęła w niej falami, jeszcze bardziej wzmagając jej siłę. Hrabina pławiła się w rozkoszy tak jak za każdym razem, od samego początku. Zaprażyła się z radości.

Rhun chciał, by wyrzekła się tej mocy w zamian za parzące wino, za długą jak życie służbę Kościołowi.

Nigdy!

Wyczerpana puściła ludzką powłokę, jej ciekawe palce zatrzymały się na tkaninie habitu. To nie był len. Wyczuła śliskość, jak jedwabiu, ale to nie był jedwab.

Zrobiło jej się nieswojo, jakby robak smyrgnął po jej skórze.

Świeca zgasła, kiedy mężczyzna upadł, lecz koniuszek knota wciąż jeszcze żarzył się ciemną czerwienią. Dmuchiła na niego i zrobił się pomarańczowy.

W mdłym blasku hrabina przeszukała stygnące ciało, wciąż wzdrygając się przy dotykaniu śliskiej tkaniny. Znalazła srebrny pectorał, lecz odsunęła rękę, kiedy ją oparzył.

Sięgnęła dłonią w dół po nodze i zdjęła z martwej stopy but; także i tam wyczuła coś dziwnego. Uniósła but do światła. Góra zrobiona była ze skóry, popękanej i zwyczajnej, lecz podeszwę wykonano z grubego gąbczastego materiału. Hrabina nigdy czegoś podobnego nie widziała. Uszczypnęła kciukiem i palcem wskazującym. Materiał ustąpił, a potem wrócił do poprzedniego kształtu niczym młode drzewo.

Przykucnęła i zamyśliła się. Ta dziwna substancja nie istniała w czasach, gdy Rhun podstępnie zanurzył ją w trumnie z winem, a teraz musi być pospolita, skoro nosi ją na butach pierwszy lepszy mnich.

Nagle pojęła, jaka przepaść czasu dzieli ją od przeszłości, i miała ochotę zawyć. Wiedziała już, że jej sen nie trwał kilka dni, tygodni ani nawet miesięcy.

To były lata, dziesiątki lat, wieki może.

Pogodziła się z brutalną prawdą. Znała jeszcze jedną.

W tym nowym dziwnym świecie musi zachować nadzwyczajną przezorność.

I tak też postępowała. Odłożyła but i podniosła ze stołu białą kulkę z czerwoną gwiazdką. Jej powierzchnia przypominała ludzką skórę, ale była gładsza. Budziła w niej odrazę, lecz hrabina zmusiła się, żeby trzymać ją w dłoni, podrzucać i znów łapać.

Po wyjściu z katakumb przeraźliwie się bała.

Wkrótce jednak to inni zaczęli się jej bać.

Przemykała tunelami, spodziewając się następnych mnichów. Nie napotkała żadnego, więc pięła się coraz wyżej za poszeptem dalekiego tętna.

Dotarła do grubych drewnianych drzwi i z łatwością je wylała, a potem wyszła na świeże powietrze. Pieściło jej ciało, osuszyło z wina suknię i niosło znajome zapachy ludzi, perfum, kamienia, rzeki. Przyniosło także wonie, których dotąd nie знаła: żrące odory, które, jak jej się zdawało, istniały jedynie w pracowni alchemika. Smród pchnął ją na drzwi i prawie zmusił do tego, by wróciła i poszukała schronienia w ciemnych tunelach.

Otoczyła ją przerażająca obcość.

Jednakże hrabina nigdy nie pada na kolana, nigdy nie okazuje strachu.

Wyprostowała plecy i ruszyła przed siebie jak przystało na damę, ze splecionymi dłońmi, oczami i uszami wyczulonymi na niebezpieczeństwo.

Oddalwszy się na kilka kroków od drzwi, momentalnie rozpoznała szeregi kolumn, potężną kopułę wznoszącą się po lewej stronie, a nawet obelisk. Egipska iglica stała tam w tym samym roku, w którym urodziła się córka hrabiny Anna.

Uspokoili ją na widok tego wszystkiego, wiedziała już, gdzie jest.

Plac Świętego Piotra.

Była w tym pewna ironia, która przypadła hrabinie do gustu.

Rhyn ukrył ją pod powierzchnią Świętego Miasta.

Trzymała się skraju placu. Z wysokich słupów padało na niego ostre nienaturalne światło. Raniło hrabinę w oczy, więc go unikała, posuwając się pod kolumnadą otaczającą plac.

Minęły ją dwie osoby.

Zaniepokojona skryła się za marmurową kolumną. Kobieta miała na sobie bryczesy, jakie noszą mężczyźni, a włosy miała tylko do ramion. Partner trzymał ją za rękę i rozmawiali.

Hrabina nigdy nie widziała tak wysokiej kobiety.

Ze swej kryjówki za kolumną przyglądała się innym ludziom przesuającym się po placu. Wszyscy byli jaskrawo odziani, mieli na sobie grube, misternie wykonane płaszcze. Sąsiednią ulicą sunęły przedziwne powozy oświetlone strumieniami nienaturalnego światła; nie ciągnęło ich żadne zwierzę.

Hrabina zadrżała i oparła się o kolumnę. Nowy świat jawił jej się groźnie, przytłaczał ją i mroził. Opuściła głowę i zmusiła się, by zaczerpnąć tchu. Musi się od wszystkiego odciąć, znaleźć sobie jakieś proste zadanie... i wykonać je.

Uderzył ją odór wina. Dotknęła przesiąkniętej ciecżą sukni. Nieodpowiednia odzież. Rozejrzała się, jej wzrok spoczął na dziwnie ubranych kobietach. Aby stąd uciec, musi się zamienić w wilka w owczej skórze, bo jeśli tamci odgadną, kim jest, czeka ją śmierć.

W tej kwestii z pewnością nic się nie zmieniło, bez względu na upływ lat.

Jej paznokcie wbiły się mocno w skórę dłoni. Nie chciała opuszczać znanego miejsca. Domyślała się, że to, co znajduje się poza placem, będzie jeszcze dziwniejsze niż to, co leżało w jego obrębie.

Ale musi iść.

Hrabina nigdy nie cofa się przed obowiązkiem.

Jej obowiązkiem było przeżyć.

Wyczuwała, że do świtu pozostało parę godzin. Przykucnęła w cieniu kolumnady i siedziła zastygła jak posąg, nie oddychając, nie poruszając się; słuchała chaotycznego bicia ludzkich serc, słów w wielu językach, częstych wybuchów śmiechu.

Jakże różnili się ci ludzie od mężczyzn i kobiet w jej czasach.

Byli roślejsi, bardziej hałaśliwi, silniejsi i lepiej odżywieni.

Najbardziej zafrapowały ją kobiety. Nosily męskie części garderoby: spodnie i koszule. Poruszały się bez lęku, odzywały się do mężczyzn i nie strofowano ich za to; zachowywały się, jakby były im równe; nie musiały kalkulować pod przymusem, tak jak w jej czasach, przychodziło im to naturalnie, jak gdyby zwyczajnie takie były pospolite i akceptowane.

Ta epoka niosła w sobie obietnicę.

Pojawiła się beztroska młoda matka z dzieckiem. Miała na sobie wełniany płaszcz w kolorze bordo i buty jeździeckie, choć ich zapach świadczył, że nigdy nie znalazły się w pobliżu wierzchowca.

Była drobna jak na współczesną kobietę, niewiele wyższa od Elżbiety.

Dziecko upuściło białą kulkę z czerwoną gwiazdą, a ta potoczyła się w cień i zatrzymała o szerokość dłoni od zdartych trzewików Elżbiety. Kuleczka wydzielala taki sam zapach jak podeszwa butów mnicha. Dziecko nie chciało podążyć za zabawką, jakby wyczuwało, że w cieniu czai się bestia.

Matka zachęcała je włoskimi słowami o dziwnym brzmieniu, machając ręką w stronę rzędu kolumn. Mimo to dziewczynka machała odmownie główką.

Elżbieta przesunęła językiem po ostrych kłach, prosząc w myślach, by matka sama pofatygowała się po zabawkę. Odbierze jej życie, ukradnie galanterię i zniknie,

zanim sierota zdąży zawołać pomocy.

Stała w cieniu i syciła się wystraszoną biciem dziecięcego serca, a tymczasem ton głosu matki zdradzał coraz większe zniecierpliwienie.

Hrabina zaczęła na właściwą chwilę tej ery dziwów.

A potem skoczyła.

Elżbieta odłożyła kulkę na stół i westchnęła; straciła zainteresowanie swoimi trofeami.

Wstała i podeszła do przestronnej garderoby w sypialni, zapchanej jedwabiami, aksamitami i futrami; wszystkie zostały skradzione ofiarom w ciągu minionych tygodni. Co wieczór stroiła się przed srebrnymi zwierciadłami i wybierała nowy zestaw. Niektóre części odzieży były prawie znajome, inne zaś dziwaczne jak kostium minstrela.

Na dzisiejszą noc wybrała miękkie niebieskie spodniom, jedwabną koszulę pasującą do jej srebrzystych oczu oraz parę kozaczków z cienkiej skóry. Przeciągnęła grzebieniem po gęstych czarnych włosach. Skróciła je tak, że sięgały do ramion, jak kobiecie, którą zabiła pod mostem.

Jakże inaczej teraz wyglądała. Co powiedzieliby Anna, Katalin i Paweł, gdyby ją zobaczyli? Nie rozpoznałyby jej własne dzieci.

Mimo to powtarzała sobie: Jestem hrabina Elżbieta z Ecsed.

Jej oczy się zwężyły.

Nie.

– Elżbieta – wyszeptwała do swojego odbicia. Przypomniła sobie, że czasy są inne i aby w nich przetrwać, musi się dostosować. Przybierze więc nowocześniejsze imię i będzie je nosiła tak, jak nosi nową fryzurę i odzież. Oto nowa osoba, którą się stanie. Od dnia, kiedy w wieku jedenastu lat została zaślubiona Ferencowi, odgrywała wiele ról: impulsywnej dziewczyny, samotnej żony, poliglotki, zręcznej uzdrowicielki, oddanej matki; było ich więcej, niż zdołała zliczyć. Teraz przyszła kolej na następną.

Odwróciła się nieco, żeby popatrzeć w lustrze na swoje nowe wcielenie. Z krótkimi włosami i w spodniach wyglądała jak mężczyzna. Nie była jednak mężczyzną, a poza tym nie zazdrościła im już siły i władzy.

Teraz miała jedno i drugie.

Podeszła do okna balkonowego i odsunęła miękką zasłonę. Spojrzała na płonąca lunę imponujących światel stworzonych ludzką ręką, które rozjaśniały

nowy Rzym. Dziwność otoczenia nadal ją przerażała, lecz orientowała się w nim już na tyle, by móc się pożywiać, odpoczywać i uczyć.

Siłę czerpała z jedynej cechy miasta, z jednego rytmu, który od wieków nie ulegał zmianie. Zamknęła oczy i wsłuchiwała się w bicie tysiąca tykających jak zegarki serc. Świadczyło ono o tym, że w ostatecznym rozrachunku pochód czasu liczy się niewiele.

Wiedziała, jaki jest czas, jaka jest zawsze pora dla drapieżcy takiego jak ona.

Pchnęła drzwi i wpuściła do środka noc.

Nadeszła pora polowania.

Hrabstwo Santa Clara, Kalifornia
18 grudnia, 17.34 czasu miejscowego

Zmierzch zapadał nad wzniesieniami i łąkami, a Erin mknęła jak burza, pokonując ostatni odcinek drogi do stajni. Blackjack bez żadnej zachęty wpadł pełnym cwałem na podwórze.

Jedną ręką Erin trzymała wodze, druga zaś spoczywała na pistolecie. Wałach poślizgnął się lekko i zatrzymał na piaszczystym gruncie, ona zaś okręciła się w siodle i wymierzyła broń w kierunku czarnych wzgórz.

W czasie galopu nie zdołała wypatrzeć stworzenia, które spłoszyło konia, lecz je usłyszała.

Nie mogła się uwolnić od poczucia, że mroczny łowca tylko się z nią bawi i czeka na zapadnięcie nocy, by zaatakować.

Nie zamierzała dawać mu tej szansy.

Poprowadziła Blackjacksa stępą obok swojego starego land rovera i dostrzegła inny samochód. Była to czarna limuzyna marki Lincoln, stała po przeciwnej stronie podwórza. Zmierzając do stajni, Erin podjechała bliżej i zobaczyła na drzwiach dobrze znany symbol: dwa skrzyżowane klucze i potrójną koronę.

Herb papieski.

Jej wewnętrzny lęk odezwał się ze zdwojoną siłą.

Co tu robi wysłannik Watykanu?

Rozejrzała się i nikogo nie widząc, popędziła Blackjacksa w stronę stajni. Dotarłszy do suwanych wrót, wstrzymała konia i krztusząc się kurzem, ześlizgnęła się z siodła. W jednej ręce wciąż trzymała uzdę, w drugiej pistolet. Nurtowało ją wiele pytań i szukała na nie odpowiedzi, ale szukała także bezpiecznego schronienia. Wyciągnęła rękę do uchwyty bramy.

Zanim jej palce go dotknęły, wrota same się poruszyły. Wysunęła się jakaś ręka, chwyciła Erin za nadgarstek i pociągnęła przez próg. Przestraszona kobieta wypuściła wodze Blackjacksa i ledwo zdołała utrzymać się na nogach.

Intruz wciągnął ją do ciemnej stajni, drzwi się zatrzasnęły i wierzchowiec został na zewnątrz. Erin odzyskała równowagę, obróciła się i mocno kopnęła. Jej but trafił w coś miękkiego.

– Au. Wyluzuj, Erin.

Od razu rozpoznała głos, choć nie miała pojęcia, co to wszystko znaczy.

– Jordan?

Zwolnił uścisk na jej nadgarstku.

Zapaliła się latarka i biała łuna oświetliła twarz sierżanta. Za jego ramieniem dostrzegła Nate'a; chłopak z bladą twarzą patrzył na nią szeroko rozwartymi oczami, ale najwyraźniej nic mu nie groziło.

Jordan potarł się po brzuchu i wyszczerzył do niej zęby w swoim charakterystycznym uśmiechu, momentalnie sprawiając, że napięcie, które Erin odczuwała w całym ciele, opadło. Był w wojskowych spodniach i białej rozpiętej przy kołnierzyku koszuli, z podwiniętymi rękawami, które odsłaniały muskularne opalone ramiona.

Skoczyła do niego susem i mocno go przytuliła. Zrobiło jej się ciepło, miło i naturalnie; uradowała ją łatwość, z jaką padła znów w jego objęcia.

– Nie mogę uwierzyć, że to ty – powiedziała do jego klatki piersiowej.

– Całym ciałem... Choć po twoim kopniaku ciut bardziej obolałym.

Odchyliła się, żeby na niego spojrzeć. Na ostro zarysowanej szczęce widać było cień dziennego zarostu, niebieskie oczy śmiały się do niej, włosy były nieco dłuższe. Wsunęła palce w gęste pszeniczne kędzioły i pocałowała go.

Niczego tak nie pragnęła jak tego, by przeciągnąć tę chwilę, zostać w jego objęciach, może pokazać mu odgradzoną część stajni z sianem. On jednak odsunął się od niej; było jasne, że zaprzętają go ważniejsze sprawy.

– Blackjack – powiedziała Erin. – Mój wierzchowiec. Musimy go wpuścić do środka, coś jest tam na wzgórzach.

Odwrociła się do drzwi i w tej samej chwili rozległo się końskie rzenie, głośnie niczym eksplozja. Rozdarło noc i zgasło jak ucięte nożem. Zanim ktokolwiek zdolał się poruszyć, jakiś ciężki obiekt uderzył z łoskotem w sąsiednią ścianę. Rzucili się do ucieczki w głąb stajni, ku boksom, w których stały uwięzane inne konie. Erin spojrzała w stronę drzwi.

Proszę, nie...

Widziała rosnącego wałacha z ufnymi oczami i aksamitnym nosem, który stawał dęba, kiedy się cieszył, i rżał cicho na powitanie, ilekroć wchodziła do

stodoły.

Jordan chwycił czarny pistolet Heckler & Koch MP7, groźnie wyglądającą broń. Ona uniosła małego glocka i coś sobie uświadomiła.

– Potrzebuję większego pistoletu.

Sierżant dał latarkę Nate'owi i sięgnął ręką do pasa. Podał Erin colta 1911, tego samego, którego już jej kiedyś użyczył. Poczuli się bezpieczniejsza.

Odwrociła się, żeby oddać Nate'owi swojego glocka, kiedy nagle z głębokiego cienia wychynął nieznajomy i trochę ją przestraszył. Miał na sobie granatowy mundur galowy z dwoma złotymi krzyżami wyhaftowanymi na klapach.

Kapelan?

– Wybaczcie, że zakłócam to radosne spotkanie po rozłące – odezwał się. – Czas chyba pomyśleć o opuszczeniu tego miejsca. Szukałem drugiego wyjścia, ale zdaje się, że najbezpieczniej będzie skorzystać z głównych drzwi.

– To jest Christian – przedstawił go Jordan. – Przyjaciół Rhuna, że się tak wyrażę.

Innymi słowy – sangwinista.

– Samochód pani profesor stoi jakieś pięćdziesiąt metrów stąd – odezwał się drżącym głosem Nate. – Dobiegniemy tak daleko?

W odpowiedzi na to pytanie wieczorną ciszę rozdarł nienaturalny wrzask.

Konie we wszystkich boksach stukały kopytami i napierały na bramki, rżąc jęklonie. Nawet one wiedziały, że jedyną nadzieję daje ucieczka.

– Co tam na nas czeka? – zapytał Jordan, mierząc z pistoletu do drzwi.

– Sądząc po woni i syczeniu, powiedziałbym, że jest to puma – odparł Christian. – Tyle że nieczysta.

Nieczysta?

Erin zrobiło się zimno.

– Ma pan na myśli blesfemora?

Kapelan skinął głową na potwierdzenie.

Blesfemory były zwierzętami splugawionymi krwią *strigoi*, która nadawała im postacie potworów o skórkach tak twardych, że sangwiniści robili z nich sobie broje.

Nate wciągnął szybko powietrze. Erin dotknęła go i poczuła, że chłopak drży. Nie dziwiła mu się. Wilk blesfemor ciężko go kiedyś poturbował.

Musiała wydostać chłopaka z zagrożonego miejsca.

Z lewej strony dobiegł odgłos rwania i rozszarpywania. Nate skierował tam latarkę w chwili, gdy cztery zakrzywione pazury rozpruły grubą ścianę z drewna sekwoi. W panice wypalili do nich cztery razy z glocka.

Pazury znikły i rozległo się wycie jeszcze bardziej gniewne niż przedtem.

– Oj, chyba go wnerwiłeś – rzucił Jordan.

– Przepraszam.

– Nie ma za co. Gdybyś ty nie strzelił, ja bym to zrobił.

Wielki kot rąbnął cielskiem w ścianę, aż się zatrzęsała. Usiłował wedrzeć się do środka.

– Chodźmy już – zakomenderował Christian i wskazał drzwi. – Wyjdę pierwszy i spróbuję odciągnąć blesfemora, a wy policzcie do dziesięciu i w nogi. Kierujcie się prosto do samochodu Erin i od razu ruszajcie.

– A ty? – chciał wiedzieć Jordan.

– Jeśli mi się poszczęści, zabierzecie mnie po drodze. Jeżeli nie, zostawicie.

Zanim ktokolwiek zdążył zaoponować, sangwinista w mgnieniu oka pokonał odległość do wrót, złapał za uchwyt i je rozsunął. Przed nim rozciągała się połać piachu i trawy. W oddali widać było sfatygowanego land rovera oraz lśniącego lincolna. Erin miała wrażenie, że obydwa samochody stoją dalej niż jeszcze chwilę temu, gdy wjeżdżała na podwórze na Blackjacku.

Christian wyszedł w noc, oświetlony z góry wiszącą nad drzwiami lampą. Srebrny błysk świadczył o tym, że dobył broni; potem skierował się w lewo i zniknął.

Jordan trzymał uniesiony pistolet i widać było, że zaczyna odliczanie.

Erin odwróciła głowę, kiedy przypomniła sobie, co spotkało Blackjacka. Rzuciła się biegiem wzdłuż boksów, odsuwała skoble i otwierała na oścież drzwi. Nie zostawi koni w pułapkach, żeby zginęły tak jak jej wierzchowiec. Zasłużyły na szansę ucieczki.

Strwożone czworonogi wrywały pędem z boksów i mijały trójkę ludzi. Gunsmoke wybiegła ostatnia. Nate przeciągnął palcami po spoconym boku klaczy, jakby pragnął pomknąć razem z nią. Konie dopadły do wrót i pocwałowały w mrok.

– Dziesięć – powiedział Jordan i dał ręką znak, że czas ruszać.

Cała trójka rzuciła się sprintem w tumanie kurzu, który wzbily uciekające konie. Sierżant trzymał się lewej strony z pistoletem skierowanym tam, gdzie zniknął sangwinista.

Erin, biegnąc do land rovera, nagle dostrzegła jakiś ruch obok stajni. Zza narożnika wytoczył się Christian i wylądował w pozycji kłęzącej.

Spoza tego samego węgła ukazała się monstrualna bestia.

Na jej widok Erin aż otworzyła usta.

Nate potknął się i opadł na jedno kolano.

Puma wpadła na podwórze, smagając ogonem w jedną i w drugą stronę. Miała jakieś trzy metry długości i ważyła grubo ponad sto pięćdziesiąt kilogramów – same mięśnie, kły i pazury. Wysokie uszy z pędzelkami poruszały się, wylapując każdy dźwięk, czerwonozłote ślepie błyszcząły w ciemności. Najbardziej jednak uderzającą cechą potwora była jej nienaturalnie szara sierść, która przypominała mgielny całun przemieniony w żywe mięso.

– Idź – powiedział sierżant, widząc, że Erin zwalnia, pomagając Nate’owi. – Ja się nim zajmę.

A kto się zajmie tobą? – pomyślała.

Została i uniosła wyżej colta.

Bestia warknęła na Christiana, obnażając długie kły, a potem skoczyła. Ale to była zmyłka. Śmignęła obok sangwinisty i pędziła prosto na uciekającą trójkę.

Jordan zdążył postawić Nate’a na nogi, lecz razem nie mieli szansy umknąć, więc Erin stanęła przed nimi i oddała strzał. Pocisk trafił zwierza prosto w łeb. Potrząsnął nim, ale nie zdołał zatrzymać.

Erin strzelała raz po raz.

Nie wolno jej ratować się ucieczką, dopóki Nate nie będzie bezpieczny.

Naciskała spust, aż wreszcie suwadło colta znieruchomiało. Skończyła się amunicja.

Wielki kot napinał tylne łapy i pokonywał susami resztę dzielącego ich dystansu.

Watykan

Mięśnie Rhuna zeszywniały ze strachu.

Grozi jej niebezpieczeństwo...

Ujrzał w myślach kosmyki jasnych włosów i oczy o barwie bursztynu. Aromat lawendy wypełnił mu nozdrza. Ból odgradzał go od jej imienia, zostawiał jedynie

potrzebę, pragnienie.

Muszę się do niej dostać...

Strach tętnił w jego ciele, a on odwrócił się w parzącej winnej toni na brzuch. Walczył z szarpającym bólem, usiłował rozumować, zatrzymać w głowie choć jedną myśl.

Nie może pozwolić jej zginąć.

Stał na czworakach i przycisnął plecy do kamiennego wieka sarkofagu. Zebrał w sobie całą wiarę, siłę i lęk i napał na marmurową płytę.

Wieko drgnęło ze zgrzytem. O grubość palca, ale jednak się poruszyło.

Rhun zacisnęła zęby i pchnął ponownie, wytěżając siły i rozdzierając habit. Srebrna inkrustacja na marmurze wypaliła piętno na jego odsłoniętych plecach. Poczł swąd palonej skóry i płynącą krew.

Mimo to napał mięśnie do ostatniego włókna, mobilizował każdą kość i siłę woli.

Cała jego egzystencja zogniskowała się w jednej bolesnej nucie pragnienia.

Ocalić ją.

Hrabstwo Santa Clara, Kalifornia

Jordan rzucił się i podciął Erin nogi.

Padając na wznak, zobaczyła śmigającego nad nimi blesfemora. Tylne łapa wbiła się w ziemię obok głowy Jordana i wzbila małą fontannę piachu. Puma obróciła się, syczeniem dając wyraz rozczarowaniu.

Sierżant w pozycji leżącej przetoczył się na bok, wymierzył z pistoletu i puścił serię w trybie automatycznym. Pociski trafiły bestię w korpus i rozszarpały futro. Frunęły strzępy sierści i pocięło trochę krwi, ale niewiele.

W niespełna trzy sekundy opróżnił cały magazynek z czterdziestoma ośmioma nabojami.

Osiągnął jedynie tyle, że rozwścieczył wielkiego kota.

Potwór odwrócił się do ofiar, przypadł do ziemi i wbił pazury głęboko w twardą glinę. Z jego pyska wydobył się złowieszczy pomruk i syczenie podobne do odgłosu silnika parowego.

Jordan ujął pistolet w obie ręce, gotów zamienić się w jaskiniowca walczącego maczugą.

Raptem coś błysnęło niebieskawo i na łbie blesfemora wylądował jakiś mały kształt. Srebrna klinga przecięła ucho i z rany trysnęła ciemna posoka. Kot wrzasnął i potoczył się na ziemi; obracając łeb, próbował dosięgnąć Christiana.

Sangwinista jednak był szybki – śmignął, unikając ciosu ogona bestii.

– Do rovera! – ryknął, uchylając się przed tylną łapą, która cięła powietrze pazurami ostrymi jak brzytwy.

Jordan dźwignął Erin na nogi i wyrwali biegiem ku samochodowi.

Nate już wcześniej dopadł celu, otworzył przednie i tylne drzwi i wsiadł z tyłu.

Porządny gość.

Sierżant pędził obok Erin. Dobiegłszy do auta, rzucił się na siedzenie kierowcy, a ona wskoczyła na kanapę obok swojego studenta. Trzasnęły jedno i drugie drzwi.

Erin wyciągnęła rękę nad oparciem fotela i położyła kluczyki na otwartej dłoni Jordana.

Uśmiechnął się dzikim uśmiechem. Stanowili zgrany zespół, musiał się postarać, żeby pozostali przy życiu. Przekręcił kluczyk, silnik zawył i samochód ruszył ostro do tyłu.

Kiedy skręcił, światła reflektorów padły na pumę. Szare jak duch futro zajaśniało w ich blasku. Wielki kot, podobny do skotłowanej chmury burzowej, obrócił się w stronę auta, mrużąc przed światłem czerwonożłote ślepiec.

Christian stał kilka kroków za nim.

Zwabiona hałasem i ruchem puma zawarczała i rzuciła się skokami w stronę land rovera.

Zachowała się jak najzwyklejszy kot...

Jordan cofał na pełnym gazie, starając się oślepić blesfemora, a Christian wykorzystał tę chwilę i pomknął do swojej czarnej limuzyny.

Upiorny kot doganiał uciekinierów, sadylił ile sił w nogach. Jordan obawiał się, że na gruntowych wiejskich drogach może prześcignąć samochody. Jakby na potwierdzenie tego bestia dała susa i runęła na maskę. Pazury rozdarły blachę. Ciężka łapa rąbnęła w przednią szybę. Na szkle pojawiły się kreski pęknięć.

Jeszcze jeden cios i potwór wedrze się na przednie siedzenia.

Nagle rozległ się głośny, uporczywy gwizd klaksonu.

Puma zawyla i zeskokczyła z maski niczym poczciwy mruczek, którego coś spłoszyło. Spadła na ziemię i ze złości rozplaszczając uszy na łbie, odwróciła się w stronę nowego zagrożenia.

Za cielskiem blesfemora Jordan spostrzegł Christiana. Sangwinista siedział pochylony za kierownicą lincolna i raz po raz naciskał klakson.

Wszystkie okna były opuszczone.

Co ty wyprawiasz?! – pomyślał Jordan.

Wielki kot ruszył skokami w kierunku limuzyny.

Sierżant wcisnął hamulec, zmienił bieg i na pełnym gazie popruł za ogoniastym stworem. Wiedział, że nie zdoła dotrzeć do Christiana przed bestią, ale zamierzał pomóc sangwiniście.

Puma runęła z impetem na bok lincolna, przesuając go o jakieś trzydzieści centymetrów i głęboko wgniatając blachę. Christianem rzuciło o oparcie siedzenia. Ryk klaksonu zamarł momentalnie, słychać było tylko syczące warczenie monstrualnego kota.

Bestia wypatrzyła ofiarę i wsadziła łeb przez okno, usiłując dobrać się do sangwinisty.

Sierżant wcisnął gaz do końca, gotów ją staranować, jeśli to będzie konieczne.

Pryskaj stamtąd, brachu!

Wielki kot, wierzgając tylnymi łapami, wepchnął się już niemal całą długością przez tylne okno do środka. Otwór był ciasny, lecz bestii nie brakowało determinacji.

Nagle Christian wyskoczył oknem po drugiej stronie auta.

– Tam! – krzyknęła Erin, która także to dostrzegła.

Sierżant skręcił i land rover ślizgnął się obok tylnego zderzaka limuzyny.

Sangwinista, zataczając się, odbiegł od lincolna, po czym skierował w jego stronę pęk kluczyków. Nacisnął guzik, rozległy się dwa piknięcia i wszystkie szyby powędrowały w górę.

Jordan zdławił śmiech na myśl o brawurze sangwinisty.

Christian zdołał zamknąć pumę w aucie.

Wielki kot warczał wściekle i ciskał się, kołyszając pojazdem.

– Podwieźć kolegę? – rzucił sierżant, zatrzymując się obok Christiana.

Ten otworzył drzwi od strony pasażera i wślizgnął się do środka.

– Ruszaj, i to gazem. Nie wiem, jak długo wytrzyma moja pułapka.

Jordan zrozumiał. Silnik zawył i land rover wyrwał z podwórza stajni, a potem wtoczył się na gruntową drogę prowadzącą do autostrady. Musieli zostawić rozwścieżonego kota jak najdalej za sobą.

Sangwinista wyjął z kieszeni telefon komórkowy i ostrym głosem zaczął wydawać jakieś rozkazy po łacinie.

– Co on mówi? – spytał Jordan.

– Wzywa wsparcie – odparła Erin. – Ktoś ma przyjechać i rozprawić się z pumą.

Christian zakończył połączenie i spojrzał do tyłu w kierunku stajni.

– Mam nadzieję, że bestia nie znajdzie dość miejsca, żeby nabrać rozpędu i rozwalić wzmocnioną szybę.

Erin odchrząknęła.

– Skąd ona się tu w ogóle wzięła? Dlaczego mnie goniła?

Jordan zerknął na Christiana.

– Wybacz – powiedział ze smutkiem sangwinista. – Sądzę, że ktoś się dowiedział, że szukamy z Jordanem twojej pomocy. Wiadomość musiała dotrzeć do niewłaściwych uszu. Jak pewnie wiecie, zakon podejrzewa, że są wśród nas zdrajcy, wyznawcy Beliala. Obawiam się, że być może nie zachowałem należytej ostrożności.

Belial..

Tak, Erin pamiętała o istnieniu sojuszu *strigoi* i ludzi zjednoczonych pod tajemniczym przywództwem. Nawet ściśle szeregi zakonu sangwinistów okazały się nieodporne na infiltrację z ich strony.

– Może to nie przez ciebie. – Ścisnęła lekko ramię Christiana. – Dzwonił do mnie dzisiaj kardynał Bernard. Może to jemu się coś wymysknęło. Tak czy siak, odłóżmy te domysły na bok, póki nie zapewnimy bezpieczeństwa Nate'owi.

– A ja nie mam w tej sprawie nic do gadania? – odezwał się dotknięty chłopak.

– Nic a nic – odpowiedział mu Christian. – Moje rozkazy są jasne i szczegółowe. Mam zabrać do Rzymu Erin i Jordana. I tyle.

Sierżant nie był pewien, czy to prawda; może chodziło tylko o to, by zdjąć presję z Erin.

– Dlaczego do Rzymu? – zapytała.

Sangwinista odwrócił się do niej.

– W całym tym rozgardiaszu zapomnieliśmy ci powiedzieć. Zaginął ojciec Korza. Zniknął tuż po krwawej bitwie w Rzymie.

Jordan zerknął w lustro i dostrzegł niepokój w oczach Erin, jej dłoń powędrowała ku szyi. Wciąż były tam blizny po tym, jak Rhun ją ukąsił i upił jej krwi. Jednak wyraz twarzy dziewczyny wskazywał, że bardzo jej na nim zależy.

– Co to ma wspólnego ze mną? – chciała wiedzieć.

Christian uśmiechnął się do niej.

– Ponieważ ty, pani doktor, jesteś jedyną osobą, która może go odnaleźć.

Jordan nie przejął się zniknięciem Rhuna Korzy. Gdyby to od niego zależało, facet mógł pozostać wśród zaginionych. Jedna zagadka natomiast wymagała rozwiązania:

Kto nasłał tego piekielnego kota?

Rzym, Włochy

19 grudnia, 4.34 czasu miejscowego

Przywódca sekty Beliala siedział zgarbiony nad biurkiem, z zabytkowymi szczypcami zegarmistrzowskimi w dłoniach. Założył sobie na oko lupę powiększającą. Z nadzwyczajną pieczołowitością umieścił maleńką mosiężną sprężynkę w sercu mechanizmu o rozmiarach kciuka.

Sprężynka zacisnęła się i wskoczyła na miejsce.

Mężczyzna uśmiechnął się z zadowoleniem i zamknął połówki mechanizmu tworzące coś w rodzaju metalowej rzeźby owada z sześcioma przegubowymi odnóżami i głową bez oczu, najeżoną ostrymi jak szpilki srebrnymi trąbkami i zwieńczoną dwoma pierzastymi czułkami z mosiądzu, łagodnie wywiniętymi do góry.

Pobłogosławiony darem sprawnych rąk przeszedł w drugi kąt pracowni i z białej jedwabnej poduszki wziął w szczypcę oderwane skrzydełko ćmy. Umieścił połyskliwy płatek do halogenowej lampy. Łuski zaślniły srebrzystą zielenią, która ledwie kryła delikatną koronkę struktury wewnętrznej skrzydeł *Actias luna*, księżycówki amerykańskiej. Ćma ta, osiągająca rozpiętość skrzydeł do dziesięciu centymetrów, jest jedną z największych na świecie.

Cierpliwymi i zręcznymi ruchami umieścił kruche skrzydełko w maciupeniach zaciskach mechanicznego tułowia z mosiądzu i srebra, który stworzył. Powtórzył tę czynność z drugim przednim skrzydłem i dwoma tylnymi. Mechanizm ukryty w tułowiu zawierał setki przekładni, kółek i sprężynek, które tylko czekały, by przywrócić do życia przepyszną urodę organicznego skrzydełka.

Skończywszy, mężczyzna zatrzymywał wzrok na każdym elemencie po kolei. Uwielbiał precyzję swojego dzieła, sposób, w jaki jedna zębátka zachodziła na drugą, łącząc się w większą całość. Latami konstruował zegary; pragnął śledzić pomiar czasu dokonywany przez urządzenia mechaniczne, gdyż jego ciało było go pozbawione. Później poświęcił zainteresowania i umiejętności tworzeniu

mikroskopijnych automatów, w połowie maszyn i w połowie żywych organizmów, które miały zgodnie z jego wolą działać wiecznie.

Zwykle odnajdował spokój w tym subtelnym zajęciu, skupienie przychodziło mu łatwo. Tego wieczoru spokój mu się wymykał. Nie przyniósł mu go nawet nikły szmer pobliskiej fontanny. Jego ułożony przed wiekami plan, misterny i delikatny jak mechanizmy, które wychodziły spod jego rąk, był zagrożony.

Przy dokonywaniu drobnej poprawki końcówka szczypiec zdrząła i oderwał delikatne zielonkawe skrzydełko; pokruszone posypało się na biały jedwab. Wypowiedział przekleństwo, którego nikt nie słyszał od czasów starożytnego Rzymu, i cisnął szczypcę na szklany blat biurka.

Chcąc przywołać spokój, wziął głęboki oddech.

Nadaremnie.

Telefon na biurku odezwał się jakby na dany znak.

Mężczyzna potarł skronie długimi palcami, usiłując zapanować nad myślami.

– Si, Renate?

– Ojciec Leopold jest w holu na dole, Wasza Eminencjo – oznajmiła piękna recepcjonistka zduszonym głosem, który rozległ się w głośniku. Wyratował ją od żywota niewolnicy seksualnej na ulicach Turcji, ona zaś odpłacała mu lojalną, choć obojętną służbą. Znał ją od lat i ani razu nie okazała zdziwienia. Szanował ją za to.

– Wpuść go na górę.

Wstał, przeciągnął się i podszedł do jednego z szeregu okien w ścianie za biurkiem. Do jego firmy Argentum Corporation należał najwyższy wieżowiec w Rzymie, a ten gabinet mieścił się na ostatnim piętrze. Przez tafle kuloodpornego szkła penthouse'u można było spoglądać z góry na Wieczne Miasto. Podłogę pokrywał purpurowy kamień zwany porfirem cesarskim, występujący tylko w jednym miejscu na świecie, w egipskich górach, które Rzymianie nazywali Mons Porphyrites. Odkryto go za życia Chrystusa i stał się kamieniem królów, cesarzy oraz bogów.

Przed pięćdziesięciu laty zaprojektował i opracował konstrukcję budynku wraz ze światowej sławy architektem. Tamtego mężczyzny, rzecz jasna, nie było już wśród żywych. On jednak trwał i nie zmienił się.

Popatrzył na swoje odbicie. Za naturalnego życia jego twarz znaczyły blizny po dziecięcej chorobie, lecz znikły, kiedy spadła na niego klątwa niekończących się lat. Teraz nawet nie pamiętał, w których miejscach były. Widział jedynie gładką,

nieskazitelną skórę, niepogłębiające się drobne zmarszczki wokół srebrnoszarych oczu, oblicze o twardych rysach i gęste siwe włosy.

Naszły go gorzkie myśli. Ta twarz nosiła w ciągu wieków wiele imion i miała wiele tożsamości. Po dwóch tysiącach lat powrócił jednak do imienia, które nadała mu matka.

Judasz Iskariota.

Imię to stało się synonimem zdrady, lecz on zatoczył pełny krąg od odrzucenia prawdy do pogodzenia się z nią – tym bardziej że znalazł drogę do odkupienia. Setki lat temu wreszcie odkrył, dlaczego Chrystus rzucił na niego klątwę nieśmiertelności.

Dlatego w dniach, które nadejdą, postąpi tak, jak musi postąpić.

Czując to brzemień na barkach, oparł czoło o zimne szkło. Miał kiedyś w firmie menedżera, który tak bał się wypadnięcia, że nie potrafił zbliżyć się do okna na dwa metry.

Judasz nie bał się upadku. Upadał wiele razy i wiele razy powinien był zginąć.

Spoglądał przez szybę na rozpostarte w dole miasto z błyszczącymi ulicami, w czasach przed Chrystusem słynące z dekadencji. Rzym zawsze nocą płonął, choć rozgrzana do białości elektryczność już dawno zastąpiła ciepły żółty ogień pochodni i świec.

Jeżeli plan się powiedzie, cała ta iluminacja wreszcie zgaśnie.

Blask i ogień – współcześni ludzie uważali je za swoje atrybuty, lecz człowiek od dawien dawna rozjaśniał świat mocą swojej woli. Czasem dla postępu, a czasem dla błahostek.

Wspominał olśniewające bale, w których przez wieki brał udział; wszyscy ich uczestnicy byli pewni, że wspięli się na szczyty splendoru. Dzięki prezencji i zamożności nigdy nie brakowało mu zaproszeń ani damskiego towarzystwa, ale towarzyszki często żądały więcej, niż mógł im dać.

Zbyt wiele widział kochanek, które się zestarzały i umarły, by nie przygasła w nim nadzieja na trwałe uczucie.

Ostatecznie cena zawsze okazywała się zbyt wysoka.

Chociaż zdarzył się jeden wyjątek.

W średniowieczu w Wenecji trafił na pewien bal i spotkał kobietę, która chwyciła go za serce i pokazała, że miłość warta jest każdej ceny. Teraz patrzył w dół na kolorowe światła miasta, aż zlały się w jedną plamę i uniosły go we wspomnienia.

Zatrzymuje się na skraju sali balowej w Wenecji, przed nim wiruje feeria barw. Karmazynowe czerwienie, złoto w najgłębszym odcieniu, indygo godne wieczornego morza, czernie pożerające światło, perłowa jasność odsłoniętych ramion. Nigdzie kobiety nie stroiły się tak jaskrawo i nigdzie nie odkrywały tyle ciała co w Wenecji.

Sala nie zmieniła się wiele od stu lat. Pojawiły się jedynie trzy nowe obrazy olejne wiszące na ścianach. Przedstawiały członków rodziny gospodarzy z minami srogimi bądź radosnymi, odzianych w misternie szyte ubrania w stylu epoki. Wszyscy od dawna nie żyli. Z prawej strony Judasz widział portret Giuseppego, który odszedł przed trzydziestu laty; jego oblicze zastygło w wieku lat czterdziestu mocą farb i talentu dawno zmarłego malarza. Brązowe oczy Giuseppego, zawsze skorego do rozrywki, zadawały kłam powadze czoła i statecznej pozie. Judasz znał go dobrze, jeśli można poznać kogoś dobrze w dekadę.

Tylko tak długo pozwalał sobie bawić w jednym mieście. Po tym okresie ludzie zaczynaliby dociekać, dlaczego się nie starzeje. Mężczyznę, którego twarz nie pokrywała się zmarszczkami i który nie umierał, nazwano by czarnoksiężnikiem albo czymś jeszcze gorszym. Podróżował więc z północy na południe, ze wschodu na zachód, zataczając coraz szersze kręgi, w miarę jak rósł zasięg cywilizowanego świata. W jednych miastach grał samotnika, w innych artystę, w jeszcze innych birbanta. Wkładał role jak płaszcze. I wszystkie mu się przykrzyły.

Jego wykwinne buty z czarnej skóry przemierzały drewnianą podłogę z wywiczoną łatwością. Znał każdą skrzypiącą deskę, każde niedostrzegalne zagłębienie. Zjawił się służący w masce z tacą zastawioną kieliszkami. Judasz wziął jeden do ręki i przypomniał sobie bogactwo piwnicy dawnego gospodarza. Skosztował wina, jego aromaty pieściły mu język; piwnica na szczęście nie podupała po śmierci Giuseppego. Gość opróżnił kieliszek i wziął następny.

W drugiej dłoni, ukrytej za plecami, ścisnął mocno wąski czarny przedmiot.

Sprowadził go w to miejsce cel ważniejszy od balu.

Przybył dla żałoby.

Zmierzał do okna, przesuając się między tancerzami. Długi nos jego maski zakrzywiał się w dół na podobieństwo kruczego dziobu. Zapach dobrze wyprawionej skóry, z której był zrobiony, wypełniał mu nozdrza. Jakaś dama przefrunęła obok; jej ciężka woń wisiała w powietrzu jeszcze długo po tym, jak ona i jej partner się oddalili.

Judasz znał tych tancerzy oraz wielu innych. Później, kiedy wypije więcej wina, przyłączy się do nich. Wybierze sobie młodą kurtyzanę, mauryjską kobietę, jeśli taką

znajdzie, i będzie chciał się zatracić w znajomych krokach.

Przed pięćdziesięciu laty, podczas poprzedniej bytności w Wenecji, poznał najbardziej czarującą niewiastę, jaką widział w swoim długim życiu. Była mauryjską kobietą – śniadoskórą, z promiennymi oczami w kolorze głębokiego brązu i czarnymi włosami, które rozlewały się na jej obnażone ramiona aż do smukłej kibici. Miała na sobie szmaragdowozieloną suknię ze złotym obszyciem, spiętą w taliu zgodnie z modą, a między jej piersiami zwisał na złotym łańcuchu odłamek lśniącego srebra podobny do fragmentu stłuczonego lustra – niezwykle ozdoba. Spowijał ją zapach kwiatów lotosu, którym Judasz nie miał okazji się rozkoszować od czasu minionej podróży na wschód.

Tańczył z tajemniczą damą godzinami, nie potrzebowali innych partnerów. Mówiła z osobliwym akcentem, którego nie potrafił umiejscowić. Wnet o tym zapomniał i tylko słuchał jej słów. Miała wiedzę większą niż ktokolwiek inny, kogo znał: o historii, o filozofii oraz o sekretach ludzkiego serca. Beztraska i mądrość kryły się w jej smukłej postaci, a on pragnął przejąć od niej spokój. Dla niej być może znalazłby drogę do tego, by znów dzielić proste troski śmiertelników.

Po tańcach, gdy znaleźli się obok okna, uniosła maskę, żeby mógł zobaczyć jej twarz, a on zdjął swoją. Przyglądał się jej bez słowa w chwili tak intymnej, jakiej nigdy z nikim nie zaznał. Później podała mu swoją maskę, przeprosiła i znikła w tłumie.

Dopiero wtedy uświadomił sobie, że nie zna jej imienia.

Już nie wróciła. Poszukiwał jej w Wenecji przez ponad rok, płacił absurdalne sumy za mylne informacje. Miała być wnuczką doży. Niewolnicą z Orientu. Żydowską dziewczyną, która wymknęła się na noc z getta. Wszystko było nieprawdą.

Ze złamanym sercem uciekł z miasta masek i szukał zapomnienia w objęciach wielu kobiet; niektóre miały skórę śniadą jak tamta, inne białą niczym śnieg. Wysłuchał tysiąca ich historii, jednym pomógł, drugie porzucił. Żadna nie dotknęła jego serca i zostawiał je, nim musiały stawić czoła starości i śmierci.

Teraz przybył do Wenecji, by wypędzić ją ze swoich myśli, pięćdziesiąt lat po tym, jak tańczył z nią na tej samej posadzce. Zapewne już nie żyła – wiedział o tym – albo stała się pomarszczoną i ślepą staruszką, która dawno zapomniała o ich czarownej nocy. Jemu pozostało tylko wspomnienie oraz jej stara skórzana maska.

Obracał ją w dłoniach. Była czarna i połyskliwa, upleciona z grubej skórzanej tasiemki; przy kącikach otworów na oczy mieniły się drobnuteńkie kamienie

szlachetne. Fason był odważny, jego prostota odstawała od ozdobności masek noszonych przez ówczesne damy.

Tamtej kobiecie dodatkowe ornamenty nie były jednak potrzebne.

Judasz przybył do jasno oświetlonej sali po to, by wrzucić maskę do kanału i odesłać ducha jej właścicielki do przeszłości. Ściskając w palcach starą skórę, wyglądał przez otwarte okno. Gondolier płynął łodzią po ciemnej wodzie, poruszając tyczką, blask księżyca srebrzył wodne zmarszczki.

Za brzegami kanału jakieś postacie spieszyły po bruku ulic i po mostach. Ludzie krzatali się wokół swoich spraw, tych zagadkowych i tych powszednich. Nie znał ich i go nie obchodziły. Nużyły go tak jak wszystko inne. Przez krótką chwilę wydawało mu się, że znalazł więź uczuciową, a potem kobieta odeszła.

Niechętnie rozstawał się z maską, gładził ją teraz palcem wskazującym. Spoczywała na dnie jego kufra od lat, owinięta w najdelikatniejszy jedwab. Z początku czuł zapach kwiatów lotosu, lecz nawet on uleciał. Judasz uniósł maskę do nosa i powąchał ostatni raz, spodziewając się, że poczuje odór starej skóry i cedru kufra.

Tymczasem wionęła na niego woń lotosu.

Odwrócił głowę, bojąc się spojrzeć. Poruszał się tak wolno, że nie przestraszyłby najpłochliwszego ptaka. Czuł w uszach własny puls, obawiał się, że jego dudnienie ściągnie ludzkie spojrzenia.

Stała przed nim bez maski i niezmieniona, z tym samym beztroskim uśmiechem, który ujrzał na jej twarzy pół wieku temu. Maską wysunęła mu się z ręki i spadła na podłogę. Oddech uwiązał mu w gardle. Dokoła wirowali tancerze, a on tkwił bez ruchu.

To niemożliwe.

Czy ona może być jej córką?

Odrzucił tę ewentualność.

Zbyt wierne podobieństwo.

Do jego głowy wtargnęła mroczna myśl. Wiedział o istnieniu nieboskich stworów, które wędrowały poprzez czas tak jak on, nie umierając, lecz powodowały nimi krwiożercze żądze i szaleństwo.

Wyrzucił z głowy i tę możliwość.

Żaru jej ciała, który czuł w tańcu przez aksamitną suknię, nigdy nie zdołał zapomnieć.

Kim więc była? Przekłętą tak jak on? Nieśmiertelną?

Tysiąc pytań wirowało w jego głowie, by wreszcie ustąpić przed jedynym istotnym, którego nie zadał przed pięćdziesięciu laty.

– Jak ci na imię? – spytał szeptem, bojąc się, że ta chwila może rozprysnąć się na kawałki podobne do tego, który ona nosiła na smukłej szyi.

– Dziś wieczór na imię mi Anna – odpowiedziała z tym dziwnym akcentem, który już znał.

– Ale jakie jest two prawdziwe imię. Zechcesz mi je zdradzić?

– Jeśli ty zdradzisz mi swoje.

Jej lśniące brązowe oczy długo patrzyły w jego oczy. Nie kokietowała go, lecz badała. Skinął powoli głową, modląc się, żeby uznała go za godnego.

– Arella – odrzekła cicho.

Powtórzył imię, naśladowując sylabę po sylabie:

– Arella.

Uśmiechnęła się. Prawdopodobnie przez wiele śmiertelnych żywotów nie usłyszała, jak ktoś wymawia na głos jej imię. Spoglądała mu w oczy, żądając, by za poznanie jej prawdziwego imienia odpłacił tym samym.

Wyrzekł na głos swoje po raz pierwszy od tysiąca lat.

– Judasz.

– Przeklęty syn Szymona Iskarioty – dopowiedziała bez zaskoczenia i z cieniem uśmiechu na ustach.

Wyciągnęła do niego rękę.

– Chcesz zatańczyć?

Odkryli przed sobą swoje sekrety i tak rozpoczęli się ich związek.

Za tymi sekretami kryły się jednak inne, głębsze i mroczniejsze.

Duże drzwi otworzyły się; widział w oknie ich odbicie. Jego myśli wróciły z dawnej Wenecji do współczesnego Rzymu. Stuknął palcami w zimną kuloodporną szybę, zastanawiając się, co też na jej widok pomyśleliby średniowieczni weneccy szklarze.

Zobaczył w szybie postać Renate obramowaną framugą drzwi. Miała na sobie ciemnoniliowy kostium i jedwabną brązową bluzkę. Mimo że z młodej kobiety zmieniała się na służbie u niego w panią w średnim wieku, wydała mu się atrakcyjna. Naraz uświadomił sobie, że przypomina mu Arellę. Recepcjonistka miała taką samą ciemną cerę i brązowe oczy, emanował od niej taki sam spokój.

Jak mogłem dotąd tego nie zauważyć?

Do gabinetu wszedł jasnowłosy mnich o twarzy wyglądającej młodziej, niż powinna. Nerwowym ruchem ścisnął oprawki małych okularów. Na okrągłym obliczu sangwinisty ukazały się zmarszczki zatroskania, które nie pasowały do kogoś tak młodego; zdradzały, że za gładką skórą kryją się niewidzialne dziesięciolecia.

Renate wyszła i bezszelestnie zamknęła drzwi.

Judasz skinął ręką.

– Wejdz, bracie Leopoldzie.

Mnich oblizał wargi, wygładził prosty brązowy habit z kapturem i spełnił polecenie. Minąwszy fontannę, zatrzymał się przed ogromnym biurkiem. Zdawał sobie sprawę, że lepiej nie siadać bez pozwolenia.

– Tak jak rozkazałeś, Damnatucie, przyjechałem pierwszym pociągiem z Niemiec. – Skłonił głowę, kiedy wypowiadał starożytny przydomek nawiązujący do dziejów życia gospodarza, oznaczający z grubsza tyle co „potępiony”, „nędzny” i „przeklęty”.

Ktoś inny mógłby taki epitet uznać za obraźliwy, Judasz jednak nosił go z dumą. Nadał mu go Chrystus.

Przesunął krzesło za biurkiem, wrócił na swoje miejsce i usiadł. Kazał mnichowi czekać, sam zaś skoncentrował się znów na swoim dziele. Z wyćwiczoną wprawą odpiął resztki urwanego wcześniej przedniego skrzydełka i rzucił je na podłogę. Otworzył szufladę z okazami, by wyjąć drugą ćmę księżycówkę. Odczepił przednie skrzydło, po czym umocował je zamiast rozerwanego. Mechanizm został przywrócony do nieskazitelnej perfekcji.

Teraz czas naprawić inną powstałą usterkę.

– Mam dla ciebie nowe zadanie, bracie Leopoldzie.

Mnich stał przed nim w milczeniu i tak nieruchomo, jak tylko sangwinista potrafi.

– Tak?

– Jeśli dobrze pojmuję, w waszym zakonie istnieje pewność, że ojciec Korza to zapowiedziany w prorocztwie Rycerz Chrystusa, a amerykański żołnierz Jordan Stone jest Mężem Wojownikiem. Pozostaje jednak wątpliwość co do tożsamości trzeciej postaci wymienionej w Ewangelii Krwi. Uczonej Niewiasty. Czy mam rozumieć, że nie jest nią doktor Erin Granger, choć takie było pierwotne przypuszczenie podczas poszukiwania zaginionej Ewangelii?

Leopold schylił głowę w przeproszającym geście.

- Dotarli do mnie te pogłoski i uważam, że mogą być prawdziwe.
- Jeśli tak, to musimy odnaleźć prawdziwą Uczoną Niewiastę.
- Tak się stanie.

Judasz wyjął z szuflady srebrną brzytwę i naciął sobie koniuszek palca. Przytrzymał go nad ćmą, którą skonstruował z metalu i skrzydełek lekkich jak nić babiego lata. Lśniąca kropelka upadła na grzbiet tułowia, przesączyła się przez niego i znikła.

Mnich się cofnął.

- Lękasz się mojej krwi.

Wszyscy *strigo* i się jej bali.

Przed wiekami Judasz dowiedział się, że kropla jego krwi stanowi śmiertelne zagrożenie dla dotkniętych klątwą stworów, nawet tych nielicznych, które postanowiły służyć Kościołowi jako sangwiniści.

- Krew ma wielką władzę, czyż nie, bracie Leopoldzie?

- W istocie. - Wzrok mnicha skakał to w jedną, to w drugą stronę. Musiało go niepokoić, że znajduje się tak blisko czegoś, co może położyć kres jego nieśmiertelnemu życiu.

Judasz zazdrościł mu tego strachu. Ukarany przez Chrystusa przekleństwem nieśmiertelności, wiele by poświęcił, by móc wybrać śmierć.

- Dlaczego mi nie powiedziałeś, że triada jest obecnie złączona więzami krwi?

- Wsunął ostrożnie palce pod swoje dzieło, ono zaś ożyło mu w dłoni dzięki mocy jego krwi. Małeńkie trybiki zaszumiały, ich odgłos był ledwie słyszalny w pobliżu fontanny. Skrzydełka uniosły się i połączyły u góry, a potem opadły.

Mnich zadrzał.

- Cóż za piękne nocne stworzenie, zwyczajna ćma - rzekł Judasz.

Mały automat zatrzepotał skrzydłami i oderwał się od podłoża, którym było zagłębienie dłoni. Powoli okrążył lotem biurko; skrzydełka chwyciły najdrobniejsze cząstki światła i odbijały je przy każdym uderzeniu.

Leopold śledził go wzrokiem. Miał ochotę stąd uciec, lecz wiedział, że to daremne.

Judasz podniósł rękę i ćma usiadła na czubku jego wyciągniętego palca. Metalowe odnóża delikatne jak pajęczna nić musnęły jego skórę.

- Takie subtelne, a tkwi w nim tak olbrzymia siła.

Mnich nie odrywał oczu od jaskrawych skrzydełek.

– Proszę o wybaczenie. – Jego głos drżał. – Rhun pożywił się archeolożką, ale nie sądziłem, że to ważne. Myślałem... myślałem, że ona nie jest prawdziwą Uczoną Niewiastą.

– A jednak jej krew płynie teraz w żyłach Rhuna Korzy, a dzięki twojej niefortunnej transfuzji krew sierżanta Stone'a krąży w jej żyłach. Nie uważasz, że taki zbieg okoliczności jest dziwny? Może nawet znaczący?

Spełniając wolę Judasza, ćma ponownie wleciała z jego palca i zataczała koła w powietrzu. Płasała na strumieniach powietrza tak, jak on wirował ongiś w salach balowych całego świata.

Mnich tymczasem przeżywał swój strach.

– A może – odezwał się Judasz – ta archeolożka mimo wszystko jest jednak Uczoną Niewiastą.

– Proszę o wybaczenie...

Ćma zniżyła lot i usiadła na lewym ramieniu mnicha, jej mikroskopijne nóżki przywarły do zgrzebnej tkaniny habitu.

– Próbowałem ją zabić dziś w nocy. – Judasz bawił się maleńkimi szczypcami na blacie biurka. – Posłużyłem się blesfemorem. Uważasz, że zwyczajna kobieta zdołałaby umknąć przed taką bestią?

– Nie wiem, w jaki sposób jej się to udało.

– Ani ja.

Sprovokowana najdrobniejszym ruchem ćma ukłułaby mnicha ostrym ryjkiem, wpuszczając do jego skóry kropelkę krwi, która by go uśmierciła.

– A jednak przeżyła – powiedział Judasz. – I znów jest razem z Wojownikiem, choć jeszcze nie z Rycerzem. Czy wiesz, dlaczego nie połączyli się z ojcem Rhunem Korzą?

– Nie. – Mnich spuścił wzrok na różaniec.

Jeśli teraz zginie w grzechu, a nie w świętej batalii, jego dusza zostanie przeklęta na wieki. Na pewno właśnie się nad tym zastanawia, przyszło do głowy Judaszowi i dał mu jeszcze chwilę na rozmyślania, a potem wyjaśnił:

– Ponieważ Rhun Korza zaginął.

– Zaginął? – Mnich pierwszy raz wyglądał na zaskoczonego.

– Kilka dni po tym, jak się nią pożywił, zniknął Kościołowi z pola widzenia. Wszystkim innym także. – Skrzydełka ćmy drżały w powietrzu. – Zwłoki ścielą się na ulicach Rzymu, bo jakiś potwór ośmiela się polować na obrzeżu samego

Świętego Miasta. Nie jest to *strigo*i, nad którym panują ja lub oni. Obawiają się, że może to być ich drogi Rhun Korza po powrocie do stanu przekleństwa.

Brat Leopold spojrział mu w oczy.

– Czego ode mnie oczekujesz? Żeby go zabił?

– Jak gdybyś mógł! Nie, mój bracie, to zadanie przypadnie innemu. Twoje polega na tym, by obserwować i informować. I nigdy więcej nie zachowuj dla siebie żadnego szczegółu. – Judasz uniósł rękę i ćma oderwała się od ramienia mnicha, by wrócić na wyciągniętą dłoń swojego stwórcy. – Jeśli sprawisz mi zawód, zawiedziesz Chrystusa.

Brat Leopold patrzył na niego, a jego wzrok wyrażał ulgę i wielką radość.

– Nie powtórzę już tego błędu.

San Francisco, Kalifornia

18 grudnia, 19.45 czasu miejscowego

Dobrze chociaż, że nikogo tu nie ma.

Erin westchnęła z ulgą i usiadła wraz z Christianem i Jordanem w noszącym ślady burzliwego użytkowania małym boksie restauracji w dzielnicy Haight-Ashbury. Wysadzili Nate'a w kampusie w Stanford, a potem błyskawicznie zniknęli w anonimowej dżungli San Francisco i okrężną drogą dotarli do niewielkiego lokalu.

Erin wzięła kartę nie dlatego, że była głodna, po prostu musiała coś zrobić z rękami. Ciężki glock spoczywał w kaburze na kostce. Colta Jordana trzymała w głębokiej kieszeni zimowej bluzy. Ciężar obu pistoletów pomagał jej czuć grunt pod nogami.

Rozejrzała się po wnętrzu nędznej jadalni udekorowanym czarno-białymi obrazami czaszek i kwiatów. O bliskości świąt świadczyły jedynie postrzępione plastikowe poinsecje ustawione na stolikach.

Jordan ujął w lewą rękę jej prawą dłoń. Prezentował się dobrze nawet w niekorzystnym ostrym świetle. Na policzku miał smugę kurzu. Erin wzięła serwetkę i starła plamę; jej palce zatrzymały się tam chwilę dłużej.

Oczy mu pociemniały i uśmiechnął się do niej znacząco.

Christian, który siedział po przeciwnej stronie stolika, odchrząknął.

Sierżant wyprostował się, ale nie wypuścił dłoni Erin.

– Ładny lokal wybrałeś – powiedział, rzucając okiem na nierówno namalowane tęczę zdobiące tylną ścianę. – Byłeś hipisem w poprzednim życiu, czy tylko utknąłeś w latach sześćdziesiątych?

Erin ukryła uśmiech za kartą, widząc, że wszystkie dania są wegańskie. Jordan będzie zachwycony.

– Teraz jest tu o wiele ładniej niż w latach sześćdziesiątych – odparł Christian, ujawniając w ten sposób, że mieszkał kiedyś w tym mieście. – Wtedy ledwo się dało oddychać w chmurze dymu trawki i kadzidełek. Jedno tylko nie uległo

zmianie: władze jak ignorowały ten lokal, tak dalej go ignorują. Mogę się założyć o życie, że nie ma tu kamer bezpieczeństwa ani elektronicznych urządzeń monitorujących. Im mniej oczu cię szpieguje, tym lepiej.

Erin była zachwycona paranoidalną uwagą sangwinisty, zwłaszcza w kontekście niedawnego ataku monsturalnej pumy.

– Naprawdę tak się przejmujesz tym, że macie kreta w zakonie? – spytał Jordan.

– Ktoś wiedział, że Erin będzie na ranczu. Na razie będzie najlepiej, jeśli znikniemy z zasięgu radarów. Przynajmniej do czasu, gdy dotrzemy do Rzymu.

– Jestem za – odezwała się Erin. – Co miałeś na myśli, mówiąc, że tylko ja potrafię odnaleźć Rhuna?

W czasie jazdy do baru Christian nie chciał rozmawiać. Teraz rozejrzał się po sali, zanim odpowiedział:

– Usłyszałem od sierżanta Stone’a, że Rhun pożywił się tobą podczas bitwy w podziemiach Bazyliki Świętego Piotra. Czy to prawda?

Erin puściła dłoń Jordana i patrzyła na serwetkę, żeby sangwinista nie mógł widzieć wyrazu jej twarzy. Przypomniało jej się poczucie intymnej bliskości, które połączyło ją w tamtej chwili z Rhunem. Widziała ostre kły wbijające się w jej skórę, czuła ból graniczący z rozkoszą, kiedy jego usta parzyły jej skórę, a język wsuwał się do ran, by wysssać więcej krwi.

– Owszem – przyznała cichym głosem. – Ale musiał tak postąpić. Nie było innego sposobu, by schwytać wilkozora i Bathory Darabont. Gdyby nie nasze poczynania, Ewangelia Krwi by zaginęła.

Jordan otoczył ją ramieniem, ale ona je strząsnęła. W jego oczach przemknął wyraz zaskoczenia. Nie chciała go zranić, ale nie chciała także, by ktoś dotykał jej w tej chwili.

– Jestem tutaj nie po to, by osądzać Rhuna – oznajmił Christian. – To była sytuacja nadzwyczajna. Nie musisz mi tego wyjaśniać. Bardziej ciekawi mnie, co działo się z tobą później.

– To znaczy?

– Miałaś widzenia? Reakcje, których nie potrafisz wyjaśnić?

Zamknęła oczy i ogarnęło ją poczucie ulgi. A więc być może istnieje wytłumaczenie zaćmień, które jej się przydarzały.

Węc jednak nie oszalałam.

Christian dostrzegł jej reakcję.

– Miałaś wizje. Bogu dzięki.

– Może mi ktoś wytłumaczyć, o czym gadacie? – wtrącił się Jordan.

Erin przyszło na myśl, że powinna była powiedzieć mu o swoich zaćmieniach. Wolała jednak o nich nie myśleć, a tym bardziej się z nich zwierzać.

– Kiedy *strigo* pożywi się ofiarą, a ona przeżyje, co zdarza się rzadko, krew wytwarza między nimi więź – wyjaśnił Christian. – Trwa ona tak długo, aż *strigo* pożywi się ponownie i nowa fala krwi zmaże tę więź.

Jordan wyglądał, jakby naszły go mdłości.

W tej samej chwili zjawił się młody kelner z jasnymi dreadami, notesem w dłoni i długopisem za uchem. Zamówili czarną kawę i go odprawili.

Erin poczekała, aż chłopak odejdzie, i kontynuowała:

– To, czego doświadczałam, nie miało ani odrobiny sensu. Ciemność, kompletna czerń. Miałam wrażenie, i to bardzo intensywne, że uwięziono mnie w pułapce. Jakbym tkwiła w sarkofagu albo w trumnie.

– W takim jak ten w Masadzie? – spytał Jordan.

Ujęła go znów za rękę i poczuła miłe ciepło jego dłoni; przepraszała w ten sposób za to, że przed chwilą odtrąciła jego gest.

– Właśnie to przyszło mi do głowy. Myślałam, że to atak paniki. Zlekceważyłam te zdarzenia, zrzuciłam je na karb wspomnień chwili, kiedy utknęliśmy w starożytnej krypcie, ale pewne szczegóły tych wizji wydały mi się dziwne. Skrzynia była zimna i zdawało mi się, że leżę w kwasie, który przesiąkał przez ubranie i parzył skórę. A co jeszcze dziwniejsze, wszystko miało zapach wina.

– Wina? – powtórzył Christian i usiadł prosto.

Skinęła głową.

– Jeślibyś w czasie tych wizji łączyła się z Rhunem, dotyk konsekrowanego wina by cię parzył. – Christian mierzył ją ostrym spojrzeniem zielonych oczu. – Wiesz, gdzie ta skrzynia może się znajdować? Czy coś wtedy słyszałaś?

Erin powoli pokręciła głową. Usiłowała przywołać w pamięci więcej szczegółów, ale nadaremnie.

– Przykro mi.

Pamiętała jedynie ból i myśl, że to, co czuje, jest zaledwie nikłym odzwierciedleniem przeżyć Rhuna. Jak długo był tam uwięziony? Christian powiedział, że zaginął wkrótce po bitwie. Czyli przed dwoma miesiącami. Nie mogła go tak zostawić.

Uświadomiła sobie coś jeszcze i to ją zmroziło.

– Christianie, z każdą wizją czuję się słabsza, bardziej ociężała. Podczas ostatniej ledwo mogłam unieść rękę.

Wyraz twarzy sangwinisty potwierdził jej najgorsze obawy.

Mógł oznaczać, że Rhun umiera.

Christian wyciągnął rękę i pocieszającym gestem dotknął jej ramienia.

– Najlepiej udajmy się do Rzymu. Kardynał Bernard wie o tego rodzaju więziach więcej niż ja. We wczesnym okresie dziejów Kościoła zdarzały się częściej.

Mieli odlecieć samolotem czarterowym za dwie godziny.

– A co zrobimy, jeśli odnajdziemy Rhuna? – spytała.

Bała się, że znowu pójdzie w odstawkę, tak jak poprzednim razem.

– Wtedy wszyscy wyruszymy na poszukiwanie Pierwszego Anioła – odparł Christian.

Pierwszy Anioł.

Znała proroctwo dotyczące tej mitycznej postaci. Ujrzała w myślach słowa na pierwszej stronie Ewangelii Krwi, słowa zapisane przez Chrystusa, zawierające przepowiednię wojny oraz wskazówkę, jak jej zapobiec.

Zawisła groźba wielkiej Wojny w Niebiesiech. Aby siły dobra zatriumfowały, potrzeba oręcza z tej Ewangelii spisanej moją własną krwią. Troje zapowiedzianych w proroctwie zanieś księgę Pierwszemu Aniołowi, aby ją pobłogosławił. Tylko tak mogą przynieść zbawienie światu.

– Czas czekania minął – powiedział Christian. – Zwłaszcza teraz, po tym, jak ktoś chciał cię usunąć. To oznacza, że wiedzą, jaka jesteś cenna.

– Cenna? – powtórzyła z gorzką ironią.

– Proroctwo mówi, że triada musi zanieść księgę Pierwszemu Aniołowi. Rycerz Chrystusa, Mąż Wojownik i Uczona Niewiasta. Jordan i ty stanowicie ostatnią dwójkę. Rhun jest wymieniony na początku.

– Myślałam, że wiadomo już, że to nie ja jestem Uczoną Niewiastą. Jestem prawie pewna, że ją zabiłam.

Jordan ścisnął jej dłoń. W katakumbach pod Rzymem Erin zastrzeliła Bathory Darabont. Odebrała jej życie, a poza tym od dawna sądzono, że to właśnie z rodu Batorych ma pochodzić ta, która jest Uczoną Niewiastą. Pocisk wystrzelony przez Erin zakończył trwanie tego rodu, gdyż Bathory była ostatnią żyjącą potomkinią.

– Owszem, Darabont zginęła i to był kres tej przeklętej linii krwi – przyznał z westchnieniem Christian i wzruszył ramionami. – Wygląda więc na to, że ty jesteś najlepszą kandydatką, która pozostała, doktor Erin Granger. Po co nam dalsze zgadywanki?

Kelner przyniósł kawę i na chwilę zamilkli.

Kiedy odszedł, Jordan upił łyk i skrzywił się, bo była gorąca, po czym skinieniem głowy wskazał Christiana.

– On ma rację. Znajdźmy tego koleżkę anioła.

Łatwo było powiedzieć.

Nikt nie miał zielonego pojęcia, kim jest Pierwszy Anioł.

Ocean Arktyczny

19 grudnia, 6.32 czasu miejscowego

Tommy'ego Bolara bolały z zimna zęby. Dotąd nie zdawał sobie sprawy, że coś takiego jest możliwe. Stał przy relingu w mroku wczesnego arktycznego poranka; ostry wiatr smagał jego odsłonięte policzki. Biały lód ciągnął się aż po horyzont. Z tyłu pasmo pokruszonego niebieskiego lodu i czarnej wody znaczyło tor wędrówki lodołamacza przez zamarznąty krajobraz.

Tommy patrzył na to z rozpaczą. Nie miał pojęcia, gdzie jest.

Nie wiedział nawet, czym jest.

Wiedział tylko, że nie jest już tym samym czternastolatkiem, którego rodzice umarli w jego ramionach na szczycie ruin Masady; padli ofiarą trującego gazu, który jego uzdrowił. Spoglądał na kawałek odsłoniętej skóry między rękawicami ze skóry renifera i rękawami kurtki z supernowoczesnego materiału. Kiedyś od bladej nadgarstka odcinała się brązowa plama czerniaka, zwiastun nadchodzącej śmierci. Teraz jej nie było, a wraz z nią zniknął nowotwór. Nawet włosy, które padły ofiarą chemioterapii, zaczęły odrastać.

Został wyleczony.

Albo przeklęty, zaley jak na to patrzeć.

Żałował, że nie zginął z rodzicami na szczycie góry. Później porwano go ze szpitala wojskowego w Izraelu, od lekarzy pozbawionych oblicza, którzy usiłowali zrozumieć jego cudowne uzdrowienie. Ci, którzy go uprowadzili, mówili, że nie tylko przeżył tragedię w Masadzie i został wyleczony z nowotworu, ale że stało się coś więcej.

Że nigdy nie umrze.

A co gorsza, zaczął im wierzyć.

Po jego policzku spłynęła łza i zostawiła gorący ślad na zamarznętej skórze.

Otarł ją wierzchem rękawiczki i wzięła go złość, miał ochotę wrzeszczeć na bezkresne lodowe pustkowia – nie po to, by wzywać pomocy, lecz by się wyzwolić, zobaczyć znów matkę i ojca.

Dwa miesiące temu ktoś oszołomił go narkotykami i Tommy ocknął się tutaj, na olbrzymim lodołamaczu pośrodku zamrożonego oceanu. Statek był świeżo pomalowany, w większości na czarno, a budki stały na nim podobne do czerwonych klocków Lego. Jak dotąd naliczył około stu załogantów na pokładzie, zapamiętywał twarze, uczył się rozkładu zajęć.

Uciezka była na razie niemożliwa, lecz wiedza to potęga.

Był to jeden z powodów, dla których spędzał mnóstwo czasu w bibliotece; wertował nieliczne książki w języku angielskim, starał się jak najwięcej nauczyć.

Wszelkie pytania spotykały się z głuchym odzewem. Członkowie załogi posługiwali się rosyjskim i żaden nie chciał z nim rozmawiać. Tylko dwaj ludzie na pokładzie lodołamacza się do niego odzywali i budzili w nim lęk, choć bardzo starał się to ukryć.

Jakby wywołany myślami Tommy'ego, stanął obok niego Alosza. Przyniósł dwa rapiery i podał mu jeden. Rosjanin wyglądał na jego rówieśnika, lecz ta twarz kłamała, bo Alosza był o dziesiątki lat starszy. Na dowód tego, że nie jest człowiekiem, nosił szare flanelowe spodnie i nienagannie odprasowaną białą koszulę z rozpiętym kołnierzykiem, która odsłaniała blade gardło na działanie przenikliwie zimnego wiatru smagającego pusty zakątek skutego lodem pokładu. Prawdziwy człowiek zamarzłby w takim stroju na śmierć.

Tommy przyjął oręż. Wiedział, że jeśli dotknie ręki Aloszy, będzie ona zimna jak oblodzony reling.

Alosza był nieumierającym stworem zwanym *strigoï*.

Nieśmiertelnym tak jak Tommy, a zarazem całkowicie innym.

Jakiś czas po porwaniu Alosza przyłożył jego dłoń do swojej zimnej klatki piersiowej, zdradzając mu, że brak w nim bicia serca. Zademonstrował mu swoje zęby, psie kły, które mógł dowolnie chować i wysuwać. Największa jednak różnica między nimi polegała na tym, że Alosza żywił się ludzką krwią.

Tommy nie był do niego ani trochę podobny.

Nadal jadał zwykle pokarmy, jego serce biło i miał takie same zęby jak przedtem.

Kim więc jestem? – zastanawiał się.

Wydawało się, że nie wie tego nawet ten, kto go pojmał, czyli pan Aloszy. W każdym razie jak dotąd się tą wiedzą nie podzielili.

Alosza rąbnął Tommy'ego ręką rapiera.

– Masz uważać, co mówię. Musimy trenować.

Tommy podążył za nim na prowizoryczne miejsce do ćwiczeń na pokładzie i przyjął pozycję.

– Nie! – zganił go przeciwnik. – Szerzej nogi! I rapier wyżej, trzeba się osłaniać.

Alosza, który najwyraźniej nudził się na pokładzie ogromnej jednostki, uczył Tommy’ego manier rosyjskiego arystokraty. Oprócz lekcji szermierki dawał mu wykłady o jeździectwie, końskiej uprzęży i formacjach kawaleryjskich.

Tommy rozumiał jego obsesje, bo znał prawdziwe imię i nazwisko Aloszy: Aleksiej Nikołajewicz Romanow. W bibliotece znalazł książkę poświęconą historii Rosji i dowiedział się, kim jest ów „chłopak”. Przed stu laty był synem cara Mikołaja II, księciem Cesarstwa Rosyjskiego. W dzieciństwie cierpiał na hemofilię i autor tekstu twierdził, że tylko jeden człowiek potrafił uwolnić go od bolesnych ataków krwawienia wewnętrznego, ten sam, który został później jego panem i przemienił księcia w potwora.

Tommy wyobrażał sobie postać z gęstą brodą i ciemną twarzą, kryjącą się gdzieś na statku niczym czarny pająk w sieci. U zarania dwudziestego wieku zasłynął jako szalony mnich, lecz naprawdę nazywał się Grigorij Jefimowicz Rasputin. W pracach historycznych opisano szczegółowo, w jaki sposób wszedł w zażyłość z Romanowami i stał się nieocenionym doradcą cara. W innych fragmentach jednak znalazły się informacje o jego wynaturzeniach seksualnych i intrygach politycznych, które ostatecznie doprowadziły do tego, że grupa arystokratów zorganizowała na niego zamach.

Mnicha otruto, postrzelono w głowę i okładano pałąką, a następnie wrzucono do zamarznętej rzeki, on zaś wypłynął na wierzch i prychnął wodą, ale wciąż żył. Autor książki napisał, że ostatecznie pochłonęła go rzeka, lecz Tommy znał prawdę.

Niełatwo jest uśmiercić potwora.

Podobnie bowiem jak młodociany książę, Rasputin należał do gatunku *strigoi*.

Alosza skoczył z szybkością kobry, zamarkował atak w prawo, a potem śmignął w lewo tak szybko, że ledwo go było widać. Koniuszek rapiera trafił w środek klatki piersiowej Tommy’ego, przebił materiał kurtki i skaleczył skórę. Nie walczyli bronią treningową ze stępionymi klingami. Tommy miał świadomość, że Alosza, gdyby tylko chciał, mógł nadziać na nią jego serce.

To by go jednak nie zabiło.

Zabolałoby, musiałyby poleżeć w łóżku dzień lub dwa, ale by wyzdrowiał. Na szczycie góry Masady spadło na niego przekleństwo życia bez śmierci.

Alosza uśmiechnął się i cofnął, a potem machnął triumfalnie rapierem. Zbliżony wzrostem do Tommy'ego, miał umięśnione ręce i nogi; był o wiele silniejszy i szybszy.

Kłątwa Tommy'ego nie przysporzyła mu siły ani żwawości. Mimo to starał się jak mógł parować następne sztychy. Tańczyli w przód i w tył i wkrótce poczuł się wyczerpany; zimno wysysało z niego energię.

Zrobili sobie przerwę na odpoczynek i nagle uwagę Tommy'ego zwrócił głośny trzask za relingiem sterburty. Pokład się przechylił. Dziób statku lekko się unióśł, a potem zwalił swoją masą na grubą pokrywę lodu. Gigantyczne silniki mozolnie, pomału pchały go naprzód przez wody Morza Arktycznego.

Tommy patrzył na wielkie płyty lodu spychane na boki wzdłuż kadłuba i zachodził w głowę, co by się stało, gdyby wyskoczył.

Zginąłbym czy nie?

Lęk powstrzymał go przed podjęciem próby. Może i nie udało by mu się umrzeć, ale by cierpiał. Poczekaj na lepszą okazję.

Alosza dał susa i zdzielił go klingą w policzek.

Pieczenie przypomniało mu, że życie to ból.

– Dosyć! – zawołał Alosza. – Czujność, przyjacielu!

Przyjacielu...

Tommy powinien się oburzyć, lecz zmilczał. Był świadom, że młody książę czuje się na swój sposób samotny, że towarzystwo drugiego chłopaka, nawet jeśli przymusowe, sprawia mu frajdę.

Jednakże Tommy nie dał się nabrać, bo Alosza nie był chłopcem. Przyjął ponownie szermierczą postawę defensywną. W tej chwili nie miał wyboru. Na razie musiał się uczyć i dbać o sprawność, czekając na właściwą chwilę.

Aż nadarzy się szansa ucieczki.

Rzym, Włochy

19 grudnia, 7.13 czasu miejscowego

Myśliwy zamienił się w zwierzynę.

Elżbieta wyczuła, że wataha śledzi ją w wąskich uliczkach i zaułkach, że jest coraz liczniejsza. Na razie trzymali się z tyłu, być może chcieli jeszcze wzmocnić swoje szeregi. To nie byli bandyci o ludzkiej naturze, łotry czy złodzieje liczący, że samotna kobieta na ulicy przed świtem łatwo padnie ich łupem. Byli to *strigoi*, tacy jak ona.

Czyżby naruszyła ich tereny łowieckie? Złamała etykietę żerowania? Wiek, w którym się znalazła, usiany był pułapkami.

Zerknęła ku wschodowi, czując, że nadchodzi brzask zimowego dnia. Przeniknął ją strach. Chciała powrócić do swojej kryjówki, uciec przed palącym słońcem, ale nie odważyła się wskazać stada drogi do domu.

Groźny wschód słońca zbliżał się, a ona stąpała dalej wąską uliczką, tuż obok chłodnego muru, po starożytnych kocich łbach.

Godziny przed świtem stały się jej ulubionym czasem w tym nowoczesnym mieście. O tak wczesnej porze warczące automobile prawie milkły, a ich ziew nie paskudził powietrza. Uważnie przyglądała się mężczyznom i kobietom nocy, widziała, że pod wieloma względami niewiele się zmieniło od jej epoki; bez trudu rozpoznawała ulicznice, hazardzistów i złodziei.

Dobrze rozumiała noc i dotąd zdawało jej się, że sama jedna nad nią panuje.

Aż do dzisiejszego ranka.

Kątem oka dostrzegała przesuwające się duchy postaci. Było ich kilkanaście, ale ile dokładnie, tego nie wiedziała. Nie mogła policzyć pulsów ani oddechów, bo ich nie mieli, więc pozna dokładnie ich liczbę, kiedy ją otoczą.

Czyli już wkrótce.

Bestie okrążały ją coraz ciasniej.

Wydawało im się, że ich nie zauważa, a ona pozwalała im tak myśleć. W przeszłości częstokroć zwodziła przeciwników i w ten sposób się ratowała.

Prowadziła ich dalej, żeby stoczyć bitwę w miejscu, które sama wybierze.

Z obawy, że zaatakują wcześniej, przyspieszyła kroku, ale tylko trochę, by się nie zorientowali, że wykryła ich obecność.

Potrzebna jej była otwarta przestrzeń. W wąskich alejkach watasze łatwo byłoby spaść na nią z wielu stron i przytłoczyć liczebnością.

Kroki zaniósły ją wreszcie do Panteonu na Piazza della Rotonda. Plac stanowił najbliższą połąć niezabudowanego terenu. Perłowoszare światło niedalekiego już świtu rozjaśniało cienie na zaokrąglonej kopule Panteonu. Otwarty oculus na wierzchołku, ślepy w półmroku, wyczekiwał nowego dnia.

Nie tak jak Elżbieta. Nie tak jak tamci.

Panteon stanowił niegdyś siedzibę wielu bogów, teraz jednak pełnił funkcję katolickiego kościoła przeznaczonego tylko dla jednego boga. Ominęła sanktuarium. Naznaczone świętością wnętrze osłabiłoby ją, podobnie jak tych, którzy ją ścigali, lecz hrabina odrodziła się z nowymi siłami i nie chciała się ich wyrzekać.

Trzymała się otwartego placu przed budowlą.

Z jednej strony rząd pustych budek czekał na świt, wtedy miejsce to przekształci się w tętniące bożonarodzeniowe targowisko. Święteczne złote światła zostały zgaszone, duże białe parasole przyprószone szadzią osłaniały puste stoły. Restauracje nieopodal stały nieoświetlone, z pozamykanymi drzwiami i oknami, goście dawno już spoczywali w łóżkach.

Skrajem placu przemyczały cienie.

Wiedząc, że kończy jej się czas, hrabina ruszyła szybkim krokiem ku fontannie. Oparła dłonie na szarym kamieniu. Wyrzeźbiona ryba pluła wodą do sadzawki. Pośrodku strzelał w górę gładki obelisk. Czerwony granit wydobyto pod bezlitosnym egipskim niebem, a zdobywcy przywieźli go w to miejsce. Na czterech ścianach widniały hieroglify i sięgały aż do stożkowatego czubka: księżyce, ptaki, siedzący mąż. Bełkotliwy starożytny język napisów był jej równie obcy jak zgiełk współczesnego świata. Jednakże wizerunki wyryte przez dawno zmarłych kamieniarzy być może uratują ją tej nocy.

Jej wzrok powędrował ku wierzchołkowi, na którym Kościół kazał umieścić krzyż, by zawłaszczyć moc starożytnych bogów.

Hrabina usłyszała skrzywienie skórzanych butów, szmer tkaniny ocierającej się o tkaninę, cichy szelest włosów opadających na czoła.

Wataha się zbliżyła.

Zanim zdążyła jej dopaść, Elżbieta pokonała skokiem krawędź sadzawki i przywarła do obelisku niczym kot. Mocne palce znalazły oparcie w zagłębieniach starożytnych żłobień: w palmie, księżycu, piórze i sokole. Wdrapała się wyżej, lecz obelisk się zwęzał i wspinaczka stała się trudniejsza. Strach pchał ją na sam szczyt.

Tam, przygotowawszy się na parzący ból, uchwyciła się jedną ręką krzyża. Spojrzała w dół.

Cienie falowały u stóp obelisku niczym mrówki, odrażające postacie zakryły każdy centymetr kwadratowy granitu. Ich ubrania były w strzępach, kończyny kościste, czupryny pozlepiane i brudne. Jedna bestia ześlizgnęła się i z pluskiem wpadła do wody, lecz jej miejsce zajęły inne.

Elżbieta odwróciła głowę i spojrzała na najbliższy budynek po drugiej stronie placu. Zebrała całą swoją siłę, otuliła się nią niczym płaszczem.

A potem skoczyła.

7.18

Głęboko pod posadzką Bazyliki Świętego Piotra Rhun pełził na czworakach ciemnym tunelem; jego głowa znajdowała się tak nisko, że co jakiś czas zawadzał nosem o kamienne podłoże.

Mimo to szeptał dziękczynną modlitwę.

Erin była bezpieczna.

Poczucie bezpośredniego zagrożenia, które wypędziło go z pułapki wypełnionej agonią, zelżało. Tylko siła woli kazała mu unosić raz za razem skrwawione ręce i szurać pozdzieranymi kolanami. Przemierzał korytarz, szukając światła.

Oparł się ramieniem o kamienną ścianę i chwilę odpoczął. Dotknął szyi, w której jeszcze nie tak dawno ziała rana, teraz już zagojona. Elisabeta odebrała mu wiele krwi. Z rozmysłem zostawiła go bezradnego, lecz żywego.

Po to, by cierpieć.

Z zadawania bólu uczyniła nowy rodzaj sztuki. Wyobrażał sobie twarze rzeszy dziewcząt, które poniosły śmierć wskutek jej eksperymentów. Ciemne wcielenie jego Elisabety o promiennym obliczu nauczyło się rzeźbić ból tak, jak inni rzeźbili w marmurze. Cierpienia wszystkich jej ofiar obciążały jego sumienie.

Ile ich jeszcze przybędzie, skoro Elisabeta kontynuuje swoje obłąkańcze polowanie na ulicach Rzymu?

Spoczywając w grobowcu, uchwycił jej szept rozkoszy, uniesienia towarzyszącego zaspokajaniu głodu. Wysączyła z niego krew i uniosła ją w sobie, zadzierzgując między nimi więź.

Wiedział, że stworzyła ją celowo.

Pragnęła włóczyć go ze sobą w trakcie swoich łowów, żeby chcąc nie chcąc, był świadkiem jej deprawacji i mordów. Na szczęście, kiedy się pożywiała, nowa krew wymywała starą i osłabiała połączenie. Do Rhuna docierały jedynie jej najsilniejsze emocje.

Niejako pod wpływem tych myśli poczuł, że pole widzenia zawęży mu strach – nie jego własny, lecz czyjś. Nić była już wątła i mógł jej się przeciwstawić, lecz w ten sposób jeszcze bardziej wyczerpałby swoje nadwężone rezerwy.

Pozwolił się więc unieść.

Żeby zachować siłę, ale nie tylko w tym celu.

Gdzie jesteś, Elisabeto?

Zamierzał wykorzystać osłabioną więź do tego, by gdy tylko dotrze do światła, odnaleźć Elisabetę i ukrocić jej krwawe rajdy. Tymczasem z chęcią pogrążył się w łączącym ich mroku.

Wznosiła się ku niemu fala czarnych bestii. Błyskały białe kły, drapieżne, złaknione krwi. Oderwał się od nich susem i frunął w powietrzu.

Pojaśniałe niebo na wschodzie zapowiadało brzask nowego dnia.

Musi do tego czasu znaleźć kryjówkę, odgrodzić się od palącego słońca.

Wylądował na dachu. Terakotowe dachówki pękły pod jego butami i dłońmi. Ich odłamki zsunęły się z krawędzi i roztrzaskały o szare kamienie placu.

Pewnymi krokami przebiegł po powierzchni dachu. Jeden z drapieźców podjął próbę skoku i z nieprzyjemnym odgłosem spadł na ziemię.

Spróbowali i inni.

Wielu poleciało w dół, ale niektórym się powiodło.

Dobiegł do przeciwnego krańca dachu i przeskoczył na następny. Chłodne nocne powietrze owiewało mu policzki. Gdyby zapomniał o prześladowcach, mógłby się napawać urodą pędu po dachach Rzymu.

Nie mógł jednak o nich zapomnieć, toteż mknął dalej.

Na zachód, stale na zachód.

Rhun powrócił do własnej skóry i osunął się na dno tunelu. Dźwignął się na ręce i kolana, wiedząc że to za mało. Sięgnął do resztek sił i stanął na nogi. Zaczął brnąć, opierając się jedną ręką o ścianę.

Musi ostrzec innych.

Elisabeta wiodła watahę *strigoi* prosto do Watykanu.

7.32

Nie oszczędzała się, pędząc przez dachy w kierunku zachodnim, pierzchając przed wschodzącym słońcem i rozwścieczoną hordą potworów. Zaskoczyła ich, wdrapując się na szczyt obelisku, i w ten sposób zyskała cenne sekundy.

Jeśli jej dopadną, zginie.

Przeskakiwała z dachu na dach, krusząc dachówki i gnąc rynny. Nigdy tak nie pędziła przed siebie ani w naturalnym, ani w nie naturalnym życiu. Wydawało się, że stulecia spędzone w ciasnym sarkofagu zwielokrotniły jej siłę i chyżość.

Czuła dreszcz uniesienia, który tłumił lęk.

Rozłożyła ręce na boki niczym skrzydła, by radować się pieśczętą wiatru. Jeśli przeżyje, musi to powtarzać noc w noc. Poczwała, że góruje wiekiem nad tymi, którzy ją ścigają, i że jest szybsza; nie na tyle, by całkowicie ich zgubić, lecz może zdoła dotrzeć przed nimi do celu.

Jeszcze jeden sus i wylądowała twardo na następnym dachu, płosząc stado gołębi. Ptaki wzbiły się w powietrze wokół niej; ich pióra otoczyły ją chmurą i oslepiły. Na chwilę straciła orientację i jej but uwiązł między rzędami dachówek. Musiała przystanąć, żeby go wyciągnąć, i rozdarła skórę.

Obejrzała się i zobaczyła, że utraciła przewagę.

Wataha była tuż-tuż, deptała jej po piętach.

Elżbieta znów rzuciła się do ucieczki, ból szarpał jej nogę od kostki w górę. Kończyna nie mogła udźwignąć obciążenia. Elżbieta klęła jej słabość, bardziej podskakując na jednej nodze niż biegnąc. Lądowała na tej słabszej, by ukarać ją za to, że sprawiła zawód.

Nieboskłon na wschodzie powlókł się jasną szarością gołębich skrzydeł.

Jeśli nie dopadną jej *strigoi*, załatwi to za nie słońce.

Zerwała się znów do biegu. Nie podda się i nie wyda na pastwę prześladowców. Nie byli godni, by zakończyć jej życie.

Skupiła uwagę na celu.

Zaledwie kilka ulic dzieliło ją od murów Watykanu.

Sangwiniści nigdy nie pozwolą, by wataha *strigoi* wtargnęła do ich świętego miasta. Wykoszą ich jak kępę chwastów. Ona zaś mknęła na spotkanie tej samej śmierci z jedną jedyną nadzieją bijącą w sercu.

Znała tajemnicę, która otaczała miejsce ukrycia Rhuna.

Czy to wystarczy, by wstrzymali miecze, nim zetną jej szyję?

Tego Elżbieta nie wiedziała.

Watykan

19 grudnia, 7.34 czasu miejscowego

– Pomocy! – zawołał ktoś na korytarzu.

Kardynał, słysząc w tym głosie lęk i ponaglenie, wstał z krzesła przy biurku i pokonał odległość dzielącą go od drzwi w chwilę trwającą tyle co jedno uderzenie serca. Nie zaprzętał sobie głowy tym, że widzi go ojciec Ambrose. Ksiądz znał utajoną naturę kardynała, a mimo to zatoczył się do tyłu z wyrazem zaszokowania na twarzy.

Bernard nie zwrócił na to uwagi i szarpnięciem otworzył drzwi, omal nie wyrwywając ich z zawiasów.

W progu stał brat Leopold, niemiecki mnich o młodzieńczej aparycji, niedawno przybyły z opactwa Ettal. Towarzyszył mu drobny nowicjusz imieniem Mario. Nieśli razem bezwładne ciało jakiegoś księdza, którego głowa zwisała.

– Znalazłem go ślaniającego się na nogach, wyszedł z niższych tuneli – oznajmił Mario.

Od ciała wionęła woń zastarzałego wina i wypełniła pomieszczenie, gdy Leopold i Mario weszli do środka. Z rękawów habitu sterczały białe jak wosk nadgarstki. Przez skórę niemal widać było kości.

Mnich długo głodował i wiele się nacierpiał.

Bernard uniósł jego brodę i zobaczył twarz, którą znał równie dobrze jak swoją: wydatne słowiańskie kości policzkowe, brodę z głębokim przedziałkiem i wysokie gładkie czoło.

– Rhun?

Był wstrząśnięty i targały nim fale sprzecznych emocji, które towarzyszyły widokowi zmaltretowanego ciała przyjaciela: gniew na tego, kto zadał mu cierpienie, lęk, że może być za późno na ratunek, oraz wielka ulga. Rhun wrócił i było oczywiste, że nie mógł zamordować dziewcząt na ulicach Rzymu i wysączyć z nich krew. Z pewnością nie w tym stanie.

Nie wszystko jeszcze było stracone.

Udręczone oczy otworzyły się i poruszyły.

– Rhunie? – odezwał się błagalnie kardynał. – Kto ci to zrobił?

Rhun zmusił splekane usta, by wypowiedziały słowa:

– Ona nadchodzi. Zbliża się do Świętego Miasta.

– Kto nadchodzi?

– Prowadzi ich do nas – wyszeptał Rhun. – Wielu *strigoj*. Idą tu.

Przekazawszy wiadomość, sangwinista stracił przytomność.

Leopold wsunął rękę pod jego kolana i unióś go jak dziecko. Bernard nic teraz z Rhuna nie wydobydzie. Trzeba będzie czegoś mocniejszego niż wino, by podźwignąć go z tej zapaści.

– Zanieś go na kanapę – powiedział. – Zostaw go ze mną.

Niemiecki mnich spełnił polecenie i ułożył Rhuna na małej kanapie.

Bernard odwrócił się do Maria, który gapił się na niego szeroko rozwartymi niebieskimi oczami. Był nowicjuszem i nie widział jeszcze niczego podobnego.

– Idź z bratem Leopoldem i ojcem Ambrosem. Włączcie alarm i ruszajcie do bramy.

Gdy tylko ci trzech wyszli, kardynał otworzył niewielką lodówkę pod biurkiem. Była zaopatrzona w trunki dla gości o ludzkiej naturze, których podejmował, lecz nie one w tej chwili były mu potrzebne. Sięgnął za butelki do szklanej flaszki zatkanej korkiem. Jej zawartość uzupełniał każdego dnia. Trzymanie takiej pokusy na podorędziu było zakazane, lecz Bernard był zwolennikiem szkoły obowiązującej w dawnych czasach, kiedy to konieczność łagodziła ciężar grzechu.

Podszedł z flaszką do przyjaciela i ją odkorkował. Wzbiła się z niej oszałamiająca woń, która sprawiła, że nawet Rhun się poruszył.

Dobrze.

Bernard odchylił jego głowę, otworzył mu usta i wlał krew do gardła.

...

Rhun wzdrygnął się z rozkoszy i poddał się mocy szkarłatu, która popłynęła w jego czarnych żyłach. Wezbrał w nim bunt, kiedy rozpoznał smak grzechu na języku. Jednakże wspomnienia zlały się ze sobą: jego wargi na jedwabistym gardle, skóra ustępująca pod jego ostrymi kłami. Krew i rojenia porwały ze sobą ból. Jęczał, unosząc się na falach ekstazy wibrującej w każdej cząstce jego istoty.

Ciało, od dawna pozbawione tej przyjemności, nie pozwoliło jej sobie odebrać.

Uniesienie stopniowo jednak odpłynęło i pozostawiło po sobie pustkę, studnię mrocznego pragnienia. Rhun łapał oddech, żeby coś powiedzieć, lecz zanim zdążył, pochłonęła go ciemność. Ogarniała go, a on modlił się, żeby jego przesiąknięte grzechem ciało zniosło karę, która miała nadejść.

Kroczy przez warzywnik klasztoru, zmierza na poranne modlitwy. Zatrzymuje się i pozwala, by wiosenne słońce ogrzało mu twarz. Przesuwa dłońią po fioletowych kwiatach lawendy rosnącej wzdłuż żwirowej ścieżki, subtelny zapach snuje się w ślad za nim. Rhun unosi pokryte pyłem palce do twarzy i syci się aromatem.

Uśmiecha się na wspomnienie domu.

W ich rodzinnej chacie siostra często łajała go za to, że bawił się w przykuchennym ogródku, i parskala śmiechem, kiedy próbował się usprawiedliwiać. Uwielbiała mu dogryzać, ale zawsze osiągała tyle, że na jego twarzy pojawiał się uśmiech. Może zobaczy ją w niedzielę, w pełnym okrągłym brzuchu nosiła teraz swoje pierwsze dziecko.

Żółta wielka pszczoła przeleciała nad jasnofioletowym kwieciem, inna usiadła na tej samej łodydze. Łodyga ugięła się pod ich ciężarem i zakotłosała w lekkim podmuchu wiatru, lecz pszczoły nic sobie z tego nie robiły. Pracowały pilnie, pewne swojego miejsca w boskim planie rzeczy.

Pierwsza pszczoła oderwała się od kwiatu i popłynęła nad uprawą lawendy.

Rhun wiedział, dokąd się kieruje.

Podążając jej meandrycznym śladem, dotarł do omszałej ściany na tyłach ogrodu. Pszczoła zniknęła w okrągłym otworze jednego ze złotożółtych stożkowatych uli zwanych kosz kami, ustawionych na szczycie kamiennego muru.

Sam zbudował koszkę pod koniec minionego lata. Bardzo lubił tę prostą pracę polegającą na splataniu słomy w powrósta, a następnie w spiralę, które później układało się w stożkowate ule. Odnajdował w niej spokój i dobrze mu wychodziła.

Brat Thomas także zwrócił na to uwagę.

– Twoje zręczne palce są stworzone do takiej roboty.

Zamknął oczy i odetchnął aromatyczną wonią miodu. Otoczyło go dźwięczne brzęczenie pszczoł. Miał pracę do wykonania i powinien się nią zająć, ale stał tam długą chwilę zadowolony.

Rhun ocknął się i uśmiechnął. Zapomniał o tamtej chwili. Okruch innego życia sprzed stuleci, z czasów, gdy jeszcze nie został przemieniony w strigoi i nie utracił duszy.

Wciągnął ponownie do nosa słodki zapach miodu ze szczyptą lawendy. Pamiętał ciepły dotyk słońca na skórze, kiedy jego blask nie mieszał się jeszcze z bólem. Przede wszystkim jednak myślał o roześmianej siostrze.

Odezwała się w nim bolesna tęsknota za prostym życiem i uprzytomnił sobie, że nigdy go już nie zazna.

Wraz z tą bolesną myślą pojawiła się następna.

Otworzył nagle oczy i poczuł smak krwi na języku.

– To, co zrobiłeś... to grzech.

Kardynał poklepał go po dłoni.

– Mój grzech, nie twój. Chętnie wezmę go na swoje sumienie, żeby mieć cię przy boku w czasie batalii, która nadchodzi.

Rhun leżał spokojnie, zmagając się ze słowami Bernarda; chciał w nie uwierzyć, a mimo to miał świadomość, że czyn był zły. Usiadł, czując nową siłę w mięśniach i kościach. Większość ran już się zasklepiła. Wciągnął powietrze, żeby uspokoić buntownicze myśli.

Bernard wysunął rękę ze znajomą zakrzywioną klingą z przyciemnionego srebra.

Był to karambit Rhuna.

– Jeśli czujesz się lepiej, możesz się do nas przyłączyć – powiedział kardynał. – Dokonamy zemsty na tych, którzy tak brutalnie cię potraktowali. Wspomniałeś o jakiejś kobiecie.

Rhun wziął nóż z jego dłoni. Unikał badawczego spojrzenia Bernarda, za bardzo się wstydził, by wymienić teraz jej imię. Dotknął palcem ostrej krawędzi noża.

Elisabeta mu go ukradła.

W jaki sposób trafił do Bernarda?

Przenikliwy dźwięk dzwonu przerwał tok myśli Rhuna.

Pytania będą musiały poczekać.

Kardynał w mgnieniu oka pokonał odległość od ściany i zdjął z niej swój starożytny miecz. Rhun wstał i zdziwił się, że jego ciało zrobiło się tak lekkie po wypiciu krwi. Zdawało mu się, że może latać. Zaciśnął mocniej dłoń na orężu.

Skinął kardynałowi głowę, potwierdzając gotowość do walki. Ruszyli biegiem. Przepłynęli lśnącymi drewnianymi korytarzami apartamentów papieskich, przez olbrzymie drzwi wejściowe i znaleźli się na placu.

By uniknąć spojrzeń garstki osób spacerujących po otwartym terenie, przemknęli w cień kolumnady Berniniego okalającej plac. Masywne toskańskie kolumny ustawione po cztery w rzędzie powinny osłonić ich nadnaturalnie szybkie przemieszczanie się. Kardynał dołączył do gromady sangwinistów, którzy czekali na niego ukryci w półmroku. Całą grupą pospieszyli w kierunku bramy Świętego Miasta.

Kiedy znaleźli się obok wysokiego do pasa parkanu oddzielającego państwo Watykan od reszty miasta, Rhun skierował wzrok na najbliższe dachy. Pamiętał wizję, którą dzielił z Elisabetą – przeskakiwała w niej z dachu na dach.

Wściekle wycie klaksonu samochodowego sprawiło, że spojrzał w dół na kocie łby, którymi pokryta była ulica prowadząca do placu.

W odległości pięćdziesięciu kroków jakaś drobna kobieca postać uciekała środkiem Via della Conciliazione, utykając na jedną nogę. Mimo że miała krótsze włosy, bez trudu rozpoznał Elisabetę. Biały samochód skręcił raptownie w bok, żeby jej nie przejechać.

Skupiona na tym, by dotrzeć do placu Świętego Piotra, nie zwróciła na niego uwagi,

Goniło ją, biegnąc i podskakując, kilkunastu *strigoi*.

Rhun chciał od razu do niej popędzić spod kolumnady, lecz Bernard położył dłoń na jego rękę.

– Zostań – powiedział, jakby czytając w jego myślach. – Na ulicach i w domach są ludzie. Zobaczą bitwę i dowiedzą się. Musimy chronić tajemnic tysięcy lat. Niech walka odbędzie się tu, gdzie jesteśmy.

Rhun dostrzegł ból w grymasie zaciśniętych ust Elisabety; widział pełne lęku spojrzenia, które za siebie rzucała. Przypomniał sobie ten strach – odczuł go, gdy patrzył jej oczami.

Ona nie wiedzie watahy, ona się przed nią ratuje.

Mimo tego, co zrobiła jemu i niewinnym mieszkańcom miasta, zapłonęło w nim pragnienie, by jej pomóc. Bernard mocniej zacisnął palce na jego ramieniu, jakby wyczuł, że Rhun się nachyla, gotów rzucić się kobiecie na ratunek.

Elisabeta dobiegła do końca ulicy. Ścigający ją *strigoi* prawie siedzieli jej na karku. Nie zwalniając, przeskoczyła niski parkan wyznaczający granice Watykanu i wylądowała w półprzysiadzie, twarzą do warczącej watahy.

Wyszczrzyła szyderczo kły.

– Chodźcie, kto odważny! – rzuciła drwiąco.

Wataha zatrzymała się raptownie za ogrodzeniem. Ten i ów zbliżył się o krok i zaraz cofnął, wyczuwając obezwładniającą świętość ziemi po drugiej stronie. Chcieli dopaść Elisabetę, ale czy osmieleją się wkroczyć w tym celu do Watykanu?

Święta ziemia nie była jedynym, czego powinni się lękać.

Nieruchomo jak posągi stali między kolumnami sangwiniści, cały ich oddział z Rhunem i Bernardem w środku. Jeśli *strigoj* wtargną na teren Watykanu, zostaną wciągnięci w cień lasu kamiennych kolumn i posiekani na kawałki.

Elisabeta odeszła od ogrodzenia, lecz za mocno stąpnęła zranioną nogą i kostka nie wytrzymała. Kobieta osunęła się na chodnik.

Oznaka słabości była dla *strigoj* pokusą nie do odparcia. Wataha runęła na nią niczym stado lwów na ranną gazelę.

Rhun uwolnił rękę z uścisku kardynała i rzucił się pędem. Mknął ku Elisabecie, posłuszny instynktowi tak samo, jak byli mu posłuszni *strigoj*. Dopadł do niej jednocześnie z przewodnikiem stada z granatowo-czarnym tatuażem – muskularnym olbrzymem, który przesadził ogrodzenie i wylądował obok hrabiny, obnażając kły.

Inni poszli za jego przykładem i także przeskakiwali parkan.

Rhun chwycił Elisabetę za rękę i wlokąc ją, skierował się ku kolumnadzie. Liczył, że zwabi watahę do kamiennego lasu.

Przewodnik warknął rozkazująco i jakaś nadgorliwa bestia rzuciła się w pościg.

Sangwinista jedną ręką cisnął Elisabetę między kolumny niczym szmacianą lalkę. Prawie jednocześnie błysnęła klinga karambitu i przecięła powietrze, a potem mięso. Młodociany piekielnik runął na plecy, ściskając ręką rozplątane gardło, z którego wyciekała krew wraz z powietrzem.

Pozostali *strigoj* rzucili się w pogoń za wycofującym się Rhunem. Na skraju kolumnady czekał na nich Bernard z resztą braci sangwinistów.

Pod kolumnami rozgorzała krótka bitwa. Jednakże wataha była zaskoczona i osłabiona oddziaływaniem świętej ziemi, więc bitwa zamieniła się w rzeź. Kilku uciekło, przeskakując ogrodzenie i rozpieńczając się po ulicach jak robactwo. Umykali przed konfrontacją z sangwinistami oraz przed słońcem.

Rhun znalazł się naprzeciwko olbrzymiego herszta. Na obnażonej klatce piersiowej miał on wytatuowany obraz Hieronima Boscha, piekielny pejzaż śmierci i potępienia. Rysunek ożył, gdy poruszyły się mięśnie i *strigoj* uniósł miecz.

Oręż sangwinisty wydał się żałośnie mały w porównaniu z długą stalową klingą.

Świadomość tego zapaliła w ślepiach potwora zjadliwy błysk. Rzucił się skokiem na Rhuna, tnąc w dół, żeby rozplatać mu głowę.

Świętość miejsca spowolniła jednak ten atak i dała sangwiniście czas na zrobienie uniku. Skierował ku górze wygięte ostrze karambitu i wbił je w brzuch napastnika. Następnie przeciągnął je, tnąc na pół groteskowe malowidło na tułowi, i odkopnął truchło na bok.

Wypatroszony korpus potoczył się ku krawędzi kolumnady, jedno ramię wysunęło się poza obręb cienia i padło na nie światło słońca. Ręka stanęła w płomieniach. Inny sangwinista pomógł Rhunowi wciągnąć ścierwo w cień i ugasić ogień, zanim niepotrzebnie przykuje czyjąś uwagę.

Kilka twarzy skierowało się w tamtą stronę, lecz większość ludzi na placu nie zwróciła uwagi na błyskawiczny i śmiertelny bój toczący się pod osłoną kolumn. Rhun spoglądał na blask padający na powierzchnię placu i targnęła nim trwoga.

Elisabeta...

Odwrócił się i zobaczył Bernarda, który pochylał się nad skuloną postacią leżącą twarzą do ziemi. Elisabeta musiała poczuć parzący blask świtu nowego dnia. Bezpieczeństwo mógł jej teraz zapewnić jedynie cień kolumnady. Pozostanie poza nim oznaczało dla niej śmierć.

Kardynał chwycił ją za ramię i był gotowy rzucić ją na plac, by zmierzyła się z osądem światła. Sangwiniści, cuchnący winem i kadzidłem, otoczyli Bernarda. Żaden go nie powstrzyma, jeśli ten postanowi ją uśmiercić. Doprowadziła przeciw watahę *strigoj* do bramy najświętszego miasta Europy.

Bernard wsunął dłoń w krótkie włosy Elisabety, szarpnął jej głowę do tyłu i oparł klingę miecza na miękkim białym podgardlu.

– Nie! – ryknął Rhun i rozpychając towarzyszy, rzucił się ku niemu.

Ale to nie jego krzyk zatrzymał rękę kardynała.

7.52

Bernarda powstrzymał szok połączony z niedowierzaniem.

Spoglądał na oblicze kobiety, jakby ujrzał ducha.

To nie może być ona.

Uznał to za grę światła i cienia, za rojenia umysłu na widok *strigoi* nieprawdopodobnie podobnego do pewnej osoby. Mimo to rozpoznawał te srebrne oczy i kruczoczarne włosy, nawet wyraz twarzy, która z oburzeniem, wręcz wyniośle, patrzyła na ostrze oparte na jej miękkim gardle. Jakby rzucała mu wyzwanie, by odebrał jej życie.

Hrabina Elżbieta Batory z Ecsed.

Przecież ona zginęła przed wiekami, Bernard widział ją uwięzioną w zamku. Odwiedził ją tam nawet kiedyś; ulitował się nad światłą arystokratką splugawioną za sprawą niskich żądz Rhuna.

Kardynał ponosił jednak nie mniejszą winę za tę zbrodnię. Setki lat temu pchnął tę kobietę na drogę okrucieństwa, kiedy zestawił ją z Rhunem po to, by świadomie wymóc ziszczenie się boskiego proroctwa. Później błagał, żeby to on odebrał jej życie; chciał oszczędzić Rhunowi takiego uczynku. Wiedział, jak bardzo, jak głęboko Rhun ją umiłował. Papież zadecydował jednak, że będzie to część pokuty Rhuna, który miał zakończyć jej nienaturalne życie, ukatrupić potwora, którego sam stworzył.

Bernard martwił się po powrocie Rhuna, który twierdził, że czyn został dokonany, że Elżbieta zesła z tego świata. Kardynał odebrał to jako deklarację, że hrabina nie żyje, a nie że została złożona jak lalka w szufladzie. Później Rhun wypełnił dodatkową pokutę, głodził się latami, umartwiał przez dziesiątki lat i odciął się od świata śmiertelnych.

Ale najwyraźniej nie odebrał jej życia.

Cóż ty uczynił, synu? Jakiego jeszcze grzechu się dopuściłeś w imię miłości?

Trwoga odpłynęła od kardynała i uprzytomnił sobie coś, co niosło nadzieję.

Oszczędzając hrabinę, Rhun sprawił, że ród Batorych nie wygasł, a nad tym właśnie rozpaczał kardynał w minionych miesiącach. Co to mogło oznaczać?

Czy to może być znak od Boga?

Czyżby w postępku Rhuna przejawiała się wola Boża? Czy zachował hrabinę przy życiu po to, by mogli wypełnić misję?

Ewangelia Krwi przemówiła i podważyła pewność, że doktor Erin Granger jest Uczoną Niewiastą. Po raz pierwszy od tamtej chwili w sercu kardynała zaświtała nadzieja.

Hrabina Batory może jeszcze ocalić ich wszystkich.

Patrzył ze zdumieniem na przepiękną twarz, nadal nie wierząc w cud, w to nagłe zrządzenie szczęśliwej fortuny. Mocniej ścisnął jej włosy, nie mógł sobie pozwolić na utratę jedynej nadziei.

Nie wolno pozwolić jej umknąć.

Rhun znalazł się obok nich; kulał na jedną nogę, znów dało o sobie znać jego osłabienie. Bitwa, choć trwała krótko, zapewne przytłumiła w nim ogień podsycony przez krew.

Mimo wszystko...

– Trzymajcie go – rozkazał Bernard, obawiając się jego reakcji. W tej chwili nie potrafił odgadnąć, co dzieje się w sercu przyjaciela. Będzie chciał ją zabić, ocalić, a może uciec w hańbie razem z nią?

Nie wiem, pomyślał.

Wiedział na pewno jedynie tyle, że musi chronić tę podstępną niewiastę wszystkimi środkami, jakie ma do dyspozycji.

Potrzebował jej.

Była potrzebna światu.

Hrabina zapewne wyczytała tę pewność w jego oczach. Jej nieskazitelnie piękne usta wygięły się w uśmiech, w którym była przebiegłość i niegodziwość.

Boże, miej nas w opiece, jeśli się mylę.

CZĘŚĆ DRUGA

*Ponieważ wylali krew świętych i proroków,
Krew również pić im dałeś. Godni są tego!*

Apokalipsa św. Jana 16,6

Rzym, Włochy

19 grudnia, 10.11 czasu miejscowego

Erin siedziała obok Jordana na tylnym siedzeniu czerwonego fiata. Christian usadowił się z przodu obok kierowcy. Wysunął głowę przez otwarte okno i rozmawiał z gwardzistą szwajcarskim ubranym w granatowy mundur i czapkę. Młody mężczyzna z pistoletem maszynowym na ramieniu trzymał wartę przed bramą Świętej Anny, jednym z bocznych wejść do Watykanu.

W normalnej sytuacji tutejsi strażnicy nie nosili broni na wierzchu.

Dlaczego zastosowano podwyższone środki bezpieczeństwa?

Szwajcar skinął głową, cofnął się i machnął ręką, zezwalając na wjazd.

Christian szepnął coś szoferowi i ruszyli przez zaśniedziałą żelazną bramę do Świętego Miasta. Sangwinista znów przystawił do ucha telefon, który tkwił tam jak przyklejony od chwili, gdy samolot czarterowy wylądował na Ciampino, mniejszym z rzymskim portów lotniczych. Kierowca czekał na przybyszów w niepozornym fiacie, a potem w parę minut zawiózł ich aż do bram Watykanu.

Jordan trzymał Erin za rękę i wyglądał przez okno. Samochód przemknął obok Banco Vaticano i poczty, a następnie skręcił za masywną budowlą Bazyliki Świętego Piotra.

Erin patrzyła na stare gmachy i wyobrażała sobie tajemnice kryjące się za jasnymi kamiennymi elewacjami. Jako archeolożka odkopywała prawdę o dziejach ludzkości warstwa po warstwie, lecz odkrycie, że istnieją *strigo*i oraz sangwiniści, nauczyło ją, że historia ma pokłady leżące jeszcze głębiej, niż dotąd przypuszczała.

Mimo to na plan pierwszy wybijało się jedno pytanie.

To Jordan ujął je w słowa:

– Dokąd Christian nas wiezie?

Ona także chciała to wiedzieć. Sądziła, że udadzą się prosto do apartamentów papieskich na spotkanie z kardynałem Bernardem w jego siedzibie, a tymczasem samochód zapuszczał się coraz dalej w teren położony za bazyliką.

Nachyliła się do sangwinisty zaabsorbowanego rozmową telefoniczną. Była zmęczona i nie miała ochoty silić się na grzeczności, a poza tym zirytowała ją tajemnicza otoczka ich podróży.

– Dokąd jedziemy? – spytała, dotykając jego ramienia.

– Już prawie jesteśmy.

– Ale gdzie? – nie ustępowała.

Christian wskazał telefonem przed siebie.

Zniżyła głowę. Zbliżali się do pokrytego czerwonymi dachówkami budynku z białego włoskiego marmuru. Biegące za nim tory zdradzały jego przeznaczenie.

Był to Stazione Vaticano, jedyny dworzec kolejowy w Watykanie. Wzniesiono go za pontyfikatu papieża Piusa XI na początku lat trzydziestych dwudziestego wieku. Obecnie służył głównie do transportu towarowego, jednak ostatnich kilku papieży od czasu do czasu wyruszało z niego w uroczyste podróże specjalnym papieskim pociągiem.

I ten właśnie pociąg Erin zobaczyła na szynach.

Trzy samochody w kolorze leśnej zieleni ustawiły się za staroświecką czarną lokomotywą, z której buchała para. W innych okolicznościach widok taki sprawiłby jej frajdę, teraz jednak nurtował ją niepokój o los Rhuna. Podczas lotu ani razu nie miała wizji i bała się myśleć, co to oznacza.

Fiat podjechał prosto pod peron i zatrzymał się. Christian wysiadł szybko i skinął w towarzyszy. Prowadził ich w stronę pociągu, nie odrywając telefonu od ucha. Porozdzierany wojskowy mundur zamienił na księżowską koszulę i czarne dżinsy. Ten ubiór lepiej do niego pasował.

Kiedy doszli do pociągu, opuścił aparat i z łobuzerskim uśmiechem wskazał środkowy wagon.

– Wszyscy na pokład!

Erin obejrzała się w kierunku bazyliki.

– Nic z tego nie rozumiem. Odjeżdżamy, tak od razu? A co z Rhunem?

Szczupły sangwinista wzruszył ramionami.

– W tej chwili wiem tyle co i wy. Kardynał zażyczył sobie, żebym was tu przywiózł i wprowadził do pociągu. Ruszy, gdy tylko wsiądziemy.

Jordan położył jej na plecach ciepłą dłoń. Oparła się o nią, uspokajający dotyk znajomej ręki sprawiał jej przyjemność.

– A czego się spodziewałaś po kardynale? – zapytał. – Przejrzystość decyzji nie figuruje na czele listy jego priorytetów, to pewne. Facet wprost pławi się

w sekretach.

Sekrety niejednego człowieka rzuciły w objęcia śmierci.

Erin dotknęła grudki bursztynu w kieszeni dżinsów i przywiodło jej to na myśl nieśmiały uśmiech Amy pod pustynnym słońcem.

– Na razie zróbmy, jak chce kardynał – zadecydował sierżant. – Jeśli nie spodoba nam się to, co ma do powiedzenia, zawsze możemy wrócić.

Skinęła głową. Jordan zawsze umiał wskazać najpraktyczniejsze rozwiązanie. Pocałowała go w policzek i wyczuła szorstkość zarostu. Potem dodała jeszcze jednego całusa w usta.

– Dla zmylenia uwagi Watykan wyda komunikat o tym, że pociąg wyjeżdża z Rzymu na przegląd techniczny – poinformował ich Christian, otwierając drzwi. – Ale im prędzej wyruszymy, tym lepiej.

Nie mając wielkiego wyboru, Erin wspięła się po metalowych schodkach, a Jordan wsiadł za nią. Znaleźli się w luksusowym wagonie restauracyjnym. W oknach wisiały spięte u dołu złote zasłonki, wewnątrz od maślanożółtego sufitu po ozdobną dębową stolarkę aż lśniło w blasku porannego słońca. W powietrzu unosił się zapach cytrynowej pasty konserwującej i starego drewna.

Jordan gwizdnął cicho.

– Papież to wie, jak podróżować z fasonem. Tylko jedna rzecz mogłaby jeszcze poprawić ten widok: parujący czajnik z kawą.

– Popieram – rzuciła Erin.

– Usiądźcie – powiedział Christian. Mijając ich, skinieniem ręki wskazał zastawiony stolik. – Dopilnuję, żeby wasze życzenia się spełniły. – Ruszył w stronę pierwszego wagonu.

Erin wybrała sobie miejsce skąpane w słońcu. Chciała się nacieszyć jego blaskiem po pędzie samochodem ulicami zimnego miasta. Pogładziła palcem biały obrus. Na stole stała srebrna zastawa oraz naczynia z delikatnej chińskiej porcelany z papieskim herbem.

Sierżant poprawił granatowy mundur, by jak najkorzystniej prezentować się obok towarzyszki. Mimo to Erin zauważyła, że przenikliwym wzrokiem zerka przez okno. Nieustannie czujny, wypatrywał zagrożeń, choć starał się tego nie zdradzać.

– Oby dawali tu jeść lepiej niż w tej hipisowskiej knajpie, do której Christian zabrał nas w San Francisco – odezwał się po chwili. – Wegańskie smakołyki! Wołę mięso z ziemniakami. I to z przewagą mięsa.

– Jesteśmy we Włoszech. Coś mi mówi, że nie będziesz narzekał na jądłospis.

– Owszem! – usłyszeli głos dochodzący od drzwi pierwszego wagonu.

Zaskoczony Jordan omal nie zerwał się z krzesła, choć on także rozpoznał niezbyt mocny niemiecki akcent, z którym wypowiedziano te słowa.

– Brat Leopold! – zawołała uradowana Erin na widok mnicha oraz tacy z kawą, którą niósł.

Nie widziała go od dnia, kiedy ocalił jej życie. Wyglądał identycznie: drucziane okulary na nosie, prosty brązowy habit i chłopięcy uśmiech na ustach.

– Bez obaw, za chwilę podadzą śniadanie. – Leopold uniósł tacę. – Ale Christian wspomniał, że oboje rozpaczliwie potrzebujecie szprycy kofeiny po długiej podróży.

– Jeśli przez szprycę rozumiesz pełny czajnik kawy, to wszystko gra – podchwycił z uśmiechem sierżant. – Dobrze cię znów widzieć, Leopoldzie.

– Ja też się cieszę.

Mnich zakrzętnął się i napełnił porcelanowe filiżanki parującym ciemnym wywarem. Pociąg ruszył z wolna, lokomotywa zadudniła głośniej.

Wrócił Christian i zajął miejsce naprzeciwko Erin. Gapił się znacząco na filiżankę w jej dłoniach.

Znając jego przyzwyczajenia, podała mu białe naczynie. Uniósł je do nosa, zamknął oczy i mocno wciągnął aromat do nosa. Na jego twarzy pojawił się wyraz ukontentowania.

– Dziękuję – rzekł, zwracając Erin filiżankę.

Był młodym sangwinistą i nie oddalił się zbyt od prostych ludzkich przyjemności, takich jak picie kawy. Spodobało jej się to.

– Jakież wieści? – zagadnął Jordan. – Na przykład dokąd zmierzamy?

– Powiedziano mi, że dowiemy się więcej po wyjeździe z Rzymu. Tymczasem proponuję rozkoszować się spokojem.

– Masz na myśli spokój przed burzą, tak? – spytała Erin.

Christian parsknął śmiechem.

– Bardzo możliwe.

Jego odpowiedź najwyraźniej zadowoliła sierżanta. Podczas podróży zaprzyjaźnił się z Christianem, co było dość niezwykle, zważywszy, że po tym, jak Rhun ukąsił Erin, patrzył na sangwinistów z nieufnością i niesmakiem.

Samochody pomału odjeżdżały z dworca, pociąg zaś kierował się ku stalowej bramie zagradzającej tory w odległości kilkuset metrów, osadzonej w potężnym

murze otaczającym Święte Miasto. Brama usiana była nitami i grubymi ćwiekami; wyglądała jak wrota strzegące wjazdu do średniowiecznego zamczyska.

Rozległ się gwizdek pociągu i brama rozsunała się powoli, znikając w grubej ścianie.

Lokomotywa nabierała prędkości, oddalając się od Watykanu pod obłokiem pary. Skład sunął przez miasto jak zwyczajny pociąg, różnił się tylko tym, że miał trzy wagony: kuchenny na przedzie, restauracyjny w środku i jeszcze jeden na końcu. Ostatni wyglądał z zewnątrz tak samo jak pozostałe, lecz zasłony w oknach były zaciągnięte, a od następnego oddzielały go solidne metalowe drzwi.

Erin spojrzała na nie i ścisnęło ją w żołądku; usiłowała o tym nie myśleć.
Co tam może być?

– Ach! – zawołał Leopold. – Zgodnie z obietnicą... śniadanie.

Z wagonu kuchennego wyszedł ktoś, kogo Erin знаła równie dobrze jak Leopolda, choć nie był równie mile widziany.

Ojciec Ambrose, asystent kardynała Bernarda, niósł tacę z omletami, bułeczkami maślanymi, masłem i dżemem. Okrągła twarz mnicha była jeszcze bardziej zaczerwieniona niż zwykle, wilgotna od potu albo od pary w kuchni. Widać było, że rola kelnera jest mu nie w smak.

– Dzień dobry, ojcie Ambrose – odezwała się Erin. – Wspaniale ojca widzieć.

Robiła wszystko, żeby zabrzmiało to szczerze.

Ambrose ani myślał silić się na uprzejmość.

– Doktor Granger, sierżancie Stone – rzucił zdawkowo, ledwie kiwając obojgu głową.

Postawił jedzenie na stole i wrócił do wagonu kuchennego.

Najwyraźniej nie miał chęci na rozmowę.

Erin pomyślała, że jego obecność może wskazywać, że kardynał jest już w pociągu, i zerknęła ponownie na stalowe drzwi sąsiedniego wagonu.

Jordan tymczasem rzucił się zaciekle na omlet, jakby przewidywał, że przez kilka dni nie zobaczy jedzenia. Zważywszy na dotychczasowe doświadczenia obojga z sangwinistami, mogło się to okazać prawdą.

Poszła za jego przykładem i posmarowała sobie bułkę dżemem.

Christian obserwował ich cały czas z zazdrością wypisaną na twarzy.

Zmiotli wszystko z talerzy, a tymczasem pociąg wyjechał poza Rzym i kierował się na południe.

Ręka Jordana odszukała pod stołem dłoń Erin. Poglaskała ją i z przyjemnością dostrzegła uśmiech na jego twarzy. Myśl o jakimkolwiek związku emocjonalnym napawała ją lękiem, ale dla niego gotowa była zaryzykować.

Utrzymywała się jednak między nimi pewna niezręczność. Mimo że Erin bardzo starała się tego unikać, często wracała myślami do chwili, gdy Rhun ją ukąsił. Takiego doznania nie dał jej żaden mężczyzna. Zdarzenie to nic jednak nie znaczyło, wynikało ze zwyczajnej konieczności. Zastanawiała się, czy owa błogość to swoisty trik, który *strigoi* wykorzystują do tego, by zniewalać ofiary, czynić je słabymi i bezbronnyymi.

Jej palce mimo woli powędrowały do blizny na szyi.

Chciała zasięgnąć czyjejś opinii. Ale czyjej? Z pewnością nie Jordana. Pomyślała więc o Christianie; mogłaby się dowiedzieć od niego, co czuł, kiedy go po raz pierwszy ugryziono. W barze w San Francisco miała wrażenie, że odgadł nurtujące ją wątpliwości, ona jednak wzdragała się przed omawianiem tak intymnych doświadczeń z mężczyzną, a tym bardziej z księdzem.

Wahanie Erin nie wynikało wyłącznie z tego, że się wstydziła. Czuła, że może lepiej byłoby nie znać odpowiedzi na te pytania.

Bo jeśli poczucie więzi, którego doznała, nie jest tylko mechanizmem mającym spacyfikować ofiarę? Jeżeli kryje się za nim coś innego?

10.47

Rhun przebudził się w trwodze. Sięgnął rękami do góry i na boki, spodziewając się, że napotka ciasne kamienne ściany.

Wtedy sobie przypomniał.

Jest wolny.

Wsluchiwał się w turkot stalowych kół na torach i wróciło wspomnienie potyczki na obrzeżu Świętego Miasta. Odniósł parę pomniejszych obrażeń, ale co najgorsze bitwa wysączyła z niego resztki sił. Kardynał Bernard nakazał mu odpoczynek aż do czasu przybycia Erin i Jordana.

Rhun słyszał bicie ludzkich serc; jego wyczulone uszy знаły rytm tego werbla niczym pieśń. Przebiegł dłońmi po ciele. Miał na sobie suchy habit, odór starego wina znikł. Usiadł powoli, badając przy tym każde żebro.

– Ostrożnie, synu – odezwał się Bernard z ciemności zalegającej w wagonie. – Nie odzyskałeś jeszcze pełni zdrowia.

Oczy Rhuna po chwili dostosowały się do otoczenia i rozpoznał papieski wagon sypialny wyposażony w podwójne łożo, na którym leżał. Było także małe biurko i para krytych jedwabiem krzeseł obok kanapy.

Za plecami Bernarda, obok łóżka, stała postać, którą Rhun rozpoznał. Miała na sobie dopasowaną skórzaną zbroję oraz srebrny łańcuch zawinięty na biodrach. Czarne włosy uplecione w warkocz odsłaniały jej twarz o surowych rysach.

– Nadia? – wycharczał.

Kiedy mogła przybyć?

– Witaj wśród żywych – rzuciła z łobuzerskim uśmiechem. – Jeśli można powiedzieć o sangwiniście, że jest żywy.

Rhun dotknął czoła.

– Jak długo...?

Zdania nie pozwoliła mu dokończyć ostatnia osoba obecna w pomieszczeniu. Leżała na kanapie z wyprostowaną nogą, którą usztywniała szyna. Pamiętał, jak kuśtykała po kocich łbach uliczką prowadzącą do Świętego Miasta.

– *Helló, az én szeretett* – odezwała się po węgiersku Elżbieta. Znał każdą głoskę tych słów tak dobrze, jakby słyszał je wczoraj, a nie przed setkami lat.

Witaj, mój ukochany.

Nie było w nich ani odrobiny ciepła, tylko pogarda.

Przeszła na włoski, lecz i w tym języku mówiła archaicznym dialektem:

– Ufam, że krótki pobyt w moim więzieniu nie był dla ciebie zbyt uciążliwy. Ale przecież tyś odebrał mi życie, zgładził duszę i na domiar ukradł czterysta lat. – Jej srebrne oczy łypały na niego z ciemności. – Wątpię zatem, czy kara była wystarczająca.

Każde słowo było prawdziwe i każde cięło jak ostrze miecza. Popęłnił te wszystkie zbrodnie wobec kobiety, którą kiedyś kochał – i kochał ją nadal, choć teraz może tylko obraz w pamięci. Wyciągnął rękę ku piersi, dotknął nowego pectorału i pomodlił się o odpuszczenie grzechów.

– Czy Chrystus dał ci wiele pociechy przez tych kilkaset lat? – zapytała Elżbieta.

– Nie wyglądasz na szczęśliwszego niż ongiś w moim zamku.

– Moim obowiązkiem jest zawsze mu służyć.

Uśmiechnęła się, unosząc jeden kącik ust.

– Udzielasz mi politycznej odpowiedzi, ojciec Korza, ale czyż nie przyrzekliśmy kiedyś mówić sobie prawdy? Czy nie jesteś mi winien przynajmniej tego?

Był jej winien o wiele więcej.

Nadia wpatrywała się w Elżbietę z nieukrywaną złością.

– Nie zapominaj, że zostawiła cię w trumnie na cierpienie i śmierć. I o tych wszystkich kobietach, które zabiła na ulicach Rzymu.

– Taka jest teraz jej natura – odparł.

Jam ją taką uczynił, pomyślał.

Z uzdrowicielki zrobił morderczynię. Wszystkie jej zbrodnie obciążały jego sumienie, zarówno dawne, jak i obecne.

– Potrafimy kontrolować swoją naturę – zaproponowała Nadia, dotykając delikatnego srebrnego krzyżyka, który nosiła na szyi. – Ja robię to codziennie. Ty także. Ona jest zdolna czynić podobnie, ale woli inaczej.

– Nigdy się nie zmienię – zadeklarowała Elżbieta. – Trzeba było mnie zabić w moim zamku.

– Taki dostałem rozkaz – odparł Rhun. – Ukryłem cię z litości.

– Nikła jest moja wiara w twoją litość.

Poruszyła się i uniosła obie dłonie, by odgarnąć włosy z czoła, a potem znów oparła je o kolana. Rhun zauważył, że ma kajdanki na rękach.

– Dostyc – uciął Bernard i skinął na Nadię.

Sangwinistka podeszła do kanapy i bez łagodności dźwignęła Elżbietę na równe nogi. Trzymała ją w mocnym uścisku. Rhun jej nie docenił, wydobywając ją z winnej kąpieli, ona zaś nie zamierzała powtarzać jego błędu.

Hrabina uśmiechnęła się i pokazała mu kajdanki.

– Skuta jak bydłę. Oto do czego przywiodła mnie twoja miłość.

10.55

Leopold zaczął w jednym końcu wagonu restauracyjnego i posuwał się do drugiego. Zgodnie z otrzymanym poleceniem zaciągał wszystkie zasłony i zamykał szczelnie panele okienne, tak by nie przedostał się przez nie najmniejszy promyk słońca.

We wnętrzu zapanował mrok, jedyne oświetlenie dawały lampy elektryczne umieszczone na suficie. Mnich zatrzymał się przy drzwiach drugiego wagonu.

Słyszał bicie dwóch ludzkich serc. Wyczuł płynący od nich niepokój i przeszył go dreszcz współczucia.

– Co robisz? – zapytała Erin, ale przecież nie była naiwna. Spojrzawszy na stalowe drzwi i zamknięte okna, z pewnością odgadła, że za chwilę zetkną się z jakimś zagrożeniem.

– Jesteście całkowicie bezpieczni – zapewnił ją Leopold.

– E tam! – rzucił Jordan.

Wyciągnął ręce do zasłonki i szarpnął. Słońce znów wlało się do wnętrza wagonu i na Erin.

Leopold patrzył na jej postać pośrodku świetlnej plamy i nie wiedział, czy ma wrócić i ponownie zaciągnąć zasłonkę. Oцениwszy jednak wyraz twarzy Jordana, postanowił z tego zrezygnować. Zapukał w grube stalowe drzwi, sygnalizując, że wszystko jest gotowe.

Christian wstał, jakby szykował się do walki. Zajął miejsce pomiędzy Erin i drzwiami, stojąc połową ciała w cieniu, a połową w słońcu.

Drzwi się otworzyły i wszedł kardynał Bernard w purpurowej sutannie. Spoglądał to na Erin, to na Jordana.

– Po pierwsze, przepraszam, że wszystko odbyło się w takiej tajemnicy, ale po tym, co się wydarzyło, tutaj i w Kalifornii, uznałem, że lepiej zachować ostrożność.

Wyjaśnienie to nie usatysfakcjonowało dwojga ludzi; nadal byli podejrzliwi, lecz woleli taktownie milczeć.

Niezręczną scenę przerwał odgłos otwierania drzwi po drugiej stronie wagonu i pojawił się w nich ojciec Ambrose. Otarł ręce w ścierkę kuchenną i wszedł bez zaproszenia. Musiał usłyszeć głos Bernarda i pospieszył, by mu asystować, a przy okazji podsłuchiwać.

Kardynał przemierzył wagon. Ujął w obie ręce dłoń Erin, a potem Jordana.

– Oboje dobrze wyglądacie.

– Wasza Eminencja również – odrzekła z uśmiechem Erin, ale Leopold dostrzegł zatroskanie na jej obliczu. – Są już wieści o miejscu pobytu Rhuna?

Jej słowa niosły nadzieję. Naprawdę zależało jej na sangwiniście.

Mnich musiał wziąć w karby swoje serce, gdyż narastało w nim poczucie winy. Lubił tę dwójkę Amerykanów, ich żywotność i inteligencja sprawiały mu

radość, ale po raz tysięczny przypomniał sobie, że jego zdrada służy wyższemu celowi. Jednakże świadomość ta ani trochę nie ułatwiała mu zdradzieckich poczynań.

– Wytłumaczę wszystko w stosownym czasie – obiecał Bernard i skierował wzrok na swojego asystenta. – To wszystko, ojcze Ambrose.

Ten z westchnieniem irytacji wszedł z powrotem do wagonu kuchennego, lecz Leopold nie wątpił, że księżulo będzie przystawiał ucho do drzwi i łowił każde słowo. Ani myślał dopuścić, by coś działo się bez jego wiedzy.

To samo mógłbym powiedzieć o sobie, przemknęło Leopoldowi przez głowę.

Doskonale pamiętał o przyrzeczeniu złożonym Damnatusowi i poczuł znów dotyk złowrogiej ćmy na ramieniu, trzepot jej skrzydełek tuż obok szyi.

Nie mogę sprawić mu zawodu.

Na południe od Rzymu, Włochy
19 grudnia, 11.04 czasu miejscowego

Po wyjściu ojca Ambrosego kardynał skinął ręką, wskazując otwarte stalowe drzwi, za którymi panował mrok.

Erin znieruchomiała, jej palce zacisnęły się na dłoni Jordana. Nagle bardzo się ucieszyła, że Jordan rozsunął zasłonki w jednym oknie. Mimo że do wagonu sączyło się światło słońca, po jej skórze przebiegł zimny dreszcz.

Z mroku wynurzył się odziany na czarno zakonnik. Był chudy jak szkielet, szczupłą bladą dłonią osłaniał sobie twarz przed blaskiem, dotykając brzegu kaptura. Stawiał nierówne kroki, lecz szedł z pewną gracją, w której było coś znajomego.

Nagle opuścił rękę i odsłonił twarz. Nad ciemnymi zapadniętymi oczami zwisała czarna grzywka. Wydatne kości policzkowe niemal przebijały się przez skórę, wąskie usta wydawały się pozbawione krwi.

Erin kiedyś je pocałowała, ale wtedy były pełniejsze.

– Rhun...

Wstała zaszokowana. Sangwinista wyglądał, jakby postarzał się o całe lata.

Jordan także się podniósł i stanął obok niej.

Sangwinista skinął ręką, żeby usiedli. Potem z pomocą Bernarda dokuśtykał do wolnego krzesła obok Christiana i opadł na nie ciężko. Erin zauważyła, że unika jasnego światła. Sangwiniści wytrzymywali blask słońca, ale odbierał im on siły; Rhun najwyraźniej nie miał ich dużo w zapasie.

Z drugiej strony stołu spoglądały na Erin znajome oczy. Widziała w nich wyczerpanie, a także żal.

– Wiem od kardynała Bernarda, że połączyła nas więź krwi – odezwał się cichym głosem. – Wybacz, że naraziło cię to na cierpienie.

– Nie szkodzi, Rhunie – odparła. – Nic mi nie jest, ale ty...

Blade usta ułożyły się w nikły uśmiech.

– Bywało, że miałem więcej wigoru, ale z pomocą Chrystusa wkrótce odzyskam pełnię sił.

Jordan demonstracyjnie ujął dłoń dziewczyny spoczywającą na blacie stołu. Patrzył na Rhuna bez krzty współczucia. Odwrócił głowę do Bernarda, który stał obok stołu.

– Kardynale, jeśli wiedziałeś, że Rhun zaginął przed tygodniami, dlaczego tak późno się do nas zwróciłeś? Mogłeś zadzwonić, zanim znalazł się w tym oplakanym stanie.

Bernard złożył obleczone w rękawiczki dłonie.

– Dopiero kilka godzin temu poinformowano mnie o mrocznym czynie popełnionym przeciwko doktor Granger w podziemiach Bazyliki Świętego Piotra. Nie mogłem wiedzieć, że łączy ich więź. Jednakże poczynania Rhuna być może przyniosły światu nadzieję.

Rhun ze smutkiem spuścił wzrok.

O czym kardynał mówi? – zastanawiał się.

Purpurat uniósł ręce i zakreslił nimi łuk.

– Wraz ze wszystkimi, którzy się tutaj zgromadzili, z trójką zapowiedzianą w proroctwie, możemy teraz rozpocząć poszukiwanie Pierwszego Anioła.

Sierżant rozejrzał się.

– Innymi słowy, ekipa jest znów w komplecie. Rycerz Chrystusa, Mąż Wojownik i Uczona Niewiasta.

Wymieniając ostatnią osobę, ścisnęła palce Erin, a ona cofnęła dłoń.

– Niekoniecznie muszę być nią ja – przypomniała wszystkim.

Znów usłyszała huk strzału, który oddała do Bathory Darabont, i zobaczyła, jak tamta pada w tunelu na ziemię. Zamordowałam ostatnią z rodu Batorych, pomyślała.

– Nasza trójka wiele dokonała – powiedział Rhun, patrząc na Erin.

Nawet Jordan musiał się z tym zgodzić.

– Diabelna racja.

Może i tak było, jednak Erin poczuła się zaniepokojona słowem „diabelna”.

Pociąg zwolnił, zmienił tory i jechał dalej na południe.

Sierżant wyglądał przez okno i usiłował odgadnąć, dokąd zmierzają. Bernard wciąż im tego nie wyjawiał. Zniknął w ostatnim wagonie, pozostawiając ich z myślami i przypuszczeniami.

A było się nad czym głowić.

Gdy szczerknął metal, Jordan skierował wzrok na stalowe drzwi. Pojawił się w nich Bernard z dwiema kobietami.

Pierwszą była wysoka sangwinistka o ciemnych włosach i oczach. Sierżant momentalnie rozpoznał Nadię. Spojrzał na skórzaną zbroję przepasaną srebrnym łańcuchem. Był to rodzaj bicia, oręż, którym posługiwała się z niezwykłą wprawą. U boku miała długi miecz.

Nasunęło mu się określenie „zabójcza kreacja”.

Uwaga Nadii skupiona była na drugiej kobiecie.

To nie był dobry znak.

Nieznajoma była niższa niż Erin i miała krótkie kręcone włosy w kolorze hebanu. Nosiła dzinsy i kozaki, z których prawy był rozdarty; na jej nodze widać było szynę; najwyraźniej niedawno odniosła obrażenia. Kobieta okryta była ciężką staroświecką peleryną, która zdawała się ją przygniatać. Drobnie dłonie trzymała grzecznie złożone przed sobą, Jordan dopiero po chwili zauważył, że są skute kajdankami.

W dłoni w rękawiczce Nadia dzierżyła gruby łańcuch przyczepiony do kajdanek.

Sangwiniści nie żartowali w obcowaniu z tą damą.

Czemu jest taka niebezpieczna?

Więźniarka zbliżyła się, kuśtykając, i Jordan zobaczył jej twarz. Musiał zacisnąć zęby, żeby nie otworzyć ust ze zdumienia.

Patrzył na jej srebrzyste oczy, na idealnie ukształtowane usta, wydatne kości policzkowe i falujące loki. Gdyby zmienić odcień jej włosów na ognistą czerwień, wyglądałaby jak lustrzane odbicie Bathory Darabont, którą Erin zastrzeliła w tunelu pod rzymską bazyliką.

Erin zamarła; ona również dostrzegła oczywiste podobieństwo.

– Znaleźliście kobietę z rodu Batorych – oznajmiła.

– Tak – potwierdził kardynał.

Jordan aż jęknął w duchu. Jakby z tamtą było nie dość kłopotów.

– Ona jest *strigoï* – dodała Erin.

Sierżant drgnął zaskoczony, bo nagle stało się jasne, do czego jest potrzebna zbrojna straż i dlaczego zaciągnięto zasłony. Powinien był się domyślić.

Nieznamoma zmierzyła Erin zimnym lekceważącym spojrzeniem, a potem odwróciła się do kardynała. Mówiła do niego po łacinie, lecz ze wschodnioeuropejskim akcentem, tak samo jak Rhun, kiedy wpadł w złość.

Jordan popatrzył na więźniarkę nowymi oczami. Oceniał poziom zagrożenia i wyobrażał sobie rozmaite ewentualności na wypadek, gdyby wyrwała się pilnującym.

– Proszę mówić po angielsku, łatwiej będzie nam wszystkim się porozumieć – powiedział Bernard.

Wzruszyła ramionami i obróciła się do Rhuna.

– Wyglądasz o wiele bardziej świeżo, mój ukochany.

Mój ukochany? Co to miało znaczyć?

Rhun był zakonnikiem i nie powinien mieć kochanek.

Spojrząwszy na Erin i Jordana, pociągnęła nosem, wężąc, jakby podejrzewała, że wypełzli z rynsztoka.

– Zdaje się, że ta nikczemna kompania dobrze ci pasuje.

Rhun nie potwierdził żadnym gestem, że usłyszał jej słowa.

Oficjalnej prezentacji dokonał kardynał.

– Hrabina Elżbieta Batory z Ecsed, wdowa po hrabi Ferencu Nádasdy Batory.

Erin aż otworzyła usta ze zdziwienia; Jordan zauważył to, lecz dalej tylko spoglądał na więźniarkę.

Kardynał przedstawił oboje hrabinie:

– Jeśli pani pozwoli, oto doktor Erin Granger i sierżant Jordan Stone.

Erin odzyskała głos.

– Wasza Eminencja twierdzi, że to jest Elżbieta Batory? Ta sama, która żyła w drugiej połowie szesnastego wieku?

Kobieta pochyliła głowę, jakby chciała potwierdzić te słowa.

Na twarzy Erin odmalowały się jednocześnie ulga i rozczarowanie. Ona i sierżant znali opinię Kościoła, zgodnie z którą Uczona Niewiasta musi pochodzić z rodu Batorych.

– Jakoś nie jarzę – odezwał się Jordan. – Czy ta kobieta jest sangwinistką?

– Nic nie połączy mnie z tym okropnym zakonem – odparła hrabina. – Wiare moją wiążę z namiętnością, a nie z pokutą.

Rhun drgnął. Sierżant przypomniał sobie jego relację o wydarzeniach, do których doszło po tym, jak Rhun wstąpił do zakonu. W porywie zakazanej namiętności Korza zabił Elżbietę Batory i mógł ją ocalić w jeden tylko sposób: przemieniając kobietę w *strigo*. Ale gdzie ona się podziewała przez czterysta lat? Kościół żywił przekonanie, że linia rodowa Batorych wygasła wraz ze śmiercią Darabont.

Jordan domyślił się odpowiedzi na swoje pytanie: Rhun musiał ją gdzieś ukryć.

Ukąszenie Erin najwyraźniej nie było jedyną rzeczą, którą sangwinista miał do zatajenia.

– Wierzę, że ci, którzy się tutaj zebrali – odezwał się kardynał – są naszym najlepszym orężem w nadchodzącej Bitwie Niebios, którą wieszczy prorocstwo w Ewangelii Krwi. Tu leży jedyna nadzieja dla świata.

Odpowiedział mu śmiech hrabiny Batory, pełen rozbawienia i goryczy zarazem.

– Kardynale, tak się lubujesz w dramatycznej retoryce! Trzeba ci było zostać aktorem, miałbyś do dyspozycji scenę większą niżli kazalnica.

– Niemniej jednak uważam, że taka jest prawda. – Bernard odwrócił się twarzą do kobiety, która okazywała mu tak ostentacyjne lekceważenie. – Wolałaby pani, żeby nastąpił koniec świata, hrabino?

– Czy mój nie skończył się przed wiekami? – odparowała, zerkając w stronę Rhuna.

Nadia dobyła miecza.

– Można położyć twojemu światu definitywny kres. Masz na sumieniu tyle mordów, że należałoby ściąć cię na miejscu.

Raz jeszcze hrabina parsknęła śmiechem. Jej śpiewnie dźwięczny głos przyprowadził Jordana o gęsią skórkę na karku.

– Gdyby kardynał naprawdę chciał mojej zguby, zostałaby ze mnie kupka popiołu na placu Świętego Piotra. Możesz sobie folgować najsroźszymi słowami, ale jestem wam potrzebna.

– Basta. – Bernard uniósł dłonie w czerwonych rękawiczkach. – Hrabina ma powinność do spełnienia. Będzie służyła jako Uczona Niewiasta, bo w przeciwnym razie sam rzucę ją na pastwę promieni słonecznych.

Erin musiała wziąć w karby swoją zranioną dumę.

Z ust kardynała padło pod jej adresem jednoznaczne wotum nieufności.

Czy naprawdę tak bardzo wierzy w tę Batory i tak skąpi zaufania jej, Erin Granger?

Miała po swojej stronie jednego zwolennika. Jordan otoczył ją ramieniem.

– Chrzanić to. Erin już udowodniła, że jest Uczoną Niewiastą.

– Doprawdy? – Hrabina przesunęła różowym językiem po górnej wardze, odsłaniając białe kły. – Zatem wydaje się, że jednak nie jestem potrzebna.

Twarz Erin niczego nie zdradzała. Kobiety z dynastii Batorych od setek lat były selekcyonowane i szkolone do roli Uczonej Niewiasty. Ona nie mogła się poszczycić takim rodowodem. Należała wprawdzie do triady, która odzyskała Ewangelię Krwi, jednakże to Bathory Darabont zdołała otworzyć starożytną księgę na ołtarzu Bazyliki Świętego Piotra.

Nie ja.

Bernard skierował rękę na hrabinę.

– Jak można inaczej wyjaśnić jej obecność tutaj, jeśli nie spełnieniem przepowiedni? Uważano ją za martwą, a wskrzesił ją Rhun, niekwestionowany Rycerz Chrystusa.

– Na przykład błędem w ocenie – odrzekł Christian, przechodząc na stronę Erin. – Albo zbiegiem okoliczności. Nie każdy upadek monety oznacza prorocstwo.

Jordan skinął energicznie głową.

Rozległ się chrapliwy głos Rhuna:

– Grzech to sprawił, że Elisabeta dotrwała do tej chwili, nie zaś prorocstwo.

– Lub brak doświadczenia w obcowaniu z grzechem – rzuciła ze złośliwym uśmiechem hrabina. – Możemy zmitrężyć wiele godzin na czczych rozważaniach, dlaczego tutaj jestem. Żadne spekulacje nie przesłonią faktu, że jestem. Czego sobie ode mnie życzyście i jak chcecie odplacić za moją współpracę?

– Czy ocalenie ziemskiego królestwa nie jest wystarczającą zapłatą? – odpowiedziała pytaniem Nadia.

– A cóż ja zawdzięczam temu waszemu ziemskiemu królestwu? – Elżbieta Batory wyprostowała plecy. – Na przekór mojej woli zostałam z niego wyrwana, wyszarpana zębami jednego z was. Od tego czasu więcej czasu spędziłam w więzieniu niż na swobodzie. Nie zrobię od tej chwili nic, co nie przyniesie mi korzyści.

– Wcale nam nie jest potrzebna – odezwał się Jordan. – Mamy Erin.

Nadia i Christian potwierdzili jego słowa, kiwając głowami. Erin przepełniło poczucie wdzięczności.

– Nie – uciął Bernard zdecydowanym i surowym tonem. – Ta kobieta jest nam potrzebna.

Erin zacisnęła zęby. Znów odsuwano ją na bok.

– A więc wytłumacz mi, na czym polega moja rola – zażądała hrabina, wlepiając wzrok w kardynała. – Przekonajmy się, czy zdołasz kupić moją pomoc.

Bernard snuł opowieść o prorocztwie i groźbie Wojny Niebios, Erin tymczasem sięgnęła ręką w dół i ujęła ciepłą dłoń sierżanta. Przechylił głowę, by na nią spojrzeć, i na chwilę zatracił się w jasnych niebieskich oczach Męża Wojownika. Ucisnął jej rękę, składając obietnicę bez słów. Cokolwiek się zdarzy, pozostaną razem.

Kardynał zakończył objaśnienia.

– Rozumiem – rzekła Batory. – Jakiej zapłaty mogę oczekiwać, jeśli dopomogę w odnalezieniu Pierwszego Anioła?

Purpurat nachylił się ku niej.

– Wiele jest nagród za służbę Panu, hrabino Batory.

– Nagrody, jakie do tej pory otrzymywałam za służbę Kościołowi, były skąpe – odparła, kręcąc głową. – Chwała samej służby mnie nie zadowalała.

W tym względzie Erin się z nią zgadzała. Hrabinę z całą pewnością potraktowano szorstko: została zamieniona w *strigoj*, uwięziona najpierw w swoim zamku, a potem w trumnie z winem na setki lat.

Wszyscy, których znała, dawno pomarli. Wszystko, co było jej drogie, przepadło.

Jedynym wyjątkiem był Rhun.

– Moje pragnienia są nader proste. – Hrabina władczyim gestem uniosła palec. – Po pierwsze, sangwiniści muszą mnie strzec przez resztę mego nienaturalnego życia. Zarówno przed *strigoj*, jak i przed naprzykrzającymi się ludźmi.

Uniosła drugi palec.

– Po drugie, będzie mi wolno polować.

W górę powędrował trzeci palec.

– Po trzecie, odzyskam swój zamek.

– Elisabeto, szkodzisz swojej duszy – wtrącił się Rhun.

– Ja nie mam duszy! – oznajmiła głośno. – Nie pamiętasz, że ją unicestwiłeś?

Westchnął cicho.

Erin z przykrością patrzyła na jego klęskę. Nienawidziła tej kobiety za to, że wpędza go w taki stan.

– Możemy dojść do porozumienia – powiedział kardynał. – Jeśli zgodzi się pani zamieszkać w enklawie sangwinistów, będzie pani odgradzona od wszystkich, którzy mogliby jej zaszkodzić.

– Nie dam się zamknąć w klasztorze sangwinistek – oznajmiła gniewnie hrabina. – Nie dla Chrystusa ani dla żadnego mężczyzny.

– Moglibyśmy przydzielić pani apartamenty w samym Watykanie – zaproponował Bernard. – Sangwiniści chroniliby panią, kiedy opuszczałaby pani Święte Miasto.

– Spędzić wieczność w otoczeniu klechów? – prychnęła drwiąco hrabina. – Chyba nie wyobrażasz sobie, że przystałabym na tak nędzny los?

Kącik ust Christiana drgnął w zaczątku uśmiechu, lecz Nadia wyglądała tak, jakby miała za chwilę eksplodować.

– Kościół ma też inne posiadłości. – Spokój Bernarda wydawał się niezmacony. – Ale żadna nie jest tak dobrze broniona.

– A co z moim polowaniem?

Wszyscy zamilkli. Pociąg terkotał na szynach, niosąc pasażerów na południe.

Kardynał pokręcił głową.

– Nie może pani odbierać ludziom życia. Jeśli pani to robi, będziemy zmuszeni ją zgładzić jak pierwsze lepsze zwierzę.

– Jak więc mam przeżyć?

– Mamy dostęp do ludzkiej krwi – odparł. – Możemy zapewnić pani tyle, żeby zaspokoić pani potrzeby.

Hrabina popatrzyła na swoje kajdanki.

– Mam więc pozostać więźniem w odosobnieniu i wieść taki sam los, na jaki byłam skazana przez minione stulecia?

Erin usiłowała odgadnąć, jak długo trwało uwięzienie hrabiny w jej zamku, nim Rhun zamknął ją w trumnie i przemycił do Rzymu. Na pewno wystarczająco długo, by mogła poznać, co znaczy utrata wolności.

Kardynał odchylił się na krześle.

– Jeśli tylko nie będzie pani zabijać, będzie pani wolno wędrować po świecie, żyć tak, jak uzna pani za stosowne.

– Uwiązana do Kościoła, uzależniona od jego ochrony. – Hrabina potrząsnęła łańcuchem. – I od krwi, którą zechcecie mi dostarczyć, żebym mogła

kontynuować swoją lichą egzystencję.

– Masz lepsze propozycje? – prychnęła Nadia. – Kardynał oferuje ci wygodne życie, podczas gdy zasłużyłaś jedynie na śmierć.

– Czy nie można rzec tego samego o każdym sangwiniście w tym pomieszczeniu? – Hrabina skierowała na strażniczkę swoje srebrzyste oczy. – Czy żadne z was nie zakosztowało grzechu?

– Odwróciliśmy się od swoich grzechów – odparła Nadia. – Ty także musisz to zrobić.

– Doprawdy?

– Jeśli pani się na to nie zgodzi – ton kardynała wskazywał, że targi nie wchodzi w grę – wyrzucimy panią z pociągu w światło dnia i uznamy, że taka była wola Boża.

Hrabina przez pełną minutę wpatrywała się w jego twarz.

Nikt się nie odezwał ani nie poruszył.

– Dobrze – rzuciła w końcu. – Przyjmuję wasze wspaniałomyślne warunki.

– Jeśli jej wolno stawiać warunki, to i ja chcę – odezwał się Jordan.

Wszyscy obecni popatrzyli na niego z niedowierzaniem.

Sierżant przygarnął do siebie Erin.

– Jesteśmy w tym razem.

Bernard sprawiał wrażenie, jakby za chwilę miał wybuchnąć.

Christian odwrócił się do niego.

– Nawet jeżeli Erin nie jest Uczoną Niewiastą z prorocstwa, ma dużą wiedzę. Może nam się przydać. Ja z całą pewnością nie zostałem wymieniony w żadnej przepowiedni, ale to nie znaczy, że nie mogę służyć.

Erin uprzytomniła sobie, że sangwinista ma rację. Nie miało znaczenia, czy jest, czy też nie jest Uczoną Niewiastą z przepowiedni. Liczyło się jedynie to, czy może i czy zechce pomóc w osiągnięciu celu. Stawką w tej grze nie była czyjaś duma, lecz ocalenie świata.

Zmierzyła kardynała twardym wzrokiem.

– Chcę w tym uczestniczyć.

Jordan ścisnął mocniej jej ramię i także popatrzył na purpurata.

– Wasza Eminencja słyszał. To nie podlega negocjacom. W przeciwnym razie odchodzę. A ja nie mam awersji do światła.

Nadia nachyliła głowę ku Erin.

– Ja także popieram ten wniosek. Doktor Granger dowiodła lojalności w walce i w czynie. Podczas gdy tamta – szarpnęła srebrnym łańcuchem krępującym hrabinę – udowodniła coś przeciwnego.

Czoło kardynała przecięła zmarszczka.

– Jednakże w spełnieniu przepowiedni...

Rhun uniósł głowę i odwrócił się do przełożonego.

– Kim jesteś, by udawać, że znasz wolę Boga?

Erin zamrugła. Zaskoczyło ją wsparcie ze strony księdza, który przywrócił do życia Elżbietę Batory, by zajęła jej miejsce.

Kardynał uniósł ręce w pojednawczym geście.

– No więc dobrze, ustępuję. Byłoby głupstwem z mojej strony, gdybym odtrącił wiedzę doktor Granger i jej bystry umysł. Jestem pewien, że może pomóc hrabinie Batory w spełnieniu jej zadania Uczonej Niewiasty.

Erin nie była pewna, czy powinna odetchnąć z ulgą, czy się bać.

Oparła się o Jordana, odczuwając jednocześnie ulgę i lęk.

Na południe od Rzymu, Włochy 19 grudnia, 11.55 czasu miejscowego

Pociąg trząsł się, zmierzając w kierunku południowym ku nieznanym celom.

Za oknami przesuwały się drzewa i pagórki. Jordan oparł brodę na głowie Erin. Pachniała lawendą i kawą. Siedziała przyciśnięta do niego ramieniem i bokiem. Żałował, że krzesła nie są przytwierdzone do podłogi, bo dzięki temu mógłby ją jeszcze mocniej przytulić.

Cudownie byłoby zostać z nią sam na sam, jak najdalej od księży i prorocत्व. To jednak nastąpi nieprędko.

Najbardziej chciałby, żeby Erin trzymała się z dala od groźnego zamętu, od sangwinistów i krwiożerczych hrabin. Na to jednak również nie można było liczyć. Wstawił się za nią, bo miał świadomość, jak bardzo zależy jej na tej wyprawie. Poza tym, gdyby Watykan zdecydował się ją odesłać, on nie mógłby zadbać o jej bezpieczeństwo.

A czy tutaj jest to możliwe?

Po tym, jak jego żona zginęła w akcji, czas się dla niego zatrzymał i nie ruszył, dopóki Jordan nie poznał Erin. Zawsze będzie pamiętał, że Karen poległa samotnie setki kilometrów od miejsca, w którym się znajdował. Nie dopuści, by spotkało to ponownie osobę, którą kocha.

Kochać kogoś...

Nigdy nie wypowiedział na głos tych słów, ale one w nim były.

Ucałował czubek głowy Erin, przyrzekając sobie, że zostanie przy niej bez względu na wszystko.

Ścisnęła go mocniej, ale widział, że śledzi oczami Rhuna. Ksiądz siedział z głową pochyloną w modlitwie i ze złożonymi chudymi dłońmi. Jordanowi nie podobało się zachowanie Erin wobec sangwinisty od czasu, gdy ten ją ukąsił. Rzadko odrywała od niego wzrok, kiedy był w pobliżu. Często dotykała palcami dwóch drobnych blizn na szyi, a jej twarz nie wyrażała przy tym strachu, lecz coś w rodzaju melancholii. Wtedy w katakumbach coś się stało, coś, o czym do tej

pory głośno nie opowiedziała. Jordan nie wiedział, co to było, ale wyczuwał, że zataiła przed nim nie tylko swoje krwawe wizje.

Nie mógł jednak w żaden sposób skłonić jej, by się przed nim otworzyła. Najwyraźniej zmagala się z czymś bardzo osobistym, a on postanowił nie naciskać. Teraz najlepiej było po prostu doprowadzić zadanie do końca, a potem zabrać Erin jak najdalej od Rhuna.

W tym celu...

Poruszył się, jedną ręką wciąż trzymając mocno Erin.

– Czy ktoś w ogóle wie, gdzie znajdziemy Pierwszego Anioła? Albo chociaż gdzie powinniśmy zacząć szukać?

Erin usiadła prosto.

– To zależy od tego, kim jest Pierwszy Anioł – powiedziała.

Hrabina, która siedziała przy sąsiednim stoliku, uniosła ręce i zabrzczała kajdankami.

– Czy Biblia nie uczy nas, że Pierwszym Aniołem jest Gwiazda Poranna, pierwsze światło dnia, syn brzasku?

– Masz na myśli Lucyfera – podjęła Erin. – Znano go pod tymi imionami i rzeczywiście był pierwszym aniołem, który upadł. Jednak w Biblii mowa jest o wielu aniołach, którzy byli przed nim. Pierwszym wymienionym w Księdze Rodzaju jest ten, który przyszedł do niewolnicy Hagar, nakazał jej wrócić do pani i urodzić dziecko panu.

– Owszem, to prawda. – Uśmiech hrabiny był najzimniejszy, jaki Jordan kiedykolwiek widział. – Ale jak możemy liczyć, że znajdziemy anioła bez imienia?

– Słuszna uwaga – przyznała Erin.

Batory schyliła głowę, akceptując komplement.

Uwagę Jordana zwróciło to, że Rhun i Bernard śledzą wymianę zdań między kobietami. Christian również zerknął mu w oczy, jakby chciał powiedzieć: „A widzisz, przecież mówiłem, że te dwie będą ze sobą współpracowały”.

Skryta w cieniu hrabina przymknęła srebrzyste oczy, jak gdyby pogrążyła się w myślach. Długie kosmyki czarnych włosów spływały po jej popielatych policzkach.

Erin wyglądała przez okno w stronę słońca; pociąg ze stukotem kół toczył się przez pola usiane olbrzymimi belami siana.

Hrabina otworzyła oczy.

– Może powinniśmy skupić poszukiwania na aniołach o znanych imionach. Pierwszym wymienionym w Biblii z imienia jest Gabriel, najważniejszy herold Boga. Czy on może być tym, którego szukamy?

Duchowni siedzący przy stole mieli niepewne miny. Erin o dziwo milczała i dalej wyglądała przez okno.

– Gabriel jako posłaniec? – Nadia uniosła brwi; wciąż stała za Batory z łańcuchem w dłoni. – Skoro ma dojść do wojny, to lepszym sojusznikiem byłby archanioł Michał.

Jordan rozejrzał się, uprzytomniwszy sobie raptem całą dziwaczność tych rozważań. Jeśli ustalą, że chodzi o anioła biblijnego, to jak go znajdą i doręczą mu księgę?

– Czy aniołowie nie żyją aby w innym wymiarze, niedostępnym dla ludzi? – zgłosił wątpliwość. – W jaki sposób do niego dotrzemy?

– Aniołowie mieszkają w Niebie – oznajmił Rhun i skierował wzrok na swoje splecione dłonie. – Ale mogą schodzić na Ziemię, jeśli taka jest ich wola.

– Chyba nie chcesz powiedzieć, że łączycie się z nimi za pomocą specjalnego telefonu? – Sierżant żartował, ale niezupełnie. Sporo doświadczył od czasu, gdy dowiedział się o istnieniu *strigoi* i sangwinistów, i nie zdziwiłby go już żaden sekret Kościoła.

– Ten telefon nazywa się modlitwa – odrzekł kardynał, zmarszczeniem brwi kwitując nonszalancką uwagę Amerykanina. – Godzinami modliłem się na kolanach, by Pierwszy Anioł się ujawnił. Ale wątpię, czy zechce. Nie przede mną. Ujawni się jedynie triadzie zapowiedzianej w prorocztwie.

– Jeśli masz rację, drogi kardynale, to powinniśmy niezwłocznie rozpocząć modły do Lucyfera – powiedziała Batory. – Bo zaiste tylko upadły anioł byłby skłonny się ujawnić przed triadą, której tak daleko do nieskazitelności.

Erin wciąż patrzyła przez okno z nieobecny wyrazem twarzy świadczącym o tym, że jest pogrążona w myślach.

– Nie sądzę, by celem naszych poszukiwań był Gabriel, Michał albo Lucyfer – odezwała się. – Uważam, że potrzebny jest nam Pierwszy Anioł z Apokalipsy.

Hrabina parsknęła śmiechem iomal nie zaklaskała w dłonie.

– Ten, który dmie w fanfary i wtedy następuje koniec świata. Cóż za urocza hipoteza!

– *I pierwszy zatrąbił. A powstały grad i ogień – pomieszane z krwią, i spadły na ziemię – zacytowała z pamięci Erin. – A splotęła trzecia część ziemi i splotęła*

trzecia część drzew, i spłonęła wszystka trawa zielona³.

Armagedon.

Taka była stawka.

Jordan wyobraził sobie grad i ogień zmieszane z krwią i westchnął.

– No więc gdzie go szukać?

Erin odwróciła głowę od okna.

– Wydaje mi się, że odpowiedź kryje się we wcześniejszym ustępie Apokalipsy, poprzedzającym dźwięk trąb. Jest tam taki werset: *I przyszedł inny anioł, i stanął przy ołtarzu, mając złote naczynie na żar, i dano mu wiele kadzideł, aby dał je w ofierze jako modlitwy wszystkich świętych, na złoty ołtarz, który jest przed tronem. I wzniosł się dym kadzideł jako modlitwy świętych, z ręki anioła przed Bogiem. Anioł zaś wziął naczynie na żar, napełnił je ogniem z ołtarza i zrzucił na ziemię, a nastąpiły gromy, głosy, błyskawice, trzęsienie ziemi⁴.*

Jordan uśmiechnął się szeroko.

– Fajny kawałek, łatwy w interpretacji. – Z przyjemnością patrzył na zaskoczenie malujące się na twarzach sangwinistów. – Nie trzeba biblisty, żeby zgadnąć, o czym mowa. Dym z rąk anioła. Kadzidło. Grom. Trzęsienie ziemi.

Spoglądali na niego zdziwieni. Mina hrabiny wyrażała rozbawienie. Żołnierz miał dawać triadzie siłę mięśni, a nie stanowić jej mózg.

Erin dotknęła jego nadgarstka. Chciała, żeby wypowiedział na głos to, czego sama już się domyśliła.

Ścisnęła jej dłoń.

– To brzmi jak dokładny opis przebiegu wydarzeń w Masadzie. Pamiętacie chłopca, który przeżył? Zdawało mu się, że wyczuł w dymie zapach kadzidła i cynamonu. Znaleźliśmy nawet śladową ilość cynamonu w próbkach gazu. Wspomniał też o tym, że dym dotknął jego ręki, zanim wszyscy pomarli od zatrucia gazem i wstrząsów.

– *I wzniosł się dym kadzideł jako modlitwy świętych, z ręki anioła przed Bogiem* – powtórzył Rhun głosem przepełnionym czcią.

– Wszyscy, którzy byli na szczycie góry, zginęli. – Słowa sierżanta płynęły teraz szybciej. – Tylko istota niebędąca człowiekiem, taka jak anioł, mogła przeżyć kontakt z trującymi oparami.

Erin uśmiechnęła się do niego i zrobiło mu się ciepło.

– To zdarzenie jest zgodne z ustępem biblijnym – przyznała. – A co ważniejsze, wskazuje osobę, którą mamy szansę odnaleźć.

– Czyli tego chłopca – odezwał się nieprzekonany Rhun. – Rozmawiałem z nim wtedy na wierzchołku góry. Wyglądał całkiem zwyczajnie. Był głęboko wstrząśnięty, utrata matki i ojca pogrzyżyły go w żalu. Poza tym narodził się z ciała. Jak mógłby być aniołem?

– Nie zapominaj, że Chrystus także narodził się z ciała – zauważył kardynał. – Myślę, że nasze poszukiwania dobrze byłoby rozpocząć właśnie od tego chłopca.

Jordan skinął głową.

– Gdzie on jest? Czy ktoś to wie? Pamiętam, że ewakuowano go śmigłowcem ze szczytu góry, izraelscy wojskowi przewieźli go do swojej kliniki. Jeśli podążymy tym tropem, powinniśmy bez trudu go namierzyć.

– Trudniej, niż ci się zdaje – odparł Bernard z nagle zafrasowaną miną.
To nie był dobry znak.

12.05

– Dlaczego trudniej? – chciała wiedzieć Erin. Czuła, że odpowiedź nie będzie po jej myśli.

Kardynał westchnął z żalem.

– Ponieważ chłopiec nie jest już pod pieczę Izraelczyków.

– Więc gdzie on jest? – zapytała.

Zamiast odpowiedzieć Bernard odwrócił się do brata Leopolda. Niemiecki mnich siedział bez słowa w pobliżu tylnej części wagonu.

– Leopoldzie, ty najlepiej radzisz sobie z komputerem. Mój laptop jest w bagażu. Ojciec Ambrose zna hasła. Muszę wejść do swoich plików w Watykanie. Pomożesz?

Niemiec skinął głową.

– Na pewno mogę spróbować – powiedział i przeszedł szybko z wagonu jadalnego do kuchennego.

Kardynał odwrócił się do pozostałych.

– Obserwowaliśmy tego chłopca, utrzymywaliśmy kontakt z Izraelczykami, którzy badali go w klinice wojskowej. Nazywa się Thomas Bolar. Lekarze usiłowali dociec, w jaki sposób przeżył zetknięcie z trującym gazem. I wtedy...

Leopold wpadł jak burza do wagonu ze zwyczajnym czarnym laptopem w dłoni. Podszedł, położył go na stole i włączył. Poprawiwszy druciane okulary, zaczął stukać w klawisze z szybkością możliwą jedynie u sangwinisty. Jego palce migały nad klawiaturą; wszedł do internetu, wpisał hasła i połączył się z serwerem w Watykanie.

Bernard zaglądał mu przez ramię, od czasu do czasu udzielając wskazówek.

Erin nie bez zdziwienia patrzyła, jak mężczyźni w kapłańskich szatach korzystają z narzędzi nowoczesnej techniki. Należałoby oczekiwać, że sangwiniści snują się po kościołach i nekropoliach, a nie serfują w globalnej sieci komputerowej. Leopold sprawiał jednak wrażenie, że orientuje się w tym, co robi. W ciągu paru minut na ekranie komputera otworzyło się okienko z ziarnistym nagraniem wideo.

Erin przysunęła się bliżej, pozostali zrobili to samo.

Tylko hrabina została na miejscu. Wyraz jej twarzy wskazywał, że urządzenia techniczne ją deprymują. Nie spędziła długich lat w ich otoczeniu tak jak inni, nie miała więc czasu, by przystosować się do zmian. Erin zastanawiała się, jak to jest być wyrwaną z szesnastego wieku i rzuconą w dwudziesty pierwszy. Musiała oddać hrabinie sprawiedliwość – wydawało się, że Batory asymiluje się na bieżąco i jest przy tym bardzo elastyczna. Musi to sobie zapamiętać na przyszłość.

Tymczasem skupiła uwagę na ekranie laptopa.

– Oto zapis z kamery bezpieczeństwa w izraelskiej klinice wojskowej – odezwał się Bernard. – Obejrzyjcie go, później powiem więcej.

Na wyświetlaczu widać było chłopca siedzącego na szpitalnym łóżku. Miał na sobie cienki szlafrok związany z tyłu paskiem. Otarł łzy z oczu, po czym wstał i przesunął stojak z kroplówką bliżej okna. Oparł czoło o szybę i wyjrzał w ciemność.

Erin współczuła mu; oboje rodzice skonali w jego ramionach, a teraz tkwił samotnie w klinice wojskowej. Dobrze, że Rhun spędził z nim kilka minut, porozmawiał z nim i pocieszył, zanim rozpełtało się piekło.

Raptem obok chłopca ukazała się niewysoka postać. Twarz przybysza była odwrócona od kamery. Pojawił się znikąd, można było odnieść wrażenie, że ktoś skasował fragment zapisu wideo.

Nieznajomy był w ciemnym garniturze. Thomas cofnął się na jego widok, wyraźnie się go złąkł. Nastąpił ruch zbyt szybki, by dało się go zauważyć, i w

blasku lamp załśnił nóż. Chłopiec chwycił się za gardło, buchnęła krew i połała się na szlafrok.

Erin zadrżała, ale nie odwróciła wzroku od ekranu. Jordan przygarnął ją mocniej w opiekuńczym odruchu. W Afganistanie widział mnóstwo rozlewu krwi i zabójstw dzieci i zdawał sobie sprawę, jak trudno jest patrzeć na tego rodzaju akty okrucieństwa.

Thomas zatoczył się do tyłu, odstępując od intruza. Zerwał pęk rurek przymocowanych do swojej piersi. Na aparacie medycznym stojącym obok łóżka mignęły światelka alarmu. Chłopak usiłował ściągnąć pomoc.

Sprytnie.

Do sali wparowało dwóch izraelskich żołnierzy z bronią gotową do strzału.

Intruz cisnął krzesłem w szybę, wybijając ją, po czym chwycił Thomasa i wyrzucił go przez okno, zanim wojskowi zdążyli otworzyć ogień.

Szybkość jego ruchów wskazywała, że to *strigoi*.

Odwrócił się twarzą do żołnierzy, po raz pierwszy ją pokazując. Wyglądał jak chłopiec, i to najwyżej czternastoletni. Błyskawicznie uklonił się Izraelczykom, a potem wyskoczył przez okno.

– Ile wynosiła odległość od ziemi? – chciał wiedzieć Jordan, spoglądając na żołnierzy, którzy dobiegli do okna i bezgłośnie zaczęli strzelać.

– Cztery kondygnacje – odparł kardynał.

– Więc Thomas zginął – stwierdził sierżant. – Nie może być Pierwszym Aniołem.

Erin nie miała takiej pewności. Zerknęła na Bernarda, który właśnie szeptał coś Leopoldowi. Jeśli Thomas nie żyje, po co marnować czas na odtwarzanie zapisu z kamery?

– Chłopiec przeżył upadek – oznajmił purpurat i wskazał ekran.

Pojawił się obraz z drugiego pliku wideo, tym razem zarejestrowanego przez kamerę na parkingu.

Widać było spadającego chłopca; zakrwawiona koszula trzepotała wokół jego tułowia niczym skrzydła, a potem runął głową na czarny asfalt. Wokół niego migotały i tańczyły odłamki zbitej szyby.

Thomas poruszył się, nie ulegało wątpliwości, że żyje.

Ułamek sekundy później nieznajomy w garniturze wylądował obok niego.

Złapał chłopca za rękę, pomknął z nim na pustynię i błyskawicznie zniknął z widoku.

– Sądzimy, że porywacz to *strigoi*, zapewne w służbie Beliala – powiedział kardynał. – Wiemy jednak na pewno, że chłopiec, który przeżył katastrofę w Masadzie, nie był *strigoi*. Widziano go w świetle słońca. Izraelskie urządzenia medyczne wykazały u niego bicie serca.

– Ja także je słyszałem – potwierdził Rhun. – Trzymałem go za rękę, była ciepła. On żył.

– Ale żaden człowiek nie przetrwałby takiego upadku – wtrącił Leopold, który dalej stukał żwawo w klawiaturę laptopa, jakby poszukiwał odpowiedzi na jakies pytanie.

Erin spostrzegła, że otwiera okienko tekstowe i wysyła wiadomość, a potem je zamyka. Wszystko działo się bardzo szybko, trwało niespełna dwie sekundy, toteż nie zdążyła przeczytać ani słowa.

– Thomas jednak przeżył – odezwał się Jordan. – Podobnie jak w Masadzie.

– Tak jakby znajdował się pod boską pieczę. – Erin dotknęła ramienia Leopolda. – Puść jeszcze raz pierwsze nagranie. Chcę zobaczyć tego napastnika.

Mnich spełnił jej prośbę.

Kiedy intruz odwrócił się w stronę kamery, Leopold zatrzymał i powiększył obraz. Porywacz miał miłą owalną twarz z ciemnymi brwiami, z których jedna znajdowała się nieco wyżej. Oczy były w jasnym kolorze, włosy zaś krótkie i ciemne, z przedziałkiem na boku.

Erin go nie rozpoznała, lecz Rhun i Bernard zamarli na jego widok.

– Toż to Aleksiej Romanow – oznajmił po chwili kardynał.

Ciałem Erin wstrząsnął dreszcz.

Syn cara Mikołaja II...

Rhun zamknął oczy, najwyraźniej zaniepokojony czymś, co nagle sobie uświadomił.

– To jest powód, dla którego Rasputin tak łatwo rozstał się w Sankt Petersburgu z Ewangelią Krwi. Na pewno już wtedy zaplanował porwanie chłopca. Prowadził z nami grę na swoich warunkach, trzymał karty głęboko w rękawie. Powinienem był się domyślić.

– Mówicie o Romanowach? – spytała hrabina. – Za moich czasów ta rosyjska dynastia utraciła władzę i zesłano ją na północ. Czy odzyskała tron?

– Rządziła od tysiąc sześćset dwunastego do tysiąc dziewięćset siedemnastego – odpowiedział jej Rhun.

– A moja rodzina? – spytała hrabina, pochylając się. – Co się z nią stało? Czy my także wróciliśmy do władzy?

Książdz pokręcił głową, nie chcąc rozwijać wątku.

Nadia wprost przeciwnie, z wielką ochotą zaprezentowała koleje losu rodziny Batorych, przywołując jej zapomnianą historię.

– W konsekwencji zbrodni, które popełniłaś, twoje dzieci zostały oskarżone o zdradę, pozbawione majątku i wypędzone z Węgier. Na sto lat zakazano w kraju wypowiadać twoje nazwisko.

Hrabina o kilka milimetrów uniosła brodę, lecz w żaden inny sposób nie dała poznać, że się przejęła. Mimo to coś mignęło w jej oczach, kiedy odwracała głowę; za oschłością kryła się studnia żalu, świadectwo jej dawnego człowieczeństwa.

– Zatem Rasputin wprowadził tego chłopca – zmieniła temat Erin. – Ale dlaczego? Czym się kierował? – Nie usłyszała odpowiedzi na swoje pytanie i nikogo nie mogła za to winić. Pamiętała swoje zetknięcie z Rasputinem. Był przebiegły, podstępny i dbał tylko o siebie. Żeby przeniknąć pokrętne zamysły szalonego rosyjskiego mnicha, trzeba było być tak samo szalonym jak on.

Albo mieć podobną duszę.

Hrabina poruszyła się i rozejrzała po obecnych.

– Mniemam, że postąpił tak z nienawiści do was wszystkich.

Na południe od Rzymu, Włochy 19 grudnia, 12.22 czasu miejscowego

Terkoczący skład sunął niczym ruchomy tunel w jasnym świetle dnia. Elżbieta pociągnęła za łańcuch, który łączył jej kajdanki ze ścianą ostatniego wagonu.

Ta wstrętna sangwinistka Nadia zaprowadziła ją marszowym krokiem w ciemność i przykuła. Łańcuch był przytwierdzony do skobła na wysokości talii, srebrne ogniwa były tak krótkie, że Elżbieta musiała stać na chyboczącej się podłodze.

Stojąca w odległości paru kroków strażniczka obserwowała ją cierpliwie niczym lis królika w ziemnej norze.

Elżbieta skręciła dłonie, usiłując znaleźć sobie wygodniejszą pozycję. Srebrne kajdanki utworzyły ognisty krąg na nadgarstkach, ale czuła się swobodniej niż w wagonie restauracyjnym z rozchylną zasłonką, wpuszczającą snop słonecznego światła. Spoglądając na kobietę i żołnierza, nie okazywała, jak bardzo ją ono razi. Nie chciała przy nich ujawniać swojej słabości.

Pociąg toczył się po szynach, a ona rozstawiła szerszej stopy, żeby nie rzucało nią na boki. Przystosuje się. We współczesnym świecie istniało wiele obiektów o wielkiej mocy, a ona nauczy się nad nimi panować. Nie pozwoli, by rządził nią strach przed nimi.

Trzymała dłonie oparte o ścianę wagonu i cieszyła się ciepłem stali nagrzejanej przez słońce. Wyobraziła sobie jego ogniście jasny krążek sunący po błękitnym niebie z ostro zarysowanymi białymi obłokami. Takiego widoku nie oglądała od setek lat, ledwo go pamiętała. *Strigoj* nie wytrzymywali słonecznego blasku tak jak sangwiniści. Stęskniła się za dniem z jego ciepłem, życiem i wszystkim, co rośnie. Wciąż miała w pamięci swoje ogrody, jaskrawo ubarwione kwiaty i lecznicze zioła, które niegdyś uprawiała.

Ale czy wyrzeknie się swobody *strigoj* po to, by znów ujrzeć niebo, czy zgodzi się na bogobojne życie sangwinistki?

Wykluczone!

Potarła ciepłe dłonie jedną o drugą i dotknęła nimi swoich zimnych policzków. Nawet gdyby podjęła próbę konwersji, Bóg wiedziałby, że ma czarne serce, i poświęcone wino poraziłoby ją.

Zgodziła się pomagać sangwinistom, lecz złożyła tę obietnicę pod groźbą śmierci. Ani myślała dotrzymywać słowa, jeśli nadarzy się lepsza szansa przetrwania. Przysięga dana pod przymusem nie ma mocy wiążącej.

Hrabina nie była nic winna swoim ciemnościom.

Nadia wlepiła w nią wzrok, jakby usłyszała te myśli. Kiedy tylko Elżbieta odzyska wolność, ta rośla baba zapłaci za swoją bezczelność. Teraz jednak czuła, że spod jej pieczy trudno będzie się wyrwać. Sangwinistka najwyraźniej nią gardziła i wydawało się, że jest oddana Rhunowi, było to jednak przywiązanie do brata, członka zakonu, a nie uczucie kobiety do mężczyzny.

Nie sposób było powiedzieć tego samego o doktor Erin Granger.

Elżbieta bez trudu dostrzegła różowawe blizny na szyi archeolożki. Niedawno jakiś *strigoi* zakosztował jej krwi i puścił ją żywą. Zdarzało się to nieczęsto, a poza tym pospolity *strigoi* z pewnością nie zostawiłby takich równych śladów. Świadczyły one o samokontroli i ostrożności. Zauważyła pewne napięcie utrzymujące się między Erin a Rhunem i to, że się do siebie nie odzywają. Domyśliła się, Rhun ponownie zbłądził – pożywił się ludzką krwią.

Tym razem jednak nie uśmiercił ofiary i nie przemienił jej w potwora.

Uwagi Elżbiety nie uszło i to, że serce Erin zaczęło bić szybciej, kiedy sangwinista wszedł do wagonu. Uchwyciła niepokój w głosie tej kobiety, kiedy zobaczyła, w jakim ksiądz jest stanie, i wypowiedziała jego imię. Doszła do wniosku, że więź łącząca tę kobietę z Rhunem jest mocniejsza niż zwykła więź krwi między *strigoi* a jego ofiarą.

Hrabinę przepełniła gorąca, zjadliwa zazdrość.

Rhun należy do mnie i tylko do mnie.

Elżbieta drogo za to uczucie zapłaciła i nie chciała się nim dzielić.

Wróciła myślą do tamtej nocy, kiedy trzymała go w ramionach, do niewysłowionej miłości, która wreszcie znalazła ujście w żarze ust, cielesnym uścisku, szeptanych słowach namiętności. Miała świadomość, że wszystko to jest księdzu zakazane, ale nie mogła wiedzieć, że reguły te krępują również bestię czającą się w jego wnętrzu. Kiedy je złamał, wyszło na jaw jego drugie oblicze z ostrymi kłami i żądzami ciemniejszej natury. Ono właśnie wyrwało Elżbietę z jej dawnego życia i strąciło w wiekiastą ciemność.

A teraz Rhun spuścił tę bestię z uwięzi na inną kobietę, jej zaś wyraźnie na nim zależało.

Elżbieta dostrzegła pewną szansę w łączącym ich związku. Jeśli tylko nadarzy się okazja, wykorzysta to uczucie przeciwko nim i zniszczy oboje.

Tymczasem musiała się zadowolić czekaniem. Będzie towarzyszyła Bernardowi, choć mu nie ufała. Ani teraz, ani za swojego śmiertelnego żywota. Wtedy pragnęła ostrzec przed nim Rhuna, odgadywała, że w pozbawionej serca, świętoszkowatej piersi kardynała kryją się głębokie sekrety.

Czułe uszy Elżbiety usłyszały, że w sąsiednim wagonie wypowiedziano jej imię.

– Nie możemy sobie pozwolić na jej utratę – oznajmił Bernard. – Musimy zawsze wiedzieć, gdzie przebywa.

Odpowiedział mu młody mnich imieniem Christian:

– Nie martw się, już podjąłem kroki, żeby tego dopilnować. Będę ją trzymał na krótkiej smyczy.

– Postaram się o więcej kawy – odezwał się ktoś z wyraźnym niemieckim akcentem; to musiał być brat Leopold.

Lekkie kroki oddaliły się od stołu i skierowały ku pierwszemu wagonowi, w którym przygotowywano posiłki. Elżbieta usłyszała tam bicie innego serca; sangwiniści mieli zatem jeszcze jednego sługę o ludzkiej naturze.

Ci, którzy zostali przy stole, milczeli; zapewne rozmyślali o czekającej ich podróży.

– Opowiedz mi o tym Rosjaninie powiązany z dynastią Romanowów... – zwróciła się do Nadii. – Rasputin, tak? Dlaczego Kościół nie darzy go miłością? – Może uda się pozyskać w nim sojusznika.

Nadia milczała jak kamień, lecz jej twarz świadczyła o tym, że sangwinistka uwielbia tajemnice.

– Kardynał pragnie, żebym wzięła udział w waszym przedsięwzięciu – przypomniała z naciskiem Elżbieta. – Wobec tego muszę wiedzieć o wszystkim.

– Więc niech kardynał sam ci powie – odparła Nadia, krzyżując ręce na piersi.

Uświadomiwszy sobie, że tą metodą nic nie wskóra, Elżbieta wróciła do przerwane go podsłuchiwania. Jednakże stukot stalowych kół przybrał na sile i kiedy pociąg wspinał się na wzgórze, zagłuszał niemal wszystko.

Kilka minut później drzwi prowizorycznego więzienia otworzyły się i do środka wtargnęła woń posiłku, blask słońca i donośniejszy odgłos bicia ludzkich serc.

Wszedł kardynał z młodym sangwinistą Christianem. Towarzyszył im jakiś ksiądz człowiek, prawdopodobnie asystent kardynała. Elżbieta rozpoznała leniwe tętno, które posłyszała w pierwszym wagonie, gdy szykowano tam posiłek. Ona także zgłodniała, a ksiądz miał zaokrąglone brzuszysko, tłuste policzki i był pulchny od krwi niczym prosię czekające na ubój.

– Niebawem będziemy na miejscu – powiedział Bernard do Nadii. – Kiedy wysiądziemy z pociągu, ciebie i Christiana obarczam odpowiedzialnością za hrabinę.

– Chyba chciałeś powiedzieć „więźnia” – sprostowała Elżbieta. – Przyłączyłam się do waszych poszukiwań, a ty obdarzasz mnie tak małym zaufaniem?

– Na zaufanie trzeba sobie zasłużyć – zauważył Christian. – A ty jak dotąd masz na tym polu gigantyczny deficyt.

Elżbieta wysunęła rękę.

– Czy nie możecie przynajmniej pozwolić mi poruszać się swobodnie po tej celi? Jest dzień, nie mogę stąd uciec. Nie rozumiem, co by to szkodziło...

Odgłos eksplozji zagłuszył jej słowa. Cały wagon uniósł się, jakby dźwignęła go ręka Boga, i sunął na ryczącym grzmocie, któremu towarzyszyły ognie piekielne.

Na południe od Rzymu, Włochy 19 grudnia, 12.34 czasu miejscowego

Rhun zareagował na pierwsze drgnienie powietrza, pierwszy odgłos wybuchu. Popłynął na fali uderzeniowej, jakby czas uległ spowolnieniu i zrobił się gęsty niczym roztopione szkło.

Ksiądz rzucił się przez szerokość stołu i objął Erin, po czym rąbnął barkiem w zamknięte okno. Gruba zasłona owinęła się wokół jego ciała, kiedy się przebiła. Szkło wbiło się w jego ręce i plecy. Płomienie i ryk eksplozji wypędziły go na zewnątrz.

Kiedy wyskakiwał, wagon powiększył się do niemożliwych rozmiarów, aż pękła jego powłoka. Dym, sadza i drewno rozprysły się w ogromnym wybuchu.

Rzucony wysoko Rhun obrócił się na bok, spadł na ziemię i potoczył się. Jedną ręką obejmował plecy Erin, a drugą przyciskał sobie do piersi jej głowę. Poturlali się po ściernisku na zżętym polu, przez które prowadził szlak kolejowy.

Przez chwilę czuł zapach siana, lecz woń tę niemal natychmiast przykrył cierpki i gęsty swąd materiałów wybuchowych, gryzący smród węgla i charakterystyczny zapach spalonego ludzkiego ciała.

Pociąg eksplodował.

Ktoś zginął, być może nawet wszyscy.

Rhun trzymał w ramionach Erin, a ta krztusiła się i kaszała.

Ale żyła i fakt ten cieszył go bardziej, niż powinien.

Przesunął dłońmi po jej ciele, szukając dotykiem złamanych kości oraz krwi. Wykrył tylko zadrapania, parę skałeczeń i sińców. Nic ponadto. Splótł palce z jej palcami, chciał ją pokrzepić, załagodzić szok, który wysączał ciepło z jej ciała.

Opiekuńczym gestem przygarnął ją do siebie mocniej.

Dopiero wtedy odwrócił głowę, by objąć wzrokiem katastrofę, która rozlała się po polu.

Kawały osmalonego metalu leżały białe w żółtą trawę, rozsiane na torach i dymiącej ziemi uprawnej. Fragmenty czarnej lokomotywy zdmuchnęły z szyn.

Kocioł spoczywał w odległości stu metrów z wielką, ziejącą w niebo dziurą w stalowym brzuchu.

Płomienie nadżerały pola, z góry leciał deszcz popękane szkła podobny do skryształizowanego gradu, zmieszany z krwią. Sangwiniście przyszedł na myśl werset Apokalipsy świętego Jana: *A powstały grad i ogień – pomieszane z krwią, i spadły na ziemię.*

Czy tego właśnie byli świadkami?

Z torów wznosił się kurz i dym. Duży stalowy odłamek spadł jakiś metr od Rhuna i Erin; zasyczała para, gdy rozpalona powierzchnia zetknęła się z mokrą trawą.

Księdzu dzwonił w uszach uporczywy wysoki gwizd. Strzepnął dłonią szkło z sutanny i powyciągał odłamki z ręki. Nie wypuszczając z objęć Erin, rozejrzał się, ale nie dostrzegł żadnego ruchu.

Co się stało z innymi pasażerami?

Dotknął różańca i pomodlił się o ich bezpieczeństwo.

Wtedy dopiero wypuścił kobietę z ramion. Usiadła na trawie i objęła rękami kolana. Jej kończyny były umazane błotem i krwią. Odgarnęła sobie włosy z czoła. Twarz miała czystą dzięki temu, że Rhun osłonił ją swoim ciałem.

– Jesteś ranna? – spytał, zdając sobie sprawę, że z powodu dzwonienia w uszach mówi zbyt głośno.

Drżała, więc zapragnął wziąć ją znowu w objęcia i utulić. Jednakże wionął od niej zapach krwi i Rhun się nie ośmielił.

Ich spojrzenia się spotkały. Popatrzył kobiecie głęboko w oczy pierwszy raz od chwili, gdy przed paroma miesiącami zostawił ją na śmierć na dnie tunelu.

Samym tylko ruchem ust wypowiedziała jedno słowo:

– Jordan.

Pozbierała się na nogi i ruszyła chwiejnie w stronę torów. Rhun podążył za nią i lustrował wzrokiem odłamki wraku; chciał być przy Erin, kiedy znajdzie sierżanta.

Nie sądził, by Jordan zdołał przeżyć... By komukolwiek się to udało.

Elżbieta płonęła, turlając się po polu.

Blask słońca raził ją w oczy, doprowadzał je do stanu wrzenia. Z dłoni i twarzy hrabiny unosił się dym. Skuliła się i przycisnęła brodę do klatki piersiowej, rękami zakryła sobie głowę. Jej skwierczące włosy układały się w płomienną aureę.

Przed chwilą eksplodował wagon, pękł z odgłosem podobnym do grzmotu. Elżbieta runęła przez parzącą jasność niczym mroczny anioł. Obiema rękami chwyciła się srebrnego łańcucha, który wiązał ją z bezużytecznym kawałkiem metalu. Mignęły jej inne dłonie także zaciśnięte na łańcuchu, a potem oślepiło ją słońce.

Potężny huk pozbawił ją słuchu. Został jej w uszach szum, tak jakby morze wtargnęło do jej czaszki i przelewało się to w jedną, to w drugą stronę.

Usiłowała wejść głębiej w chłodne błoto, uciec od słonecznego światła.

Raptem czyjeś ręce przetoczyły ją i okryły ciemnością, ratując przed słońcem.

Poczuła zapach grubego wełnianego płaszcza i owinęła się nim. Parzenie ustąpiło i zmieniło się w ból, dając jej nadzieję przetrwania.

Ktoś krzyknął tuż obok niej; głos przebił się przez nieustający szum morza.

– Żyjesz?

Potwierdziła skinieniem głowy, bo nie miała zaufania do swojego głosu.

Kto ją ocalił?

To mógł być tylko Rhun.

Pragnęła go boleśnie, chciała, by ją przytulił i pocieszył. Żeby przeprowadził ją przez ból w przeszłość, która nie parzy.

– Muszę iść! – usłyszała.

Elżbiecie przejaśniło się w głowie i rozpoznała surowy ton.

To nie był Rhun.

Nadia.

Stała jej w oczach obraz dłoni, które ścisnęły ogniwa łańcucha, kontrolowały upadek, osłaniały ją. Nadia rzuciła na szalę swoje życie, by utrzymać łańcuch i ocalić Elżbietę. Hrabina miała jednak świadomość, że źródłem tego czynu nie było współczucie ani miłość.

Kościół nadal jej potrzebował.

Była chwilowo bezpieczna, lecz nasunęły się nowe obawy.

Gdzie jest Rhun? Czy przeżył?

– Zostań tu – rozkazała Nadia.

Elżbieta podporządkowała się, bo i tak nie miała wyboru. Ucieczka wciąż pozostawała nierealna. Za okrywającym ją płaszczem czyhała śmierć w płomieniach.

Przez chwilę rozważała, czy nie odrzucić okrycia i nie położyć kresu egzystencji pozbawionej końca. Nie zrobiła tego jednak. Skuliła się jeszcze bardziej, osłaniając się wełnianym płaszczem i kojącymi wyobrażeniami zemsty.

12.38

Erin szła, kuśtykając przez pole poranione metalowymi odłamkami pociągu. Krztusiła się oleistym dymem i usiłowała rozwikłać to, co się stało. Odtwarzała w głowie przebieg eksplozji.

Jej siła musiała być skupiona na parowozie, gdyż uległ prawie całkowitemu zniszczeniu. Czarne kawałki stali sterczały z gruntu niczym kikuty drzew. Ale ziemia była usłana nie tylko osmalonym metalem.

Obok szyn leżał tułów bez nóg. Erin zauważyła czapkę maszynisty.

Podbiegła do niego i uklękła na kłującej trawie.

Niewidzące brązowe oczy patrzyły w zasnute dymem niebo. Ręka w czarnym rękawie wysunęła się zza głowy Erin i zamknęła martwe powieki nieboszczyka. Maszynista nie miał nic wspólnego ze starożytnym proroctwem. Stawił się po prostu w miejscu pracy, żeby uczciwie spełnić swój codzienny obowiązek.

Jeszcze jedno niewinne istnienie.

Czy to się kiedyś skończy?

Uniosła głowę i spojrzała na Rhuna. Ksiądz dotykał wargami pectorału; poświęcone srebro parzyło miękką skórę, gdy szeptał modlitwę nad zmarłym.

Kiedy skończył, Erin wstała i poszła dalej, a sangwinista podążył za nią.

W odległości kilku metrów natknęła się na drugiego członka załogi pociągu, on także nie żył. Miał jasnokasztanowe kręcone włosy i piegi, jego policzek przybrudziła smuga sadzy. Wydawał się zbyt młody jak na kolejarza. Pomyślała o jego życiu. Czy miał dziewczynę, rodziców? Kto wie, jak daleko rozejdą się fale tej tragedii?

Zostawiła modlącego się księdza, chciała czym prędzej znaleźć Jordana.

Nieco dalej zobaczyła na torach resztki wagonu i stwierdziła, że jest to wagon kuchenny. Piec wystrzelił w powietrze i spadł, złościąc mały krater. W tym wagonie znajdował się Leopold. Jego również szukała, lecz nie było po nim ani śladu.

Dotarła do wraku wagonu restauracyjnego. Przednia część odpadła, lecz tył pozostał nienaruszony. Wagon wykoleił się i zarył głęboko w żyzną brązową glebę. W roztrzaskanym oknie trzepotała złota zasłonka.

Erin przywołała na pamięć chwilę tuż przed wybuchem. Rhun musiał go wyczuć. Wyrwał ją z ramion Jordana i wyskoczył z nią przez okno.

Cień sangwinisty padł na ziemię obok niej, ale nie odwróciła się, by na niego spojrzeć. Przeszukiwała wnętrze wagonu; bała się widoku zwłok, mimo to chciała znać prawdę.

Wagon był pusty.

Odeszła na parę kroków i zerknęła w kierunku wagonu sypialnego. Leżał na boku, jedna strona była wgnieciona i pęknięta. W dymie z prawej strony dostrzegła jakiś ruch i pobiegła tam.

Kardynał był umorusany sadzą, ale od razu go rozpoznała. Klęczał nad jakąś postacią rozciągniętą na ziemi, pochylony w żałobnej pozie. Za plecami Bernarda stał Christian i trzymał go za ramię.

Erin przedostała się przez rumowisko, lękając się najgorszego.

Christian zapewne wyczuł, że ona się zbliża, bo odwrócił głowę; jego twarz pokrywała czarna krew. Zaskoczona tym widokiem Erin potknęła się i omal nie upadła.

Rhun podtrzymał ją i ruszyli dalej.

Bernard szlochał, jego ramiona unosiły się i opadały.

Ofiarą nie mógł być Jordan.

To było wykluczone.

Gdy Erin podeszła do Christiana, ten ze smutkiem pokręcił głową. Zrobiła jeszcze dwa kroki i stanęła obok kardynała.

Mężczyzny leżącego na ziemi nie sposób było rozpoznać, twarz miał umorusaną sadzą, a jego ubranie się spaliło. Przeniosła spojrzenie na obnażone ramiona i srebrny krzyż na piersi.

To był ojciec Ambrose.

Nie Jordan.

Bernard trzymał w dłoniach poparzone dłonie księdza i patrzył na oblicze pozbawione życia. Ambrose służył kardynałowi wiele lat. Odnosił się do ludzi oschle, ale on i kardynał byli do siebie przywiązani. Przed kilkoma miesiącami Erin widziała, jak klęczy w krwi papieża, i stara się ratować starca po ataku, nie bacząc na własne bezpieczeństwo. Ambrose był mężczyzną zgorzkniałym, ale był również oddanym obrońcą Kościoła, a teraz poświęcił życie w jego służbie.

Kardynał uniósł głowę.

– Wezwaliśmy śmigłowiec. Musicie odnaleźć pozostałych, zanim przybędzie tu policja i służby ratownicze.

– Musimy także uważać na sprawcę, który wysadził pociąg – dodał Christian.

– To mógł być zwyczajny, choć tragiczny w skutkach wypadek – sprostował Bernard i znów skierował wzrok na Ambrosego.

Erin zostawiła zasmuconego kardynała i przestępując dymiące fragmenty pociągu, rozglądała się po polu. Obok niej szli Christian i Rhun, ich głowy odwracały się to w jedną, to w drugą stronę. Miała nadzieję, że dzięki swoim wyostrzonym zmysłom znajdą jakąś wskazówkę świadczącą o losie sierżanta.

– Tutaj! – krzyknął Christian i uklęknął.

Na ziemi leżała znajoma głowa z blond włosami.

Jordan.

Proszę, nie...

Strach osadził Erin w miejscu. Zabrakło jej tchu, oczy zwilgotniały. Usiłowała nad sobą zapanować. Kiedy Rhun ujął ją za rękę, wyrwała się i sama pokonała ostatnich kilka kroków.

Leżał płasko na wznak. Granatowy mundur był w strzępach, biała koszula także się podarła.

Erin opadła na kolana i chwyciła jego dłoń. Drżącymi palcami poszukała pulsu. Był równomierny. Kiedy dotknęła jego ręki, Jordan otworzył oczy.

Rozpląkała się z radości.

Wciąż trzymając jego dłoń, patrzyła, jak pierś Jordana unosi się w oddechu. Erin przepelniała wdzięczność, że znalazła go żywego.

Wzrok sierżanta skupił się na jej twarzy, dostrzegła w nim ulgę. Pogładziła go po policzku i czole, upewniając się, że jest cały.

– Cześć, skarbie – powiedział ruchem ust. – Świetnie wyglądasz.

Objęła go i wtuliła twarz w jego pierś.

Rhun patrzył, jak Erin trzyma żołnierza w objęciach. Pierwsze myśli skierowała na Jordana i tak powinno być. Sangwinista również miał swoje obowiązki.

– Gdzie jest hrabina? – zapytał Christiana.

Ten pokręcił głową.

– Kiedy wagon eksplodował, zobaczyłem, że ona i Nadia wylatują na zewnątrz. Prosto w blask słońca. – Christian wskazał miejsce za główną częścią wraku. – Trajektoria ich ruchu wskazywała, że powinny spaść po drugiej stronie torów.

Rhun zerknął na dwoje Amerykanów.

– Idźcie – powiedziała Erin i pomogła Jordanowi usiąść. – Spotkamy się tam, gdzie jest kardynał.

Sangwiniści oddalili się, młodszy brykał przez pole z lekkością żrebaka. Wydawało się, że wybuch nie wyrządził mu żadnej szkody, Rhun tymczasem był obolały na całym ciele.

Kiedy przekroczyli tory, Christian odbił nagle w bok, jakby coś wypatrzył. Rhun ledwo za nim nadążał.

Z wysokiego słupa dymu wyszła im naprzeciw, kuśtykając, wysoka postać w czarnym ubraniu.

Była to Nadia.

Christian zbliżył się do niej i mocno ją uściśnął. On i Nadia często brali razem udział w zadaniach wyznaczanych przez Kościół.

Po chwili Rhun znalazł się obok nich.

– Elisabeta?

– Piekielna hrabina żyje. – Nadia wskazała coś, co przypominało niewielki kopczyk w odległości kilkuset metrów. – Ale jest dotkliwie poparzona.

Rhun ruszył pospiesznie ku okrytej płaszczem postaci.

Christian, idąc za nim wraz z Nadią, przekazywał jej informacje.

– A co z Leopoldem? – spytała.

Twarz Christiana posmutniała.

– Znajdował się w wagonie kuchennym, blisko miejsca wybuchu.

– Będę kontynuowała poszukiwanie – oznajmiła Nadia. – Wy zadbajcie o jej wysokość. I przygotujcie ją do dalszej drogi.

Zniknęła w dymie, a Rhun tymczasem dotarł do Elżbiety. Nadia przykryła hrabinę własną peleryną podróżną. Książdz przyklęknął, czując swąd spalonego ciała.

Dotknął okrycia.

– Elisabeto?

Gdy odpowiedział mu jęk, przepełniła go litość. Elżbieta Batory słynęła z odporności na ból. Taka reakcja była świadectwem straszliwej męki.

– Będzie potrzebowała krwi, jeśli ma wydobrzc – zwrócił się do Christiana.

– Nie zaproponuję swojej. A tobie też nie zbywa.

Rhun pochylił się nad niewidoczną hrabiną. Nie odważył się unieść okrycia, by ocenić obrażenia. Wsunął rękę pod pelerynę i znalazł dłoń. Musiało to sprawić ból Elżbiecie, mimo to ścisnęła ją mocno.

Zabiorę cię stąd i będziesz bezpieczna, przyrzekł w myślach.

Spojrzał na jasne niebo ze smugami dymu.

Dokąd mogą się udać?

12.52

Śmigłowiec nadleciał szybko na niskim pułapie i usiadł na niezniszczonym kawałku pola. Pilot uchylił szybę i zamachał ręką do stojących przy wraku.

– Nasza podwózka – odezwał się Jordan, rozpoznawszy luksusową maszynę, bliźniaczo podobną do tej, która kilka miesięcy temu zabrała jego i pozostałych z pustyni w pobliżu Masady.

Wziął Erin za rękę i omijając szczątki wagonów, doszli do śmigłowca. Drżały mu nogi, lecz ona miała się doskonale. Przypomniawszy sobie, jak Rhun w okamgnieniu wyrывa ją z jego objęć, wybija okno i wyskakuje równocześnie z wybuchem.

Natychmiastowa reakcja sangwinisty przypuszczalnie ocaliła jej życie.

Może powinien przebaczyć mu to, że pożywił się Erin i zostawił ją na śmierć w rzymskich katakumbach. Wciąż jednak nie umiał znaleźć w sobie wystarczająco dużo dobrej woli.

Rotor śmigłowca podrywał z ziemi kurz i strzępki trawy. Pilot miał na sobie znajomy granatowy mundur gwardii szwajcarskiej; wskazał gestem, żeby wsiedli

do tyłu kabiny.

Erin wdrapała się pierwsza i wyciągnęła rękę do sierżanta. Ten odsunął na bok dumę i pozwolił sobie pomóc.

Po zapięciu pasów wyrzwał przez otwarte drzwi na sangwinistów. Wirujący pył przesłaniał wszystko oprócz zbliżających się sylwetek Christiana i Rhuna. Dźwigali nieforemną czarną bryłę całkowicie spowitą płaszczem.

Hrabina.

Z tumanu za ich plecami wynurzył się Bernard ze zwłokami ojca Ambrosego na rękach. Kilkuosobowy pochód zamykała Nadia.

Christian i Rhun wsiedli do kabiny. Kiedy zajęli miejsca, ksiądz wziął na kolana owiniętą hrabinę i oparł sobie na ramieniu jej opatuloną głowę.

– Ani śladu Leopolda? – zapytał sierżant Christiana.

Młody sangwinista pokręcił głową.

Nadszedł Bernard i wyciągnął przed siebie ręce, w których niósł ciało Ambrosego. Wraz z Christianem przypasali je do noszy szybkimi i wprawnymi ruchami, tak jakby robili to już tysiąc razy.

Bo i zapewne tak było.

Kardynał odszedł od śmigłowca i pozwolił wsiąść Nadii. Klepnął pilota w ramię i uniesionym kciukiem dał sygnał do startu.

Zgodnie z planem miał zostać na miejscu katastrofy, objaśnić wszystko policji i zrelacjonować tragedię szerszej publiczności. Czekало go trudne zadanie, tym bardziej że nadal pogrążony był w żalu.

Rotor przyspieszył przy wtórze ryku silnika i śmigłowiec oderwał się od ziemi.

Nabrawszy wysokości, przeleciał nad krwawym rumowiskiem.

Wszyscy pasażerowie przystawili twarze do szyb i spoglądali w dół, by po chwili dojść do smutnego i nieuchronnego wniosku.

Brat Leopold przepadł jak kamień w wodę.

Castel Gandolfo, Włochy

19 grudnia, 13.04 czasu miejscowego

Erin ścisnęła rękę Jordana, podczas gdy śmigłowiec mknął w kierunku kamiennej wioski wyglądającej jak skansen, która usadowiła się pośród sosen i gajów oliwnych nad rozległym jeziorem. Jego kobaltowa toń nasuwała jej wspomnienie jeziora Tahoe i budziła tęsknotę za Kalifornią bezpiecznie oddaloną od rzezi i zamętu.

Ale i tam nie znalazłam spokoju, pomyślała. Wciąż miała w pamięci Blackjacka i dziki wrzask wielkiego kota blesfemora. Czy to się kiedyś naprawdę skończy?

Pilot kierował maszynę ku pokrytemu bujną roślinnością kraterowi wulkanu, który górował nad jeziorem i głównym placem wioski. Nad jego kamienną krawędzią wznosił się niczym korona ogromny pałac z dachem z czerwonej dachówki, dwiema ołowianymi kopułami i wielkimi tarasami. Teren wokół prezentował się równie imponująco: pieczołowicie utrzymane prywatne ogrody, sadzawki rybne i szmerzące fontanny. Alejki ocieniały sosny i olbrzymie wiecznie zielone dęby. Erin wypatrzyła nawet ruiny willi rzymskiego cesarza.

Bez trudu rozpoznała letnią rezydencję papieską.

Castel Gandolfo.

Śmigłowiec zmierzał ku lądowisku, ona zaś głowiła się, dlaczego przylecieli w to miejsce. Czy zmierzali tutaj od początku, czy dopiero po eksplozji pociągu ktoś wybrał ten pałac jako odpowiednią kryjówkę?

Koniec końców nie miało to znaczenia. Potrzebny im był odpoczynek.

W czasie sztormu każdy port...

Erin zerknęła na współpasażerów i uświadomiła sobie tę prawdę. Umęczoną twarz Jordana pokrywały sadza i brud. Surowe oblicze Nadii było nieruchome, lecz widniał na nim cień smutku. Zmarszczki twarzy Christiana wciąż znaczyły ślady krwi, które bardzo go postarzały; a może to było tylko zmęczenie.

Rhun siedział naprzeciwko i nie odrywał wzroku od tobołka tkwiącego na jego kolanach. Patrzył z niepokojem i smutkiem, jedną ręką trzymając przy ramieniu

głowę hrabiny. Ona zaś spoczywała w jego objęciach nieruchomo jak trup.

Gdy tylko płozy dotknęły płyty lądowiska, sangwiniści czym prędzej odprowadzili Erin i Jordana. Ciało Ambroseggo zostało na pokładzie; podczas wysiadania każdy z sangwinistów go dotknął, nawet Rhun. Christian oznajmił, że piloci zatroszczą się o zwłoki księdza.

Erin i Jordan ruszyli za mnichami żwirową ścieżką prowadzącą przez ogród różany z dawno przekwitłymi krzewami. Po paru minutach dotarli do drzwi w kształcie szpadla, osadzonych w murowanej ścianie ogrodu. Christian otworzył je i poprowadził towarzyszy korytarzem o lśniącej lastrykowej posadzce. Po obu stronach znajdowały się salony i pokoje ze średniowiecznymi gobelinami i połączanymi meblami.

Kiedy doszli do rozwidlenia korytarza, Nadia skierowała Rhuna w lewo. Christian dał Erin i Jordanowi znak, żeby poszli w prawo.

– Zaprowadzę was do pokoi, w których będziecie mogli się obmyć – powiedział.

– Nie pozwolę, żeby Erin znikła mi z pola widzenia – zaznaczył Jordan.

Mocniej ścisnęła jego dłoń. Ona także nie zamierzała spuścić go z oczu.

– Już się tego domyśliłem – odparł Christian. – Ja też nie spuszczę was z oczu, dopóki nie dotrzecie bezpiecznie do pokoju. Plan polega na tym, że mamy czekać na powrót kardynała. Podkurujemy się i uporządkujemy szyki, a później pomyślimy, co dalej.

Wszystko zostało ustalone i dwójka Amerykanów podążyła za Christianem. Wysokie okna po jednej stronie korytarza wychodziły na jezioro. Po niebieskiej tafli sunęły białe żagle, a w powietrzu szybowały mewy. Sielski widok wydawał się niemal surrealistyczny po obrazach zniszczenia i śmierci, które niedawno zobaczyli.

Jordana nie zauroczył, jego myśli wędrowały gdzie indziej.

– Jak sądzicie, co się stało z Leopoldem?

Młody sangwinista dotknął pektorału.

– Był bliżej źródła wybuchu. Może nigdy nie odnajdziemy jego ciała. Ale kardynał będzie szukał aż do przybycia ekip ratowniczych i policji. Jeśli zwłoki Leopolda zostaną znalezione, kardynał przywiezie je tutaj.

Doszli do dębowych drzwi, Christian otworzył je i wszyscy weszli. Szybko zbliżył się do okien wychodzących na jezioro i zamknął okiennice, po czym

zapalił kilka lamp z kutego żelaza. W pokoju było podwójne łóże przykryte białą kołdrą, marmurowy kominek oraz kącik wypoczynkowy obok okien.

Sangwinista wyszedł małymi bocznymi drzwiami. Erin podążyła za nim, a Jordan zamykał pochód. Znaleźli się w prostej łazience z białymi ścianami, ubikacją i umywalką. W rogu był prysznic wyłożony takimi samymi marmurowymi płytkami jak posadzka. Na niskim drewnianym stoliku leżały dwa grube ręczniki, a na wierzchu świeża odzież.

Okazało się, że Erin będzie nosiła jasnobrązowe spodnie i białą koszulę z bawełny. Dla Jordana przygotowano dżinsy i brązową koszulę.

Na drzwiach łazienki wisiały znajome skórzane kurtki. Podczas poprzedniej misji ona i sierżant nosili te wierzchnie okrycia uszyte ze skór wilkozorów, odporne na cięcia bronią białą i ukąszenia *strigoi*. Gdy Erin dotknęła wytartej brązowej skóry, przypomniały jej się stoczone bitwy.

Christian otworzył szafkę z medykamentami i wyjął zestaw pierwszej pomocy.

– Powinno tu być to, czego potrzebujecie. – Odwrócił się i skierował do drzwi wejściowych. Wziął do ręki solidną sztabę opartą o ścianę i podał sierżantowi. – Ma wzmocniony stalowy rdzeń.

Jordan zważył ją w dłoni.

– Rzeczywiście.

– Po moim wyjściu zablokuj nią drzwi. – Sangwinista wskazał komodę stojącą przy nogach łóżka. – Tam znajdziesz broń. Nie sądzę, żeby była potrzebna, ale lepiej mieć się na baczności.

Jordan skinął głową i popatrzył na komodę.

– Nie wpuszczajcie nikogo poza mną – rzekł Christian.

– Nawet kardynała i Rhuna? – spytała Erin.

– Nikogo – powtórzył sangwinista. – Ktoś wiedział, że jedziemy tym pociągiem.

Nie ufajcie nikomu oprócz siebie, taka jest moja rada.

Kiedy wyszedł i zamknął za sobą drzwi, Jordan założył na nie ciężką sztabę.

– To była pogadanka pokrzepiająca w wykonaniu Christiana – podsumowała Erin. – Jakoś nie dodał mi otuchy.

Sierżant podszedł do komody i ją otworzył. Wyjął pistolet maszynowy.

– Beretta AR siedemdziesiąt. O, coś takiego dodaje mi otuchy. Wyrzuca do sześciuset pięćdziesięciu pocisków na minutę. – Przejrzał zapas amunicji

i uśmiechnął się, wyjmując colta 1911. – To nie mój pistolet, ale widać, że ktoś zrobił rozpoznanie. – Podał broń Erin.

Zajrzała do magazynka. Naboje były zrobione ze srebra, nadawały się do walki z ludźmi, a w starciu ze *strigoi* były nieodzowne. Srebro reagowało z ich krwią i dzięki temu szanse w walce się wyrównywały. *Strigoi* to gatunek trudny do zabicia, są odporniejsi niż ludzie, mogą kontrolować upływ krwi i mają nadnaturalną zdolność do gojenia ran. Ale nie są odporni na wszystko.

Jordan skierował wzrok na łazienkę.

– Pozwolę ci pierwszej wypróbować prysznic, a ja tymczasem rozpalę ogień w kominku.

Taki plan bardzo Erin odpowiadał, przez cały dzień nie usłyszała lepszego.

Najpierw jednak podeszła do Jordana i wciągnęła nosem jego duszny zapach z domieszką sadzy. Uniosła głowę i pocałowała go, ciesząc się, że żyje i z nim jest.

Kiedy się odchyliła, spojrzał na nią z z troską.

– Wszystko w porządku?

Jak może być w porządku? – pomyślała.

Nie była żołnierzem, nie potrafiła przespacerować się jakby nigdy nic przez pole usiane ludzkimi szczątkami. Jordan był wyszkolony, sangwiniści również, ale ona nie miała pewności, że chciałaby być tak twarda jak oni, nawet gdyby mogła. Pamiętała nieobecne spojrzenie, które czasem widywała u Jordana. Wszystko ma swoją cenę; przypuszczała, że sangwiniści także ją znają.

– Ale ja nie pytam o dzisiaj – powiedział szeptem, wciąż ją trzymając. – Od naszego spotkania w Kalifornii mam wrażenie, że coś przede mną ukrywasz.

Wysunęła się z jego objęć.

– Każdy ma jakieś sekrety.

– Opowiedz mi o swoich.

Coś zatrzepotało w niej ze strachu.

Nie tutaj, nie teraz. Żeby ukryć swoją reakcję, odwróciła się i skierowała do łazienki.

– Dość już mam na dzisiaj sekretów. – To była kulawa wymówka. – Teraz w głowie mi tylko gorący prysznic i ciepły kominek.

– Nie zgłaszam sprzeciwu – rzucił Jordan, ale był rozczarowany.

Weszła do łazienki i zamknęła drzwi. Z przyjemnością zrzuciła z siebie ubranie, zadowolona, że może się uwolnić od woni sadzy i dymu. Mydło pachniało lawendą, a szampon był cytrynowy. Stała długo pod gorącymi

strugami wody, zmywając z siebie osad dnia. Jej skóra zrobiła się miękka i wrażliwa.

Wytarła się i włożyła przyjemny w dotyku szlafrok, a potem bosy wróciła do głównego pokoju. Lampy były zgaszone, jedyne światło padało z trzaskającego ognia.

Jordan przetoczył drewniane polano bliżej płomieni i wyprostował się. Zdjął już marynarkę i porozdzieraną koszulę. Jego skóra błyszczała w blasku kominka, była posiniaczona, pokryta rozcięciami i podrapana. Tatuż na lewej stronie klatki piersiowej zdawał się błyszczeć. Oplatał jego bark i schodził wypustkami w dół po ramieniu i na plecy. Przypominał rozszczepiające się korzenie drzewa skupione wokół ciemnego znamienia na piersi.

Erin знаła dzieje tego śladu. Jordan został rażony piorunem, kiedy chodził jeszcze do liceum. Krótki czas był w stanie śmierci klinicznej, zanim go reanimowano. Nagły przepływ energii pozostawił znak fraktalny na jego skórze, rozsądził naczynia włoskowate. Powstał twór nazywany figurą Lichtenberga, inaczej kwiat pioruna. Zanim znikł, Jordan kazał zrobić sobie tatuż, by przypominał mu o bliskim spotkaniu ze śmiercią. Otarł się o tragedię i chciał przemienić to doświadczenie w obraz piękna.

Zbliżyła się do niego, jakby przyciągnęła ją resztką energii gromu.

Sierżant odwrócił się do niej z uśmiechem.

– Mam nadzieję, że nie zużyłaś całej gorącej...

Położyła mu palec na ustach, nie chciała teraz słów. Jednym ruchem rozwiązała pasek i zrzuciła z siebie szlafrok. Zsunął się po jej piersiach i opadł na stopy.

Odgarnęła sobie włosy z szyi, odsłaniając ją zapraszająco. Jordan całował ją powoli, kierując się ku obojczykowi. Jęknęła i odsunął głowę. W jego oczach, zamglonych namiętnością, kryło się niewypowiedziane pytanie.

Zamiast na nie odpowiadać, pociągnęła go za pasek spodni w stronę łóżka.

Kiedy się tam znaleźli, zdjął resztę ubrania i odrzucił na bok.

Nagi i pobudzony uniósł Erin w ramionach. Oplotła nogami jego umięśnione uda i osunęli się na pościel. Pochylał się nad nią, przesłaniając sobą cały świat, wszystko, pozostali tylko oni i ta chwila.

Przygarnęła go złąkniona pocałunku, smakowała go, jej zęby poszukały jego dolnej wargi, ich języki się spotkały. Ciepłymi dłońmi przesuwiał po jej skórze

i piersiach, zostawiając elektryzujący ślad. Potem ręce Jordana zsunęły się w dół jej pleców, żeby ją unieść.

Wygięła się, pragnęła go; wiedziała, że zawsze będzie go pragnąć.

Jego usta powędrowały ku jej szyi, prześlizgnęły się po bliznach.

Erin stęknęła i przyciągnęła mocno jego głowę, jakby błagała go, żeby ją ukąsił, napoczął ją od nowa. Cisnęło jej się na wargi imię, ale zamknęła je w sobie, nim się wydostało.

Prosił, żeby wyjawiała mu swoje sekrety.

Najgłębsze sekrety to te, które ukrywamy, sami o nich nie wiedząc.

Usta Jordana przesunęły się do jej ucha, oddech rozgrzewał jej kark. Następne słowa wyszeptał chrapliwie, przepelniała je prawda, którą czuł i która przenikła do głębi jej umysłu.

– Kocham cię.

Poczuła łzy napływające do oczu. Przybliżyła usta do jego warg i wyszeptała, kiedy się o siebie ocierały.

– I ja cię kocham.

Była to prawda i Erin ją czuła, ale może nie cała prawda.

Castel Gandolfo, Włochy

19 grudnia, 13.34 czasu miejscowego

Rhun niósł Elżbietę ciemnym korytarzem, w którym pachniało drewnem i starym winem. Ten zakątek podziemi pałacu służył niegdyś jako osobista winnica papieża. W niektórych zapomnianych komorach wciąż stały olbrzymie dębowe beczki i regały z zielonymi butelkami pokrytymi grubą warstwą kurzu.

Zszedł za Nadią kolejnymi schodami, które prowadziły do kondygnacji zarezerwowanej dla zakonu. Czuł, że drżą mu ręce. Na pokładzie śmigłowca wziął łyk konsekrowanego wina. Wzmocniło go na tyle, że mógł odbyć tę wędrówkę do podziemi, jednak słabość nadal go nie opuszczała.

Nadia przemierzyła kamienny tunel wykuty w wulkanicznej skale i stanęła przed zamurowanym wejściem wyglądającym na ślepe.

– Mogę wziąć karę na siebie – powiedział Rhun.

Sangwinistka zbyła to milczeniem i dotknęła czterech cegieł: nad głową, w okolicy brzucha i na wysokości obu ramion. Razem tworzyły kształt krzyża.

Nacisnęła centralny kamień i wyszeptala słowa wypowiedane przez członków zakonu od czasów Chrystusa:

– Pijcie z niego wszyscy.

Kamień ustąpił i odsłonił maleńką misę wyżłobioną w cegle poniżej.

Nadia dobytek sztyletu i wbiła koniuszek w środek dłoni; w tym miejscu przebito gwoździami ręce Chrystusa. Zwinęła dłoń i trzymała, aż nagromadziło się kilkanaście kropel krwi. Następnie przechyliła ją i wylała do misy szkarłatną zawartość.

Ciało Elżbiety stężało w ramionach Rhuna, hrabina zwęszyła zapach krwi Nadii.

Odstąpił kilka kroków, żeby Nadia mogła dokończyć.

– To jest kielich krwi mojej na znak nowego i wiecznego Przymierza.

Po ostatnich słowach cegły się rozsunęły, tworząc kształt wąskich drzwi.

– *Mysterium fidei* – powiedziała Nadia i pchnęła.

Kamienie zgrzytnęły o cegły i drzwi wsunęły się do środka.

Nadia wślizgnęła się pierwsza, a Rhun wszedł za nią, bacząc, by nie zawadzić ciałem Elżbiety o krawędzie muru. Kiedy znaleźli się w środku, hrabina zwiotczała w jego ramionach. Zapewne wyczuła, że znajduje się głęboko pod ziemią, gdzie słońce jej nie dosięgnie.

Szczupła sangwinistka sunęła tunelem szybko i bez wysiłku, w jej kończynach było o wiele więcej siły niż w rękach i nogach Rhuna. Przemknęła obok wejścia do kaplicy sangwinistów i kierowała się do części, do której zapuszczano się rzadko: do lochów.

Rhun podązał za nią. Bez względu na to, jak poważne były obrażenia Elżbiety, pozostawała ona więźniem.

Cele były w tym stuleciu nieczęsto używane, lecz kamienna posadzka lśniła, gdyż wygładziły ją podeszwy butów, które stąpały po niej przez setki lat. Ilu *strigoi* wtrącono do tego lochu i postawiono przed wyborem? Wchodzili tutaj i albo przystępowali do zakonu sangwinistów, albo czeźli jako dusze przeklęte.

Nadia zatrzymała się przed najbliższą celą i szarpnęła grube żelazne drzwi. Tęgie zawiasy i solidny zamek potrafiły utrzymać w środku nawet najmocniejszego *strigoi*.

Rhun wniósł hrabinę i ułożył ją na pryczy. Wyczuł zapach świeżego siennika i pościeli. Ktoś przygotował dla niej tę celę. Na topornym drewnianym stoliku obok łóżka stała woskowa świeca i rzucała na ściany migotliwy blask.

– Przyniosę olejki na jej oparzenia – oznajmiła Nadia. – Możesz zostać z nią sam? Nic ci nie grozi?

W pierwszej chwili targnął nim gniew, lecz szybko go powściągnął. Nadia miała prawo się niepokoić.

– Tak.

Znikła błyskawicznie, zadudniły drzwi. Rhun usłyszał, jak przekręca klucz w zamku. Ani myślała ryzykować.

Usiadł na pryczy obok Elżbiety i delikatnym ruchem uniósł rękawy płaszcza, odsłaniając drobne dłonie. Skrzywił się na widok osocza ciekącego z pękniętych pęcherzy, spod których wyzierała poparzona różowa skóra. Czuł żar promieniujący z jej ciała; zdawało się, że organizm usiłuje wyrzucić z siebie gorąco słonecznych promieni.

Odgarnął resztę okrycia, ale hrabina odwróciła głowę ukrytą pod aksamitnym kapturem.

- Nie życzę sobie, żebyś oglądał moją twarz – powiedziała chrapliwym głosem.
- Mogę ci pomóc.
- Niech to zrobi Nadia.
- Dlaczego?

- Bo... – odsunęła się dalej od Rhuna – moje oblicze wzbudzi w tobie odrazę.

- Myślisz, że dbam o takie rzeczy?

- Ale ja dbam – szepnęła głosem niewiele donośniejszym od oddechu.

Zgodnie z jej wolą zostawił kaptur na miejscu i ujął dłoń Elżbiety. Zauważył, że jej wnętrze jest wolne od poparzenia. Wyobraził sobie, jak ogarnięta parzącym blaskiem słońca zaciska dłonie z bólu. Oparł się plecami o kamienne bloki i odpoczywał, trzymając ją za rękę.

Palce hrabiny pomału zamknęły się na jego palcach.

Owładnęło go przeogromne zmęczenie, sięgnęło aż do szpiku kości. Ból wskazywał zranione miejsca: miał rany cięte na barkach, zadrapania na przedramionach, parę oparzeń na plecach. Jego powieki zaczęły opadać, gdy nagle usłyszał energiczne pukanie do drzwi. Klucz obrócił się w zamku i jęknęły zawiasy.

Do celi weszła Nadia. Ściągnęła brwi na widok dłoni Elżbiety zamkniętej w rękę księdza, ale nic nie powiedziała. Niosła kamionkowe naczynie przykryte brązowym płótnem. Zapach rozszedł się po wnętrzu, wypełnił je.

Ciało Rhuna się ożywiło, z gardła Elżbiety wydobył się pomruk.

W garnku była krew.

Ciepła, świeża ludzka krew.

Nadia zapewne pobrała ją od ochotnika spośród personelu pałacu. Podeszła do pryczy i wręczyła garnek Rhunowi.

Ten odmówił.

- Elisabeta woli, żebyś to ty opatrzyła jej rany.

Nadia uniosła brwi.

- A ja wolałabym nie. Już raz ocaliłam życie jej wysokości, nic więcej nie zrobię. – Wyciągnęła skórzaną flaszkę i podała Rhunowi. – Konsekwane wino dla ciebie. Wolisz wypić teraz czy po opatrzeniu ran hrabiny?

Postawił naczynie na stole.

- Nie pozwolę, by cierpiała ani chwili dłużej.

- Zatem wkrótce po was przyjdę – powiedziała sangwinistka, wyszła i ponownie zamknęła drzwi na klucz.

Jęk Elżbiety przypomniał Rhunowi o zadaniu, które go czekało.

Zanurzył płótno w garnku tak, by dobrze nasiąkło krwią. Poczul żelazistą woń, mimo że wstrzymywał oddech. Aby wzmocnić się przeciw napływającemu z samej głębi pragnieniu, dotknął pectorału i pomodlił się o siłę.

Następnie uniósł rękę i przesunął po niej płótnem. Tkanina musnęła skórę Elżbiety.

Hrabina stęknęła głosem stłumionym przez kaptur.

– Sprawilem ci ból?

– Tak – szepnęła. – Nie przestawaj.

W miejscach, które dotykał zwilżoną krwią dłonią, pęcherze odpadały i skóra goiła się. Skończywszy, sięgnął do kaptura.

Uchwyciła go skrwawionymi palcami za nadgarstek.

– Odwróć wzrok.

Rhun był świadom, że tego życzenia nie wolno mu spełnić. Uniósł kaptur, odsłaniając najpierw biały podbródek uwalany brudną ziemią i różowy od poparzenia. Delikatne usta Elżbiety były spękane i krwawiły. Krew sącząca się z ich kącików zaschła w czarne strużki.

Zebrał w sobie siłę woli i podniósł kaptur do końca. Blask świecy padł na kształtne policzki Elżbiety. Tam gdzie była kiedyś biała skóra zapraszająca do dotyku, ujrzał poczerniałe strzępy pokryte pęcherzami i sadzą. Puszyste włosy prawie całkowicie znikły wypalone słońcem.

Srebrzyste oczy spojrzały na niego. Ich rogówki były zamglone, prawie ślepe.

Mimo to zobaczył w nich strach.

– Jestem teraz dla ciebie odrażająca?

– Nigdy.

Zmoczył płótno i uniósł je do zmasakrowanej twarzy. Możliwie najłżejszym ruchem przesuwał nim po jej czole, policzkach i szyi. Krew osiadała na skórze, wsiąkała w pęcherze i plamiła białą poduszkę pod głową Elżbiety.

Jej woń odurzała Rhuna, ciepło łaskotało w zimne palce, ogrzewało dłonie, nęciło, by posmakował. Łaknął tego całą swoją istotą.

Tylko jedną kropelkę.

Za pierwszym razem ledwie zmył sadzę z twarzy Elżbiety. Potem skupił się na zniszczonej tkance. Przemycwał ją raz po raz i patrzył ze zdumieniem, jak znikają rany i powoli wyłania się alabastrowa skóra. Na skórze głowy pojawiło się puste ciemne miejsce – zapowiedź nowych bujnych pukli. Najbardziej jednak oczarował

go widok jej twarzy, nieskazitelnie pięknej jak w dniu, w którym ją pokochał w dawno umarłym ogrodzie różanym obok zamku obróconego teraz w ruinę.

Przesunął miękką tkaninę po ustach Elżbiety, pozostawiając na nich cieniutką warstwę krwi. Srebrzyste oczy otworzyły się i popatrzyły na niego, znów jasne, lecz zamglone w tej chwili pożądaniem. Nachylił głowę do jej ust i przycisnął do nich wargi.

Smak szkarłatnego ognia rozszedł się w jego ciele szybko, jak ogień zapałki rozbiega się po suchym sianie. Wsunęła zakrwawione palce w jego włosy, otoczyła go chmurą głodu i żądz.

Gdy usta Elżbiety rozchyliły się pod jego pocałunkiem, zatracił się w jej zapachu, w jej krwi, w jej miękkości. Nie miał czasu na delikatność, a ona jej nie chciała. Bardzo długo czekał, żeby znów się z nią złączyć, a ona czekała na niego.

Przyrzekł sobie w tamtej chwili, że wyrzuci rychłą zemstę na tym, który sprawił, że musiała płonąć w blasku słońca.

Ale do tego czasu...

Osunął się na Elżbietę i płomień pożądania zmiotł wszystkie myśli.

Na południe od Rzymu, Włochy 19 grudnia, 13.36 czasu miejscowego

Zagrzebany głęboko w olbrzymiej beli siana Leopold szukał wygodnej pozycji. Żdźbła dziurawiły jego sutannę i drapały w oparzone miejsca. Mimo to nie odważył się opuścić kryjówki.

W chwili eksplozji wyskoczył z wagonu i na fali uderzeniowej poleciał przez ściernisko. Tylko ręka Boga mogła sprawić, że kiedy nastąpił wybuch, stał zasłonięty kotłem. Największy impet pochłonął metalowy zbiornik i dzięki temu Leopold nie spalił się w jednej chwili na proch.

Wyrzuciło go z wagonu i frunął w powietrzu poparzony i zakrwawiony, a potem spadł i ślizgnął się po chłodnym błocie zimowego pola. Oszołomiony i ogłuszony, wczołgał się w belę siana, żeby się schronić, zastanowić i ułożyć plan działania.

Nie wiedział w tym momencie, czy jest jedynym, który ocalał.

Czekając, zatamował krew ciekącą z licznych ran. Wreszcie, gdy dzwonienie w uszach ustało, posłyszał rytmiczne dudnienie lądującego śmigłowca przytłumione warstwą siana, która go otaczała.

Nie wiedział również, czy to kardynał wezwał śmigłowiec i czy przybyli nim ratownicy. Mimo to pozostał w ukryciu. Wprawdzie to nie on podłożył bombę, ale miał świadomość, że ponosi winę za zamach. Gdy tylko wysłał wiadomość tekstową do Damnatusa z informacją o tym, że wszyscy znaleźli się na pokładzie i że snują hipotezy co do tożsamości Pierwszego Anioła, pociąg eksplodował, całkowicie zaskakując Leopolda.

Choć może wcale nie powinien się czuć zaskoczony.

Ilekroć Damnatus zlokalizował to, na czym mu zależało, zadawał śmiertelny cios.

Bez chwili zawahania.

Śmigłowiec oderwał się od ziemi i odleciał, a Leopold usłyszał, że Bernard nawołuje go z bólem w głosie. Leopold bardzo pragnął do niego podejść, ukoić jego

zał, błagać o przebaczenie i naprawdę wstąpić znów do zakonu sangwinistów.

Ale rzecz jasna tego nie uczynił.

Cel wytyczony przez Damnatusa, jakkolwiek naznaczony okrucieństwem, był czysty i słuszny.

W ciągu następnej godziny nadleciało więcej śmigłowców, a później wśród wycia syren, pokrzykiwania ludzi i tupotu stóp przybyły pojazdy ratownicze. Leopold skulił się jeszcze bardziej w beli siana. Odgłosy chaotycznej krzątania zagłuszał każdy dźwięk, który wyda podczas pokuty.

Wreszcie mógł się napić świętego wina i uleczyć.

Nie bez trudu wysupłał skórzaną flaszkę i podniósł ją do ust. Zdjął zębami zatyczkę i wypuł, a potem wziął długi łyk. Pozwolił, by poniósł go ogień.

Głęboko pod powierzchnią Drezna Leopold kłęczy w wilgotnej krypcie oświetlonej jedną jedyną świecą. Od chwili, gdy zawyły syreny alarmu lotniczego, nikt nie odważył się zapalić światła ze strachu, że ściągnie na domostwo furję brytyjskich bombowców.

Słyszysz detonację bomby wysoko nad swoją głową, huk sprawia, że od sklepienia odrywają się luźne kamienie. Stojący na powierzchni kościół został trafiony przed tygodniami. Ocalała tylko ta krypta, wejście do niej wygrzebali sangwiniści, którzy tam mieszkali.

Leopold kłęczy między dwoma innymi mężczyznami. Podobnie jak on, obaj należeli do rodzaju strigoi i w tę ciemną burzliwą noc przygotowywali się do złożenia ostatnich ślubów sangwinistów. Stał przed nim mnich zakonnik w ozdobnej szacie, ze złotym kielichem w czystych białych dłoniach.

Kłęzący obok Leopolda strigoi drżał. Czyżby lękał się, że jego wiara nie jest wystarczająco silna? Że pierwszy haust krwi Chrystusa będzie dla niego ostatnim?

Kiedy nadeszła jego kolej, Leopold schylił głowę i wymienił swoje grzechy. Było ich wiele. Za śmiertelnego życia był niemieckim lekarzem. Na początku wojny lekceważył nazistów, stawiał im opór. Powołano go jednak do wojska i wysłano na front. Miał tam leczyć młodych mężczyzn, których ciała poszarpały pociski z karabinów i bomby albo których złożyły choroby, głód i mróz.

Pewnej zimowej nocy wałęsająca się wataha strigoi spadła znienacka na jego oddział w Alpach Bawarskich. Ziębnięci żołnierze bronili się karabinami i bagnietami, lecz walka nie potrwała dłużej niż kilka minut. Na samym początku ataku Leopold doznał złamania kręgosłupa, nie był w stanie ani walczyć, ani się

poruszać. Mógł jedynie patrzeć na rzeź ze świadomością, że i na niego przyjdzie kolej.

Potem strigoi o posturze chłopca zawłókł go za nogi do pustego zimnego lasu. Tam uszło z Leopolda życie, a jego krew wypaliła parujące dziury w brudnym białym śniegu. Przez cały czas dziecię wysokim czystym głosem śpiewało niemiecką piosenkę ludową. Taki powinien być koniec nędznego żywota Leopolda, jednakże chłopiec postanowił przemienić go w potwora.

Leopold się bronił, kiedy krew wlewała się do jego ust, lecz raptem odraza przeszła w głód i rozkosz. Chłptał, a chłopiec nie przestawał śpiewać swojej pieśni. Czas wojny to wszak raj dla strigoi.

Leopold, ściągając na siebie niezmierną hańbę, pożywił się.

Pewnego razu napotkał człowieka, którego nie był w stanie ukąsić. Zmysły powiedziały mu, że kropla jego krwi przyniesie mu śmierć. Nieznajomy go zaintrygował. Jako lekarz Leopold zapragnął przejrzeć jego tajemnicę. Śledził go tygodniami noc w noc, zanim odważył się do niego odezwać. Mężczyzna wysłuchał go i zrozumiał wstręt, który Leopold czuł wobec tego, czym się stał.

W zamian wyjawił mu swoje prawdziwe imię. Zostało ono przeklęte przez Chrystusa, toteż Leopold nigdy nie považał się nazywać go w myślach inaczej niż Damnatuś. W tamtej chwili wskazano mu drogę do zbawienia, do służenia Chrystusowi potajemnie.

I to właśnie doprowadziło go do krypty ukrytej głęboko pod powierzchnią Drezna.

Kłęczał więc wraz z innymi i wyliczał swoje grzechy.

Otrzymał polecenie, by odszukać sangwinistów i wmieszać się w ich szeregi, lecz jednocześnie pozostać uszami i oczami Damnatuśa.

Wtedy przysiągł wierność i tej nocy musi przysięgę ponowić.

Spadła następna bomba i ze sklepienia posypał się kurz. Penitent po lewej stronie załkał. Leopold zachował milczenie. Nie obawiał się śmierci. Powołano go, by służył wyższemu celowi, by wypełnił przeznaczenie tysięcy lat.

Penitent wziął się w karby, przeżegnał się i dokończył litanię grzechów. Wreszcie słowa się wyczerpały. Powierzył swoje grzechy Bogu. Teraz zostanie oczyszczony.

– Czy wyrzekasz się swoich grzechów z najprawdziwszej miłości do Boga, a nie z lęku przed potępieniem? – zapytał ksiądz sangwinista, zwracając się do strigoi kłęczącego obok Leopolda.

– Wyrzekam się – odpowiedział tamten.

– Powstań więc i bądź osądzony. – Twarz księdza zasłaniał kaptur.

Penitent wstał z drżeniem i rozchylił usta. Kapłan uniósł złoty kielich i wlał czerwone wino na jego język.

W tej samej chwili mężczyzna zaczął krzyczeć, a z jego ust wydostała się smuga dymu. Albo nie odżałował w pełni za grzechy, albo dopuścił się kłamstwa. Bez względu na przyczynę jego duszę uznano za splamioną i ciało nie zniosło świętości krwi Chrystusa.

Takie ryzyko podejmowali wszyscy, którzy wstępowali do zakonu.

Stwór upadł na kamienną posadzkę i zaczął się wić; jego wrzask odbijał się od nagich ścian. Leopold schylił się, żeby go dotknąć i uspokoić, ale zanim sięgnął do niego ręką, ciało rozsypało się w proch.

Wypowiedział modlitwę za strigoi, który zapragnął porzucić złą drogę, nawet jeśli jego serce nie było czyste. Potem uklękął i ponownie złożył dłonie.

Zakończył swoją długą spowiedź i czekał na wino. Jeżeli jego wybór jest słuszny, nie obróci się w pył przed świętym sangwinistą. Jeśli on oraz ten, któremu służy, myślą się, wystarczy jedna kropla napoju.

Rozchylił usta i pozwolił, by Chrystus wlał się do jego ciała.

I przeżył.

Powrócił do swojego roztrzęsionego ciała, ze wszystkich stron napierało na nie kłujące siano. Nigdy nie uważał przemiany ze strigoi w sangwinistę za grzech, za coś, co wymagało pokuty.

Dlaczego Bóg zesłał mi tę wizję?

Czemu teraz?

Przez pełną trwogi chwilę Leopoldowi zdawało się, że Bóg wie, iż dokonał konwersji pod fałszywym pretekstem. Że jego przeznaczeniem jest zdradzenie zakonu, tak jak Damnatuś zdradził Chrystusa.

Leżał długo i rozmyślał o tym, a potem przełknął swoje obawy.

Nie.

Ujrzał tę wizję właśnie dlatego, że jego misja jest prawdziwa.

Bóg darował mu wtedy życie, by służył Damnatuśowi, i dzisiaj darował mu je znowu. Kiedy zajdzie słońce i ratownicy opuszczą miejsce katastrofy, Leopold pod osłoną nocy wygrzebie się z beli siana i będzie dalej dążył do celu bez względu na koszt.

Bo tak nakazał mu Bóg.

Rzym, Włochy

19 grudnia, 13.44 czasu miejscowego

Judasz pociągnął za wiosła i wąska łódź pomknęła po Tybrze. Słońce odbijało się od srebrzystej powierzchni wody i raziło go w oczy. W ostatnich dniach roku rozkoszował się zarówno światłem, jak i zanikającym ciepłem.

Stado wron zakołowało w górze i znikło wśród nagich gałęzi nadrzecznego parku, który wznosił się na tle jasnego zimowego nieba.

Judasz utrzymywał rytm, wiosłował mocniej, zmagając się z falą, którą pozostawiła za sobą przepływająca motorówka. Nurt Tybru przeorywały większe jednostki, więc ta wątła łódź mogła w mgnieniu oka rozpaść się w drzazgi. O tej porze roku był jedynym wiosłarzem, który narażał się na zimową temperaturę i staranowanie przez motorówki, promy i frachtowce.

Telefon odezwał się, sygnalizując wiadomość tekstową od recepcjonistki.

Westchnął, bo znał jej treść bez czytania. Pociąg papieski wyleciał w powietrze, przeżył tylko kardynał. Wszyscy inni pasażerowie na pokładzie ponieśli śmierć.

Następne pociągnięcie wiosel.

Teraz, gdy triada zapowiedziana prorocstwem nie żyła, nic już nie stało mu na drodze.

Brat Leopold w swoim esemesie wspomniął o Pierwszym Aniele, tym, którego przeznaczeniem było wykorzystanie Ewangelii Krwi jako oręża w nadchodzącej Wojnie Niebios. Skoro nie było triady, anioł nie stanowił już zagrożenia, jednakże Judasz nie lubił zostawiać niedomkniętych spraw.

Kapitan promu zatrąbił syreną i Judasz uniósł rękę w pozdrowieniu. Mężczyzna poprawił czarną czapkę i zamachał ręką. Witali się tak prawie dzień w dzień od dwudziestu lat. Judasz widział, jak kapitan z młodego chudego wyrostka, niepewnego swoich ruchów przy sterach, przeistacza się w korpulentnego starca. Mimo to nie poznał jego nazwiska.

Patrząc, jak umierają najbliżsi i przyjaciele, zaczął rozumieć samotność. Nauczył się trzymać na dystans od innych, gdyż śmierć kładła kres przyjaźniom

trwającym pokolenia.

Ale co z nieśmiertelnym chłopcem, o którym wspomniał Leopold?

Thomas Bolar.

Judasz go zapragnął. Potarguje się z Rasputinem, zapłaci tyle, ile mnich zażąda, i sprowadzi nieśmiertelne dziecko do siebie. Jego serce uderzyło szybciej na myśl o tym, że pozna kogoś takiego jak on. I o roli, która była przeznaczeniem tego chłopca.

Miał on się przyczynić do spowodowania końca świata.

Wielka szkoda, że nie poznał go na wcześniejszym etapie swego długiego życia. Mógłby dzielić nieskończony bieg lat z kimś, kto także był wolny od oków wieku i czasu.

Judaszowi ofiarowano taką szansę przed wiekami, ale ją zmarnował.

Być może to jest moja kara.

Pociągając za wiosła, wyobrazil sobie ciemną skórę Arelli i jej brązowe oczy. Przypomniawszy sobie pierwszą przejażdżkę, na którą ją zabrał po tym, jak spotkali się ponownie przy okazji weneckiej maskarady. Wtedy również wziął drewnianą łódź i popłynął tam, gdzie chciał popłynąć. Nie zdawał sobie sprawy, jak mało od niego zależy.

Gondola sunęła po spokojnych wodach ciemnego kanału pod błyszczącymi gwiazdami i księżycem w pełni. Odepchnął się tyczką i łódź wpłynęła w zwiewną mgiełkę obok wielkiego weneckiego domu. Raptem otoczył ją smród odchodów i wdarł się w przyjemną noc niczym obłok siarki.

Judasz skrzywił się na widok rury, z której sączyła się do kanału letnia zawartość ścieku.

Na widok jego reakcji i wyrazu twarzy Arella parsknęła śmiechem.

– Czyżby to miasto nie było dość wyrafinowane jak na twój gust?

Skinieniem głowy wskazał salony wypełnione śmiechem i dekadentckim rozgwarem, a następnie strugę brudów paskudzącą wodę.

– Są doskonalsze sposoby pozbywania się takich ścieków.

– Odkryją je, kiedy przyjdzie na to czas.

– Już je odkryli i zagubili. – W głosie Judasza zabrzmiała gorzka nuta, skutek obserwacji ludzkich dziejów.

Arella powiodła długim ciemnym palcem po kadłubie gondoli powleczonym czarnym lakierem.

– Masz na myśli cuda dawnego Rzymu, czasy jego świetności.

Pchnięciem tyczki oddalał gondolę od oświetlonych domów w stronę gospody.

– Wiele zaginęło podczas upadku miasta – powiedział.

– Zostanie odzyskane – odparła, wzruszając ramionami. – W swoim czasie.

– Niegdyś rzymscy uzdrowiciele wiedzieli, jak leczyć choroby, na które ludzie w obecnej epoce wciąż cierpią i umierają.

Westchnął na myśl, że tak dużo uległo zatraceniu w tych czasach ciemnoty. Żałował, że nie studiował medycyny, bo mógłby dzięki temu przechować tę wiedzę po tym, jak spłonęły biblioteki, a ludzie nauki musieli chwycić za miecze.

– Ten wiek przeminie – rzuciła Arella. – Wiedza zostanie znów odnaleziona.

Srebrzysta księżycowa poświata padała na jej włosy i odsłonięte ramiona, a on nie mógł się nadziwić urokowi tajemnicy, którą miał przed sobą. Odnaleźli się ponownie i przetańczyli większość nocy, wirując po drewnianych podłogach, a teraz znaleźli się w tym miejscu. Zbliżał się świt.

Postanowił poruszyć temat, którego unikał przez cały wieczór, ponieważ bał się odpowiedzi.

– Arella... – Przestał odpychać gondolę i pozwolił jej dryfować przez mgłę swobodnie niczym liść. – Poznałaś moje imię, zasz więc także mój grzech, moją zbrodnię i klątwę, którą obłożył mnie Chrystus, i tym samym skazał na niekończący się pochód przez lata. Ale ty... w jaki sposób ty...?

Nie zdążył dokończyć pytania. Zrozumiała i uśmiechnęła się.

– Co mówisz mi o moim imieniu?

– Arella – powtórzył, płynnie formując je na języku. – Piękne imię, starożytne. W starohebrajskim oznaczało wysłannika Boga.

– I jakże trafne – dodała. – Często nosiłam wiadomości od Boga. Także pod tym względem jesteśmy podobni. Dwoje sług niebios związanych powinnością.

Judasz prychnął cicho.

– W odróżnieniu od ciebie ja nie otrzymywałam specjalnych wiadomości z góry. – Choć bardzo tego pragnął. Kiedy gorycz klątwy osłabła, stale się zastanawiał, dlaczego nałożono karę na jego ciało, odmawiając mu śmierci. Była to wyłącznie pokuta za grzech czy też miało to służyć innemu celowi, którego dotąd nie zgłębił?

– Fortuna ci dopisuje – powiedziała. – Ja chętnie pogodziłabym się z tym milczeniem.

– Dlaczegoż to?

Westchnęła i dotknęła srebrnego odłamka wiszącego na jej szyi.

– Przekleństwem może być mgliste widzenie przyszłości, świadomość nadchodzącej tragedii i niemożność jej odwrócenia.

– Jesteś więc prorokinią?

– Kiedyś nią byłam. – Jej ciemne oczy zerknęły przelotnie na księżyc. – Wiele razy, tak powinnam rzec. Raz nosiłam tytuł Wyroczni Greckiej, kiedy indziej znów Sybilli Erytrejskiej. Przez stulecia miałam bez liku imion.

Wstrząśnięty Judasz usiadł na siedzisku. Trzymając tyczkę w wodzie, ujął dłoń Arelli. Mimo chłodu nocy wyczuwał ciepło emanujące z jej ciała; była o wiele cieplejsza niż większości istot ludzkich, mężczyzn i kobiet.

Jej usta ułożyły się w znany mu już półuśmiech.

– Wątpisz we mnie? Ty, który widziałeś za życia, jak świat zmienia postać, a potem zmienia ją ponownie?

Najdziwniejsze było to, że ani trochę w nią nie wątpił.

Gondola sunęła cicho w blasku księżyca, a półuśmiech wciąż błąkał się na ustach kobiety. Jak gdyby znała jego myśli, jakby już odgadła, co podejrzewał.

Czekała.

– Nie udaję, że znam się na takich sprawach – zaczął, przypominając sobie, jak obejmował ją w tańcu. – Ale...

Poruszyła się na siedzisku.

– Nie udajesz, że na jakich sprawach się znasz?

Ścisnęła zapalczywie jej gorącą dłoń.

– Na naturze kogoś takiego jak ty. Kogoś, kto otrzymuje wiadomości od Boga. Kto przeżywa tyle wieków. Kto jest taką doskonałością. – Zaczerwienił się, wypowiadając ostatnie zdanie.

Roześmiała się.

– Czy zatem bardzo się różnię od ciebie?

Wiedział w głębi serca, że różni się tak naturą, jak i charakterem. Ona była ucieleśnieniem dobra, on zaś popełnił czyny straszliwe. Wpatrywał się w ten żywy cud, znał drugie miano boskiego posłańca, inną postać imienia Arella.

Zmusił się, by wypowiedzieć ją na głos.

– Ty jesteś aniołem.

Złożyła przed sobą ręce jak w modlitwie. Powoli z jej ciała zaczęło promieniować łagodne złociste światło. Jego ciepło napełniło go radością i poczuciem świętości.

Oto miał przed sobą inną wieczną istotę – lecz wcale do niego niepodobną.

Tam gdzie w nim było zło, w niej było dobro.

Tam gdzie w nim była ciemność, w niej – światłość.

Zamknął oczy i wchłaniał w siebie jej blask.

– Dlaczego do mnie przyszłaś? Czemu tutaj jesteś? – Otworzył oczy i popatrzył na wodę, na domy, na ścieki spływające kanałem, a potem znów na nią, na piękno ponad wszelką miarę. – Czemu jesteś na Ziemi, a nie w Niebie?

Świetlisty nimb przygasł i Arella znowu przypominała zwyczajną kobietę.

– Aniołowie mogą zstępować na Ziemię. – Spojrzała na niego. – I mogą też upadać. – Podkreśliła ostatnie słowo.

– Ty upadłaś?

– Dawno temu – potwierdziła, widząc szok i zaskoczenie na jego twarzy. – Wraz z Gwiazdą Poranną.

Tak brzmiało jedno z określeń Lucyfera. Judasz nie chciał uwierzyć, że została strącona z Nieba.

– Ale ja wyczuwam w tobie jedynie dobro.

Patrzyła na niego cierpliwie.

– Dlaczego upadłaś? – nie dawał za wygraną, jakby to było proste pytanie zadane w zwyczajną noc. – Nie mogłaś popełnić czegoś nikczemnego.

Spojrzała na swoje dłonie.

– Trzymałam ukrytą w sercu świadomość pychy Lucyfera. Przewidziałam jego bunt, a mimo to milczałam.

Judasz usiłował przeniknąć myślą to zdarzenie. Siedząca naprzeciwko niego istota zataiła przed Bogiem prorocstwo odnoszące się do Wojny Niebios i za to została strącona.

Arella uniosła głowę.

– Była to sprawiedliwa kara. Jednak w przeciwieństwie do Gwiazdy Porannej, ja nie życzyłam źle ludzkości. Swoje wygnanie postanowiłam poświęcić na to, by opiekować się boską trzodą na Ziemi, dalej służyć Niebu tak, jak mogłam.

– W jaki sposób służysz Niebu?

– W każdy możliwy. – Strząsnęła paprochy z sukni. – Największe moje osiągnięcie zdarzyło się w twoim stuleciu, uchroniłam wtedy małego Chrystusa od krzywdy. Stróżowałam nad nim, kiedy był bezbronnym niemowlęciem w tym okrutnym świecie.

Judasz w zawstydzeniu schylił głowę. Arella uczyniła to, czego on zaniechał, kiedy Jezus był starszy. Zdradził nie tylko Syna Bożego, ale także najdroższego przyjaciela. Poczul znowu ciężar skózanego mieszka ze srebrnymi monetami, który

wręczyli mu kapłani, i ciepło policzka Chrystusa, gdy całował go, by wskazać siępaczom.

Nie zdołał zamaskować zazdrości, zadając pytanie:

– Ale w jaki sposób uchroniłaś Chrystusa? Tego nie rozumiem.

– Tuż po jego narodzinach przybyłam do Marii i Józefa w Betlejem. Powiedziałam im o tym, co ujrzałam w wizji, o nadchodzącej rzezi niewiniątek z rozkazu króla Heroda.

Judasz aż westchnął; znał tę historię i uświadomił sobie na nowo, kto siedzi obok niego w gondoli.

– To ty byłaś aniołem, który kazał im uciekać do Egiptu.

– Sama ich tam poprowadziłam, do miejsca, w którym ich syn mógł bezpiecznie dorastać.

Teraz Judasz rozumiał jeszcze lepiej, jak bardzo Arella się od niego różni.

Ona ocalała Jezusa.

On ściągnął na niego śmierć.

Jego oddech zrobił się cięższy. Judasz musiał znowu wstać, być w ruchu. Pomału pchał gondolę kanałem, usiłując wyobrazić sobie życie Arelli na Ziemi, o wiele dłuższe niż jego krótki żywot.

Zdobył się wreszcie na to, by zadać następne pytanie, równie dla niego ważne:

– Jak sobie radzisz z upływem czasu?

– Przemierzam go tak samo jak ty. – Ponownie dotknęła odłamek metalu na szyi.

– Od niepamiętnej przeszłości służyłam ludziom jako jasnowidząca, profetka, wyrocznia.

Wyobraził ją sobie w prostej szacie kapłanki delfickiej wypowiadającej słowa przepowiedni.

– Ale już tego nie robisz?

Spojrzała na ciemną wodę.

– Nadal od czasu do czasu widzę to, co nadchodzi, widzę czas przyszły tak wyraźnie jak ten, który minął. Nie potrafię oprzeć się tym wizjom. – Ściągnęła brwi w smutku. – Już się jednak nimi nie dzielę. Wiem, że moje przepowiednie przysporzyły ludziom więcej zgryzoty niż radości, dlatego utrzymuję przyszłość w sekrecie.

Z mgły wyłaniała się gospoda. Judasz kierował gondolę ku kamiennemu nabrzeżu. Kiedy się z nim zrównał, podbiegli dwaj mężczyźni w liberii i umocowali łódź. Jeden wyciągnął dłoń w rękawicze do pięknej damy. Judasz ubezpieczał ją, kładąc rękę w zagłębieniu jej pleców.

Nagle z mroku w górze wychynęły cienie i spadły na nabrzeże; wyglądały jak mężczyźni, ale nimi nie były. Zobaczył ostre zębiska i blade oblicza bestii.

Wielokrotnie toczył z nimi walkę i wiele razy przegrywał. Był jednak nieśmiertelny i rany zawsze się goiły, a jego nieczysta krew niezawodnie ich unicestwiała.

Pociągnął Arellę za siebie i zasłonił ją, pozwalając bestiom zabrać mężczyzn w liberiach. Nie mógł ich ocalić, ale może chociaż ją zdoła uratować.

Zamachnął się tyczką jak maczugą, ona zaś smukłymi dłońmi rozplątywała sznur, który wiązał gondolę do przystani. Gdy tylko łódź zakołysała się swobodnie, odepchnął ją od nabrzeża. Przechyliła się, a następnie wyprostowała.

Manewr był jednak zbyt powolny.

Bestie śmignęły nad wodą. Człowiek nie zdołałby pokonać skokiem takiego dystansu, dla nich jednak nie stanowiło to trudności.

Judasz wyszarpnął sztylet z cholewy buta i wbił głęboko w pierś większego z dwóch napastników. Zimna krew buchnęła mu na rękę i ramię, wsiąkła w delikatny biały materiał koszuli.

Żaden mężczyzna nie przeżyłby takiego pchnięcia, lecz potwór nawet się nie zatrzymał. Odtrącił rękę i wyszarpnął sobie sztylet z brzucha.

Druga bestia rzuciła Arellę na plecy i pełzła po jej ciele.

– Nie – szepnęła Arella. – Poniechajcie nas.

Zerwała srebrny odłamek z łańcucha i rozcięła ostrą krawędzią szyję potwora.

Z rozplatanego gardła wyrwał się wrzask, a potem plugawiec momentalnie zapłonął. Ogarnięty płomieniami rzucił się, by szukać ratunku w chłodnej wodzie, lecz na jej powierzchnię spadł jedynie popiół. Ogień zdążył już do cna strawić jego cielsko.

Na ten widok roślejsza bestia skoczyła wysokim łukiem i spadła na drugi brzeg kanału, po czym znikła w ciemności.

Arella zanurzyła odłamek srebra w wodzie i wytarła o suknię.

Judasz popatrzył na oręż w jej dłoniach.

– Jak to się stało?

– To kawałek poświęconej klingi – wyjaśniła i zawiesiła go z powrotem na szyi. – Uśmierca każde stworzenie, które przebije.

Serce Judasza zaczęło bić szybciej.

Czy srebrny odłamek może odebrać życie komuś, kogo zabić nie sposób, na przykład jemu?

Albo jej?

Smutny wyraz twarzy Arelli świadczył o tym, że odgadła jego myśli, i potwierdził to, co sobie przed chwilą uzmysłowił. Na wysmukłej szyi nosiła narzędzie własnej śmierci, drogę ucieczki z więzienia nieskończonych lat. Jej mina wskazywała zaś, że co jakiś czas nawiedza ją bolesna pokusa, by wybrać tę drogę.

Judasz rozumiał jej pragnienie. Przez niezliczone lata pragnął położyć kres swemu istnieniu, a podejmowane próby przynosiły mu niewypowiedziany ból. I mimo to wciąż żył. Elementarne prawo do śmierci otrzymały wszystkie inne stworzenia. Nawet bestie, z którymi stoczyli przed chwilą walkę, mogły zwyczajnie wyjść na słońce i zakończyć swoją plugawą egzystencję.

Jego wzrok padł ponownie na srebro lśniące między jej piersiami; miał świadomość, że śmierć, której od tak dawna pragnął, znajduje się na wyciągnięcie ręki. Wystarczyło po nią sięgnąć.

Wysunął rękę i ujął dłoń Arelli. Przyciągnął ją do ust.

Ucałował ją, szczęśliwy, że żyje.

Na wodę Tybru padał jasny blask południowego słońca, gdy Judasz wracał wspomnieniem do tamtej chwili, do tamtego pocałunku w ciemności. Wezbrał w nim żal, wiedział bowiem, co nastąpiło dalej: że ich uczucie spotkał straszny koniec.

Może powinienem był chwycić w dłoń kawałek srebra, a nie jej rękę.

Nigdy się nie dowiedział, skąd go otrzymała, nie dowiedział się niczego o poświęconej klindze. Ostatecznie przecież oboje mieli swoje sekrety.

Dotknął kieszeni na piersi i wyjął lodowato zimny kamień wielkości talii kart. Był z czystego zielonego kryształu podobnego do szmaragdu, jednak w jego sercu biegła skaza, żyłka hebanowej czerni. Uniósł kamień do słońca i obracał go w jedną i w drugą stronę. Czarna skaza drgnęła pod działaniem światła i zmniejszyła się do punktu, ale nadal tam tkwiła. Kiedy schowa ją w ciemnej kieszeni, skaza znów urośnie.

Niczym żywe stworzenie.

Tajemnica rozkwitała jednak w mroku, nie w blasku światła.

Znalazł kamień w latach, które nastąpiły po Arelli, po tym, jak dowiedział się, dlaczego odbywa tę długą ziemską wędrówkę. W tym mrocznym okresie życia zatracił się w alchemii, jego mistrzami byli Roger Bacon i Izaak Newton. Nauczył się wiele, między innymi, w jaki sposób ożywiać mechaniczne stworzenia, jak władać mocą kryjącą się w jego krwi.

Na kryształ natknął się przy okazji poszukiwań mitycznego kamienia filozoficznego, substancji, która miała zapewniać życie wieczne. Miał nadzieję, że wskaże mu klucz do jego nieśmiertelności. Wykopał kryształ spod kamienia węgielnego ruin pewnego kościoła.

Okazało się, że nie jest to kamień filozoficzny, lecz coś o wiele potężniejszego i powiązanego ze śmiercią, a nie z życiem wiecznym. Potarł kciukiem znak wyryty na kamieniu. Lata studiowania kamienia i tego symbolu pozwoliły mu poznać wiele spośród jego sekretów, lecz nie wszystkie.

Mimo to wiedział, że ten zwyczajny zielony kamyk spoczywający w jego prawej dłoni zdolny jest zaburzyć równowagę życia na Ziemi. Przez setki lat czekał na właściwą chwilę, by wyzwolić zawarte w nim zło i dopiąć celu, dla którego został powołany na Ziemię.

Schował kamień do kieszeni i spojrzał w słońce.

Czas wreszcie nadszedł.

Najpierw jednak trzeba było sprowadzić dwa anioły.

Jednego z przeszłości, drugiego z teraźniejszości.

Ocean Arktyczny

19 grudnia, 13.48 czasu miejscowego

Wysoko nad pokładem lodołamacza Tommy trzymał się metalowych krzyżaków czerwonego dźwigu; ścisnął je mocno palcami w grubych rękawicach. Nie obawiał się śmierci, wiedział, że upadek na twardą stal go nie zabije, ale wołał uniknąć bólu pękniętego kręgosłupa, miednicy i czaszki.

Ostrożnie podciągnął się wyżej.

Ci, którzy go więzili, pozwalali mu wspinać się wszędzie, gdzie zapragnął.

Nie bali się także, że Tommy zginie albo ucieknie.

Przedostał się na tył dźwigu. Przebywanie w tym miejscu, nawet przy lodowatym wicherze, sprawiało mu wielką frajdę. Czuł się wolny, lęki i troski zostawił na dole.

Arktyczne słońce zaległo na horyzoncie ciężko niczym ołów, o tej porze roku nie wschodziło w pełni. Tommy gapił się na bezmiar morskiego lodu, na ciemny szlak wody wyorany dziobem statku. Jedynymi żywymi istotami w promieniu wielu kilometrów byli ci, którzy płynęli na pokładzie lodołamacza. Choć Tommy nie miał pewności, czy Alosza i jego pan zaliczają się do istot żywych.

Usłyszał skrzypienie luku i jego wzrok powędrował od horyzontu do pokładu. W otworze zamajaczyła wysoka ciemna postać, która musiała się zgarbić, żeby przejść. Przytrzymała rękami ubranie targane porywistym wiatrem, nie z zimna, lecz po to, by wełna nie furkotała mu wokół tułowia. Łatwo było wypatrzeć gęstą brodę i ponure oblicze.

To był pan Aloszy.

Grigorij Rasputin.

Rosyjski mnich trzymał telefon satelitarny.

Zaciekawiony Tommy zsunął się niżej, zamierzając podsłuchać go z góry.

Wszyscy załoganci, ilekroć wchodził do kabiny, momentalnie milkli. Patrzyli na niego jak na przybysza z obcego świata i może rzeczywiście nim był. Jednakże z góry, kiedy go nie widziano, mógł przysłuchiwać się odgłosom zwykłego życia

i obserwować. Także i z tego powodu lubił się wspinać na konstrukcje pokładowe. Przynosiło mu to pociechę, kiedy mógł patrzeć, jak ktoś kurzy papierosa, gwizdże lub dowiekuje, mimo że nie rozumiał rosyjskiego.

Opuszczał się powoli, aż znalazł się na poprzeczce, która pozwalała mu słuchać, nie wchodząc w pole widzenia Rasputina.

Mnich tymczasem przechadzał się, mamrocząc po rosyjsku i spozierając na łód wokół statku. Raz po raz zerkał na ekran telefonu, jakby czekał na połączenie. Najwyraźniej coś go pobudziło.

Nagle aparat zadzwonił.

Rasputin szybkim ruchem zbliżył go do ucha.

– *Da?*

Chłopiec tkwił nieruchomo na żerdzi. Modlił się, żeby dzwoniący odezwał się po angielsku. Może uda się czegoś dowiedzieć.

Proszę...

Rasputin słuchał przez minutę, a potem odchrząknął i odpowiedział z ciężkim obcym akcentem:

– Zanim zaczniemy negocjować w sprawie chłopca, chcę zdjęcie Ewangelii.

Tommy ucieszył się, słysząc angielski, ale co Rasputin miał na myśli, kiedy mówił o negocjowaniu w sprawie chłopca? Czyżby ktoś próbował go wykupić? Czy telefon dotyczył jego wolności, czy też zmiany miejsca uwięzienia?

Gdybym mógł słyszeć to, co mówi tamten.

To życzenie, niestety, się nie spełniło.

– Wiem, co ujawnia Ewangelia, kardynale – warknął Rasputin. – I nie będę negocjował, dopóki nie stwierdzę, że pozostaje w twoim posiadaniu.

W głowie Tommy'ego pytania strzelały niczym fajerwerki: Jaka ewangelia? Co to za kardynał? Czy mnich rozmawia z dostojnikiem Kościoła katolickiego? Dlaczego?

Przypomniał sobie oczy księdza, który pocieszał go po śmierci rodziców na wierzchołku Masady. Pamiętał jego zatroskanie. Kapłan odmówił nawet modlitwę za jego matkę i ojca, choć wiedział, że oboje byli Żydami.

Ze słuchawki dobiegły gniewne odgłosy tak donośne, że docierały nawet na żerdź, na której usadowił się Tommy.

Rasputin znów coś powiedział, przechodząc z angielskiego na inny język, który skojarzył się chłopcu z łaciną.

Przypominał sobie, że ksiądz w Masadzie modlił się po łacinie.

Czy to o czymś świadczyło?

– Takie są moje warunki – rzucił gniewnie Rasputin i zakończył połączenie.

Podjął przerwana przechadzkę, gdy nagle telefon zasygnalizował nadejście wiadomości tekstowej.

Mnich popatrzył na ekran i padł na kolana na oblodzonym pokładzie. Jego twarz wyrażała uniesienie, kiedy spoglądał na lodowe pola. Trzymał aparat w dłoniach, jakby to był modlitewnik.

Tommy po cichutku wychylił się z belki dźwigu, żeby dojrzeć wyświetlacz. Niczego nie zdołał przeczytać, ale odgadł, że na ekranie ukazało się zdjęcie ewangelii, którego domagał się Rasputin.

Telefon zakwilił ponownie.

Rasputin odebrał na klęczkach, nie potrafił ukryć szaleńczej radości w głosie.

– *Da?*

Nastąpiła długa chwila ciszy, mnich słuchał.

– Bardzo zadowolająca. – Dotknął grubym palcem pectorału. – Ale, kardynale Bernardzie, zawsze możemy się spotkać na wymianę w Sankt Petersburgu. Z największą chęcią dam ci pokaz rosyjskiej gościnności. Ojcu Korzy bardzo się spodobało, kiedy mnie ostatnio odwiedził.

Tommy drgnął i omal nie spadł ze stalowej belki.

Nazwisko księdza wyleciało mu z pamięci, lecz teraz je sobie przypomniał.

Korza.

Zanim zdążył pomyśleć o tej nowej zagadce, Rasputin odsłonił zęby i ukazały się ostre kły.

– A więc teren neutralny – powiedział ze śmiechem. – Może w Sztokholmie?

Słuchał jakiś czas, po czym pożegnał się i rozłączył. Wstał, a potem długo spoglądał na lodową pokrywę morza.

Tommy, bojąc się poruszyć, obserwował i czekał.

Mnich uniósł głowę i popatrzył na niego z uśmiechem, który był zimniejszy niż kra wokół kadłuba statku. Przez cały czas musiał zdawać sobie sprawę z obecności Tommy'ego. Chłopiec podejrzewał, że specjalnie przeszedł na angielski, żeby umożliwić mu zrozumienie treści rozmowy.

Ale w jakim celu to zrobił?

Rosyjski mnich pokiwał na niego palcem.

– Uważaj tam na górze. Możesz sobie być aniołkiem, ale skrzydła ci jeszcze nie wyrosły. Muszę się o nie dla ciebie postarać, zanim wyruszymy.

Szorstki śmiech odbił się echem od pokładu.

Co to miało znaczyć?

Naraz Tommy uświadomił sobie, że grozi mu większe niebezpieczeństwo niż jeszcze przed chwilą. Gdy modlił się, żeby ktoś go uratował, wyobraził sobie twarz ojca Korzy.

Ale czy ksiądz jest po stronie dobrych czy złych?

Castel Gandolfo, Włochy

19 grudnia, 13.51 czasu miejscowego

Zagubiony w krwi i płomieniu żądz Rhun oderwał wargi od ust Elżbiety i zbliżył je do jej szyi. Język przesunął się po żyłach, które kiedyś pulsowały biciem jej serca.

Elżbieta jęknęła.

– Tak, tak, mój ukochany...

Kły Rhuna wydłużyły się, gotowe przebić miękką skórę i napić się.

Alabastrowa szyja wyglądała jak żywa pokusa.

Wreszcie się z nią złączy. Jej krew popłynie w jego żyłach, tak jak jego krew płynęła w niej. Spragnione usta oparły się o chętnie gardło.

Rozchylił wargi i twardymi zębami dotknął delikatnego ciała.

Nagle, zanim zdążył ugryźć, pochwyciły go czyjeś ręce. Oderwały go od Elżbiety i rzuciły z impetem na kamienną ścianę. Warknął i szarpnął się, lecz intruz wczepił się w niego jak wilk w mięso łosia.

Rhun usłyszał dwa metaliczne stuknięcia.

Do pary rąk dołączyła druga.

Szkarłatny ogień zaćmiewający mu wzrok stopniowo ustępował i Rhun zobaczył, że Elżbieta próbuje zerwać kajdanki, którymi przykuto ją do pryczy. Żar srebra parzył jej nadgarstki, wypalał ciemne kręgi na skórze, którą on przed chwilą uleczył i całował.

Nadia i Christian przygwoździli go do muru. W pełni sił być może dałby im radę, jednak wciąż był osłabiony. Ich słowa przebijały się przez spowijającą go mgłę; były to słowa modlitwy przypominające mu, kim jest.

Wyczerpany zwiotczał w ich rękach.

– Rhunie – odezwała się Nadia, nie zwalniając uścisku. – Módl się z nami.

Posłuchał jej natarczywego wezwania i poruszył ustami, wymusił słowa. Krwawa żądza pomału zanikała, ale w jej miejsce nie pojawiła się ulga, lecz pustka. Czuł się wycieńczony, jakby odebrano mu całą energię.

Dwoje sangwinistów wyniosło go z celi i Nadia zamknęła drzwi na klucz. Weszli z nim do jednej z następnych pomieszczeń i położyli na pryczy. Czy teraz i ja zostałem więźniem?

– Ulec się sam – powiedziała Nadia, wciskając mu do ręki flaszę z winem. Ona i Christian wyszli i zamknęli drzwi na klucz.

Rhun leżał na wznak na zatęchłym sienniku. Pomieszczenie wypełniała woń starego spleśniałego siana i kamiennego pyłu. Pragnął wrócić do celi Elżbiety, zatracić się znów w zapachu krwi. Obiema rękami chwycił pectorał i pozwolił, by srebro sparzyło mu dłonie. Mimo to nie zdołał skupić myśli.

Wiedział, co musi zrobić.

Otworzył flaszę i opróżnił ją jednym długim haustem. Ogień Chrystusowej krwi nie pozostawi miejsca na zwątpienie. Święta substancja rozpałała mu gardło i eksplodowała w nim, wydrążając go, wypalając nawet pustkę, którą przed chwilą poczuł.

Ponownie chwycił krzyż i zamknął oczy, by czekać na falę pokuty. Ceną za błogosławieństwo Chrystusa było przeżywanie na nowo najcięższych grzechów.

Co tym razem roztoczy przed jego oczami konsekrowana krew?

Czy istnieje podłość, która by dorównała grzechowi w jego duszy?

Pod wiszącym wysoko na niebie księżycem Rhun robi znak krzyża i przekracza próg karczmy. Jest to jedyne miejsce towarzyskich posiedzeń w siole słynącym z wybornego miodu. Wkroczywszy do środka, czuje jego woń zmieszaną z żelazistym odorem rozlanej krwi.

Gospodę nawiedził strigoï. Dostał się do środka i zabił.

Szynkarka, chuda i poraniona, leży rozciągnięta na brudnej podłodze obok tęgiego karczmarza. Z ich piersi nie dochodzi odgłos bicia serc. Są martwi i tacy pozostaną.

Skorupy z potłuczonej zastawy chrzestczą pod butami Rhuna.

Na srebrnej klindze jego miecza migoczą odblaski światła.

To Bernard nauczył go władać tym orężem, a także wieloma innymi, kiedy sposobił go do pierwszej misji sangwinisty. Równy rok upłynął od dnia, kiedy Rhun utracił duszę wskutek napaści strigoï obok grobu siostry.

Dzisiaj musi zapoczątkować swoje odkupienie.

Zwierzchnik rozkazał mu odnaleźć bestię terroryzującą wieś. Strigoï samotnik przybył w tę okolicę dopiero przed paroma dniami, ale jego ofiarami padły już cztery

dusze. Rhun musi odmienić jego apetyty, odwieść od tego, co plugawe, i naprowadzić na to, co święte, albo go uśmiercić.

Jego uwagę zwróciło skrzygnięcie w rogu, gdzie przyciśnięty do ściany tkwił toporny stół z drewna. Ostry wzrok Rhuna wyłowił kształt, który poruszył się w mroku pod blatem.

Tam właśnie kulił się poszukiwany przez niego strigoj.

Sangwinista usłyszał jeszcze jeden odgłos.

Było to łkanie.

Jednym susem pokonał odległość i szarpnięciem rzucił stół na drugą stronę pomieszczenia. Drugą ręką przystawił klingę miecza do uwalanej krwią białej szyi.

Dziecko.

Z dołu spoglądał na niego malec w wieku dziesięciu lub jedenastu lat, miał szeroko otwarte oczy i krótkie kasztanowe włosy przystrzyżone czułymi rękami. Brudne palce splotły się na nagich kościstych kolanach. Po jego policzkach spływały łzy, lecz brodę plamiła krew.

Rhun nie zamierzał okazywać litości. Zbyt wielu sangwinistów zapłaciło życiem, bo nie doceniło tych, którzy mieli być ich ofiarami. Niewinna młoda buzia częstokroć maskowała zabójcę liczącego setki lat. Przypomniawszy sobie o tym, jednak pachole wydawało się bezbronne, wręcz godne pożałowania.

Szybkim spojrzeniem obrzucił zwłoki zabitych spoczywające na podłodze. Nie pozwolił wywieść się w pole. Chłopczyzna z całą pewnością nie należał do bezbronnych.

Obrócił go i chwycił z tyłu za klatkę piersiową, unieruchamiając mu ręce. Tak zaciągnął go przed kominek z prostym drewnianym gzymsem, nad którym wisiało lustro.

Zobaczył, że malec zachowuje się spokojnie w jego objęciach, nie stawia oporu.

Ze zwierciadła spojrzwały na niego brązowe oczy przepełnione smutkiem.

– Czemu jestem potworem? – zapytały dziecinne usta.

Rhun zawahał się, słysząc nieoczekiwane pytanie, lecz zaczerpnął siłę z nauk Bernarda.

– Ponieważ zgrzeszyłeś.

– Ale nie z własnej woli. Byłem grzeszny. Jakiś stwór wskoczył nocą przez okno i mnie ugryzł. Kazał mi się pożywić swoją krwią, a potem uciekł. Nie prosiłem się o to. Bronilem się, walczyłem ze wszystkich sił.

Sangwiniście przypomniało się własne zmaganie ze strigoi, który pozbawił go duszy. W końcu też przecież uległ i ochoczo przyjął rozkosz, którą go obdarzono.

– Istnieje sposób, żeby oprzeć się złu i ponownie służyć Bogu.

– Dlaczego miałbym służyć Bogu, który pozwolił tak się ze mną obejść? – Malec nie okazywał gniewu, powodowała nim jedynie ciekawość.

– Możesz obrócić przekleństwo w dar. Możesz służyć Chrystusowi. Możesz żyć, pijąc Jego świętą krew, a nie krew ludzi.

Wzrok chłopca powędrował do zwłok leżących na drewnianej podłodze.

– Nie chciałem ich zabić, naprawdę.

Rhun rozluźnił uścisk.

– Wiem. I możesz przestać mordować.

– Ale... – odbicie chłopczyka w lustrze ponownie spojrzało na sangwinistę – mnie się to spodobało. – Jakaś iskierka w jego oczach współgrała z ciemną stroną jego natury.

Rhun zrozumiał, że jego pierwsza misja stanowi trudną próbę zarówno dla niego, jak i dla chłopca.

– To grzech – oznajmił z naciskiem.

– A więc wyląduję w piekle.

– Nie, jeśli zawrócisz z tej drogi. Nie stanie się tak, jeśli poświęcisz życie służbie Kościołowi i Chrystusowi.

Malec rozważał przez chwilę.

– Możesz mi przyrzec, że nie pójdę do Piekła, jeśli zrobię tak, jak mówisz?

Rhun się zawahał. Żałował, że nie jest w stanie przedstawić mu rzetelniejszej prawdy.

– To dla ciebie największa nadzieja.

Tak jak wiele innych spraw tego świata, było to kwestią wiary.

Płonące bierwiono stoczyło się na kamienie w kominku. Iskry sfrunęły na podłogę i tam zgasły. Rhun zdawał sobie sprawę, że brzask zbliża się szybko. Dziecko spojrzało w stronę okna, zapewne także to wyczuwając.

– Musisz rychło podjąć decyzję – powiedział sangwinista.

– Czy słońce cię parzy? – spytał chłopiec i wzdrygnął się na wspomnienie bólu.

– Tak, ale mocą Chrystusowego błogosławieństwa mogę chodzić w pełnym blasku dnia. Jego krew daje mi siłę i świętość, które na to pozwalają.

Okrągłe oczy malca wyrażały powątpiewanie.

– A co będzie, jeśli napiję się Jego krwi, ale nie będę prawdziwie wierzył?

– Chrystus rozpozna fałsz. Jego krew spali cię na proch.

Drobne ciało chłopczyka zadrżało w objęciach Rhuna.

– Puścisz mnie wolno, jeżeli odmówię?

– Nie mogę pozwolić, byś dalej zabijał niewinnych ludzi.

Chłopiec ruchem głowy wskazał dwoje leżących na podłodze.

– Ci tam byli o wiele mniej niewinni niż ja. Okradali podróżnych, handlowali nierządnicami, a kiedyś poderżnęli gardło pewnemu mężczyźnie, żeby zrabować mu sakiewkę.

– Bóg ich osądzi.

– Ale mnie osądzisz ty? – zapytało dziecko.

Rhun aż się wzdrygnął.

Wszak na tym polegała jego rola, czyż nie?

Był sędzią i jednocześnie katem.

– Mało czasu zostało nam do świtu... – rzekł drżącym głosem.

– Zawsze miałem mało czasu, a teraz nie mam go wcale. – Na policzkach malca pojawiły się łzy i spłynęły. – Nie pójdę z tobą. Nie zostanę księdzem. Nic złego nie uczyniłem, a stałem się potworem. Więc zrób to. Byle szybko.

Rhun spoglądał w mokre, lecz rezolutne oczy.

Taka jest wola Boża, przypomniał sobie.

Mimo to wahał się, a groźba palącego słońca była coraz bliższa.

Co zrobiło to pacholę, by zasłużyć na to, że przemieniono je w bestię? Było niewinne, broniło się przed atakiem złej siły i przegrało tę walkę.

Rhun niczym się od niego nie różnił poza tym, że wybrał służbę – Jemu.

Zapach wychłodzonej krwi unosił się od ciał leżących na podłodze. Takie jatki będzie zostawiał za sobą ten malec do końca swoich dni.

– Przebacz mi – szepnął Rhun.

Chłopiec wypowiedział słowo, które będzie sangwinistę prześladowało po wiek wieków.

Mimo to przejechał ostrzem po gardle dziecka; na powierzchnię lustra trysnęła ciemna krew.

Rhun ocknął się na posadzce celi. W pewnym momencie, szlochając, wczołgał się pod prycę i zwinął w kłębek. Leżał tam samotnie i wpatrywał się w deski oddalone o jedno tchnienie od jego twarzy.

Dlaczego ukazano mi właśnie tamtą chwilę?

Postąpił zgodnie z nakazem, zastosował się do słowa Bożego.

Jak to możliwe, żeby to był grzech zasługujący na pokutę?

Czy dlatego, że pod koniec się zawahałem?

Wypełzył spod pryczy i usiadł na brzegu. Oparł łokcie na kolanach, opuścił głowę na dłonie i modlił się o pociechę.

Ona jednak nie nadchodziła.

Zamiast niego powróciło wspomnienie. Zobaczył znów czyste brązowe oczy chłopca, słyszał jego wysoki głos, czuł głowę dziecka opartą o swoją pierś. Malec uniósł brodę, żeby klinga pewniej dosięgła celu.

Rhun poprosił go o przebaczenie.

Chłopiec odpowiedział:

– Nie.

On jednak w imię Boga odebrał mu życie.

Od tamtej chwili bezlik niewinnych główek spadł od ciosów jego miecza. Już się nie ościagał, już się nie wahał. Zadawał śmierć bez ukłucia żalu. Lata służby doprowadziły go do tego miejsca – miejsca, w którym potrafił szlachtować dzieci bez wyrzutów sumienia.

Teraz skrył twarz w dłoniach i zapłakał.

Nad sobą i nad chłopcem o brązowych oczach.

Castel Gandolfo, Włochy

19 grudnia, 14.36 czasu miejscowego

Jordan przeciągnął się pod kołdrą, każdą częścią nagiego ciała dotykając Erin. Gdy mruknęła przez sen, przygarnął ją mocniej do siebie.

Boże, jak on za nią tęsknił.

Pukanie do drzwi obudziło ją, a nawet wystraszyło. Usiadła momentalnie. Jasne włosy osunęły się po jej ramionach, kołdra spadła z nagich piersi. Wyglądała cudownie w bladym świetle wpadającym przez okna zasłonięte okiennicami.

Wyciągnął do niej rękę, nie zdołał się powstrzymać.

– Hej, wy tam, daję wam kwadrans, więc dokończcie, coście zaczęli...! – zawołał Christian wyraźnie rozbawiony. – Albo zacznijcie, co macie zacząć. Tak czy siak, zostaliście ostrzeżeni.

– Dzięki! – odrzyknął Jordan i uśmiechnął się szeroko do Erin. – Wiesz o tym, że niezastosowanie się do rozkazu księdza to grzech śmiertelny.

– Jakoś nie chce mi się wierzyć – odparła z rozleniwionym uśmiechem, a potem wskazała dłonią w kierunku prysznicza, który obiecywał strumień gorącej wody z mydłem. – Ale może dla dobra naszych dusz, tak na wszelki wypadek...

Odpowiedział uśmiechem na jej uśmiech, wziął ją na rękę i zaniósł do łazienki.

Kiedy Christian zapukał ponownie, oboje byli po kąpieli, ubrani i wyekwipowani w nową broń. Mimo zadrapań i siniaków sierżant od dawna nie czuł się tak dobrze.

Gdy wyszli na korytarz, Christian położył palec na ustach i wręczył obojgu małe latarki.

Co jest grane? – głowił się Jordan.

Ufał jednak Christianowi i nie kwestionował jego poczynań. Podążyli za nim do końca korytarza, następnie schodami w dół, a potem długim tunelem pozbawionym oświetlenia.

Jordan zapalił latarkę, Erin również.

Christian dyktował forsowne tempo. Podziemny korytarz wykuty w skale macierzystej ciągnął się ponad kilometr. Wreszcie Christian doszedł do stalowych drzwi na końcu i tam się zatrzymał. Wybrał szereg cyfr na tabliczce elektronicznej i wszedł. Drzwi otworzyły się bezgłośnie do środka. Miały ze trzydzieści centymetrów grubości i prawdopodobnie wytrzymałyby wybuch pocisku moździerzowego.

Do ciemnego korytarza wlał się mocny blask słońca.

Jordan wyczuł zapach sosny i gliny.

To musiało być wyjście ewakuacyjne, prawdopodobnie zaprojektowane do tego, by w razie zagrożenia można było raz-dwa wyprowadzić papieża z pałacu.

Christian przeszedł na drugą stronę i skinął na towarzyszy, żeby szli za nim.

Sierżanta zaniepokoiło to wszystko, trzymał więc pistolet maszynowy w pogotowiu i wpuścił Erin między siebie i sangwinistę. Chciał, żeby była chroniona z przodu i z tyłu.

Wkroczyli do gęstego, wiecznie zielonego lasu. Pod cienistym baldachimem panował chłód. Kiedy szli, para z ich oddechów wisiała w nieruchomym powietrzu. Kobierzec sosnowych igieł tłumił odgłos kroków.

Erin zapięła suwak bluzy z wilczej skóry.

Nawet tak nikły dźwięk był zbyt donośny w cichym lesie.

Z cieni naprzeciwko wysunęły się trzy postacie. Widać było, że Christian się uspokoił, ale Jordan wciąż trzymał broń w pogotowiu. Potem zobaczył, że nadchodzi Nadia, prowadząc Rhuna i jakąś kobietę. Domyślił się, że ma przed sobą hrabinę, ponieważ była okryta przed słońcem od stóp do głów. Obręcz srebrnych kajdanek zapięta na jej szczupłym nadgarstku rozwiewała wszelkie wątpliwości. Drugi koniec łańcucha był przypięty do obręczy na nadgarstku Rhuna.

Sangwiniści nie ryzykowali, mając do czynienia z Elżbietą Batory.

Jordan wołałby być przypięty do kobry niż do niej.

Nadia skinęła na niego, żeby odszedł z nią za gruby pień sosny. Wszystko działo się w niepokojącym milczeniu. Sierżant ścisnął przelotnie łokieć Erin, a potem zostawił ją z Christianem i podążył za sangwinistką.

Kiedy znaleźli się na osobności, wyciągnęła gruby arkusz papieru, zrolowany i zapieczętowany czerwonym woskiem. Widniała na nim korona z dwoma skrzyżowanymi kluczami.

Herb papieski.

Długim paznokciem Nadia przecięła pieczęć i rozwinęła papier, na którym ręcznie nakreślono mapę Włoch. Niebieska linia prowadziła od Castel Gandolfo na północ i kończyła się nieopodal Rzymu. Były na niej zaznaczone numery autostrad oraz jakiś harmonogram.

Nadia pstryknęła zapalniczką, szykując się do spalenia arkusza. Patrzyła przy tym na sierżanta, dając mu w ten sposób sygnał, że ma zapamiętać mapę.

Westchnął cicho, a potem zanotował w pamięci układ dróg oraz harmonogram. Skończywszy, spojrzał sangwinistce w oczy.

Zrobiła gest oznaczający prowadzenie samochodu.

Wygląda na to, że mam usiąść za kółkiem, pomyślał.

Uniosła zapalniczkę do kartki i żółte płomienie liznęły gruby papier, a po chwili został z niego popiół. Zamyśl tej pantomimy był oczywisty. Jordan, Nadia i osoba, która napisała notatkę – zapewne kardynał – mieli jako jedyni znać cel i trasę podróży.

Nie dadzą organizatorowi zamachu drugiej szansy, by ich sprzątnął.

Załatwiwszy tę sprawę, Nadia skierowała się do miejsca, w którym czekali pozostali.

Wszyscy razem ruszyli przez las w kierunku parkingu. Stały tam zaledwie dwa pojazdy: czarny terenowy mercedes z przyciemnionymi szybami i motocykl Ducati, także czarny; jego opływowy kształt aż krzyczał, że maszyna może rozwinąć ogromną prędkość.

Jordan obrzucił motor tęsknym spojrzeniem, ale wiedział, że przypadnie mu terenówka.

Nadia wnet potwierdziła jego domysł: przełożyła nogę nad siedzeniem motocykla i uniosła brwi, spoglądając na sierżanta. Uśmiechnął się na wspomnienie szalonej jazdy po drogach Bawarii przed paroma miesiącami. Nigdy nie czuł takiego przerażenia i uniesienia. Nadnaturalnie szybki refleks sangwinistki pozwalał jej pędzić motocyklem z szybkością, której sobie nie wyobrażał.

Dzisiaj jednak to się nie powtórzy.

Rzuciła mu kluczyki do mercedesa, po czym uruchomiła silnik i odjechała z rykiem.

Jordan i jego towarzysze zmierzali do terenówki. Rhun pomógł hrabinie wsiąść do tyłu, Christian zaś usiadł z drugiej strony, tak że znalazła się między nimi.

Jordan otworzył Erin przednie drzwi od strony pasażera. Ani myślał pozwalać jej zajmować miejsca z tyłu obok Rhuna i hrabiny.

Nawet przednie fotele były zbyt mało oddalone od tej pary.

15.14

Pojazd mknął zwirowym traktem w kierunku gładkiej czarnej szosy, a Elżbieta zaciskała wolną rękę w pięść. Automobile budziły w niej trwogę. W Rzymie unikała ich cuchnących wyziewów i hałaśliwych silników. Nie chciała się nawet do nich zbliżać, a teraz siedziała w jednym z nich.

Bardzo przypominał powozy w jej epoce, z tą różnicą, że one tak szybko nie jeździły. Nigdy żaden koń nie poruszał się po ziemi z taką chyżością. Jak ten żołnierz nad nim panuje? Wiedziała, że pojazd jest urządzeniem mechanicznym takim jak zegar, ale nie mogła się pozbyć myśli, że pasażerowie wysypią się z ciepłego skózanego kokonu wnętrza i ich głowy roztrzaskają się o twarde podłoże.

Śledziła pulsy ludzi usadowionych z przodu, szacując na ich podstawie potencjalne zagrożenie. W tej chwili oba serca były w powolnym, spokojnym rytmie. Nie lękali się zionącej dymem, warczącej bestii.

Hrabina starała się naśladować ich emocje.

Jeśli oni nie okazują obaw, ona także nie może sobie na to pozwolić.

Upływały minuty i jej początkowy lęk stępiał i przeszedł w zwyczajne znudzenie. Czarna wstęga drogi rozwijała się przed oczami Elżbiety z osobliwą monotonią. Drzewa, wioski i inne automobile migwały po bokach, nijakie i obojętne.

Gdy strach ustąpił, myśli hrabiny powróciły znów do Rhuna. Pamiętała, jak trzymał ją za rękę, jak dotykał ustami jej szyi. Nie był beznamietnym, oddanym sługą Kościoła, jakim się wydawał – ani teraz, ani dawniej. Tam, w celi, znowu bardzo się zbliżył do złamania ślubów, które kiedyś złożył.

Wiedziała, że nie sprawiła tego zwykła żądza krwi.

On jej pragnął.

Rhun wciąż mnie kocha.

Pośród całej dziwaczności współczesnego świata to uderzyło ją najbardziej. Rozmyślała teraz o tym i wiedziała, że będzie czekać na właściwą okazję, by zrobić z tego użytek.

Wyrwać się na wolność.

Może uwolnić ich oboje.

Automobil jechał wzdłuż szeregu włoskich wiejskich chat. W oknach migały poruszający się ludzie. Zazdrościła im prostoty ich egzystencji, ale zdawała sobie również sprawę, że są zdławieni, ograniczeni długością życia wypełnionego słabościami, wyniszczani upływem lat.

Istoty ludzkie, jakże kruche i przelotne.

Po pewnym czasie pojazd wtoczył się na rozległy plac pokryty tym samym twardym materiałem, który stanowił nawierzchnię drogi, i zatrzymał się przed olbrzymią metalową budowlą z wielkimi otwartymi drzwiami. Żołnierz przekręcił kluczyk i warczenie silnika ustało.

– Co to takiego? – zapytała hrabina.

– Hangar – odpowiedział Rhun. – Pomieszczenie dla samolotów.

Skinęła głową. Znała samoloty, widywała ich światła na nocnym niebie nad Rzymem. W swoim małym lokum długo oglądała ich fotografie, dziwiąc się cudom epoki.

W zacienionej części hangaru dostrzegła niewielki biały samolot z błękitnym pasem na kadłubie.

Na szczycie krótkich schodów, w jego drzwiach, ukazała się Nadia. Kły Elżbiety odrobinę się wydłużyły; jej ciało pamiętało niezliczone drobne upokorzenia, którym poddała ją ta wysoka kobieta.

Rhun wyprowadził Elżbietę z samochodu, poruszali się niezdarnie z powodu kajdanek, które ich ze sobą wiązały. Podążyli za resztą grupy w głęboki cień wnętrza.

– Sprawdziłam dokładnie samolot – oznajmiła sangwinistka, kiedy do nich dołączyła. – Jest czysty.

– Tutaj jest wystarczająco ciemno – zwrócił się do Elżbiety Rhun. – Jeśli chcesz, możesz zdjąć teraz woalkę.

Zadowolona uniosła wolną rękę i pociągnęła materiał. Chłodne powietrze owiało jej twarz i usta, przyniosło woń smoły i asfaltu oraz inne zapachy, kwaśne, gorzkie i parzące. Tę epokę napędzał ogień i płonący olej.

Hrabina trzymała głowę odwróconą od otwartych drzwi. Raniło ją nawet rozproszone światło, lecz robiła wszystko, żeby ukryć ból.

Zobaczyła, że żołnierz rozprostowuje plecy po jeździe i tupie nogami, by pobudzić w nich krążenie krwi. Skojarzył jej się z narowistym ogierem, którego zwolniono z więzi po zbyt długim pobycie w stajni. Tytuł Męża Wojownika, który nosił, pasował do niego.

Trzymał się blisko kobiety, Erin Granger. Najwyraźniej był nią zauroczony; nawet Rhun zwracał na jej obecność zbyt dużo uwagi, a to nie podobało się Elźbiecie.

Mimo to musiała przyznać, że ta uczona odznacza się pewną atletyczną gracją, a także byстрыm umysłem. W innych czasach, w innym życiu mogłyby zostać przyjaciółkami.

Nadia skierowała się ku samolotowi.

– Jeśli chcemy dotrzeć na spotkanie, musimy wyruszyć bez zwłoki.

Podążyli za nią po trapie i weszli do samolotu.

Elżbieta zerknęła w lewo na małe pomieszczenie z dwoma małutkimi fotelami, nachylonymi pod kątem oknami oraz czerwonymi i czarnymi włącznikami i klawiszami.

– To się nazywa kokpit – wyjaśnił Rhun. – Stamtąd pilot steruje samolotem.

Zobaczyła, że jedno miejsce zajmuje najmłodszy z sangwinistów, Christian. A zatem zakonnicy przystosowali swoje umiejętności do nowego wieku.

Odwrociła się i skierowała ku głównemu wnętrzu. Wzdłuż boków małego samolotu rozmieszczono rzędy siedzeń, środkiem zaś biegło wąskie przejście. Hrabina zwróciła uwagę na małe okienka i wyobraziła sobie, jak to będzie spojrzeć na świat z lotu ptaka, zobaczyć obłoki z góry oraz gwiazdy na niebie.

Zaiste był to wiek cudów.

Jej wzrok przemknął nad fotelami i spoczął na podłużnej czarnej skrzyni w tylnej części pomieszczenia, zaopatrzonej na końcach w rączki. Bez wątpienia była współczesnej konstrukcji, lecz jej kształt nie uległ zmianie od czasów Elżbiety.

Była to trumna.

Hrabina zatrzymała się nagle i Rhun wpadł na nią.

– Wybacz – powiedział cicho.

Nie odrywając spojrzenia od trumny, pociągnęła nosem. W skrzyni nie było zwłok, wyczułaby je.

Dlaczego więc ją tam umieszczono?

Nadia uśmiechnęła się i Elżbieta pojęła w jednej chwili.

Szarpnęła się do tyłu i zderzyła się mocno z Rhunem. Lewą ręką wyrwała z futerału na jego nadgarstku zakrzywiony nóż i błyskawicznie machnęła w kierunku Nadii. Ta jednak odskoczyła i klinga drasnęła tylko brodę. Poleciała wprawdzie krew, ale cios chybił celu.

Elżbieta zakłęta ze złości na niezręczność swojej lewej dłoni.

Zatrzasnęły się drzwi. Odwróciła się i zobaczyła, że Christian dla bezpieczeństwa wepchnął oboje ludzi do kokpitu. Pochlebiło jej, że uznano ją za tak wielkie zagrożenie.

Zacisnęła dłoń mocniej na rękojeści noża i stanęła naprzeciw Nadii.

Ta zdjęła z pasa srebrny łańcuch i trzymała go jak bicz, w drugiej zaś ręce dzierżyła kord.

– Dość! – ryknął Rhun głosem, który wstrząsnął ciasnym wnętrzem.

Elżbieta się nie cofnęła. Wyobraziła sobie sarkofag, z którego wyciągnięto ją niczym z łona matki, i w ten sposób znalazła się w zupełnie nowym świecie. Wciąż miała w pamięci ceglane sklepienie celi w wieży swojego zamku, w którym pomału konała z głodu. Nie znieśie ponownego zamknięcia w ciasnej pułapce.

– Kiedy poprzednim razem złożyłeś mnie w trumnie, straciłam czterysta lat – warknęła w kierunku Rhuna.

– To tylko na czas podróży – przyrzekł jej. – Samolot przeleci nad chmurami. Wtedy nie będzie gdzie się skryć przed słońcem.

Mimo jego zapewnień Elżbieta czuła trwogę na myśl o ponownym uwięzieniu, nie była w stanie nad sobą zapanować. Szarpnęła srebrną obręczą, która ją z nim łączyła.

– Lepiej mi umrzeć.

Nadia postąpiła krok w jej stronę.

– Zgodnie z życzeniem...

Szybkim ciosem kordu rozplatała Elżbiecie gardło. Srebro sparzyło skórę i z rany trysnęła krew, by uwolnić organizm od świętej substancji. Elżbieta zaniechała walki, nóż wysunął jej się z palców. Rhun przypadł do niej i zacisnął dłoń na szyi, tamując upływ krwi.

– Coś ty zrobiła? – syknął na Nadie.

– Przeżyje – odparła sangwinistka. – Cięłam płytko. Łatwiej będzie wpakować ją do skrzynki bez dalszych zbytecznych utarczek.

Uniosła wieko na zawiasach.

Elżbieta jęknęła, lecz porażona działaniem srebra nie znalazła sił na nic więcej.

Rhun wziął ją na ręce i poniósł w kierunku trumny.

– Daję słowo, że za parę godzin cię stąd wyjmę.

Delikatnym ruchem opuścił ją do trumny. Rozległo się stuknięcie i obręcz zeszała z nadgarstka Elżbiety.

Chciała usiąść, bronić się, ale nie miała siły.

Wieko opadło i tak jak kiedyś pogrążyło ją w ciemności.

Castel Gandolfo, Włochy

19 grudnia, 17.39 czasu miejscowego

Od zachodu słońca minęła godzina, a Leopold krążył wokół obrzeży letniej rezydencji papieża. Otaczające ją ogrody przekraczały wielkością obszar całego Watykanu, znajdowało się w nich mnóstwo zakamarków, w których można się było ukryć, przycziąć. Leopold siedział w koronie olbrzymiego wiecznie zielonego dębu, jednego z wielu, które rosły w granicach posiadłości; jego konary i gruby pień stanowiły dobre schronienie w mroku. Drzewo stało o rzut kamieniem od pałacu.

Kiedy słońce skryło się za horyzontem, wyczołgał się z beli siana. Pod osłoną zmierzchu bez problemów prześlizgnął się przez kordon policyjny wokół szczytków pociągu. Łatwo łowił uchem pulsy ratowników, dzięki czemu unikał ich i nie pozwalał się dostrzec. Ukryty w sianie, usłyszał słowa kardynała, który napomknął, że uda się do Castel Gandolfo, by tam oddać się żałobie i modlić za dusze tych, którzy stracili tego dnia życie.

Tak więc Leopold po zachodzie słońca ruszył w drogę i wędrował w tempie, na które zdobyć się może jedynie sangwinista. Błyskawicznie przemierzył kilkanaście kilometrów do wioski, nad którą wznosił się masywny papieski pałac.

Od pół godziny obserwował z dystansu rezydencję i powoli zataczał wokół niej pełny krąg. Nie odważył się podejść bliżej, żeby znajdujący się wewnątrz sangwiniści nie wykryli jego obecności.

Jednak przenikliwy zmysł słuchu pozwolił mu dosłyszeć dużo z tego, co działo się w środku, wychwycić urywki rozmów i plotek, którymi wymieniali się członkowie personelu. Wynikało z nich, że tylko kardynał wyszedł żywy z katastrofy. Policja znalazła zwłoki maszynistów. Leopold pamiętał, że jakiś śmigłowiec wylądował i odleciał, zanim ratownicy przybyli na miejsce wypadku. Kardynał musiał pozbierać zabitych. Nie dopuściłby, żeby ciała sangwinistów

wpadły w ręce włoskiej policji. Leopold usłyszał słowa pokojówki, która widziała przez chwilę, jak Bernard w pośpiechu znosi czyjeś zwłoki do lochów zamku.

Leopold przesunął się na konarze i odmówił modlitwę za zabitych. Wiedział, że ich śmierć była niezbędna dla osiągnięcia wyższego celu, żałował jednak dwójki Amerykanów, a także braci i siostry z zakonu: Rhuna, Christiana i Nadii. Nawet ten irytujący ojciec Ambrose nie zasłużył sobie na taki los.

Teraz przysłuchiwał się odgłosom mszy żałobnej; dźwięczne tony włoskich słów wypowiedzianych przez kardynała słyhać było wyraźnie nawet z tej odległości. Wargi Leopolda poruszały się, brał udział w mszy, mimo że tkwił usadowiony w koronie drzewa niczym na grzędzie. Jednocześnie baczył, czy nie usłyszy głosów Erin i Jordana, bo pracownicy z obsługi pałacu mogli się przecież mylić. Usiłował wyłowić odgłosy ich pulsów wśród melodii serc ludzi pełniących służbę u papieża.

Na próżno.

Słyszał jedynie modlitwę kardynała.

Kiedy msza dobiegła końca, zsunął się z drzewa, pokonał teren posiadłości i dotarł do pobliskiego miasteczka. Obok stacji benzynowej znalazł na uboczu budkę telefoniczną. Wybrał numer, który miał zanotowany w pamięci.

Połączenie odebrano natychmiast.

– Przeżyłeś? – zapytał Damnatuś głosem, w którym gniew dominował nad ulgą. – Czy ktoś jeszcze przeżył?

Nic dziwnego, że właśnie to najbardziej go interesowało. Naturalnie martwił się, że skoro Leopold przeżył, inni także mogli ująć cało z katastrofy, na przykład triada zapowiedziana w prorocztwie. Leopold nie oczekiwał od niego przeprosin za to, że znalazł się w tej samej pułapce, aczkolwiek uważał, że na nie zasłużył. Obaj wiedzieli, że wybrana przez nich droga jest słuszna. Bez względu na swoje odczucia musiał współdziałać z Damnatusem, nawet jeśli ten, dążąc do wytyczonego celu, nieomal go uśmiercił.

Z tą świadomością relacjonował uzyskane informacje:

– Zdołałem ustalić, że przeżył tylko kardynał. Pokojówka zauważyła, że przywieziono czyjeś zwłoki z miejsca wypadku. Może ich być więcej.

– Wrócisz do zamku i sprawdzisz, czyje to ciało – rozkazał Damnatuś. – Potwierdzisz, że inni nie żyją. Przynies mi dowód.

Leopold sam powinien był na to wpaść, jednak wejście do zamku naraziłoby go na wielkie ryzyko, że jego obecność zostanie zauważona. Mimo to złożył

Damnatusowi obietnicę:

– Tak będzie.

Kilka minut później znalazł się przed tajemną bramą prowadzącą do podziemnego skrzydła pałacu, które należało do zakonu sangwinistów. Modlił się, żeby nikt jej nie pilnował. Znalazłszy się tam, zrobił sobie nacięcie na dłoni i wypuścił kilka cennych kropel krwi do starego kamiennego pucharu. Wyszeptał odpowiednie modlitwy, a gdy drzwi się otworzyły wślizgnął się do środka.

Stał za progiem i wyteżył zmysły: szukał słuchem bicia serc, węszył, sprawdzając, czy jest tam ktoś jeszcze prócz niego, zapuszczał wzrok do każdego ciemnego zakątka.

Upewnił się, że jest sam, i ruszył w kierunku kaplicy sangwinistów. Ciała znalezione na miejscu wybuchu powinny być tam przeniesione. Usłyszał to w czasie mszy pogrzebowej.

Obawiał się, że w podziemiu wciąż mogą przebywać inni członkowie zakonu, wyjął więc krótki miecz i ścisnął go w dłoni. Zgładził w swoim długim życiu wielu ludzi i *strigoi*, lecz nigdy nie zabił sangwinisty. Teraz przygotował się na taką możliwość.

Przemierzał cicho ostatni tunel, wdychając znajome wonie wilgotnej ziemi, szcurzych odchodów oraz nikły aromat kadzidła po niedawnej mszy. Zbliżając się do kaplicy, zwolnił kroku.

Do jego uszu dobiegła cicha modlitwa i osadziła go w miejscu.

Rozpoznał głos samotnego żałobnika.

Kardynał Bernard.

Leopold zakradł się do zamkniętych drzwi i zajrzał przez malutkie okno. Za rzędami ławek widać było kamienny stół przykryty białym obrusem liturgicznym, na jego końcach paliły się woskowe świece. Pośrodku stał złoty kielich napełniony po brzegi winem.

Migoczące światło płomieni odbijało się refleksami od witrażowych okien wbudowanych w kamienne ściany po obu stronach i od hebanowej trumny spoczywającej przed ołtarzem.

Zauważył prosty srebrny krzyż na wierzchu.

To była trumna sangwinisty.

Wiedział, że znajdujące się w niej zwłoki muszą zostać niebawem przewiezione do Rzymu i złożone w sanktuarium pod Bazyliką Świętego Piotra, jedynym

miejscu na świecie, które zapewniało dostateczne bezpieczeństwo tajemnicom sangwinistów.

Ale ktoś nie był jeszcze gotowy do pożegnania.

Bernard klęczał przed trumną z pochyloną białą głową i szeptał modlitwę. Wydawał się dziwnie pomniejszony, jak gdyby prosto z wzniesłego piedestału kardynała runął w otchłań smutku.

Na widok materialnego dowodu swoich czynów Leopolda przeszył żal. Tam oto leży martwy bojownik Kościoła, można rzec, że poległ z jego ręki. I choć śmierć w służbie Kościoła zapewniała sangwiniście ostateczny spokój, Leopold nie znalazł w tej myśli pocieszenia.

Purpurowa szata Bernarda sfałdowała się, kiedy dostojnik się schylił i położył dłoń na bocznej ścianie trumny.

– Żegnaj, mój synu.

Leopold wyobraził sobie brata sangwinistę na platformie pociągu. Sądząc po słowach pożegnania wypowiedzianych przez kardynała, w trumnie musiał spoczywać Rhun albo Christian.

Bernard wstał i wyszedł z kaplicy, jego ramiona przygniatało brzemień żałoby.

Leopold tymczasem skrył się w bocznej komorze zastawionej beczkami z winem. Zaczekał, aż odgłos kroków kardynała ucichnie w oddali, a potem wrócił do pustej kaplicy.

Zmierzał w kierunku trumny; z powodu żalu i poczucia winy nogi ciążyły mu jak ołów. Wiedział, że Damnatius najchętniej usłyszałby, że w trumnie leży Rhun, zapowiedziany w prorocztwie Rycerz Chrystusa. Co do losu pozostałych nie można było mieć pewności, jednak Leopold domniemywał, że po eksplozji nie pozostało z nich wystarczającej ilości szczątków, by przetransportować je do kaplicy.

Kiedy znalazł się obok trumny, przesunął dłonią po zimnej gładkiej powierzchni i wyszeptał modlitwę pokutną. Następnie wstrzymał oddech, uniósł wieko i zebrawszy się w sobie, zajrzał do wnętrza.

Trumna była pusta.

Zaszokowany Leopold przecesał kaplicę w poszukiwaniu zasadzki, ale na nic nie natrafił.

Ponownie skupił uwagę na skrzyni i zobaczył, że jednak nie jest całkowicie pusta.

Na dnie leżał pieczołowicie złożony różaniec ze startymi paciorkami, mały srebrny krzyżyk ściemniał po dziesiątkach lat pocierania kciukiem w trakcie

modlitwy. Oczami wyobraźni ujrzał Bernarda podnoszącego różaniec z chłodnego błota na zimowym polu. Tylko tyle pozostało po sangwiniście, który go kiedyś nosił.

Leopold nie musiał go dotykać, by wiedzieć, czyja to własność.

Znał go równie dobrze jak wnętrze swojej dłoni.

Był to jego różaniec, Leopold zgubił go, wylatując z pociągu.

Zamknął oczy.

Popatrz, jak daleko upadłem, Panie mój...

Stał mu przed oczami obraz Bernarda przytłoczonego żałobą, wstrząśniętego.

Żałobą po mnie, po zdrajcy...

Opuścił wieko trumny i jak nieprzytomny wyszedł z kaplicy i pałacu.

Dopiero wtedy się rozpłakał.

CZĘŚĆ TRZECIA

*Ciska swój grad jak okruchy nieba;
Od Jego mrozu ścinają się wody.*

Księga Psalmów 147, 17

Sztokholm, Szwecja
19 grudnia, 20.04 czasu miejscowego

Świat skuła powłoka lodu.

Kuląc się i drżąc od nieubłaganego mrozu szwedzkiej zimy, Erin szła śródmieściem Sztokholmu. Twarda skóra bluzy chroniła wprawdzie przed ukąszeniami i ciosami wrogów, ale niewiele dawała przy porywach lodowatego wiatru, który wdzierał się przez najmniejszą szczelinę. Z każdym oddechem Erin wciągała do płuc mroźne powietrze. Miała wrażenie, że chłód oblodzonego trotuaru przesącza się nawet przez podeszwy butów.

O celu podróży dowiedziała się dopiero po tym, jak czarterowy odrzutowiec wzbił się w powietrze i skierował na północ od Rzymu. Lot do Szwecji trwał około trzech godzin, a później wylądowali w krainie śniegu i lodu. Zmierzali teraz na umówione spotkanie z Grigorijem Rasputinem, by negocjować warunki uwolnienia Tommy'ego Bolara, który mógł być Pierwszym Aniołem zaanonsowanym w proroctwie.

Zaskoczyło ją, że Rasputin zgodził się na Sztokholm, że nie obstawał przy Sankt Petersburgu. Bernard musiał mocno naciskać, skoro udało mu się nakłonić mnicha do spotkania na w miarę neutralnym terenie, dość oddalonym od jego siedliska.

Mimo to zdaniem Erin odległość wcale nie była wystarczająca.

Na czele maszerował Christian. Brali wspólnie udział w spektaklu tajności i tylko młody sangwinista został poinformowany o miejscu spotkania. Żwawym krokiem prowadził grupę przez centrum szwedzkiej stolicy, wśród budynków o oszczędnej architekturze. Prostota fasad w skandynawskim stylu przynosiła miłą odmianę po bogactwie ornamentyki rzymskich gmachów. Z większości okien wylewało się ciepłe światło i odbijało od świeżego śniegu, który przyprószył chodniki po obu stronach ulicy.

Oddech Erin zamieniał się w białe obłoki, podobnie jak u Jordana.

Jeśli sangwiniści oddychali, to w sposób niewykrywalny dla oka.

Nagle zauważyła, że Jordan porusza nosem niczym pies, który zwietrzył trop. Ona także wyczuła zapach piernika i miodu, pieczonych kasztanów i migdałów w cukrze.

Ulica kończyła się rozległym placem oświetlonym latarniami.

Odbывał się tam jarmark świąteczny.

Christian prowadził grupę w kierunku ciepła i radosnych głosów. Erin i Jordan deptali mu po piętach, Rhun i Batory podążali za nimi, dyskretnie skuci kajdankami.

Mały orszak zamykała Nadia, której uwaga skupiała się na wyprostowanych plecach hrabiny.

Od Rhuna biła zimna furia, widać ją było przy każdym kroku i spojrzeniu. W samolocie kipiał gniewem z powodu napaści Nadii na Elżbietę. Erin rozumiała konieczność zamknięcia jej w trumnie. Hrabinie nikt nie ufał, bali się, że w każdej chwili może coś palnąć do kontrolera na lotnisku albo zaatakować na pokładzie odrzutowca. Zważywszy na to, co mówiono o bitwie na ulicach Rzymu, nie była to obawa bezpodstawna.

Mimo to Erin oburzała się tak samo jak Rhun na myśl, że sangwinistka podcięła hrabinie gardło.

Batory omal nie zginęła tylko po to, by reszta mogła odbyć podróż w komfortowych warunkach. Kiedy samolot wylądował, Erin ofiarowała swoją krew, żeby przywrócić ją do zdrowia. Miała jednak świadomość, że krzywda nie została naprawiona. Widziała to w oczach hrabiny. Nadia nie tylko przecięła jej gardło, lecz także zniweczyła wszelkie zaufanie, jakim ta mogła darzyć swoich towarzyszy.

Jednocześnie incydent ten brutalnie przypomniał Erin, do czego mogą się posunąć sangwiniści, aby zrealizować swoje zamierzenia. Pozyskanie Pierwszego Anioła było istotne, jeśli chcieli zapobiec świętej wojnie, ale nie podzielała przekonania, że cel usprawiedliwia środki. Zwłaszcza w tym przypadku. Istniał zapewne łagodniejszy sposób unieszkodliwienia hrabiny i nakłonienia jej do współpracy – jakkolwiek niechętniej – lecz sangwiniści nie zrobili nic w tym kierunku.

Tego, co się stało, nie dało się odwrócić.

Trzeba było iść dalej.

Kiedy otoczyło ją ciepło i radość bożonarodzeniowego targowiska, jej lodowaty nastrój się ulotnił; gorące piecyki, na których piekły się kasztany

i migdały, odpedziły chłód.

Po lewej stronie monumentalna jodła oświetlona złotystymi bombkami wyciągała ku nocnemu niebu zielone gałęzie przyprószone śniegiem. Z ciemności nad nimi, tańcząc, leciały ku ziemi pierzaste białe płatki. Okrągłutki wesoły Święty Mikołaj siedział w budce po prawej stronie i sprzedawał gwiazdkowe cukierki. Jedną ręką machał do przechodzących, drugą zaś głaskał się po długiej śnieżnobiałej brodzie.

Jordan ledwo to wszystko zauważał. Rozglądał się uważnie po placu, zerkał na wysokie budynki i ludzi w grubej zimowej odzieży, którzy zapełniali rynek. Obrzucał spojrzeniem każdą witrynę sklepową, jakby mógł się za nią kryć snajper.

Erin miała świadomość, że tak trzeba. Przypomniała sobie, że gdzieś w pobliżu czai się Rasputin, i czar świątecznego targowiska momentalnie prysł. Zgodnie z żądaniem rosyjskiego mnicha zostawili broń w samolocie. Ale czy mogli ufać, że on postąpił tak samo? O dziwo sływał ze słowności, potrafił jednak w zaskakujący sposób przekreślać słowa, należało więc zwracać baczną uwagę na każdą wypowiedzaną przez niego sylabę.

Mijając stragan z drewnianymi zabawkami, wpadła na dziewczynkę w niebieskiej dzierganej czapeczce z białym pomponem. Dziecko obracało w rączkach kukielkę – elfa dosiadającego jelenia. Kukielka spadła w śnieg i sznurki się poplątały, co nie ucieszyło właściciela stoiska.

Erin podała mu banknot dziesięć euro, żeby zapobiec nieprzyjemnej scenie. Panujące zimno przyspieszyło dobiecie targu. Dziewczynka uśmiechnęła się nieśmiało, złapała zdobycz i pobiegła.

Sierżant przystanął tymczasem obok budki, w której sprzedawano parujące kielbaski. Jej pęta wisiały pod sufitem. Jeśli ktoś miał wątpliwości, z czego są zrobione, rozwiewał je widok wypchanej głowy renifera zawieszonyj na ścianie za właścicielem kramiku, którym był mężczyzna o obliczu rumianym niczym jabłko.

Erin dołączyła do reszty grupy i chciała przeprosić, że opóźnia marsz, ale Christian zatrzymał się już wcześniej i rozglądał.

– Nie wiem, co dalej robić. Powiedziano mi tylko tyle, że z lotniska mamy przyjechać na ten jarmark.

Wszyscy popatrzyli na rozległy, tętniący radosną aktywnością plac.

Hrabina dotknęła zagojonej rany na szyi.

– Misja na śmierć i życie, a wy tak mało wiecie?

Erin przyznała jej rację, ona także miała dość tajemnic. Poczula ciężar bryłki bursztynu w kieszeni. Pamiątkę Amy przełożyła ze starego ubrania do nowego i nosiła ją zawsze ze sobą, by przypominała jej, że sekrety mogą zabijać.

Z obawą zerknęła na to, co dzieje się na placu. Jakaś kobieta pchała dziecięcy wózek, którego przód okrywał kraciasty koc. Towarzyszący jej czterolatek z umazanymi policzkami trzymał lizaka w rączce w puchatej rękawicy. Kilka młodych dziewcząt chichotało obok stoiska z piernikowymi sercami, a dwaj chłopcy głowili się nad napisami na serduszkach zrobionymi białym lukrem.

Dziecięcy chór śpiewał po szwedzku *Cichą noc*. Melancholijne tony najsłynniejszej kolędy świata współbrzmiały z nastrojem Erin.

Wyciągała szyję, rozglądając się za Rasputinem. Mógł być wszędzie i nigdzie. Nie można było wykluczyć, że nie stawi się na umówione spotkanie, a oni będą czekali na mrozie.

Jordan zacierał mocno ręce; najwyraźniej nie cieszyło go, że sterczą na otwartym przestrzeni, a może najzwyczajniej zmarzł.

– Powinniśmy okrążyć plac – zasugerował. – Jeśli Rasputin chce nas znaleźć, to znajdzie. Ta partia należy do niego, musimy czekać, aż zrobi pierwszy ruch.

Christian skinął głową i ruszyli dalej.

Sierżant wsunął rękę w dłoń Erin. Zdawało się, że podąży beztrudno spacerkiem za młodym sangwinistą, lecz mimo że oboje mieli rękawiczki, Erin czuła, jaki jest spięty. Potwierdzało to również usztywnienie jego ramion.

Mijali stragany z wyrobami garncarskimi, dzierganą odzieżą i nieprzeliczoną mnogością słodyczy. Zewsząd padał blask żółtych świateł, pastelowe kolory były w oczy, lecz widać było, że jarmark pomału się zwija. Więcej ludzi odchodziło z placu w sąsiadujące uliczki, niż na niego wchodziło.

Nadal jednak nie było śladu Rasputina i jego gwardii *strigoi*.

Stanąwszy przed stoiskiem ze swetrami z miejscowej wełny, Erin zastanawiała się, czy sobie takiego nie sprawić, jeśli oczekiwanie miałoby się przedłużyć. Zza jej pleców dobiegł znów śpiew dziecięcego chóru, mocne niewinne głosy wypełniły powietrze.

Popatrzyła w stronę sceny ustawionej przy końcu alei.

Chór zaczął śpiewać *Małego dobosza*. Także i ta piosenka była po szwedzku, lecz melodii trudno było nie rozpoznać; opowiadała o ubogim dziecku, które ofiarowało Chrystusowi jedyny dar, który miało: grę na werblu.

Uśmiechnęła się na wspomnienie swojego dziecięcego urzeczenia. Pewnego razu pozwolono jej obejrzeć animowaną ekranizację baśni i była to osobliwa uczta w ośrodku surowego kultu religijnego, w którym się wychowała.

Skierowała oczy i w tamtą stronę i jej uwagę zwróciło to, że chór zgodnie z motywem przewodnim pastorałki składa się wyłącznie z chłopców. Nagle znieruchomiała, przyjrzawszy się niewinnym twarzyczkom.

– Właśnie tam jest Rasputin – oznajmiła.

Wiadomo jej było o słabości mnicha do dzieci. Nie miała ona podtekstu erotycznego, ale na swój sposób przypominała stosunek drapieżnika do ofiary. Przywołała na pamięć obraz konających z głodu leningradzkich dzieci, które mnich znajdował podczas oblężenia miasta w czasie drugiej wojny światowej. Przemieniał wszystkie w *strigo*i, by uchronić je od śmierci.

Rasputin, który był wówczas sangwinistą, został za te zbrodnie ekskomunikowany i wypędzony. Założył wtedy w Petersburgu zakon w wersji wypaczonej i stał się faktycznie jego papieżem. Mieszał ludzką krew z konsekrowanym winem, żeby utrzymać przy życiu swoją trzodę składającą się w większości z dzieci.

– On będzie tam, gdzie ci chłopcy – dodała. – W pobliżu chóru.

Batory z niedowierzaniem uniosła brwi, lecz Rhun skinął głową. Znał Rasputina lepiej niż pozostali. Spojrzał na Erin, doceniając jej przenikliwość.

Jordan wziął ją za rękę.

– No więc chodźmy zobaczyć to dziwowisko.

20.38

Przez rzednący tłum zmierzali razem w kierunku sceny. Aromat pieczonych kasztanów i grzanego wina przyprawiał sierzanta o ściskanie w żołądku. Dużo czasu minęło od chwili, gdy on i Erin spożyli posiłek. Sangwinistom dość często wylatywało z pamięci, że towarzyszący im ludzie muszą jadać.

Po wykonaniu tej części zadania planował znaleźć największy w Sztokholmie talerz z gorącą zupą. Albo dwa talerze. Jedną porcję zje, a w drugiej zamoczy zziębnięte stopy.

Rzucił okiem na zwykłych ludzi spacerujących po placu z parującymi kubkami, paczuszkami i torebkami kasztanów. Jaki los by ich spotkał, gdyby Rasputin postanowił zaatakować wraz ze swoją trzódką *strigoł*? Sierżant wyobraził sobie liczbę przypadkowych ofiar. Sytuacja nie wyglądała różowo.

Ogólnie rzecz biorąc, była podła. Nie mieli broni, a na sojusznikach nie można było polegać. Popatrzył na hrabinę, która mimo lodowatego zimna kroczyła z odrzuconym w tył kapturem; jej wyprostowana postawa wyrażała dumę i poczucie wyższości.

Jeśli sytuacja się zaogni, nie wiadomo, po czyjej stronie się opowie. Nie, poprawił się w myślach: wiedział, czyją stronę weźmie hrabina.

Swoją, tylko i wyłącznie swoją.

Podczas lotu odbył w kokpicie krótką rozmowę z Christianem. Wymógł na nim obietnicę, że w razie gdyby sprawy przybrały najgorszy obrót, sangwinista czym prędzej wyekspediuje Erin w bezpieczne miejsce. Sierżant wołał nie narażać jej życia bez potrzeby. Nie zamierzał jej utracić.

Zerknął na pełną skupienia twarz Erin. Pewnie by się zezłościła, gdyby poznała ten plan, ale wołał, żeby się wściekała, niż zginęła.

Opodal sceny Jordan minął znak w kształcie wyciągniętej ręki. Drewniany palec skierowany był w miejsce na rynku położone za stanowiskiem chóru.



Napis po szwedzku i angielsku informował o śnieżnym labiryncie. Najwyraźniej Szwedzi robili na mrozie korzystne interesy.

Sierżant podszedł do sceny, na której w dwóch rzędach stali chłopcy z chóru; ubrani w białe tuniki, trzymali ręce wsunięte w rękawy i mieli nosy zaczerwienione od zimna. Wykonywali jakiś utwór, a on przypatrywał się ich poważnym bladym obliczom. Jego wzrok spoczął na tym, który stał ze

śpiewnikiem w dłoniach jako ostatni w szeregu. Książeczka zasłaniała mu do połowy twarz.

Chłopiec odróżniał się od reszty. Wyglądał na trzynaście lub czternaście lat, był więc o rok albo dwa starszy od pozostałych. Nie to jednakże zwróciło uwagę Jordana.

Dotknął ręki młodszego z sangwinistów.

– Ten na końcu nie nosi rękawiczek – powiedział szeptem.

Chłopak śpiewał razem z innymi i dobrze mu to wychodziło, bez wątplenia miał doświadczenie w występach z chórem, ale może nie z tym... Stojący najbliżej niego kolega odsuwał się, jakby go wcale nie znał.

Jordanowi stanęła przed oczami twierdza Rasputina w Sankt Petersburgu, cerkiew Zbawiciela na Krwi, w której mnich przewodził ciemnej masie wyznawców i miał własny chór.

Baczniej przyjrzał się częściowo odsłoniętej twarzy chłopca. Jego ciemne włosy okalały twarz bladą jak materiał tuniki. Na policzkach nie było ani śladu rumieńca.

Chłopiec zauważył, że jest obserwowany, i opuścił śpiewnik. Wtedy Jordan go rozpoznał: to jego widział na nagraniu z kamery wideo. Aleksiej Romanow.

Słumił w sobie odruch podpowiadający mu, żeby chwycić Erin i razem z nią ułotnić się z tego miejsca. Uważniej popatrzył na pozostałych chórzystów. Wyglądali na zziębniętych i po ludzku zmęczonych. Nie wyróżniał się także żaden spośród stojących w pobliżu ludzi.

Sierżant postanowił zaczekać i zareagować dopiero wtedy, gdy coś zacznie się dziać.

Podeszła mała dziewczynka w niebieskiej czapce z białym pomponikiem. Bawiła się kukielką na sznurkach. Była to ta sama, której Erin kupiła wcześniej upominek. Jordan zauważył, że ona również nie nosi rękawiczek.

Christian popatrzył na jej odsłonięte palce, a następnie, przechyliwszy lekko głowę, nasłuchiwał chwilę. Potem nią skinął.

W piersi dziewczynki nie biło serce.

Ona także należała do *strigoj*, była jedną z podopiecznych Rasputina; niewinna buzia skrywała stworzenie dwa razy starsze od Jordana i dwa razy bardziej niebezpieczne.

Nadia i Rhun znieruchomieli, gotowi podjąć walkę. Hrabina z gracją uniosła dłoń do szala zakrywającego zranioną szyję, jej druga ręka była połączona za

pomocą obręczy z dłonią Rhuna. Leniwym wzrokiem zlustrowała plac, jak gdyby wypatrywała sprzyjających okoliczności, a nie wrogów.

Kiedy pieśń dobiegła końca, chórmistrz przemówił po szwedzku, podsumowując występ. Grupy ludzi kierowały się ku sąsiadującym z placem uliczkom. Młoda mama podeszła do odzianego na biało chórzysty, otuliła go zimową kurtką i podała termos z jakimś parującym napojem.

Mały farciarz.

Kolejni rodzice zabierali swoje pociechy i sługa Rasputina został sam. Skłonił lekko głowę, po czym zeskoczył z podestu i ruszył w kierunku Jordana, Erin i pozostałych z godnością rosyjskiego arystokraty.

– Gdzie twój pan? – zapytał Christian.

Chłopak uśmiechnął się tak, że sierzantowi przeszły ciarki po plecach.

– Mam dwie wiadomości, ale najpierw musicie odpowiedzieć na pytanie. Jego Świątobliwość obserwuje was od waszego przybycia. Mówi, że są z wami dwie Uczone Niewiasty. Jedną poznał w Rosji, a druga pochodzi w prostej linii z rodu Batorych.

Jego słowa zaniepokoiły Jordana. Rasputin wiedział o nich stanowczo za dużo. Być może rozmyślnie chciał ich w ten sposób wytrącić z równowagi.

– A dlaczego jest to dla niego istotne? – spytał Rhun.

Aleksiej oparł ręce na biodrach.

– Powiedział, że musi się odbyć próba.

Sierzantowi ani trochę się to nie spodobało.

– Jego Świątobliwość przysiągł waszemu kardynałowi, że przekaże Pierwszego Anioła prawdziwej Uczonej Niewieście. Takie osiągnięto porozumienie.

Rhun chciała zaoponować, lecz Erin go powstrzymała.

– Co to za próba?

– Nic niebezpiecznego – zapewnił Aleksiej. – Zabiorę dwoje z was z jedną Uczoną Niewiastą, a Olga – tu wskazała dziewczynkę w niebieskiej czapce – zabierze następną dwójkę z drugą.

– I co dalej? – chciał wiedzieć Jordan.

– Zwycięży ta, która pierwsza odnajdzie Pierwszego Anioła.

Hrabina przysunęła się bliżej. Wyczuła, że coś się święci; być może knuła, jak by tu zdradzić swoich towarzyszy.

– A co będzie z tą, która przegra?

Aleksiej wzruszył ramionami.

– Tego nie wiem.

– Nie będę narażał Erin – oznajmił Jordan. – Znajdźcie inny sposób.

Odezwała się mała Olga. Miała dźwięczny dziecięcy głosik, lecz słowa przez nią wypowiedane, wyrefinowane i oficjalne, nie licowały z tak młodą osobą.

– Jego Świątobliwość polecił nam przypomnieć państwu, że to on jest w posiadaniu Pierwszego Anioła. Jeśli nie podporządkujecie się jego żądaniom, nigdy go nie ujrzycie.

Jordan ściągnął brwi. Rasputin trzymał ich w garści i zdawał sobie z tego sprawę.

– Dokąd mamy się udać? – zapytał sierżant, mocno ściskając rękę Erin. Dawał jasno do zrozumienia, że muszą być razem, że nie pozwoli się od niej oddzielić. – Gdzie zacznie się polowanie?

Aleksiej pokazał kierunkowskaz, który Jordan wcześniej minął.

Ten, który miał kształt wyciągniętej ręki.

Czekała ich wycieczka w głąb lodowego labiryntu.

Sztokholm, Szwecja

19 grudnia, 20.59 czasu miejscowego

Erin maszerowała za skaczącym białym pomponem Olgi, która okrążyła scenę i skierowała się ku wąskiej alejce. Świąteczny labirynt z lodu zbudowano na sąsiednim placu, zasłaniały go kamienice wznoszące się po obu stronach.

To oczywiste, że do przeprowadzenia swojej próby wybrał Rasputin miejsce zimne i zwodnicze. Zrobiło się późno, jarmark był już zamknięty, wystarczy więc, że rosyjski mnich postawi warty przy wejściach do labiryntu, by zapewnić sobie spokój w środku. Ale co spotka przybyszów w sercu lodowego gąszczu? Erin wyobraziła sobie olbrzymią niedźwiedzicę, blesfemora, którego Rasputin trzymał w klatce pod cerkwią w Sankt Petersburgu. Jakie monstra czają się wśród lodowych ścian?

Przy boku Erin szli Christian i Jordan, znajdowała się między nimi. Zerknęła w bok i zobaczyła Aleksieja, który wiódł Rhuna, Batory i Nadię. Pojawili się po przeciwnej stronie sceny i zmierzali do innej uliczki. Zapewne dotrą do wejścia labiryntu, tam będzie ich punkt startowy.

Rhun spojrział w stronę drugiej grupy, kiedy stanął z towarzyszami u wlotu alejki.

Erin uniosła rękę na znak, że życzy im powodzenia.

Następnie oba zespoły zniknęły w uliczkach. Mieli się zmierzyć z nieznanymi wyzwaniem i prześcignąć rywali w drodze do nagrody czekającej w środku labiryntu, a stanowił ją Pierwszy Anioł.

Wchodząc w wąską alejkę, sierżant lustrował równe linie dachów z obu stron. Przygotowany na nagły atak, uważnie przyglądał się wszystkim ciężkim drzwiom. Z zamarzniętych okien sączyło się na zaśnieżony bruk światło. niewyraźne cienie poruszały się w ciepłych izbach; mieszkańcy kamienic nie zdawali sobie sprawy z zagrożenia czyhającego za ścianami i drewnianymi drzwiami, byli ślepi na potwory, które wychodzą nocą na żer.

Przez krótką chwilę Erin marzyła o takiej niewiedzy. Jednakże ignorancja nie gwarantuje bezpieczeństwa.

Dotknęła palcami pamiętki po Amy, kawałek ciepłego bursztynu kryjącego w sobie krucho piórko. Jej studentka także nie była świadoma istnienia tajemnego świata, a on mimo to ściągnął na nią śmierć.

Kilka kroków dalej uliczka się kończyła, za nią zaś otwierał się następny plac. Erin zatrzymała się porażona urodą tego, co zobaczyła. Labirynt nie wyglądał jak pospolita imitacja labiryntu z żywoplotów. Było to istne lodowe zamczysko, które zajmowało całą powierzchnię placu; piął się na trzydzieści metrów w górę i zwieńczony był wieżami. Ściany ozdobiono setkami rzeźb pokrytych szronem oraz śnieżnymi czapami.

Nieporuszona tym pięknem Olga prowadziła grupkę do gotyckiego ostrołuku w najbliższym murze, pod którym kryło się jedno z wielu wejść do labiryntu. Erin podziwiała biegłość rzemieślników, którzy stworzyli to dzieło, wykuwając lodowe bloki i zlepiając je za pomocą wody tak, jak dawni murarze łączyli cegły zaprawą.

Żółty blask ulicznych latarni barwił bramę na cytrynowo.

Mała przewodniczka zatrzymała się przed wejściem.

– Pozostawiam państwa. Tutaj rozpoczniecie swoją wędrówkę. Anioł oczekuje w centrum zamku. – Splotła ramiona na piersi, rozstawiła nogi i stanęła nieruchomo niczym jeden z posągów tkwiących na murach. Nawet jej oczy przybrały pusty wyraz.

Erin z dreszczem na plecach przypomniała sobie, że dziewczynka to *strigoi*. Prawdopodobnie zabijała ludzi od pół wieku albo i dłużej.

– Ja pierwszy – oznajmił Christian i wszedł pod łuk. Jego czarny ubiór był jak plama na tle złocistej poświaty.

– Nie – sprzeciwiła się Erin, dotykając rękawa jego kurtki. – To próba dla mnie, powinnam iść na czele. Mamy do czynienia z Rasputinem, lepiej więc stosować się do reguł, które wyznacza. Jestem Uczoną Niewiastą i to ja muszę znaleźć bezpieczną trasę do serca labiryntu.

Jordan i Christian wymienili niepewne spojrzenia. Rozumiała, że mają na względzie jej bezpieczeństwo, nie mogli jednak uchronić jej przed próbą.

Zapaliła latarkę, minęła sangwinistę i wkroczyła do środka.

Po obu stronach wspinały się na wysokość czterech metrów masywne niebieskobiałe ściany, grube na co najmniej pół metra; ponad nimi rozpościerało się granatowe niebo. Odstęp między blokami lodu był tak wąski, że rozpostarli

ręce, Erin mogła dotknąć ścian czubkami palców. Pod jej stopami chrzęścił śnieg, który po przejściu niezliczonej rzeszy zwiedzających zrobił się brudnoszary.

Zaświeciła latarką wokół. W odstępach mniej więcej metra budowniczowie umieścili w ścianach lodowe okienka, które pozwalały zerknąć do sąsiednich korytarzy. Erin dotarła do łukowatych drzwi po lewej i zajrzała przez nie. Myślała, że zobaczy kolejną odnogę labiryntu, a tymczasem jej oczom ukazał się miniaturowy ogródek z kwiatami, treliażami i krzewami wyrzeźbionymi w lodzie.

Mimo grożącego niebezpieczeństwa uśmiechnęła się.

Szwedzi wiedzą, jak stworzyć zimowy pałac cudów.

Skierowała wzrok na zachmurzony nieboskłon. Nie mogła się orientować względem gwiazd. Z góry cicho sypał świeży, czystutki śnieg. Doszła do skrzyżowania i skręciła w lewo, przeciągając rękawiczką po lewej ścianie; była to sztuczka, którą pamiętała z dzieciństwa. Najbardziej niezawodny sposób pokonania wszystkich etapów labiryntu polegał na tym, by trzymać rękę po jednej stronie i iść do samego końca. Mogło to prowadzić do ślepych zaułków, lecz trasa ostatecznie kończyła się w centrum.

Nie najszybsza trasa, ale najpewniejsza.

Przyspieszyła kroku, Jordan i Christian podążali za nią. Palce rękawiczki ślizgały się po lodowych okienkach i zahaczały o fragmenty ścian zrobione ze śniegu. Blask latarki wydobywał z mroku boczne wnęki. Dotarła do pomieszczenia z wyrzeźbionym łóżem ze słupkami i dwiema poduszkami; wisiał nad nim lodowy kandelabr, do którego podłączono prawdziwe żarówki. Było ciemno, ale spróbowała sobie wyobrazić ich światło połyskujące refleksami na wypolerowanym lodzie.

W innym pomieszczeniu stał ogromny słoń z lodu; jego ciosy skierowane ku drzwiom posłużyły jako grzęda dla misternie wyczyszczonego ptaków – niektóre spały, inne rozkładały skrzydełka, przygotowując się do lotu.

Erin podziwiała te cudowności, lecz z każdym krokiem narastał w niej lęk i szukała wzrokiem zasadzek. Jaką grę prowadzi Rasputin? Próba nie mogła polegać jedynie na odnalezieniu drogi w labiryncie, to byłoby zbyt proste.

Przyglądała się nawet napisom wrytym w lodzie przez turystów; sądząc po sercach z inicjałami wewnątrz, były to nastolatki. Nie dopatrzyła się niczego groźnego ani żadnego znaku, który wskazywałby na ukryte zamiary rosyjskiego mnicha.

Po minięciu kolejnego zakrętu, pewna, że znajduje się już blisko centrum labiryntu, nagle coś zobaczyła...

W jednym z lodowych okienek, pod powierzchnią wygładzoną niczym lustro, tkwił przedmiot. Z niedowierzaniem skierowała na niego latarkę. Wisiał tam doskonale zachowany w lodzie kawałek brudnej kołdry o barwie kości słoniowej z brakującym kwadracikiem w lewym rogu.

Przeżrana Erin stanęła jak wryta.

– Co to jest? – spytał Jordan i również przyświecił latarką.

Jak Rasputin zdołał się dowiedzieć? I w jaki sposób zdobył tę kołdrę?

– Erin? – naciskał wygraną sierżant. – Wyglądasz, jakbyś ujrzała ducha. Dobrze się czujesz?

Zdjęła rękawicę i przyłożyła dłoń do lodu; powierzchnia topiła się od ciepła, a ona przypominała sobie, kiedy ostatnio widziała tę kołdrę.

Przesuwa drobnym palcem po muślinie w kolorze kości słoniowej. Nachodzące na siebie zielonkawe kwadraciki układają się we wzór. Mama nazywa go irlandzkim łańcuszkiem.

Szyła tę kołderkę razem z nią, pamiętała to.

Po zakończeniu codziennych zajęć wycinały kwadraty i łączyły je przy blasku świec. Ściegi mamy nie były już tak równe jak dawniej, a pod koniec czuła się często zbyt zmęczona. Erin wzięła robótkę na siebie i starannie zszywała kwadraciki; jej młode palce nabierały coraz większej wprawy.

Dokończyła kołdrę w samą porę, przed narodzinami Emmy.

Teraz dwudniowa Emma leży na kołderce. Przeżyła w niej całe swoje króciutkie życie. Urodziła się słaba i chorowita, lecz ojciec zabronił wzywać lekarza. Oświadczył, że tylko wola Boża ma zdecydować o tym, czy Emma przeżyje, czy umrze.

Emma umarła.

Erin mogła jedynie patrzeć, jak maciupenkie różowe policzki i rączki siostry pokrywa bladeść. Skóra zrobiła się jaśniejsza od kołderki, która miała barwę kości słoniowej. Miało być inaczej. Niesprawiedliwość dotknęła ją do głębi, poczuła, że nie może dłużej godzić się na wyroki ojca i milczenie mamy.

Musi powiedzieć, co jej leży na sercu, a potem odejść.

Zerknęła przez ramię, czy nikt jej nie widzi, po czym wyjęła nożyce z kieszeni sukienki. Ostrza zacisnęły się, kiedy wycinała kwadracik z rogu cennej kołderki.

Złożyła go i schowała w kieszeni, a następnie opatulila siostrzyczkę kołdrą ostatni raz. Odcięty róg podwinęła głęboko, tak by nikt nie zorientował się, co zrobiła.

Ojciec pochował małe ciało Emmy owinięte w kołdrę.

Przez warstwę lodu majaczył zielony wzór irlandzkiego łańcuszka pociemniały od pleśni i starości. Przesunęła palcami po zimnej powierzchni. Nie spodziewała się, że zobaczy jeszcze kiedyś tę kołdrę.

Nagle z przerażeniem uświadomiła sobie wymowę tego faktu.

Aby zdobyć ten skrawek, Rasputin musiał zbeczczyć grób jej siostry.

21.11

Elżbieta pędziła labiryntem, holując za sobą Rhuna na srebrnym łańcuchu. Nadia, jej nieodstępny cień, sunęła za nią. W drugiej grupie znajdowało się dwoje ludzi, którzy nie dorównają nadnaturalnej prędkości, z jaką porusza się ta trójka. Hrabina powinna z łatwością dotrzeć do centrum labiryntu o wiele wcześniej niż jasnowłosa archeolożka.

Ambicje sangwinistów mało ją obchodziły, wiedziała jednak, że musi wygrać konkurs. Jeśli kardynał Bernard stwierdzi, że Elżbieta nie jest Uczoną Niewiastą, jej życie utraci wszelką wartość. Palce arystokratki powędrowały znów do miękkiego szala osłaniającego ranę na szyi. Płytkie cięcie przypominało, jak głęboką ufnosć pokłada w niej zakon. Jeśli Bernard przestanie w nią wierzyć, następne będzie znacznie głębsze.

Podyktowała więc szybkie tempo i w ciemności zapamiętywała każdy zakręt. Sunęła błyskawicznie, obywając się bez światła, ale przy każdym kroku świeżo zagojona rana bolała od zimna. Krew Erin częściowo przywróciła ją do życia, ale nie w pełni; do tego wiele jeszcze brakowało. Elżbietę zaskoczyło, że kobieta ofiarowała jej taki dar, a jeszcze bardziej zdziwiła się, widząc, że tamta rozumiała, jak haniebny był atak, którego dopuściła się wobec niej sangwinistka.

Hrabina patrzyła na nią coraz bardziej zaintrygowana. Nawet zaczynała rozumieć, dlaczego Rhun jest nią tak zafascynowany. Na przekór temu zamierzała pokonać Erin w wyścigu.

Buty Elżbiety tratowały śnieg, nogi migały szybko. Nie baczyla na kunsztowne detale, izby z wyrzeźbionymi obiektami, które miały przyciągnąć oko i pobudzić wyobraźnię. Przy jednej tylko komnacie zwolniła kroku. Umieszczono w niej karuzelę naturalnej wielkości z lodowymi konikami. Podobny pokaz zobaczyła latem 1605 roku w Paryżu, kiedy to atrakcje tego rodzaju zaczęły wypierać dawne turnieje szermiercze. Zapamiętała radość na twarzy małego Pawełka na widok wielokolorowych strojów i wierzgających rumaków.

Wielką falą wezbrał w niej ból po utraconej rodzinie, dawno zmarłych dzieciach i nigdy niewidzianych wnukach.

Pchały ją naprzód żal i gniew.

Sunąc, zerkala na rozliczne lodowe okienka, przemyślnie skonstruowane, ale nie zawierające podpowiedzi co do dalszej drogi. Na skrzyżowaniach wciągała nosem zapach mrozu i śniegu, szukała węchem wskazówek.

Nagle gdzieś z przodu dał się słyszeć cichy szelest świadczący o tym, że ktoś tam się czai. Nie towarzyszyło mu tętno.

Strigo!

A więc do centrum labiryntu jest już niedaleko.

Hrabina skupiła się na odgłosie i ponownie przyspieszyła kroku, gdy nagle dostrzegła coś kątem oka. W tafli lodowego okienka tkwiło coś zamarznętego niczym mucha w bursztynie. Elżbieta przystanęła i zatrzymała Rhuna, żeby spojrzeć.

W samym środku lodu wisiał prostokątny przedmiot wielkości jej dwóch złożonych dłoni. Był zawinięty w połyskującą czarną tkaninę i przewiązany brudnym ciemnoczerwonym sznurkiem. Wiedziała, co znajduje się w środku.

Jej dziennik.

Skąd się tam wziął?

Trudno było uwierzyć, że książeczka przetrwała niszczący upływ stuleci. A jeszcze trudniej pojąć, że ktoś wydobył ją z dawnej skrytki i przywiózł tutaj.

W jakim celu?

Książeczka była oprawiona w skórę; palce Elżbiety pamiętały jej powierzchnię, oczami umysłu widziała ilustrację na pierwszej stroniczce tak wyraźnie, jakby nakreśliła ją wczoraj.

Był to obraz liścia olchy, a także korzeni i pnia tego drzewa.

Na pierwszych stronach utrwaliła wizerunki ziół, ich właściwości, sekretne wskazówki zastosowań oraz miejsca na terenie jej włości, w których

występowały. Sama sporządziła rysunki; w długie zimowe wieczory przy blasku świecy przelewała na papier objaśnienia swoim najpiękniejszym charakterem pisma. Jednakże na tym nie poprzestała, później jej badania przybrały mroczniejsze barwy, stały się czarne jak serce Rhuna.

Ostatni wpis robiła, kiedy u jej stóp konała młoda wieśniaczka, a krew sączyła się z wielu nacięć. Elżbieta przypuszczała, że będzie w niej więcej sił żywotnych. Żle obliczyła czas zgonu dziewczki i skutek okazał się porażką. Poczowała ukłucie zniecierpliwienia, ale wnet się napomniała, że nawet dzięki takim niepowodzeniom poszerza swoją wiedzę.

Z klatki za jej plecami dochodziło kwilenie następnej młódki. Także i ona zostanie obiektem doświadczeń, ale może poczekać do jutra. Wieśniaczka, jakby to wyczuwając, uspokoiła się, objęła rękami kolana i kołysała się.

Elżbieta spisywała spostrzeżenia przy świetle kominka, notowała każdy szczegół: jak prędko uszło życie z pierwszej, jak długo można było zwlekać przed przemianą obiektu w strigoi, ile czasu trwało, nim obiekt w tym stanie legł martwy.

Eksperymentowała bez końca z coraz to nowymi dziewczętami.

Powoli i metodycznie poznawała tajemnice swojej istoty, dowiadywała się, kim jest.

Wiedza ta dodawała jej siły.

Hrabina uniosła rękę i dotknęła lodu. Nie sądziła, że zobaczy jeszcze kiedyś swój dziennik. Ukryła go w zamku, kiedy rozpoczął się jej proces. Zawierał imiona ponad sześciuset młodych dziewcząt, czyli o wiele więcej, niż wynosiła liczba morderstw, które jej zarzucano. Schowała go w bezpiecznym miejscu, głęboko pod kamieniem tak ogromnym, że żaden śmiertelnik nie zdołałby go dźwignąć.

Ktoś jednak to uczynił.

Prawdopodobnie ten, kto sprowadził dziennik do labiryntu i zostawił w tym miejscu, żeby ona go znalazła.

Ale kto? I dlaczego?

– Co ty robisz? – spytał Rhun, zauważywszy, że coś wzbudziło jej zaciekawienie.

– Ten notatnik jest mój. Chcę, żeby do mnie wrócił.

Nadia szturchnęła ją do przodu.

– Nie czas na takie rozrywki.

Elżbieta cofnęła się w to samo miejsce przy okienku, ani myślała ustępować. Pragnęła odzyskać swoją własność. Jej dzieło mogło jeszcze okazać się przydatne.

– Ależ owszem, to właściwy czas – odparła, skrobiąc obręczą kajdanek powierzchnię lodu. – To ja jestem Uczoną Niewiastą i ja decyduję, jak spędzamy czas. To mnie poddano próbie.

– Ona ma rację – potwierdził Rhun. – Rasputin by nie chciał, żebyśmy się wtrącali. Elżbieta musi sama zwyciężyć lub poleć.

– Więc niech się uwija – warknęła Nadia.

Sangwinista wspomógł arystokratkę i razem szybko dowiercili się do książeczki. Elżbieta obiema dłońmi wyciągnęła ją z lodowego więzienia.

Wtedy spostrzegła cienie po drugiej stronie ściany. Mimo że majaczyły niewyraźnie za warstwą lodu, wiedziała, że są to sylwetki kobiet lub mężczyzn. Ich serca nie były.

To musieli być *strigoi*, których obecność wcześniej wyczuła.

Raptem uprzytomniła sobie, że nie ma potrzeby wędrować dalej korytarzem. Istniała bezpośrednia droga do triumfu. Hrabina zamachnęła się wolną ręką i łupnęła łokciem w lodowe okno, przebijając się na drugą stronę.

Odpryski lodu zatańczyły na przybrudzonym śniegu w centrum labiryntu.

Rhun i Nadia nachylili się i zajrzeli przez otwór.

Elżbieta roześmiała się głośno.

– Wygraliśmy.

Sztokholm, Szwecja

19 grudnia, 21.21 czasu miejscowego

Erin oderwała wzrok od zamrożonego w lodzie skrawka kołdry. Nie może pozwolić, by doświadczenia osobiste odciągnęły ją od celu. Trzeba zostawić ten okruch przeszłości i iść dalej. Domyśliła się, dlaczego Rasputin go tam umieścił: chciał wytrącić ją z równowagi, spowolnić marsz.

Nie da mu powodu do satysfakcji.

– Erin? – szepnął jej do ucha sierżant.

– Wszystko w porządku – odparła dziwnym tonem, sugerującym, że kłamie. – Ruszajmy dalej.

– Pewna jesteś? – Trzymał ciepłymi dłońmi jej ramiona. Znał ją dobrze i wiedział, co kryje się za dziarskimi słowami.

– Tak, jestem pewna.

Tym razem w jej głosie było więcej przekonania. Nie może pozwolić, by Rasputin zorientował się, jak mocno szarpnął strunę jej uczuć. Jeśli wyczuje słabość, wykorzysta to i ugodzi dotkliwiej. Ukryła więc ból i podjęła marsz.

Musimy być już blisko.

Ruszyła szybkim krokiem, wciąż dotykając palcami lewej ściany i zbliżając się do centrum labiryntu. Po minięciu jeszcze dwóch zakrętów weszła do przestronnego pomieszczenia ze ścianami z ubitego śniegu; także i tam widać było niebo, a górne krawędzie śnieżnego muru uformowano w blanki.

Dotarli do wieżycy lodowego zamku zwieńczonej mniejszymi wieżyczkami.

W samym środku pomieszczenia wznosił się posąg anioła naturalnej wielkości. Stał na cokole, który również wyrzeźbiony był z lodu. Robota była mistrzowska. Anioł wyglądał tak, jakby zrobiwszy użytek ze swoich wielkich skrzydeł, dopiero co wylądował na zamrożonym postumencie. Promienie księżycowego światła igrały na diamentowych skrzydłach, których każde pióro zostało wymuskane do perfekcji. Mróz nadał sylwetce nieskazitelnie białą barwę, przyprószona śniegiem twarz zwrócona była ku niebu.

Posąg był przepiękny, lecz Erin czuła tylko rozczarowanie.

Obok rzeźby ustawiła się grupa Rhuna; hrabina uśmiechała się z satysfakcją.

Przegrałam, pomyślała Erin.

Arbiter konkursu, Rasputin, stał u boku zwyciężczynie.

Uniósł rękę w powitalnym geście.

– Witam, doktor Granger! Nareszcie pani do nas dołączyła!

Mnich jak zwykle ubrany był w prosty czarny habit, który marszczył się poniżej jego kolan. Na szyi nosił duży prawosławny krzyż ze złota, a nie, tak jak krzyże zakonu sangwinistów, ze srebra. Długie do ramion włosy wyglądały przy słabym świetle, jakby były tłuste, lecz w jego jasnych niebieskich oczach pląsały iskry rozbawienia.

Erin spojrzała na niego wyzywająco i podeszła bliżej.

Rasputin zaklaskał w gołe białe dłonie, ich odgłos zabrzmiał zbyt gromko w cichym pomieszczeniu.

– Ach, szkoda, wielka szkoda, że zajęła pani drugie miejsce, moja droga Erin. Ale było blisko, muszę przyznać.

Batory posłała jej zimny uśmiech triumfu; raz jeszcze udowodniła, że to ona jest prawdziwą Uczoną Niewiastą.

– Jak brzmi to mądre wyrażenie, sierzancie Stone? – ciągnął mnich. – Blisko jak o rzut granatem?

– Albo podkową – odpowiedział Jordan. – Która wersja lepiej pasuje do sytuacji?

Rosyjski mnich gruchnął śmiechem z samych trzewi.

Rhun zmarszczył czoło.

– Nie przybyliśmy tu dla zabawy, Grigoriju. Obiecałeś nam Pierwszego Anioła. Bernard wyraził zgodę, żeby twoja siedziba w Sankt Petersburgu, cerkiew Zbawiciela na Krwi, została na nowo konsekrowana przez samego papieża. Jego Świątobliwość udzieli ci również pełnego rozgrzeszenia i cofnie ekskomunikę. Jeśli zechcesz, możesz ponowić ślubowanie sangwinistów...

– A dłączegóż miałbym tego chcieć? – wpadł mu w słowo Rasputin. – Czekalaby mnie wiekuista nabożna udreka.

Hrabina Batory przechyliła głowę.

– W rzeczy samej.

Erin stała z boku, nie bacząc na coraz gorętszą dysputę Rhuna z rosyjskim mnichem. Jej uwagę przykuła maestria wykonania rzeźby. Zbliżywszy się,

zobaczyła wyraz cierpienia na pałającym białą obliczu. Miała wrażenie, że uskrzydłona istota została strącona z niebios na ziemski padół za karę i tylko dlatego tkwi na cokole.

Było to tyleż piękne, co zatrważające.

– Możesz wrócić do Sankt Petersburga ze świadomością, że Kościół odpuścił twojej duszy – kontynuował sangwinista. – Wpierw jednak musisz nam przekazać chłopca.

– Dostarczyłem wam to, co było obiecane – odparował Rasputin, machnięciem ręki wskazując posąg. – Ładniutkiego aniołka.

– Nie prosiliśmy cię o kpinę ze świętości. – Rhun zrobił groźny krok w stronę mnicha. Gromada *strigoj* stojących przy ścianach lekko się poruszyła.

– Mam rozumieć, że nie chcecie mojego podarku? – spytał Rasputin. – Odrzucacie moją hojną ofertę i zrywacie porozumienie? – Oczy mnicha pociemniały, zamajaczyła w nich złowroga zapowiedź fortelu.

Rozgniewany Rhun tego nie dostrzegł i zamierzał wygarnąć Rasputinowi, co może sobie zrobić z lodowym aniołem.

– Chcemy go! – krzyknęła Erin, zanim sangwinista zdążył się odezwać.

Rasputin odwrócił się do niej z wściekłą miną.

Podchodząc do rzeźby, zaczynała sobie uprzytamniać bezmiar okrucieństwa rosyjskiego mnicha. Zdjęła rękawiczki i dotknęła stopy anioła. Szron topił się pod jej ciepłymi palcami. Pocierała dłońią nogę posągu, odsłaniając czysty lód.

Uniosła latarkę i oświetliła jego wnętrze. Nagle zakłęła i wbiła w Rasputina spojrzenie ostre jak sztylet.

– Co to jest? – spytał Jordan.

Odstąpiła, żeby wszyscy mogli zobaczyć.

W miejscu, które oczyściła, spod lodu prześwitywała obnażona ludzka noga.

Noga chłopca.

Chłopca, który nie mógł umrzeć.

Mimo że był zamarznięty.

Pierś unosiła się jej i opadała, kiedy Erin odwróciła się do Rasputina.

– Zamroziłeś go w bryle lodu i zrobiłeś z niego rzeźbę.

Mnich wzruszył ramionami, jakby to, co uczynił, było całkowicie naturalne.

– Jest aniołem, więc dałem mu skrzydła.

Sierżant wskazał posąg i chwycił Christiana za ramię.

– Pomóż mi! Trzeba go uwolnić!

Chłopiec musiał cierpieć potworne męki.

Był zamrożony na śmierć, ale nie mógł umrzeć.

Razem naporli barkami na korpus rzeźby, ta zaś się przechyliła i runęła z cokołu na śnieg. Na tułowiu ukazała się rysa. Erin opadła obok niej na kolana. Wspólnie zdejmowali lód z zamrożonej postaci, odrywali go w kawałkach.

Gdy Jordan ściągnął fragment z klatki piersiowej, zeszło wraz z nim trochę skóry.

Modlił się, żeby chłopiec spał lodowatym snem. Wolał sobie nie wyobrażać, jak wrzucano go do zimnej wody i trzymano w niej, aż skuł go lód. Domyślał się, jak wielka była jego męczarnia.

Erin bardzo delikatnie odsłaniała twarz, policzki i powieki, następnie włosy. Wargi i czubek nosa pękł, poleciała z nich krew, ale szybko zamarzała.

Rasputin obserwował to ze skrzyżowanymi na piersi rękami.

– Otóż nasuwa się pewna wątpliwość. Hrabina pierwsza dotarła do centrum labiryntu, ale to Erin znalazła anioła. Kto w takim razie zwyciężył?

Jordan tylko zgromił go wzrokiem; rozważania te mało się teraz liczyły. Erin usuwała lód z twarzy chłopca, przyciskała dłonie do jego policzków, brody i zamkniętych oczu. Wszystko wydawało się daremne. Rozmrażanie ciała potrwa godzinami, nawet gdyby tuż obok gorzał ogień.

Spojrzała ze zdziwieniem na Jordana.

– Skóra jest zmarznięta, ale po ogrzaniu robi się miękka, elastyczna.

Zaintrygowany Rasputin podszedł bliżej.

– Wygląda na to, że łaska, która zapewnia Thomasowi nieśmiertelność, ostała się nawet w zetknięciu z lodem.

Jednak grymas na skostniałej twarzy chłopca świadczył o tym, że nie uchroniła go od bólu.

Sierżant wyjął z kieszeni małą apteczkę, którą zabrał z łazienki w Castel Gandolfo. Otworzył pakunek i ujął w dłoń strzykawkę.

– To morfina, pomoże na ból. Mam wstrzyknąć? Jeśli nie zamarł do cna i jego serce bije, choćby powoli, powinna mu przynieść ulgę, zwłaszcza po przebudzeniu.

Erin skinęła głową.

– Zrób to.

Oparł dłoń na odsłoniętej piersi chłopca w miejscu, gdzie znajdowało się serce. Począł, aż ręka ogrzeje skórę. Wyczuł nagle bicie.

Zerknął w górę.

– Ja też usłyszałem! – oznajmił Rhun. – Porusza się.

– Wybacz, koleżko – mruknął sierżant.

Unosił strzykawkę i mierząc w serce, wbił igłę w miejsce rozmrożonym dotknięciem dłoni. Następnie zassał do strzykawki odrobinę wychłodzonej krwi i dopchnął tłoczek do oporu.

Erin odgarnęła zamrożone kosmyki włosów i szeptała do ucha chłopca słowa niczym litanię:

– Przepraszam cię... przepraszam...

Czekali minutę, ale nic się nie działo.

Jordan pocierał Thomasowi uda, łydki i kolana, po czym z wielką ostrożnością zgiął mu nogi. Christian zrobił to samo z rękami.

Erin aż podskoczyła, gdy chuda pierś chłopca uniosła się raz, potem drugi.

Sierżant patrzył, jak jego powieki się rozwierają. Mimo że panował półmrok, źrenice pozostawały małe i nieruchome, skurczone pod wpływem morfiny. Usta otworzyły się z nagłym westchnieniem i wyrwał się z nich zduszony ni to okrzyk bólu, ni to szloch.

Erin objęła Thomasa i trzymała na kolanach. Jordan zdjął skórzaną kurtkę i go nią otulił. Szczupłym ciałem wstrząsnęły gwałtowne dreszcze.

Rhun nachylił się groźnie do Rasputina.

– Przejmujemy chłopca. Uzyskałeś dla siebie rozgrzeszenie, ale nasze sprawy na tym się kończą.

– Nie – odrzekł rosyjski mnich. – Obawiam się, że nic z tego.

Do pomieszczenia wchodził *strigoj* i dołączali do tych, którzy już w nim byli. Wnet przewyższyli liczebnie ludzi i sangwinistów. Wielu trzymało w dłoniach broń automatyczną.

Sangwiniści stanęli razem w obliczu zagrożenia.

– Chcesz złamać słowo? – zapytał Rhun.

– Mało brakowało, a ty byś je złamał, odmawiając przyjęcia mojego podarunku. Prawie mi się udało – odrzekł z uśmiechem Rasputin. – Ale Erin przejrzała mój drobny wybieg. A to znaczy, że twoja decyzja będzie jeszcze trudniejsza.

- Jaka decyzja?
- Powiedziałem Bernardowi, że przekażę chłopca Uczonej Niewieście. – Wskazał Erin i Batory. – A więc która? Musisz wybrać.
- Dlaczego?
- Proroctwo dopuszcza tylko jedną Uczoną Niewiastę – odparł mnich. – Fałszywa musi zginąć.
- Jordan wstał i zajął miejsce obok Erin.
- Rasputin uśmiechnął się na ten widok.
- Mąż Wojownik, kierując się sercem, a nie głową, wybiera swoją ukochaną. Ale, drogi Rhunie, to ty jesteś Rycerzem Chrystusa, musisz zatem dokonać wyboru. Która z nich jest prawdziwą Uczoną Niewiastą? Która przeżyje? A która odda życie?
- Nie przyłożę ręki do twojej nikczemności, Grigoriu – oświadczył Rhun. – Nie będę wybierał.
- To również jest wybór – rzekł Rasputin. – I to jeszcze ciekawszy.
- Klasnął dwa razy w dłonie.
- Jego *strigoi* unieśli pistolety.
- Rasputin patrzył Rhunowi w oczy.
- Wybieraj albo każę zabić obydwie.

21.44

Sangwinista zerkał to na Elżbietę, to na Erin, uświadamiając sobie, jak okrutną pułapkę zastawił rosyjski mnich. Był niczym pająk, utkał ze słów pajęczynę zniewolenia i udręki. Teraz Rhun wiedział już, że wróg przybył na spotkanie po to, by uzyskać obiecanę przez kardynała odpuszczenie grzechów, a jednocześnie zadać torturę jemu, Rhunowi. Przekaze chłopca zgodnie z umową, ale najpierw sprawi mu ból.

Jak mogę wybierać?

Stawką był jednak los całego świata, więc czy mógł się uchylić od tego wyboru?

Zobaczył szeregi przeciwników ustawionych na śniegu: *strigoi* po jednej stronie, sangwiniści po drugiej. Tamci mieli przewagę liczebną i byli uzbrojeni.

Nawet jeśli udałoby się zwyciężyć, obie kobiety prawdopodobnie poniosłyby śmierć, a podwładni Rasputina w czasie walki uprowadziliby chłopca.

Raptem w przeciągającą się ciszę wtargnął osobliwy intruz; pośród śnieżnych płatków sunął w powietrzu między dwiema małymi armiami. Jego jaskrawe szmaragdowozielone skrzydełka łapały najmniejszą drobinę światła i ją odbijały. Była to duża ćma wyglądająca przedziwnie w scenerii śniegu i lodu. Ostry słuch pozwolił Rhunowi wychwycić cichutki łopot połyskliwych skrzydełek.

Nikt się nie poruszał, wszystkim oczarowała uroda tajemniczego przybysza.

On zaś podleciał do sangwinistów, jak gdyby brał stronę w zapowiadającej się konfrontacji. Wylądował na czarnej kurtce Nadii, na jej ramieniu, i wyciągnął ostro zakończone szmaragdowe skrzydełka pokryte delikatnym srebrnym nalotem.

Zanim ktokolwiek zdołał zareagować, choćby wyrażając zdziwienie, do rozległej lodowej komory różnymi wejściami wleciało więcej takich samych stworzeń. Niektóre spłynęły z góry wraz z płatkami śniegu.

Wkrótce powietrze drgało mnogością maleńkich lśniących okruchów, one zaś tańczyły, machając skrzydłami, i siadały to tu, to tam.

Odgłos trzepotania, na który zwrócił uwagę Rhun, stał się wyraźniejszy.

Sangwinista przyjrzał się ćmie tkwiącej na barku Nadii, dostrzegł metaliczny odcień jej drobnego odwłoka.

Skrzydełka były prawdziwe, jednakże intruzi nie byli żywymi istotami, lecz tworamami sztucznymi zbudowanymi nieznaną ręką.

Ale czyją?

Do lodowej wieży tym samym wejściem, z którego skorzystała Erin, wkroczył wysoki mężczyzna. Rhun usłyszał bicie serca, które dotąd uszło jego uwagi w osobliwym zamęcie. Przybysz był człowiekiem.

Miał na sobie jasnozielony szal i płaszcz z szarego kaszmiru sięgający do kolan. Kolory te podkreślały szarość jego włosów i srebrzystoniebieską barwę oczu.

Rhun zauważył, że Batory drgnęła i zeszywniała lekko na jego widok, jakby ujrzała kogoś znajomego. Ale czy to możliwe? Był najwyraźniej człowiekiem, i to współczesnym. Czyżby poznali się w ciągu tych paru miesięcy, kiedy krążyła swobodnie po ulicach Rzymu? Czyżby wezwała go na ratunek? Jeżeli tak, to tajemniczy mężczyzna raczej nie mógł się łudzić, że wyjdzie zwycięsko ze starcia z oddziałem *strigoi* Rasputina oraz sangwinistami.

A mimo to nie zdradzał najmniejszych oznak podenerwowania.

Reakcja rosyjskiego mnicha na przybycie intruza była jeszcze bardziej niepokojąca niż mina Batory. Rasputin czmychnął do najdalszej ściany, a jego oblicze, na którym zwykle malowało się posępne rozbawienie, tym razem wyrażało paniczny strach.

Rhun struchłał.

Nic na tym świecie nie budziło lęku u Rasputina.

Sangwinista był tego świadom i dlatego spojrział z obawą na przybysza. Zbliżył się do Erin i chłopca, gotów bronić ich przed nowym zagrożeniem.

Mężczyzna odezwał się po angielsku z brytyjskim akcentem, w sposób oficjalny i wystudiowany.

– Przybyłem po anioła – oznajmił ze śmiertelnym spokojem.

Sangwiniści zwarli szereg obok Rhuna.

Jordan postawił Erin na nogi, szykując się do ucieczki bądź walki. Chłopiec usiadł na śniegu obok ich kolan, otumaniony po zamrożeniu w lodzie i dawce narkotyku. Owinięty był kurtką sierżanta. Rhun wiedział, że Erin nie opuści chłopca.

Strigoj o drobnych postaciach zgromadzili się tymczasem przed Rasputinem, odgradzając go niczym tarcza od tajemniczego przybysza i mierząc z pistoletów.

Ten natomiast spoglądał ze spokojem na rosyjskiego mnicha.

– Grigoriu, twój spryt czasami obraca się przeciwko tobie. – Wskazał gestem chłopaka. – Znajdujesz nieśmiertelnego takiego jak ja, mijają miesiące, a ty powiadamasz mnie o tym dopiero kilka godzin temu?

Rhun usiłował zrozumieć, co to znaczy.

Nieśmiertelnego takiego jak ja...

Spoglądał na intruza. Jak to możliwe?

Nieznamy się skrzywił.

– Myślałem, że co do takich kwestii zawarliśmy pewien układ, *tawariszcz*.

Rasputin otworzył usta, lecz nie popłynęły z nich słowa.

To także było dziwne, gdyż posługiwał się mową nader biegle.

Christian i Nadia posłali krótkie spojrzenia Rhunowi, sygnalizując, że oni także nie ogarniają sytuacji. Żadne z nich nie wiedziało nic o tym rzekomo nieśmiertelnym człowieku.

Batory tylko patrzyła; jej czoło przedzieliła zmarszczka świadcząca o tym, że hrabina się zastanawia. O czymś wiedziała, ale zachowywała milczenie;

najwyraźniej wolała poczekać na dalszy rozwój wypadków.

Mężczyzna odnalazł ją wzrokiem i zimny wyraz jego twarzy złagodził uśmiech.

– Ach, hrabina Elżbieta Batory z Ecsed – zagadnął oficjalnie. – Pozostaje pani równie piękna jak wtedy, gdy pierwszy raz ujrzały panią moje oczy.

– Pan także wcale się nie zmienił. Słyszę jednak pański puls i nie pojmuję, jak to możliwe, skoro poznaliśmy się tak dawno temu.

Tajemniczy intruz splótł dłonie za plecami, był spokojny. Odpowiedział jej, ale zwracał się do wszystkich obecnych:

– Jestem nieśmiertelny tak jak pani. W odróżnieniu od niej nie należę do *strigoi*. Moja nieśmiertelność jest darem Chrystusa i znakiem mojej służby dla Niego.

Erin głośno wciągnęła powietrze.

Rhun był wstrząśnięty, co było widać po jego twarzy.

Dlaczego Jezus obdarował tego człowieka nieśmiertelnością?

– Jaką przysługę Mu oddałeś? – spytała Nadia. – Co takiego zrobiłeś, że nasz Pan pobłogosławił cię nieśmiertelnością?

– Pobłogosławił? – prychnął intruz. – Wiesz lepiej niż ktokolwiek inny, że nieśmiertelność to nie jest błogosławieństwo. To klątwa.

Rhun nie mógł temu zaprzeczyć.

– Dlaczego więc zostałeś przeklęty?

Wargi nieznanego ułożyły się w uśmiech.

– Dwa pytania zamknięte w jednym. Po pierwsze, co zrobiłem, by zasłużyć na przekleństwo. I po drugie, dlaczego akurat taką otrzymałem karę.

Rhun chciał poznać odpowiedzi na obydwa.

Mężczyzna uśmiechnął się szerzej, jakby czytał w jego myślach.

– Odpowiedź na pierwsze pytanie jest łatwa. Drugie pytanie dręczy mnie od tysiącleci. Musiałem stąpać po tej ziemi setki lat, zanim stała się dla mnie jasna istota mojego celu.

– W takim razie odpowiedz na pierwsze – rzekł sangwinista. – Co takiego uczyniłeś, że cię przeklęto?

Intruz bez wstydu spojrział mu w oczy.

– Zdradziłem Chrystusa pocałunkiem w ogrodzie Getsemani. Na pewno znasz biblijną opowieść, kapłanie.

Nadia westchnęła głośno, a przerażony Rhun zatoczył się do tyłu.

To niepodobna.

W ciszy, która zapanowała, Erin postąpiła krok, jakby chciała się zmierzyć z niemożliwym faktem istnienia tego mężczyzny.

– A dlaczego pokarano cię klątwą niekończących się lat życia?

Zdrajca Chrystusa spoglądał na Erin.

– Swoim słowem wypędziłem Chrystusa z tego świata. Swoimi czynami sprowadzę go z powrotem. Taki jest cel mojej klątwy. Otworzyć bramy Pieła i przygotować świat na Jego powrót, na Drugie Przyjście Chrystusa.

Rhun zrozumiał i zdjęło go przerażenie.

On zamierza wywołać Armagedon.

Sztokholm, Szwecja

19 grudnia, 22.02 czasu miejscowego

Erin zmagiała się z ogromem historii, która omal jej nie przytłoczyła. Jeśli mężczyzna mówił prawdę, jeśli czegoś sobie w głowie nie uroił, to był Judaszem Iskariotą, najbardziej zhańbionym człowiekiem w dziejach, zdrajcą, który posłał Chrystusa na krzyż.

Słuchała jego słów, gdy mówił o tym, dlaczego chce położyć kres światu.

– Uważasz, że taki jest sens twojego istnienia? – zapytała. – Wierzysz, że Chrystus pchnął cię na tę długą drogę, żebyś przygotował świat na jego powrót?

W oddali rozległo się wycie syren i przypomniało jej, że to jest współczesny świat, inna epoka, w której niewielu wierzy w świętych i demony. Ona tymczasem stała w obliczu kogoś, kto twierdził, że jest jednym i drugim. Jeśli mówił prawdę, to widział na własne oczy cud Chrystusa, słuchał jego przypowieści i nauk; te usta złożyły pocałunek na twarzy Jezusa w ogrodzie Getsemani i skazały go na śmierć.

Syreny zabrzmiały głośniejsz, były bliżej.

Czyżby ktoś zauważył wtargnięcie intruzów do lodowego zamku? Czy wszczęto alarm?

Iskariota skierował wzrok w tamtą stronę, a potem odwrócił się do obecnych.

– Czas na rozmowy minął. Zabiorę anioła i odejdę.

Strigoi i sangwiniści wyczuli groźbę w jego słowach i sprężyli się do walki.

Jordan pociągnął Erin i ustawił ją za swoimi plecami.

Iskariota uniosł palec wskazujący gestem, jakim wzywa się kelnera do stołu; był to sygnał dla osobliwego roju, który poprzedził jego nadejście. W powietrzu nad głowami zatrzepotały skrzydełka.

Jedna ćma usiadła na ręce Erin, gdy ta uniosła ją, chcąc się zasłonić przed nieznanym zagrożeniem. Drobnutkie mosiężne odnóża zatańczyły nad wełnianą rękawicą i znalazły kawałek odsłoniętej skóry pod rękawem. Mała srebrna trąbka dziobnęła naskórek i wbiła się głęboko.

Kobieta opuściła ramię i potrząsnęła ukłutą ręką.

Ćma poderwała się i odfrunęła, trzepocząc powoli skrzydłami.

Co to, u diabła, było?

Erin przyjrzała się kropelce krwi, która zebrała się na ranie.

Jordan zaklął i klepnął się w szyję z tyłu, miażdżąc ćmę; owad spadł na śnieg. Pozostali także padli ofiarą podobnych ataków. Erin nie rozumiała, na czym polega niebezpieczeństwo, dopóki nie zobaczyła Olgi stojącej w szeregu niewyrośniętych *strigoi*.

Przy jej drobnej twarzyczce zatrzepotały szmaragdowe skrzydełka. Dziewczynka krzyknęła i osunęła się na kolana. Ćma wzbijała się z jej nosa i odleciała. Na policzku Olgi ukazała się czarna plama i błyskawicznie zżerała twarz, obnażając kości; z pęknięć skóry biła kipiąca krew. Drobna postać wstrząsnęły konwulsje. Dalsi członkowie Rasputinowej trzody padali na śnieg, skręcani dreszczami.

Erin spojrzała na plamę krwi na swoim nadgarstku i raptem pojęła.

Trucizna.

Motyle nosiły w sobie jad.

Potarła ramię, ale nie odczuwała skutków porażenia.

Tak samo jak Jordan.

Rasputin rzucił się między swoich małych wyznawców, trawiła go jednak rozpacz, a nie trująca substancja.

– Przestańże! – zawył.

Erin przypomniała sobie inne stworzenie, które szczezło w podobny sposób. Był nim wilkozor w podziemiach Watykanu. Trafiała go pociskiem skażonym krwią Bathory Darabont, która miała w organizmie jakiś rodzaj trucizny zabójczej dla wszystkich *strigoi*, nawet tych, co zostali sangwinistami.

Z przestraczem odwróciła się do Rhuna i reszty.

Nadia klęczała na kolanach, Christian trzymał ją w ramionach, a Rhun, używając skórzanej zbroi jako tarczy, opędzał się przed szmaragdową chmarą.

Erin rzuciła się w jego stronę, pociągając sierżanta.

– Pomóż im! – krzyknęła. Oboje byli ludźmi, co czyniło ich odpornymi na wstrzykiwaną substancję. – Odpędź te ćmy! – Wiedziała, że jedno ze śmiertelnych stworzeń wylądowało na barku Nadii.

– Piecze – jęknęła sangwinistka, trzymając się za poczerniałą szyję. Ścisła ją, jakby chciała zatrzymać jad.

Na nic się to zdało. Ciemna plama objęła już policzki i rozszerzała się; powiększała się wolniej niż u *strigoi*, lecz wydawała się niepoohamowana.

Christian spoglądał bezradnie na Erin.

– Co można zrobić?

Odpowiedź padła spoza szmaragdowej chmury:

– Nic! – zawołał Iskariota, usłyszawszy błagalne pytanie sangwinisty. – Możecie tylko patrzeć, jak umiera.

Ciało Nadii, którym wstrząsały konwulsje, wygięło się do tyłu.

Erin poczuła, że coś wpadło na nią z boku. Chwytał ją mały chłopczyk, jeden ze *strigoi* – miał już tylko połowę twarzy. Z oka, które pozostało, lały się łzy. Uklękła i przycisnęła go; drobna dłoń malca ścisnęła jej rękę. Może wiedział, że nie zdoła go ocalić, ale nie chciał być sam. Spoglądał na nią rozpaczliwie okiem o barwie nieba. Trzymała mocno jego dłoń, aż zastygł w bezruchu. Czerń całkowicie pochłonęła jego ciało.

Erin skierowała wzrok na przeciwną stronę lodowej komnaty.

Żadne z dzieci już się nie poruszało, zmasakrowane ciała leżały na śniegu.

Nadia wydała ostatni jęk i legła martwa. Christian nachylał się nad nią z oczami błyszczącymi od łez.

Erin wypuściła z rąk to, co zostało z drobnych dłoni *strigoi*.

Na bezgłośny znak ćmy wzbiły się wysoko i zawisły niczym złowieszczą chmura. Erin policzyła tych, którzy przeżyli: Rasputin i reszta sangwinistów. Ocaleni zapewne dlatego, że taka była wola pana lotnych stworów.

Wstała i stanęła twarzą w twarz z Iskariotą.

– Dlaczego? – spytała.

Wyciągnął rękę i z gracją usiadła na niej ćma; srebrzystozielone skrzydełka unosiły się i opadały.

– Niech to będzie lekcja dla was wszystkich. – Skinieniem głowy wskazał zwłoki Nadii. – A dla sangwinistów dowód, że udzielone im błogosławieństwo nie zabezpiecza przed moją klątwą, przed moją krwią.

Ćmy nosiły więc w sobie jego skażoną osokę.

Erin patrzyła, jak ciało Nadii rozlatuje się na proch i kości. Ileż razy ta dzielna kobieta ją ratowała! Nie zasłużyła na tak nędzną i niepotrzebną śmierć.

Nie ona jedna.

Rasputin klęczał pośród swej nieszczęsnej dziatwy i zawodził.

– I po co to wszystko, po co? Czego chciałeś mnie nauczyć?

– Nie nauczyć, Grigoriju, lecz ukarać. Za to, żeś zataił przede mną tajemnicę. Ćmy zniżyły się groźnie. Któraś spłynęła nad ramię Rhuna.

Erin natężyła umysł; coś jej mówiło, że Iskariota na tym nie poprzestanie. Nadziei mogła szukać jedynie w wiedzy. Przypomniała sobie odcisk czarnej ręki na szyi Bathory Darabont, która skaziła jej krew. Domyśliła się, że dłoń ta należała do Iskarioty. Czyżby za pomocą jakiejś alchemicznej mocy swojej osoki splugawił krew Darabont, żeby zapewnić jej bezpieczeństwo między *strigoj*, którymi dowodziła? Służyła Beliałowi, zorganizowanemu bractwu zrzeszającemu *strigoj* i ludzi, którymi kierował niczym marionetkami tajemniczy mistrz pociągający za sznurki.

Erin miała przed oczami kształt czarnej dłoni, kiedy spojrzała na Iskariotę.

– To ty jesteś przywódcą Beliała.

Te słowa przykuły jego uwagę na tyle, że odwrócił się znowu do tych, którzy przeżyli.

– Cóż, nie bez racji nadano pani tytuł Uczonej Niewiasty, doktor Granger. Ale moje dzieło nie jest jeszcze zakończone.

Nim ktokolwiek zdołał wykonać ruch, ćmy sfrunęły i obsiadły sangwinistów, Rasputina i Elżbietę Batory, było ich zbyt wiele.

– Dość! – krzyknął Iskariota, kiedy zaczęła się szamotanina. – Jeśli stawicie opór, wszystkich czeka zguba!

Uświadomiwszy sobie daremność wysiłków, znieruchomieli. Ćmy oblepiły ich barki i kończyny.

– Nie chcę was uśmiercać, ale zrobię to, jeśli zajdzie konieczność.

Wpatrywał się w Rhuna, który stał nieruchomo niczym pancerna zbroja. Przypominał teraz prawdziwego rycerza.

– Pora, by Rycerz Chrystusa dołączył do siostry z zakonu. By opuścił w pokoju ten padół i wstąpił w niebiosa, gdzie jest jego miejsce.

Sangwinista przeniósł wzrok na Erin, jakby szykował się do pożegnania.

– Zaczekaj – powstrzymała go. – Proszę cię.

Iskariota odwrócił się do niej.

Miała tylko jeden atut, który mogła rzucić na stół. Pamiętała, w jaki sposób Rasputin pertraktował kiedyś z Beliałem. W Sankt Petersburgu mnich przekazał Ewangelię Krwi i Erin w ręce Bathory Darabont, ale dopiero po tym, jak wymógł na tej drugiej przyrzeczenie. Erin zapamiętała słowa Rasputina o długu i przysiędze.

Przyrzekłem oddać ci księgę, miał to być gest dobrej woli wobec tych, którym służyysz... Jeśli w zamian twój pan obdarzy mnie później życiem, jakie sobie wybiorę.

Strony doszły do porozumienia.

Teraz spojrzała na rosyjskiego mnicha. Czy zgodzi się powołać na to zobowiązanie, żeby ocalić Rhuna? Czy Iskariota zechce je uhonorować? Erin musiała podjąć próbę, bo nic innego jej nie pozostało.

– Kilka miesięcy temu Rasputin dobił targu z wysłanniczką Beliala. W zamian za współpracę miał sobie wybrać życie według uznania. Zawarto umowę. Wszyscy byli jej świadkami.

Iskariota popatrzył na rosyjskiego mnicha klęczącego wśród zwłok. Po jego policzkach spływały łzy i znikały w brodzie. Mimo swojej nikczemności kochał te dzieci jak prawdziwy ojciec i widział, jak giną w męczarniach. Padły ofiarą jego knowań.

– Czy taka jest twoja wola, Grigoriju? Przerzucisz ochronną zasłonę na Rhuna Korzę? Czy na niego padnie twój wybór?

Rasputin uniósł głowę i spojrzał Judaszowi w oczy.

Proszę, myślała Erin. Zgódź się. Uratuj dziś choć jedno życie.

Mnich długo patrzył na Iskariotę, jeszcze dłużej na Rhuna. Byli kiedyś przyjaciółmi, działali ręką w rękę jako sangwiniści.

– Zbyt wielu dzisiaj umarło – odezwał się głosem słabym od żalu.

Iskariota westchnęła i zacisnęła gniewnie usta.

– Raz jeden złamałem dane słowo... i ściągnęło to na mnie klątwę. Przysięgłem, że nigdy więcej tak nie postąpię. Nawet teraz. Wbrew temu, co myślisz, nie jestem podły. – Skłonił głowę przed Rasputinem. – Uznaję swój dług i spełnię twoje życzenie.

Erin odetchnęła i zamknęła oczy.

Rhun będzie żył.

Judasz uniósł rękę i do pomieszczenia wkroczyło dwóch krzepkich mężczyzn, jeden ciemnowłosa, a drugi blondyn. Obaj byli wysocy i zbudowani jak czołgi, mieli grube karki i ramiona. Podeszli do chłopca, żeby go zabrać.

Erin chciała im się przeciwstawić, lecz sierżant złapał ją mocno za rękę.

Tej bitwy nie mogli wygrać, a każdy wrogi gest mógł się skończyć śmiertelnym atakiem roju ciem.

Dwaj siłacze szorstko dokonali oględzin bezwładnego ciała chłopca, który leżał wciąż oszołomiony po narkotyku; z jego ust wydobył się słaby jęk. Postawili go

twardo na nogi.

– Czego od niego chcesz? – chciała wiedzieć Erin.

– To nie jest pani sprawa.

– Chyba nadaje się do transportu – stwierdził jeden z mężczyzn. – Stracił dużo krwi, ale wytrzyma.

– Doskonale – powiedział Iskariota i skinął zapraszająco ręką na hrabinę. – Może zechce pani udać się ze mną?

Elżbieta Batory wyprostowała się.

– Byłabym zaszczycona, mogąc pana poznać na nowo. – Uniosła rękę, demonstrując kajdanki. – Ale jak pan widzi, jestem obecnie związana z kimś innym.

– Uwolnijcie ją.

Christian się zawahał, ale Rhun skinął głową.

– Zrób to, co mówi.

Nikt nie chciał prowokować Judasza. Christian uklęknął i wyszperał mały kluczyk w kieszeni Nadii. Hrabina wysunęła przed siebie rękę takim gestem, jakby zamiast kajdanek nosiła na niej drogocenną bransoletę. Gdy sangwinista je rozpiął, podeszła do Iskarioty.

– Dziękuję panu za ten życzliwy gest, zawsze okazywał pan dobroć mojej rodzinie.

Judasz ledwo zwrócił uwagę na jej słowa; mina arystokratki wyrażała lekką irytację z tego powodu. On tymczasem wyjął z kieszeni duży pistolet, wymierzył i strzelił.

Erin wzdrygnęła się, lecz broń nie była skierowana w nią.

Uścisk dłoni Jordana na jej rękę zelżał momentalnie.

Sierżant osunął się na śnieg.

Krzyknęła i opadła na kolana. Na lewej stronie klatki piersiowej Jordana ukazała się mokra plama. Erin rozerwała koszulę i odsłoniła ranę. Biła z niej krew, spływała po niebieskich liniach tatuażu, zalewała pierś i zbierała się w kałużę na śniegu.

Erin przycisnęła mocno dłonie do otworu rany. Śliska ciepła krew oblewała jej palce. Nic mu nie będzie, to niemożliwe, myślała, jednak przecucie mówiło jej co innego.

– Dlaczego?! – zawołała.

– Przykro mi – odparł rzeczowym tonem Iskariota. – Według prorocstwa stanowicie jedyną triadę na świecie, która ma szansę mnie powstrzymać i zapobiec Armagedonowi. Aby przepowiednia się nie spełniła, jedno z trojga musi zginąć. Wtedy pozostała dwójka utraci znaczenie. Daruję wam zatem życie. Jak wspomniałem, nie jestem nikczemny, lecz praktyczny. – Wzruszył ramionami.

Skryła twarz w dłoniach, ale prawdy nie mogła przesłonić. Swoim sprytem zabiła Jordana. Ratując Rhuna, skazała na śmierć ukochanego mężczyznę.

Iskariota nie zamierzał dopuścić, by ktoś udaremnił jego plan.

Jeśli Rycerz Chrystusa przeżył, zginąć musiał Mąż Wojownik.

Piersz sierzanta już nie unosiła się pod dłońmi Erin. Plama krwi się rozszerzała i parowała na zimnym śniegu. Biały płatek spadł na otwarte niebieskie oko i roztopił się.

Jordan nie zamrugał.

– Nie zdołasz mu pomóc – wyszeptał Christian.

Erin nie chciała w to uwierzyć.

Mogę mu pomóc, muszę.

Po jej policzkach spływały łzy, brakowało jej tchu. Jordan nie może odejść. Zawsze był silny, zawsze dawał sobie radę. Nie umrze od zwykłego postrzału. To wykluczone, ona na to nie pozwoli.

Skierowała wzrok na Christiana, zakrwawioną ręką ścisnęła nogawkę jego spodni.

– Możecie go przywrócić do życia. Uczynić jednym z was.

Spojrzał na nią z przestachem.

O nic już nie dbała.

– Przemień go, jesteś mu to winien. Jesteś to winien mnie.

Christian pokręcił głową.

– Nie zdołabym nic zrobić, nawet gdyby nie było to zabronione. Serce przestało bić. Jest już za późno.

Gapiała się na sangwinistę, usiłując pojąć jego słowa.

– Przykro mi, Erin – odezwał się Rhun. – Jordan naprawdę odszedł.

Zaskrzypiał śnieg; ktoś się zbliżał, ale jej to nie obchodziło. Jakaś ręka z popękaną krwawiącą skórą dotknęła klatki piersiowej Jordana.

Erin uniosła głowę i zobaczyła, że obok niej, ślaniając się, klęczy chłopiec. Zdjął kurtkę i zwrócił ją byłemu właścicielowi; delikatnym ruchem zakrył nią ranę.

Obliżał spękane wargi.

– Dziękuję – powiedział.

Domyślała się, że dziękuję Jordanowi nie tylko za kurtkę.

– Dość już – warknął Iskariota przy wtórze coraz głośniejszych syren. – Zabrać go.

Jeden z jego krzepkich pomocników wziął chłopca w ramiona i uniósł niczym worek ziemniaków. Thomas krzyknął, krew z jego ran kapłała na śnieg i wytapiała w niej otwory.

Erin wstała, chciała do niego podejść.

– Proszę, nie róbcie mu krzywdy.

Nikt nie zwrócił na nią uwagi. Iskariota odwrócił się i wyciągnął rękę. Biała dłoń Elżbiety Batory wysunęła się i w niej spoczęła. Hrabina dokonała wyboru, postanowiła z nim odejść.

– Zostań, Elisabeto – rzucił błagalnie Rhun. – Nie znasz tego człowieka.

Arystokratka dotknęła szala, który osłaniał dopiero co zagojoną ranę na jej szyi.

– Ale znam was, mój kochany Rhunie.

Pokryty chmurą ciem sangwinista mógł tylko odprowadzić ich wzrokiem.

Erin odwróciła się do Jordana i pogłaskała go po szorstkim od zarostu policzku. Dotknęła górnej wargi i nachyliła się, by ucałować go ostatni raz. Usta zrobiły się już zimne, prawie jak usta Rhuna.

Odrzuciła tę myśl.

Dwaj stojący obok niej sangwiniści zaintonowali modlitwę. Rozpoznała tekst, ale milczała. Nie było takich modłów, które przyniosłyby jej pociechę.

Jordan był martwy.

Żadne słowa nie mogły tego zmienić.

Kume, Włochy

19 grudnia, 22.11 czasu miejscowego

Leopold stał na brzegu lazurowego jeziora w południowych Włoszech, błyszczące gwiazdy przeglądały się w spokojnej tafli wody. Brał głębokie oddechy, przygotowując się na to, co musiało nastąpić. Wychwytywał w powietrzu śladowe ilości siarki; ich woń była zbyt słaba, by wykrył ją zmysł śmiertelnika, lecz istniała, zdradzając wulkaniczny rodowód jeziora Averno. Strome zbocza prastarego krateru porastał gęsty las. Na przeciwnym brzegu iskrzyły się rozsypane światła odległych domostw i gospodarstw, a jeszcze dalej jaśniała na horyzoncie łuna Neapolu.

Niegdyś z powierzchni jeziora wzbijały się opary wulkaniczne tak gęste, że przelatujące nad nim ptaki spadały do wody. Starożytna nazwa Avernus oznaczała „bez ptaków”. Ówczesni Rzymianie zaczęli wierzyć, że nieopodal jeziora znajduje się brama do podziemnego świata.

I zaiste mieli rację...

Leopold popatrzył na niebieską toń wolną od zmarszczek fal i wyobraził sobie, jak spokojny akwen wylania się z ognia wśród potoków lawy, która pali ziemię i uśmierca każde stworzenie chodzące, pełzające i fruujące. Potem przeistoczył się w zaciszną dolinę, schronienie ptaków, ryb, jeleni i królików. W rosnących dookoła sosnowych lasach i krzakach pleniło się nowe życie.

Wziął sobie tę lekcję do serca.

Czasami ogień jest niezbędny do oczyszczenia, do tego, by mógł później zapanować trwały spokój.

Na tym właśnie opierała się nadzieja Leopolda: że świat można zbawić za pomocą płomieni Armagedonu.

Przerwał wykonywanie obowiązku, by popatrzeć na wodną toń i podziękować Bogu za oszczędzenie życia pasażerom pociągu. Po tym, jak zobaczył swoją trumnę w Castel Gandolfo, zadzwonił do Damnatusa i dowiedział się, że inni

przetrwali i że Damnatius zawarł pakt z rosyjskim mnichem, by zastawić na nich w Sztokholmie pułapkę.

Pamiętając o tym, że musi spełnić zadanie, odwrócił się plecami do jeziora. Sandały ze skóry szurały po czerwonej wulkanicznej glebie, kiedy zmierzał ścieżką do grotty. Był tam starożytny rzymski tunel długi na kilometr, zbudowany w czasach przed Chrystusem, prowadzący od jeziora do ruin starożytnego Kume po przeciwnej stronie ściany krateru. Uległ zniszczeniu w czasie drugiej wojny światowej i został zamknięty dla ludności, a teraz służył jako wyśmienita kryjówka do przechowywania tajemnic.

Leopold dotarł do portalu z ciemnego kamienia, zabezpieczonego żelazną bramą.

Bez większego trudu wylał zamek, wślizgnął się do środka, sforsował skalne rumowisko i doszedł do głównego tunelu. Droga była już otwarta, toteż pomknął w ciemności, nie starając się ukryć tego, że porusza się z niezwykłą prędkością. Tam nikt nie mógł go podejrzeć.

Zwolnił kroku, znalazłszy się przy końcu korytarza, za którym otwierał się kompleks ruin starożytnych budowli sąsiadujący z niecką wulkanu. Od bliskiego morza wiała chłodna bryza. Krawędź doliny nad głową Leopolda znaczyły resztki świątyni Apolla: fragmenty kolumn, amfiteatry z kamienia oraz popękane fundamenty od dawien dawna nieistniejących budowli. Świątynia nie była celem, do którego zmierzał. Z tunelu skręcił w prawo i zagłębił się w następnym. Korytarz wyrąbany w żółtawej skale miał przekrój zbliżony do trapezu z wąską podstawą i szerszym sklepieniem.

Było to wejście do grotty Sybilli Kumańskiej, ponadczasowej wieszczki opisanej przez Wergiliusza, której wizerunek ozdobił Kaplicę Sykstyńską; uważano ją za jednego z pięciorga jasnowidzów, którzy przewidzieli narodziny Chrystusa.

Otrzymał dokładne polecenie, co ma tam zrobić. Damnatius zapewne pojął już Pierwszego Anioła. Leopold miał uczynić to samo z innym. Po jego zimnej skórze przebiegł dreszcz, który mógł go skłonić do odwrotu.

Czy odważę się napaść kogoś takiego?

Przypomniał sobie jezioro Averno, jego spokojny majestat zrodzony z ognia i siarki. Nie wolno mi się cofnąć, skoro cel jest tak blisko, pomyślał.

Korytarz prowadził jakieś sto metrów w głąb ziemi pod kraterem. Według Wergiliusza droga do sybilli była po stokroć splątana, co sugerowało, że pod

powierzchnią ruin krył się labirynt. Turyści mogli zobaczyć jedynie mały fragment prawdziwej siedziby prorokini.

Leopold dotarł do krańca tunelu i zatrzymał się przed jej sanktuarium. Stanąwszy w progu, popatrzył na kuty w skale portal i puste kamienne ławki. Ongiś widok był o wiele bardziej imponujący, wzbogacały go ściennie malowidła oraz kwiaty. Pod ścianami składano wspaniałe dary, powietrze zaś przesyciła woń kwiecia. W tym wnętrzu dojrzewały i gniły owoce.

Po przeciwległej stronie wznosił się rzeźbiony tron, prosta kamienna ława.

Wyobraził sobie Sybillę Kumańską wyśpiewującą swoje proroctwa i ruch liści, który ponoć temu towarzyszył, gdy snuła wizje przyszłych wydarzeń.

Tak mówiły starożytne opisy, ale Leopold wiedział, że prawdziwa moc nie kryła się w tym pomieszczeniu, lecz o wiele niżej. Sybilla wybrała to miejsce z powodu tego, co spoczywało utajone w samym sercu jaskini i co chroniła przed siłami szerokiego świata.

Żeby nie utracić odwagi, pomknął przez komnatę do tronu i znajdującego się za nim wejścia. Przyjrzał się ukształtowaniu kamieni na ścianie. Zgodnie z instrukcją Damnatusa nacisnął kilka tworzących zarys misy; taki właśnie kształt był w starożytności symbolem zamieszkałej tu wyroczni.

Wciskając ostatni kamień, usłyszał trzask i pojawiły się czarne linie, z których osypał się kurz. Ułożyły się w kontur drzwi. Leopold wiedział, że do labiryntu prowadzą także inne sekretne wejścia, Damnatuś nakazał jednak wyraźnie, że ma skorzystać z tego. Damnatuś poznał sybillę w innym życiu, wtedy też zdobył informacje o jej sanktuarium. Przez stulecia zdążył tropem jej ziemskich wędrówek; wiedział, że przebywa w tym miejscu i prawdopodobnie go oczekuje.

Przy wtórce zgrzytu kamieni Leopold pchnął drzwi, ale pozostał na progu. Nie ośmielił się wkroczyć do siedliska wieszczki bez pozwolenia. Wrócił przed tron i tam uklęknął.

Dobył noża i zrobił sobie nacięcie na nadgarstku.

Wytoczyła się ciemna krew, a wraz z nią zajaśniało Chrystusowe błogosławieństwo, które Leopold w sobie nosił.

– Usłysz moją modlitwę, o sybillo! – zaintonował. – Oto nadszedł czas, by ziściło się twoje ostateczne proroctwo.

Czekał na kolanach; zdawało mu się, że płyną godziny, lecz minęły zaledwie minuty.

Wreszcie czułym uchem posłyszał miękkie stąpanie bosych stóp na skale.

Za kamiennym siedziskiem ciemniał otwór tunelu i tam Leopold skierował wzrok.

Wychynął z niego cień i przybrał idealny smukły kształt ciemnoskórej niewiasty. Była w prostej lnianej tunice. Jedynymi ozdobami, jakie nosiła, były złota bransoleta na górnej części ramienia i odłamek srebra wiszący na złotym łańcuchu. Żadne ornamenty nie były jej potrzebne. Uroda ciemnej postaci porwała wyobraźnię Leopolda, poruszyła nawet jej grzeszne zakamarki. Jak mężczyzna mógłby jej się oprzeć? Była matką, kochanką, córką, ucieleśnieniem wszelkiej kobiecości.

Ale nie była kobietą.

Nie usłyszał tętna, kiedy obeszła swój tron i usiadła.

Była czymś o wiele większym.

W obliczu jej piękna spuścił głowę.

– Wybacz mi, o dostojna pani.

Znał jej imię – Arella – lecz nie ośmielił się go użyć, bo nie uważał się za godnego.

– Moje przebaczenie nie złagodzi brzemienia, które dźwigasz – odparła cicho. – Sam musisz je z siebie zrzucić.

– Wiesz, że nie mogę.

– Pchnął ciebie w swoim zastępstwie, nie mógł przybyć sam.

Leopold uniósł głowę i zobaczył głęboki smutek w jej oczach.

– Przykro mi, błogosławiona pani.

Roześmiała się cicho, ten zwyczajny odgłos niósł obietnicę radości i spokoju.

– Jestem poza zasięgiem twoich błogosławieństw, kapłanie. Ale czy ty jesteś poza zasięgiem moich? Nadal możesz odsunąć zadanie, które przed tobą postawił. Nie jest jeszcze za późno.

– Nie mogę. Z ognia wyniknie trwały pokój.

Westchnęła, jakby przyszło jej strofować dziecko.

– Z ognia wynikają zgliszcza, nic więcej. Tylko miłość przynosi pokój. Czyś nie nauczył się od Tego, który błogosławi krew, tę, którą rozlałeś na moim progu?

– Pragniemy jedynie sprowadzić znów na świat Jego miłość.

– Niszcząc ten świat?

Sangwinista milczał, zastanawiając się.

Damnatus obarczył go tą misją oraz jeszcze jedną. Leopold czuł ciężar szmaragdowego kamienia w kieszeni sutanny. Kamień musi czekać. Teraz trzeba

wypełnić pierwsze zadanie, bez względu na ból, jaki mu sprawi.

Odsunął kaptur, odsłaniając twarz.

Musiała w niej odczytać niezachwianą determinację. Z najgłębszym smutkiem w oczach wysunęła rękę.

– Niechaj więc się zacznie. Nie będę się sprzeciwiać. Dzieci muszą błędzić, nawet takie jak ty.

Przepełniony nienawiścią do samego siebie Leopold skrępował jej nadgarstki miękkim skórzanym postronkiem. W odróżnieniu od niego nie miała nadnaturalnej siły, żeby mu się oprzeć, żeby walczyć. Zapach kwiatów lotosu wionął od jej skóry, kiedy z gracją wstała. Ujął ramię i na nogach drżących od własnej zuchwałości poprowadził wyrocznie w kierunku mrocznego wejścia.

Gdy przekroczył próg, ziew siarki i płomieni z głębin zmiótł subtelną woń lotosu. Przełknąwszy ślinę, Leopold ruszył w ciemność, ku przeznaczeniu ognia i chaosu.

Sztokholm, Szwecja
19 grudnia, 22.18 czasu miejscowego

Nie, on nie może umrzeć...

Rhun dotknął ręki Erin, ona jednak ledwo to poczuła. Odezwał się, ale jego głos dobiegał jakby z daleka:

– Musimy już iść.

Syreny wyły głośno ze wszystkich stron.

Szmaragdowe motyle wzbily się w powietrze i odleciały przed chwilą na cichy znak swojego pana, który zniknął, pozostawiając za sobą spustoszenie. Ze zmarłych zostały tylko ubrania i kawałki poczerńiałych kości wśród kupek szarego popiołu.

Nic, dla czego warto było trwać w tym miejscu.

Mimo to trzymała Jordana i nie potrafiła go puścić. Po co odchodzić, skoro wszystko obróciło się w gruzy? Pierwszy Anioł przepadł, Uczona Niewiasta porzuciła drużynę na rzecz wroga, a Mąż Wojownik leżał martwy na kolanach Erin.

Jordan...

Był kimś o wiele więcej niż Mężem Wojownikiem z przepowiedni.

Usłyszała odgłos zwinnych stóp i spojrzała w bok. W jednym z wejść labiryntu ukazała się drobna postać Aleksieja. Erin ucieszyła się, że żyje, chociaż był potworem. Zapewne trzymał wartę przed zewnętrznym murem lodowego zamku i to uchroniło go od rzezi, ale nie od żalu. Podbiegł do Rasputina i rzucił mu się w objęcia jak pierwszy lepszy wystraszony chłopiec szukający pocieszenia u taty. Łzy spływały po jego policzkach, kiedy patrzył na szczątki sobie podobnych, tych, którzy stanowili jego upiorną rodzinę.

Christian wstał, trzymając w ramionach resztkę zwłok Nadii owiniętą w pelerynę.

– Tu w pobliżu jest katedra. Możemy się tam schronić i postanowić, co dalej.

– Dalej? – Erin, widząc Aleksieja, uprzytomniła sobie, że jest jeszcze jedno dziecko, któremu grozi wielkie niebezpieczeństwo. Nie zrezygnuje z niego bez walki. Gniew osuszył jej łzy, determinacja przebiła się przez żalobę. – Musimy ocalić Pierwszego Anioła.

Ma na imię Tommy, przypomniała sobie, by zastąpić w myślach beznamienne miano imieniem młodego człowieka. Nadali mu je matka i ojciec, którzy oprócz tego obdarzyli go miłością. To imię było o wiele ważniejsze niż określenie z proroczej księgi.

Ksiądz, patrząc na Jordana, odezwał się:

– Triada przestała istnieć, nie ma więc...

Nie pozwoliła mu dokończyć.

– Nie wolno nam zostawić Tommy’ego w rękach monstrum.

Rhun i Christian spoglądali na nią z góry, ich twarze wyrażały zatroskanie.

Trudno, niech się martwią.

Oparła dłoń na ramieniu Jordana. Dopilnuje, żeby został pochowany w Arlington, jak przystało na bohatera. Uratował życie wielu osobom, jej również. Postanowiła, że na jego cześć ocali chłopca.

Doprowadzi misję do końca.

On tego by pragnął.

Nie mogła postąpić inaczej.

Płatek śniegu spadł na zimną powiekę Jordana i roztopił się, kropelka spłynęła z oka niczym łza. Wyciągnęła kciuk, żeby ją zetrzeć. Nagle zauważyła, że warstewka śniegu na jego policzkach zaczęła tajać i ściekać po skórze.

– Rhunie... – szepnęła. Zerwała rękawiczkę z dłoni i położyła dłoń na szyi sierżanta.

Skóra była ciepła.

Serce zabiło jej mocniej w piersi. Szarpnęła kurtkę ze skóry wilkozora, którą Tommy z taką delikatnością odkrył jego ciało.

Klatkę piersiową Jordana zalewała krew, gromadziła się na splocie słonecznym. Erin starła ją gołą dłonią, odsłaniając tatuaż na skórze opinającej twarde mięśnie. Obiema rękami zgarnęła krew z jego piersi i spojrzała w górę na sangwinistów.

Nawet Rasputin zwrócił uwagę na jej gorączkowe ruchy.

– Rana znikła! – zawołała.

Książd opadł na kolana obok niej i dotknął żeber sierżanta; powstrzymał się jednak przed dotknięciem resztek krwi, które tam osiadły. Raptem pierś Jordana uniosła się pod jego ręką, jak gdyby usiłowała jej sięgnąć. Zszokowany sangwinista się odsunął.

Erin zobaczyła, że klatka piersiowa sierżanta nabrzmiewa ponownie.

– Jordanie? – odezwała się drżącym głosem.

– Słyszę bicie serca – oznajmił Christian.

Jak to możliwe?

Położyła dłoń na piersi Jordana, chciała poczuć ruch. Ręka sierżanta uniosła się i jego ciepła dłoń spoczęła na jej dłoni.

Oczy otworzyły się i patrzyły na Erin; były zamglone jak po głębokim śnie. Wargi się rozdzieliły.

– Erin...?

Ujęła jego twarz, pragnęła płakać i śmiać się jednocześnie.

Rhun tymczasem dźwignął sierżanta do pozycji siedzącej i zaczął szukać na jego plecach rany wylotowej. Nic nie znalazłszy, pokręcił głową.

– Cud... – wyszeptał.

Jordan patrzył nieprzytomnym wzrokiem na Erin, jakby czekał na wytłumaczenie tego dziwnego zamieszania wokół siebie.

Nie znalazła odpowiednich słów.

Przemówił Rasputin:

– To na pewno dotknięcie Pierwszego Anioła. Jego krew to sprawiła.

Erin przypomniała sobie, że Tommy położył skrwawioną dłoń na klatce piersiowej Jordana.

Czy to możliwe?

Wycie syren dobiegało już z placu; za lodowymi ścianami migały niebiesko-białe światła. Dały się słyszeć okrzyki.

– Dasz radę ustać? – spytał Rhun, pomagając sierżantowi się podnieść.

Ale ten stanął nie bez wysiłku i trzęsąc się, wciągał na siebie kurtkę. Ze zdziwieniem spoglądał na mokrą od krwi koszulę.

– Czemu miałbym nie ustać? – Najwyraźniej nie pamiętał, że go postrzelono.

– Musimy ruszać – rzucił książd, wskazując wyjście położone najdalej od syren i światel.

Rosyjski mnich skinął głową i ruszył w tę stronę.

– Znam drogę przez labirynt. Mój samochód stoi niedaleko.

Christian uniósł wyżej ciało Nadii; był gotów z nim biec.

Na widok jej zwłok w rękach młodego sangwinisty Erin poczuła, że jej radość słabnie. Nie ugięła się jednak przed żalem, lecz uchwyciła się gniewu, który ją przepelniał. Popatrzyła na zdruzgotane ćmy na śniegu. Aby lepiej zrozumieć wroga i przemienić żalobę w determinację, schyliła się i zebrała kilka owadów, po czym schowała je w kieszeni kurtki ze skóry wilkozora.

Sięgając po ostatnią, zauważyła ze smutkiem, jakie pobojuwisko zostawił po sobie Iskariota. Zwłoki *strigoi* były nie do rozpoznania; ta zagadka przez jakiś czas nie da spokoju sztokholmskiej policji. Nagle w odległości metra dojrzała coś ciemnego, co zostało rzucone na śnieg. Podeszła i okazało się, że jest to niewielka książka w satynowej oprawie. Wzięła ją i także włożyła do wewnętrznej kieszeni kurtki.

Kiedy się prostowała, czyjeś palce ścisnęły jej ramię, były twarde jak żelazo.

Rhun ciągnął ją ku wyjściu, podczas gdy okrzyki funkcjonariuszy wokół lodowego zamku rozbrzmiewały coraz donośniej. Sangwinista ponaglał również Jordana. Gdy dotarli do portalu, pchnął ich oboje ku wnętrzu labiryntu.

– Uciekajcie!

22.23

Pod stopami Rhuna chrzęścił śnieg. Biegając, słuchał pulsów Erin i Jordana. Biły równomiernie i mocno, w przyspieszonym tempie z powodu wysiłku.

Serce sierżanta pracowało tak jak każde inne. Książd był jednak pewien, że słyszał, jak się zatrzymało. Owładnęła je śmiertelna cisza. Wiedział, że znieruchomiałe serce nigdy więcej nie uderzy, a to znowu zaczęło pracować.

Zdarzył się prawdziwy cud.

Przypomniawszy sobie twarz chłopca, Pierwszego Anioła. Cóż za łaska, móc przywrócić nieboszczyka do życia! Czy wiedział, że ma taką moc? Rhun zdawał sobie sprawę, że ostatecznym źródłem cudu jest wola Boga. Czy wskreszenie było znakiem świadczącym o tym, że triada rzeczywiście służy Jego zamierzeniom?

Ale kto wchodzi w skład triady?

Spoglądał na plecy Amerykanki i przypominał sobie ucieczkę Elżbiety. Nawet się nie odwróciła, żeby na niego spojrzeć. Mimo wszystko był świadom, że dał jej

powód do dezercji.

Wreszcie ukazało się wyjście z labiryntu. Wybiegli z wielkiego lodowego pałacu i znaleźli się przed płataniną ciemnych uliczek. Rasputin poprowadził ich do niebieskiego minivana zaparkowanego w pustej alejce.

Gdy znaleźli się w jego wnętrzu, rosyjski mnich usiadł za kierownicą i pomknął przez spowite mrokiem miasto.

Christian nachylił się do niego z tylnego siedzenia.

– Zawieź nas do kościoła Świętego Mikołaja. Przez jakiś czas powinno tam być bezpiecznie.

– Tam was wysadzę – zgodził się Grigorij przybity stratą, którą poniósł. – Ja mam własne pokoje.

Jego ocienione niebieskie oczy napotkały w lusterku wzrok Rhuna; wyraz skruchy łączył się w nich z głębokim żalem. Sangwinista miał ochotę wyrzucić swój gniew na mnichu za to, że urządził zasadzkę, ale jego dawny druh uratował mu również życie. Poza tym nie mogło być gorszej kary niż ta, która spotkała Rasputina w labiryncie.

Minęli jeszcze kilka skrzyżowań i samochód zatrzymał się przed sztokholmską katedrą. Budowla z cegły miała prostszą bryłę niż rzymskie świątynie, wzniesiono ją w stylu gotyckim. Cztery latarnie uliczne zalewały żółte mury złotą poświatą. Ostrołuki okien osadzone były głęboko w kamieniu, pośrodku fasady widniała duża witrażowa rozeta.

Rhun zaczekał, aż wszyscy wysiądą. Kiedy został sam, nachylił się i dotknął ramienia Grigorija.

– Przykro mi z powodu straty, którą dzisiaj poniosłeś. Będę się modlił za ich dusze.

Mnich skinął w podzięcie głową i zerknął na Aleksieja. Uścisnął jego drobną dłoń, jakby się lękał, że i jego utraci.

– Nie sądziłem, że zjawi się osobiście – szepnął Rasputin.

Rhun przypomniał sobie zimne oblicze Iskarioty.

– Chciałem jedynie rzucić wyzwanie Bogu – ciągnął rosyjski mnich. – Spowodować chaos moją własną dłonią i zobaczyć w działaniu Jego rękę. Przekonać się, czy zechce wszystko naprawić.

Sangwinista ścisnął ramię starego przyjaciela; wiedział, że zawsze będzie ich coś dzieliło. Grigorij nosił w sobie gniew na Boga, Jego ziemscy słudzy wyrządzili

mu kiedyś zbyt wielką krzywdę. Rhun i Grigorij nigdy w pełni się nie pogodzą, ale dziś rozstaną się w możliwie najlepszej komitywie.

Rasputin odprowadzał wzrokiem sierżanta.

– A może jednak ujrzałem rękę Boga. – Gdy odwrócił się w stronę Rhuna, jego policzki były wilgotne od łez.

Sangwinista uściśnął go ostatni raz na pożegnanie, a potem wysiadł i zatrzasnął za sobą drzwi. Minivan oddalił się i grupkę otoczyła noc.

Christian trzymał Nadię w ramionach, zakrywając głowę sangwinistki tak, jakby spała. Jedną ręką podtrzymywał od tyłu jej szyję.

On i Rhun stoczyli u boku Nadii niejedną bitwę. Pod wieloma względami była najsilniejsza z nich wszystkich, nie trapiły jej wątpliwości. Jej poświęcenie dla sprawy było zaciekle i nieubłagane. Utracili sangwinistkę i przyjaciółkę i była to strata niepowetowana.

– Zejdźmy z ulicy – rzucił ostrzegawczym tonem sierżant.

Rhun skinął głową i Christian pospieszył w kierunku kościoła. Przeszedł pod nagimi szkieletami zimowych drzew. Ksiądz przechylił głowę i spojrzał na okna katedry. Jej wnętrze, z bielonymi sklepieniami i ostrołukami z czerwonej cegły, było piękne. To będzie właściwe miejsce na modlitwy za Nadię.

Na tyłach katedry Rhun odprawił rytuał: naciął sobie dłoń i otworzył tajną bramę sangwinistów. Nadia zrobiła dzisiaj to samo, żadne z nich nie przeczuwało, że będzie to jej ostatni raz.

Christian wszedł czym prędzej do środka i ruszył ciemnymi schodami w dół.

Sierżant zapalił latarkę i wkroczyli za nim. Erin trzymała go za rękę z przyjemnym poczuciem intymności. Rhun miał świeżo w pamięci, jak biło jej serce przesycone bezgranicznym bólem. Jednakże na przekór wszystkiemu Jordan do niej wrócił.

Sangwinistę przeszył żal. Setki lat temu i on stracił ukochaną, lecz kiedy do niego powróciła, była na zawsze odmieniona.

Dla niego nie było odwrotu.

Wszedł do sekretnej kaplicy w podziemiu. Podobnie jak kościół na powierzchni, miała łukowate sklepienie pomalowane przed wiekami na sielankowy błękit; przypominała sangwinistom o niebie, o tym, że przywrócono ich do Bożej łaski. Po obu stronach wznosiły się ściany z czerwonej cegły. Na prostym ołtarzu był obraz Łazarza wstającego z martwych naprzeciw świetlistej postaci Chrystusa.

Rhun wygładził obrus mszalny, Christian zaś złożył na nim pieczołowicie owinięte szczątki ciała Nadii. Pomodlili się. Z kresem życia uleciało z niej ostatecznie wszystko, co było nieświęte.

W śmierci była wolna.

Erin i Jordan stali w czasie modlitw z pochylonymi głowami i złożonymi dłońmi. Każdy ich oddech i uderzenie serca przesycone były żałobą.

Skończywszy, Christian odstąpił od ołtarza.

– Musimy iść – powiedział.

– Nie zostaniemy tu? – spytał Jordan zmęczonym głosem.

– Nie wolno nam ryzykować – odparł sangwinista. – Jeśli chcemy zachować nadzieję na ocalenie chłopca, trzeba ruszać w drogę.

Rhun zgodził się z nim i przypomniał:

– W łonie Kościoła wciąż ukrywa się zdrajca. Nie odważymy się zostać długo w jednym miejscu. Zwłaszcza tutaj.

– A co z ciałem Nadii? – chciała wiedzieć Erin.

– Miejscowi księża rozumieją – zapewnił ją Rhun. – Dopilnują, żeby przewieziono je do Rzymu.

Skłonił po raz ostatni głowę, odwrócił się od zimnego ciała na ołtarzu i poszedł za towarzyszami.

Teraz musiał zadbać o żywych.

Sztokholm, Szwecja
19 grudnia, 23.03 czasu miejscowego

Erin maszerowała oświetloną rzeźniczą ulicą, oddalając się od ciepłej kryjówki, jaką była katedra. Śnieg sypał teraz gęściej, świat wokół zdawał się kurczyć. Białe płatki przyprószyły jej włosy i ramiona. Pod stopami nagromadziła się dziesięciocentymetrowa warstwa puchu.

O tak późnej porze jezdnią sunęły nieliczne samochody, ich opony dudniły po kostce brukowej, snopy reflektorów przebijały zasłony padającego śniegu.

Trzymała mocno Jordana, żeby nie poślizgnąć się na oblodzonym chodniku, ale także po to, by mieć pewność, że nie śni. Patrzyła na obłoczki pary wydobywające się z jego ust przy każdym oddechu.

Niespełna godzinę temu Jordan był martwy i wcale nie oddychał, a jego serce nie biło.

Popatrzyła na niego z ukosa.

Swoim logicznym umysłem usiłowała ogarnąć ten cud, wpasować go jakoś w naukowy kontekst, zrozumieć rządzące nim zasady. Tymczasem jednak po prostu ścisnęła rękę ukochanego i cieszyła się, że jego ciało jest ciepłe i pełne życia.

Rhun szedł u jej drugiego boku. Był przygnębiony, sprawiał wrażenie osłabionego bardziej niż po niedawnej utracie krwi. Erin domyślała się przyczyny tego stanu. Elżbieta Batory dotkliwie mu zaszkodziła, i to nie tylko w sensie fizycznym. Najwyraźniej wciąż ją kochał, hrabina zaś z premedytacją wykorzystała to uczucie, by go zranić.

Christian zatrzymał się przed dobrze oświetloną witryną.

– Gdzie jesteście? – spytał Jordan.

– W kawiarence internetowej. – Młody sangwinista otworzył drzwi i rozległ się dźwięk dzwoneczka przytwierdzonego do futryny. – Późno jest, bliższej nie udało mi się znaleźć.

Erin weszła czym prędzej do ciepłego wnętrza, rada, że może się schować przed sypiącym śniegiem. Pomieszczenie przypominało sklep, a nie kawiarenkę internetową: po lewej stronie ciągnęły się półki z artykułami żywnościowymi, całą jedną ścianę zajmowała szafa chłodnicza. Nieco dalej jednak na długim stole umieszczono monitory i klawiatury, a przed nimi stały dwa składane metalowe krzesła.

Christian zagadnął znużoną panią dyżurującą za ladą. Była ubrana na czarno, a kiedy mówiła, w jej języku połyskiwał srebrny ćwiek. Sangwinista kupił telefon komórkowy i zadawał zwięzłe pytania po szwedzku. Następnie wręczył jej banknot sto euro i skierował się w głąb sklepu.

Sierżant zamówił cztery kielbaski z obrotowego rożna wyglądające tak, jakby kręciły się tam od początku nowego milenium. Erin dołożyła do zamówienia dwie torebki chipsów ziemniaczanych i kilka czekoladowych batonów.

Niewykluczone, że przez dłuższy czas nie będzie szansy czeokolwiek przekąsić.

Jordan zaniósł kolację na tacce do stanowiska komputerowego. Christian już usadowił się przed monitorem i jego palce migały nad klawiaturą.

Rhun stał tuż za nim.

– Co tam porabiasz? – chciał wiedzieć sierżant, pochłaniając kielbaskę.

– Kontroluję plan awaryjny, który opracowałem z kardynałem Bernardem.

– Jaki plan awaryjny? – dociekała Erin, przerywając rozpakowywanie batonika.

– Kardynał chciał, żebyśmy trzymali hrabinę na krótkiej smyczy – wyjaśnił Christian. – Obmyśliłem sposób, jak ją wyśledzić, w razie gdyby się zerwała i podjęła próbę ucieczki.

Sierżant tłustymi palcami chwycił młodego sangwinistę za ramię i uśmiechnął się.

– Podczepiłeś jej nadajnik, prawda?

– W pelerynie – potwierdził z uśmiechem Christian.

Erin również się uśmiechnęła. Jeśli namierzą Batory, istnieje duża szansa, że zlokalizują również chłopca.

Rhun spojrział na niższego wzrostem brata z zakonu.

– Czemu mnie o tym nie poinformowano?

– Z tym pytaniem będziesz się musiał zwrócić do Bernarda. – Christian schylił głowę; najwyraźniej nie aprobował takiego postępowania kardynała.

Książd westchnął ciężko i stłumił złość. Erin wyczytała coś w jego oczach: kardynał mu nie dowierzał, obawiał się, że może uciec wraz z hrabiną. Rhun przez setki lat ukrywał jednak Batory, więc trudno było mieć Bernardowi za złe taką przezorność.

– Namierzenie sygnału może chwilę potrwać – rzekł Christian. – Usiądźcie sobie wygodnie.

Erin objęła Jordana w pasie i oparła głowę na jego ciepłej klatce piersiowej. Słuchała bicia serca; każde mocne rytmiczne uderzenie sprawiało jej radość.

Po dziesięciu minutach stukania w klawisze i gderania na ślamazarne łącze Christian trzasnął pięścią w stół, nie z gniewu, lecz z satysfakcji.

– Mam ją! – zawołał. – Złapałem sygnał na lotnisku.

Rhun okręcił się, zamiatając czarną sutanną podłogę, a Christian błyskawicznie się wylogował i ruszył za nim. Dwaj sangwiniści pomknęli, nawet nie starając się ukryć przed ekspedientką swojej nadnaturalnej szybkości.

Dziewczyna nie zwróciła na nich uwagi, dalej siedziała z nosem w książce z kartkami o pozaginanych rogach i słuchawkami iPoda wetkniętymi w uszy.

Jordan, zręcząc, podążył za sangwinistami.

– Czasem żał mi, że ci goście nie muszą jeść ani spać.

Erin chwyciła jego dłoń i machając ekspedientce na pożegnanie, ruszyła pędem do drzwi. Ta zlekceważyła ją w sposób charakterystyczny dla młodych. Erin pohamowała uśmiech i nagle zatęskniła za swoimi studentami.

23.18

W samolocie Elżbieta zajęła miejsce przy oknie. Wnętrze przypominało to, w którym odbyła podróż do Sztokholmu: były w nim luksusowe skórzane fotele oraz małe przykręcane stoliki. Różnica polegała jedynie na tym, że teraz nie tkwiła zamknięta w trumnie. Dotknęła szala na szyi i poczuła ukłucie gniewu.

Wyjrzała przez owalne okienko. Światła na lotnisku paliły się, każde spowijała połyskliwa aureola śniegu. Hrabina zapięła sobie na brzuchu zamek pasków; nie знаła tego urządzenia. Nigdy nie nosiła takiej krępującej ruchy upręży, ale Iskariota i chłopiec tak właśnie zrobili, więc doszła do wniosku, że i ona powinna.

Zerkając na siedzącego obok młodzieńca, usiłowała zrozumieć, co czyni go wyjątkowym. Był Pierwszym Aniołem, jeszcze jedną istotą nieśmiertelną, lecz wyglądał jak zwyczajny chłopak. Słyszała bicie jego serca zdradzające lęk i ból. Po opatrzeniu najdotkliwszych obrażeń ci, którzy przejęli go od poprzednich porwaczy, dali mu ubranie w szarawym kolorze, miękkie i luźne, żeby nie raniło poobcieranej skóry.

Nazywali je dressem.

Hrabina skupiła uwagę na istnej zagadce siedzącej naprzeciwko.

Judasz Iskariota.

Właśnie zdjął płaszcz; pod spodem nosił współczesny garnitur z kaszmiru, dobrze skrojony. Na małym stoliku między nim a Elżbietą tkwiła szklana szkatułka z kolekcją ciem; były w nim wszystkie oprócz trzech, które fruwały po kabinie w tę i we w tę. Miały jej przypominać o cenie najblihszej nawet niesubordynacji. A wszak płaciła tę cenę od setek lat.

Samolot przyspieszył, sunąc po zaśnieżonej czarnej nawierzchni. Hrabina złożyła dłonie na podołku i ukryła je pod peleryną, żeby Iskariota nie zauważył zdenerwowania, które ją ogarnęło. Starła się nie myśleć o tym, że metalowa machina wystrzeli w powietrze i przemierzy setki kilometrów nad lądem i morzem.

W zamyśle natury czegoś takiego nie było.

Chłopiec ułożył się w fotelu, najwyraźniej reagując obojętnie na samolot i jego funkcjonowanie. Szary materiał odzieży znaczyły szkarłatne plamy; to krew sączyła się z setek pęknięć odtajającej skóry. Przestrzeń kabiny wypełnił jej zapach, lecz o dziwo wcale nie kusił Elżbiety.

Czyżby krew aniołów różniła się od ludzkiej?

Odgarnął sobie kosmyk kasztanowych włosów z oczu. Był starszy, niż w pierwszej chwili oceniła, miał może czternaście lat. Kiedy jego twarz wyrażała lęk lub niepokój, przypominał Elżbiecie jej syna Pawła. Wspomnienie to zasmuciło ją, wiedziała, że syn nie żyje, podobnie jak pozostałe jej dzieci. Zastanawiała się nad jego losem.

Czy długo żył? Czy był szczęśliwy? Czy się ożenił i miał dzieci?

Żałowała, że nie zna odpowiedzi na te najprostsze pytania. Gorycz wezbrała jej w gardle. Jednym lekkomyślnym postępkim Rhun ograbił ją z tego wszystkiego. Straciła córki, syna i wszystkich, których darzyła miłością.

Chłopiec z cichym jękiem poruszył się na fotelu. On również wszystko stracił, tak jak ona. Rhun opowiedział Elżbiecie o śmierci jego rodziców, którzy padli ofiarą zatrucia straszliwym gazem.

Delikatnie dotknęła jego ramienia.

– Bardzo cię boli?

Z niedowierzaniem spojrzął jej w oczy.

Oczywiście, że go bolało.

Rana nad brwią zasklepiła się strupem. Już się zamykała tak samo jak pozostałe. Elżbieta dotknęła swojej szyi; wciąż odczuwała cięcie, które zadała Nadia. Jej rana również się goiła, ale potrzeba było do tego więcej krwi.

Iskariota zerknął na nią, jak gdyby czytał w jej myślach.

– Niebawem obsługa poda przekąski, moja droga.

Umieszczony gdzieś z tyłu silnik zawył wyższym tonem i maszyna płynnie wzbiła się w powietrze. Hrabina wstrzymała oddech, jakby to mogło pomóc samolotowi utrzymać się nad ziemią. Wznosił się coraz wyżej. Żołądek Elżbiety drgnął, a potem się uspokoił. Odczucie trochę przypominało to, które niegdyś towarzyszyło jej podczas przeskakiwania nad płotami na ukochanej klaczy.

Później lot maszyny się wyrównał i sunęli gładko w przestworzu niczym jastrzęb.

Hrabina powoli odetchnęła.

Iskariota uniósł rękę i zjawił się jasnowłosy olbrzym, który towarzyszył im od labiryntu w Sztokholmie.

– Henriku, przynieś, proszę, napitki dla naszych gości. Może coś ciepłego, bo tyle było lodu i mrozu.

Mężczyzna skłonił głowę i odszedł.

Elżbieta skierowała znów spojrzenie na okienko, zauroczył ją widok światła w dole, które stawały się coraz mniejsze i mniejsze. Lecieli teraz wyżej niż jakikolwiek ptak. Nagle ogarnęła ją radość.

Henrik wrócił po kilku minutach.

– Gorąca czekolada – oznajmił, schylając się i wkładając w dłonie chłopca parujący kubek.

Następnie podał Elżbiecie małą miskę. Poczowała oszałamiający zapach ciepłej krwi. W zgięciu łokcia siłacza zauważyła białą taśmę, na której czerwieniała drobna plamka. Można było odnieść wrażenie, że niewiele jest rzeczy, których

słudzy nie byliby gotowi zrobić dla swojego pana. Iskariota momentalnie urósł w jej oczach.

Przyjęła naczynie i jednym duszkiem opróżniła ciepłą zawartość. Gorąco i rozkosz rozplynęły się od jej brzucha do rąk i nóg aż po czubki palców. Ból utrzymujący się w gardle zelżał. Poczowała w sobie wibrującą siłę i błogość.

Jak sangwiniści mogą się wyrzekać czegoś tak przyjemnego?

Odmłodzona, skierowała znów uwagę na młodocianego towarzysza podróży. Przypomniała jej się rozmowa w pociągu.

– Nazywasz się, jeśli mnie pamięć nie myli, Thomas Bolar.

– Tommy – potwierdził cicho chłopak, dla ułatwienia kontaktu podając zdrobniłą formę imienia.

Arystokratka odpowiedziała w podobny sposób:

– Możesz mnie nazywać Elżbietą.

Przyjrzał się jej nieco uważniej. Ona także na niego popatrzyła. Mógł się okazać cennym sojusznikiem. Kościołowi na nim zależało, a jeśli naprawdę jest Pierwszym Aniołem, może dysponować mocą, której ona jeszcze nie rozumiała.

– Powinieneś pić. – Wskazała skinieniem głowy kubek w jego dłoniach. – To cię rozgrzeje.

Nie przestając patrzeć na rozmówczynię, uniósł kubek i wziął ostrożnie łyk, krzywiąc się trochę, bo czekolada była naprawdę gorąca.

– Dobrze – pochwaliła i odwróciła się do Henrika. – Przynieś czyste ręczniki i ciepłą wodę.

Blondyn, zaskoczony tonem jej głosu, zerknął na swojego pana.

– Przynieś to, czego chce – rozkazał Iskariota.

Ten drobny triumf ucieszył hrabinę; po chwili Henrik wrócił z miednicą i stosem białych ręczników. Namoczyła jeden i wyciągnęła w stronę Tommy'ego.

– Obmyj sobie twarz i ręce, tylko delikatnie.

Chłopiec chciał odmówić, ale trzymała wyciągniętą rękę tak długo, aż z westchnieniem wziął od niej ręcznik. Odstawił kubek, wykręcił ręcznik w dłoniach i przyłożył go do twarzy. Po chwili drugim wycierał ramiona, wsuwał go pod koszulę na piersi. Wyraz jego twarzy złagodniał pod wpływem przyjemnego ciepła.

Spojrzał na Elżbietę życzliwszym okiem.

– Dziękuję.

Skinęła nieznacznie głową i skupiła uwagę na siedzącym naprzeciwko mężczyźnie o szpakowatych włosach. Kiedy go poprzednio widziała, a od tamtej chwili upłynęły cztery wieki, miał na sobie sukmanę z popielatego jedwabiu, strój arystokraty. Zdawało jej się, że to było ledwie miesiące temu, gdyż przespała te stulecia w pułapce, w której zamknął ją Rhun. Jeden z jego palców zdobił wówczas sygnet z rubinem; podarował go później Annie, najmłodszej córce Elżbiety, na pamiątkę złożonej przysięgi, zgodnie z którą miał roztoczyć opiekę nad rodem Batorych.

Ale dlaczego?

Zadała teraz to pytanie:

– Czemu przybyłeś, kiedy uwięziono mnie na zamku w Čachticach?

Spoglądał na nią chwilę, po czym odparł:

– Ciekawił mnie twój los.

– Z powodu proroctwa?

– Wielu opowiadało o twojej umiejętności uzdrawiania, o twoim przenikliwym umyśle i bystrym oku. Dochodziły mnie pogłoski, że Kościół interesuje się tobą i twoją rodziną. Przyjechałem zatem, żeby przekonać się osobiście, czy plotki o twojej mądrości są prawdziwe.

Zwabiła go wieść o przepowiedni, wybrał się w podróż, by powęszyć na miejscu niczym pies idący za tropem.

– I jak mnie oceniłeś? – indagowała hrabina.

– Stwierdziłem, że zainteresowanie Kościoła może być uzasadnione, i postanowiłem opiekować się kobietami z twojego rodu.

– Moimi córkami, Anną i Katalin.

Schylił głowę.

– A także wieloma po nich.

Elżbieta znowu poczuła dojmującą tęsknotę; pragnęła wypełnić luki przeszłości, poznać koleje losu swojej rodziny.

– Co się z nimi stało? Z Anną i Katalin?

– Anna nie miała dzieci. Ale najstarsza, Katalin, miała dwie córki i syna.

Hrabina odwróciła głowę, żałując, że nie było jej dane ujrzeć ziarna i krwi szlacheckiego rodu Batorych. Czy potomstwo odziedziczyło urodę i wdzięk Katalin? Nigdy się tego nie dowie, gdyż od dawna byli martwi.

Wszystko przez Rhuna.

– A mój syn Paweł?

– Ożenił się. Żona urodziła mu trzech synów i córkę.

Ta odpowiedź przyniosła jej ulgę; hrabina wiedziała już, że jej dzieci przetrwały, że jakoś żyły po jej odejściu. Lękała się zapytać, jak długo to życie trwało i jak się potoczyło. Tymczasem zadowolili ją świadomością, że linia rodu nie została przerwana.

Tommy wrzucił ręcznik do miski obok fotela i odchylił się na oparcie; skrzyżował ręce na piersi i sprawiał wrażenie spokojniejszego.

– Dopij do końca – napomniała go Elżbieta, wskazując kubek. – To ci przywróci siłę.

– A co mi po sile? – wymamrotał. – Jestem tylko więźniem.

Wzięła kubek i mu podsunęła.

– Ja również. A więźniowie muszą za wszelką cenę dbać o swoje siły.

Gdy przyjmował od niej kubek, w jego brązowych oczach widać było zdziwienie. Może nie zdawał sobie sprawy, że Elżbieta jest więźniem tak jak on.

Iskariota poruszył się na fotelu.

– Nie jesteście moimi więźniami. Jesteście gośćmi.

Można to usłyszeć od każdego, kto zniewala innych.

Tommy’emu wcale ta deklaracja nie ulżyła, hrabinie także. Chłopiec zakręcił kubkiem, przyglądając się z uwagą jego zawartości. Musiał być kiedyś bardzo kochanym dzieckiem, to było widać. Później go uprowadzono i zraniono, zrobił się nieufny.

Po chwili uniósł głowę i spojrzał na mężczyznę.

– Dokąd nas zabierasz?

– Ku waszemu przeznaczeniu – odrzekł Iskariota, układając palce w daszek i spoglądając na chłopca ponad ich czubkami. – Masz szczęście, że przyszedłeś na świat w tak newralgicznej chwili.

– Jakoś nie czuję się szczęściarzem.

– Czasem człowiek nie pojmuje swojego przeznaczenia, dopóki ono go nie dosięgnie.

Tommy westchnął głośno i zerknął przez okno. Po dłuższej chwili Elżbieta wyczuła, że ją obserwuje, przygląda się jej dłoniom i twarzy, ale po kryjomu.

– No, cóż tam? – zapytała.

Skrzywił się.

– Ile masz lat?

Uśmiechnęła się na to nietaktowne pytanie, rozumiała jednak jego ciekawość i doceniała śmiałość.

– Urodziłam się w tysiąc pięćset sześćdziesiątym roku.

Wciągnął z sykiem powietrze i aż uniósł brwi ze zdziwienia.

– Ale wiele stuleci przespałam. Nie rozumiem należycie współczesnego świata.

– To tak jak w *Śpiącej królownie*.

– Nie znam tej baśni – odparła i chłopiec znów się zdziwił. – Opowiedz mi ją.

Później może powiesz mi coś jeszcze o tej epoce, chcę się nauczyć w niej żyć.

Tommy skinął głową uradowany, że ma rozrywkę; Elżbieta także potrzebowała zająć czymś myśli. Wziął głęboki oddech i zaczął mówić. Ze skupieniem wsłuchiwała się w opowieść o czarach i wrózkach, a on przesunął rękę nad oparciem fotela i złożył na jej dłoni.

Poczuła, jak ciepłe palce zamykają się na jej palcach. Miał w sobie tajemniczą moc, zagadką pozostawało również jego przeznaczenie, lecz Elżbieta uświadomiła sobie, że poza tym jest osamotnionym chłopcem, który stracił oboje rodziców.

Tak samo jak jej Paweł po procesie matki.

Zacisnęła palce na jego dłoni i wezbrało w niej nieznanne dotąd uczucie.

Opiekuńczość.

23.32

Jordan, trzymając się mocno bocznego uchwytu, siedział na tylnym siedzeniu ukradzionego srebrnego audi, które mknęło ulicami Sztokholmu w kierunku lotniska. Prowadził Rhun. Sierżant starał się nie zauważać czerwonych świateł, przez które śmigali. Okoliczności zmuszają czasem do desperackich poczynań, mimo to perspektywa zderzenia z latarnią wcale mu się nie uśmiechała.

Poza tym miał nadzieję, że właściciel solidnie ubezpieczył samochód.

Pędzili autostradą i sangwinista zmieniał błyskawicznie pasy jezdni, nie przejmując się oddzielającymi je liniami. Christian siedział obok niego, obojętny na zagrożenia, i zapoznawał się z nowym telefonem komórkowym, którego używał do śledzenia hrabiny. Przed chwilą zakomunikował, że samolot wystartował już ze sztokholmskiego lotniska i leci nad Morzem Bałtyckim na południe.

Rhun ani myślał dawać uciekinierce jeszcze większe fory. Wyprzedził półciężarówkę, tak że bok audi przemknął o kilka centymetrów od listwy bocznej masywnego pojazdu.

Erin ścisnęła mocno rękę sierżanta.

– Z zamkniętymi oczami jest łatwiej – poradził jej Jordan.

– Kiedy nadejdzie śmierć, chcę ją widzieć.

– Ja już raz dzisiaj wykorkowałem i nie polecam, z oczami otwartymi czy zamkniętymi, obojętnie.

– Pamiętasz coś z tych chwil, kiedy...? – Nie dokończyła pytania.

– Kiedy byłem denatem? – Wzruszył ramionami. – Pamiętam łupnięcie w klatkę i bezwładny pad. Potem zrobiło się ciemno. Ostatnie, co zobaczyłem, to były twoje oczy. Wyglądałaś na zmartwioną, nawiasem mówiąc.

– Bo byłam. I wciąż jestem. – Ujęła jego rękę. – A później? Zapamiętałeś coś?

– Nic a nic. Ani białego światła, ani chórów anielskich. Pamiętam jak przez mgłę, że śnił mi się dzień, kiedy walnął mnie piorun. Linie tatuażu parzyły. – Podrapał się po ramieniu. – Nadal trochę jakby swędzą.

– Wspomnienie twojego poprzedniego zgonu – powiedziała, przyglądając się jego twarzy, jakby chciała się doszukać znaczenia w tym szczególe.

– Niebiosa mnie nie chciały ani wtedy, ani teraz... Chyba. Tak czy siak, później znowu gapiłem ci się w oczy.

– A teraz jak się czujesz?

– Jakbym się obudził w gwiazdkowy poranek, pełen energii i gotów do czynu.

– Kiedy siedzisz obok mnie, ja też czuję się tak, jakby to była gwiazdka.

Ścisnął rękę Erin i w tej samej chwili Rhun nadepnął mocno na hamulec. Jordana rzuciło do przodu, pas napiął się gwałtownie.

– Dojechaliśmy – oznajmił sangwinista.

Sierżant zobaczył, że są znowu na lotnisku, tuż obok odrzutowca, którym przylecieli.

Wysiedli szybko z auta, żeby nie stracić ani sekundy.

Rhun i Christian prowadzili Erin w kierunku samolotu.

Sierżant podążył z tyłu i czuł się winny, bo przed chwilą ją okłamał, a w każdym razie nie wyjawiał jej całej prawdy.

Potarł się po ramieniu. Czuł ostre pieczenie w boku, które wcale nie chciało ustąpić. Przebiegało wzdłuż linii fraktalnych kwiatu pioruna. Nie miał pojęcia, co oznacza, znał tylko jego źródło.

Coś tam we mnie jest w środku, pomyślał.

Nad Morzem Bałtyckim

19 grudnia, 23.50 czasu miejscowego

Gdy tylko odrzutowiec osiągnął pułap przelotowy, Rhun rozpiął pas. Potrzebował ruchu, musiał wyładować frustrację. Z ledwością panował nad wzburzeniem, kiedy Christian w nieskończoność lustrował maszynę, a Jordan za pomocą czujnika sprawdzał, czy nie ukryto w niej materiału wybuchowego. Obie procedury były ze wszech miar uzasadnione, on jednak zżymał się na najmniejszą zwłokę; wyczuwał, że z każdą upływającą minutą Elżbieta coraz bardziej się oddala.

Oczami wyobraźni widział bezczelnie zadufane oblicze tego, który pozbawił życia Nadie, a miał Elżbietę i mógł ją zgładzić jednym gestem.

Dlaczego ją zabrał?

Dlaczego z nim odeszła?

Rhun znał przynajmniej odpowiedź na drugie z tych pytań. Zerknął ku pustej trumnie, w której podczas lotu tkwiła uwięziona Elżbieta.

Nie zdołałem jej obronić, sprawiłem jej zawód.

Kim naprawdę był tamten mężczyzna?

W trakcie jazdy na lotnisko Rhun dostał esemesa od Grigorija. Wiadomość zawierała rysunek staroświeckiej kotwicy.



Poniżej znajdowały się słowa: *Oto symbol. Strzeż się go.*

Książd stanął u drzwi kokpitu i zajął do wnętrza oświetlonego tarczami przyrządów.

– Możesz wejść – zaprosił go Christian, machnięciem ręki wskazując pusty fotel drugiego pilota.

Rhun pozostał w drzwiach. Nie lubił przebywać w pobliżu instrumentów nawigacyjnych, bał się, że niechcący coś trąci i spowoduje chaos.

– Nadal śledzę samolot hrabiny – oznajmił młody sangwinista. – Leci stale na południe wyznaczonym korytarzem. Teraz to tylko kwestia utrzymania się za nim. Może uda się zmniejszyć dystans. Ale czy powinniśmy do tego dążyć?

– Co masz na myśli?

– Naprawdę wierzysz, że ten, którego ścigamy, jest zdrajcą Chrystusa? – dociekał Christian. – A nie jakimś pomyłkiem?

– Elisabeta знаła go w swoich czasach, wiedziała, że jest nieśmiertelny. Ale jego serce biło. Więc nie może należeć do *strigoi*, musi być kimś innym.

– Tak jak ten chłopak.

Rhun zastanowił się nad słowami Christiana; wyczuwał, że chłopca i mężczyznę, który go teraz przetrzymuje, łączy jakieś ogniwo.

Ale jakie?

– Bez względu na to, czy jest Judaszem Iskariotą z Ewangelii, obdarzono go nieśmiertelnością, a jednocześnie zachował swoją ludzką naturę – odparł. – Taki cud wymagałby ręki samego Boga lub aktu Chrystusa, o którym ten człowiek napomknął.

– Jeżeli masz rację, to cud ten musiał służyć jakiemuś zamierzeniu.

– Czy to możliwe, że chodzi o Apokalipsę?

– Pewnie tak. – Christian spojrzął na brata w zakonie i dotknął pektorału. – Jeśli się nie mylisz, to czy tropiąc go i usiłując powstrzymać, a także próbując uratować tego chłopca, nie ingerujemy w wolę Bożą?

Erin tymczasem odpięła pas i podeszła do sangwinistów; towarzyszył jej sierżant. Przed startem oboje przebrali się w świeże suche ubrania. Niosła ze sobą zapach lawendy i Rhun wszedł do kabiny pilotów, żeby nie stać zbyt blisko niej.

Oparła się o framugę drzwi.

– Czy któryś z was wierzy, że wolą Boga byłoby dręczyć niewinne dziecko?

– Pamiętajcie, że mówimy o Judaszu. – odezwał się Jordan – Czy nie jest tak, że jemu zawsze przypada rola drania?

– To zależy od tego, jak interpretuje się Ewangelie – odparła Erin; odwróciła się do sierżanta, ale mówiła do wszystkich. – W tekstach kanonicznych Biblii Chrystus wiedział, że Judasz go zdradzi, ale nie zrobił nic, by temu zapobiec. Chrystus potrzebował, żeby ktoś wydał go Rzymianom, aby mógł umrzeć na krzyżu za ludzkie grzechy. W tekście gnostyckim, w Ewangelii Judasza, Chrystus wręcz prosi go o zdradę. Mówi: *Ty zaś ich wszystkich przewyższysz, człowieka bowiem, który mnie nosi, ty ofiarujesz*⁵. Tak więc postać Judasza jest ukazana w niejasny sposób.

Jordan się skrzywił, najwyraźniej nie godził się z tą oceną.

– Niejasny? Na własne oczy widziałem, jak skosił Nadię i dzieciaki Rasputina. Mnie postrzelił w pierś. Jakoś nie dostrzegam w nim nosiciela dobra.

– Może i słusznie – przyznał Christian. – Ale może być i tak, że Bóg potrzebuje czasem czynnej siły zła. Zdrada Judasza posłużyła wyższemu celowi. Jak zauważyła Erin, Chrystus potrzebował umrzeć za nasze grzechy. Może to właśnie się teraz odbywa. Akt nikczemności, który otworzy drogę do osiągnięcia ważniejszego celu.

Erin skrzyżowała ramiona na piersi.

– Mamy więc biernie patrzeć na dziejące się zło z myślą, że może wyniknie z tego coś dobrego? Zgodnie z filozofią, że cel uświęca środki?

– Ale jakie są te środki? – odezwał się Jordan, w typowy dla siebie praktyczny sposób trafiając w samo sedno problemu. – Nadal nie mamy pojęcia, do czego chłopak jest potrzebny temu sukinsynowi.

– Chłopak, który był i jest Pierwszym Aniołem – przypomniała Erin. – Zapewne ma spełnić jakiś wyrok przeznaczenia. Możliwe, że Judasz usiłuje

odwrócić je w taki sam sposób jak wtedy, gdy usiłował unieszkodliwić triadę, zabijając ciebie.

Na te słowa sierzant potarł się po klatce piersiowej.

Erin ściągnęła brwi.

– Ale kim jest Tommy? – spytała. – Nie może umrzeć, to jasne. Czy on naprawdę jest aniołem?

Rhun spojrział na nią z powątpiewaniem.

– Słyszałem bicie jego serca, brzmiało naturalnie, jak ludzkie, więc chłopiec nie jest stworzeniem niezemskim. Sądzę, że w najlepszym razie ma w organizmie anielską krew, jest dotknięty błogosławieństwem, które spadło na niego w Masadzie.

– Dlaczego akurat na niego? – dociekała. – Dlaczego właśnie na Tommy’ego Bolara?

Ksiądz pokręcił niepewnie głową.

– Tam, na górze, chciałem go pocieszyć, zapytałem, co wie o tragicznych wydarzeniach, które przyniosły śmierć wielu ludziom, a jego oszczędziły. Wspomniał, że tuż przed początkiem wstrząsów, zanim w skale pojawiła się szczelina, znalazł gołębia ze złamanym skrzydłem i próbował go uratować.

– Jeden akt miłosierdzia? – zapytała cicho Erin. – Czy to wystarczyło, by zasłużyć sobie na takie błogosławieństwo?

Samolot wpadł w turbulencję i Christian odwrócił głowę.

– Gołębia często symbolizuje Ducha Świętego. Może posłaniec szukał kogoś, kto zasługuje na szczególną łaskę. Wystawiono chłopca na małą próbę.

Rhun potwierdził skinieniem głowy.

– Przybył na górę jako zwykły chłopiec, ale kiedy we właściwym miejscu i czasie spełnił akt miłosierdzia, napełniono go anielską krwią.

– Mało mnie obchodzi, co płynie w jego żyłach – odezwał się Jordan. – Jeśli macie rację, to w zasadzie nadal jest z niego zwyczajny chłopak.

– Jest kimś więcej – sprostował Rhun.

– Ale jest także chłopcem – nie dawała za wygraną Erin. – A nam nie wolno o tym zapominać.

Sangwinista nie mógł zaprzeczyć, jednak nic z tego, co powiedziano, nie rozwiewało zasadniczej wątpliwości podniesionej przez Christiana.

– Czy zaryzykujemy i uczynimy coś, co będzie przeciwne woli Bożej, ratując Tommy’ego z rąk Iskarioty? – spytał ksiądz, patrząc na całą trójkę.

– Proste jak jasna cholera. – Sierżant uniósł głowę, był gotów walczyć o chłopca. – Mój były dowódca wbił nam do łbów jeden cytat. Żeby zło zatriumfowało, wystarczy bezczynność porządných ludzi.

Erin była równie zdeterminowana.

– Jordan ma rację. Tu chodzi o wolną wolę. Tommy Bolar, ratując gołębicę, dokonał wyboru i za ten akt nagrodzono go błogosławieństwem. Musimy dać mu swobodę decydowania o swojej przyszłości. Nie pozwolimy, by Iskariota go jej pozbawił.

Rhun spodziewał się od nich takiej właśnie odpowiedzi i dodała mu ona otuchy.

– Chrystus poszedł na krzyż z własnej woli. Dajmy młodemu Tommy’emu taką samą możliwość stanowienia o własnym losie.

23.58

Maszyna wpadła w ostre turbulencje i Christian kazał wszystkim usiąść. Wstrząsy i kołysanie odzwierciedlały stan niepokoju Erin i jeszcze bardziej go pogłębiały. Zapinała pasy ze świadomością, że powinna się zdrzemnąć, lecz wszelkie wysiłki w tym kierunku i tak spełzną na niczym.

Jordan, o wiele spokojniejszy, ziewnął. Z pomocą przychodziło mu szkolenie wojskowe: potrafił zasnąć w najbardziej niesprzyjających warunkach i okolicznościach.

Opuścił fotel i ułożył wygodniej swoją roslą postać, Erin tymczasem spoglądała przez okno w ciemność zalegającą o północy nad morzem. Jej myśli wirowały wokół zagadki, jaką stanowił Tommy Bolar, i nad historią związaną z Judaszem Iskariotą. Żeby się trochę rozerwać, sięgnęła do kieszeni i wyjęła owinięty w połyskliwy materiał przedmiot, który znalazła na śniegu w lodowym labiryncie.

Siedzący naprzeciwko Rhun poruszył się i skupił na nim wzrok.

– To własność hrabiny, znalazła ją zamrożoną w ścianie labiryntu. Pewnie to upuściła, kiedy rozpętało się zamieszanie.

Erin zmarszczyła czoło, przypomniawszy sobie, że zobaczyła w lodzie kawałeczek kołdry swojej dawno zmarłej siostrzyczki; rosyjski mnich umieścił go

tam, żeby ją rozproszyć i zadać jej ból. Widok poplamionego materiału dotknął ją do głębi.

A mimo to go zostawiłam i odeszłam.

Potarła kciukiem przedmiot owinięty tkaniną. Zatem Batory wydobyla z lodu swoją nagrodę. Czy tak należało postąpić w labiryncie? Erin postanowiła kierować się nakazem konieczności, a nie emocjami. Jednakże wyścig wygrała hrabina, rozbijając lód i docierając do celu na skróty. Czyżby Grigorij poddał w ten sposób próbie serca rywalek?

Czy to dlatego przegrałam?

Odezwawało się w niej poczucie żalu. Powinna była zabrać fragment kołderki, zawieźć go do Kalifornii i złożyć w grobie siostry, gdzie było jego miejsce.

Obracała zagadkowy przedmiot w dłoniach i głowiła się, czy miał dla hrabiny taki sam ciężar emocjonalny, jaki dla niej miała tamta stara kołdra. Chciała się tego dowiedzieć, toteż zaczęła rozplątywać węzeł. Jej palce ślizgały się przy każdym wstrząsie kadłuba samolotu.

Wreszcie sznurek trochę się poluzował. Erin powoli rozsypała węzeł i odwinęła róg materiału. Wyglądał jak lniana tkanina, którą nasmarowano pszczelim woskiem, żeby uodpornić ją na działanie wody.

– Cokolwiek to jest, musiało być ważne dla hrabiny – powiedziała cicho.

Ksiądz wyciągnął rękę.

– Być może ma wartość osobistą. Powinniśmy to uszanować.

Erin wstrzymała dłoń i przypomniała sobie swoje oburzenie na myśl o tym, że Rasputin sprofanował grób jej siostry, żeby zdobyć fragment pamiątkowej kołdry.

Czy dopuszczam się podobnego aktu? – zastanawiała się.

Sierżant drgnął na swoim fotelu; najwyraźniej nie spał.

– To, co znajduje się w środku, może być dla nas wskazówką, może nam pomóc zrozumieć, z jakiego powodu ten drań zainteresował się hrabiną. Może ocalić jej życie. Nam również.

Erin uniosła brwi i spojrzała na sangwinistę.

Mnich opuścił rękę na znak, że przyznaje Jordanowi rację.

Podczas gdy samolot wciąż podskakiwał w powietrzu, Erin starannymi ruchami odwijala materiał. Ukazała się książka oprawiona w skórę, którą poznały płamy starości. Delikatnie przejechała palcem po herbie wytłoczonym na okładce.



Był to symbol heraldyczny: smok z trzema poziomymi kłami.

– To jest herb rodu Batorych – oznajmił Rhun. – Zęby są nawiązaniem do smoka, którego zabił ponoć Witus, protoplasta dynastii.

Coraz bardziej zaintrygowana Erin rozchyliła ostrożnie okładkę i odsłoniła pociemniały papier, który przybrał brązowawokremowy odcień. Kartkę pokrywało pismo kobiety, która najwyraźniej używała atramentu żelazowo-galusowego. Widniał tam również efektowny rysunek rośliny z liśćmi i gałęziami, opatrzony pieczołowitym opisem układu korzeniowego.

Serce Erin zabiło szybciej.

Ależ to musi być osobisty pamiętnik Elżbiety Batory.

– Co tam jest napisane? – zaciekawił się Jordan; nachylając się nad Erin.

– Po łacinie – odparła, rozwikłując pierwsze zdanie i oswajając się z charakterem pisma. – Opis olszyny z wyszczególnieniem rozmaitych jej cech. Jest też lista remediów na różne choroby i sposób ich przygotowywania.

– W swoim czasie Elisabetha była oddaną matką i uzdrowicielką – odezwał się Rhun tak cicho, że Erin ledwo dosłyszała jego słowa.

– W naszym czasie jest zabójczynią – rzucił sierżant.

Sangwinista zeszytniał.

Erin tymczasem odwróciła kartkę. Był na niej bardzo udatny rysunek krwawnika. Hrabina odwzorowała misterny kwiatostan, skórzaste liście oraz korzeń palowy z drobnymi wąsikami rozchodzącymi się na boki.

– Wygląda na to, że była także uzdolnioną rysowniczką – zauważyła.

- Owszem - potwierdził Rhun z chmurną miną; ta rozmowa zapewne uzmysławiała mu po raz kolejny, ile dobra zniszczył, przemieniając hrabinę w *strigoi*.

Erin przeglądała tekst opowiadający o licznych zastosowaniach medycznych krwawnika: zioło miało pomagać w leczeniu ran i tamowaniu krwotoków. Jej uwagę przykuła konkluzja: *Zwany jest również „diabelską pokrzywą”, jako że ułatwia wieszczenie przyszłości i odpędza zło.*

Zdanie to przypomniało jej, że Batory żyła w czasach przesądów. A jednak starała się zrozumieć rośliny, usystematyzować je, mieszając przy tym naukę z ówczesnymi wierzeniami. W Erin zaczynał kiełkować niechętny podziw dla tej kobiety. Na przekór panującym zabobonom hrabina poszukiwała bowiem metod leczenia bliźnich.

Erin przypomniała sobie surowe przestrogi ojca, żeby nie korzystać z nowoczesnej medycyny. Wolał trwać w przesądzie, stwardniałymi dłońmi trzymał się z całej siły tego, w co wierzył, a jego sztywne stanowisko wykluczało jakikolwiek kompromis.

Z własnej woli wybrał zaślepienie i doprowadził jej małą siostrę do grobu.

Usiadła wygodnie w fotelu i czytając, przestała zwracać uwagę na turbulencje. Dowiadywała się, jak w zamierzchłych czasach wykorzystywano rośliny. Jednakże w połowie dziennika ilustracje nagle uległy zmianie.

Zamiast płatków kwiatowych i korzeni zobaczyła wierny rysunek ludzkiego serca. Pod względem anatomicznym był bez zarzutu, jak średniowieczny szkic Leonarda da Vinci. Gdy przybliżyła książeczkę do oczu, ujrzała na dole strony schludnymi literami wypisane nazwisko oraz wiek.

Siedemnaście lat.

Czytała dalej, lecz po jej ciele przebiegł zimny dreszcz. Hrabina przemieniła siedemnastolatkę w *strigoi*, a następnie zabiła ją i dokonała sekcji zwłok; chciała zbadać, dlaczego jej własne serce już nie bije. Odkryła, że serce *strigoi* jest zbudowane identycznie jak ludzkie, ale nie musi się już kurczyć. Notowała wnioski z eksperymentów ciągle tym samym, przyjemnym dla oka charakterem i spekulowała, że *strigoi* mają inne krążenie.

Nazywała je „samoistną wolą krwi”.

Zbulwersowana Erin przeczytała stronę raz jeszcze. Nie sposób było odmówić Elżbiecie Batory inteligencji. Treść jej zapisków o co najmniej dwie dekady wyprzedzała europejskie hipotezy dotyczące cyrkulacji krwi w organizmie.

W swoim zamku na odludziu, z dala od centrów akademickich i monarszych dworów, na podstawie makabrycznych eksperymentów usiłowała zgłębić funkcjonowanie swojego nowego ustroju w sposób, który był dostępny zaledwie garstce ówczesnych Europejczyków.

Erin przeglądała kolejne stronicie; hrabina charakteryzowała na nich swoje metody badawcze, które stawały się coraz bardziej koszmarnie.

Żeby zaspokoić swoją nienasyconą dociekliwość, torturowała i uśmiercała niewinne istoty; talent uzdrowicielki i uczonej wykorzystywała w krwiożerczy sposób. Przypominało to Erin działalność nazistowskich badaczy prowadzących doświadczenia na więźniach, nacechowaną taką samą pogardą dla ludzkiego cierpienia.

Dotknęła kartki liczącej setek lat. Jako naukowiec powinna się wstrzymać od ferowania ocen wartościujących. Nierzadko musiała spoglądać prosto w oblicze zła i opisywać jego zniwo. Jej praca polegała na wydobywaniu faktów z historii, umieszczaniu ich w szerszym kontekście i wyświetlaniu bez względu na to, jak były okropne.

Brnęła więc dalej, mimo że zbierało jej się na mdłości.

Poszukiwania badawcze hrabiny z wolna przenosiły się z zagadnień fizycznych na duchowe. Erin natrafiła na ustęp datowany na 7 listopada 1605 roku. Dotyczył rozmowy Elżbiety z Rhunem o tym, że *strigoi* nie mają dusz.

Batory chciała wiedzieć, czy to prawda. Erin odczytała zapisek:

Ufam, że wyjawi mi prawdę, w którą wierzy, ale nie sądzę, by kiedykolwiek ośmielił się wyjść poza wiarę i spróbował ogarnąć prostą mechanikę stanu, który nam siłą narzucono.

Eksperymentowała więc dalej i prowadziła obserwacje. Po pierwsze, ważyła dziewczęta przed i po zgonie, aby sprawdzić, czy dusza ma ciężar. Ustalenie, że go nie ma, kosztowało życie cztery z nich.

Na innej stronicy widniał pieczołowicie nakreślony obraz zamkniętej szklanej trumny. Batory skonstruowała ją tak, aby była wodoszczelna. Napełniła ją nawet dymem, żeby się upewnić, iż nie uchodzi z niej gaz. Potem zamknęła w środku młodą dziewczynę i pozwoliła jej się udusić z myślą o tym, by uwięzić w trumnie jej duszę.

Erin wyobraziła sobie, jak nieboraczka bije dłońmi w szklane ściany i błaga o darowanie życia, ale hrabina nie okazała miłosierdzia. Pozwoliła jej umrzeć i sporządziła notatki.

Następnie trzymała trumnę zamkniętą przez całą dobę, oglądała ją przy blasku świecy i słońca. Nie wykryła w środku ani strzępka duszy.

Powtórzyła eksperyment z dziewczyną zamienioną w *strigo*: zraniła ją śmiertelnie przed zamknięciem.

Erin chciała pominąć makabryczne opisy, lecz jej uwagę zwrócił fragment u dołu następnej strony. Zaintrygował ją, mimo że brzmiał strasznie.

W chwili śmierci bestii z jej ciała wzniósł się mały czarny cień, ledwie widoczny w blasku świecy. Długo w noc obserwowałam, jak przemyka w skrzyni, szukając drogi ucieczki. Jednakże o brzasku padł na niego promień słońca i cień skurczył się, zwiądnął i przepadł. Nigdy więcej go nie ujrzałam.

Zaszokowana Erin kilkakrotnie przeczytała ten akapit. Czyżby Batory uległa złudzeniu, zobaczyła coś, co nie istniało? A jeśli nie, to co by to mogło znaczyć? Czy *strigo* ożywia jakaś mroczna siła? Czy Rhun coś o tym wie?

Odczytała wnioski, które sformułowała hrabina.

Domniemywam, że ludzka dusza jest niewidzialna, być może zbyt jasna, by moje oczy ją dojrzały, wszelako dusze bestii takich jak ja są czarne niczym zaśniedziałe srebro. Dokąd zmierzała ta dusza, kiedy usiłowała umknąć? Muszę się tego dowiedzieć.

Erin otworzyła dziennik na ostatniej stronie, na której Elżbieta zamieściła dokładny rysunek ilustrujący eksperyment. Przedstawiał martwą dziewczynę z kłami leżącą w skrzyni. Światło z okna padało na koniec szklanej trumny, a czarny cień wisiał w drugim końcu, jakby pragnął skryć się przed blaskiem.

Rhun także patrzył na ten rysunek i najwyraźniej był wstrząśnięty. Co niepokoilo go bardziej – widok cienia czy zamordowanej dziewczyny?

– Mogę zobaczyć? – spytał, wyciągając rękę. – Proszę.

– Wiedziałeś o tym? O tym, czym się zajmowała? Co odkryła?

Sangwinista unikał jej spojrzenia.

– Chciała zrozumieć, jakim jest stworzeniem... W jaką bestię ją zamieniłem.

Erin przerzuciła pozostałe kartki, wszystkie były czyste. Batory musiała zostać pojmana i uwięziona wkrótce po przeprowadzeniu ostatniego doświadczenia. Erin już miała przekazać książeczkę księdzu, kiedy na ostatniej stronie zobaczyła jeszcze jeden rysunek. Wyglądał, jakby powstał w wielkim pośpiechu.



Przypominał puchar, ale jakie było jego znaczenie?

– Mogę zobaczyć? – poprosił znowu Rhun.

Zamknęła dziennik i podała mu go.

Wolno przerzucał kartki, a Erin widziała, że jego szczęki zaciskają się coraz mocniej.

Czy obwinia się za poczynania hrabiny?

Czy mógł się nie obwiniać?

Gdy ksiądz zamknął książeczkę, jego twarz wyrażała poczucie klęski i zagubienia.

– Kiedyś nie miała w sobie zła. Przepelniał ją słoneczny blask i dobroć.

Erin wątpiła w prawdziwość tych słów, sądziła, że zaślepiiony uczuciem Rhun mógł nie dostrzegać prawdziwej natury arystokratki. Skoro bowiem prowadziła tak krwawe eksperymenty, to za blaskiem słońca, o którym wspomniał, musiał się czaić w głębi jakiś cień.

Sierżant tylko się skrzywił.

– Nie interesuje mnie, jaka była hrabina dawno, dawno temu. Teraz jest wcielonym złem. I żadnemu z nas nie wolno o tym zapomnieć. – Posłał Rhunowi spojrzenie ostre jak brzytwa, a potem odwrócił się i ułożył do snu.

Erin wiedziała, że Jordan ma rację. Gdyby tylko Batory dano taką możliwość, uśmierciłaby ich wszystkich – zapewne powolutku, robiąc przy tym notatki.

CZĘŚĆ CZWARTA

*Dom jej drogą jest do Szeolu:
co w podwoje śmierci prowadzi.*

Księga Przysłów 7,27

Okolice Neapolu, Włochy

20 grudnia, 2.33 czasu miejscowego

Przy blasku księżycowej pełni nad wodami Elżbieta przeszła o północy na dziób dziwnego stalowego okrętu i spojrzała na prastare Morze Śródziemne, którego nie ma się czas. W niezmienności tej odkryła pociechę. Światła Neapolu wnet pochłonął mrok, a wraz z nimi znikło ciemne wybrzeże.

Samolot wylądował niespełna godzinę temu. Hrabinę otoczyła zimowa metropolia w niczym nieprzypominająca znanego jej niegdyś miasta.

Trzeba zaprzestać spoglądania wstecz.

Oto jest nowy świat.

Stała na dziobie, a zimny wiatr smagał jej włosy. Zlizala z warg słoną mgiełkę; prędkość, z jaką przemieszczał się statek, napawała ją zdumieniem. Zderzył się z wysoką falą, zatrząsnęło nim i popłynął dalej niczym koń brodzący w głębokim śniegu.

Hrabina uśmiechnęła się do falujących czarnych grzywaczy.

Ten wiek miał do zaoferowania wiele cudowności. Przyszło jej na myśl, że głupio postępowała, tak długo ograniczając się do zaułków starego Rzymu. Winna była rzucić się w wir nowego świata, a nie kryć się tchórzliwie w minionym.

Pod wpływem impulsu zerwała z ramion pelerynę sangwinistów. Chroniła ją przed blaskiem słońca, lecz stary fason i ciężar wełny nie pasowały do tej epoki. Uniosła okrycie ku wiatrowi. Czarna dzianina zatrzepotała w powietrzu jak monstrualne ptaszysko.

Elżbieta wypuściła pelerynę z rąk i uwolniła się od przeszłości.

Płachta zakręciła się na wietrze, po czym odleciała i wpadła do wody. Przez krótką chwilę unosiła się na posrebrzonych księżycem falach niczym czarna plama sadzy, a potem wciągnęło ją morze.

Teraz hrabina nie miała już na sobie niczego, co pochodziło od sangwinistów i z dawnego świata.

Spojrzała znów przed siebie i powiodła dłonią po stalowym relingu. Zmierzyła wzrokiem burty kadłuba i płozy, na których statek ślizgał się po wodzie.

– Nazywa się wodolot – powiedział Tommy, podchodząc do niej od tyłu.

Zasłuchana w świst wiatru i zajęta podziwem Elżbieta nie usłyszała zbliżającego się tętna.

– Śmiga po wodzie jak czapla. – Zerknęła na chłopca, śmiejąc się radośnie.

– Jak na więźnia jesteś o wiele za wesoła – zauważył.

Wyciągnęła rękę i zmierzwiła mu włosy.

– W porównaniu z poprzednim więzieniem to jest cudowne.

Nie wyglądał na przekonanego.

– Musimy smakować każdą chwilę, która jest nam dana – powiedziała z naciskiem. – Nie wiemy, gdzie skończy się ta podróż, trzeba więc brać z niej każdy okrusz radości, póki trwa.

Gdy podszedł bliżej, ku własnemu zdumieniu otoczyła go ramieniem. Razem patrzyli na ciemne fale wznoszące się i opadające przed dziobem statku; zimny wiatr zadzierał im włosy do tyłu.

Wkrótce poczuła, że Tommy się trzęsie, i usłyszała, że szczęka zębami; przypomniała sobie, że nie jest tak odporny jak ona.

– Trzeba cię rozgrzać, bo inaczej zaziębisz się na śmierć – stwierdziła.

– Co to, to nie – zaoponował, spoglądając na nią z rozbawieniem. – Możesz mi wierzyć. – Wreszcie się uśmiechnął.

Odpowiedziała tym samym.

– Mimo to schowajmy się przed wiatrem, będzie ci milej.

Poprowadziła go przez pokład do luku i dalej do kabiny. Pachniało tam męczyznami, kawą i ropą naftową. Iskariota siedział na ławeczce przy stole i pił coś z grubego białego kubka. Jego muskularny sługa stał obok małego kambuza.

– Daj chłopcu gorącej herbaty! – zawołała do niego hrabina.

– Nie lubię herbaty – powiedział Tommy.

– W takim razie potrzywasz ją tylko, to też cię rozgrzeje.

Henrik posłusznie przyniósł parujący kubek. Chłopiec ujął go w obie dłonie, podszedł do iluminatora i przyglądał się podejrzliwie Iskariocie.

Ten nie zwracał na to uwagi. Ruchem ręki zaprosił Elżbietę do stołu.

– Co jest celem naszej podróży? – zapytała, gdy już usiadła.

– Jeden z moich licznych domów – odparł. – Daleko od wścibskich oczu.

Wyrzała przez szybę na oświetlone księżycowym blaskiem morze. Nic więcej nie było widać. Ów dom musiał być na odludziu.

– Dlaczego się tam udajemy?

– Chłopiec musi wydobrzeć po lodowych męczarniach. – Judasz spojrział w kierunku Tommy’ego. – Utracił dużo krwi.

– Zależy ci więc na jego krwi? – spytała Elżbieta nagle zaniepokojona o los chłopca.

– Z pewnością jemu na niej zależy.

Jej uwagę zwróciło to, że Judasz nie odpowiedział na pytanie, lecz istniały w tej chwili pilniejsze kwestie.

– Czy sangwiniści nas tam nie znajdą?

Iskariota przeciągnął palcami po srebrzystych włosach.

– Wątpię, czy im się to uda.

– Powiedz zatem, proszę, czego ode mnie oczekujesz? Rozumiem, że ważny jest dla ciebie Pierwszy Anioł, ale w czym ja mogę ci się przydać?

– W niczym, pani – odparł zapytany. – Ale miałem u boku kobiety z rodu Batorych przez czterysta lat, było ich w sumie osiemnaście, i wiem, jak potężne z nich sojuszniczki. Jeśli zechcesz zostać, będę cię chronił przed sangwinistami, a ty być może obronisz mnie przede mną samym.

Zagadki, coraz więcej zagadek...

Nim Elżbieta zadała następne pytanie, Tommy wskazał ręką przedni iluminator.

– Patrzcie!

Wstała, żeby mieć lepszy widok. Na ciemnym morzu, oświetlona setkami lamp, ukazała się monstrualna stalowa konstrukcja. Cztery szare filary sterczały z fal niczym odnóża przeogromnej bestii. Spoczywał na nich płaski blat większy niż Bazylika Świętego Piotra. Na platformie zaś znajdowało się wielkie gniazdo utworzone z malowanych belek i kołowrotów.

– To jest platforma wiertnicza – oznajmił Tommy.

– Kiedyś to była platforma – uściślił Iskariota. – Zrobiłem z niej prywatną rezydencję. Nie ma jej na mapie, leży bardzo daleko od utrapień tego świata.

Elżbieta przyjrzała się uważnie światłom jaśniejącym pośrodku stalowej konstrukcji, która przypominała blanki masywnego zamku ze stali. Rzuciła okiem na rozpościerające się wokół połączenie ciemnej wody, a potem znów skierowała wzrok na platformę wiertniczą.

2.38

– Mamy kłopot! – zawołał Christian z kabiny pilotów.

Jakżeby inaczej, pomyślał Jordan. Za czterdzieści minut mieli lądować. W ciągu minionych paru godzin powoli zmniejszali dystans do uciekinierów. Młody sangwinista poinformował, że Iskariota wraz z towarzyszącą mu grupą przed około kwadransem wylądował w Neapolu.

– Co się stało?! – krzyknęła Erin.

Sierżant pierwszy raz w życiu miał nadzieję, że doszło do awarii silnika.

– Straciłem sygnał Batory! – odparł Christian. – Przekalibrowałem odbiornik, ale na nic się to zdało.

Jordan rozpiął pas, podszedł do drzwi kokpitu i oparł się rękami o małą futrynę.

– Gdzie ją ostatni raz widziałeś? – spytał, zaglądając do środka.

– Musieli się przesiąść do innego pojazdu. Wolniejszego niż odrzutowiec, ale i tak szybkiego. To może być motorówka, śmigłowiec albo awionetka. Trudno stwierdzić. Oddalili się od wybrzeża i wypłynęli na wody Morza Śródziemnego w kierunku zachodnim. I nagle sygnał zniknął.

Erin i Rhun podeszli do kabiny.

– Może się rozbili, spadli – zasugerowała.

– Być może – powiedział Christian. – Ale istnieją prostsze wyjaśnienia. Mogła zauważyć nadajnik i wyrzucić pelerynę, w której go ukryłem, mogła też wyczerpać się bateria nadajnika. Nie mam pojęcia.

Sierżant westchnął i podrapał się po piekącym ramieniu. Żar, którym płonął tatuaż, zamienił się w stałe źródło ciepła i nie pozwolił mu wyspać się porządnie w czasie lotu.

– Tak czy owak, hrabina zniknęła – stwierdził młody sangwinista, zerkając przez ramię. – No i co teraz?

– Zgodnie z planem wylądujemy w Neapolu – odrzekł Rhun. – Nawiążemy kontakt z kardynałem w Rzymie i podejmiemy decyzję.

Pogodzony z faktem, że polowanie będzie od tej pory trudniejsze, Jordan ruszył w kierunku kabiny pasażerskiej. Najpierw jednak wziął z łazienki apteczkę pierwszej pomocy.

– Co robisz? – zapytała Erin, kiedy wrócił.

Sierżant otworzył apteczkę na małym stoliku z drewna orzechowego umieszczonym przed fotelami.

– Chcę się przyjrzeć tym mechanicznym ćmom. Jeżeli mamy znowu zdrzeć z tym sukinsynem, musimy jakoś zneutralizować zagrożenie z powietrza. Bo inaczej będzie po nas.

Wciągnął na dłonie lateksowe rękawiczki i unióś pudełko, do którego Erin włożyła garść ciem zebranych w lodowym labiryncie. Wyjął jedną prawie nienaruszoną i delikatnie umieścił na blacie.

Rhun wzdrygnął się lekko na ten widok. Zadziałał jego instynkt samozachowawczy. Resztką jadu, która pozostała w mechanicznym owadzie, zapewne wciąż mogła go uśmiercić.

Erin przysunęła się bliżej Jordana, a on nie miał nic przeciwko temu.

Przyjrzał się zielonym skrzydełkom. Bez wątplenia wyglądały na organiczne, prawdopodobnie pobrano je od żywych okazów. Skupił uwagę na odwłoku, misternej robocie z mosiądzu, srebra i stali. Zbadał wzrokiem drobne, ale wydatne odnóża oraz cieniutkie nitki czułek. Nie zbliżając palców do ostrego jak szpilka ryjka, przewrócił odwłok na grzbiet i zauważył maciupkie zawiasy.

A to ciekawe...

Usiadł prosto.

– Wiemy już, że ćmy mają zdolność wstrzykiwania trucizny *strigoi* i sangwinistom – powiedział. – Nie działa ona na ludzi, więc może to jest jakaś wskazówka. Czas poeksperymentować.

Zerknął na Rhuną.

– Potrzebuję paru kropel twojej krwi.

Książd skinął głową i wysunął z rękawa karambit. Zrobił nacięcie na palcu i wypuścił kilka szkarłatnych kropel na blat stolika, tak jak chciał Jordan. Sierżant z kolei naciął sobie kciuk maszynką do golenia wziętą z apteczki.

– I co teraz? – chciała wiedzieć Erin.

– Teraz będzie mi potrzebna kapka toksyny z wnętrza ćmy. – Jordan zaklecił plasterk rankę na kciuku i naciągnął z powrotem gumową rękawiczkę.

– Ostrożnie – przestrzegł go sangwinista.

– Całe lata służyłem w wojskowej sekcji kryminalistycznej, babrałem się w truciznach i materiałach wybuchowych, wierz mi. Nie narażam się bez potrzeby.

Nachyliwszy głowę nad mosiężnym odwłokiem ćmy, Jordan rozchylił pęsetą zawiasy na spodzie. Potem bardzo ostrożnie otworzył odwłok. Ukazały się maciupęńkie dźwignie, sprężynki i druciki.

– Wygląda to jak mechanizm zegarka. – Oczy Erin błyszczały ze zdziwienia. Precyzja wykonania była imponująca.

Ksiądz także się nachylił; jego ciekawość przeważała nad ostrożnością.

Jordan zauważył, że przednią część mechanizmu zajmuje miniaturowa szklana fiolka. Była pęknięta, ale pozostały w niej smużki krwi.

– To krew Iskarioty – oznajmiła Erin.

Rhun się wyprostował.

– Cuchnie śmiercią. To skażona krew, bez dwóch zdań.

Sierżant wsunął pęsetę w głąb pękniętego naczynka i rozwarł je szerzej. Następnie dwoma tamponikami waty zebrał resztkę krwi, która pozostała w środku. Pierwszym tamponem dotknął swojej krwi.

Zgodnie z oczekiwaniami nic się nie zdarzyło.

Bardzo dobrze.

Ujął drugi tampon i zanurzył go we krwi Rhuna. Z donośnym świstem krew wyparowała, na drewnianej powierzchni stolika została jedynie smuga sadzy.

Nastąpiła chwila ciszy i Jordan spojrzał w szeroko otwarte oczy księdza.

– Jak widać, krew Iskarioty ponad wszelką wątpliwość oddziałuje destrukcyjnie na krew sangwinisty – powiedział.

– I na krew *strigoi* – dodała Erin.

Gdyby mnie ktoś spytał o zdanie, jedni nie różnią się niczym od drugich, pomyślał sierżant, ale zachował to dla siebie.

Zajrzał do swojej torby, w której trzymał używane wcześniej zimowe ubrania, i po chwili wydobyl wełniane rękawice. Były na nich plamy krwi Tommy’ego, pamiątka po tym, jak wspólnie z Erin wydobywali chłopca z lodowej rzeźby.

– Co chcesz zrobić? – spytała.

– Wiemy, że Iskariota i ten mały są unikalni, że łączy ich nieśmiertelność. Sprawdzę, czy krew chłopca również ma właściwości toksyczne.

Rhun wycisnął z rany na palcu jeszcze parę kropeł, a sierżant umoczył tampon we krwi i dotknął rękawiczki.

Nie nastąpiła żadna reakcja.

Erin w zamyśleniu ściągnęła brwi.

Jordan westchnął.

– Wygląda na to, że krew tego chłopaka nikomu nie szkodzi. Powiem więcej, być może uratowała mi życie.

– Być może?! – prychnęła Erin. – Coś z pewnością je uratowało.

Sierżant nie wspomniał o bólu, który palił go w ramię, część klatki piersiowej i pleców.

– W każdym razie on i Judasz, mimo że obaj są nieśmiertelni, bardzo się od siebie różnią.

– I co z tego wynika? – spytał Rhun.

– Od tej pory Erin i ja powinniśmy iść w szpicy wszędzie tam, gdzie pojawią się te ćmy. I nie tylko one. Musimy zwracać uwagę na wszystko, co się czołga, pełza i lata. Poza tym sugeruję, żebyście nosili grubszą odzież ochronną i odkrywali mniej ciała. Może przydałoby wam się coś w rodzaju masek pszczelarza na twarze.

Ksiądz skinął głową.

– Podzielę się tą informacją z kardynałem. Ostrzeże sangwinistów w terenie, żeby w razie zagrożenia mieli taki sprzęt w pogotowiu.

Sierżant znów skupił uwagę na tym, co pozostało z ćmy.

– Zajmijmy się mechanizmem tego owada. To ustrojstwo wewnątrz jest bardzo misterne. Przypuszczam, że jakiegokolwiek zanieczyszczenie ciałem obcym mogłoby mu zaszkodzić, na przykład spowodować zacięcie się przekładni. Pył, piasek, olej.

– O tym także wspomnę kardynałowi.

Jordan spojrzał na księdza.

– Byłoby dobrze dla nas wszystkich, gdybyśmy z jak największym wyprzedzeniem wiedzieli o możliwości ataku tych insektów. Czy tam, w labiryncie, słyszałeś nadlatujące ćmy? – Domyślał się, że mechanizm wydaje jakiś odgłos.

– Usłyszałem cichy szmer, o wiele cichszy od tętna. Ale rozpoznałbym go.

– Na początek dobre i to – rzucił sierżant.

Ale czy wystarczy?

Morze Śródziemne

20 grudnia, 3.13 czasu miejscowego

Tommy patrzył ze zdumieniem na ogromne drzwi windy przemysłowej, które otworzyły się na olbrzymie pomieszczenie.

Wodolot przybił do jednej z gigantycznych nóg platformy wiertniczej i wszyscy podeszli do windy. Stara i zniszczona, wyglądała jak zabytek z czasów, kiedy platforma służyła do wysysania ropy spod dna Morza Śródziemnego. Brzydka stalowa klatka przeniosła ich na powierzchnię platformy i do jej nadbudowy.

Pierwszy wysiadł Iskariota w towarzystwie swoich dwóch potężnie zbudowanych sług.

Tommy i Elżbieta podążyli za nimi.

Chłopiec spodziewał się, że ujrzy zaniedbane wnętrze w tym samym industrialnym stylu, który charakteryzował windę. Z dołu konstrukcja przypominała stalową nadbudówkę na starym żaglowcu. Jednak już stawiając pierwszy krok, poczuł się tak, jakby wstępował na mostek kapitana Nemo w *Nautilusie*. Pomieszczenie w miły dla oka sposób łączyło stal i drewno, szkło i mosiądz miało męski charakter, a zarazem było eleganckie.

Na wprost drzwi windy znajdowały się wysokie okna zwieńczone ostrołukami, jak w gotyckich kościołach. Te skrajne ozdobione były witrażami przedstawiającymi sceny połowu ryb, rybaków ciągnących sieci oraz łodzie z białymi żaglami. Z pozostałych okien widać było rozległą morską panoramę. Blask księżyca padał na zwieńczone białymi grzywami fale i strzępiaste białe obłoczki.

Tommy z pewnym trudem oderwał wzrok od tego pejzażu. Pod jego stopami ścilił się puszysty czerwony dywan, spod którego brzegów wзираła polerowana podłoga z twardego drewna. Stalowe dźwigary u góry pomalowano na czarno, nity lśniły miedzią. Był tam również witrażowy świetlik z wizerunkami morskich ptaków w locie: mew, pelikanów i czapli. Jednakże środek obrazu zajmował biały gołąb ze szmaragdowymi oczami.

Chłopiec potknął się, przypomniawszy sobie rannego gołębia, którego próbował uratować w Masadzie, ale Iskariota zdążył go złapać. Zerknął w górę na witraż, a potem na Tommy'ego. W jego srebrzystoniebieskich oczach pojawił się dziwny błysk.

– Masz zimne dłonie – stwierdził. – Kazałem rozpaść ogień przed naszym przybyciem.

Tommy skinął głową, lecz z trudem udawało mu się poruszać nogami. W pomieszczeniu stały skórzane fotele i miękkie kanapy z miedzianymi ćwiekami. Były tam również gabloty oraz stoły z mosiężnymi sekstansami, starymi teleskopami i okazały stalowy dzwon. Przed środkowym oknem ustawiono wielkie koło sterowe z drewna i mosiądzu; musiał to być autentyczny zabytek. Na ścianie nad oknem wisiała stara kotwica pokryta zieloną patyną.

Ten facet musi być zapalonym wędkarzem, pomyślał chłopiec, zerkając z ukosa na gospodarza.

Judasz, rzekł w myślach, przypominając sobie o niepojętym fakcie. Jednak po wszystkim, czego ostatnio doświadczył, czemuż by, u diabła, nie?

– Trzęsiesz się – zauważyła Elżbieta, dotykając jego ramienia. – Usiądźmy przed kominkiem.

Pozwolił, by zaprowadziła go do foteli przed ogromnym paleniskiem. Po obu stronach wznosiły się regały z książkami, tak wysokie, że aby się na nie wspiąć, potrzebna była drabina na kółkach. Matce bardzo by się to pomieszczenie spodobało – ciepłe i przytulne, z mnóstwem książek do czytania.

– Spocznij tu – rozkazała Elżbieta, gdy tylko znaleźli się przy grubo wyściełanym fotelu. Przsunęła mebel bliżej ognia, demonstrując przy tym swoją ogromną siłę.

Chłopiec opadł na fotel i od razu zapatrzył się w ogień i czarne ruszty w kształcie delfinów tańczących na ogonach. Wnętrze pachniało dymem drzewnym i nagle przypomniał sobie wycieczki na narty z rodzicami w czasach sprzed choroby.

Nad gzymsem kominka wisiały trzy mapy tworzące tryptyk. Tommy zbliżył się do nich, zacierając dłonie nad trzaskającym ogniem. Środkowa mapa przedstawiała świat współczesny, lecz sporządzono ją w staroświeckim stylu i ozdobiono fantazyjnym pismem pełnym zawijasów. Mapa po lewej stronie wyglądała na wiekową; brakowało na niej znacznych części świata. Z prawej strony znajdowała się mapa datowana na 1502 rok. Ukazywała zabarwione na

zielono wybrzeże Ameryki Północnej, a także maleńki kawałek Ameryki Południowej.

Elżbieta przyjrzała się dokładniej mapie.

– Tak właśnie wyglądał świat, kiedy byłam w twoim wieku – powiedziała, a jej głos zabrzmiał łagodniej.

Zaskoczony tymi słowami chłopiec przypomniał sobie, że hrabina ma ponad czterysta lat.

– A tak wygląda świat obecnie. – Wskazał środkową mapę. – Zrobiliśmy nawet jego mapy z kosmosu.

– Z kosmosu? – zapytała, spoglądając na niego; pomyślała, że żartował.

– Mamy olbrzymie satelity. Takie maszyny. Latają wysoko na orbicie, między Ziemią a Księżycem.

Szare oczy Elżbiety zaciągnęły się mgłą.

– Człowiek dotarł tak daleko?

– Na Księżyc i z powrotem. – Iskariota włączył się do rozmowy. – Ludzkość wysłała pełzające urządzenia na powierzchnię Marsa, inne wyleciały poza granice Układu Słonecznego.

Arystokratka osunęła się na fotel i położyła rękę na oparciu drugiego, na którym siedział Tommy.

– Och, muszę się bardzo dużo nauczyć. – Wyglądała na przytłoczoną.

– Ja ci pomogę – obiecał Tommy, dotykając jej zimnej ręki.

Zacisnęła palce na jego dłoni; w pierwszej chwili tak mocno, że mogłaby mu ją złamać, w porę się jednak pohamowała.

– Będę ci za to wdzięczna.

Iskariota westchnął z lekkim zniecierpliwieniem.

– Zanim to nastąpi, Thomas powinien wypocząć, posilić się i odzyskać siły.

Ręka Elżbiety ponownie wzmocniła uścisk na dłoni chłopca.

– A później?

– O świcie spotka się ze swoim przeznaczeniem. Wszystkich nas to kiedyś czeka.

Po plecach Tommy'ego przebiegł dreszcz, któremu ciepło kominka nie mogło zapobiec.

Z jakim przeznaczeniem mam się spotkać?

Nadszedł służący Iskarioty z tacą. Chłopiec drgnął na widok hamburgera, frytek i koktajlu czekoladowego; czuł z daleka ich zapach.

– Pomyślałem, że taka strawa przypadnie ci do gustu. – Taca spoczęła na stoliku, obok którego chłopiec siedział. – Powinieneś najeść się do syta. Jutro czeka nas długi dzień.

Dotknął tacy i przypomniał sobie przestrożę, której udzieliła mu wcześniej hrabina.

Jeść po to, by zachować siłę.

Zdawał sobie sprawę, że jeśli nie zmobilizuje wszystkich sił, nie ucieknie.

3.32

Elżbieta siedziała w fotelu naprzeciwko chłopca, a on jadł. Wyciągnęła rękę w stronę przyjemnego ciepła. Prawdziwy ogień ogrzewał ją lepiej niż wszelkie współczesne urządzenia. Zamknęła oczy i pozwoliła, by ciało piło płomień; wyobrażała sobie blask słońca w upalny letni dzień.

Było jej ciepło i czuła się syta, powinna więc odczuwać zadowolenie, ale go nie czuła.

Nie jestem tutaj bezpieczna, chłopiec również.

Zdziwiła się, że tak się troszczy o jego bezpieczeństwo. Iskariota miał plany wobec nich obojga i zaczynało jej świtać, że nie będzie jej traktował lepiej niż sangwiniści.

Pokręciła zwichniętą kostką. Zagoiła się na tyle, że nie będzie jej spowalniać podczas ewentualnej próby ucieczki. Ale co z chłopcem? Popatrzyła na niego. Łamiąc wszelkie maniery, pożerał wszystko, co miał na talerzu. Zapach pieczonego mięsa i oleju budził w niej odrazę, lecz tego nie zdradzała. Wiedziała, że jego apetyt podyktowany jest tym samym celem, który przyświecał także jej: zachować siłę, być gotowym do ucieczki.

Ale czy nadarzy się choć jedna okazja?

Iskariota patrzył na oboje niczym wygłodniały jastrząb, mimo że on także się posilał krwistoczerwoną pieczenią i rozgotowanymi warzywami. Jadł, korzystając ze srebrnego widelca i noża, ozdobionych kotwicą.

Gdy Tommy westchnął z zadowoleniem i rozparł się na fotelu, hrabina spojrzała na jego młodziutką twarz. Policzki znów nabrały rumieńców. Nawet jej

się zdawało, że nader szybko wraca do zdrowia. Strawa najwyraźniej dodała mu wigoru.

– Więcej nie zjem – oznajmił, zatykając sobie usta pięścią, by nie beknąć.

Nie beknął, lecz ziewnął przeciągle.

– Trzeba ci trochę odsapnąć – rzekł Iskariota. – Musimy wstać przed świtem.

Tommy spojrzał na Elżbietę. Nie wiedział, jak zareagować na te słowa.

Skinęła mu nieznacznie głową, bo chwila nie była odpowiednia do tego, by zadawać trudne pytania temu, który ich więził.

– No dobrze – powiedział chłopiec, wstając i rozprostowując plecy.

Iskariota skinął na Henrika.

– Zaprowadź go do pokoju gościnnego i daj mu czystą odzież.

Tommy dotknął spodni i bluzy od dresu poplamionych zaschlą krwią. Było jasne, że przydałoby mu się świeże ubranie.

Zrezygnowany, ruszył za Henrikiem, najpierw jednak rzucił zmartwione spojrzenie Elżbiecie, a ona poczuła ukłucie bólu w swoim cichym sercu.

Po wyjściu chłopca Iskariota, który siedział na kanapie, przysunął się bliżej hrabiny.

– Niech się prześpi, to mu dobrze zrobi. – Spojrzał jej w oczy. – Ale ty, pani, chciałaś mi zadać wiele pytań. Lepiej, żeby padły, kiedy jego tutaj nie ma.

Splotła palce złożone na kolanach dłoni i postanowiła zacząć od tego, co było kiedyś. O terażniejszości i przyszłości porozmawiają później.

– Chętnie dowiedziałabym się więcej o losach mojej rodziny.

Skinął głową i przez kilka długich, bolesnych minut opowiadał jej o dzieciach, dzieciach ich dzieci, małżeństwach, narodzinach i zgonach. Była to w znacznej mierze opowieść tragiczna, historia rodu upadłego, olbrzymi gobelin utkany na podstawie jej grzechów.

Oto moje dziedzictwo.

Wyraz jej twarzy nic nie ujawniał, słowa Judasza chowała głęboko. Członkowie rodu Batorych nie zdradzali bólu. Wpajała to swoim dzieciom po wielokroć, nawet wtedy, gdy pragnęła utulić je w ramionach i otrzeć ich łzy. Nie nauczyła się jednak od matki dawania pociechy i nie przekazała tej nauki własnym dzieciom. Siła ta wiele ją kosztowała, ale przecież ją uratowała.

– Nie jesteś, pani, ciekawa współczesnego świata? – zapytał gospodarz, skończywszy opowieść o potomstwie Elżbiety.

– Owszem, jestem – przyznała. – Bardziej jednak ciekawi mnie moja w nim rola.

– Przypuszczam, że chciałaby pani wiedzieć także o roli, którą ma do spełnienia chłopiec.

Wzruszyła ramionami, niczego nie wyjawiając.

– Jaki byłby ze mnie za potwór, gdybym nie dbała o takiego junaka? – Jej głos zaprawiony był ironią.

– Cóż byłby z pani za potwór, w rzeczy samej. – Na jego ustach przemknął nieznaczny uśmiech.

Trafnie odczytała wyraz jego twarzy; Judasz uwierzył, że wcale nie zależy jej na chłopcu. Była bowiem potworem i zgładziła niejednego człowieka niewiele starszego od Tommy’ego. Wobec tego chłopca odczuwała jednak coś w rodzaju pokrewieństwa, a krewni to świętość.

Iskariota zmierzył ją ostrym spojrzeniem.

– Pani rolę, droga hrabino Batory, będzie przede wszystkim dopilnowanie, by był spokojny i posłuszny.

A więc mam być niańką.

Kontrolując głos tak, aby nie zabrzmiały w nim gniewne tony, zapytała:

– Jakie masz wobec niego zamiary, skoro potrzebujesz kogoś, kto będzie go uspokajał?

– Przed wschodem słońca udamy się na wybrzeże, do ruin Kume. Tam spotka się ze swoim losem i być może zechce mu się oprzeć. Ucieczka jest niemożliwa, ale jeśli stawi opór, zostanie potraktowany surowo.

Elżbieta odwróciła się twarzą w stronę płomieni.

Ruiny Kume.

Odezwało się w niej wspomnienie czasów, gdy – jak przystało na znaną arystokratkę – czytywała pisma Wergiliusza i dzieje krajów europejskich. Żyła ongiś w Kume sławna jasnowidzka, sybilla, która przepowiedziała narodziny Chrystusa. Za życia Elżbiety jej siedziba była już w ruinie, mury miasta od dawno nie istniały.

Coś innego jednak wzbudziło jej niepokój, inna historia związana z Kume. Lęk przeszył ją aż do kości, ale nie dała go po sobie poznać.

– Jaki los czeka tam chłopca? – spytała.

I jaki będzie mój?

– Jest Pierwszym Aniołem – przypomniał jej Judasz. – A ty, pani, jesteś Uczoną Niewiastą. Wspólnie otworzycie drogę przeznaczeniu, którym Chrystus mnie

obarczył. Dzięki wam będzie mógł powrócić do świata, który do Niego należy, i osądzić nas wszystkich.

Elżbieta przypomniała sobie, że Iskariota już wcześniej mówił o tym doniosłym celu.

– Chcesz zapoczątkować Armagedon, ale jakim sposobem?

Tylko się uśmiechnął.

Ona jednak pamiętała ostatni szczegół dotyczący Kume. Zgodnie ze starożytną rzymską legendą pod tronem sybilli kryło się przejście do podziemnego świata.

Brama Piekła.

Neapol, Włochy

20 grudnia, 4.14 czasu miejscowego

Kardynał Bernard kroczył po niemalże opustoszałym lotnisku koło Neapolu. Umieszczone we wnękach lampy rzucały niebieskawe światło na twarze nielicznych porannych podróżnych, nadając im niezdrowy wygląd. Nikt nie zwrócił uwagi na duchownego, gdy ten sunął błyskawicznie w kierunku hali przylotów. Zamiast oficjalnej purpurowej szaty miał na sobie nowoczesny granatowy garnitur, jaki noszą biznesmeni.

Lecz on przybył do Neapolu nie w charakterze kardynała lub biznesmena, lecz jako wojownik.

Pod uszytym z jedwabiu garniturem krył zbroję.

Wewnątrz zakonu działał szpieg, toteż kardynał podróżował potajemnie. Z Watykanu wydostał się długim nieużywanym tunelem i o północy był już na ulicach Rzymu, a tam wmieszał się w tłum przechodniów. Nie polecał prywatnym odrzutowcem, lecz skorzystał z linii komercyjnej, legitymując się fałszywym dokumentem. Dźwigał walizkę z dwoma zestawami zbroi sangwinistów, które przygotował specjalnie na tę wyprawę.

Opodal wyjścia momentalnie rozpoznał charakterystyczne pulsę Erin i Jordana. Wiedział o ich obecności, zanim przekroczyli szklane drzwi.

U ich boków maszerowali Rhun i Christian.

Sierżant zbliżył się pierwszy do Bernarda, miał mocne nogi.

– Miło cię widzieć, kardynale.

– Od tej chwili jestem po prostu Bernardem. – Rozejrzawszy się, kardynał zamaszystym ruchem podsunął walizkę Rhunowi i wskazał na drzwi łazienki. – Przebierzcie się. Niech cywilne ubrania zasłonią zbroje.

Po odejściu sangwinistów uściśnęła Jordanowi rękę i zwrócił uwagę, że jest niemal chorobliwie rozgorączkowana.

– Dobrze się czujesz?

– Zważywszy, że niedawno wstałem z martwych, czuję się rewelacyjnie.

Kardynał dostrzegł u niego coś w rodzaju zawahania, ale nie drążył tej kwestii.

– Cieszę się, że jesteś zdrowy... I dziękuję, że zwróciłeś nam uwagę na szczególne zagrożenie, jakim są cmy Iskarioty.

Wciąż trudno mu było pogodzić się z myślą, że Judasz chodzi po ziemi, że tego, który Go zdradził, Chrystus pokarał niekończącymi się latami życia, ale Iskariota niezaprzeczalnie stanowił zagrożenie i nie wolno było go ignorować.

– Gdybym miał więcej czasu i lepszy sprzęt, mógłbym dowiedzieć się więcej o tych stworach, które są jego dziełem – powiedział Jordan.

– Będzie nam musiało wystarczyć to, co już wiemy. Czas ucieka. Trzeba odnaleźć Pierwszego Anioła i złączyć go z Księżą. – Miał przed oczami słowa przepowiedni: Triada z proroctwa musi zanieść Księżę Pierwszemu Aniołowi, by ten ją pobłogosławił. Tylko w taki sposób można zapewnić ocalenie świata.

Nic poza tym się nie liczyło.

Erin miała posępną minę.

– Musimy zatem dowiedzieć się, gdzie Iskariota go ukrył i do czego chłopiec jest mu potrzebny.

– I dlaczego drań sprowadził go właśnie tutaj – dodał sierżant.

Skinęła głową.

– To musi być ważne – dodała.

Kiedy powrócili Rhun i Christian, ich ubrania wydawały się bardziej obcisłe. Zmieściły się pod nimi nowe pancerze z materiału odpornego na uządlenia ciem, których użycie zasugerował Jordan.

Bernard skinął ręką w kierunku drzwi.

– Wynająłem śmigłowiec, zabierze nas do miejsca, w którym Christian po raz ostatni zlokalizował hrabinę. Tam będziemy szukali dalszych wskazówek.

Poprowadził grupę do taksówki minivana i przejechali na sąsiednie lotnisko, na którym czekał śmigłowiec. Była to maszyna w niebiesko-pomarańczowych barwach z dziwnie wydłużonym nosem ze skośnymi szybami, za którymi znajdowała się obszerna kabina pasażerska.

Christian wysiadł z samochodu i gwizdnął.

– Nieźle cacko. AW-sto dziewięćdziesiąt trzy.

– Umiesz coś takiego pilotować? – zaciekał się sierżant.

– Siedziałem za sterami śmigłowców, kiedy ty biegales w krótkich spodenkach. – Sangwinista machnął ręką. – Wskakujcie do środka.

Erin wsiadła pierwsza i stanęła jak wryta na widok podłużnej czarnej skrzyni umocowanej za pomocą pasów między siedzeniami.

– Przystosowałem trumnę dla hrabiny Batory – wyjaśnił kardynał. – W razie gdybyśmy ją napotkali w czasie wyprawy.

– Przywieziemy ją z powrotem? – zdziwił się Jordan.

– Być może jest Uczoną Niewiastą, nic się w tej kwestii nie zmieniło – odparł Bernard.

Najwyraźniej nie zamierzał się narażać na najmniejsze ryzyko.

Rhun dotknął ręką skrzyni, jego mina wyrażała gniew. Kardynał dowiedział się od Christiana o tym, że Nadia rozplątała szyję Elżbiecie, którą Rhun nadal darzył głębokim uczuciem.

Bernardowi w żadnym razie nie wolno było o tym zapominać.

4.44

Rhun zapiął pasy bezpieczeństwa w swoim fotelu obok Erin, a Christian zasiadł na miejscu pilota. Zawył silnik i płyty rotora przyspieszyły obroty. Po chwili śmigłowiec wzbił się w powietrze i sunął w kierunku ciemnych wód Morza Śródziemnego.

Kiedy znaleźli się nad linią brzegową, pilot zawołał:

– W tym miejscu wlecieli nad morze! Straciłem sygnał hrabiny, kiedy znalazła się kilka kilometrów na zachód stąd!

Rhun spoglądał na ciemne fale. Światło księżyca malowało srebrem wierzchołki morskich bałwanów.

Lecieli w milczeniu przez kilka minut, lecz powierzchnia morza była całkowicie pusta. Ksiądz wyobraził sobie, jak Iskariota wyrzuca Elżbietę w ciemne odmęty i w ten sposób się jej pozbywa.

– Tutaj sygnał zniknął! – krzyknął Christian. Wprowadził maszynę w skręt i zaczął powoli krążyć nad wodą.

Wszyscy szukali wzrokiem szczątków na morzu, jakiegoś śladu, który mógłby wskazać kierunek, w którym oddalił się Iskariota z pozostałymi.

– Przydałaby się mapa z zaznaczonymi prądami morskimi – odezwał się Jordan. – Jeśli coś w tym miejscu poszło na dno, łódź, śmigłowiec albo mały

samolot, musielibyśmy się kierować zgodnie z przybrzeżnym prądem. Ale tymczasem proponuję lecieć dalej pierwotną trasą.

– Przyjąłem – odrzekł Christian, po czym wziął kurs na zachód.

Rhun nie przestawał czuwać, sokolim wzrokiem lustrował każdą falę.

Modlił się o nadzieję.

Modlił się za Elżbietę.

Morze Śródziemne

20 grudnia, 5.06 czasu miejscowego

Po godzinnej drzemce Judasz, przebrany, stał w komnacie sypialnej. Czuł się odświeżony i pełen nadziei.

Stojąc plecami do olbrzymiego łoża z czterema kolumnkami, wiązał krawat. Ubieranie się ułatwiał mu widok własnego odbicia w monumentalnym zegarze, który zajmował jedną ze ścian. Kryształowa tarcza miała dwuipółmetrową średnicę. Budował go i przebudowywał własnoręcznie w dwudziestu różnych siedzibach. Szklana pokrywa pozwalała obserwować wewnętrzny mechanizm złożony z przekładni i zębatek wykonanych z mosiądzu, miedzi i stali. Lubił patrzeć, jak tyka, odmierzając nieskończony bieg jego życia.

Wyciągnął rękę i starannym ruchem zatrzymał niepotrzebny już zegar. Życie Judasza niebawem dobiegnie kresu. Modlił się o to latami i wkrótce będzie mógł odpocząć.

Pukanie do drzwi zakłóciło tok jego myśli.

– Wejść! – krzyknął.

Odwrocił się i zobaczył Henrika, który wpełznął do sypialni Pierwszego Anioła. Do wschodu słońca zostało tylko parę godzin, Judasz kazał więc przyprowadzić chłopca przed swoje oblicze.

Tommy przecierał oczy, najwidoczniej wciąż zaspany.

– Czego ode mnie chcesz? – spytał.

– Pogawędzić, nic więcej.

Mina chłopca świadczyła o tym, że wolałby jeszcze pospać.

Gospodarz zaprowadził go do małego biurka. Miał na platformie wiertniczej przestronny gabinet, w którym urzędował, ale od czasu do czasu wolał zacisze sypialni.

– Ty i ja, Tommy, jesteśmy na tym świecie unikalni, jedyni w swoim rodzaju. – Wziął do ręki duży nóż do papieru i przebił sobie środek dłoni. Krew wypłynęła obfitym strumieniem, on jednak starł ją chusteczką. Niewielka rana

błyskawicznie się zasklepiła i niemal od razu zagoiła. – Jestem nieśmiertelny, ale nie tak jak hrabina. Tak jak ty. – Aby tego dowieść, ujął mocno rękę chłopca i przybliżył ją do swojej piersi. – Czujesz bicie serca?

Tommy potwierdził skinieniem głowy; był wyraźnie przestraszony, ale jednocześnie zaintrygowany.

– Podobnie jak ty urodziłem się jako normalny chłopiec. Nieśmiertelność przyniosła mi klątwa, ale chciałbym wiedzieć, co ty uczyniłeś, że zostałeś tak samo dotknięty.

Judasz słyszał pobieżną relację o jego losach, ale chciał poznać szczegóły u samego źródła.

Chłopiec zagryzł wargę i wahał się, lecz widać było, że bardzo pragnie zrozumieć swój stan.

– To się stało w Izraelu – zaczął i powoli opowiedział o wycieczce z rodzicami do Masady, o trzęsieniu ziemi i trującym gazie.

Nic z tego, co mówił, nie tłumaczyło, dlaczego nagle stał się nieśmiertelny.

– Powiedz mi więcej o tym, co się działo przed trzęsieniem ziemi – naciskał Judasz.

Na twarzy Tommy'ego odmalowało się poczucie winy.

– Wszedłem do pomieszczenia, do którego nie powinienem wchodzić... Wiedziałem, że nie wolno. Ale zauważyłem na podłodze białego gołębia i pomyślałem, że jest ranny. Chciałem go wynieść i wezwać pomoc.

Serce Judasza uderzyło mocniej.

– Zobaczyłeś gołębia ze złamanym skrzydłem?

– Skąd wiesz? – zdziwił się chłopiec, spoglądając na gospodarza zwężonymi oczami.

Ten zaś oparł się o biurko i zaczął wspominać:

– Dwa tysiące lat temu ja też ujrzałem takiego gołębia. Kiedy byłem chłopcem.

Nie przykładał wagi do tego zdarzenia, wcale by o nim nie myślał, gdyby nie to, że tego samego ranka pierwszy raz zobaczył Chrystusa. Miał wówczas czternaście lat i zaprzyjaźnił się z Jezusem.

Byłem w tym samym wieku co Tommy, uzmysłowił sobie nagle.

Przypomniał sobie tamten wczesny ranek z najdrobniejszymi szczegółami: ulice skrywał cień, bo słońce jeszcze nie wzeszło, cuchnęły ścieki w rowach, na niebie wciąż jeszcze świeciły gwiazdy.

– I ten gołąb, którego zobaczyłeś, też miał złamane skrzydło? – spytał chłopiec.

– Tak. – Judasz zapamiętał niezmierną biel piór gołębia w nocy na ciemnej ulicy, na której nic oprócz niego się nie poruszało. – Powłóczył skrzydełkiem po zabłoconych kamieniach. Wziął go w ręce.

Poczuł pióra gołębia ocierające się o jego dłonie. Ptak leżał spokojnie z łebkiem opartym o kciuk Judasza i patrzył na niego zielonym okiem.

– Próbowalesz mu pomóc? – chciał wiedzieć Tommy.

– Skręciłem mu kark.

Chłopiec, szeroko otwierając oczy, cofnął się o pół kroku.

– Tak po prostu?

– Były tam szczury, psy. Rozszarpałyby go na strzępy. Czekalby go marny koniec, ja go przed nim ocaliłem. To był akt miłosierdzia.

Mimo to Judasz pamiętał, że czuł się później wstrząśnięty. Pobiegł do świątyni szukać pociechy u ojca faryzeusza. Tam po raz pierwszy zobaczył Chrystusa, swojego rówieśnika, którego mądre wypowiedzi zaimponowały ojcu Judasza oraz wielu innym. Potem się zaprzyjaźnili i rzadko się rozstawali.

Aż do końca.

Teraz muszę to naprawić.

Chłopiec, gołąb... wszystko to były znaki potwierdzające, że obrał właściwą drogę.

Zaprowadził Tommy'ego do drzwi i oddał pod opiekę Henrika.

– Przygotuj go do wyjazdu.

Gdy został sam, wrócił do swojego biurka. Podniósł bryłkę kryształu, która dobrze leżała mu w dłoni. Była jego najcenniejszą własnością. Wyjął ją z sejfów i włożył tam z powrotem, zanim opuści siedzibę. Tego ranka była mu potrzebna, chciał poczuć w ręku jej dotyk i ciężar.

W bryłce tkwił zawieszony kruchy brązowy listek, który od stuleci chroniła warstwa szkła. Podniósł ją do oczu i odczytał słowa wyryte na zielonej niegdyś powierzchni ostrym kamiennym nożem.

Pomyślał o kobiecie, która te słowa napisała; wyobraził sobie jej świetlistą ciemną skórę, oczy promieniujące spokojnym blaskiem. Tak jak on rozumiała prawdy, których nikt inny nie był w stanie pojąć. Tak jak on przeżyła wiele żywotów, oglądała śmierć licznych przyjaciół. Samotna na Ziemi, była mu równa.

Arella.

Ten zwyczajny liść zakończył najlepsze stulecie w jego długim życiu, to, które z nią dzielił. Było to na Krecie, okna ich domu wychodziły na ocean. Nie znosiła

przebywać daleko od morza. Przeprowadzał się z nią z Wenecji do Aleksandrii, z Aleksandrii do Konstantynopola oraz innych miast leżących blisko morskich fal. Gotów był mieszkać gdziekolwiek, byleby widzieć ją szczęśliwą. Wówczas zapragnęła prostoty i spokoju.

Wybrał zatem Krete.

Teraz wyrżał przez okno sypialni na okryte ciemnością fale. Od tamtych dni on także nigdy nie oddalił się od morza. Jednakże wtedy patrzył na tę kobietę częściej niż na zawsze zmienną wodę. Owej nocy stała przy oknie, a przez otwarte okiennice zagłędała do środka noc.

Otworzył okno i odetchnął słonym powietrzem, przywołując w pamięci odgłosy i zapachy tamtego dawno minionego wieczoru.

Patrzył z łóżka na jej sylwetkę poruszającą się na tle rozgwieżdżonego nocnego nieba.

Sypialnię wypełniła woń oceanu i cichy szum fal na piasku. Gdzieś w pobliżu sowa odezwała się do drugiej sowy, tamta odpowiedziała. Tydzień wcześniej widział tę parę na drzewie oliwnym; rozmiarem nie przekraczały dwóch złożonych pięści.

– Słyszysz nasze sowy? – zapytała, odwracając do niego głowę.

Promienie księżycy odbijały się od jej hebanowych włosów, jeden niesforny lok opadł na twarz. Odgarnęła go dłonią; Judasz widział ten gest tysiące razy. Nagle ręka znieruchomiała i ciało Arelli zdrętwiało w sposób, który dobrze znał.

Zdławił przekleństwo i szybko wstał.

Podszedł i zobaczył, że z jej przepięknych oczu zionie pustka.

Znał także to spojrzenie.

Za chwilę z jej ust miały popłynąć prorocтва. Nienawidził tego stanu, gdyż znajdowała się wówczas poza jego zasięgiem, nawet poza swoim własnym. Porywały ją fale czasu, owe przyplawy i odpływy, którym nie sposób się oprzeć.

Spełniał jak zwykle jej rozkazy. Nabrał garść świeżych liści z trzciniowego kosza w rogu i wcisnął je do jej ciepłej dłoni. Zbierała je w tym celu codziennie, jakkolwiek stany profetyczne zdarzały się zaledwie raz lub dwa razy w roku.

Zamknął palce jej prawej dłoni na starożytnym kamiennym nożu.

A później zostawił ją samą.

W milczeniu trzymał straż przed drzwiami. Wizje trwały czasem minuty, a czasem godziny. Tak czy inaczej, nie wolno jej było przerywać.

Tej nocy na szczęście została oszczędzona.

Po upływie minuty doszła do siebie i przywołała go.

Kiedy wszedł do komnaty, leżała na łożu zwinięta w kłębek. Wziął ją w ramiona i pogłaskał po długich gęstych włosach. Przycisnęła twarz do jego piersi i załkała. Kołysał ją i czekał, aż burza minie. Wiedział, że nie trzeba pytać o źródło smutku. Z tą klątwą musiała się borykać sama.

Zazwyczaj liście, na których wypisywała proroctwa, leżały rozsypane na podłodze, on zaś zbierał je, kiedy spała, i spalał w ogniu.

Działo się tak zgodnie z jej życzeniem, prosiła go o to. Z jej daru nie wynikło nigdy nic dobrego, oznajmiła mu. Proroctwa to zaledwie cienie, nie ma w nich nic pewnego, lecz ich znajomość skłoniła niejednego, by usiłował je urzeczywistnić, często w najgorszy możliwy sposób.

Mimo to potajemnie odczytywał każdy liść przed spaleniem, notował wiele jej słów, a nawet rysunków, które nakreśliła, i gromadził w grubym skórzanym dzienniku do prowadzenia rachunków domowych. Nigdy do tej książki nie zaglądała, szczególnie finansowe jej nie zaprzętały.

Ufała mu.

Tej nocy, kiedy jej oddech wyrównał się we śnie, Judasz wysunął się z jej objęć i wstał, by podnieść z podłogi liść, który spoczął na krawędzi kominka.

Było na nim zaledwie jedno proroctwo.

Liść był miękki w jego dłoni. Do jego nosa wzniosł się zapach zieleni drzew. Zapisane nierówno zdania przemawiały do niego. Trzymając liść blisko ognia, odczytał treść.

Kiedy Jego słowa, zapisane krwią, wyjęte zostaną z kamiennego więzienia, ten, który zabrał Go z tego świata, spowoduje Jego powrót. Rozpocznie epokę ognia i przelewu krwi i okryje całunem ziemię i wszystkie jej stworzenia.

Z niedowierzaniem wiódł drżącym palcem po każdym wyrazie. Odczytywał je raz po raz, pragnąc, żeby ich znaczenie nie było tak przejrzyste. Wiedział już o tym, że Chrystus napisał Ewangelię własną krwią i uwięził ją w kamieniu. Judasz zanotował w ciągu stu lat wiele dotyczących książki proroctw, które zapisała Arella, ale nie uważał ich za ważne. Nigdy nie sądził, że proroctwa mogą dotyczyć jego. Dopóki nie przeczytał tego wersu: ...ten, który zabrał Go z tego świata...

Mógł się odnosić wyłącznie do tego, który zdradził Chrystusa.

Wszyscy inni, którzy przyczynili się do Jego śmierci, dawno obrócili się w proch, lecz on przetrwał. Został ocalony nie bez powodu.

Dla tego właśnie celu.

Słów było niewiele, lecz każde potwierdzało najgorsze obawy co do klątwy Judasza. Od chwili, w której Ewangelia zostanie odkopana spod ziemi, powinien dążyć do ponownego sprowadzenia Chrystusa. Aby to osiągnąć, musi spełnić swój obowiązek i zainicjować kres dni: epokę ognia i krwi.

Pościel się poruszyła i odwrócił głowę. Arella usiadła; w blasku kominka wyglądała równie pięknie, jak w każdym innym świetle.

Zobaczyła, co trzyma w palcach.

– Przeczytałeś to?

Odwrócił głowę, lecz czuł, że na niego patrzy.

– Czytałeś je wszystkie? – spytała.

Nie potrafił jej skłamać.

– Chciałem je zachować, na wypadek gdybyś zmieniła zdanie, żeby twój dar nie zaginął dla świata.

– Dar? To nie jest dar. I to ja postanowiłam, co z nimi robić, taki był mój wybór. Zaufałam ci, jedyne mu mężczyźnie na świecie. Wierzyłam, że to zrozumiesz.

– Myślałem, że ci służę.

– Jak? Kiedy? Zdradzałeś mnie przez sto lat.

W świetle płomieni błyszczały łzy na jej gładkim policzku. Przesunęła po nim wierzchem dłoni. Postępował wbrew jej wyraźnym życzeniom, za każdym razem, wielokrotnie, tyle razy... Widział w jej oczach, że nie znajdzie przebaczenia za to, co uczynił.

– Robiłem to dla ciebie – wyszeptał.

– Dla mnie? – odrzekła nagle twardszym głosem. – A nie z własnej ciekawości?

Nie miał odpowiedzi na to pytanie, zadał więc inne. Uniósł liść.

– Jak długo? Ile czasu upłynie, zanim spełni się ta przepowiednia?

– To tylko przepowiednia. – Twarz Arelli wyglądała jak czysta tablica, nie mógł z niej nic wyczytać. – Możliwy cień przyszłych zdarzeń.

– Ale ta się spełni – upierał się.

Znał zawartą w niej prawdę od chwili, gdy przeczytał słowa Arelli.

To on zdradził Jezusa.

Teraz musi zdradzić cały ludzki świat.

– Nie możesz tego wiedzieć. – Wstała i podeszła do niego. – Nie wolno ci popełnić tych strasznych czynów, kierując się tylko moimi słowami. Nic na tym świecie nie jest ustalone. Tak jak wszyscy ludzie, otrzymałeś od Boga wolną wolę.

– *Moja wola się nie liczy. Muszę odnaleźć Ewangelię Chrystusa. Muszę uruchomić ciąg zdarzeń.*

– *Przepowiedni niepodobna wymusić – oznajmiła głosem, w którym dał się słyszeć rzadki u niej gniew. – Musisz to wiedzieć pomimo swojej arogancji.*

Uniósł liść, jakby chciał go jej przeciwstawić.

– *Widzę to. I tyle wiem. Musimy spełnić to, do czego zostaliśmy stworzeni. Ja jestem zdrajcą. Ty jesteś prorokinią. Czyż nie rzuciłaś wyzwania Bogu, kiedy nie ujawniłaś proroctwa o zdradzie Lucyfera? Czy nie z tego powodu cię strącono? A teraz znów chcesz Mu rzucić wyzwanie?*

Patrzyła na niego wstrząśnięta. Miał świadomość, że wyraził na głos jej najgorszy lęk. Teraz zapragnął cofnąć swoje słowa.

W jej jasnych oczach błyszczały łzy. Zamrugwała, odwróciła się, podciągnęła kaptur tuniki tak, że zakrył jej twarz, a potem wybiegła z komnaty w gwiazdzistą noc.

Czekał na jej powrót, czekał, aż jej gniew przemienie, a wtedy on poprosi o wybaczenie. Jednakże wzeszło słońce, a ona nie wróciła i wiedział już, że nigdy nie powróci.

Teraz odetchnął głęboko nocnym powietrzem, przypominając sobie tamte chwile.

Po odejściu Arelli przeniósł się do Europy i poświęcił wiele lat, badając pogłoski o zaginionej Ewangelii Chrystusa. Dowiedział się o innej przepowiedni dotyczącej księgi, tej, która mówiła o świętej triadzie.

Jej również poszukiwał.

Pewnego jesiennego wieczoru, kierując się plotką krążącą wśród sangwinistów, znalazł hrabinę Batory: uczoną niewiastę poślubioną wielkiemu wojownikowi i kojarzoną z rycerzem Chrystusa.

Podobnie jak dostojnicy Kościoła uważał, że to właśnie oni mogą stanowić triadę z przepowiedni – i nagle ojciec Korza przemienił hrabinę w *strigo*. Później hrabina została ponoć stracona.

On jednak nadal był przekonany o wielkości rodu Batorych. Z każdego pokolenia wybierał jedną kobietę, którą szkolił i otaczał ochroną, uodporniając jej krew na jad *strigo*, aby nie można jej było przemienić tak, jak to się stało z jej antenatką.

Większość spośród nich dobrze mu służyła, ale wraz z Bathory Darabont linia rodowa dobiegła końca. Wtedy jednak pojawiła się znów na świecie Ewangelia Chrystusa, a z nią zapowiedź tego, co Judasz musiał zrobić.

Uniósł szklaną bryłkę i odczytał słowa.

Ten, który zabrał Go z tego świata, spowoduje Jego powrót. Rozpocznie epokę ognia i przelewu krwi i okryje całunem ziemię i wszystkie jej stworzenia.

Po długim oczekiwaniu ten czas wreszcie nadszedł.

Morze Śródziemne

20 grudnia, 5.22 czasu miejscowego

Tommy trząsł się od wiatru, który pędził przez otwartą przestrzeń platformy wiertniczej i odzierał go z resztek senności.

Na lądowisku stał srebrny śmigłowiec z przyciemnionymi szybami i okazała anteną radaru sterczącą na dziobie. Opływowe linie i wyjątkowe cechy maszyny świadczyły o tym, że jest kosztowna i została zbudowana na specjalne zamówienie. Stojący obok niej pilot miał na sobie czarny kombinezon, hełm i rękawice.

Spod odzieży ochronnej nie wyzierał ani skrawek ciała, pilot należał zapewne do tego samego gatunku, do którego należeli Elżbieta i Aleksiej.

Był *strigo*.

Obok niego stała Elżbieta. Mimo że do wschodu słońca pozostały dwie godziny, ona także była pieczołowicie odziana od stóp do głów. Miała na sobie wysokie kozaki, czarne spodnie, tunikę z długimi rękawami, rękawiczki oraz woal zasłaniający twarz. Była w nim szczelina na oczy, ale hrabina trzymała w dłoniach okulary przeciwsłoneczne. Świt już się zbliżał.

Iskariota machnął ręką w kierunku oczekującego śmigłowca.

– Wszyscy na pokład!

Nie mając innego wyboru, Tommy schylił się pod wirnikiem, który zaczął się obracać, i wspiął się do kabiny. Przenikał go lęk. Dokąd go zabierają? Pamiętał tyradę Iskarioty o przeznaczeniu i coś mu mówiło, że owo przeznaczenie mu się nie spodoba.

Zapiął pasy i zauważył, że Elżbieta ma kłopot z ich umocowaniem.

– Pomóc ci? – spytał.

– To bardziej skomplikowane niż zaprzęgnięcie pary koni – odparła, lecz po chwili sobie poradziła i siedziała obok chłopca.

Iskariota powiedział coś do pilota, a potem wsiadł do kabiny wraz z dwoma potężnie zbudowanymi ochroniarzami. Kiedy zamknął drzwi, w środku

zapanowała smolista ciemność. Przez okna nie wpadał ani jeden promień światła, Tommy nie widział nic przez szyby. Ucieszył się, gdy włączono sztuczne oświetlenie.

Elżbieta powoli zdjęła woal i okulary, a Iskariota podał każdemu masywne słuchawki bezprzewodowe.

Tommy założył je, a Elżbieta poszła za jego przykładem, obserwując każdy ruch chłopca.

Silnik zawył głośniejszy, maszyna szarpnęła i oderwała się od lądowiska. Okna były zasłonięte, więc chłopiec wyłącznie na podstawie reakcji żołądka oceniał, jak są wysoko, kiedy śmigłowiec wyrównał pułap i zaczął lecieć w kierunku lądu.

Pochylił się ku przodowi i próbował coś dojrzeć. Szyba czołowa także była jednolicie czarna. Skąd pilot wiedział, dokąd prowadzi maszynę?

Iskariota najwyraźniej dostrzegł jego zainteresowanie, bo w słuchawkach chłopca rozległ się głos:

– Na dziobie śmigłowca zamontowana jest kamera cyfrowa. Pokażę ci.

Wyciągnął rękę nad kolanami Tommy'ego i pstryknął przełącznik obok podglówka. Przed twarz chłopca spłynął z góry monitor. Zamigotał i ukazał się na nim widok oświetlonych blaskiem księżycy fali i czysty horyzont w oddali.

– Obok twojej prawej dłoni jest mały dżojstik. Możesz za jego pomocą sterować kamerą.

Tommy wypróbował go i obrócił kamerę o pełne trzysta sześćdziesiąt stopni. Fale gonily za falami. Widać było wodę i niebo. Migotliwe światła platformy wiertniczej robiły się coraz mniejsze. Kiedy skierował obiektyw ku przodowi, zauważył nisko nad powierzchnią morza drobniutkie iskierki światła. Zbliżały się.

Inny śmigłowiec.

Iskariota wyprostował się, a potem nachylił w stronę pilota.

– Kto to jest?

– Nie wiem – odparł tamten. – Przyjrzałem mu się przez noktowizor. Nie ma oznaczeń na kadłubie, ale wygląda na czarterowy. Może przewozi turystów.

– Przed wschodem słońca? – prychnął Iskariota. – Podejdź bliżej.

Śmigłowiec skręcił i zanurkował w kierunku nadlatującej maszyny. Znalazły się na kursie kolizyjnym.

Iskariota zepchnął dłoń Tommy'ego z dżojstika i zaczął nim manewrować. Coś przełączył i obraz zrobił się jaśniejszy, srebrzystoszary.

Noktowizja.

Nagle obraz się powiększył i skupił na przedniej szybie drugiego śmigłowca.

Tommy zobaczył twarz pilota; pamiętał ją z lodowego labiryntu.

Doznał szoku, ale zaraz po tym poczuł nadzieję. Za sterami drugiej maszyny siedział jeden z księży, którzy wydobyli go z lodu.

Odnaleźli mnie!

Nie wiedział, w jaki sposób, i wcale go to nie obchodziło.

Może zdołają mnie ocalić... nas ocalić.

Zerknął na Elżbietę, która także wpatrywała się w ekran. Uśmiechnęła się półgębkiem, jakby nie mogła się powstrzymać.

– Sangwiniści nas namierzili.

Policzki Iskarioty zaczerwieniły się ze złości.

– Zestrzelić – rozkazał gniewnym tonem.

W rogu ekranu pojawiła się żółta ikona z czterema pociskami.

Poniżej widniały dwa słowa:

OGIEŃ PIEKIELNY

Nie mogło wróżyć nic dobrego.

Tommy poczuł drżenie pod fotelem. Wyobraził sobie otwierający się luk z pociskiem.

Jeden z pocisków na ekranie, dotąd żółty, przybrał czerwony kolor.

Ooch...

5.35

Z twarzą przyciśniętą do szyby Erin patrzyła na śmigłowiec, który zanurkował ku ich maszynie. Już wcześniej dostrzegli go, jak wzbija się niczym maleńka jasna plamka z galaktyki światła, które znaczyły platformę wiertniczą na morzu w oddali. Wydawało się, że kieruje się w stronę brzegu daleko od ich kursu, lecz potem nagle skręcił. Bez wątplenia załoga chciała się przyjrzeć dokładniej drugiemu śmigłowcowi.

Jordan wysunął przypuszczenie, że może to być służba ochrony platformy. W tych czasach traktowano się nawzajem podejrzliwie.

Raptem nadlatujący z naprzeciwka śmigłowiec zanurkował w dół.

Ukazał się pod nim obłoczek dymu oraz błysk ognia.

– Pocisk! – krzyknął Christian.

Erin rzuciło do tyłu, kiedy sangwinista szarpnął drążkiem i skierował maszynę ostro w górę. Oprócz wycia silnika dał się słyszeć wizg, który przeszył nocne powietrze. Śmigłowiec przechylił się w prawo, a obok jego lewej płozy śmignęła dymna smuga.

Po sekundzie w morzu nastąpiła eksplozja i maszyną wstrząsnęła fala uderzeniowa. W niebo strzelił pióropusz wody i dymu.

Christian od razu zaczął pikować, usiłując wymanewrować przeciwnika, lecz ich wynajęty śmigłowiec był niczym gruba nieruchawa pszczoła w porównaniu ze zwinnym jak osa zabójcą, który siedział mu na ogonie.

Czarna powierzchnia oceanu sunęła mu naprzeciw.

Erin wciągnęła powietrze, sierżant trzymał ją mocno w objęciach.

Kilkanaście centymetrów nad powierzchnią najwyższych bałwanów śmigłowiec wreszcie wyrównał lot i pomknął szybko tuż nad wodą. Erin odwróciła głowę i zobaczyła, jak tamta maszyna bierze zakręt, nurkuje ku morzu, a potem wyrównuje pułap i pędzi za nimi.

Nie uda im się umknąć.

– Spróbuję dolecieć do platformy! – ryknął Christian. – Wykorzystam ją jako zasłonę.

– Zauważyłem trzy pociski w luku, kiedy nad nami przelatywali – odpowiedział mu Jordan.

Każdy mógł ich zestrzelić.

Christian zmagął się z drążkiem, jakby ten żył własnym życiem. Śmigłowiec leciał zygakiem nad wodą, zmierzając ku platformie. Z prawej strony przemknęła druga smuga i wybuchła w morzu. Fala dymu i wody przeleciała nad nimi.

Tamtym pozostały jeszcze dwie szanse...

Widać już było platformę wiertniczą, która wznosiła się z morza niczym roziskrzony światłami wieżowiec.

Erin pozwoliła sobie na chwilę nadziei.

Później dopadła ich natura.

Fala wyższa niż inne zawadziła o płozy, maszyna podskoczyła i zachybotwała się niczym akrobata kroczący po linie. Przez kilka sekund Erin miała nieprzyjemne poczucie, że śmigłowiec się przechyli i runie do morza. Potem wyrównał lot i wzniósł się nad fale.

Wydawała głębokie westchnienie.

– Trzymajcie się! – krzyknął Christian.

Gardło Erin się zacisnęło. Wiedziała, że wytracili za dużo prędkości i nie zdołają uniknąć trafienia następnym pociskiem. Spojrzała Jordanowi w oczy, podczas gdy sangwinista znów zniżył lot. Tym razem zdawało się, że celowo śmiga płozami po wodzie.

Pasy, którymi Erin była przypięta do fotela, nagle się napięły, gdy maszyna stanęła na dziobie.

Pocisk przeleciał pod uniesionym ogonem i eksplodował na powierzchni morza.

Z obu stron śmigłowca buchnęły płomienie i przesłoniły okna. Świat zakręcił się w oszałamiającym wirze dymu, ognia i wody. Maszyna opadła bokiem na wodę i do pociemniałej kabiny zaczął się sączyć dym.

Śmigłowiec zawisł przez chwilę nieruchomo.

A potem osunął się w toń.

5.37

Judasz przyglądał się uważnie kawałkom wraku i rozszerzającej się czarnej plamie na wodzie. Pilot zataczał powolne kręgi, szukając wzrokiem rozbitków.

– Panie? – zapytał.

Iskariota obliczał, czy ktoś mógł przetrwać trafienie. Wydawało się, że pocisk uderzył prosto w ogon śmigłowca. Nic nie zdołaloby przeżyć bezpośredniego ciosu o takiej mocy; nawet uparte ciała sangwinistów nie zdołałyby się zagoić po rozerwaniu na paski odłamkami metalu.

Poza tym, myślał, spoglądając na platynowy zegarek Rolex Yacht-Master, który nosił na nadgarstku, nie ma to już znaczenia.

Nawet jeśli ktoś przeżył, i tak nie może go już powstrzymać. Do świtu zostały niespełna dwie godziny. Jeśli sangwiniści jakimś cudem przetrwali atak, nie

zdolają go teraz dogonić.

A jednak...

– Wezwij załogę platformy – rozkazał. – Niech przeczesa wodę.

– Tak jest, panie.

– Kurs na wybrzeże.

Judasz spojrział na chłopca, którego twarz przybrała barwę popiołu.

Nikt cię już teraz nie ocali, pomyślał.

Morze Śródziemne

20 grudnia, 5.38 czasu miejscowego

Ciałem Erin wstrząsał potworny kaszel.

Czuła smak krwi i woń dymu.

Jordan trzymał ją mocno za rękę.

Żyli, ale jak długo jeszcze?

Woda zalała szyby ze wszystkich stron, a śmigłowiec spadał coraz głębiej w zimny odmęt. Paliły się czerwone światła alarmowe, wewnątrz kabiny spowily odcienie purpury. Woda przeciekała do środka i powoli zapełniała dolną połowę.

Rhun zamachał rękami i razem z Bernardem rzucił się do przodu. Dotarli do Christiana, który zwisał bezwładnie skrępowany pasami. Robili wszystko, żeby go uwolnić.

Idąc za ich przykładem, Erin poszukała przycisku szybkiego zwalniania pasów i na szczęście zadziałała. Sierżant zrobił to samo, po czym włączył latarkę i oparł dłoń o szybę.

Jak głęboko opadli?

Woda za oknem była czarna jak nafta.

Jordan odsunął się, żeby zrobić miejsce, kiedy Rhun, przyskając wodą, znalazł się obok z Christianem w ramionach. Bernard trzymał nogi pilota. Cała twarz młodego sangwinisty była zalana krwią.

Czy jeszcze żył?

Sierżant wskazał na okno.

– Musimy się stąd wyrwać. Rhunie, masz siłę, żeby wybić nogami szybę?

– Myślę, że tak.

– Nie! – zawołała Erin. – Nie wiemy, jak głęboko jesteśmy. Ciśnienie może nas zmiażdżyć. A poza tym, nawet jeśli się wydostaniemy, wątpię, czy na jednym oddechu dopłyniemy do powierzchni.

Jordan spojrzał na nią, marszcząc czoło.

– Musimy podjąć próbę. Nie robiąc niczego, na pewno utoniemy.

Rhun skinął głową.

– Jordan ma rację. Zrobię co w mojej mocy, żeby was oboje osłonić i wynieść na powierzchnię. Bernard sam może się zająć Christianem.

Erin objęła się rękami na wysokości brzucha i patrzyła na podnoszącą się w kabynie wodę, która już sięgała jej do ud. Wiedziała, że tamci się mylą. Rozejrzała się.

– Zaczekajcie! Jest inny sposób!

Sierżant spojrział na nią.

– Nie spodoba się wam – uprzedziła.

– Jaki?

Wskazała związaną pasami długą skrzynię, którą Bernard zabrał z myślą o hrabinie.

– Może nam posłużyć jako kapsuła ratunkowa – oznajmiła.

Jordan zacisnął zęby; najwyraźniej nie zachwycił go pomysł, by nadzieję na przeżycie pokładać w trumnie. Mimo to skinął głową, przyznając Erin rację.

Rhun szybkim ruchem zerwał pasy wiążące olbrzymią plastikową skrzynię do podłogi, ta od razu się wynurzyła. Znaczyło to, że jest pławna.

– Powinna nas ochronić przed ciśnieniem – rzuciła Erin. – I prawdopodobnie jest w niej dość powietrza, żeby starczyło nam do powierzchni.

– Coś za dużo tych wstępnych założeń – mruknął sierżant.

Innej możliwości jednak nie było.

Ksiądz dzwignął wieko, a Jordan wskoczył pierwszy do środka i ułożył się na wznak. Uniósł ręce, jakby zapraszał Erin do łóżka. Gdy weszła do trumny, objął ją mocno.

Rhun zamknął wieko skrzyni i otoczyła ich ciemność. Erin usłyszała odgłos zatraskiwania zamków. W mroku skupiła myśli na biciu serca Jordana, czuła jego uderzenia o ściankę klatki piersiowej. Ciepło jego ciała przenikało przez ubranie nasiąknięte zimną wodą. Drgnęła, gdy wyczuła, że jego lewe ramię jest gorętsze od prawego.

Nie zdążyła się nad tym zastanowić, bo Rhun zadudnił z góry w trumnę; zapewne ostrzegwał ich, żeby się przygotowali.

Sierżant przygarnął do piersi głowę Erin.

– To będzie ostra jazda.

Usłyszała głośny trzask i mocne łupnięcie wody o ścianę trumny, która przesunęła się aż do boku kabiny. Erin przetoczyła się i odbiła od ścianki. Było

tak, jakby olbrzymi pies trzymał trumnę w pysku i potrząsał nią niczym patykiem. Zacisnęła zęby, żeby nie krzyknąć.

Jordan objął ją jeszcze mocniej.

– Trzymam cię – rzekł jej do ucha.

Ale kto trzyma nas?

5.42

Rhun, zmagając się z naporem wody, próbował przeciągnąć trumnę przez rozbitą szybę. Niestety, skrzynia się zaklinowała. Zewnętrzna rączka, z której korzystają zwykle niosący trumnę, zahaczyła o wygięty kawałek metalu.

Zerknąwszy na bok, zobaczył Bernarda, który machając nogami, sunął w ciemnej wodzie ku górze. Trzymał w ramionach bezwładne ciało Christiana, do pasa zaś przywiązał sobie liną zamkniętą pakę z pontonem ratunkowym.

Książd tymczasem stawiał stopy to po jednej, to po drugiej stronie trumny, opierając je o ściany spadającego coraz głębiej wraku śmigłowca.

W końcu, wkładając w to całą siłę nóg i pleców, udało mu się odgiąć oporny fragment metalu. Ale oderwała się rączka trumny. Przeraził się, że pudło może pęknąć, a woda wedrze się do środka i utopi Erin i Jordana.

Słuchał przez chwilę bicia duetu ich przełęcznionych serc.

Nie może ich zawieść.

Dźwignął skrzynię raz jeszcze, sięgając do wspomnień dawnych kłesk. Korzystał z nich jak z rezerwuaru paliwa i ani myślał ich powtórzyć.

Wreszcie trumna drgnęła uwolniona. Stało się to tak nagle, że wysunęła się sangwiniście z rąk.

Przewrócił się w wodzie na plecy i zobaczył, że trumna zaczyna sunąć wolno do góry. Zbyt wolno. Odepchnął się nogami i rękami i znalazł się pod nią. Popychał ją od spodu coraz wyżej, ku nikłemu blaskowi dalekiego księżyca.

Wydawało się, że powierzchnia wisi niemożliwie daleko, widział ją tylko dzięki temu, że jego wzrok był nadnaturalnie bystry. Zdawał sobie sprawę, że w trumnie zostało niewiele powietrza i że na dodatek jest ono zanieczyszczone dymem z kabiny.

Trzeba się spieszyć.

Przez cały czas słuchał pulsów Erin i Jordana, które różniły się od siebie, ale jakoś ze sobą harmonizowały. Modlił się, żeby ten cichy duet dotrwał aż do powierzchni.

5.45

Jordan poczuł, że ich kapsuła ratunkowa uderza o falę. Ruch ku górze raptem się skończył i żołądek sierżanta dostosował się do kołysania morza. Po chwili Jordan usłyszał, że zamki puszczaają, i nagle wieko się otworzyło.

Unosili się na powierzchni, a on zaczerpnął głęboko w płuca czystego słonego powietrza, z przyjemnością czując na sobie ciężar ciała drżącej Erin. Pogłaskał ją dłonią po plecach, żeby odpędzić jej lęk. Czuł, jak walczyła ze strachem, kiedy skrzynia sunęła do góry.

Rhun chwycił ręką krawędź trumny i wysunął głowę.

– Wszystko w porządku?

Sierżant skinął głową.

– Dzięki za podwózkę.

Erin zaśmiała się cicho, bardziej z szalonej ulgi niż z jego marnego żarciku. Tak czy owak, był to najmilszy dźwięk, jaki Jordan od dawna usłyszał. Oparła na nim rękę i wyprostowała się.

Ksiądz wskazał ręką w lewo.

– Bernard nadmuchał ponton. Dopchnę was tam.

Ciemna głowa Rhuna podskakiwała niczym łeb foki, kiedy pchał przed sobą trumnę w kierunku jasnożółtej płachty kręcącej się na wodzie. Kardynał położył na wierzchu Christiana, który wyglądał jak czarna plama rozpostarta na żółtej.

Sierżant zaniepokoił się o swojego nowego przyjaciela.

Poległo już zbyt wielu sangwinistów.

Spojrzał w stronę horyzontu, lecz drugi śmigłowiec zniknął.

Mimo to nie byli na morzu sami.

Słysząc było hałaśliwy szum silnika. Jordan spojrzał nad pontonem i zobaczył, że w szybkim tempie zbliża się jakieś podskakujące na wodzie światło. Była to łódź typu Zodiac. Oczywiście nadpływała od widocznej w oddali platformy wiertniczej.

Właśnie stamtąd wystartował śmigłowiec, który ich zaatakował.

Niedobrze.

– Rhunie! – zawołał, wiedząc, że ksiądz nie może widzieć płynącej łodzi. – Mamy towarzystwo na godzinie dwunastej!

Jeśli ktoś się łudził, że przybysze są przyjaźnie nastawieni, to w tej chwili wątpliwości zostały rozwiane: zaterkotał karabin i pociski przeszły ciemną wodę. Mierzono do pokaźnego celu, jaki stanowił ponton ratunkowy.

Bernard zanurkował w bok i zniknął, zostawiając Christiana.

Czyżby to znaczyło, że młody sangwinista już nie żył?

– Zostawmy ich Bernardowi. Ale musimy zredukować wielkość celu.

Bez słowa ostrzeżenia uniósł jeden koniec trumny i Erin z Jordanem wpadli do zimnego morza. Sierżant rozumiał, że było to konieczne, lecz sposób przeprowadzenia tego manewru go nie zachwyił. Wynurzył się na powierzchnię, plując obficie wodą. Zbliżył się szybko do Erin, wiedząc, że nie jest najlepszą pływaczką i nie przepada za wodą.

Ona jednak bez trudu wypłynęła; w jej oczach widać było lęk, ale i determinację.

– Płyńcie do pontonu – nakazał im Rhun. – Starajcie się, żeby oddzielał was od tych, którzy się zbliżają – dodał i popłynął pierwszy.

Wystarczyło kilka machnięć rękami i cała trójka znalazła się obok pontonu, lecz nikt nie odważył się do niego wsiąść. Jordan zerknął nad krawędzią i zobaczył, że zodiak zmniejszył odległość i zwolnił. Zauważył trzech ludzi: sternika oraz dwóch strzelców.

Ksiądz i dwójka Amerykanów byli jak kaczki w wodzie.

Tyle że napastnicy nie wiedzieli o tym, że w morzu czyha rekin.

Kardynał wynurzył się nagle u ich sterburty, w świetle księżyca błysnęła długa srebrna klinga i przecięła bok pontonu na całej długości. Zodiak przekreślił się w bok i silnik zacharczał; stojący strzelcy stracili równowagę. Z wody błyskawicznie wysunęła się ręka, chwyciła jednego za kostkę i wyciągnęła z łodzi. Poleciał wysoko, lecz zanim spadł, Bernard straszliwym ciosem przeciął mu nogę w kolanie.

Drugi puścił serię, lecz sangwinisty już tam nie było.

Ponton przewalał się na fali, a drugi strzelec obracał się wokół osi, obserwując wodę dookoła. Nagle brezentowe dno łodzi rozwarło się pod nim, coś szarpnęło go w dół i zniknęło.

Ostatni z załogi, sternik, wyciskał z silnika pełną moc i zawrócił zodiaca, żeby uciec na platformę. Jednakże Bernard wyskoczył z morza niczym delfin, który popisuje się wyuczoną sztuczką. Wylądował za sternikiem, chwycił go za włosy i rozplatał mu szyję, prawie odcinając głowę.

Jedną ręką zepchnął zwłoki do wody.

Jordan usiłował połączyć w myślach pobożnego purpurata z zaciekłym rzeźnikiem.

– Płyńcie do pontonu! – krzyknął Rhun tak głośno, by usłyszał go kardynał. – Prędko, ja wezmę Christiana i was dogonię. – Po chwili był już na tratwie ratunkowej.

Erin i sierżant popłynęli ku zodiacowi. Jordan wiedział, że zodiaki są wytrzymałe i mogą płynąć z jedną komorą wypełnioną powietrzem. Kiedy do niego dotarli, Rhun zdążył już przyholować tam za ramię Christiana. Bernard pomógł Amerykanom wsiąść na rozkołysany ponton, po czym razem z Jordanem umieścili na nim Christiana.

– Co teraz? – zapytał sierżant, kiedy Erin i kardynał zajęli się młodym sangwinistą.

– Umiesz tym sterować? – chciał wiedzieć Rhun.

– To nic trudnego.

Ksiądz wskazał dłonią platformę.

– Jesteśmy za daleko od brzegu, ten mały silnik nie doniesie nas do lądu. Musimy zdobyć inny środek transportu, żeby się tam dostać.

Jordan popatrzył na strzelistą konstrukcję. Całe uzbrojenie drużyny poszło na dno, a oni musieli wejść do gniazda żmij.

Chwycił za ster. Erin pochylała się nad Christianem.

– Czy on jeszcze żyje? – spytała.

– Trudno stwierdzić – przyznał Rhun, który klęczał między nią i kardynałem.

Oczy Christiana były zamknięte, jego czoło przecinała głęboka rana. Jordan wiedział, że próżno u niego sprawdzać oddech lub tętno. Sangwiniści nie mieli ani jednego, ani drugiego.

Kardynał położył srebrny krzyż na czole Christiana, jakby przygotowywał się do odprawienia ostatniego sakramentu. Po chwili uniósł go, odsłaniając ślad po oparzeniu w kształcie krzyża na skórze młodszego brata w zakonie.

– Żyje – oznajmił.

– Kiedy ginimy w służbie Kościoła, zostajemy oczyszczeni – wyjaśnił z ulgą w głosie Rhun. – Poświęcone srebro przestaje nas palić.

Erin ujęła dłoń Christiana.

– Ale trzeba mu zapewnić opiekę medyczną – dodał ostrzegawczym tonem ksiądz i spojrzał na Jordana, który zapalał silnik. – Jego życie wciąż się waży.

Sierżant skierował łódź ku platformie.

– W takim razie złożmy wizytę sąsiadom.

Morze Śródziemne

20 grudnia, 6.02 czasu miejscowego

Łódź sunęła w kierunku oświetlonej platformy wiertniczej, a Rhun patrzył na bladą twarz rannego brata. Christian był młody i stosunkowo krótko należał do zakonu, co czyniło go pochopnym i zuchwałym, lecz jego wierze i odwadze ksiądz nie mógł niczego zarzucić. Gniewnie zacisnął dłoń w pięść; nie chciał utracić drugiego towarzysza tuż po śmierci Nadii.

Kardynał wlewał do zwiotczałych ust Christiana wino ze skórzanej flaszki, lecz większość ściekała po zapadniętych policzkach. Osłabiony sangwinista niczego nie mógł połknąć.

– A gdybyśmy mu dali trochę mojej krwi? – zaproponowała Erin. – Postąpiliśmy tak z hrabiną. Czy to nie przywróciłoby go do życia?

– Rozważymy to tylko w ostateczności – odparł cicho Bernard.

Ta odpowiedź jej nie zadowoliła.

– Smak krwi może u tak młodego sangwinisty spowodować wyzwolenie wewnętrznej bestii – szepnął do niej Rhun. – Nie odważymy się na to, zwłaszcza tutaj, gdzie tak trudno byłoby go okiełznać. Zobaczymy, co uda się znaleźć na platformie.

– Z pewnością natrafimy tam na wrogów. – Kardynał wskazał dłonią flaszkę, którą ksiądz miał przypasaną do uda. – My także powinniśmy się napić, odbudować siły.

Rhun wiedział, że Bernard ma rację, ale nie chciał odbywać pokuty w obecności innych. Był świadom, że często doprowadza go ona do łez i wpędza w zagubienie, a nie chciał okazywać bezradności.

Mimo to zdawał sobie sprawę, że to konieczne.

Odpiął poświęconą flaszkę. Bernard uniósł swoją i bez zakłopotania pociągnął długi łyk. Wydawało się, że zawarł pokój ze swoimi grzechami. Przyjmował karę i już po chwili był zawsze spokojny.

Rhun, unosząc flaszkę do warg i biorąc duży haust wina, modlił się o to samo.

Leży na wznak pośrodku cmentarza na grobie siostry. Bestia siedzi na nim okrakiem, ich kończyny są splątane niczym ręce i nogi kochanków. Jego usta wypełnia krew potwora.

Przybył tej nocy na mogiłę siostry, żeby opłakiwać jej odejście, i padł ofiarą bestii odzianej w wytworne płudry i skórzany kaftan z ćwiekami. Kły wbiły się w gardło Rhuna, jego krew popłynęła do złaknionych ust tamtego. Napastnik nie zabił go jednak, lecz podsunął mu rozcięty nadgarstek, z którego popłynęła czarna posoka.

Rhun opierał się aż do chwili, gdy palące krople zimnej śliskiej krwi spadły palącymi kroplami na jego język.

Napłynęła fala rozkoszy, a wraz z nią głód.

Pił obficie z karmazynowego źródła, wiedząc, że to grzech, wiedząc, że przyjemność pulsująca w każdym członku jego ciała ściągnie na niego wiekiście kłótnię. A mimo to nie mógł przestać. Pragnął pozostać w objęciach tamtego mężczyzny na zawsze, tonąc w ekstazie przy każdym ognistym hańsieniu.

Nagle jego głowa uderzyła boleśnie o kamień nagrobny. Bestia oderwała się od Rhuna. Jęknął i wyciągnął ręce, pragnąc więcej krwi.

Czterej księża odciągali potwora od zbolętego ciała Rhuna. Srebrne pektorały lśniły w chłodnym blasku księżycy.

– Zmykaj! – krzyknęła bestia.

Ale jak można było porzucić źródło rozkoszy i krwi?

Leżał dalek, wyciągając do niego ręce.

Srebrne ostrze śmignęło pod gardłem bestii i z rany trysnęła ciemna krew. Zbrukała wykwintną białą koszulę i skórzany kaftan.

– Nie! – zawołał Rhun, próbując wstać.

Księża rzucili ciało tamtego na ziemię. Usłyszał, jak z głuchym łoskotem pada na rozrzucone liście i, nie wiadomo skąd, wiedział, że mężczyzna odszedł na wieki. A wraz z nim odeszła rozkosz. Do oczu napłynęły mu łzy.

Posadzono go i wykręcono ręce do tyłu. Rhun wyrwał się zaciekle jak osaczony ryś, lecz obezwładnili go z nieubłaganą siłą, z którą nie mógł się mierzyć.

Zwijał się, usiłując dosięgnąć zębami ich szyi.

Ciało łaknęło krwi, jakiegokolwiek krwi.

Bez słowa unieśli go w noc. I chociaż zachowywali milczenie, Rhun słyszał tyle, ile jeszcze nigdy dotąd w swoim życiu. Wsłuchiwał się w szelest liści trzeszczących pod ich stopami, cichy szmer skrzydeł przelatującej sowy, chyże smyrgnięcie myszy do kryjówek. Usiłował ogarnąć myślą to zjawisko. Wychwycił nawet cichy puls

małych stworzeń: szybkie i trwożne bicie serca myszy, wolniejsze i pełne determinacji tętno sowy.

Jednakże kiedy skierował uwagę na otaczających go księży, nie usłyszał nic.

Tylko przerażającą ciszę.

Czyżby pozbawiono go Bożej łaski i nie mógł słyszeć świętego pulsu, a jedynie bicie serc nieobdarzonych duszą polnych bydłąt?

Zrozpaczony zwiotczał w rękach księży. Jego wargi wypowiadały desperackie słowa modlitwy. Mimo to przez cały czas pragnął rozedrzeć gardła księży i skąpać twarz w ich osoco. Modlitwa nie koła żądzę krwi. Jego zęby szczękały od pożądania.

Pragnienie paliło go mocniej niż wszystko, co dotąd znał, dotkliwiej niż miłość do rodziny, do Boga nawet.

Księża zataszczyli go do klasztoru, z którego tak niedawno wyszedł jako niewinny kleryk mający złożyć święte śluby. Postawili go przed gołą jasną ścianą, która zamieniła się w drzwi. Spędził w tym miejscu całe lata i nie wiedział o ich istnieniu.

Tak mało wiedział o wszystkim.

Wnieśli go pod ziemię do miejsca, w którym siedział przy sekreterze ktoś znajomy z gęsim piórem w dłoni: był to ojciec Bernard, jego mistrz i doradca we wszelkich sprawach. Wyglądało na to, że terminowanie Rhuna jeszcze się nie zakończyło.

– Przynieśliśmy go do ciebie, ojcze – odezwał się ksiądz trzymający prawą rękę Rhuna. – Powalono go na cmentarzu, ale nie zakosztował innej krwi.

– Zostawcie go ze mną.

– Jest w niebezpiecznym stanie – zaoponował kapłan.

– Znam go równie dobrze jak ty. – Bernard wstał. – Zostawcie nas.

– Jak sobie życzysz. – Puściwszy rękę Rhuna, który opadł na kamienną posadzkę, ksiądz wyszedł wraz z pozostałymi.

Leżał tam przez dłuższą chwilę, wdychając zapach kamienia, pleśni i starej trzciny.

Bernard milczał.

Rhun zakrył twarz, osłaniając ją przed swoim mistrzem. Miłował go bardziej niż własnego ojca. Bernard roztaczał przed nim mądrość, dobroć i wiarę. Był człowiekiem, jakim Rhun zawsze pragnął zostać.

W tej chwili jednak wiedział tylko tyle, że musi ukończyć pragnienie albo walcząc o to, zginąć. Jednym susem pokonał dzielącą ich odległość i obaj upadli na podłogę.

Bernard znalazł się pod Rhunem, jego ciało było dziwnie zimne.

Rhun rzucił się ku jego szyi, lecz ofiara wykonała niezmiernie szybki manewr, wymknęła się spod niego i stanęła obok. Jak to możliwe, by poruszać się z taką szybkością?

– Ostrożnie, mój synu – rzekł Bernard spokojnym głębokim głosem. – Twoja wiara to najcenniejszy dar.

Z gardła Rhuna wydobył się syk. Wiara nie miała teraz żadnego znaczenia. Liczyła się jedynie krew.

Skoczył ponownie.

Bernard chwycił go i przygwoździł do posadzki. Rhun się szarpał, lecz starszy mężczyzna trzymał go mocno na kamiennych płytach. Był o wiele silniejszy od niego, od bestii, która go przemieniła, a nawet od kapłanów, którzy go przynieśli.

Ojciec Bernard okazał się twardy jak gład.

Czy ta siła jest dowodem potęgi Boga wobec zła kryjącego się w nim, Rhunie?

Jego ciało buntowało się wściekle przeciwko takim myślom. Przez całą długą noc toczył bój z Bernardem, nie chciał słuchać, pragnął tylko napić się jego drogocennej krwi.

Ale tamten ani myślał ulegać.

W końcu ciało Rhuna osłabło, lecz nie z wyczerpania.

– Czujesz zbliżający się brzask – wyjaśnił Bernard, przygniatając go do podłogi. – Jeśli nie otworzysz się na miłość Chrystusa, będziesz zawsze słabł z nadejściem ranka i gdy padnie na ciebie czyste światło słońca, szczeźniesz.

Narastające od środka wielkie znużenie owładnęło członki Rhuna.

– Musisz mnie wysłuchać, synu. Być może postrzegasz swój nowy stan jako klątwę, ale jest on dla ciebie błogosławieństwem. Dla ciebie i dla świata.

Rhun prychnął pogardliwie.

– Stałem się bestią nieczystą, łaknę jedynie zła. To żadne błogosławieństwo.

– Możesz stać się czymś więcej.

W głosie Bernarda słychać było ton przekonania.

– Nie pragnę niczego bardziej, niż napić się twoją krwią, zabić cię – ostrzegł Rhun, mimo że siły opuszczały go do reszty. Z trudem unosił głowę.

– Wiem, jak się czujesz, synu mój.

Bernard zwolnił uścisk i Rhun osunął się na posadzkę.

Na czworakach niczym pies mamrotał do kamieni:

– Nie możesz znać chuci, którą w sobie mam. Jesteś księdzem, zło nie mieści się w twoim pojęciu.

Bernard pokręcił głową i Rhun spojrział na niego. Białe włosy zaświeciły się w blasku gasnącej świecy.

– Jestem taki jak ty.

Rhun, nie mogąc uwierzyć w te słowa, zamknął oczy. Był strudzony, bardzo strudzony.

Bernard potrząsał nim, aż znów uniósł powieki. Stary ksiądz przybliżył twarz Rhuna do swojej, jakby chciał go ucałować. Rozchylił zapraszająco wargi, lecz ukazały się między nimi ostre kły.

Rhun wpatrywał się w swojego mentora, mężczyznę, którego znał od lat, lecz nie miał przed sobą człowieka, tylko bestię.

– Trawił mnie taki sam głód, jaki trawi ciebie, synu. – Głęboki głos Bernarda uspokajał go. – Folgowałem swoim nieczystym pragnieniom.

Rhun usilnie starał się pojąć jego słowa.

Ojciec Bernard był szlachetny, niósł pociechę chorym i konającym. Żywym przynosił nadzieję. Bez niego większość księży w klasztorze nie odnalazłaby drogi do Boga.

– Istnieje dla ciebie ścieżka – ciągnął Bernard. – Najtrudniejsza, jaką może kroczyć kapłan. Możemy czynić dobro, możemy służyć Kościołowi w sposób, który jest dla innych niedostępny. Bóg nas nie porzucił. My także możemy żyć w promieniach Jego łaski.

Przy tych słowach Rhun zaczął spadać w głęboką studnię snu. Pozwolił, by nadzieja wzięła górę nad żądzą krwi i odstąpiła możliwość zbawienia.

Rhun wybudził się ze swojej pokuty i zobaczył pochylonego nad sobą kardynała. Brązowe oczy o głębokim odcieniu spoglądały na niego; jarzyła się w nich ta sama co kiedyś iskra miłości i zatroskania.

Wtedy gdy Bernard go ocalił.

Teraz Rhun znał już koszmar, który nastąpił po tamtym akcie łaski. Stanął mu przed oczami wzrok Elżbiety, jej chytry uśmieszek, długi szlak śmierci i cierpienia, który za sobą zostawiła.

Być może świat miałby się lepiej, gdyby Bernard dał mu wtedy umrzeć.

Okolice Neapolu, Włochy

20 grudnia, 6.07 czasu miejscowego

Elżbieta trzymała Tommy'ego i czuła, że od czasu do czasu wstrząsają nim konwulsje; zapewne przypominał sobie ogień i wybuchy. Nigdy nie widziała takiej bitwy: przeciwnicy latali niczym jastrzębie, dym wzbijał się z dziwnych dział w kadłubach, rozlegały się grzmoty. Starcie ją podnieciło i zdumiało, ale chłopiec był przerażony.

Oparł się o jej ramię, szukając pocieszenia.

Tamta maszyna eksplodowała i zatoneła niczym podziurawiony okręt. Elżbieta wyobraziła sobie ciało Rhuna poszarpane na strzępy i o dziwo nie ucieszyło jej to, lecz rozczarowało.

Powinien był zginąć z moich rąk, pomyślała.

Nie mogła również pozbyć się wrażenia pustki po stracie. Wiedziała, że nie jest to żal, w każdym razie nie tylko żal. Świat bez niego stał się trochę bardziej jałowy. Rhun od zawsze wypełniał jej życie, nawet wtedy, gdy spotykali się w zamku, zanim została przemieniona: jego częste odwiedziny, długie pogawędki, przeciągające się chwile nabrzmiałej ciszy. Po tamtej krwawej nocy dalej określał charakter jej istnienia, właściwie stworzył ją od nowa. I od tej pory prześladował ją jego cień – nawet teraz, we współczesnym świecie.

I już go nie było.

– Jesteśmy prawie na miejscu – oznajmił Iskariota, machając ręką nad ekranem.

Elżbieta zobaczyła na nim ciemną linię wybrzeża usianą łunami światła. Dalej na wschodzie niebo jaśniało, zapowiadając nadejście poranka. Ona także go czuła, jej ciało zaczęło ciężyc, ruchy stawały się powolne.

Maszyna nagle skręciła, oddalając się od mgławicy światła – od Neapolu. Pomknęła wzdłuż zacienionego brzegu, nad którym górowało wysokie wzgórze. U jego podstawy biegł wąski pas piaszczystej plaży. Zerwany wierzchołek góry wskazywał, że jest to jeden z wielu starych wulkanów rozsianych w tej części

południa Włoch. Jednakże jego zbocza dawno porósł gęsty las, w którym kryły się głębokie jeziora.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał Tommy, odsuwając się od Elżbiety.

– W Kume – odpowiedziała, spoglądając nad jego głową na Iskariotę.

– Złożymy wizytę staremu przyjacielowi – dodał ten tajemniczym tonem.

Hrabina wolałaby nie znać osoby, którą on uważał za przyjaciela.

Maszyna przeleciała nisko nad piaszczystą plażą, wzbijając jasny tuman.

Wylądowali w samym jego środku.

Poczuła, że chłopiec, który znowu się do niej przytulił, drętwieje. Zapewne domyślał się, że jest już blisko swego przeznaczenia, i lękał się go. Pamiętała instrukcję, której udzielił jej Iskariota: powiedział, że ma uspokajać Tommy'ego, być jego niańką.

Objęła chłopca mocniej nie z obowiązku, lecz dlatego, że potrzebował takiej pociechy.

Maszyna dotknęła ziemi. Piach osiadł i zobaczyli, że z jednej strony rozpościera się morze, a z drugiej pnie się strome zbocze góry.

Gdy Iskariota otworzył drzwi po swojej stronie, do kabiny wpadł zapach słonej wody i spalin.

Wszyscy wysiedli.

Kiedy Elżbieta poczuła piasek pod stopami, jej wyostrzony węch uchwycił inną woń.

Powiew siarki.

Stała twarzą do ściany prawiecznego wulkanu. Wiedziała, co kryje się głęboko pod nim, czego strzeże starożytna sybilla.

Była to brama Hadesu.

Tommy stał obok niej i tępym wzrokiem spoglądał na ciemne morze, zapewne przypominając sobie śmierć tych, którzy lecieli na pokładzie śmigłowca, i usiłując odgadnąć, co go czeka. Ujęła jego rękę i uściśnęła ją krzepiąco. Będzie grała swoją rolę – tak jak zażyczył sobie Iskariota – jednocześnie wypatrując okazji do ucieczki.

Popatrzyła na wodne pustkowie i znów odczuła ogrom straty, jaka ją dotknęła. Utraciła nie tylko Rhuna. Wyobraziła sobie swoją posiadłość, dzieci, rodzinę. Wszystko to nie istniało.

Jestem samotna w tym świecie.

Tommy oparł się o nią, a ona mocno go ścisnęła. Zerknął na nią i w jego oczach odbił się blask księżyca. Był w nich strach, ale i wdzięczność, że Elżbieta stoi u jego boku.

Potrzebował jej.

A ja potrzebuję ciebie, uświadomiła sobie naraz.

Iskariota podszedł do nich wśród trzepotu szmaragdowych skrzydełek. Z luku w kadłubie śmigłowca zostały wypuszczone ćmy. Elżbieta nie chciała okazywać strachu przed tą niemą groźbą i stała wyprostowana.

– Już czas – rzekł, kładąc rękę na ramieniu Tommy’ego.

Odwrocił chłopca ku skałom i przeznaczeniu, które tam na niego czekało.

6.12

Erin trzymała na kolanach ciężką głowę Christiana, Jordan zaś prowadził powoli łódź ku ciemnej platformie wiertniczej. Na pontonie była tylko ich trójka. Rhun i Bernard ześlizgnęli się do wody, kiedy od celu dzieliło ich sto metrów, i dotarli do niego wpław. Z daleka dojrzała sunące szybko cienie i usłyszała zdławiony krzyk; potem Rhun mignął latarką na znak, że mogą płynąć bezpiecznie dalej.

Sierżant zwiększył obroty silnika.

Sangwiniści oświadczyli jasno, że ona i Jordan mają zachować bezpieczny dystans, dopóki droga nie będzie wolna. Swoimi wyczulonymi zmysłami wykryją każde zagrożenie i je zlikwidują.

– Głowa nisko – powiedział, gdy znaleźli się w cieniu platformy. Jedną ręką trzymał ster, a drugą karabin mężczyzny zabitego przez Bernarda.

Erin opuściła głowę tuż nad Christiana i spoglądała na Jordana, podczas gdy on lustrował wzrokiem każde przejście i kładkę, najwyraźniej nie ufając całkowicie, że sangwiniści zadbają jak należy o ich bezpieczeństwo.

Masa potężnej stalowej konstrukcji zdawała się napierać na nich od góry. Gdzieś wysoko paliły się lampy, lecz na powierzchni morza było dość ciemno. Półmrok spowijał betonowe filary, stalowe schody oraz gniazda przecinających się ramp i pomostów.

Zodiak przedryfował wzdłuż kadłuba zacumowanego ogromnego luksusowego wodolotu.

Sierżant przyjrzał mu się dokładnie z odrobiną zazdrości.

– Ten facet musi mieć bank – rzucił pod nosem, nieprzekonująco udając beztroskę.

Erin uśmiechnęła się do niego na znak, że docenia te wysiłki. Minutę później zodiak przybił do stalowej przystani.

Jordan wyciągnął rękę ze skierowanymi w dół palcami. Był to sygnał, żeby Erin się nie podnosiła. Lustrował otoczenie i dopiero po dłuższej chwili zamachał ręką.

Uniosła głowę i poczuła na twarzy przyjemny słyony wiatr.

Sierżant zeskoczył z zodiaca, przesunął karabin na ramię i szybko uwiązał ponton. Później przykłęknął obok Erin. Mieli zaczekać na powrót Rhuna i Bernarda.

Nie czekali długo.

Jakiś cień spłynął z góry i wylądował cicho na stalowej kładce; był to Rhun. Wkrótce pojawił się także kardynał. Obaj trzymali w dłoniach zakrwawione noże. Erin zastanawiała się, ilu ludzi uśmiercili tej nocy.

Bernard schował nóż, pomógł jej wyciągnąć z zodiaca Christiana i wziął go na rękę.

– Droga na górę powinna być wolna – rzucił Rhun. – Ale musimy uważać, kiedy dotrzemy do nadbudówki.

Poprowadził towarzyszy do długich schodów oplatających spiralą sąsiedni betonowy filar. Kiedy na nie weszli, podał Jordanowi pistolet maszynowy. Musiał go zabrać któremuś z wartowników.

Sierżant przesunął karabin na plecy i przyjął od księdza poręczniejszą broń.

– Nie strzelaj, jeśli nie musisz – powiedział Rhun. – Mój nóż jest cichszy.

Jordan skinął głową, jakby rozmowa dotyczyła techniki uderzania piłki golfowej.

Wspinali się coraz wyżej, a Erin uważała, by mocno się trzymać zimnej metalowej poręczy. Smagały ją nagle porywy wiatru. Na podeście było ślisko od krwi; ominęła ostrożnie płamę, usiłując nie myśleć o rzezi, jaka się tam odbyła.

Sierżant sunął przed nią pewnym krokiem. Kardynał podążał za Erin, bez trudu niosąc Christiana.

Rhun zniknął gdzieś powyżej, lecz wiedzieli, że tam jest. Erin słyszała ciche stąpanie nad głową. Po chwili znaleźli się na wierzchołku krętych schodów. Wyszli z głębokiego cienia, toteż zimny blask elektrycznych lamp poraził ich w oczy.

Rhun stał nad zwłokami wartownika.

Sierżant zbliżył się do niego i przykucnął z uniesionym pistoletem.

Erin pozostała z Bernardem, podczas gdy ksiądz z Jordanem poszli się rozejrzeć. Na tej wysokości dął mocny wiatr, targał jej włosami i połami skórzanej kurtki.

– Istne miasto duchów – rzucił sierżant, gdy wrócił. – Pewnie załoga jest tu niewielka.

Rhun wskazał wysoką jak wieża nadbudówkę.

– Tam jest jakieś wejście.

Pobiegli po platformie. Konstrukcja, którą widzieli, przypominała forkasztel żaglowca z wysokimi oknami, imitacją olinowania, a nawet z bukszprytem i galionem. Wyglądała jak starodawny okręt, który jakimś cudem żegluje po stalowym morzu.

Ksiądz skierował się do drzwi. Gdy je otworzył, ukazał się długi korytarz. Wpuścił pozostałych do środka i zamknął wejście, lecz wstrzymał towarzyszy.

Uniósł rękę i wymienił znaczące spojrzenie z Bernardem. Erin domyśliła się, że coś usłyszeli, zapewne puls lub inną oznakę życia. Kardynał skinął głową i Rhun rzucił się przed siebie niczym ogar poszczuty na lisa. Zniknął w cieniu. Nagle trzasnęły drzwi, a potem rozległ się odgłos przypominający łoskot garnków i rondli.

Rhun wychynął po chwili z ciemności i skinął ręką.

Sierżant zmierzył go twardym spojrzeniem.

– Kambuz. – Ksiądz uniósł rękę z zieloną butelką wina. – Oto co znalazłem.

Kardynał szybkim ruchem wziął od niego zdobycz.

Erin wiedziała, że wino można poświęcić i wykorzystać do uleczenia Christiana. Miała nadzieję, że to wystarczy.

– Nikogo więcej nie słyszę – oznajmił Rhun. – Żadnego stąpania, oddechu ani tętna.

– Myślę, że jesteśmy tu sami – potwierdził jego słowa Bernard.

– Mimo to zachowajmy ostrożność, tak na wszelki wypadek – poradził Jordan.

Gdy zmierzali korytarzem, Erin coś sobie uprzytomniła.

– Czy to znaczy, że nie ma tutaj Tommy'ego?

Ani Iskarioty, ani Elżbiety.

Stała jej przed oczami obraz wrogięgo śmigłowca.

Czyżby tamci byli na jego pokładzie? A jeśli tak, to dokąd zmierzali?

– Musimy przeszukać wszystko dokładnie, żeby mieć pewność – powiedział Rhun. – Jeżeli ich nie znajdziemy, trzeba się dowiedzieć, dokąd się udali.

– I dlaczego Judasz umknął wraz z Pierwszym Aniołem – dodał kardynał, przesuając sobie Christiana na ramieniu. – Dlaczego chłopiec stanowi część jego planu.

Planu, który ma zainicjować Armagedon, przypomniała sobie Erin.

Korytarz kończył się przestronnym salonem z półkami pełnymi książek i ostrołukowatymi oknami wychodzącymi na morze. Przed oknami stał duży ster okrętowy. Wraz z gablotami, w których zgromadzono rozmaite marynistyczne eksponaty, tworzył wrażenie muzeum morskiego.

Rhun podszedł do dużego kominka między regałami i wyciągnął rękę.

– Jeszcze ciepły.

– Wódz najwyraźniej ulotnił się w pośpiechu – zauważył Jordan. – Na pewno był w tamtym śmigłowcu.

Ale dlaczego?

– Zajmę się Christianem – powiedział kardynał, zaniósł młodego sangwinistę do kominka i złożył go na kanapie. – A wy dowiedzcie się jak najwięcej.

Erin zauważyła drzwi wind po prawej stronie, zaopatrzone w ażurowe kraty z mosiądzu, i już do nich zmierzała. W ścianach było więcej wejść, zapewne prowadziły do licznych pomieszczeń i korytarzy. Ona jednak kierowała się do koła sterowego, które wyznaczało symboliczny mostek kapitański tego nieruchomego stalowego okrętu. Wznoszące się wysoko okna dawały szeroką panoramę morza. Na wschodzie widać było dalekie wybrzeże, gwiazdy zaczynały już blaknąć, zbliżał się nowy dzień.

Czuła, że czasu jest coraz mniej. Zerknęła w prawo ku najbliższym drzwiom. Może to, co ma najcenniejszego, kapitan trzyma w pobliżu swojego punktu dowodzenia.

Podeszła do drzwi i okazało się, że są zaryglowane.

Jordan zobaczył, że szarpie je ze złością.

– Pozwól, mam tutaj klucz.

Odwróciła się do niego. Skąd...?

Sierżant opuścił lufę pistoletu, wymierzył w zamek i wypalił.

Aż podskoczyła, gdy huknął strzał, ale na widok jego efektu uśmiechnęła się. Klamka odpadła i została po niej dziura.

Erin pchnęła drzwi i bez trudu je otworzyła. Ukazał się prywatny gabinet urządzonej w wiktoriańskim stylu, z orzechową boazerią i misternym ornamentem roślinnym na ścianie. Były tam wiernie przedstawione kwiaty, liście i posplatane ze sobą pędy winorośli, a także motyle i pszczoły. Obraz nie wyglądał jak dekoracja, bardziej przypominał ilustrację z renesansowej księgi botanicznej.

Ruszyła prosto do wielkiej sekretery z wygiętymi nogami i skórzanym blatem wypełnionym papierami.

Sierżant podążył za nią.

Rhun zbliżył się do drzwi, zwabiony hałasem.

– Ostrożnie – powiedział. – Nie wiemy...

Wtem subtelny obraz na ścianie ożył. Liście na gałęziach zatrzepotały, poruszyły się kwiaty, a ze ściany sfrunęły chmary motyli i pszczoł.

Malarski motyw okazał się śmiertelną pułapką.

Powietrze wypełnił pulsujący kalejdoskop, który oszalał ruchem i feerią barw.

Nagle zawirował i śmignął z góry w kierunku Rhuna.

Morze Śródziemne

20 grudnia, 6.38 czasu miejscowego

Jordan kilkoma susami pokonał odległość dzielącą go od Rhuna i pchnięciem w klatkę piersiową wypchnął go za próg. Zaskoczony ksiądz zatoczył się w tył i wylądował tyłkiem na posadzce.

Sierżant nie bez satysfakcji zatrzasnął mu drzwi przed nosem.

– Zostań tam! – wrzasnął. Chwycił ze stojaka parasol i wbił go w otwór w drzwiach, który powstał przy wystrzale. Zaczopował go w ten sposób i zamknął siebie i Erin w środku wraz z żądłącą chmarą. – Spróbuję się rozprawić z tym plugastwem! Ale na razie trzymaj się z dala, *padre!*

Po tych słowach się odwrócił. Rhun zapewne nie był uszczęśliwiony.

Trudno. Płatek kwiatu spłynął na twarz Jordana i ukłuł go, przebijając kącik wargi. Sierżant chwycił go, zgniół w palcach i rzucił na podłogę.

Stworzenia, jakby rozeźlone tą napaścią, rzuciły się na niego, srebrne żądła znajdowały każdy skrawek odsłoniętej skóry na twarzy, dłoniach, szyi. Młócił je rękami, widząc, że Erin także broni się przed atakiem. Ruszył przez rój w jej kierunku, wszelkimi siłami osłaniając oczy. Trucizna przenoszona przez te paskudztwa nie była groźna dla ludzi, lecz ich żądła mogły osłepić.

Erin schyliła się obok masywnego zabytkowego biurka i opędzała się przed napastnikami segregatorem wziętym z blatu. Jordan słyszał litanie przekleństw i widział krople krwi sączącej się z niezliczonych ukłuć na ramionach i twarzy.

Trzasnęła się dłonią w szyję i na podłogę spadł motyl.

Sierżant, idąc za jej przykładem, zerwał z siebie długą kurtkę i zaczął wymachiwać nią w powietrzu. Stanąwszy obok Erin, posługiwał się częścią odzieży niczym matador walczący z tysiącem rozjuszonych byków. Smagając nią wściekle, oczyścił nieco powietrza wokół Erin.

Ona tymczasem postawiła kołnierz swojej kurtki i zrobiła sobie nad głową coś w rodzaju parawanu. Schyliła i przesuwiała papiery; najwyraźniej szukała w nich wskazówki co do miejsca pobytu gospodarza.

Jordan zerknął jej przez ramię. Teksty napisane były w stu różnych językach, między innymi w wielu starożytnych.

– Bierz wszystko! – odpowiedział. – Później je przejrzymy!

– Najpierw musimy zneutralizować zagrożenie. Jeśli cokolwiek się stąd wydostanie razem z nami, od razu skieruje się do Rhuna, Bernarda i Christiana.

Miała rację, Jordan zdawał sobie z tego sprawę. Te świństwa były nastawione na atakowanie *strigoi*. To nie jej wejście uruchomiło pułapkę, nawet wystrzał z karabinu ich nie obudził. Poruszyły się dopiero wtedy, gdy Rhun przekroczył próg.

– Spróbuję strącić ich trochę – powiedział. – A ty szukaj.

Zmienił taktykę. Zamiast odpędzać kurtką zagrożenie, posługiwał się nią jak wielką siatką. Rozpostarł ją i łapał w powietrzu gromady latającego roju. Przygniatał je do podłogi i rozdeptywał butami.

– Większość tych papierów nosi nagłówki tej samej firmy! – zawołała Erin. – Argentum Corporation!

Sierżant rozpoznał nazwę.

– Duży koncern! Prowadzi różnorodną działalność, między innymi produkuje uzbrojenie. Nic dziwnego, że biznesmen pokroju Judasza zajął się czymś takim.

Ani na chwilę nie ustawał w boju. Machał kurtką, uderzał i miażdżył, aż w powietrzu się przejaśniło. Wtedy skupił się na poszczególnych okazach, wyłapywał je w kurtkę szybkimi ruchami.

– Jak sobie radzicie?! – zawołał Rhun przez drzwi.

– Właśnie kończymy małe sprzątanie domu!

Erin machnęła ręką.

– Chodź coś zobaczyć.

Jordan zbliżył się do niej, ścierając z oczu krew. Wskazała egzemplarz firmowej papeterii: była to srebrnoszara koperta z wypukłym nagłówkiem w rogu, przedstawiającym staroświecką kotwicę okrętową.



– Te kotwice są tutaj wszędzie – powiedziała. – Pamiętasz esemesa, którego Rhun dostał od Rasputina? Tego z informacją, że symbol kotwicy jest związany z Judaszem?

– Taak, to jasne, że facet ma kręcka na punkcie symboliki marynistycznej.

– To nie jest symbolika marynistyczna, lecz chrześcijańska. – Powiodła palcem po kształcie krzyża, który stanowił środkową część kotwicy. – Mamy tu podobiznę krucyfiksu. W starożytności, kiedy chrześcijanie byli prześladowani za wiarę, używali tego wizerunku jako tajnego symbolu. Przedstawianie samego krzyża było zbyt niebezpieczne.

Jordan trzepnięciem ręki zdruzgotała małą pszczołę z mosiądzu i srebra.

– A więc wiadomo, dlaczego Argentum Corporation wykorzystało kotwicę jako logo.

– Nadal kocha Chrystusa – ciągnęła Erin. – Jest nieśmiertelny, więc nie może uciec przed poczuciem winy. Nic dziwnego, że tak zaciekle dąży do tego, by go znów sprowadzić na świat.

– Ale w jaki sposób?

Odepchnęła papiery.

– Tutaj nie ma nic oprócz danych finansowych i zwykłej korespondencji. Nic, co wskazywałoby, jaki ma plan. Ale coś tu musi być. W tym pomieszczeniu.

– Nie zostawiłby czegoś takiego na widoku. Schowałby to. – Jordan wskazał na szuflady w sekreterze. – Szukaj czegoś, co jest zamknięte, ukryte.

W powietrzu latało już tylko kilka ustrojstw, więc sierżant zaczął oglądać ściany i zdejmować obrazy.

– W szufladach nic nie ma! – zawołała Erin.

Stanął naprzeciwko pozłocanego portretu, który wyglądał na stary. Drugie spojrzenie na obraz pozwoliło mu stwierdzić, że przedstawia Iskariotę; nie różnił się wiele od mężczyzny, którego poznali, ale miał na sobie renesansowy ubiór i otaczał ramieniem ciemnoskórą kobietę w kosztownej sukni. Trzymała małą wenecką maskę.

Kiedy usiłował zdjąć portret, okazało się, że jest on przymocowany na zawiasach.

Sierżant uśmiechnął się tak, jak uśmiechał się Judasz na obrazie.

Odwrócił portret i wtedy pod spodem ukazał się nowoczesny sejf z cyfrowym zamkiem.

– Erin!

Spojrzała w jego stronę szeroko otwartymi oczami.

– To musi być to!

– Spróbuję go otworzyć.

– Wątpię, czy strzał z karabinu tym razem rozwiąże sprawę.

Jordan potarł palcami o palce i dmuchnął na nie.

– Trzeba tylko trochę pokombinować.

Erin popatrzyła na niego z powątpiewaniem.

– Pani doktor jak zawsze sceptyczna. – Wyjął z kieszeni latarkę i poświecił na liczby na białej tabliczce numerycznej, nachylając ją pod różnymi kątami. – Otworzę go w sześciu próbach.

– Naprawdę? Jak?

– Zastosuję podejście naukowe – odparł sierżant. – Włamanie do tego sejfu to kwestia nauki.

Uniosła brwi.

– Przyjrzyj się liczbom. – Ponownie oświetlił tabliczkę cyfrową. – Widzisz kolorowy nalot na niektórych klawiszach?

Erin się nachyliła.

– Co to jest?

Sierżant uniósł wolną rękę, która była pokryta takimi samymi lśniącoymi płatkami.

– Ten facet ma hobby, które uwielbia. Prawdopodobnie często majstruje przy swoich dziełach, bierze je w dłonie. A kiedy mu się spieszy, zapomina umyć ręce.

– To brzmi sensownie – przyznała.

– Jest zadufany, nabrał przekonania o pewności zabezpieczeń. Raz po raz wystukuje te same cyfry. Ale ma także paranoję. Wątpię, czy pozwala sprzątacze wycierać ukryty sejf. – Wskazał siódemkę. – Na tym zostało najwięcej pyłu, więc założył się, że jest pierwszy.

– A pozostałe trzy?

– Jeśli przyjrzesz się uważnie, zobaczysz pył na dziewiątce, trójce i piątce.

Nachyliła się. Jordanowi sprawiała przyjemność, że znalazła się tak blisko. Poza tym miło mu było dla odmiany zaimponować jej inteligencją.

– A zatem. – Potrzebował teraz łutu szczęścia. – Jeśli cyfry się nie powtarzają i szyfr składa się z czterech, poczynając od siódemki, zostaje mi tylko sześć kombinacji.

– Spryciarz z ciebie.

Stuknął palcem w głowę.

– Logiczne myślenie.

Ale bez odrobiny szczęścia się nie uda.

Wstukiwiał rozmaite kombinacje, zaczął od 7935. Nic. Przy trzeciej próbie kontrolka na płycie czołowej sejfu zmieniła kolor z czerwonego na zielony.

Jordan odstąpił i honorowo pozwolił Erin dokonać reszty.

Chwyciła gałkę, obróciła ją i otworzył drzwiczki.

– Papiery, znowu papiery – rzucił, zaglądając ponad jej ramieniem.

W sejfie spoczywał plik przykryty masywnym szklanym przyciskiem.

Erin chwyciła go i uniosła do światła. W środku kryształu tkwił brązowy liść.

– Jest na nim jakiś napis – oznajmiła. – W języku aramejskim z czasów Heroda.

– Umiesz przetłumaczyć?

Pochyliła głowę i mrużąc lekko oczy, obracała kryształ. Wreszcie westchnęła i zaczęła odczytywać tekst:

– *Kiedy Jego słowa, zapisane krwią, wyjęte zostaną z kamiennego więzienia, ten, który zabrał Go z tego świata, spowoduje Jego powrót. Rozpocznie epokę ognia i przelewu krwi i okryje całunem ziemię i wszystkie jej stworzenia.* – Odwróciła głowę do Jordana, zaschło jej w gardle, lęk pozbawił ją tchu. – To stąd Judasz dowiedział się o celu swojego istnienia. Nie wziął go z powietrza. To jest proroctwo.

– Dlaczego tak uważasz?

– Ten liść. Jest stary, to widać, i został przechowany celowo. Wiadomo, że starożytni jasnowidze często spisywali swoje przepowiednie na liściach.

– A więc co to znaczy? Takie ma być przeznaczenie? I nic na to nie poradzimy?

– Nie, właśnie dlatego jasnowidze zapisywali je na liściach. Miało to przypominać, że los nie jest zapisany na kamieniu. Ale Judasz, trapiiony poczuciem winy, z pewnością mocno uchwycił się tej przepowiedni i dostrzegł w niej swoje ostateczne przeznaczenie.

– Ale my nadal nie wiemy, co on planuje – przypomniał jej Jordan.

Skinęła głowę i wzięła z pliku pierwszy arkusz.

Sierżant zauważył, że na nim także znajdują się płatki o barwie szmaragdowej, purpurowej i karmazynowej. Świadczyły o tym, że często brano go w dłoń, zapewne w niedalekiej przeszłości.

Erin zdrętwiała i nie mogła wydobyć słowa.

– Co się stało? – zapytał Jordan.

Zamiast odpowiedzieć wyciągnęła do niego rękę z rysunkiem.



Kume, Włochy

20 grudnia, 6.48 czasu miejscowego

Tommy zatrzymał się przed zacienionym otworem tunelu w ścianie zbocza, bojąc się wkroczyć do środka. Z mroku niczym niezdrowy oddech wionął smród zgniłych jaj. Za plecami chłopca rozciągała się plaża z piaskiem miękkim jak cukier puder. Na ciemnym niebie błyszcząły gwiazdy i rysowało się parę srebrzystych obłoków podświetlonych blaskiem niosącym obietnicę brzasku.

Czuł chłodną bryzę, ale woń morskiej soli i alg nie mogła stłumić nieprzyjemnego odoru.

Nie chcę tam wchodzić, pomyślał Tommy.

Na głazie obok wylądowała ćma o szmaragdowych skrzydłach i zamachała nimi. Elżbieta stała u boku chłopca, śledząc wzrokiem ćmy fruujące w porywach wiatru. Delikatność ich lotu maskowała groźbę, którą ze sobą niosły.

Jeden ze zbirów Iskarioty minął Tommy'ego, wszedł do tunelu i włączył latarkę. Smuga światła wydobyła z mroku czarne wulkaniczne skały z żółtymi smugami, które ciągnęły się daleko w głąb.

Na plecach chłopca spoczęła dłoń Iskarioty, nie pozostawiając mu wyboru.

– Idź za Henrikiem – rozkazał.

– Wejdziemy razem – rzuciła Elżbieta i chwyciła Tommy'ego mocno za rękę.

Odetchnął, żeby nieco uspokoić nerwy, i skinął głową. Zrobił jeden krok, potem następny. Właśnie w taki sposób pokonuje się trudne chwile: trzeba iść dalej naprzód.

Iskariota tymczasem odezwał się do *strigo*i, który pilotował śmigłowiec:

– Każ się przygotować swojej braci. Niech pozostaną w tunelach za nami. Nikt nie może nam przeszkodzić.

Po wydaniu tego polecenia ruszył, a goryl kroczył za nim. Tommy uświadomił sobie, że nie poznał imienia tego ochroniarza, co zapewne i tak nie miało znaczenia. Miał przeczucie, że nigdy więcej nie ujrzy nieba.

Kiedy znaleźli się głębiej w wąskim korytarzu, Elżbieta zdjęła woal i rękawiczki i odsunęła do tyłu kaptur. Jedna z ciem wpadła jej we włosy i na chwilę mikroskopijne odnóża się zaplątały, a potem odleciała.

Hrabina chyba się tym nie przejęła.

Tommy natomiast się przejmował; zdawał sobie sprawę z niewypowiedzianej groźby ze strony tego, który więził ich oboje.

Aby się uspokoić i zająć czymś myśli, liczył ćmy i odnotowywał subtelne różnice między nimi. Kilka było mniejszych od reszty, jedna miała długi ogon, inne miały na szmaragdowych skrzydełkach złote płatki.

...dziewięć, dziesięć... jedenaście...

Prawdopodobnie był ich tuzin, on jednak nie mógł wypatrzyć dwunastej.

Elżbieta przeciągała palcem po ścianie; obserwowała boczne korytarze przecinające główny oraz ślepe groty, które co jakiś czas mijali. To był labirynt. Tommy czytał w szkole mit o Tezeuszu i o walce z Minotaurem, którą stoczył w labiryncie na Krecie.

Jakie potwory czają się tutaj?

Myśli arystokratki obrały inny kierunek. Zerknęła w tył na Iskariotę.

– W *Eneidzie* Wergiliusza heros Eneasz przybywa do Kume, rozmawia z tutejszą wieszczką, ona zaś kieruje go do krainy umarłych. Droga, którą teraz zmierzamy, bardzo przypomina tę opisaną w eposie.

Iskariota zatoczył ręką łuk, jakby chciał wskazać całą wulkaniczną górę.

– Jest tam również mowa o tym, że do celu wiedzie sto ścieżek. Zważywszy, że góra jest zryta dziurami, może to być prawda.

Elżbieta wzruszyła ramionami i zmieniła ton, by zacytować epos:

– *Łatwe jest zejście do Awernu: nocą i dniem na oścież jest otwarta brama mrocznego Disa. Lecz zawrócić kroki stamtąd i znów się wymknąć do przestworza pod słońcem – to jest trud, to jest zadanie*⁶.

Iskariota klasnął w dłonie.

– Zaiste prawdziwa z pani Uczona Niewiasta.

Mimo komplementu srebrne oczy Elżbiety zaciemniała troska. Jaskrawa zielonoszara ćma ponownie usiadła na jej czarnych włosach i Tommy wyciągnął rękę, żeby ją zdjąć.

– Nie – powiedziała hrabina. – Zostaw.

Chłopiec cofnął dłoń.

Schodzili tunelem coraz głębiej i rozgałęzień było coraz mniej; wreszcie dotarli do długiego stromego korytarza, który tak cuchnął siarką, że Tommy musiał zakryć sobie usta i oddychać przez rękaw. Wzrosła temperatura, ściany pokrywała wilgoć. Chłopiec usłyszał szmer wody.

Podziemny korytarz rozszerzył się i dotarł do szerokiej podziemnej rzeki. Było to źródło geotermalne, woda parowała i pulsowała bąbelkami. Od siarki bolały Tommy'ego oczy, od gorąca parzyły policzki.

– Chyba doszliśmy do rzeki Acheron... albo Styks... zresztą w zależności od epoki ludzie różnie nazywali tę rzekę – powiedziała Elżbieta. – Ale widać, że przewoźnik nie jest tutaj potrzebny.

– W rzeczy samej – potwierdził Iskariota.

Łukowate skalne sklepienie nad rzeką prowadziło do ciemnej groty.

Tommy spojrzał na hrabinę. Poczuł silny lęk. Ramiona pokryła mu gęsia skórka, słyszał bicie własnego serca.

Gdy stanęli przed mostkiem, Henrik szorstkim ruchem chwycił go za rękę, by w razie konieczności wciągnąć chłopca do środka.

Elżbieta trzasnęła go dłonią, jakby był komarem.

– Nie pozwolę nim pomiatać! – oświadczyła.

W oczach Henrika błysnął gniew, lecz mężczyzna się nie poruszył; Iskariota skinął mu głową, potwierdzając, że ma słuchać hrabiny.

Na barku Elżbiety usiadła druga ćma i dotknęła skrzydłem skóry pod uchem. Kobieta nie dała nic po sobie poznać, lecz Tommy zrozumiał zamysł Iskarioty.

Jeśli nie wejdę, on zabije hrabinę.

Pokonując strach, przemierzył mostek; siedł w środku między Henrikiem a Elżbietą. Kroczył pomału po śliskiej od pary powierzchni, kaszląc od smrodu siarki i mrużąc oczy przed gorącem. Czarna woda, przypominająca olej, burzyła się, mąciła i kotłowała.

Elżbieta maszerowała u jego boku, jakby przechodziła przez ogród, z wyprostowanymi plecami i uniesioną głową. Próbował naśladować jej pewny, sztywny krok, ale mu się nie udało. Na widok drugiego końca mostu przyspieszył, zadowolony, że zostawia za sobą wrzącą wodę.

Przez chwilę był sam, wszyscy zostali z tyłu, nawet Henrik z zapaloną latarką. Z tonącego w mroku pomieszczenia dochodziła dziwna woń kwiatów; ich aromat przebijał się nawet przez odór siarki.

Zaciekawiony Tommy siedł, chcąc odkryć jego źródło.

Henrik i pozostali go dogonili. Olbrzym skierował snop światła ku górze i ukazało się wysokie sklepienie z wulkanicznej skały pokryte grubą warstwą sadzy. Na ścianie wisiało wiele żelaznych uchwytów z pękami świeżych witek. Ktoś zadbał o przygotowanie grotu.

– Zapalić pochodnie! – rozkazał Iskariota.

Henrik i drugi ochroniarz ruszyli w przeciwnych kierunkach i zapalali smolne wiązki; blask ognia wydobywał z mroku coraz większą część obszernej jaskini z otworami tuneli.

Tommy’emu przypomniały się słowa Iskarioty, który wspomniał o stu ścieżkach prowadzących do Hadesu.

Pośrodku grotu tkwił duży czarny głaz, ustawiony pod lekkim skosem, lecz z wygładzoną płaską powierzchnią. Przypominał wielkie czarne oko. Tommy miał nieprzyjemne wrażenie, że kryje się w nim jakieś zło.

W chwili gdy zapalano ostatnie pochodnie, spojrzął nad kamieniem ku przeciwległej ścianie.

Zobaczył tam kobietę w białej sukni, przywiązaną do żelaznego pierścienia tkwiącego w skale. Miała gładką brązową skórę i wydatne kości policzkowe. Długie czarne włosy spływały na jej obnażone krągłe ramiona. Blask pochodni odbił się refleksem od odłamka metalu zawieszzonego na jej szyi.

Czarny kamień odpychał spojrzenie Tommy’ego, ona zaś je przyciągała. Patrzyła na niego, biorąc go w posiadanie, i wabiła, jakby szeptała jego imię, a w szeptcie tym zawierała się cała miłość świata.

Iskariota powstrzymał go, dotykając ręką jego barku. Minął chłopca i stanął naprzeciwko kobiety, od której dzieliła go cała szerokość jaskini. Jednakże smutek, jakim przesycony był jego głos, sprawiał, że ta odległość wydawała się bezkresną, niemożliwą do przebycia przepaścią.

– Arello.

6.58

Judasz zatrzymał się w pobliżu kamiennego ołtarza i nie mógł się bardziej zbliżyć. Minęły setki lat od dnia, w którym widział ją ostatnio. Przemknęła mu myśl, by ze wszystkiego zrezygnować, podbiec do niej i błagać ją o przebaczenie.

Jej przyszło do głowy to samo.

– Ukochany, wciąż jeszcze można się zatrzymać.

Przed jego oczami zatrzepotała ćma, mącąc mu widok szmaragdowymi skrzydłami. Cofnął się o krok.

– Nie...

– Straciliśmy stulecia, a wszak mogliśmy być razem. Wszystko po to, by służyć czarnemu przeznaczeniu.

– Po powrocie Chrystusa będziemy mogli spędzić razem wieczność.

Patrzyła na niego smutno.

– Nie, tak nigdy się nie stanie. Popełniasz zło.

– Jak to możliwe? Przez setki lat po tym, jak ujawniłaś cel mojego istnienia, gromadziłem strzępy innych przepowiedni, zbierałem je, żeby zrozumieć, co mam robić, jak doprowadzić do Armagedonu. Mędracy wszystkich wieków potwierdzili moje przeznaczenie. Ale dopiero gdy dowiedziałem się o tym chłopcu, o tym nieśmiertelnym tak do mnie podobnym, a zarazem tak innym, przypomniałem sobie coś, co ty, ukochana, narysowałaś. To było jedno z twoich pierwszych proroctw. Zapomniałem o nim, uważałem je za mało warte.

Odwrócił się do Pierwszego Anioła.

– I wtedy pojawił się ten cudowny chłopiec.

– Widzisz cienie, które rzuciłam, i zwiesz je rzeczywistością – zaoponowała. – To zaledwie jedna ścieżka, duch pewnej możliwości, nic więcej. Twoje mroczne postęпки przydają im ciała, znaczenia i wagi.

– I słusznie czynię, nawet jeśli niosą najniklejszą szansę na to, by Chrystus znów powrócił.

– Wszystko to stworzyłeś tylko w swojej głowie, tyle czynów oparłeś na proroctwach, które mi skradłeś. Jak cokolwiek dobrego może wyniknąć ze złamania zaufania?

– Innymi słowy ze zdrady. – Uśmiechnął się. Jej poprzednie słowa prawie go przekonały, ale teraz mógł je odrzucić. – Otóż ja jestem zdrajcą. Mój pierwszy grzech doprowadził do przebaczenia wszystkich grzechów dzięki temu, że Chrystus umarł na krzyżu. Teraz zgrzeszę ponownie, by sprowadzić Go z powrotem.

Kobieta oparła się o ścianę, odsłaniając krępujące ją więzy. Wiedziała już, że Judasz podjął decyzję.

– Dlaczego więc mnie tutaj uwięziłeś? Chcesz mnie dręczyć, zmusić, bym patrzyła?

Znalazł wreszcie w sobie siłę, by się do niej zbliżyć. Poczł zapach lotosu, woń ciała, które kiedyś całował i pieścił. Wyciągnął rękę i dotknął odsłoniętego obojczyka kobiety, odważył się naruszyć jej cielesność zaledwie jednym palcem.

Nachyliła się ku niemu, jakby chciała go przekonać swoim ciałem, skoro słowa na nic się nie zdały.

Judasz wsunął palec pod jej naszyjnik i ścisnął go w pięści. Srebrny odlamek między doskonałymi piersiami się poruszył.

Nagle zrozumiała. Gdy spojrzała mu w oczy, jej źrenice wyrażały trwogę. Rzuciła się do tyłu, uderzając plecami o ścianę.

– Nie.

Szarpnął mocno, zerwał łańcuch i odstąpił ze zdobyczą. Złoty łańcuch wysunął się z jego dłoni i pozostał w niej tylko srebrny odlamek.

– Tym ostrzem mogę zabijać anioły, by obudzić same niebiosy.

Odwróciła się do Tommy’ego, lecz jej słowa skierowane były do Iskarioty:

– Ukochany mój, nic nie wiesz. Stąpasz w ciemności i nazywasz ją dniem.

Judasz, nie zważał na to, odwrócił się od niej plecami. Kroczył ku chłopcu, gotów spełnić swoje przeznaczenie.

Tak długo musiał na to czekać.

7.04

Elżbieta patrzyła, jak Iskariota chwytając Tommy’ego za ramię i szorstko ciągnie do kamienia pośrodku groty. Wyczuwała wokół tego czarnego ołtarza zasłonę zła tak wielką, że nawet podłóże nie było w stanie udźwignąć nieczystego ciężaru. Pękło, cienkie szczeliny rozchodziły się na wszystkie strony.

Tommy, który nie chciał się zbliżyć do tego miejsca, krzyknął.

Ten krzyk zapalił w niej jakąś iskrę. Skoczyła, by go uwolnić.

Zanim zdołała zrobić dwa kroki, usłyszała wydany szeptem rozkaz i jego echo odbijające się w ciemnych korytarzach odchodzących od groty. W czarnej pajęczynie czał się ukryty jeszcze jeden pajak. Głos wydał jej się znajomy, lecz

zanim zdążyła o tym pomyśleć, z tuneli po obu stronach wyskoczyły cztery postacie, po dwie z każdego. Widać było ich obnażone kły.

Strigoi.

Były to potężne bestie z gołymi klatkami piersiowymi, na których wytatuowano bluźniercze słowa. Ich skórę znaczyły blizny po własnoręcznie zadanych ranach; sterczały z nich odłamki stali. Ustawili się niczym mur między nią a Tommym.

Za tą tarczą Iskariota włókł chłopca do czarnego kamienia, którego powierzchnię wygładziły ciała wielu złożonych ofiar. W pobliżu podstawy wydrążone było niewielkie zagłębienie. Spoczęły w nim tysiące głów.

Zdjęty strachem chłopiec wyrwał się z rąk Iskarioty. Nie był głupi, wiedział, czego się po nim oczekuje.

– Nie, nie każ mi tego robić.

Iskariota cofnął się i wznosił ręce; srebrny odłamek błysnął w świetle pochodni.

– Nie mogę cię przymusić. Trzeba złożyć tę ofiarę z własnej woli.

– W takim razie się nie zgadzam.

Elżbieta uśmiechnęła się, widząc zdecydowanie Tommy'ego.

– Pozwól, że cię przekonam – odparł Judasz.

Wszystkie ćmy spadły na hrabinę, obsiadły jej policzki, kark, barki i ramiona.

– Wystarczy jedna myśl, a zabiją ją – zapewnił Iskariota. – Jej krew się zagotuje i hrabina umrze w męczarniach. Taki jest twój wybór?

Nagle uświadomiła sobie, że Iskariota wcale nie chciał, by przyjęła rolę niańki, która ma uspokoić chłopca. Chodziło mu o to, żeby zdobyła jego serce i żeby Judasz mógł ją wykorzystać przeciwko Tommy'emu. Z przerażeniem zdała sobie sprawę, że wpadła w doskonałą pułapkę.

Tommy spojrzał jej w oczy.

– Nie rób tego dla mnie – powiedziała zimnym głosem. – Nic dla mnie nie znaczysz, Thomasie Bolar. Jesteś zabawką, którą wykorzystam, zanim się pożywię.

Odsłoniła kły.

Wzdrygnął się, słysząc te słowa i widząc jej zęby. Mimo to nie odwrócił wzroku. Patrzył na nią przez długą chwilę, a potem spojrzał na Iskariotę.

– Czego chcesz? – zapytał.

A niech to, chłopcze! – zakłęła w duchy hrabina.

Zwężonymi oczami zmierzyła stojący przed nią mur *strigoi*. Ich młoda siła przeciwko niej samej. Obliczała, ile czasu upłynie, zanim uśmiercą ją ukąszenia ciem. Czy zdoła uwolnić na czas Tommy'ego? Wyczulonym słuchem słyszała szuranie dochodzące z drugiego brzegu wrzącej rzeki.

Czyhało tam jeszcze więcej *strigoi*.

Chłopiec nie zdoła się wydostać bez pomocy.

– Połóż się na tym kamieniu – zakomenderował Iskariota. – Nic więcej nie musisz. Ja zrobię resztę, a ona przeżyje. Mogę ci to przysiąc.

Tommy postąpił w stronę ołtarza.

– Może nie wyjdziemy stąd żywi, ale to nie znaczy, że musimy słuchać jego rozkazów! – zawołała Elżbieta.

Iskariota parsknął śmiechem aż z głębi brzucha.

– Och, wy, kobiety z rodu Batorych! Jeśli w ogóle się czegoś nauczyłem, to tego, że wasza wierność jest kapryśna jak wiatr.

– A zatem płynię we mnie prawdziwa krew!

Elżbieta zwinęła się błyskawicznie, jej postać mignęła niczym plama. Rozpruła Henrikowi gardło, zanim zdążył na nią spojrzeć. Pozostałe *strigoi* rzuciły się w jej stronę. Gdy jeden złapał ją za rękę, wyrwała mu kończynę ze stawu i cisnęła ją w bok. Pozostałe dwa skoczyły wysoko i powaliły hrabinę na ziemię. Odepchnęła je z wysiłkiem, lecz z tuneli wypadło więcej bestii i przycisnęły jej ręce i nogi.

Wyrwała się, ale miała świadomość, że to daremny wysiłek.

Poniosła klęskę: nie dość, że nie uwolniła Tommy'ego, to jeszcze nie obroniła się przed śmiercią. Kiedy ona zginie, Iskariota nie będzie mógł szantażować emocjonalnie chłopca. A wtedy ten może mu odmówić.

Iskariota na pewno przejrzał jej zagrywkę.

Zobaczyła, że jedna z ciem sunie po jej policzku, a potem delikatnie rozwija skrzydełka i odlatuje.

On potrzebował Elżbiety żywej.

7.10

– Dość już! – wrzasnął Tommy i stanął twarzą w twarz z Iskariotą. Po jego twarzy płynęły łzy. – Zrób, co masz zrobić!

– Wejdz na wierzch i połóż się na wznak. Głową na niższej części.

Chłopiec podszedł do czarnego kamienia, mimo że każda cząstka w jego ciele krzyczała, żeby uciekał. Mimo to wspiął się na kamień i położył się na wznak. Szyja spoczęła na wgłębieniu u podstawy ołtarza. Wiedział, że to jest ołtarz.

Pod głową Tommy’ego z szerokiej czarnej szpary parował strumień siarki, cuchnął jeszcze mocniej niż rzeka. Chłopca aż ścisnęło w płucach, z policzków spływały mu łzy. Odwrócił głowę, żeby spojrzeć na Elżbietę.

Wiedział, że go nie zrozumie. Ale on pamiętał, jak rodzice umierali w jego ramionach; z ich oczu biła wrząca krew. A on przeżył i został wyleczony z nowotworu. Nie pozwoli, by jeszcze jedna osoba skończyła za niego bolesną śmiercią. Nawet jeśli mógłby ocalić świat.

Popatrzyła na niego, z jej oczu wypłynęła jedna łza.

Ona również nie wiedziała o dobroci, którą w sobie miała. Tommy widział w niej wprawdzie monstrum takie samo jak te, które przygwoździły ją do posadzki, ale gdzieś w głębi jej istoty nadal kryło się coś jasnego. Nawet jeśli sama jeszcze tego nie dostrzegła.

Iskariota uklęknął obok niego i założył na niego siatkę ze sznurów obciążoną dużymi kamieniami na brzegach. Jej rogi przyczepił do żelaznych pierścieni wbitych w posadzkę. Tommy nie mógł się już poruszać, swobodna pozostała tylko jego głowa.

Nogi leżały wysoko, toteż krew spłynęła do głowy i jego twarz zrobiła się jeszcze gorętsza.

Iskariota położył mu na policzku chłodną dłoń.

– Bądź spokojny, postępujesz słusznie. Twoja godna ofiara stanie się zapowiedzią powrotu Chrystusa na Ziemię.

Tommy wzruszył ramionami.

– Jestem Żydem, więc co mnie to obchodzi? Po prostu rób swoje. – Chciał to powiedzieć odważnie i wyzywająco, lecz wyszedł mu zdławiony szept.

Dostrzegł błysk, kiedy srebrny odłamek ukradziony skrupowanej kobiecie uniósł się wysoko. Ostra krawędź połyskiwała w blasku pochodni. Wszystko inne znikło, zostało jedynie to małe ostrze.

Iskariota nachylił się do jego ucha.

– To może zabość i...

Wbił odłamek w szyję Tommy’ego, zanim ten zdążył się przygotować. Pewnie o to właśnie chodziło, miało mu oszczędzić bólu.

Ale nie oszczędziło.

Tommy wrzasnął, gdy całe jego ciało przeszył ogień. Z jego gardła trysnęła krew i oblała skórę niczym ognista lawa. Wił się i skręcał pod siatką, zdołał wyrwać jeden jej róg. Obrócił głowę i zobaczył, że krew ścieka po krawędzi kamienia i kapie do czarnej szczeliny w posadzce.

Wył z bólu, który nie chciał zelżeć.

Widział coraz mniej, z boków napływała ciemność. Pragnął zapomnienia, pragnął uciec ze stosu udręki. Poczul, że kamień drży pod jego plecami. Skała zgrzytała i pękała.

Donośny głos Iskarioty dobiegał jakby z oddali:

– Brama się otwiera! Tak jak zostało przepowiedziane!

– Wciąż jest czas na to, by okazać miłosierdzie – odezwała się skępowana kobieta. Jej słowa odpędzały od Tommy'ego macki cierpienia. – Możesz położyć temu kres!

– Już za późno. Kiedy cała jego krew spłynie w czeluść, nikt nie zdoła położyć temu kresu.

Tommy poczul, że zapada się w ciemność, i naraz uświadomił sobie, że ta ciemność się unosi, by go wchłonąć. Ze szpary wzbijała się czarna mgła i brała go w objęcia, wiła się niczym żywa istota. Przy każdej kropli jego krwi więcej czerni wylewało się w górę na świat.

Spoglądał na jej źródło, obserwował szczelinę, która robiła się coraz szersza. Powróciło wspomnienie Masady i widok innej szpary rozdzielającej ziemię; z niej także wznosił się dym.

Nie, tylko nie to...

Nagle ziemia zadrżała i nastąpił potężny wstrząs, tak silny, że mógł przełamać górę. Wrząca rzeka gwałtownie wystąpiła z brzegów, plusnęła wysoko i opadła na skałę. Towarzyszyły temu pomruki głośnie jak grzmoty i z każdą chwilą głośniejsze. Rozchodziły się szeroko i wydostawały na świat.

Ogarnęły chłopca, a potem była jedynie cisza i ciemność.

I nie było już Tommy'ego.

Morze Śródziemne

20 grudnia, 7.15 czasu miejscowego

Erin przemierzyła salon i nagle poczuła mdłości, jakby dostała choroby morskiej. Zakołysała się na nogach i przytrzymała się gabloty, żeby utrzymać równowagę. Odwróciła się do Jordana, który właśnie zamknął drzwi prywatnego gabinetu. Pilnował, by razem z nimi nie wydostał się z niego ani jeden zabłąkany motyl bądź pszczoła.

Ich spojrzenia spotkały się, gdy cała platforma zaczęła się złowieszczo bujać niczym pod naporem stada galopujących słońi.

– Trzęsienie ziemi! – ryknął Jordan i podbiegł do Erin.

Odwróciła się i zobaczyła, że Rhun i Bernard pomagają wstać Christianowi. Kardynał zdołał reanimować młodego sangwinistę świeżo konsekrowanym winem przynajmniej na tyle, by ten mógł stanąć na nogi.

Gdzieś pod stopami Erin huknęło potężnie, tak że wyrzuciło ją w górę. Opadła na jedną nogę, a Jordan znalazł się obok niej, sunąc na kolanie. Z regałów zlatywały książki. Spomiędzy żelaznej kraty kominka tryskały iskry.

Sierżant pomógł jej wstać i w tym momencie platforma zatrzęsła się jeszcze mocniej.

Przez ściany słychać było jęczącą stal. Wysoka, wąska gablota runęła na podłogę z brzękiem szkła.

– Musimy wydostać się z platformy! – zawołał Jordan, przekrzykując narastający niski grzmot.

Bernard, jakby wszystkiego nieświadomy, nie odrywał wzroku od wysokich okien. Erin odwróciła się, by zobaczyć, co tak mocno przykuło jego uwagę. Niebo na wschodzie rozjaśnił nowy dzień, odcienie różu i pomarańcza mieszały się ze sobą niczym obłoki pary. Jednakże urodę brzasku mąciła czarna chmura, która buchała wysoko i rozszerzała się, jak gdyby chciała pożreć dzień.

– Erupcja wulkanu? – spytał Jordan.

Erin przypomniała sobie, w którym kierunku odleciał Iskariota wraz z Tommym. Ścisnęła mocno w palcach arkusz papieru ze starą ryciną. Wyszła z gabinetu po to, by pokazać go sangwinistom.

Czyżby się spóźnili?

Jak gdyby na potwierdzenie jej obaw platformą znów wstrząsnęło i rzuciło ich na podłogę. Zgasły światła. Trach! Z dołu dobiegło ogłuszające trzeszczenie naprężonej stali. Pokład zaczął się pomału przechylać.

Erin wyobraziła sobie, jak pęka jeden z żelbetowych filarów platformy.

– Ruszcie się! – ryknął sierżant. – Już!

Chwycił Erin za rękę. Rhun i Bernard wzięli między siebie Christiana.

Wybiegli z salonu i popędzili głównym przejściem. Wstrząsy trwały dalej, rzucały ich od jednej wyłożonej drewnem ściany do drugiej. Ciemność potęgowała strach Erin. Dobiegli wreszcie do zewnętrznych drzwi i wypadli prosto w chaos kołyszącej się stali i pękającego betonu. Nad ich głowami śmignęło ramię żurawia, pozbawione zakotwiczenia i przez nikogo niesterowane.

– Wodolot! – powiedział Jordan, wskazując schody. Wszyscy ruszyli w dół. – Musimy się do niego dostać! Oddalić się jak najbardziej od tej kupy złomu.

– Ja... ja się tym zajmę – powiedział Christian, który wyswobodził się z objąć towarzyszy.

Mimo że tak bardzo osłabiony, wciąż był szybki. Rozpłynął się na schodach jak czarna plama. Bernard pędził tuż za nim, Rhun zaś trzymał się z Erin i Jordanem.

Biegli w dół, przeskakując stopnie; czasem rzucało nimi na boki. Wokół fruwały odłamki konstrukcji i spadały z impetem w wodę. Erin zauważyła, że morze dziwnie się wygładziło; nie było fal, a powierzchnia drżała niczym lustro wody w garnku, która za chwilę zacznie wrzeć. Widząc to, jeszcze bardziej przyspieszyła. Zeskoczyła w pędzie na antresolę, uderzyła brzuchem w poręcz i odbiła się od niej.

Uciekali, a tymczasem platforma dalej przechylała się z wolna, wywierając coraz mocniejszy nacisk na jeden z filarów. Beton trzeszczał donośnie.

Kolejny gwałtowny wstrząs wyrzucił Erin wysoko w górę i cisnął ją na poręcz. Usiłowała złapać się czegoś palcami, żeby nie przelecieć na drugą stronę, lecz w tej samej chwili Rhun chwycił mocno jej skórzaną kurtkę i z powrotem pociągnął. Erin udało się stanąć na nogach.

– Dzięki – wykrztusiła, obejmując się rękami i łapiąc oddech.

Rzucili się znów biegiem, podczas gdy wokół nich wszystko waliło się w gruzy. Po przeciwnej stronie platformy pękł z trzaskiem następny filar i jego odłamki trysnęły w górę.

Pośród hałasu dał się jednak słyszeć nowy dźwięk: wysoki wizg silników. Uciekinierzy po raz ostatni okrążyli filar i znaleźli się na najniższej części platformy, która w kilku miejscach pękła od bombardowania spadającymi fragmentami stali. Przeskakiwali szczeliny, a wodolot wypływał tyłem z miejsca, w którym stał przycumowany. Jednostka nie przetrwała kataklizmu platformy w nienaruszonym stanie: część trapu zwała się na tylny pokład i wciąż tam tkwiła.

Nagle czyjaś ręka objęła Erin w talii i przeniosła kawałek dalej w momencie, gdy długi żelazny pręt spadł z góry niczym włócznia i wbił się w miejsce, w którym Erin przed chwilą stała.

Znowu Rhun.

Jordan ominął susami kawał śmiercionośnej stali i znalazł się przy Erin.

Wodolot podpłynął tyłem, tak by schylając się pod trapem, mogli wdrapać się na pokład.

– Ruszaj! – krzyknął sierżant w stronę kabiny.

Silniki zawyły i wodolot wyrwał do przodu. Erin straciła oparcie i wpadła prosto w ramiona Jordana. Spojrzeli w górę ku zawałającej się platformie. Olbrzymie płyty metalu leciały niczym deszcz, lecz wodolot zdołał się wyrwać spod śmiercionośnego ostrzału na otwartą wodę.

– Nie zwalnij! – zawołał Jordan. – Ciśnij ile wlezie!

Erin nie rozumiała, po co ten pośpiech. Zerknęła jednak za siebie i zobaczyła, że platforma osuwa się w kierunku wodolotu i może go zmiażdżyć. Christian nie zlekceważył ponaglenia i nie oszczędzał gazu. Wodolot na pełnej prędkości ślizgał się po powierzchni wody.

Z trwogą i podziwem Erin patrzyła na padającą platformę. Olbrzymia konstrukcja runęła w morze i wznieciła falę, która zmierzała w ich kierunku. Maszyna osiągnęła już jednak prędkość pozwalającą bez trudu od niej uciec. Ściana wody utraciła impet i znikła.

Erin wreszcie pozwoliła sobie na swobodny oddech. Z otwartymi ustami starła łzy z oczu.

– No, już dobrze – uspokoił ją Jordan. – Chodźmy zobaczyć, co się dzieje z Christianem i Bernardem.

Skinęła głową, nie mogąc wydobyć słowa.

Wspięli się do kabiny pilota; Christian stał przy sterze, a kardynał obok jego ramienia. Obaj spoglądali przed siebie w kierunku linii wybrzeża.

Piętrzyła się tam czarna chmura i sunęła im naprzeciw. W samym jej środku płasała niewielka fontanna ognia. Bez wątpienia był to wulkan. Z nieba leciały już płatki popiołu i gromadziły się na szybie niczym brudne śnieżynki.

Erin wiedziała, że ta część wybrzeża Włoch stanowi geotermiczny kocioł. Stanęły jej przed oczami obrazy ruin Pompejów i Herkulanum, miast leżących w cieniu Wezuwiusza. Jednakże nawet tamta śmiertcionośna góra była jak groszek w porównaniu z potworem kryjącym się pod powierzchnią tego regionu, superwulkanem o nazwie Campi Flegrei, którego kaldera miała średnicę sześciu kilometrów. Jeśli ten uśpiony smok kiedyś się przebudzi, w gruzach legnie większość Europy.

Bryłka popiołu zsunęła się po szybie, zostawiając ciemny ślad sadzy.

Bernard nachylił się ku niemu.

– Ma szkarłatne zabarwienie – stwierdził.

Erin także przyjrzała się bliżej i przyznała kardynałowi rację. Ślad miał wyraźnie czerwony odcień.

Kolor krwi.

Prawdopodobnie wynikało to z tego, że taką barwę miały okoliczne skały znane z dużej zawartości żelaza i miedzi wulkanicznej.

Mimo to Erin zacytowała fragment z ósmego ustępu Apokalipsy:

– I pierwszy zatrąbił. A powstały grad i ogień – pomieszane z krwią, i spadły na ziemię⁷.

Bernard posłał jej spojrzenie.

– To początek końca świata – powiedział.

Potwierdziła skinieniem głowy i kontynuowała:

– A spłonęła trzecia część drzew, i spłonęła wszystka trawa zielona.

Wyobraziła sobie kalderę Campi Flegrei. Jeśli tam nastąpi zapłon, ogień pochłonie o wiele więcej niż jedną trzecią Europy.

– Damy radę to powstrzymać? – spytał Jordan, który nie chciał poddawać się bez walki.

– Może jeszcze jest czas – odparł Bernard. – Jeśli zdołamy odnaleźć Pierwszego Anioła, być może uda się odwrócić to zło.

– Ale on może być wszędzie – zauważył Rhun.

– Niezupełnie – zaproponował sierżant. – Jeżeli Iskariota w jakiś sposób wzniecił to, co widzimy, czego oczywiście nie możemy być pewni, to nie mógł uciec z chłopcem daleko. Śmigłowiec, który nas zaatakował, leciał na wschód. Od naszego zestrzelenia minęło dopiero półtorej godziny.

– Poza tym Iskariota, kiedy już doleciał do brzegu, musiał mieć czas na przygotowania – dodał Rhun. – Zapewne zgrał się w czasie ze wschodem słońca.

Bernard wskazał dłonią pióropusze lawy strzelające w samym środku chmury popiołu.

– On musi gdzieś tam być, ale gdzie?

Erin wsunęła rękę do kieszeni kurtki i wyjęła rysunek skradziony z sejfu. Rozprostowała go na konsoli nawigacyjnej.

– Spójrzcie na to.



Rysunek przedstawiał dwóch mężczyzn, starszego i młodszego, w pozycji ofiarnej. Obok starszego stała kobieta-anioł i z z troską spoglądała nad jego ramieniem. Strumień krwi spływał od boku młodszego mężczyzny do czarnej szczeliny, która znajdowała się w dolnej części strony. Ze szpary wysuwała się dłoń z czterema pazurami.

– Co to znaczy? – spytał Jordan.

Erin stuknęła palcem w rysunek. Starszy miał ciemne włosy, a młodszy jasne. Poza tym byli do siebie bardzo podobni, mogło ich łączyć pokrewieństwo.

Wskazała młodszego, który mógł być chłopcem.

– A jeśli to jest Tommy?

Rhun nachylił się i spojrział.

– Jego krew spływa na posadzkę i wlewa się do czarnej rozpadliny. – Spojrział Erin w oczy. – Sądziś, że Iskariota składa go w ofierze?

– Wykorzystuje krew do tego, by otworzyć wrota. Wy, sangwiniści, otwieracie krewią tajemne przejścia.

– Z tej szpary wysuwają się pazury – wtrącił sierżant. – To nie może być nic dobrego.

7.26

Bernard spojrział na demona wpełzającego z czeluści i ogarnęła go rozpacz. Czy mogą marzyć o zapobieżeniu Armagedonowi, skoro już się rozpoczęła? Odwrócił głowę i spojrział na ogień i dym. Dokąd się udać?

Wyraził głośno swoją wątpliwość:

– Erin, może ma pani rację, ale nadal nie wiemy, gdzie składana jest ta ofiara.

– Owszem, wiemy – rzuciła.

Zmierzył ją twardym spojrzeniem.

Zatoczyła palcem krąg wokół pięciu symboli otaczających postacie: lampy oliwnej, pochodni, róży, misy i cierniowej korony.

– Pięć symboli. Wiedziałam, że nie są wyłącznie dla ozdoby. Nic nie znalazło się na tym rysunku przypadkiem.

Kardynał uważnie przyjrzał się rysunkowi i zrozumiał, że Erin ma rację; znał te symbole i ta świadomość go dręczyła, ale nie potrafił ich umiejscowić. Nie był

tak obeznany z historią starożytną jak doktor Granger.

– Te symbole przedstawiają pięciu sławnych jasnowidzów z odległej przeszłości – wyjaśniła. – Pięć kobiet, pięć starożytnych wieszczek.

Bernard chwycił krawędź stołu. Ależ oczywiście!

– Kaplica Sykstyńska – rzekł z podziwem. – Jest tam namalowanych pięć kobiet.

– Dlaczego? – zaciekał się sierżant.

Kardynał z wdzięcznością ujął dłoń Erin.

– Tych pięć niewiast przepowiedziało narodziny Chrystusa. Pochodziły z różnych czasów i miejsc, lecz każda prorokowała jego nadejście.

Erin dotknęła każdego symbolu i wymieniała związane z nimi wieszczki:

– Sybilla Perska, Sybilla Erytrejska, Sybilla Delficka, Sybilla Libijska...

Zatrzymała się przy znaku na samej górze.

– Misa zawsze przedstawia Sybillę Kumańską. Mówi się, że symbolizuje ona narodziny Chrystusa. – Popatrzyła w stronę brzegu. – Wybrała sobie siedzibę w okolicy Neapolu. A z licznych starożytnych źródeł, od Wergiliusza po Dantego, wiadomo, że jej tron miał strzec samej bramy Pieła.

– Myślę więc, że on dąży do oswobodzenia Lucyfera, Upadłego Anioła – powiedział kardynał.

– Właśnie w taki sposób zamierza rozpętać Armagedon – dodała Erin.

Byli coraz bliżej brzegu i popiół siekł w szybę niczym mokry śnieg. Dym zaćmił niebo; dzień, który ledwie się rozpoczął, zamienił się w noc. Bernard zadrżał na myśl o straszliwym przeznaczeniu, które miało się spełnić.

Jordan odchrząknął i przyjrzał się z bliska rysunkowi.

– Jeśli wszystko tutaj jest istotne, to dlaczego ta anielica gapi się na coś za ramieniem Judasza i nie robi nic poza smutną miną?

Kardynał odwrócił wzrok od przesłoniętego dymem wybrzeża.

– A jej twarz – ciągnął sierżant – bardzo przypomina kobietę namalowaną na obrazie w gabinecie Iskarioty. To był portret olejny, Judasz trzymał rękę na jej ramieniu, jakby byli mężem i żoną.

Bernard przyjrzał się uważniej rysunkowi. Patrzył na twarz kobiety i nagle drgnął. Rozpoznał oblicze i przeszył go chłód.

Jak to możliwe...?

Erin zauważyła jego reakcję i zerknęła na rysunek.

– Znasz ją, kardynale?

– Spotkałem ją kiedyś osobiście – odparł cicho. Pamiętał plataninę tuneli pod Jerozolimą, ciemną sadzawkę oraz kobietę na jej brzegu, roztaczającą blask niezwykłej urody. Nie miała bijącego serca, lecz w zimnej grocie emanowała intensywne ciepło. – W czasie wypraw krzyżowych.

Erin zmarszczyła brwi z powątpiewaniem.

– Jak... gdzie ją spotkałeś?

– W Jerozolimie. – Bernard dotknął pectorału. – Strzegła pewnego sekretu, czegoś, co było zakopane głęboko pod kamieniem węgielnym tego starożytnego miasta.

– Jakiego sekretu? – drążyła.

– Rzeźby. – Skinieniem głowy wskazał rysunek. – Przedstawiała życie Chrystusa w obrazach Jego cudów. Miała wskazywać oręż, za pomocą którego można zniszczyć wszelkie zło. Odnalazłem ją, drogo to kosztowało.

Krzyki ginących mieszkańców miasta jeszcze teraz wypełniały jego uszy.

– I co się stało? – wypytywała Erin głosem dochodzącym jakby z daleka.

– Doszła do wniosku, że jestem niegodzien. Zniszczyła kluczowy fragment, zanim zdążyłem go ujrzeć.

– Ale kim ona jest? – chciał wiedzieć Jordan. – Jeśli żyła w epoce krucjat, a potem w okresie renesansu z Judaszem, to musi być nieśmiertelna. Czy to znaczy, że ona jest *strigo*? A może jest kimś takim jak Judasz albo ten chłopiec?

– Ani jednym, ani drugim – oznajmił Bernard, uprzytomniwszy sobie prawdę. Wskazał skrzydła wyrysowane nad jej ramionami. – Myślę, że ona jest aniołem.

Spoglądał na Erin, w jego oczach wezbrały łzy.

I uznała mnie za niegodnego, pomyślał.

U wybrzeża Włoch

20 grudnia, 7.38 czasu miejscowego

Rhun stał u drzwi kabiny pilota wodolotu, który mknął ku brzegowi. Za radą Erin wyznaczili kurs na północny zachód od Neapolu – do ciemnej zatoki na Morzu Tyrreńskim leżącej w cieniu wulkanicznego stożka, pod którym mieszkała niegdyś Sybilla Kumańska.

Wzburzone czarne fale kotłowały się obok kadłuba; obnażoną twarz Rhuna smagał popiół. Nie niósł zapachu krwi, lecz woń żelaza, sadzy i siarki. Kiedy ksiądz otarł go z czoła, na palcach osiadł mu pył.

Wstrząsy ustały, lecz erupcja wulkanu trwała dalej. Dym i popiół buchały z wierzchołka, w ciemność strzelały strumienie ognistej lawy. Erin wyjaśniła towarzyszom, że kaldera leży pośrodku wielkiego superwulkanu o nazwie Campi Flegrei. Ostrzegła ich, że jeśli mniejszy wulkan spowoduje zapłon tej monsturalnej studni magmy, która kryje się poniżej, nastąpi zagłada znacznej części Europy.

Ile mieli czasu?

Rhun wzniósł oczy ku niebu, szukając tam odpowiedzi na to pytanie, ale jej nie znalazł. Wschód słońca był tuż-tuż, lecz całun wulkanicznego dymu i popiołu sprawił, że trwała bezksiężycowa noc. Światła wodolotu sunęły pośród czarnej zamieci.

Erin i Jordan znaleźli sobie miejsce w kabinie i zatkali nosy i usta szmatkami. Wyglądali w tej niekończącej się nocy jak rabusie ratujący się przed opadem popiołu.

– Tam po prawej, czy to nie jest śmigłowiec?! – zawołał nagle sierżant, wskazując ręką.

Rhun stwierdził, że Amerykanin ma rację, i lekko się zirytował, że to nie on pierwszy zauważył maszynę. Swoim bystrym wzrokiem ksiądz dostrzegł jej unikalny kształt i oznaczenia; wszystko pasowało do tej, która ich zaatakowała.

– To śmigłowiec Iskarioty! – poinformował wszystkich.

Christian skierował wodolot w tamtą stronę i omiół maszynę światłem reflektorów.

Momentalnie odezwał się karabin i jedna z lamp zgasła. Gdy pociski zaterkotały na dziobie, Jordan i Erin się schylili. Christian zwiększył obroty silników, jakby chciał staranować śmigłowiec na plaży.

– Trzymajcie się! – krzyknął.

Rhun tymczasem odskoczył od drzwi i ruszył ku części dziobowej. Usłyszał zgrzyt piachu i kamieni pod płozami i wodolot zatrzymał się z nagłym przechyłem. Wyrzucony w powietrze ksiądz wykorzystał rozpęd, by przelecieć nad relingiem i pasem wody, który wciąż dzielił wodolot od plaży. Wylądował płynnie na miękkim piasku w pobliżu śmigłowca, wypatrzył poruszający się cień i runął na niego. Strzelec, który puścił serię do wodolotu, miał na sobie skórzaną kurtkę pilota. Wyszczrzył zęby, jak przystało na *strigo*.

Sangwinista zamierzył się karambitem na jego szyję i poświęcona klinga rozplątała ją aż do kości. Pilot osunął się na kolana, a potem na twarz. Piasek pociemniał od czarnej krwi, która zagotowała się, wypalając świętą substancję z przekłętego cielska. Tym sposobem zabrała z niego życie.

Rhun błyskawicznie ocenił wzrokiem sytuację na zasnutej popiołem plaży, po czym machnął ręką do towarzyszy, żeby zeszli na brzeg.

Gdy znaleźli się obok niego, przeniósł wzrok ze ścierwa *strigo* na mroczne niebo. Dzień wyglądał jak noc, toteż wszystkie stworzenia mogły się swobodnie poruszać.

Jordan wysledził na warstwie czarnego popiołu coś błyszczącego.

– Ćma Iskarioty. – Skierował latarkę na połyskliwe plamki wyglądające jak szmaragdy rzucone w błoto. – Nie porusza się. Pewnie mechanizm i te wszystkie trybiki nie poradziły sobie z masą popiołu w powietrzu.

– Mimo to uważajcie, po czym stąpacie – ostrzegła Erin sangwinistów. – Prawdopodobnie są nadal toksyczne.

Była to słuszna rada.

Zwłaszcza Christian z ostrożnością spoglądał pod nogi.

– Jak się czujesz? – zapytał go Rhun.

Młody sangwinista obliznął nerwowo usta.

– O wiele lepiej. Trochę wina, trochę świeżego powietrza... – Drwiącym gestem wskazał czarny pył. – Od takiego widoku chyba każdy poczułby się silny jak wół.

Ksiądz spojrzął na niego badawczo.

Christian wyprostował się i spowaźniał.

– Czuję się... znośnie.

Rhun z pewnością nie mógł mieć do niego pretensji o sposób, w jaki sterował wodorolotem. Dopłynął do brzegu w niespełna dwadzieścia minut.

Tymczasem Bernard rozglądał się po plaży. Nie szukał wskazówek co do miejsca pobytu Iskarioty, lecz wypatrywał posiłków, które wezwał w czasie podróży. Nie mogli liczyć na znaczącą natychmiastową pomoc; w grę wchodził jedynie sangwiniści przebywający w okolicach Neapolu. Rzym leżał zbyt daleko.

Erin coś krzyknęła, ale jej głos tłumiała maska. Ona i sierżant podeszli bliżej do klifu.

– Odciski stóp! – zawołała. – Tutaj, na piasku!

Gdy trzech sangwiniści podeszli, wskazała ślady, a Jordan oświetlił je latarką. Były świeże i wyraźnie widoczne na miękkim piasku, mimo że przysypał je popiół. Zerknęła w górę. Jej twarz ociekała potem; w tym miejscu nawet powietrze parzyło.

– Kierowali się do tego rumowiska głazów – powiedziała Erin.

Rhun skinął głową i ruszył na czele. Przedzierał się między kamieniami, aż doszedł do otworu wąskiego tunelu w skalnej ścianie. Mimo że pył skaził powietrze i zatykał nozdrza, ksiądz czuł siarczany wyziew wionący z ciemnego korytarza.

Sierżant zaświecił w głąb i zobaczyli długą gardziel czarnej skały z żółtymi smugami siarki.

– Ten tunel musi prowadzić w głąb góry – oznajmiła Erin. – Prawdopodobnie biegnie do ruin Kume i tronu sybilli.

A pod tronem jest brama Pieła, pomyślał Bernard.

– Zostań tutaj z Erin i Jordanem – nakazał, dotykając ramienia Christiana. – Oczekuj przybycia tych, których wezwałem. Kiedy się zjawią, podążycie za nami. – Zrobił sobie nożem nacięcie na palcu. – Pójdziecie tropem mojej krwi.

Erin podeszła do niego.

– Racja – przyznała. – Christian powinien zostać i poprowadzić resztę, ale ja idę od razu. Znam historię wyroczni i tego miejsca lepiej niż ktokolwiek. W podziemnym labiryncie ta wiedza może się okazać potrzebna.

Sierżant skinął głową.

– No właśnie. Ja też idę.

Kardynał zgodził się aż nazbyt łatwo. Rhun chciał zaoponować, ale zdawał sobie sprawę, że Erin trudno jest cokolwiek wyperswadować.

Weszli do tunelu, a Christian został, by pilnować tyłów i czekać na posiłki.

Pierwszy kroczył ksiądz. Bernard, który maszerował za nim, zwrócił uwagę na to, że sierżant dla bezpieczeństwa pozwolił Erin iść przed sobą. Oboje zdjęli już maski z twarzy, bo nie musieli ich już chronić przed opadem popiołu. Łatwiej im się oddychało, lecz po ich policzkach spływały strumienie potu.

Rhun posuwał się pewnie, obywając się bez światła. Dochodząc do każdego rozwidlenia korytarza, węszył w powietrzu. Mimo odoru siarki wyczuwał inne zapachy: potu, znajomych perfum, piźmowej wody kolońskiej. Trop prowadził go w ciemności niezawodnie jak mapa.

Tunel wił się i skręcał. Rhun ocierał się barkami o ściany, ale nie zwalniał. Bernard deptał mu po piętach lub, kiedy było to możliwe, kroczył obok niego. Zapewne on również kierował się zapachem. Idąc, znaczył przejście kropelkami swojej krwi.

Rhun wyczuwał wyraźną nutę szkarłatnego zapachu; starał się nie słyszeć przełkniętego bicia serca Erin, która mimo lęku szła dalej z niezachwianą determinacją i siłą woli. Serce Jordana także biło szybko, lecz rozumiał, że sierżant bardziej się boi o bezpieczeństwo kobiety niż o własne.

Snopy światła z ich latarek zbiegały się, przez chwilę rozjaśniając podziemną trasę. Schodząc coraz głębiej, Rhun dostrzegał czarne smugi wijące się na sklepieniu. Wyglądały jak żywe dymne pnącza. Stawały się coraz grubsze i wyglądały jak wypustki dobywające się z głębin.

Wciągnął zapach jednej z nich i zakrzuszył się smrodem. Cuchnęła siarką, ale także gnijącym mięsem, zepsuciem i mrokiem starożytnej krypty.

Z zatroskaniem spojrzął na Bernarda, ale kardynał patrzył tylko przed siebie.

Ciemny dym zmącił zmysły Rhuna, tak że ksiądz omal nie przegapił szurania bosych stóp, szmeru odzienia. Nagle w ciemności błysnęły klingi mieczy.

Strigoi.

Znaleźli się w pułapce.

Rhun i Bernard zareagowali na nagłą szarżę równocześnie; srebrne klingi ich noży mignęły, tworząc zamazaną plamę. W ciągu swego długiego życia wielokrotnie stawali do boju ramię w ramię. Łatwo usiekli dwóch pierwszych napastników, lecz z tuneli napływali kolejni. Ciemność aż pulsowała od ich plugawych cielsk, wściekle syki rozbrzmiewały donośnie.

Na szczęście tunel był wąski i ograniczał liczbę wrogów napływających jednocześnie. Zdawało się, że wataha stara się tylko powstrzymać pochód sangwinistów, opóźnić go. Być może ich zgładzenie nie było potrzebne, by zapewnić triumf Iskariocie. Wystarczyło tylko spowolnić intruzów, zyskać trochę czasu na doprowadzenie zadania do końca.

To zaś dawało Rhunowi nadzieję.

Jeśli Iskariota wysłał *bestie*, by udaremnić działanie sangwinistom, musiało istnieć coś, czego dopiero chciał dokonać.

Może jeszcze nie jest za późno.

Ksiądz zacisnął zęby i wojował dalej.

Gdzieś z tyłu dobiegł odgłos wystrzałów. Zerknąwszy przez ramię, zobaczył kolejnych *strigoi*. Albo czaili się w ukryciu, albo okrążyli ich w labiryncie i zaszli od tyłu. Serie z pistoletu maszynowego Jordana rozpruły pierwszych. Erin stała za sierżantem i także prowadziła ostrzał z pistoletu.

– Pomóż im – zwrócił się Bernard do księdza. – Ja będę trzymał front.

Ale jak długo?

Rhun wykonał zwrot i jego klinga dołączyła do oręży dwojga Amerykanów. Walczyli razem skutecznie. Erin spowalniała wrogów dobrze wymierzonymi strzałami w nogi i kolana. Jordan celował w głowy – jego pociski roztrzaskiwały czaszki – a Rhun rozprawiał się z tymi, którzy podeszli blisko.

Utrzymywali teren, ale czas płynął.

Bez wątpienia na tym właśnie zależało Iskariocie.

Nagle zza cizby *strigoi* wyłoniły się czarne habity. W ciemności połyskiwały srebrne krzyże.

To była odsiecz sangwinistów.

Prowadził ich Christian, trzymając miecze w obu rękach. Przebił się przez ostatnich wrogów i dotarł do swoich. Sierżant klepnął go radośnie w ramię.

Pozostali sangwiniści znaleźli się u boku Bernarda.

Rhun podszedł do nowo przybyłych braci.

– Rozproszyc się. Oczyśćcie flanki! – zawołał kardynał, wskazując ręką labirynt korytarzy.

Gdy znowu podjęli marsz, ksiądz ze zdwojonym wysiłkiem siekł kolejnych *strigoi* i oddział posuwał się naprzód. Tunel zrobił się szerszy, ukazała się podziemna rzeka i most, a za nim oświetlona pochodniami jaskinia.

Rhun i Bernard zapędzili resztkę *strigoi* do brzegu rzeki i zepchnęli do wrzącego nurtu, a ten ich porwał. Sangwiniści, którzy przybyli z odsieczą, uwijali się na tyłach.

Erin podbiegła do Rhuna i wskazała siarkowy opar bijący z powierzchni wody. Widać było poruszające się za nim niewyraźne kształty. Składano ofiarę.

– Prędej!

Rzucili się pędem przez kamienny śliski most.

Gdy tylko stopa Rhuna dotknęła skały po drugiej stronie, poczuł, że powietrze zrobiło się lodowate jak w grobowcu w samym środku zimy. Oddechy Erin i Jordana, zaskoczonych raptowną zmianą, wyglądały jak białe pióropusze, ale przerażający widok, który ujrzeli, zmroził ich jeszcze bardziej.

Pośrodku jaskini na wierzchołku czarnego kamienia spoczywała blada postać unieruchomiona siatką z lin, całkowicie spowita chmurą ciemnej mgły, która kłębiła się i buchała, sięgając aż do sklepienia i ujścia każdego tunelu odchodzącego od groty. Wysuwała macki, poszukując wolnej przestrzeni.

Wszystko tonęło w smrodzie zagłady i zepsucia.

Przed ścianą złej mocy stała znajoma szara postać Iskarioty. Na jego twarzy malował się wyraz triumfu.

Za ołtarzem do ściany była przykuta kobieta o lśniącej ciemnej skórze i palających oczach.

– To ona! – powiedział Bernard, chwytając rękaw habitu Rhuna.

Ten nie zwrócił uwagi na kardynała; jego wzrok wyszukał ostatniego aktora w tym posępnym teatrze.

Elżbieta leżała w kałuży czarnej krwi, lecz widać było, że nie jest to jej krew. Hrabina poruszała się pod gromadą *strigoi*. Zwłoki innych ścieliły się wokół niej. Nieliczne ćmy, którym mróz ściał delikatne skrzydełka, drgały na zimnym kamieniu.

Hrabina wypatrzyła Rhuna oczami błyszczącymi z trwogi. Nie o własne życie się bała.

– Ratuj chłopca!

Jordan zbliżył się do Erin i szybko ocenił sytuację.

Nastąpiła chwila niemego oszołomienia i raptem z najbliższej położonych tuneli po obu stronach wypadły watahy *strigoj*. Bernard wziął na siebie tych po lewej stronie, Rhun rzucił się ku tym, co nadbiegali z prawej.

Sierżant pchnął Erin do przodu, jak najdalej od tamtych, a sam skierował się ku trzeciemu bezpośredniemu zagrożeniu.

Uniósł pistolet i popędził w kierunku postaci w szarym garniturze. Iskariota odwrócił się, lecz Jordan uprzedził ewentualną ciętą ripostę. Puścił trzy krótkie serie w jego klatkę piersiową, mierząc w okolice serca.

Iskariota upadł na plecy; na marynarce i białej koszuli ukazała się jasnoczerwona plama. Krew rozlewała się na kamienne podłoże.

– Należało ci się, draniu – rzucił cicho, dotykając ręką swojej piersi.

Wciąż jednak mierzył do Judasza, który był przecież nieśmiertelny. Jego rana pewnie się zagoi, ale jak długo to potrwa? Tommy potrzebował trochę czasu na to, by wyzdrowieć. Sierżant miał nadzieję, że z Iskariotą będzie podobnie, ale zachowywał czujność. Strużka purpurowej krwi spływała po czarnym kamieniu, jakby się kierowała ku czarnemu wirowi.

Zamarzła jednak, nim do niego dotarła.

Erin, chcąc przyjść chłopcu z pomocą, zrobiła krok w tamtą stronę, lecz sierżant złapał ją za rękę.

– Poczekaj!

– Sądzisz, że ta krew jest trująca?

– Myślę, że może być o wiele gorzej – odparł. – Pójdę pierwszy.

Zbliżywszy się do kamienia, poczuł, że nieopuszczające go ani na chwilę pieczenie w ramieniu zelżało, a skóra się ochłodziła. Z każdym krokiem nogi robiły mu się cięższe. Miał wrażenie, że moc wypływająca z podziemia gasi w nim ogień, a wraz z nim odbiera siłę. Nagle zabołało go w klatce piersiowej i palce same powędrowały do miejsca postrzału. Spojrzał w dół, spodziewając się zobaczyć tam krew.

– Jordan?

– Nie mogę... – Opadł na kolana.

Rhun słyszał wystrzały i widział, jak Iskariota pada. Był jednak zaabsorbowany walką i nie mógł nic zrobić. Bernard powstrzymywał natarcie *strigoi* przed wylotem tunelu po przeciwnej stronie grotty. Ksiądz skoczył susem ku hrabinie zmagającej się z kilkoma bestiami naraz. Jeszcze w powietrzu rozplątał dwie i cisnął ścierwa prosto na nadbiegających wrogów.

Lądując nogami na ziemi, zmiażdżył kilka ciem, które były dziwnie osłabione zimnem, po czym rzucił się na watahę.

Jego miecz śmigał w powietrzu; *strigoi* padali pokotem, a ich posoka tryskała na kamień.

Szarpały Rhuna pazurami i zębami, on jednak parł dalej i zapędził je z powrotem do tunelu. W końcu utraciły chęć do walki i umknęły w ciemność.

Korzystając z chwili wytchnienia, odwrócił się na pięcie. Elżbieta borykała się z czwórką wrogów, zwijała się niczym osaczona łwica. Krew sączyła jej się z wielu ran, lecz tamci również krwawili.

Przez chwilę trwał zastój.

Ksiądz ruszył, by go przerwać.

Kume, Włochy

20 grudnia, 7.54 czasu miejscowego

Erin odciągnęła Jordana od kłębu czarnego dymu, który stał się czymś w rodzaju ogniska bez płomieni. Sierżant zdołał stanąć na własnych nogach, ale nadal pocierał ręką klatkę piersiową. Czyżby wysiłał się za bardzo po niedawnych przejściach? Erin z ulgą poczuła, że jego dłoń zrobiła się cieplejsza.

Za dymnego tumanu rozległ się głos:

– Blżej nie wolno wam podejść. – Słowa te wypowiedziała kobieta przykuta do ściany. Była w prostej białej tunice i skórzanych sandałach i wyglądała, jakby zstąpiła ze starożytnej greckiej urny.

Erin okrążyła kłąb czarnego dymu, żeby przyjrzeć się dokładniej jej twarzy. Bez wątpienia była to kobieta przedstawiona na starym rysunku i na obrazie olejnym w gabinecie Iskarioty, prawdopodobnie ta sama, którą Bernard zobaczył w Jerozolimie. Przywiązano ją do żelaznego pierścienia umocowanego w skale; najwyraźniej stała się więźniem tak samo jak Tommy.

Ale kim była?

Dociekania Erin przerwał widok *strigoi*, którego Rhun cisnął w chmurę dymu wiszącego nad ołtarzem. Z gardła bestii wyrwał się wrzask. Cielsko zamarło momentalnie w pozie śmiertelnego cierpienia. Erin zdawało się, że zobaczyła, jak z jego ust i nosa bucha smolista ciemność i dołącza się smugą do czarnego tumanu, który zawisł nad Tommym. Przypomniała sobie rysunki w makabrycznym dzienniku naukowym Elżbiety oraz sporządzony przez nią opis dymnej esencji związanej jakoś ze *strigoi*.

Nagle ciało potwora uderzyło w przeciwległą ścianę i roztrzaskało się niczym talerz z chińskiej porcelany.

Ogarnięta lękiem Erin cofnęła się o krok.

Jak ocalić chłopca? Czy on w ogóle jeszcze żyje?

– Mogę go dosięgnąć – odezwała się przykuta do skały kobieta, jakby czytała w jej myślach.

Erin popatrzyła na nią.

Tamta uniosła skrepowane rękę.

– Uwolnijcie mnie.

Erin i Jordan wymienili spojrzenia.

Sierżant wzruszył ramionami, trzymając pistolet skierowany w *strigoi* po przeciwnej stronie groty. Rhun wraz z Bernardem i Elżbietą właśnie przepędzali niedobitki watahy.

– W tej chwili każdy wróg Iskarioty jest moim przyjacielem – powiedział.

Mimo to Erin się wahała, pamiętała bowiem obraz, na którym Judasz obejmował kobietę i patrzył na nią z miłością.

– Ktoś musi tam podejść i ocalić chłopca – przypomniał jej Jordan.

Skinęła głową, podbiegła i sztykletem sierżanta zaczęła piłować grubą linę wiążącą ręce kobiety do żelaznego pierścienia. Jordan ją ubezpieczał.

Tamta spojrzała w oczy Erin. Wokół lała się krew, lecz w oczach nieznanym palił się płomień pokoju.

Erin przeknęła ślinę; miała świadomość, kogo ratuje, ale chciała usłyszeć potwierdzenie.

– Ty jesteś Sybilla Kumańska.

Kobieta skinęła lekko głową.

– To jedno z licznych mian, które nosiłam przez wieki. W tej chwili wołam imię Arella.

– Pomożesz chłopcu? – Erin zerknęła ku wiotkiej postaci leżącej na kamieniu.

– Muszę... tak jak dawno temu musiałam pomóc innemu chłopcu.

Dłonie Arelli były wolne. Uniosła je złożone jak do modlitwy, palce wskazujące znalazły się kilka centymetrów od jej twarzy.

Jordan i Erin, wyczuwając, że coś zaczyna się z nią dzieć, odstąpili.

Z jej postaci spłynęło naraz złote światło i sprawiło, że cofnęli się jeszcze bardziej. Erin poczuła ciepło przenikające aż do kości, gdy musnęła ją aura tego światła; było jak łagodny dotyk promieni letniego słońca, pachnący trawą i koniczyną. Wchłonęła je i przepełniła ją radość podobna do tej, którą poczuła na widok Ewangelii Krwi przemieniającej się z surowego bloku kamienia w księgę ze słowami Chrystusa.

Nagle nasunęło jej się słowo opisujące to, co czuła.

Świętość.

Znalazła się blisko prawdziwej świętości.

Jordan uśmiechnął się; widać było, że odczuwa to samo co ona. Na chwilę w samym środku bitewnej zawieruchy zapanował pokój. Erin przyłgnęła do Jordana, dzieląc się z nim przenikającym ją ciepłem, siłą i miłością.

– Czy możemy jakoś pomóc? – zapytała.

Kobieta emanująca łaską odwróciła się do niej.

– Nie. Ani wy nie możecie go uratować, ani mnisi. Tylko ja.

Arella odeszła od ściany i skierowała się ku spiętrzonemu stosowi zimnego mroku. Niektóre smugi ciemności na jego skraju spłonęły, kiedy zbliżyła się w otoczeniu promieni. Inne pierzchy i schroniły się w chmurze, jakby się bały jej dotyku.

Ona zaś weszła do wnętrza tumanu i jej blask rozbłysnął mocniej, pokonując kłębiącą się wokół ciemność. Łuna wspięła się i rozszerzyła pośród mroku, układając się w znajomy kształt.

Erin dobrze pamiętała starą rycinę znaną w sejfie.

Widniały na niej skrzydła.

Jak to możliwe, by taka istota przebywała na Ziemi?

Nagle uświadomiła sobie, że o wiele łatwiej było jej uwierzyć w *strigoi*, w istnienie plugawego cielesnego zła, niż pogodzić się z obecnością dobra. Nie mogła jednak zaprzeczyć temu, czego była świadkiem.

Arella podeszła do ołtarza i stanęła obok chłopca.

Mrok zamknął się wokół niej, usiłując szarpać nimb jej jasności.

Po drugiej stronie rozległ się krzyk:

– Nie... Arello... nie!

Iskariota wstał, jego koszula była przemoczona krwią. Wycofał się do tunelu, którego otwór ział za jego plecami, i zniknął.

Sierżant ruszył w tamtym kierunku, żeby go ścigać, lecz Erin chwyciła go za rękę; chciała go mieć blisko.

– On wie, że przegrał, ale chłopiec może nas potrzebować.

Jordan skrzywił się, ale skinął głową. Mimo to trzymał broń w pogotowiu.

Arella uklękła na nierównym kamiennym podłożu. Jej skrzydła wygięły się i utworzyły ochronny całun wokół chłopca. Tommy leżał na wznak, jego ciało okryte było ciężką siecią. Skóra przybrała odcień szarego wosku jak u nieboszczyka.

Spóźniliśmy się.

Gardło Erin się zacisnęło.

Jednak sybilla dotknęła pobladłej twarzy i ta nabrała barw, które rozszerzyły się pod jej palcami. Była jeszcze nadzieja.

Arella uniosła głowę Tommy'ego i ułożyła jego szyję w zagłębieniu swojej ręki. Ukazał się lśniący odłamek srebra, którym przebito mu gardło, z rany ciekła krew. Drugą ręką kobieta zerwała róg siatki, który wyglądał, jakby już wcześniej został poluzowany. Wsunęła rękę pod siatkę i delikatnym ruchem uwolniła chude ciało chłopca.

Ciemny obłok nie zamierzał jednak dopuścić, by tak łatwo pozbawiono go ofiary. Kiedy Arella wzięła Tommy'ego na ręce i wstała, chmura mroku skupiła się, przybierając kształt czarnych szponów, które wbijały się głęboko w nimb światła, szarpały go i rozrywały.

Arella westchnęła boleśnie i osunęła się na jedno kolano.

Jej tunika pękła na plecach, odsłaniając czarne zadrapania na ramionach.

Erin wyciągnęła do niej rękę, lecz wnet opadły. Wiedziała, że nic nie może zrobić.

Sybilla uniosła się z trudem, dźwigając chłopca na rękach. Złota poświata przygasła, jej brzegi wyglądały teraz jak porwane koronki. Wieszczyca zgarbiła się pod tym atakiem, a ciemność srożyła się coraz bardziej. Mroczny tuman zacisnęła się, chciał zdławić blask, targał go niczym wściekła burza śnieżna.

Sybilla zrobiła jeden niepewny krok, potem drugi.

Zdawało się, że resztę swojej poświaty skupia wokół chłopca, pozbawiając się tarczy przed wrogim naporem.

Postąpiła jeszcze jeden krok i wysunęła się poza granice mroku. Opadła na kolana, wciąż trzymając Tommy'ego w ramionach. Tunika była w strzępach, skóra upstrzona czarnymi kropkami oparzeń i zadrapaniami, czarne włosy zrobiły się białe jak u ducha.

Erin podbiegła do niej, kiedy kobieta osunęła się na bok. Chwyliła chłopca pod pachami i odciągnęła dalej od mrocznego obłoku.

Sierżant wziął Arellę na ręce i także odniósł ją na bok.

– Musimy ich stąd zabrać – powiedziała Erin. – Jak najdalej od tego przekłętą zakątka.

Walka ze *strigoi* dobiegła już końca.

Niedobitki watahy umknęły, kiedy Iskariota opuścił grootę.

Rhun i Bernard podeszli do Erin, a między nich wepchnęła się hrabina i zbliżyła się do chłopca.

– Jego serce słabnie – odezwała się. Z jej oczu wycierał nieklamany łęk.

Rhun skinął głową, potwierdzając jej słowa.

– Nie dojdzie do siebie, póki to w nim tkwi – stwierdziła hrabina.

Zanim ktokolwiek zdołał wypowiedzieć słowo ostrzeżenia, wyrwała odłamek srebra z jego szyi i cisnęła go daleko na bok. Z rany Tommy’ego nadal płynęła krew.

– Dlaczego rana się nie goi? – spytała Erin.

Wszyscy spojrzeli w kierunku odrzuconego ostrza.

Z ciemnego tunelu, obok którego leżało, wynurzyła się jakaś postać.

Iskariota patrzył na wrogów z zimną wściekłością.

Zerknął na Arellę leżącą na skalnym podłożu i szybko podniósł srebrny odłamek. Był tak rozżalony, że przestał być uważny i zaciął się przy tym. Ostrze przebiło skórę i zamiast krwi popłynęły z niej krople złotego światła.

Krzyknął zaskoczony i upadł na plecy.

Jordan zaczął do niego strzelać; pociski krzeszały iskry na kamieniu.

Rhun skoczył i pokonał szerokość jaskini z prędkością, na jaką stać było tylko sangwinistę. Jego karambit błysnął w blasku pochodni.

Ksiądz chwycił Iskariotę i rzucił nim w głąb tunelu, z którego w tym momencie wyszedł ktoś inny.

8.06

Rhun stanął jak wryty; zaszokowany, nie wierzył własnym oczom. Spoglądał na mnicha w znajomym brązowym habicie przewiązanym różańcem, w okularach, które nadawały jego fizjonomii rys wiecznego chłopca.

– Brat Leopold?

Powstały z martwych.

Leopold uniósł miecz; jego nieruchoma twarz wyrażała surową powagę.

Ksiądz gapił się na niego. Usiłował rozwikłać zagadkę postępowania Leopolda oraz fakt, że mnich wciąż jest wśród żywych. Przemknęło mu przez myśli tysiąc wyjaśnień, ale wiedział, że wszystkie są fałszywe. Trzeba zmierzyć się z prawdą.

Oto stał przed nim zdrajca sangwinistów, ten, który od samego początku należał do legionu Iskarioty.

Ilu poległo za przyczyną tego, którego zwał przyjacielem?

Milczące serce Rhuna przywoływało na pamięć twarze i imiona. Wielu z nich oplakiwał, innych ledwo znał. Przypomniał sobie maszynistę i jego pomocnika.

Jednakże jego furię bardziej niż wszystkie inne budziło jedno jedyne imię.
– Nadia przez ciebie zginęła.

Leopold miał w sobie przyzwyczajenie i jego twarz wyrażała ból. Mimo to znalazł dla siebie usprawiedliwienie:

– Wszystkie wojny niosą ze sobą ofiary. Ona to wiedziała lepiej niż ty i ja, godziła się na to.

Rhun nie zdzierzył tego banału.

– Kiedy zacząłeś zdradzać zakon? Od jak dawna jesteś zdrajcą?

– Zawsze służyłem wyższemu celowi. Zanim złożyłem śluby sangwinisty, zanim wypilem pierwszy puchar Chrystusowej krwi, kroczyłem drogą wskazaną przez Damnatusa. By dopomóc w powrocie Chrystusa na Ziemię.

Ksiądz zmarszczył czoło. Jak to możliwe? Dlaczego Leopold nie spłonął tak jak inni *strigoj*, którzy pragnęli zwieść zakon, składając przysięgę fałszywie?

Odpowiedź znalazł w oczach adwersarza, które pałały wiarą i oddaniem.

Leopold, składając śluby, nie przysięgał fałszywie. Całym sercem wierzył, że służy Chrystusowi.

– Oplakaliśmy cię – odezwał się Rhun. – Pochowaliśmy twój różaniec w Sanktuarium ze wszystkimi honorami, tak jakbyś poległ w Jego służbie.

– Bo i Mu służę – potwierdził zdecydowanie Leopold. – Gdybym nie służył, konsekrowane wino nie przynosiłoby mi błogosławieństwa, a wciąż je przynosi.

Rhun się zawahał. Czyżby poświęcenie Leopolda było absolutne?

– Musisz dostrzec prawdę w moich słowach – powiedział błagalnym tonem Leopold. – Możesz się do nas przyłączyć. Przyjmujemy cię z radością.

Ksiądz ogarnęło zdumienie.

– Pragniesz, żebym odstąpił od Kościoła i przystał do tego, który zdradził Chrystusa? Do człowieka, który połączył siły ze *strigoj*?

– Czy i ty nie sprzymierzyłeś się z nimi? – Leopold wskazał skinieniem Elżbietę.
– Serce musi podążać za tym, w czym widzi słusność.

Słowa te oszołomiły Rhuna, i do tego właśnie w swojej przebiegłości tamten dążył.

Leopold rzucił się na niego błyskawicznie i wściekle, z mieczem wyciągniętym na wprost.

Rhun w ostatniej chwili wykonał unik, jego instynkt zareagował szybciej niż myśl. Klinga miecza Leopolda przebiła zbroję i drasnęła jego żebra. Ksiądz bez zastanowienia zamachnął się karambitem.

Jego przeciwnik zatoczył się w tył i upuścił miecz. Złapał się za gardło; spomiędzy palców wyciekała krew. Upadł na klęczki, jego okulary się przekrzywiły, mimo to nie odrywał wzroku od Rhuna. Lecz jego oczy nie pały gniewem ani żalem. Płonęła w nich jedynie wiara i oddanie.

Kume, Włochy

20 grudnia, 8.09 czasu miejscowego

Ze łzami w oczach, trzymając się ręką za gardło, Erin patrzyła, jak ciało Leopolda osuwa się na skalne podłoże. Pamiętała łagodnego mężczyznę ze znamionującymi inteligencję zmarszczkami wokół oczu i z cierpkim autoironicznym humorem. Pamiętała, jak ocknęła się w tunelu pod powierzchnią Rzymu, pewna, że nie żyje. I wtedy zobaczyła twarz Leopolda, który trzymał ją za rękę i dzięki swoim umiejętnościom medycznym zdołał ją reanimować.

Ocalił jej życie.

A jednak ukrywał tajemnice, które ściągnęły śmierć na wielu.

Nagle ziemia zatrzęsa się gwałtownie, jakby olbrzymia pięść grzmotnęła w skałę od spodu. Czarna chmura wokół ołtarza zwinęła się i zakotłowała, a potem zaczęła się strzępić i miotać. Ze wszystkich korytarzy dobiegło zwielokrotnione echem zgrzytanie i łoskot spadających kamieni.

– Nogi za pas, wszyscy! – ryknął Jordan.

Erin pomogła Elżbiecie dźwignąć Tommy’ego i rzucili się w stronę mostu. Rhun zajął miejsce na czele, a Bernard i Jordan biegli za nim, niosąc Arellę. Ziemia nadal drżała. Skałę spinającą brzegi rzeki przecięła rysa, woda odbijała się od kamiennego łóżyska i tryskała wysoko w górę.

– Prędszej! – zawołała Erin.

Pędzili ile sił. Elżbieta zostawiła ją w tyle, mimo że dźwigała chłopca. Przemknęła po moście i wyprzedziła nawet Rhuna. Gdy dotarli do gromadki sangwinistów, którzy pilnowali tuneli prowadzących ku powierzchni, zobaczyli wśród nich Christiana.

Erin wpadła biegiem na rozgrzaną ścianę siarczanego oparu, parzącego w porównaniu z chłodem, który panował w grocie. Bała się poślizgnięcia na wilgotnej skale, lecz nie zwolniła. Spory kawał mostu oderwał się i z pluskiem wpadł do buzującej wody. Na skale pojawiało się coraz więcej rys.

Raptem ziemia zatrzęsła się jeszcze mocniej i Erin runęła jak długa. Luka, która ukazała się pod jej palcami, robiła się coraz szersza. Była nie do pokonania. Z nurtu rzeki wzbijały się pióropusze pary i wody.

Wtedy zjawił się Rhun – przefrunął przez powietrzny zamęt niczym ciemny kruk, wylądował obok niej, porwał ją w ramiona i skoczył nad czeluścią. Spadł z impetem po drugiej stronie, przyjął na ramię siłę uderzenia i potoczył się, osłaniając Erin.

Jordan...

Kardynał wykonał taki sam skok jak Rhun, trzymając w objęciach wieszczkę. Sierżant śmignął tuż obok niego. Obaj wylądowali na nogi, choć ten drugi musiał jeszcze przebiec kilka kroków, żeby nie stracić równowagi.

Tymczasem cały skalny most popękał na kawałki i walił się w nurt rzeki.

Gorąca para parzyła skórę Erin i paliła w płuca.

– Nie zatrzymujcie się! – zakomenderował Bernard.

Całą grupą pomknęli przez labirynt. Strach gnał Erin ku górze. Czuła pod stopami nieprzerwane drżenie. Wyobraziła sobie kłębiącą się w dole ciemność. Dlaczego to się nie kończyło?

Czyżby się spóźnili?

Czy brama Piekła wciąż się otwierała?

8.15

Rhun pędził obok Elżbiety, która niosła na rękach Tommy’ego, zapowiedzianego w prorocztwie Pierwszego Anioła. Pamiętał jej okrzyk tuż po tym, jak wkroczyli do lodowatej pieczary.

Ratujcie chłopca!

Słyszając ból i niepokój w jej głosie, domyślił się, że to nie przepowiednia podsycala jej pragnienie ocalenia Tommy’ego. Tuliła go teraz w ramionach, a jej usta znieruchomiały w wyrazie zatroskania. Puls chłopca był nierówny, ale serce biło – słabo, lecz z determinacją. Ksiądz śledził każdy krok Elżbiety, gotów ją pochwycić, w razie gdyby się potknęła. Z tysiąca jej ran ciekła krew, ona jednak czerpała siłę ze źródła głębszego niż to, które napędzało *strigo*i.

Tak zachowuje się matka pragnąca za wszelką cenę ocalić swoje dziecko.

Dwójka Amerykanów biegła za nimi, a dalej podążał kardynał z ciemnoskórą kobietą na rękach. Rhun pamiętał złote światło sączące się z jej postaci i słowa Bernarda o tym, że nieznamoma jest aniołem. A przecież najwyraźniej знаła Iskariotę i coś ich łączyło. Ale co anioł mógłby mieć wspólnego ze zdrajcą Chrystusa?

Czy ktokolwiek by chciał, żeby tak było?

Spojrzał na smugi krwi znaczące rękaw jego płaszcza.

Była to krew Leopolda.

Tak wiele pozostawało niewiadomych.

Dobiegli wreszcie do końca tunelu i przez kamienne rumowisko przedostali się na plażę. Niebo, wciąż czarne, zasłaniało słońce. Zerknął na Elżbietę. Na razie dzień niczym jej nie zagrażał. Opadła jednak kolanami na piasek. Słońce było już nad horyzontem i odbierało jej siły, choć i tak były już niewielkie.

Rhun popatrzył na zasnuty dymem aż po horyzont nieboskłon. To, co Iskariota, wykorzystując Pierwszego Anioła, rozpoczął w podziemnej świątyni, jeszcze się nie skończyło.

Kardynał ze strapioną miną złożył kobietę na piasku. Nie otworzyła oczu, lecz jedna ręka poruszyła się słabo i dotknęła twarzy, jakby usiłowała zgarnąć z niej pajęczynę.

Tajemnicza kobieta żyła.

Elżbieta położyła chłopca obok niej, oparła jego głowę na piachu i przyjrzała się ranie Tommy'ego na szyi. Krew dalej się z niej sączyła, ale było jej odrobinę mniej. Czy dlatego, że rana się goiła, czy też po prostu wyciekło już z niego życie?

Hrabina trzymała go za rękę. Rhun nie wątpił, że byłaby gotowa ukatrupić każdego, kto spróbowałby go skrzywdzić. Pamiętał, jak zaciekle broniła swoich dzieci nawet wtedy, gdy mordowała inne. Jej poczucie lojalności było dla niego zbyt zawile.

Wiatr podwiał jej pelerynę i smuga światła dosięgła policzka Elżbiety. Zaniepokojony ksiądz podbiegł do niej, lecz skóra hrabiny nie uległa oparzeniu. Widocznie w powietrzu było tyle nieczystego popiołu, że *strigo*i mogli swobodnie poruszać się pod tym straszliwym niebem.

Wyobrazził sobie chmurę popiołu okrążającą cały świat, budzącą strachy drzemiące od dawien dawna w kryptach, mogiłach i innych zakamarkach, do których nie docierały promienie słoneczne.

Elżbieta również wyczuła tę odmianę i uniosła głowę, kierując twarz ku szaremu niebu. Mimo że zasnuła popiołem, dało jej pierwszą od setek lat szansę ujrzania gołym okiem blasku dnia. Patrzyła na nie długą chwilę, po czym skupiła znów uwagę na rannym chłopcu.

Kardynał podszedł do niego od drugiej strony. Zdjął marynarkę i rozpiął zakrwawioną białą koszulę, pod którą miał ukryty pancerz. Otworzył wodoszczelny schowek na piersi po stronie serca i wyjął zwyczajnie wyglądający tomik oprawiony w skórę.

Rhun aż otworzył usta ze zdziwienia.

Była to Ewangelia Krwi.

8.21

Zauważywszy Ewangelię w dłoniach kardynała, Erin przyklęła obok głowy chłopca. Wyczuwała ciężar liczącego setki lat proroctwa, który odcisnął się na bladym czole. Popiół osiadł na miękkiej, wciąż chłopięcej czuprynie Tommy'ego. Coraz więcej płatków spadało na policzki i wargi. Wyciągnęła rękę i starła je, zostawiając na skórze smugę o barwie zardzewiałego żelaza.

Nie poruszył się pod jej dotykiem, jego oddech był płytki i zbyt wolny.

– Co mu dolega? – spytała Christiana, który pojawił się obok niej. – W Sztokholmie o wiele szybciej doszedł do siebie. Dlaczego teraz nie zdrowieje?

– Nie mam pojęcia – odpowiedziała szeptem hrabina Batory i zerknęła na nią. W jej oczach płonął żal tak głęboki, że zaskoczyło to Erin. – Ale pamiętam słowa Iskarioty. Mówił, że posłuży się ostrzem, które potrafi uśmiercać anioły. Słyszę, że młode serce tego chłopca zamiera. Prawdopodobnie za sprawą tego sztyletu. – Odgarnęła włosy z jego czoła.

Bernard opadł na kolano.

– Wsunę mu Ewangelię do rąk. Może jej błogosławieństwo przyniesie mu ocalenie.

Batory się skrzywiła.

– Pokładasz nadzieję w następnej świętej księdze, kapłanie? Czy pierwsza dobrze się nam przysłużyła?

Mimo to nie zaoponowała, gdy Bernard uniósł dłonie chłopca do swojej piersi. Nawet ona rozumiała, że lepsza jakakolwiek nadzieja niż żadna.

Kardynał z czcią włożył księgę do rąk Tommy'ego. Okładka dotknęła skóry dłoni i na chwilę zajaśniała złotym blaskiem, a potem znów pociemniała.

Tommy zamrugał.

– Mama...?

Hrabina nachyliła się nad nim i łza z jej oka kapnęła na policzek chłopca.

– To ja, Elżbieta, mój dzielny chwacie. Jesteśmy wolni.

– Otwórz księgę, synu – ponaglił Bernard. – I ocal świat.

W głowie Erin zabrzmiały słowa proroctwa.

Triada z proroctwa musi zanieść księgę Pierwszemu Aniołowi, by tę księgę pobłogosławił...

Spojrzała na Rhuna, na Jordana i na Batory.

Tommy starał się usiąść i spełnić swoje zadanie.

Hrabina dopomogła mu, podpierając bokiem jego plecy. Traktowała go z niezmierną delikatnością.

Chłopiec położył książkę na podołku i otworzył na pierwszej stronie. Schylił się osłabiony i usiłował przeczytać słowa zapisane starożytną greką.

– Co tu jest napisane? – zapytał chrapliwie.

Erin wyrecytowała mu słowa:

– *Zawiśła groźba wielkiej Wojny w Niebiesiech. Aby siły dobra zatriumfowały, potrzeba oręża z tej Ewangelii spisanej moją własną krwią. Troje zapowiedzianych w proroctwie zanieś księgę Pierwszemu Aniołowi, aby ją pobłogosławił. Tylko tak mogą przynieść zbawienie światu.*

Patrzyli i czekali, a na otwartą stronicę opadał popiół.

Poza tym nie działo się nic.

Tommy spojrzał na zaciągnięte ciemnymi kłębam niebo, a potem na wzburzone morze o barwie ołowiu.

– Co jeszcze mogę zrobić? – zapytał bezradnym głosem pełnym rozpacz.

– Jesteś Pierwszym Aniołem – odparł cicho Rhun. – Twoim przeznaczeniem jest pobłogosławić tę księgę.

Chłopiec zamrugał, długimi rzęsami zgarniając popiół z oczu, i popatrzył na księdza z powątpiewaniem. Potem skierował wzrok na osobę, której ufał najbardziej.

Na Batory.

Ona zaś otarła krew z jego szyi, na którym wciąż widniała rana.

– Być może on ma rację. – Jej głos wyrażał niepokój i pragnienie nadziei.

– Nie jestem żadnym aniołem – zachnął się Tommy. – Anioły nie istnieją. Hrabina uśmiechnęła się do niego, odsłaniając koniuszki ostrych zębów.

– Skoro istnieją potwory, to dlaczego nie anioły?

Tommy westchnął i nieznacznie przewrócił oczami, nie pogardliwie, lecz z powodu narastającej słabości. Widać było, że znowu osuwa się w niemoc.

Elżbieta położyła dłoń na jego policzku.

– Bez względu na to, w co wierzysz czy nie wierzysz, może nie zawadzi spełnić ich życzenie i pobłogosławić tę sakramentną księżczynę?

Bernard ścisnął jego ramię.

– Proszę cię, spróbuj.

Tommy z rezygnacją pokręcił głową i ustawił dłoń nad otwartą Ewangelią Krwi. Nawet od tak nikłego wysiłku trzęsła mu się ręka.

– Błogosławie... tę księgę.

Wszyscy znieruchomieli w wyczekiwaniu tak jak poprzednio, a ziemia wciąż drżała i z nieba sypał się popiół.

Nie objawił się żaden cud, nie zabłysło złote światło, nie zabrzmiały nowe słowa.

Erin czuła się coraz bardziej nieswojo.

Coś umknęło ich uwadze, ale co?

Sierżant ściągnął brwi.

– Może powinien zmówić jakąś specjalną modlitwę? – zasugerował.

– A może to wina tego przekłętego miejsca – odezwał się Christian, wodząc wzrokiem po spustoszonym krajobrazie.

Bernard znieruchomiał, po czym chwycił go za rękę w geście podziękui.

– Otóż to! Ewangelia Krwi może przejść transfigurację wyłącznie nad świętymi kośćmi Piotra w jego rzymskiej bazylice. Musimy zabrać chłopca do Rzymu, właśnie tam powinien pobłogosławić księgę!

Tommy osunął się nagle na hrabinę; jego siły wypalały się niczym ogarek świecy. Z wciąż niezagojonej rany wypłynęła kropla krwi.

– Nie przetrwa podróży do Rzymu – powiedziała Elżbieta. – Ledwie wyczuwam jego puls.

Rhun zerknął na Erin, potwierdzając te słowa.

Usłyszała ciche westchnienie dobiegające zza pleców i odwróciła głowę. Arella spoczywała tam na piasku. Wcześniej przetoczyła się na bok, ale teraz znów leżała na wznak. Spojrzała na Erin błyszczącymi oczami; był w nich ten sam smutek, który widać było na starym rysunku, ten sam, z którym spoglądała na Iskariotę.

Erin pojęła, co się za nim kryło, zrozumiała przesłanie, które odrzucił Judasz. Jesteście w błędzie.

Sybilla wiedziała już, że została zrozumiana. Jej oczy zamknęły się, ciało zwiotczało i znieruchomiało.

Zatroskana Erin podeszła do niej i ujęła jej dłoń, wciąż ciepłą. Zauważyła wilgotny piasek na czubkach palców. Zerknęła w bok na miejsce, do którego Arella wcześniej leżała zwrócona, i zobaczyła narysowany na piasku symbol.



Była to przyprószona popiołem, narysowana w pośpiechu pochodnia z witek, związanych w pęk i zapalonych.

– Możemy opatrzeć chłopca tutaj i w czasie podróży uciskać ranę – powiedział Bernard. – On musi... musi przeżyć lot do Rzymu.

Christian wskazał na śmigłowiec stojący na plaży. Musieli go sprowadzić sangwiniści, którzy stawili się na wezwanie kardynała.

– Przyniosę apteczkę. Paliwa na pewno wystarczy na przelot do Watykanu. To zaledwie godzina lotu. Kiedy znajdziemy się w powietrzu, zaalarmuję personel lekarski. Będą czekali na nas w gotowości.

– Rana chłopca nie jest naturalna – zauważyła z przyganą hrabina Batory. – Nie da się jej zaleczyć za pomocą waszej współczesnej medycyny.

Erin tym razem musiała przyznać jej rację. Nawet gdyby Tommy nie miał w sobie nadnaturalnej mocy uzdrawiającej, rana powinna już była zacząć się zasklepić.

Znowu pomyślała o symbolu nakreślonym na piasku przez wieszczkę.

Wszyscy jesteście w błędzie, pomyślała.

Christian pobiegł po apteczkę, Bernard zaś polewał ranę konsekrowanym winem i odmawiał po cichu łacińskie modlitwy. Kiedy starł krew rękawem, napłynęła jeszcze obficie.

Erin zauważyła bladą złotą poświatę, która uwidoczniła się tylko dzięki temu, że panował półmrok. Być może była ona oznaką anielskiej esencji, cudownej mocy podtrzymującej jego życie. Możliwe, że ten sam cud ocalił Jordanowi życie w Sztokholmie.

– Sam nie wiesz, co czynisz – rzuciła Batory, odpychając ręce kardynała od chłopca. Wskazała Arellę. – To ona nosiła ostrze, które go zraniło. Na pewno wie o nim więcej, obudźcie ją.

Erin potrząsnęła ramieniem kobiety, ta jednak nie zareagowała.

– Musimy zabrać chłopca z tych przeklętych piasków i zawieźć do Rzymu – upierał się kardynał, kiedy Christian wrócił z apteczką. – Tam go uratujemy.

Przypomniała sobie wcześniejsze ostrzeżenie Arelli.

Ani wy nie możecie go uratować, ani mnisi. Tylko ja.

Odwrociła się do kardynała i powiedziała na głos to, w co zaczęła wierzyć.

– Wszyscy się mylicie.

Arella drgnęła, jakby usłyszała własne przesłanie wyrażone przez kogoś innego. Jej ręka z wielkim wysiłkiem powędrowała do skrwawionej szyi Tommy’ego. Gdy tylko go dotknęła, tworząca się tam kropla krwi znieruchomiała. Potem palce wieszczki się zsunęły, a kropla znów nabrzmiała i spłynęła po bladej skórze.

– Ona może go uzdrowić – oznajmiła z naciskiem Erin.

Hrabina skinęła głową.

– Tommy’ego przebił oręż anielski. I trzeba anioła, by go wyleczyć.

– W jaki sposób? – zapytał Bernard.

Erin wpatrywała się w symbol na piasku; wiedziała, że jest ważny. Prorokini nie narysowałyby go bez celu, ona nigdy nie rysowała czegoś, co nie miało znaczenia. Erin przypomniała sobie szkic znaleziony w sejfie Iskarioty.

– Pochodnia! – Kazała wszystkim podejść i wskazała na piach. – To jeden z pięciu znaków przedstawionych na rysunku, które symbolizowały pięć sybilli.

– I co z tego? – spytał kardynał.

– Ona usiłuje nam pokazać, dokąd pójść i jak go wyleczyć. Płonąca pochodnia odnosi się Sybilli Libijskiej, innej jasnovidzki, która przepowiedziała narodziny Chrystusa. Mitologia tamtego regionu mówi, że oblewające go wody mają cudowne własności lecznicze. Niektórzy wierzą, że Chrystus zatrzymał się tam wraz z Marią i Józefem po tym, jak uciekli przed rzezią Heroda.

– Znam te opowieści – powiedział Bernard. – Tylko że Sybilla Libijska miała swoją siedzibę w Siwie, oazie na pustyni leżącej na terytorium dzisiejszego Egiptu. Daleko po drugiej stronie Morza Śródziemnego. Chłopiec nigdy nie przeżyje takiej długiej podróży.

Zgodziła się z nim i milczała.

Uznając to za przyzwolenie, kardynał kontynuował swój wywód:

– Zabierzemy oboje do Rzymu. – Ruchem ręki wskazał na Christiana. – Ponieś chłopca, ja wezmę kobietę.

Batory zagroziła jednak Christianowi drogę.

– Nie pozwolę.

Kardynał spojrzał na nią wściekle.

– Jeśli chłopca nie da się wyleczyć tutaj, jeżeli nie przetrzyma do Siwy, to co pozostaje? – naciskał. – Gdyby nam się udało dowieźć do Bazyliki Świętego Piotra, może zdołałby pobłogosławić księgę i odsłonić jej sekrety.

– Więc w gruncie rzeczy nie obchodzi was, czy chłopak przeżyje, czy umrze? – odezwał się Jordan i położył dłoń na ramieniu Erin. – Byleby tylko zrobił, co do niego należy.

Odpowiedzią była gniewna mina kardynała.

– Życie tego dziecka jest ważniejsze niż wszystkie sekrety – poparła hrabinę Erin.

Bernard stanął naprzeciw nich i zataczając ręką łuk, wskazał ciemny całun na niebie.

– Popiół wciąż opada. Coś zostało rozpoczęte i to nadal trwa. Widzieliśmy bramę Piekła rozwierającą się pod chłopcem. Proces toczy się wolniej, ale jest nieunikniony. To, co zostało otwarte, musi być zamknięte. Mamy czas tylko do zachodu słońca.

– Dlaczego? – zdziwiła się Erin.

Kardynał spojrział na niebo.

– Czytałem podania o tym miejscu. Jeśli brama Piekła pęknie za dnia, musi zostać zamknięta, nim zgaśnie jego ostatnie światło, bo w innym razie nic ich już nie zamknie. To ważniejsze niż życie jednego człowieka, nawet jeśli jest nim ten chłopiec. Jeżeli nie podejmiemy działania w tej chwili, zginą nieprzeliczone rzesze niewinnych, to pewne.

– Właśnie to działanie budzi moje podejrzenia – przyznała się Erin.

– Jestem tego samego zdania – stanął po jej stronie Jordan.

Hrabina była zdecydowana.

– Ja także – oświadczyła.

Rhun spoglądał na nich niepewnie, stojąc między nimi a Bernardem, który miał za sobą siłę kilkunastu sangwinistów.

– Co zatem proponujesz, Erin? – spytał.

– Zapomnijmy o Ewangelii, o prorocत्वie i o ratowaniu świata. Wszystkie nasze siły skupmy na ocaleniu tego chłopca, dziecka, które nacerpiało się ponad wszelką miarę. Jesteśmy mu to winni. Został dotknięty nieśmiertelnością dlatego, że usiłował ocalić rannego gołębia. Dla mnie to on jest tym gołębiem. Nie pozwolę mu zginąć.

Batory ujęła jej dłoń swoją zimną ręką. Jordan ciepłymi palcami chwycił drugą.

– Uzdrawiające wody Siwy miały ponoć taką moc, że sama sybilla odzyskiwała w nich siły, żeby zachować nieśmiertelność. – Erin spoglądała na leżącą kobietę i usiłowała pojąć, jak to możliwe, by anioł był tak kruchy i wycieńczony. – Zdążymy dowieźć ich tam przed zachodem słońca. Uleczyć oboje.

– Chłopiec z pewnością umrze, zanim dolecimy – przekonywał Bernard. – A do Rzymu jest tylko...

– Jak zamierzasz uzdrowić chłopca w Rzymie? – wpadł mu w słowo Rhun.

– Mamy lekarzy, mamy księży. Ale nawet gdyby ich nie było, najważniejsze jest to, by pobłogosławić Ewangelię w Bazylice.

Ksiądz z niezadowolaniem zmarszczył czoło.

– Skąd masz pewność, że księga wyjawi w Rzymie swoje tajemnice?

– Dlatego że musi. – Kardynał dotknął pectorału. – Bo w przeciwnym razie wszystko naprawdę jest utracone.

Wzrok Rhuna błędził między Erin i Batory.

– Bernardzie, zbyt wielkie znaczenie przykładasz do tego, by dotrzeć do Rzymu.

– Toż właśnie tam została otwarta i przywrócona światu Ewangelia Krwi.

– Księgę zabrano tam dlatego, że tak powiedziały Erin i Bathory Darabont. Teraz stoimy tutaj, a Erin i inna kobieta z rodu Batorych mówią, żeby zawieźć chłopca do Siwy. Wprawdzie nie wiemy na pewno, która jest Uczoną Niewiastą, ale w tym przypadku nie jest to istotne. Obie nakazują, by zabrać chłopca do Egiptu.

– I nie tylko my – dodała Erin, wskazując Arellę. – Tamta kobieta również. Anioł, który, według twoich własnych słów, uznał cię kiedyś za niegodnego.

Bernard aż się cofnął na te słowa, lecz tylko podsyciły jego gniew.

– Od Rzymu dzieli nas zaledwie godzina lotu – nie dawał za wygraną. – Dotrzemy do Bazyliki Świętego Piotra i zapewnimy chłopcu wszelką opiekę. Jeśli się mylę, będzie go tam można przygotować do długiej podróży do Siwy.

– Wtedy może już być za późno. – Erin wskazała zasnute pyłem i dymem słońce.

Christian już się oddalał; on także patrzył w niebo.

– Nie wiem, co postanowicie, ale tymczasem rozgrzeję maszynę. Później mi powiecie, dokąd lecieć.

– On ma rację – odezwał się sierzant. Opad popiołu gęstniał z każdą chwilą. – To paskudztwo może za nas zadecydować. Jeśli pył zrobi się jeszcze gęstszy, w ogóle stąd nie odlecimy.

Wszyscy zrozumieli, że to prawda, i ruszyli w ślad za pilotem. Rhun niósł Arellę, hrabina zajęła się chłopcem. Po chwili silnik śmigłowca zawarczał, krztusząc się popiołem, a potem ryknął z pełną mocą. Erin zasłoniła sobie oczy przed piaskiem, który wzbił się z plaży poderwany siłą pracującego wirnika.

Rozmowa stała się niemożliwa.

Wsiedli do śmigłowca. Batory podała jej chłopca, kardynał zaś pomógł Rhunowi ułożyć na siedzeniach Arellę. Christian poczekał tylko, aż znajdą się na pokładzie, i od razu wycisnął pełną moc z silników. Poderwał maszynę i wyleciał nad wodę o barwie ołowiu. Uciekał przed szalejącym wirem ognia i dymu.

– A więc dokąd?! – krzyknął.

– Do Rzymu! – odpowiedział Bernard i spojrział na pozostałych, jakby rzucając im wyzwanie do sporu.

Batory zerknęła na Erin z przebiegłym błyskiem w oczach. Ta odchyliła się, obawiając się najgorszego. Nie ją jednak hrabina obrała za cel. Wykonała ruch tak szybki, że trudno było zarejestrować go wzrokiem. Obróciła się w stronę sąsiada,

otoczyła go ramieniem i otworzyła drzwi tuż obok. Żadne z nich nie było jeszcze przypięte pasami, toteż ona i kardynał, szczeni ze sobą, wypadli ze śmigłowca głowami naprzód.

Erin przechyliła się, napinając pasy, a Christian położył śmigłowiec w skręt. Drzwi trzaskały pod naporem wiatru. Zobaczyła, jak hrabina i kardynał wpadają z pluskiem do wody i wynurzają się, pryskając wodą, wciąż ze sobą złączeni.

Sierżant chwycił klamkę drzwi i je zamknął.

– I sprawa załatwiona – powiedział z uśmiechem. Najwyraźniej był wdzięczny Batory za odważne posunięcie, które przecięło impas.

Pozostała trójka popatrzyła na siebie.

Christian także skierował na nich wzrok; jego zielone oczy wyrażały pytanie.

Erin nachyliła się i dotknęła barku młodego sangwinisty.

– Siwa – rzuciła zdecydowanie.

Zerknął na Rhuna i Jordana, a ci skinęli głowami. Odwrócił się i wzruszył ramionami.

– Kimże ja jestem, by dyskutować z triadą?

Kume, Włochy

20 grudnia, 8.38 czasu miejscowego

Judasz stał czujny w rozpadlinie na szczycie skalnej ściany. Głęboki cień skrywał go przed wyostrzonym wzrokiem sangwinistów, którzy zgromadzili się na plaży, a odór siarki i dudnienie skał nie pozwalały im go wyczuć ani usłyszeć. Wciąż jeszcze istniała groźba, że brama Piekła się otworzy. Ledwie zdążył wymknąć się z najniższej położonych tuneli, nim przejścia wokół spowitej dymem groty zawaliły się na dobre. Nawet sangwiniści nie zdołaliby dotrzeć na czas do bramy.

Nikt nie mógł powstrzymać tego, co nieuniknione.

Jednakże przed chwilą Judasz zobaczył, jak śmigłowiec z łoskotem wzbija się w gęstej chmurze dymu i znika, zabierając chłopca i Arellę.

Z bólem serca patrzył, jak bardzo się zniżyła, ile położyła na szali, żeby ocalić chłopca. Wyobrażał sobie jej wyniszczone ciało i włosy, które okryła biel. Nawet z daleka widział, że leżąc na piasku, wciąż jest piękna.

Moja ukochana...

Teraz obserwował kardynała i hrabinę, którzy brodząc, wychodzili z ciemnych jak ołów fał, w mokrych szatach przylepiających się do ciała. Oboje patrzyli w niebo za odlatującym śmigłowcem.

Dokąd polecili ich towarzysze?

Widział Bernarda i Elżbietę wypadających z maszyny; najwyraźniej ktoś się ich pozbył jak niechcianego bagażu.

– Skazałaś nas na zagładę! – wykrzyknął Bernard i jego głos rozbrzmiewał w uszach Iskarioty niczym echo.

W odpowiedzi Elżbieta tylko strzepnęła piasek z mokrej peleryny.

– Będziemy ich ścigać! – oznajmił dobitnie kardynał. – Niczego nie zmieniłaś!

Zdjęła but z wysoką cholewą i wytrząsnęła z niego piach.

– Czyżbyś nie potrafił przyznać, że mogłeś się pomylić, klecho?

– Nie będziesz mnie osądzała.

– Dlaczegoż to? Stworzyłeś mnie w takim samym stopniu jak Rhun. To twoje mącenie w dawnych przepowiedniach pchnęło Rhuna ku mnie.

Po tych słowach hrabiny ramiona Bernarda zeszywniały. Odszedł gniewnie, wezwał pozostałych sangwinistów i oddalił się od plaży. Batory znów zakuto w kajdany.

Judasz odczekał pełny kwadrans, a potem zszedł po klifie na dół. Zrobił to w konkretnym celu. Zauważył, że Arella napisała coś na piasku i że zrobiło to wrażenie na doktor Granger oraz jej towarzyszach. Podszedł do miejsca, w którym Arella leżała bez ruchu, i odnalazł zagłębienie w piasku, gdzie spoczywała jej głowa.

Uklęknął i musnął je palcami.

Bardzo się o nią niepokoił.

Zobaczył, co nakreśliła dłonią na piachu. Dzieło jej rąk rozpoznałby zawsze i wszędzie; przez wiek cały notował słowa i rysunki, które nakreśliła. Patrzył teraz na linie w piasku i tak jak zawsze szukał w nich przepowiedni.

Płonąca pochodnia.

Zrozumiał i uśmiechnął się.

Nakreśliła tamtym mapę, wskazała, dokąd mają się udać.

Pewność uspokoiła jego umysł. Znał wszystkie symbole, które w ciągu stuleci były z nią kojarzone, także i ten.

Zwabiła swoich kompanów do Siwy.

Stał, dziękując jej w myślach, a jednocześnie wzmacniało się w nim przekonanie. Miał świadomość, że przesłanie na piasku skierowane było tyleż do nich, co i do niego.

Jego również wzywała.

Ale dlaczego?

CZĘŚĆ PIĄTA

Gdy oni odjechali, oto anioł Pański ukazał się Józefowi we śnie i rzekł: „Wstań, weź Dziecię i Jego Matkę i uchodź do Egiptu; zostań tam, aż ci powiem; bo Herod będzie szukał Dziecięcia, aby je zgładzić”. On wstał, wziął w nocy Dziecię i Jego Matkę i udał się do Egiptu; tam pozostał aż do śmierci Heroda. Tak miało się spełnić słowo, które Pan powiedział przez Proroka: Z Egiptu wezwałem Syna mego.

Ewangelia wg św. Mateusza 2, 13-15

Przestrzeń powietrzna Egiptu 20 grudnia, 13.49 czasu miejscowego

Jordan znowu opierał głowę o szybę śmigłowca, ale tym razem innego. Jednostajne dudnienie silników i niekończące się monotonne połączenie piasku sprawiły, że zapadł w drzemkę. Uporczywe pieczenie w lewym ramieniu, ogniste smugi rozchodzące się po tatuażu nie pozwalały mu usnąć. Nie był to ból, raczej irytujące swędzenie, któremu nie sposób użyć drapaniem.

Mimo to pocierał się prawie stale, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

Ktoś jednak zwrócił na to uwagę.

– Boli cię ramię? – spytała Erin.

– Mmm... – mruknął, ani nie potwierdzając, ani nie zaprzeczając. Nie chciał zawracać jej głowy drobiazgami w sytuacji, gdy istniały prawdziwe powody do zmartwień.

Na przykład chłopiec leżący na kilku siedzeniach obok niej.

Jego głowa spoczywała na jej kolanach; Erin w jednej ręce trzymała kawałek złożonej gazy i dotykała nim szyi Tommy'ego. W ciągu trwającego ponad pięć godzin lotu jej wysiłki, jak się zdawało, nieco spowolniły krwawienie, mimo to musiała co jakiś czas zmieniać gazę.

Cel na szczęście był już blisko.

Z plaży Christian skierował śmigłowiec do Neapolu, tam zaś po uzupełnieniu paliwa przesiedli się do odrzutowca, którym wcześniej przylecieli. Błyskawicznie dotarli nim do małego miasta Mersa Matruh na wybrzeżu Egiptu, a potem wsiedli na pokład śmigłowca, którym teraz lecieli. Była to maszyna, z której kiedyś korzystało wojsko, a później przystosowano ją do cywilnego transportu pasażerskiego. Stamtąd młody sangwinista obrał kurs na południe nad piaskami pustyni.

W czasie służby wojskowej w Afganistanie i Iraku Jordan sporo napatrzył się na pustynie, ale tak wielkiej jeszcze nie widział. Czuł się tak, jakby maskującą

szarość Morza Śródziemnego zamienił na jasny brąz saharyjskiego oceanu. Śmigłowiec leciał i leciał, a widok na dole pozostawał niezmienny.

Najgorsze jednak było to, że chmura popiołu zdawała się ścigać uciekinierów przez morze i dalej na pustyni. Radio podawało, że rozszerza się szerokim frontem i porusza się szybciej, niż zapowiadały prognozy. W samą porę uciekli znad Europy, gdyż wkrótce po tym na większości jej terytorium ogłoszono alarm i zamknięto przestrzeń powietrzną.

Jordan zaczął wierzyć, że ten popiół wieje prosto z Piekła.

Tommy na szczęście wciąż żył, choć ledwo, ledwo. Miał płytki oddech, serce zaś biło tak słabiotko, że sierżant nie wyczuwał pulsu. Rhun zapewniał go jednak, że tętno jest.

Wreszcie Jordan zauważył przez okno coś w pobliżu horyzontu. Był to pas zieleni.

Potarł podrażnione oczy i spojrzał jeszcze raz.

Pas nadal tam był.

Dobrze chociaż, że wzrok nie płata mi figli, pomyślał.

Spojrzał na Rhuna i na kobietę, która leżała rozciągnięta obok niego, przykryta granatowym kocem. Podobnie jak Tommy, w ogóle się nie poruszała. To jej niewypowiedziane ustami słowo sprawiło, że znaleźli się w tym miejscu.

Oby nie na próżno.

Jeśli chłopak umrze, Erin będzie zdruzgotana. To ona nalegała na tę daleką eskapadę na odludzie, żeby go uratować.

Jordan odwrócił głowę do iluminatora i patrzył na zielony pas, który się powiększał.

Erin powiedziała, że Siwa to oaza położona niedaleko libijskiej granicy. Była tam bieżąca woda, palmy i niewielka wioska. W szmaragdowym zakątku pustyni znajdowały się również starożytne zabytki, między innymi słynna świątynia wyrocni oraz nekropolia o nazwie Gebel al Mawta, czyli Góra Umarłych.

Oby nie trzeba było tam pochować dwojga pasażerów śmigłowca.

Sierżant nie miał pojęcia, co czeka ich w Siwie. Skierował wzrok na jedyną osobę, która coś wiedziała. Sybilla leżała naprzeciwko Jordana i patrzyła na niego.

Znieruchomiał zaskoczony i dotknął ręki Erin.

Spojrzała w tamtym kierunku i zareagowała tak samo jak on.

– Arello...?

Erin zerknęła na Tommy'ego, on jednak dalej leżał nieprzytomny.

Rhun zdjął kobiecie pasy bezpieczeństwa i pomógł jej usiąść.

Mimo że w kabinie było ciepło, nie zsunęła z siebie koca; nadal musiała odczuwać chłód, jeszcze do siebie nie doszła. Wyprostowała się, nieco drżąc.

– Jak się czujesz? – zapytał głośno Jordan, przekrzykując hałas śmigłowca.

Sybilla zwróciła głowę do iluminatora i popatrzyła na zbliżającą się połącz zieleni.

– Siwa...

– Prawie dolecieliśmy – powiedziała Erin.

Arella zamknęła oczy i odetchnęła głęboko.

– Czuję zapach. – Z jej twarzy powoli zniknęła szarość i powracały ciemne kolory. Nawet niesamowita biel włosów ustępowała. Arella wyraźnie odżywała, niczym sucha roślina, którą podlano wodą.

– Nabiera sił dzięki temu, że jesteśmy bliżej oazy – szepnęła Erin.

– To dzięki wodzie – oznajmiła sybilla, otwierając oczy, w których znów pojawił się blask. – Ona jest w powietrzu.

Sierżant wyrzwał przez szybę i zobaczył przesuwające się w dole palmy, kwitnące krzewy, ogródki oraz refleksy wody w fontannach i sztucznych sadzawkach. Prawdopodobnie woda pochodziła z naturalnego podziemnego zbiornika.

Na obrzeżach wioski widać było dwa mlecznoniebieskie jeziora. Jordan dostrzegł łódki rybackie i skuter wodny, które wyglądały wprost nierealistycznie pośrodku wielkiej pustyni. Za jeziorami biegło przez piaski pasmo wysokich wzgórz o płaskich wierzchołkach.

Christian okrążył zachodnie jezioro i skierował maszynę ku pobliskiemu wzgórz. Na jego wierzchołku piętrzyły się ruiny kamiennych budowli otaczające starą wieżę. Mierzyła w niebo niczym oskarżycielski palec.

Tylko tyle pozostało po świątyni wyroczni.

Erin kazała Christianowi tam właśnie polecieć.

Sierżant spojrział na Arellę, która nadal patrzyła w tamtą stronę, a po jej nieskazitelnym pięknym policzku spływała łza.

– Tak długo jej nie widziałam.

Nie miał pojęcia, co odpowiedzieć.

– Czy to był twój dom? – zapytała Erin.

Kobieta skłoniła głowę.

– W takim razie byłaś Sybillą Kumańską i Sybillą Libijską – stwierdziła Erin, nagle otwierając szeroko oczy. – Pięć symboli pięciu wyroczni, które przepowiedziały narodziny Chrystusa, wszystkie odnoszą się do ciebie.

Wieszczka i tym razem potwierdziła ruchem głowy.

– Miałam domy w wielu miejscach w starożytnym świecie. – Spoglądała radośnie przez iluminator, a Christian tymczasem zataczał śmigłowcem koło, zmierzając do ruin. – Ten był jednym z moich ulubionych. Kiedyś oczywiście wyglądał wspanialej. Szkoda, że nie widzieliście go w czasach Aleksandra.

– Aleksandra Wielkiego? – zapytał Rhun z zaskoczeniem w głosie.

Erin spojrzała na Arellę.

– Z historii wiadomo, że tutaj bywał. Że zasięgał twojej rady.

Kobieta się uśmiechnęła.

– Piękny był z niego mężczyzna, miał brązowe kręcone włosy i błyszczące oczy. Taki młody, pragnął odnaleźć swoje przeznaczenie, spełnić je. Podobnie jak wielu, którzy przybywali przed nim... i po nim. – Zadumała się.

Rhun zgadywał, że myśli o Judaszu.

Arella westchnęła.

– Młody Macedończyk – ciągnęła – szukał potwierdzenia, że jest synem Zeusa, że jego przeznaczeniem są podboje i chwała. Powiedziałam mu, że to prawda.

Jordan pamiętał, że Aleksander stworzył jedno z największych imperiów starożytnego świata, zanim skończył trzydzieści lat, i zginął w bitwie, niepokonany.

– A ten drugi syn boga? – zapytała Erin. – Legendy mówią, że święta rodzina przybyła tutaj po ucieczce przed gniewem Heroda.

Kobieta uśmiechnęła się łagodnie.

– Taki ładny chłopczyk.

Rhun poruszył się nieswojo. Jordan nie miał mu tego za złe. Czy ksiądz mógł pamiętać Chrystusa w wieku chłopięcym? – zastanawiał się.

– Z Biblii wynika – zwróciła się do wieszczki Erin – że anioł nawiedził Marię i Józefa i powiedział im, żeby uciekli do Egiptu, bo tylko w ten sposób uchronią się przed rzezią. Czy i w tym wypadku chodziło o ciebie?

Arella znów się uśmiechnęła, odwróciła do okna i wyrzała na drzewa i jeziora.

– Tutaj Go przyprowadziłam, by mógł dorastać bezpiecznie i w spokoju.

Z zajęć szkółki niedzielnej Jordan wiedział o nieznanym latach historii Chrystusa, który tuż po urodzeniu zniknął w Egipcie i pojawił się w wieku lat dwunastu. Wtedy zawitał do świątyni w Jerozolimie i zrugał paru faryzeuszy.

Erin także spoglądała przez okno. Zapewne wyobrażała sobie Chrystusa jako chłopca, który biega ulicami i pluszcze się w jeziorze.

– Chcę wiedzieć wszystko...

– Tyle nie wiem nawet ja – wpadła jej w słowo Arella. – Ale opowiem wam o pierwszym cudzie Chrystusa. Żeby wszystko pojąć, musicie zacząć od tego.

Erin ze zdumieniem uniosła brwi.

– Jego pierwszy cud? To było, kiedy zamienił wodę w wino podczas wesela w Kanie Galilejskiej?

Arella popatrzyła na nią smutnymi oczami.

– To nie był Jego pierwszy cud.

14.07

Ten nie był pierwszy?

Erin siedziała zdumiona; chciała zadawać pytania, lecz tajemnica musiała poczekać. Zganiła Bernarda za to, że stawiał takie sekrety wyżej niż życie chłopca. Nie chciała postępować tak jak on.

– A co z Tommym? – Położyła dłoń na jego zimnym czole. – Tam, w grocie, powiedziałaś, że możesz go uratować. Czy to prawda?

– Mogę – potwierdziła sybilla. – Ale musimy to uczynić niezwłocznie.

Odwrociła się i nachyliła do Christiana. Mówiła coś szybko i wskazywała na zachód, w miejsce za ruinami jej świątyni.

Sangwinista skinął głową i skreślił.

Pod nimi przesuwali się lepianki, które stały tam od dziewięciuset lat; część z nich była bez przerwy zamieszkała. Erin usiłowała sobie wyobrazić, jak to jest mieszkać w jednym domu, pokolenie za pokoleniem. Jej aktualne mieszkanie było młodsze od niej. Z pewnością nie nagromadziło w sobie zapierającej dech w piersiach historii, która w tej chwili ją otaczała.

Ale to przecież właśnie Egipt był państwem przesyconym poczuciem ponadczasowości i tajemnicy, krainą wspaniałych królestw i upadłych dynastii,

siedzibą bóstw i herosów. Dotknęła bursztynu w kieszeni i przypomniała sobie Amy, studentkę zafascynowaną tym krajem i jego dziejami. Tak jak każdy archeolog marzyła, by pewnego dnia prowadzić wykopaliska w Egipcie, zostawić tam swój ślad.

Niestety, taki dzień nigdy dla niej nie nadejdzie.

Erin trzymała dłoń na ramieniu Tommy'ego, gdy śmigłowiec przechylił się i skierował ku ruinom.

Nigdy więcej, przyrzekła sobie.

Świątynia rosła w oczach. Mury leżały w gruzach, dachy zniknęły, pomieszczenia ziały pustkami. Nawet w tym stanie pozostała w nich resztką dawnego majestatu. Czy kobieta siedząca naprzeciwko naprawdę rezydowała wśród tych kamiennych ścian i swoimi przepowiedniami wyznaczała koleje losu ludzkości? Czy przekonała Aleksandra Wielkiego, że zdoła podbić świat? Czy poznała Kleopatrze, kiedy królowa zażywała kąpeli w tutejszych wodach? Jeżeli tak, to co jej powiedziała?

Erin miała tysiące pytań, musiały jednak poczekać.

Christian przemknął śmigłowcem nad ruinami i leciał w kierunku pustyni.

Dokąd wiodła ich Arella? Siedziała teraz plecami do reszty pasażerów i wskazywała pilotowi drogę.

Skonsternowany Rhun posłał Erin pytające spojrzenie, ale ona tylko wzruszyła ramionami. Pokonali szmat drogi, kierując się słowem kobiety-aniola. Za późno już było na to, by odmawiać jej zaufania.

Śmigłowiec przelatywał nad ściętymi wzgórzami i falistymi wydmi z piasku. Niebo przybierało coraz bardziej szary odcień, tuman popiołu napływał coraz intensywniej.

Wreszcie maszyna zaczęła schodzić w dół. Erin rozglądała się za punktami orientacyjnymi, ale wyglądało na to, że Christian posadzi śmigłowiec na przypadkowym paśmie wydmi. Uniosły się fontanny piasku.

Ton pracy silnika zmienił się i maszyna zawisła w powietrzu.

Dlaczego akurat w tym miejscu?

Sierżant także nie był zachwycony.

– Zostawiliśmy za sobą setki kilometrów takiej pustyni.

Erin była gotowa przyznać mu rację, ale nagle zaczęła dostrzegać nieznaczące różnice. Szczyty najbliższych wydmi układały się inaczej niż reszta pustynnego terenu. Wyjrzała przez oba iluminatory, żeby się upewnić. Grzbiet był

zaokrąglony i tworzył koło, olbrzymią miskę o średnicy trzystu i głębokości sześćdziesięciu metrów.

– To wygląda jak krater – powiedziała, wskazując Jordanowi grzbiet wydmy.

– Następny wulkan? – zapytał sierżant.

– Wydaje mi się, że mógł tutaj uderzyć meteoryt.

Spojrzała na Arellę, oczekując potwierdzenia swojego domysłu, ta jednak skinęła tylko głową Christianowi.

Po chwili płozy dotknęły piasku. Śmigłowiec spoczął w pobliżu środka niecki, lekko przechylony. Pilot nie wyłączył silników, jakby rozmyślnie wymiatał rotorem piasek z krateru.

Można i w taki sposób prowadzić wykopaliska, pomyślała Erin.

Złotobrazowy piach kręcił się pod naporem powietrza, chwilowo oślepiając przybyszów.

Później silniki ostatecznie się zatrzymały i śmigła obracały się coraz wolniej. Po tylu godzinach bezustannego dudnienia cisza spłynęła na Erin niczym fala. Oderwany od podłoża piasek osiadał niczym złocisty deszcz.

Arella nareszcie odwróciła się do pozostałych i w geście podziękowania położyła dłoń na ramieniu Christiana.

– Teraz możemy pójść.

Rhun otworzył drzwi i wyskoczył pierwszy. Zawsze czujny, powstrzymał towarzyszy; archeolożka wiedziała, że nie postępuje tak bez powodu.

– Tutaj nie ma się czego obawiać – zapewniła wieszczka.

Ksiądz potwierdził jej słowa i kobieta wysiadła.

Erin, stanąwszy znów na nogach, przeciągnęła się i głęboko odetchnęła. Wciągnęła do płuc suche czyste powietrze prawdziwej pustyni, pachnące skałą. Przez chwilę pozwoliła sobie grzać się w słońcu. Piasek kojarzył jej się z luksusem czasu spędzanego na stanowiskach wykopaliskowych. Godzinami wygrzebywała spod jego cierplich ziarenek tajemnice, które się pod nimi kryły.

Teraz nie miała tego luksusu. Ruszyła za wieszczką.

Zmrużywszy oczy, spojrzała na słońce. Była późna zima, zajdzie więc o siedemnastej, czyli za niespełna trzy godziny. Pamiętała ostrzegawcze słowa Bernarda dotyczące otwierania się bramy Pieła, ale tymczasem odsunęła je od siebie.

Tommy'emu z pewnością nie zostały nawet te trzy godziny.

Odwróciła się, kiedy podeszwy butów Jordana uderzyły o piasek tuż obok niej. Sierżant pomagał Christianowi nieść chłopca do środka dziwnego pustynnego krateru.

– Gdzie jesteście? – zapytał, mrużąc oczy przed słońcem, mimo że jego tarcza była zaćmiona popiołem.

– Nie wiem – odparła cicho; z jakiegoś powodu czuła, że powinna w tym miejscu mówić szeptem.

Popatrzyła na tworzący krąg grzbiet wydmy i zauważyła, że nie jest on gładki, choć tak wydawało się z powietrza; był mocno postrzępiony, tworzył wokół niecki coś w rodzaju naturalnej palisady. Spod stóp emanował żar większy, niż należało się spodziewać przy zasnutym popiołem niebie. Dno piaskowego krateru, w którym tańczyły drobinki kurzu, migotało.

Arella odbiła od reszty i skierowała się ku centrum zagłębienia.

– Przynieście tu chłopca, prędzej – rozkazała.

Podążyli za nią zdumieni i zdezorientowani, tym bardziej że wieszczka upadła po chwili na kolana i zaczęła grzebać rękami w piasku.

Jordan uniósł brwi.

– Może powinniśmy jej pomóc.

Erin przyznała mu rację. Christian stał, trzymając w ramionach Tommy’ego, a ona, sierżant i Rhun ramię przy ramieniu wykopywali garściami rozgrzany piasek. Na szczęście im głębiej się dokopywali, tym robił się chłodniejszy.

Arella wyprostowała się i pozwoliła im dokończyć dzieło; najwyraźniej wciąż jeszcze nie doszła do siebie.

Na głębokości dwudziestu centymetrów Erin natrafiła palcami na coś twardego. Od zdziwienia i radosnego oczekiwania zakręciło jej się w głowie. Co kryje się pod ziemią? Ile razy było zakopywane i odkrywane przez szalejące burze piaskowe?

– Ostrożnie – powiedziała. – To może być coś kruchego.

Spowolniła ruchy, wybierając piasek coraz mniejszymi porcjami; żałowała, że nie ma narzędzi, szcotek i pędzli. Nagle płatek czarnego popiołu spadł jej do oka i przypomniał, że trzeba się spieszyć.

Energiczniej poruszyła rękami, inni poszli za jej przykładem.

– Co to takiego? – chciał wiedzieć Jordan. Widać już było, że dokopali się do warstwy szkła, falistego, szorstkiego i powyginanego. Był to twór naturalny, powstały ze stopionego piasku.

– Myślę, że to jest szkło impaktowe, pozostałość po uderzeniu meteorytu. – Stuknęła w powierzchnię paznokciem i dał się słyszeć dźwięczny odgłos. – Na Pustyni Libijskiej znajdują się duże złoża szkła meteorytowego. Żółty skarabeusz z wisiora króla Tutenchamona został wyrzeźbiony właśnie z niego.

– Fajnie – mruknął Jordan i zabrał się znów do kopania.

Erin odetchnęła głęboko i wierzchem dłoni otarła sobie czoło. Jordan i Rhun zgarniali piasek z warstwy szkła, a ona uprzytomniła sobie nagle, kto tak usilnie odsłania to, co spoczywa w ukryciu.

Oto triada zapowiedziana w proroctwie znów zjednoczyła wysiłki.

Pokrzepiło ją to i zabrała się do pracy ze zdwojoną siłą. Usunęli już tyle piasku, że widać było krawędzie szklanej płyty, lecz tylko ich część. Erin się rozejrzała.

Czy cały krater pokryty był szkłem?

Czyżby meteoryt uderzył w tę misę i zeszklił ją całkowicie?

Czy to było możliwe?

Wydawało się nieprawdopodobne. Kiedy na terytorium obecnej Libii dwadzieścia sześć milionów lat temu spadł meteoryt, z którego wykonano wisior Tutenchamona, kawałki szkła rozprysnęły się na kilometry.

Nie potrafiąc odpowiedzieć na te pytania, skupiła uwagę na tym, co udało się wydobyć spod piasku. Wyglądało to tak, jakby za pomocą diamentowego noża ktoś wykroił w szkle idealny okrąg, dysk o ponadmetrowej średnicy.

Przypominał nieco korek w wannie.

Erin schyliła się i przyjrzała dokładniej jego powierzchni, patrząc pod różnymi kątami. Dysk zbudowany był z półprzezroczystego bursztynu ciemniejszego po jednej stronie. Dwa odcienie rozdzielała biała srebrna linia w kształcie litery S, która układała się w symbol yin-yang.

Zauważyła, że wzór rozszerza się na zewnątrz.

Warstwa szkła po wschodniej części krateru była ciemniejsza, po zachodniej zaś wyraźnie jaśniejsza.

Ale co znajduje się pośrodku?

– Wygląda jak olbrzymia pokrywa wjazdu – odezwał się Jordan.

Erin zobaczyła, że ma rację. Ostrożnie dotknęła krawędzi rozległej szklanej płyty i wyczuła tam pogrubienie. Ktoś mający wystarczająco dużo siły mógłby ją dźwignąć.

– Co się pod nią kryje? – spytała, zerkając na Arellę. – I w jaki sposób może to pomóc Tommy'emu?

Wieszczka, która spoglądała na północne niebo, odwróciła się i skinąwszy głową, odpowiedziała:

– Złóżcie chłopca u moich stóp. A potem unieście kamień, który odkryliście.

Christian delikatnie położył Tommy’ego na piasku, a potem on i Rhun chwycili wielki krążek. Dźwignęli go równo przy wtórze zgrzytania szkła i piasku. Miał jakieś trzydzieści centymetrów grubości i musiał ważyć setki kilogramów. Przypomniało to Erin, że sangwiniści dysponują iście herkulesową siłą.

Unieśli krążek na wysokość pasa, przeszli kilka kroków i upuścili go na piasek. Erin podczołgała się i zajrzała do odsłoniętego otworu. Był to rodzaj sztolni z połyskującym lustrem na głębokości mniej więcej metra, w którym odbijało się niebo oraz jej twarz.

To nie zwierciadło, uprzytomniła sobie nagle.

Była to nieruchoma powierzchnia ciemnej wody.

Spojrzała na Arellę.

– To studnia – rzuciła.

Wieszczka zbliżyła się do niej z uśmiechem. Widać było, że nabiera sił, promienieje. Jej ciało czerpało moc z esencji ukrytej w głębi studni.

Uklękła z czcią na jej krawędzi i wsunęła rękę do środka. Kiedy ją wyciągnęła, z jej dłoni kapała srebrzysta woda.

To musiało być naturalne źródło, kiedyś stanowiło zapewne część oazy.

Arella podeszła do Tommy’ego i wodą z palców skropiła ranę na jego szyi, a potem łagodnym ruchem obmyła mu szyję. Krew odsłoniła skórę i przestała się sączyć z rany, której różowe brzegi zaczęły się zablźniać.

Erin przyglądała się temu z osłupieniem. Jako naukowiec usiłowała pojąć to, co widzi, lecz jako kobieta najzwyczajniej się cieszyła. Z ulgą osunęła się na kolana.

Wieszczka powróciła do źródła i zaczerpnęła wody w złożone dłonie. Następnie uniosła je nad głowę chłopca.

Erin wstrzymała oddech.

Kiedy czysta woda rozprysnęła się na poblądłej twarzy Tommy’ego, otworzył oczy, jakby raptownie zbudził się z drzemki.

Zakrzuszył się i otarł twarz, po czym się rozejrzył.

– Gdzie ja jestem? – wycharczał.

– Jesteś bezpieczny – zapewniła go Erin, przysuwając się bliżej. Miała nadzieję, że mówi prawdę.

Poszukał jej wzrokiem i to go uspokoiło.

– Co się stało?

Odwróciła się do wieszczki.

– Nie umiem tego wytłumaczyć, może ona potrafi.

Arella wstała i otarła dłonie o tunikę.

– Odpowiedzi na pytania wyryte są w szkłe. Jest tam cała opowieść, każdy ją może ujrzeć.

– Jaka opowieść? – chciała wiedzieć Erin.

Sybilla zatoczyła ręką ruch, wskazując krater.

– Tu oto spoczywa niepowiedziana historia Jezusa Chrystusa.

Siwa, Egipt

20 grudnia, 15.04 czasu miejscowego

Rhun obracał się powoli i patrzył na przysypany piaskiem krater. Wyobraził sobie jego podstawę zbudowaną z tajemniczego szkła. Dopomagając Erin i Jordanowi odsłonić otwór studni z uzdrawiającą wodą, czuł, że szkło lekko parzy go w dłonie. Chętnie przypisałby to działaniu rozgrzanego słońcem piachu, lecz znał tę reakcję; od wieków towarzyszyła mu, kiedy ścisnął swój pectorał.

Szkło parzyło świętością.

To samo emanowało z głębi studni... oraz od dziwnej kobiety-aniola. Kiedy otarła się o niego, zmierzając ku Tommy'emu, by uleczyć go wodą, jej krople spadły na piasek i święta esencja wzbudziła w księdzu taki lęk, że się cofnął.

Christian, który ze zdziwieniem i podziwem śledził wieszczkę wzrokiem, musiał odczuwać to samo.

Rhun aż zadrżał, przejęty czystą mocą świętej natury krateru. Skażona nieczystością krew parzyła go w obliczu świętości.

– Musimy usunąć piasek! – zawołała Erin.

Kłęcząca, odsłaniając skrawek szkła, na którym było coś wryte. Ruchem dłoni nakazała towarzyszom, by otoczyli kręgiem studnię.

Wszyscy zabrali się do dzieła, nawet Tommy.

Jedynie Arella stała z tyłu, nie okazując żadnego zainteresowania. Ale wszak sekrety ukryte tam, pod warstwą piasku, znała od wieków. Patrzyła na zasnucone popiołami niebo na północy, jakby czegoś wyczekiwała.

– Lepiej jest nie walczyć z piaskiem – podpowiedziała Erin. – Trzeba wykorzystywać jego naturalną tendencję do spływania w dół. – Zademonstrowała to, zagarniając piach między nogi niczym pies i spychając go w niższe miejsce.

Pozostali skorzystali z jej przykładu. Ziarenka parzyły Rhuna żarem, którego źródłem nie było wyłącznie słońce.

Dokopał się do szklanego podłoża krateru. Ukazała się rozleglejsza część głęboko wyżłobionego wzoru zauważonego przez Erin. Odgarniając piasek,

rozpoznawał egipski styl rysunku. Po chwili wyłonił się kwadrat, na którym umieszczono scenę.

Inni odkrywali podobne tablice wyryte na złocistej powierzchni. Układały się w pierścień wokół źródła wody i opowiadały od dawna utajoną historię.

Wszyscy powstali i usiłowali zrozumieć, na co patrzą.

Arella podeszła do Erin, jakby zwabiona ich poczuciem zagubienia. Schyliła się i delikatnie zgarnęła kurz z maleńkiej postaci, przedstawionej z profilu w sposób typowy dla egipskich obrazów.

– Wygląda to jak hieroglify – odezwał się cicho Tommy.

Opowieść nie dotyczyła jednak ani egipskich królów, ani bogów. Na szkle widać było chłopca z kręconymi włosami, który wspinał się po wydmie, za którą znajdowała się sadzawka.

Nie był to jednak pierwszy lepszy chłopczyk.

– Czy to Chrystus w wieku dziecięcym? – spytała Erin.

Wieszczka uniosła głowę i spojrzała na towarzyszy.

– Oto chłopiec wybiera się samotnie na pustynię, by znaleźć ukryty źródło. Nie miał jeszcze jedenastu lat, bawił się na wydmach i w sadzawkach tak jak inni.

Krew poruszyła się w żyłach Rhuna na myśl, że mały Jezus bawił się na pustyni tak jak każde inne niewinne dziecko.

Arella przeszła do następnego rysunku i wszyscy zrobili to samo. Kędzierzawy chłopiec dotarł do sadzawki. Na jej przeciwnym brzegu spoczął ptak, od którego odchodziły promieniujące linie.

Czoło Erin przecięła zmarszczka.

– Co się wydarzyło?

– To ty jesteś Uczoną Niewiastą – odparła sybilla. – Powiedz, słucham.

Erin opadła na kolano i wodziła palcami po liniach, wyszukując szczegóły.

– Chłopiec niesie w prawej dłoni procę, a w lewej kamienie. Poluje... a może się bawi. Odgrywa walkę Dawida z Goliatem.

Arella uśmiechnęła się spokojnym, promiennym uśmiechem.

– Właśnie tak. Ale na pustyni nie było Goliata. Tylko mały biały gołąb z błyszczącymi zielonymi oczami.

Tommy westchnął głośno i patrzył na kobietę-aniola.

– Zobaczyłem takiego gołębia w Masadzie, miał złamane skrzydło...

Uśmiech zastygł na twarzy wieszczki i posmutniała.

– Ktoś inny także go ujrzał, na długo przed tobą.

– Masz na myśli Judasza... – Tommy uklęknął obok Erin i przyjrzał się dokładniej ptakowi. – On też go widział, kiedy był chłopcem. Rano tego dnia, kiedy poznał Jezusa.

Erin zerknęła na chłopca, a potem na Arellę.

– Według Kościoła gołąb zawsze symbolizował Ducha Świętego – powiedziała.

Rhun usiłował zrozumieć, jak jeden ptak może łączyć ze sobą trzech chłopców. A co ważniejsze, dlaczego ich łączył.

Arella po prostu się odwróciła z beznamiętną miną i podeszła do następnego kwadratu.

Obrazek przedstawiał kamień, który wyleciał z procy chłopca i trafił ptaka. Jedno skrzydełko było wyraźnie złamane.

– Ugodził ptaka – rzuciła zaszokowana Erin.

– Chciał jedynie trafić obok, spłoszyć go. Ale intencje to za mało.

– Co to znaczy? – zapytał Tommy.

– To, że chcesz, by coś przebiegło w dany sposób, nie oznacza, że tak właśnie będzie – wyjaśniła Erin.

Rhun dosłyszał żal w biciu serca Tommy'ego. Chłopiec zdążył się już nauczyć tej lekcji.

Podobnie jak ja, pomyślał ksiądz.

Następny obrazek ilustrował posępny koniec dziecięcej igraszki. Kędzierzawy chłopczyk trzymał gołębia w dłoniach; szyja ptaka zwisała bezwładnie.

– Kamień nie tylko złamał mu skrzydło – oznajmiła Erin. – On go zabił.

– Chłopiec bardzo mocno pragnął cofnąć swój czyn – powiedziała Arella.

Rhun rozumiał to pragnienie; stanęła mu przed oczami twarz Elżbiety, rozjaśniona w blasku słońca.

Tommy odwrócił się do sybilli i zerknął na nią spod oka.

– Skąd wiesz, co robił Jezus i co myślał?

– Mogłabym odrzec, że dlatego, iż jestem wiekowa i mądra albo że jestem prorokinią. Ale wiem to wszystko dzięki temu, że dziecko samo mi powiedziało. Wrócił pędem z pustyni umazany piaskiem i błotem i przedstawił mi tę historię.

Erin przyglądała się jej uważnie.

– A więc nie tylko przyprowadziłaś świętą rodzinę do Siwy. Zostałaś tutaj i roztoczyłaś nad nią opiekę.

Arella skinęła głową.

Christian wykonał znak krzyża. Nawet ręka Rhuna samorzutnie powędrowała do krzyża, który wisiał na jego szyi. Ta kobieta знаła Chrystusa, dzielił się z nią swoimi pierwszymi triumfami i smutkami. On nawet nie mógł marzyć o takiej świętości.

Wieszczka zatoczyła ręką krąg.

– Jezus stał w miejscu, w którym w tej chwili stoimy.

Książd wyobraził sobie studnię i sadzawkę, która ją niegdyś otaczała. Ujrzał w myślach ptaka i chłopca stojącego na brzegu. Ale co nastąpiło później?

Sybilla przeszła do następnego wizerunku. Przedstawiał chłopca z uniesionymi rękami. Z jego palców strzelały wryte w szkło promienie. Między nimi zaś fruwał wysoko gołąb z szeroko rozpostartymi skrzydłami.

– Uzdrowił go – domyśliła się Erin.

– Nie – odparła Arella. – Przywrócił go do życia.

– Jego pierwszy cud – szepnęła Rhun.

– Owszem – potwierdziła sybilla; jej głos nie zdradzał wielkiego podziwu dla tego aktu. – Jednakże blask cudu przyciągnął uwagę ciemnych oczu kogoś innego, kto poszukiwał go od chwili, gdy anioł przyniósł Marii radosną wiadomość.

– Króla Heroda? – zapytał Jordan.

– Nie, wroga o wiele potężniejszego niż tamten.

– A zatem nie człowieka? – rzuciła Erin.

Arella zaprowadziła ich do następnego kwadratu, na którym widać było chłopca stojącego przed rozmazaną postacią z ognistymi oczami.

– Nie był to człowiek, lecz nieubłagany wróg. Osaczył małego Chrystusa nie dlatego, że go nienawdził, lecz dlatego, że zawsze dążył do zniweczenia dzieł Jego ojca.

– Masz na myśli Lucyfera – powiedziała cichym głosem przestraszona Erin.

Rhun spoglądał na rysunek wryty w szkło. Ciemny anioł rzuca wyzwanie młodemu Chrystusowi i robi to ponownie; będzie go kusił na pustyni, w czasie gdy Zbawiciel żył w postaci człowieka.

– Ojciec Kłamstwa zjawił się tutaj, gotów do bitwy – wyjaśniła Arella. – Ktoś jednak przybył chłopcu na ratunek.

Podeszła do następnej tablicy w okręgu, na której przedstawiony był chłopiec otulony skrzydłami anioła. W taki sam sposób sybilla rozpostarła skrzydła nad Tommym.

– Przyszedł mu z pomocą inny anioł. – Erin odwróciła się do niej. – To byłaś ty?

Twarz wieszczki przybrała łagodny wyraz.

– Gdybyż tak było! Ale stało się inaczej.

Ksiądz domyślił się, skąd żal w jej głosie. Cóż to byłoby za szczęście – ocalić samego Chrystusa.

– Kim więc był ten anioł? – spytała Erin.

Arella skinieniem głowy wskazała tablicę. Nadal zasłaniał ją częściowo ruchomy piasek. Rhun pomagał go usunąć, święta esencja parzyła go w palce.

Erin zebrała ostatnie ziarenka i zauważyła, że nie tylko skrzydła chronią chłopca, lecz także miecz spoczywający w dłoni anioła.

Popatrzyła na wieszczkę.

– Archanioł Michał, ten, który stawił czoło Lucyferowi w wojnie Niebios. Jedyny, który zdołał zranić Lucyfera, godząc go płazem miecza.

Arella odetchnęła głęboko.

– Michał zawsze był pierwszym i najlepszym niebieskim szermierzem, tak też było i tym razem. Zstąpił i osłonił chłopca przed swoim byłym przeciwnikiem.

– I co było dalej? – spytał sierżant.

Wieszczka schyliła głowę, jakby nie chciała odpowiadać na to pytanie. Rhun słuchał szeptu wiatru na piasku i pulsu ludzi. Odgłosy te były równie odwieczne jak sama sybilla.

Nabrawszy pewności, że nie usłyszy od niej odpowiedzi, podszedł do następnego kwadratu rozgrzanego promieniami słońca. Widać na nim było eksplozję rozchodzącą się od ciała chłopca; z jego wątłej postaci wybiegały linie. Na wizerunku nie pozostało nic oprócz nich.

Uniósł głowę i objął wzrokiem krater. Usiłował wyobrazić sobie wybuch tak potężny, że stopił piasek w szkło. Co mogło go przetrwać? Skrzydła anioła osłoniły śmiertelnego chłopca przed impetem.

Ale co się stało z obrońcą Chrystusa?

– Jak Michał zdołał wytrzymać cudowny wybuch, którego sprawcą było to dziecię? – zwrócił się do Arelli.

– Nie zdołał. – Westchnęła cicho i odwróciła się plecami do kręgu obrazów. – Michała rozdarło.

Jak to rozdarło?

- Został po nim tylko miecz, leżał na dnie krateru – odpowiedziała na niezadane pytanie.

Rhun zbliżył się do ostatniego kwadratu, na którym widniał jedynie wyszczerbiony miecz wbity ostrzem w krater. Zerknął na całość opowieści w obrazach, chcąc zrozumieć ją w pełni.

Akt miłosierdzia Chrystusa – przywrócenie do życia zwykłego gołębia – doprowadził do unicestwienia anioła. Jak chłopiec zdołał to sobie przebaczyć? Czy świadomość tego prześladowała go?

Ksiądz kłęczał przed ostatnim panelem i zakrywał twarz dłońmi. Zglądził Elżbietę, zwyczajną kobietę, i żal nękał go od setek lat. Był odpowiedzialny za zrujnowanie życia jej oraz wszystkich tych, których krwawo uśmierciła. W tej jednak chwili nie zakrywał dłońmi żalu i wstydu, lecz ulgę. W historii, którą przed chwilą poznał, znalazł dla siebie odrobinę pociechy.

Dzięki ci, Panie.

Świadomość, że nawet Chrystus mógł popełnić błąd, uczynił lżejszym jego brzemię. Nie przyniosła mu przebaczenia grzechów, lecz sprawiła, że łatwiej było mu je dźwigać.

- Co się stało z mieczem Michała? – przerwała ciszę Erin.

- Chłopiec przyszedł do mnie później z ułamkiem miecza w dłoniach. – Arella dotknęła swojej piersi.

- Nosiałś go na szyi – domyśliła się Erin. – Właśnie nim dźgnięto Tommy'ego.

- To prawda.

Fragment anielskiego oręża...

- Gdzie jest jego reszta? – chciał wiedzieć Jordan, jak przystało na żołnierza.

- Chłopczyk oznajmił, że zabijając gołębia, zgrzeszył... – Spokojny głos Arelli drżał, jakby przywoływała bolesne wspomnienia. – I że zgrzeszył ponownie, kiedy go wskrzesił. Że jeszcze nie był gotów na to, by brać odpowiedzialność za cuda.

- Powiadasz więc, że pierwszy cud Chrystusa był grzechem? – dociekał Jordan.

- On tak uważał. Ale doprawdy, pod wieloma względami był po prostu zwyczajnym chłopcem trapionym poczuciem winy. Nie mnie to osądzać.

- I co było później? – Erin chciała się dowiedzieć jak najwięcej.

- Opowiedział mi resztę historii. Uspokoiliam chłopca i położyłam go do snu, a później odnalazłam prawdę ukrytą za jego słowami. Odszukałam dymiący krater i tkwiący w nim miecz. Potem szukałam dalej i zobaczyłam ślady stóp Lucyfera prowadzące na południe; pozostały w nich krople jego czarnej krwi.

Rhun spojrział na południe. Wyostrzywszy uwagę, poczuł tam słabą lukę w emanacji świętości. Była nikła, lecz obecna.

Czy krople nadal tam tkwią?

– Nie znalazłam jednak ani śladu Michała – ciągnęła Arella.

– A jego miecz?

– Pozostaje w ukryciu – odparła. – Do czasu, gdy Pierwszy Anioł powróci na Ziemię.

– To nie jestem ja? – spytał Tommy.

Ciemne oczy wieszczki spoczywały na nim przez chwilę.

– Nosisz w sobie to, co w nim najlepsze, ale nie jesteś Pierwszym Aniołem.

– Nic już z tego nie rozumiem – przyznał chłopiec.

Erin spojrzała na Rhuna.

Nikt nie rozumiał.

Zatem nie było w tym nic dziwnego, że Tommy nie mógł pobłogosławić księgi.

Gorzkie rozczarowanie, właśnie to czuł w tej chwili Rhun. Tyłu nadaremnie oddało życie po to, by sprowadzić tu tego chłopca. Tak wielu cierpiało, przelewało krew i zginęło w pogoni za niewłaściwym aniołem. Bramy Pieła wciąż się otwierały, los świata był już przypieczętowany.

Zawiedli.

– Śmigłowiec – powiedział Christian i znieruchomiał obok księdza.

Arella skierowała wzrok ku północy; często zerkała w tamtą stronę, jakby spodziewała się coś ujrzeć.

– Oto wreszcie przybywają. Aby sprawdzić, czy to, co zostało kiedyś złamane, może być naprawione.

– A jeżeli nie może? – odezwała się Erin. Zauważyła, że słońce wisi już nisko nad horyzontem. Do zachodu została nie więcej niż godzina.

Rhun lękał się odpowiedzi na jej pytanie.

– Jeżeli nie... – Arella przeciągnęła dłońią po zabrudzonej białej tunice – to panowanie człowieka na Ziemi dobiegło kresu.

Siwa, Egipt

20 grudnia, 15.28 czasu miejscowego

Gdybym ja miał ich uszy...

Jordan przekrzywił głowę, usiłując dostrzec jakiś znak świadczący o zbliżaniu się śmigłowca, ale słyszał jedynie świst wiatru na piasku. Wyteżył wzrok, lecz zobaczył tylko niewyraźną brązową linię horyzontu, piaskowe wydmy ciągnące się we wszystkich kierunkach oraz szereg płaskich wzgórz w oddali. Niebo przybrało ciemnoszary kolor, blade słońce z ledwością przebijało się przez półmrok. Był grudzień, więc znajdowało się nisko.

Sierżant oszacował zdolność oddziału do odparcia ataku, bo przecież atak mógł się właśnie zbliżyć.

Żarty się mnie trzymają czy co? – pomyślał. Jasne, że ktoś nas zaatakuję.

Oddział nie miał się gdzie skryć na otwartej przestrzeni; najlepszą obronę stanowili sangwiniści. A także siłę ofensywną.

Jak liczni będą tamci?

Jeśli nadchodził Iskariota, to drań miał do dyspozycji nieograniczone zasoby: ludzi, *strigo*i, nawet monstrialne blesfemory.

Sierżant odwrócił się do Christiana.

– Może polecilibyśmy w jakieś miejsce łatwiejsze do obrony?

– Ptak zużył prawie całe paliwo, a nawet gdyby tak nie było, to jest za wolny, by uciec przed maszyną, która nadlatuje.

Jordan przypomniał sobie pociski raketowe nazwane Ogniem Piekielnym.

– Rozumiem. – Westchnął, zamaszystym ruchem zdjął z ramienia pistolet maszynowy. Zostało mu niewiele amunicji.

Erin sprawdziła swoją broń i wzruszyła ramionami. Była w tej samej sytuacji.

Sierżant uśmiechnął się do niej; miał nadzieję, że doda jej tym otuchy.

Jej mina świadczyła o tym, że mu się nie udało.

Nagle usłyszał dalekie dźwięki i dojrzał ciemną plamkę wśród migotliwych piasków. Mały komercyjny śmigłowiec nadlatywał szybko na niskim pułapie.

Mógł wieść na pokładzie najwyżej pięciu, sześciu wrogów. I z pewnością nie był uzbrojony w pociski raketowe.

Dobre i takie pocieszenie.

Zdawało się, że pilot żyłuje śmigłowiec ponad miarę. Ciągnęła się za nim smuga białego dymu. Jordan stanął w rozkroku i wymierzył z pistoletu do kabiny. Jeśli zdoła trafić pilota, może maszyna się rozwali i kłopoty z głowy.

Kiedy znalazła się bliżej, sierżant zauważył wybrzuszenie kabiny z prawej strony. Tam powinien siedzieć pilot. Oparł palec na spuście.

– Zaczekaj! – Christian ściągnął lufę jego pistoletu w dół.

– Dlaczego? – zdziwił się Jordan, cofając się o krok.

– To jest Bernard – odpowiedział Rhun. – Siedzi z przodu obok pilota.

No dobra, ich oczy też by mi się przydały, pomyślał Jordan. On z tej odległości nie rozpoznałby własnej matki.

– Dobrze to dla nas czy źle? – spytał.

– Raczej nas nie ostrzela, jeśli o to pytasz – odrzekł młody sangwinista. – Ale zadowolony też nie będzie.

– Więc w sumie nieźle.

Śmigłowiec nadleciał, usiadł twardo na brzegu krateru i zachwiał się. Silnik się zakrztusił, z tyłu poleciał dym.

Gdy maszyna znieruchomiała, wyskoczył z niej kardynał. Towarzyszył mu barczysty pilot, istny olbrzym w skafandrze. Szybkim ruchem zerwał hełm z głowy i ukazała się gęsta ciemnoruda czupryna. Z kabiny wysiadły dwie kobiety. Pierwsza miała długie siwe włosy związane wygodnie w kok, była w zbroi sangwinistów. Druga nosiła dżinsowe spodnie i srebrną koszulę, a na niej długą pelerynę. Wierzchnie okrycie wydőło się na wietrze, kiedy kobieta oddzieliła się od towarzyszy. Jordan zauważył błysk kajdanek na jej nadgarstkach.

Hrabina Batory.

Zbliżyła się w zastraszająco szybkim tempie, po trosze ześlizgując się na plecach. Nie przejmowała się, że taki sposób poruszania nie przynosi jej chluby. Jej mina wyrażała zatroskanie, oczy kierowały się ku jednemu członkowi grupy.

– Elżbieta! – zawołał Tommy, podbiegł do niej i mocno ją uściskał.

Znosiła to chwilę, po czym szorstkim ruchem uniosła mu brodę i obejrzała szyję.

– Całkiem dobrze wyglądasz – powiedziała. Napięcie w jej głosie zdradzało, co naprawdę czuje.

Sierżant nachylił się do Erin.

– Nie kapuję, co młody w niej widzi.

Bernard podszedł i otaksował Tommy'ego.

– Zdołałaś wyleczyć oboje – rzucił gderliwie, zerkając na Arellę. – Bardzo dobrze.

Dwoje sangwinistów stało przy nim, ubezpieczając go. Mieli kamienne miny.

Kardynał wskazał olbrzymą, który z bliska prezentował się jeszcze bardziej imponująco. Miał pierś szeroką jak pancierz czołgu i grube ramiona porośnięte gęstymi kępami rudych włosów.

– To jest Agmundr.

Przybysz rąbnął się potężną pięścią w klatkę piersiową i błysnął zębami Christianowi. Drugą rękę uniósł z dumą w kierunku dymiącego śmigłowca.

Christian westchnął i pokręcił głową.

– Wygląda na to, że skasowałaś jeszcze jedną maszynę. Myślałem, że lepszy ze mnie nauczyciel, Agmundrze. To nie jest łódź bojowa wikingów, lecz precyzyjnie wyregulowana maszyna.

– Zezłościła mnie – rzucił Agmundr ze skandynawskim akcentem. Jego dudniący głos zdawał się wydobywać z głębi gardła. – Zbyt powolna.

– Ciebie wszystko złości – zauważył z przyganą młody sangwinista. Ścisnęli sobie serdecznie ręce. Christian zarobił klepięcie w plecy, które omal nie powaliło go na kolana. Agmundr od razu przypadł sierżantowi do gustu.

Bernard wskazał sangwinistkę.

– A to jest Wingu.

Kobieta była ciemnoskóra i przewyższała wzrostem Jordana. Z bliska zobaczył, że jej siwe włosy zdobią pióra i są spięte kolorową opaską z paciorków. Policzki twarzy o surowym wyrazie upstrzone były małymi, okrągłymi plemiennymi okaleczeniami.

Skinęła głową; jej ciemne oczy mogły wypatrzyć wszystko.

– Mamy bardzo mało czasu na wymianę grzeczności – oznajmił kardynał, zerkając przez ramię na niebo. – Musimy doprowadzić chłopca do księgi. Jeśli został w tym miejscu uzdrowiony, może zdoła ją tutaj pobłogosławić.

– To miejsce jest święte – powiedziała Erin. – Może świętsze od Bazyliki Świętego Piotra.

Bernard uniósł brwi.

– Właśnie tutaj Chrystus sprawił swój pierwszy cud – wyjaśniła. – Jeszcze jako dziecko.

– Czuję obecność wielkiej świętości – odezwała się głębokim szeptem Wingu.

Kardynał powoli skinął głową; najwyraźniej on także coś odczuwał, ale wyprostował się i skinął na Tommy'ego.

– Przekonajmy się zatem, czy księgę można pobłogosławić na tej ziemi.

Batory pozwoliła chłopcu podejść do grupy, chociaż jej to nie ucieszyło. Niestety, nie mogła temu zaradzić. Była w stanie chodzić pod zasnutym popiołem niebem, lecz słońce i tak odbierało jej siły, a może była to sprawa świętej esencji obecnej w ziemi. Tak czy inaczej, miała świadomość, że nie zdoła stawić oporu tyłu sangwinistom, zwłaszcza na świętym terenie, który przydawał im mocy.

Przekroczyła krąg rysunków wrytych na szkłe i przyjrzała się im. Bernard, który to zauważył, poszedł za jej przykładem. Popatrzył jeszcze raz, podszedł bliżej i okręcił się. Jego wzrok przenosił się z jednego rysunku na drugi, jakby kardynał w przyspieszonym tempie czytał treść zapisaną na kartkach.

– To właśnie obraz tej historii zniszczyłaś w Jerozolimie – zwrócił się do Arelli. Podszedł do ostatniego rysunku, uklęknął i dotknął przedstawionego tam miecza.

– Dlaczego mnie go pozbawiłaś? – spytał głosem pełnym żalości.

– Świat nie był jeszcze gotowy – odparła.

– Kimże jesteś, by osądzać, na co świat jest gotowy? – Kardynał wstał i ruszył w kierunku wieszczki z dłonią na rękojeści miecza.

Jordan dotknął pistoletu, a Rhun zastąpił Bernardowi drogę.

– Poniechaj, stary druhu. To, co minęło, zostaw przeszłości. Teraz musimy stawić czoło teraźniejszości i przyszłości.

– Gdybyśmy zdobyli wtedy taki oręż... – Kardynał kręcił głową, Jordan nigdy nie widział go tak rozżalonego. – Wyobraź sobie, ile cierpienia mogliśmy oszczędzić światu.

– I ile spustoszeń mogliście uczynić – dodała Arella. – Weszłam do meczetu po tym, jak opuściłeś Jerozolimę. Widziałam, czego twoje oddziały dokonały w imię Boga. Nie byłeś gotowy. Świat nie był gotowy.

Rhun dotknął pectorału.

– Nie mamy czasu – przypomniał wieszczce. – Za godzinę zacznie się zachód słońca.

Jego słowa najwyraźniej wreszcie się przebiły przez gniew i żal Bernarda.

– Masz słuszość – przyznał kardynał, wyjął spod puklerza Ewangelię Krwi i podsunął ją chłopcu. – Proszę cię, pobłogosław tę księgę, zanim będzie za późno.

Tommy wziął ją do ręki, jego twarz wyrażała zmęczenie. Książka wydawała się ogromna w jego drobnych dłoniach.

– Poprzednim razem nic z tego nie wyszło. I pamiętajcie, że nie jestem Pierwszym Aniołem.

Bernard spojrział z konsternacją na pozostałych. Dla niego był to długi dzień pełen niespodzianek, w większości nieprzyjemnych. Sierżant wiedział, jak to jest.

– Co on mówi? – spytał kardynał.

– Spróbuj tak czy inaczej – zachęciła chłopca Erin, ignorując pytanie Bernarda.

– To przecież nie zaszkodzi.

– No dobrze – rzucił z powątpiewaniem Tommy. Otworzył księgę i ułożył dłoń nad stronicami. – Ja, Thomas Bolar, błogosławię tę księgę.

Wszyscy się pochylili, jakby spodziewali się cudu.

A cud znowu nie nastąpił.

Nie zabłysło złote światło, nie padły nowe słowa.

Zdawało się, że rażone gromem miejsce wyczerpało swój zapas cudów.

16.04

– Przecież Tommy powiedział, że nie jest Pierwszym Aniołem – odezwała się Erin, wyczuwając u sangwinistów wrażenie kłębki.

– Kim więc jest? – chciał wiedzieć kardynał.

Wiedziała, że coś jej umknęło, czuła się tak, jakby układała w ciemności puzzle, na ślepo przesuując ich kawałki.

– Według słów Arelli chłopiec niesie w sobie to, co najlepsze z Pierwszego Anioła. Uważam więc, że mimo wszystko to właśnie on stanowi klucz.

Rhun, słysząc te słowa, wyprostował się nieco. Zdawało jej się, że ksiądz myśli o wszystkich tych, którzy stracili życie, by sprowadzić Tommy'ego w to miejsce.

Oni nie mogli zginąć na próżno.

Nie podążyła jednak tym tropem. To sangwiniści babrzą się w grzechach i odkupieniu. Istniał prawdziwy problem, który należało rozwiązać, a jej nie wolno było zboczyć z drogi.

– Jeśli w Tommym jest Pierwszy Anioł, to jak go wydobędziemy? – wtrącił się Jordan.

– Może trzeba go wyciąć – podsunął Bernard.

Erin zmierzyła go groźnym spojrzeniem.

– Tę możliwość potraktujmy jako ostatnią. – Wpatrywała się w Tommy’ego. – Może dałoby się wydobyć go egzorcyzmami?

Chłopiec aż się zakrztusił. Sugestia ta nie wzbudziła w nim większego entuzjazmu niż propozycja kardynała.

Ramiona Rhuna zeszywniały.

– Aniołów nie poddaje się egzorcyzmom – powiedział.

– Może i tak. A może nie.

Dla wszystkich było to nieznanie terytorium.

Erin spojrzała na Arellę.

– A ty nie możesz nam pomóc?

– Macie wszystkie informacje, które są wam potrzebne.

Erin zmarszczyła czoło; teraz już zaczynała rozumieć, dlaczego wyrocznie tak bardzo frustrowały starożytnych. Naprawdę potrafiły być uparte. Wiedziała jednak, że sybilla mówi jej prawdę. Odpowiedź była gdzieś w niej, w Erin. Była Uczoną Niewiastą i miała za zadanie rozwikłać tę zagadkę. Musiała również wierzyć, że milczenie wieszczki czemuś służy, że Arella nie bawi się ze słuchaczami wyłącznie po to, by wpędzić ich w złość.

Czy to także miało jakieś znaczenie?

– Może jednak powinniśmy zawieźć Tommy’ego do Rzymu – odezwał się sierżant. – Chłopak już wydobrzeł.

– Nie – rzuciła Erin. – Jeśli coś ma się stać, musi się zdarzyć tu, w tym miejscu.

Powoli się odwróciła; wiedziała, że odpowiedź na nurtujące ich pytanie spoczywa gdzieś w piaszczystym złotym kraterze. Spoglądała to na rysunki, to na nierówne szklane krawędzie wyglądające jak plamy rozprysniętej wody, zamrożone wzdłuż brzegu krateru.

– Jesteś pewna, że to musi się stać tutaj? – dopytywał się Jordan.

Wyraźnie szukał pretekstu, by wyrwać się z pustyni w bezpieczniejsze miejsce. Rozumiała jego motywy, lecz brama Piekła otwierała się nieubłaganie i już wkrótce żadne miejsce na Ziemi nie zapewni nikomu bezpieczeństwa.

Wsparcie nadeszło z najbardziej nieoczekiwanego miejsca.

– Kobieta ma rację – burknął Agmundr. – Musimy tutaj zostać.

– Dlaczego? – spytała, odwracając się. – Co wiesz?

Wskazał na północ.

– Nie ma w tym żadnego mistycyzmu. Ten chinook, który za nami leciał... – Agmundr zerknął na kardynała. – Obawiam się, że jednak mu nie uciekliśmy.

Erin popatrzyła na dymiący śmigłowiec, który przypominał zajędzonego wierzchowca.

Olbrzymi sangwinista przechylił głowę.

– Sądząc po odgłosie pracy silników, niedługo tu będzie.

Rhun i pozostali wyτέżali słuch, lecz wyraz ich twarzy nie pozostawiał wątpliwości, że uszy wikinga działają lepiej.

– Jesteś pewny? – zapytał Bernard.

Agmundr uniósł ciężkie brwi, najwyraźniej dziwiąc się, że kardynał śmie w niego wątpić.

Sierżant aż się skrzywił i Erin położyła mu dłoń na ramieniu.

– Nie ma to jak dodatkowa presja – powiedział.

– Pod presją pracuje mi się najwydajniej.

Ale może nie pod taką.

16.08

Rhun zazdrościł tym dwojgu, że znajdują w sobie pociechę. Zwyczajny dotyk dłoni sprawiał, że strapione serce zaczynało bić wolniej.

Zerknął na Elżbietę, która po tym, jak Wingu rozpięła jej kajdany, w opiekuńczym geście otoczyła ramieniem Tommy'ego. Zbliżała się bitwa i potrzebne będą wszystkie siły. Ksiądz przeczuwał, że Elżbieta zrobi wszystko, by chłopcu nie stała się krzywda.

Ich spojrzenia się spotkały. Tym razem nie dostrzegł w jej oczach wrogości, tylko troskę o bezpieczeństwo chłopca. Jakże inaczej mogłyby się potoczyć ich losy, gdyby poznał ją jako zwykły mężczyzna, a nie skażony nieczystą krwią *strigoi*. A może byłoby najlepiej, gdyby w ogóle się nie zetknęli.

– Ilu żołnierzy może zabrać na pokład chinook? – zapytał Christian i myśli Rhuna wróciły do chwili obecnej.

- To maszyna do transportu oddziałów - odparł sierżant. - Około pięćdziesięciu. Albo więcej, jeśli się ich upchnie.

Pięćdziesięciu?

Książd omiótł spojrzeniem przyciemnione niebo. Wreszcie udało mu się wypatrzyć oliwkowozieloną pszczołę na tle szarości. Był to rzeczywiście duży śmigłowiec z dwoma rotorami i długą kabiną między nimi. Silniki dudniły mocą i groźbą.

Popatrzył na niewielką grupę swoich zakonnych towarzyszy, doświadczonych wojowników otrząskanych w boju, lecz było ich zaledwie kilku.

Jordan mierzył z pistoletu do śmigłowca, ale nie otwierał ognia.

- Opancerzony - rzekł po cichu, kiedy maszyna się zbliżyła. - Jakżeby inaczej.

Wielki stalowy ptak okrążył krater w należytej odległości. Ktoś na jego pokładzie ważył siły przeciwnika i oceniał sytuację. Potem maszyna usiadła powoli dobre sto metrów od brzegu krateru.

Na pustyni wzbil się gigantyczny tuman piasku i przesłonił kształt śmigłowca. Rhun dostrzegł jednak rampę, która wysunęła się z tylnej części. Zbiegały po niej cienie postaci; naliczył ich dwa tuziny. A więc mniej niż pięćdziesięciu. Byli jednak krzepcy, sprawni i zaciekli, niektórzy mieli na sobie skórzane pancerze, inni mundury rozmaitych armii, a paru było w dżinsach i koszulkach. Bez wątpienia nie stanowili zdyscyplinowanej siły bojowej, bo też nie było takiej potrzeby.

Wsluchiwał się, usiłując wychwycić bicie serc, ale nie biło ani jedno.

Sami *strigoi*.

Wysunął się przed Erin i Jordana, osłaniając ich. Doprowadził tę parę aż do tej chwili, wędrowali razem od wnętrza góry Masady, gdzie ujawnił im swoją naturę. To on przywiódł ich na ścieżkę krwi i nie mógł postąpić inaczej - musiał teraz złożyć życie w ich obronie. Obawiał się jednak, że to może nie wystarczyć.

Lecz tego dnia na szczęście nie był osamotniony.

Christian stanął u jego boku z jednej strony, a Bernard z drugiej; flanki zajęli Agmundr i Wingu. Elżbieta, która trzymała się z tyłu z Tommym, przykucnęła, obnażając ostre kły.

Na czyjś niesłyszalny sygnał wataha *strigoi* z nadludzką szybkością rzuciła się pędem po piasku pod budzącym trwogę poszarzałym niebem.

Serce Erin zaczęło bić mocniej, ale się nie cofnęła. Sierżant stał niewzruszenie obok niej; każde uderzenie jego serca zaświadczało o jego dzielności.

Rhun dobył oręża i czekał.

Obrał swój pierwszy cel: był nim najtęższy wojownik, rosłe chłopisko biegnące środkiem. Christian podążył za spojrzeniem księdza, skinął głową i wybrał sobie innego przeciwnika. Pozostali sangwiniści zrobili to samo.

Dzięki dyscyplinie i wyszkoleniu mogli złamać pierwszą falę natarcia. Poza tym sangwiniści mieli przewagę, bo walczyli na świętym gruncie.

Mogło to osłabić wroga.

Owszem, mogło, ale nagle z boku śmigłowca opadła druga kłapa i z mroku kabiny w posępne światło dnia wysypały się ciemne bestie.

Wątła nadzieja Rhuna stopniała.

Blesfemory.

Dojrzał popielate szakale o długich pyskach i dużych uszach, które rwały przed siebie, a ich wycie rozdzierało ciszę. Za nimi pojawiło się stado lwów z czarnymi grzywami; sunęły ze zdrażliwą gracją niczym oliwa rozlana na piasku.

Każdy z nich został przemieniony w monstualne, przerażające wynaturzenie swojej istoty, zrodzone z czarnej posoki i okrucieństwa.

Ich serca biły w głębokim powolnym rytmie, świadcząc o wieku i sile. Nawet gdyby nie towarzyszyli im *strigoi*, Rhun wątpił, czy jego oddział zdołałby długo dotrzymać pola tym stworom, jeśli w ogóle było to możliwe.

Przełknął ślinę i zmówił szybką modlitwę.

Stał wśród skazańców.

Tak jak zostało zapowiedziane w dniu, w którym go przemieniono, polegnie w walce.

Jednakże Erin zasługiwała na lepszy los.

16.31

Blesfemory, na domiar wszystkiego, pomyślał sierżant i aż jęknął. Ścisnął mocniej pistolet, choć wiedział, że w obliczu tych bestii jego broń znaczy niewiele więcej niż korkowiec.

Hrabina przesunęła Tommy'ego za siebie.

– Nie wywołuj wilka z lasu... czy może raczej diabła – powiedziała.

Co to miało znaczyć?

Skonsternowany chłopiec wyraził głośno wątpliwość:

– Hm?

Popatrzył na nadciągającą kudłatą menażerię. Można było odnieść wrażenie, że diabeł przybywa zewsząd. I nie był malowidłem, lecz wyjąca niewolniczą hordą godną ekranowej chwały.

– To znaczy... zachowaj nadzieję – wyjaśniła hrabina.

Dziwnie zabrzmiały te słowa w sytuacji, gdy nawet Jordan znajdował w sobie ledwie strzęp nadziei. Ale to dobrze, że próbowała pocieszyć młodego.

Wataha *strigoi* dopadła pierwsza do krawędzi krateru i nie wlała się na nią, tylko rozdzieliła i otoczyła nieckę ze wszystkich stron. Może oni także wyczuli świętą substancję przenikającą podłoże z piasku i szkła.

Hrabina syknęła gardłowo i zagarnęła Tommy'ego mocniej za swoje plecy. Sangwiniści zareagowali na manewr przeciwników, ustawiając się w obronny krąg.

Arella odezwała się zniecacka sierżantowi prosto do ucha, aż podskoczył:

– Słowa tej kobiety niosą mądrość – szepnęła. – Wszystko jest jeszcze do wygrania.

Zanim zdążył się odezwać, wieszczka chwyciła Tommy'ego, szarpnęła go ku otworowi studni i wepchnęła do środka. Tommy krzyknął, niezgrabnie wpadając z pluskiem do wody.

Batory skoczyła na wieszczkę i rzuciła ją na ziemię. Jednak woda ze studni chlusnęła na jej buty. Hrabina krzyknęła i odstąpiła jak przed roztopioną lawą.

Arella podeszła do krawędzi studni, w której szamotał się Tommy.

– Ostrożnie – powiedziała. – Tylko naznaczeni przez anioły mogą tych wód dotykać. Każdy inny szczególnie, nawet człowiek.

Z tymi złowieszczymi słowy skoczyła głową w dół, chwytając Tommy'ego za ramię i wciągając go w głąb.

Twarz hrabiny, która nie odważyła się zbliżyć, wyrażała trwogę.

Nic dziwnego, że studnia trwała zaczopowana z taką mocą, pozostawiona piaskom i wpływowi stuleci.

– Dobrze i to, że chłopcu nie zagraża bezpośrednio niebezpieczeństwo – pocieszył ją Rhun.

Owszem, ale co będzie z nami?

Jordan stanął w jeszcze większym rozkroku i patrzył na horde, która otoczyła ich ze wszystkich stron. *Strigoi* syczeli i wyciągali długie zakrzywione szable. U ich

nóg i ramion tłoczyły się blesfemory. Dranie przynajmniej nie przywlekli ze sobą broni palnej, pomyślał i wtedy sobie przypomniał, dlaczego jej nie używają.

Woleli ofiary pożerać żywcem.

Siwa, Egipt

20 grudnia, 16.33 czasu miejscowego

Erin dostrzegła ruch na brzegu krateru. Olbrzymi *strigoi* odziany w brązową skórę zbliżał się; dotarł już do krawędzi niecki. Był czarnoskóry, miał gładko ogoloną głowę i nosił liczne kolczyki w ciele. Ciągnął za sobą miecz o szerokim ostrzu. Schylił się, wziął trochę piasku w palce i odrzucił go z odrazą, zapewne wyczuwając świętą esencję tej ziemi. Splunął, skrzywił się szyderczo i spojrzał z góry na wrogów.

Patrzył na Erin.

Poczuła zimny dreszcz.

Olbrzym zrobił krok, a potem drugi i znalazł się wewnątrz krateru.

Nie był sam.

U jego boków stąpały dwa lwy blesfemory, rozglądając się i zamiatając ogonami piasek. Ich grzywy były czarne, a nie jasnobrązowe, mierzwił je gorący pustylny wiatr. W przyćmionym popiołem blasku dnia ślepie błyszcząły przerażającym szkarłatem. Blesfemory warknęły, obnażając kły godne tygrysa szablozębnego. Czarne pazury wbijały się głęboko w piasek i wyrzucały go do tyłu. Bestie wyglądały jak ucieleśnienie groźby.

Ogromny *strigoi* zamachnął się i bez wysiłku nakreślił nad głową ósemkę. Długa klinga stanowiła przedłużenie jego masywnego ramienia.

Nagle Erin pożałowała, że za jej namową przybyli do Siwy.

Odsunęła tę myśl i mocniej zacisnęła dłoń na rękojeści pistoletu. Bez względu na to, co się wydarzy w ciągu następnych kilku minut, decyzja była słuszna. Wina Erin nie polegała na tym, że sprowadziła wszystkich w to miejsce, lecz na tym, że nie zdołała na czas rozwiązać zagadki piasków, tej samej, która kryła się za spokojnymi oczami Arelli.

Sangwiniści trzymali już miecze w pogotowiu. Bernard dzierżył starożytny oręż z zakrzywionym ostrzem połyskującym niczym woda, wykutym z damasceńskiej stali, o krawędzi wzbogaconej srebrem i zapewne pieczołowicie

poświęconym. Christian także posługiwał się krzywym mieczem, ale była to współczesna broń, nepalski kukri. Agmundr wy dobył długi miecz z pochwy, którą nosił na plecach. Wingu miała dwa krótsze miecze, którymi poruszała z siłą i gracją.

Rhun trzymał karambit; jego zakrzywione ostrze było równie śmiertelne jak pazur blesfemora.

Rosły *strigo*i zrobił ostatni krok w głąb niecki krateru i zatrzymał się. Lwy kroczyły tuż u jego boków.

Za jego pleców ukazała się znajoma postać o srebrnych włosach. Iskariota rzucił swój popielaty garnitur i włożył pobielaną skórzaną zbroję, pięknie dopasowaną do muskularnej sylwetki.

Jordan skierował na niego pistolet.

Tamten dostrzegł ruch i na jego wargach zaigrał nikły drwiący uśmiech. Najwyraźniej wyleczył się już po tym, jak sierżant go postrzelił z tej samej broni.

Iskariota uniósł rękę i wypuścił do góry ćmę o szmaragdowych skrzydłach.

Sangwiniści poruszyli się niepewnie, śledząc wzrokiem migotliwe trzepotanie. Ile jadowitych stworów sprowadził ze sobą wróg? Mając ich wystarczająco dużo, mógł powalić wszystkich sangwinistów bez rzucania w bój swojej armii.

Jednak ćma przeleciała zaledwie metr i spiralnym ruchem spadła na ziemię. Przy upadku skrzydełko rozleciało się na świetliste łuski. Skażenie powietrza popiołem lub niesiony wiatrem piasek sprawił, że delikatne dźwignie nie podołały trudnemu terenowi.

A może świętość miejsca znowu zrobiła swoje.

Bez względu na przyczynę, jedno zagrożenie zniknęło.

Co nie oznaczało, że to zmieni ostateczny wynik starcia.

Głos Iskarioty niósł się donośnie w zagłębieniu krateru. Jego wzrok przemknął po szeregu przeciwników i dostrzegł, kogo brakuje.

– Straciliście, jak widzę, swoich dwoje aniołów.

Erin zmusiła się, żeby patrzeć na wroga i nie zbłądzić spojrzeniem w kierunku studni, w której zniknęli Arella i Tommy. Miała nadzieję, że chłopiec wyjdzie z niej cało, że źródło prowadzi do tajemnego wyjścia, jakieś oddalonej sadzawki. Był nieśmiertelny, więc powinien przeżyć nawet w razie utonięcia w wodzie.

– Może i straciliśmy swoje anioły, ale ty odnalazłeś swoje demony! – zawołał Jordan.

Iskariota parsknął śmiechem i wskazał na sangwinistów.

– Wy też macie swoje własne demony, Mężu Wojownika.

– To są przyjaciele, a nie demony – sprostował sierżant.

Iskariota ściągnął brwi; najwyraźniej jego cierpliwość się wyczerpywała.

– Gdzie go ukrywacie? – zapytał i nie było wątpliwości, że ma na myśli Tommy’ego.

Na pewno wiedział, że dopóki chłopiec cieszy się wolnością, jego plan rozpełtania piekła na ziemi będzie zagrożony.

Odpowiedziało mu milczenie.

Wzrok Iskarioty skierował się na Erin i tam pozostał. Wskazał ją uniesioną dłonią.

– Nikomu nie wolno jej zranić! – zawołał głośno. – Ona należy do mnie.

Odpowie mi na pytanie.

Wokół krawędzi niecki rozległo się warczenie i syki.

– Pozostałym śmierć!

16.34

W głębinie studni Tommy z całej siły machał nogami i spływał jeszcze niżej. Był zszokowany, kiedy dziwna kobieta wrzuciła go do środka i wciągnęła pod wodę, ale szok minął. Teraz starał się tylko płynąć równo z nią. Mimo że potraktowała go w taki sposób, o dziwo jej ufał.

Nie wiedział, czy naprawdę jest aniołem, lecz uratowała mu życie, więc na razie postanowił rozstrzygnąć wątpliwości na jej korzyść.

Ściany studni po obu stronach przypominały fakturą szkło z niecki krateru, wciąż jeszcze szorstkie, ale zbyt gładkie jak na skałę. Wyobraził sobie eksplozję, której ślady zostały na powierzchni po bitwie Lucyfera z Michałem. Fala wybuchu musiała sięgnąć głęboko pod ziemię i zatkała sadzawkę, w której stał Chrystus, a przy okazji stopiła wszystko wokół i zamieniła w szkło.

Chętnie odrzuciłby i tę historię jako nieprawdziwą, gdyby nie dwie rzeczy.

Po pierwsze, im głębiej nurkował, tym woda robiła się cieplejsza.

Po drugie, widział przed sobą jasny złocisty blask, który otaczał gładkie nogi kobiety i rozświetlał mu drogę.

Podążał za nią, aż płuca pękały mu z bólu, a w uszach dudniło od ciśnienia.

Płynął coraz to głębiej i głębiej.

Gdy wreszcie dotarł do dna, rozpaczliwie brakowało mu powietrza.

Kobieta wskazała boczną jaskinię w odległości zaledwie paru metrów. Z bólem w piersiach zanurkował w krótki korytarz i zaczął się odpychać od gładkich ścian i dna. Przed nim znajdowało się źródło światła, przyciągało go niczym ćmę do płomienia.

Nie płomienia pragnął jednak Tommy.

Marzył o powietrzu.

Nurkował kiedyś z tatą na wybrzeżu koło Cataliny; wchodził do morskich jaskiń, którymi podziurawiona była wyspa. Pamiętał, jak wpływał między skałami do pieczary o dnie z pluszczącą wodą i powietrzem pod sklepieniem.

Modlił się, żeby i tu było coś podobnego, jakaś sekretna grotta, w której wraz z kobietą mógłby doczekać bezpiecznie końca bitwy.

Bezpiecznie...

Ile czasu minęło od chwili, gdy czuł się bezpiecznie?

Jego płuca krzyczały, gdy pokonywał końcowy odcinek i gramolił się przez otwór jaskini. Pole widzenia zwężało się, zamykało, migotały w nim jakieś iskry. Wiedział, że nie ma w płucach dość powietrza, by wrócić na powierzchnię. Pozostała tylko jedna droga. Ojciec powiedział mu kiedyś, że najważniejsze w życiu to znaleźć właściwą drogę i trzymać się jej.

Coś mi się zdaje, tato, że nie to miałeś na myśli.

Paniczny strach dodał sił ramionom i nogom chłopca. Tommy wpadł do małej pieczary ze ścianami pokrytymi złotym szkłem i z piaszczystym dnem. Wiedząc, że musi być w niej powietrze – bo w przeciwnym razie po co kobieta by go tam przywiodła? – odbił się od dna.

Odepchnął się mocno nogami i z impetem uderzył głową w sufit.

Dotykał rękami sklepienia, szukając najmniejszego bąbla powietrza.

Ale powietrza tam nie było.

16.35

Strigoj i blesfemory przelewały się przez krawędź krateru paskudną, nieczystą falą.

Jordan trzymał mocno pistolet maszynowy, usiłując nie zwracać uwagi na ciemnoskórego olbrzyma, który parł w jego stronę i wiódł parę lwów z ciemnymi grzywami.

Erin wycelowała do jednego z nich.

Sierżant wybrał sobie inny cel; wiedział, że jego broń niewiele zdziała przeciw watasze kłębiącej się na brzegu niecki. Musiał ufać, że uporają się z nią sangwiniści.

Skierował pistolet w bok, ku miejscu blisko krawędzi zagłębienia. Zaczekał, aż dotrze tam posępna armia, i wtedy otworzył ogień.

Rozgrzane pociski zaterkotały seria o zbiornik paliwa śmigłowca.

Eksplzja rozerwała maszynę w ognistym wybuchu. Wirniki oderwały się i runęły na szeregi *strigoi*, po czym uderzyły w przeciwległą ścianę krateru. Nagły wybuch i spustoszenie, które spowodował, przerwały początkową szarżę. Blesfemory rozpięzchły się, sycząc i wyjąc na dymiący wrak. Kilku *strigoi* z odciętymi kończynami wiło się w piasku. Inni leżeli martwi.

Rhun spojrział z uznaniem na sierżanta.

Jordan wykorzystał tę chwilę, by skierować broń na Iskariotę, który trzymał się krawędzi krateru. Sierżant ustabilizował broń i wymierzył w tułów; z tej odległości nie mógł liczyć na to, że trafi w głowę, a miał ograniczony zapas amunicji. Wolał nie zmarnować ani jednego pocisku.

Nacisnął spust, zamierzając unieszkodliwić Iskariotę po raz drugi, nawet jeśli tylko na krótko. Może udałoby się zmusić do odwrotu pozbawioną dowódcy armię.

Jednak kiedy oddał strzał, przed Iskariotą śmignęło cielsko wielkiego szakala i pociski trafiły go w kłęb. Nie dosięgły Iskarioty, drań został uratowany. Z boku bestii trysnęła czarna posoka, lecz zwierz jakby nigdy nic chodził tam i z powrotem, osłaniając pana.

Iskariota wycofał się za krawędź krateru, gdzie był bezpieczniejszy.

Cykor.

Tymczasem najroślejszy *strigoi* zdążył się pozbierać i ruszył ku najbliższym stojącym przeciwnikom. Warknął, szczerząc długie kły.

Agmundr podjął wyzwanie i skoczył w jego stronę.

Olbrzym kontra olbrzym.

Walka nie była jednak równa.

Wspomagany świętą esencją miejsca sangwinista machnął długim mieczem tak szybko, że ostrze zaśpiewało w powietrzu. Głowa *strigoi* z kłami wyszczerzonymi w warknięciu, oddzielona równiutkim cięciem od barów, odpadła.

Jordan posłał serię ku hordzie szarżującej z lewej flanki.

Wingu i Christian skoczyli w prawo.

Rhun i Bernard bronili tyłów oddziału.

Elżbieta, trzymająca się blisko studni, ani nie stanowiła zagrożenia, ani nie pomagała, po prostu pilnowała drogi ewakuacji Tommy'ego nie wiadomo dokąd.

Erin strzeliła obok ramienia sierżanta i trafiła lwa prosto w oko. Zwierz potoczył się pod nogi Agmundra, ten zaś śmignął swoim ogromnym mieczem i rozplątał mu gardło.

Jordanowi zrobiło się żal dotkniętej przekleństwem bestii, która nie prosiła się o to, by przemieniono ją w to, czym się stała. Jednakże litość nie przynosi niczego poza litością.

Strzelał dalej.

Agmundr stanął naprzeciw drugiego lwa i zatańczył przed nim na nogach. Przeciwnicy mierzyli się wzrokiem, wypatrując słabego punktu. Raptem ogromny inny blesfemor, szakał, staranował wikinga i przesłonił mu pole widzenia, po czym zatopił potężne kły w jego udzie.

Sierżant trafił bestię w kłęb, ona jednak nawet nie drgnęła.

Agmundr stęknął gardłowo i przetoczył się po piasku na plecy. Szakał puścił udo sangwinisty i rzucił mu się do gardła. Jordan nacisnął spust, mierząc w pysk zwierza, lecz magazynek był pusty.

Niech to szlag...

Skoczył przed siebie z uniesionym pistoletem, gotów użyć go jak pałki. Zanim zdążył zadać cios, szczęki kłapnęły pod mieczem Agmundra i żółte zębiska wbiły się głęboko w gardło wikinga.

Wiking szarpnął się do tyłu, po czym zwiotczał. Szakał poderwał łeb i rozpruł mu całe gardło.

Na ramię Jordana bluznęła zimna krew.

Odskoczył.

Szakał odwrócił się w jego stronę, z jego szarego pyska kapąła na złoty piasek krew i spadały strzępy tkanki. Potężne tylne łapy napięły się i bestia skoczyła prosto na sierżanta.

Żółte kły przesłoniły mu cały świat, zagłuszyło go przerażające wycie.

16.36

Rhun rzucił się Amerykaninowi na ratunek. Kątem oka zauważył upadek Agmundra i widział, że Jordan pospieszył mu z pomocą. Czekają tam na niego te same szczęki, które odebrały życie mocarnemu wikingowi.

Książd rąbnął ciałem w bok wielkiego szakala. Jego pysk kłapnął jakieś dwa centymetry od twarzy sierżanta. Bestia śliznęła się na piachu i obróciła się do sangwinisty. Pazury przebiły się przez warstwę piasku i zazgrzytały o szklane podłoże.

Rhun trzymał przed sobą zakrwawiony karambit i modlił się o siłę, by obronić pozostałych. Powietrze wypełniło się krwią, podczas gdy Christian, Bernard i Wingu odprowadzali swój płas pośród mrocznej hordy. Szkarłatna mgiełka śpiewała pieśń miłą jego krwi, prosiła, by napił się pożądliwie ze źródła.

Wstrzymał oddech.

Gniewne czerwone ślepia szakala skupiły się na nim. Siwa sierść zjeżyła się na wygiętym karku. Zwierz warknął, odsłaniając żółte zęby osadzone w mocnej szczęce.

Kiedy skoczył, Rhun, stojąc twardo na nogach, wysunął przed siebie rękę i wpakował karambit głęboko w pysk potwora, między jego zęby. Z całej siły pchnął klingę do góry i przebił się nią aż do mózgu. Potem wyszarpnął dłoń.

Bestia zwała się na ziemię; czarna posoka, pieniąc się, płynęła na piasek. Przednie łapy drapały szczękę, z gardła wydobył się bolesny pisk.

Rhuna ogarnął żal na widok boskiego stworzenia, które, przemienione w szkaradę, tyle się naciępało. Wreszcie karmazynowy ogień w ślepiach zgasł i znowu przybrały mętny brązowy odcień. Zwierzę zostało uwolnione od kłatwy.

Sangwinista nie miał czasu na radość z jego wyzwolenia.

Przemożna siła obaliła go od tyłu na piach i wylądował twarzą w ciemnej krwi szakala. Pazury drapnęły jego plecy, rozpruły pancerz i skórę. Jeden zawadził o żebro.

Rhun wrzasnął, a lew zaryczał nad nim triumfalnie.

Siwa, Egipt

20 grudnia, 16.37 czasu miejscowego

Przerażony Tommy szamotał się bezradnie w zalanej wodą grocie. Obiema rękami zakrywał sobie usta. Nie mogąc się powstrzymać, konwulsyjnie wciągnął do płuc ogromny haust wody i w jego piersi zapłonął ogień bólu. Wymachiwał na oślep rękami i nogami, młóćąc ściany jaskini, a jego organizm usiłował wyrzucić z siebie ten ogień, wykaszleć go, zdławić. Nie miał jednak czym go zastąpić, wokół była tylko woda.

Walczył, dopóki mógł walczyć, a potem zwisił bezwładnie.

Utopił się.

Był jednak chłopcem, który nie może umrzeć.

Bolały go płuca, lecz nie dążyły już do tego, by wyrzucić wodę na zewnątrz. Otworzył znowu oczy i rozejrzał się. Chciało mu się płakać.

Wiedział już, że nie skona. Rozejrzał się po grocie.

Kobieta z pewnością doprowadziła go do niej z jakiegoś powodu.

Pamiętał, że wskazała mu drogę do jaskini.

Dlaczego?

Światło promieniujące w grocie wydobywało się ze szklanego wzniesienia pośrodku wnętrza, wyglądającego jak miniaturowy wulkan. Było tak jasne, że Tommy musiał osłonić przed nim oczy. Mimo to dostrzegł w samym środku jakiś srebrny przedmiot.

Zagłębił się w blask i zobaczył długi na jakieś pół metra kawałek cienkiego srebra sterzący z bloku, zwieńczony nieco szerszą rękojeścią z gardą. Zauważył na niej karby, które ułatwiały palcom mocny uchwyt.

Wysunął prawą rękę, by zamknąć ją na rękojeści, gdy raptem przypomniał sobie usłyszaną na powierzchni historię miecza archanioła Michała. Przyjrzał się orężowi bliżej i zauważył długie nacięcie z boku, od którego odpadł fragment metalu.

Druga ręka Tommy'ego powędrowała ku szyi; przypomniał sobie tamten ból.

Dotknął palcem okrągłej gałki na końcu rękojeści. Kiedy musnął metal, przeszył go nagły wstrząs, jak przy dotknięciu gołego przewodu elektrycznego. Różnica polegała na tym, że Tommy poczuł się silniejszy. Miał wrażenie, że może gołymi rękami rozwalać góry.

Oglądał miecz. Większa część klingi tkwiła zagłębiona w piaskowym szkłe.

Tak jak Ekskalibur z opowieści o królu Arturze.

Tommy wiedział, co powinien zrobić. Ten miecz dzierżył kiedyś anioł, zadaniem zaś Pierwszego Anioła było go uwolnić i wynieść ku słońcu, by mógł zostać wykorzystany w bitwie z siłami ciemności szalejącymi gdzieś tam, na górze.

Cofnął jednak dłoń.

Nie chciał dotykać tego miecza.

A co go obchodzi świat na górze? Uprowadzono go, torturowano i znowu uprowadzono, by wreszcie złożyć w ofierze na ołtarzu.

Wtem uświadomił sobie, że miecz może położyć kres tej tragedii.

Może mnie wyzwolić.

Ostrze mogło zadać ranę o wiele większą niż ta, którą zadano mu w szyję. Może przystawić do niego oba nadgarstki i ciachnąć błyskawicznie, głęboko.

Mógł zadać sobie śmierć.

Zobaczyłbym znowu mamę i tatę.

Stała mu przed oczami twarz mamy; przypomniał sobie, jak odgarnia sobie za uszy krótkie kręcone włosy, jak jej oczy o głębokim brązowym odcieniu niemal płoną z niepokoju, ilekroć się skaleczył. Widywał często to spojrzenie, kiedy zmagał się z nowotworem. Gdy leżał w szpitalu, śpiewała mu kołysanki, mimo że był już chyba na to za duży. Rozśmieszała go, choć wiedział, że chciało jej się płakać.

Kochała mnie.

Ojciec kochał go nie mniej. Jego uczucie przyjmowało bardziej praktyczne formy: starał się zmieścić jak najwięcej życia w tych ostatnich kilku latach. Tommy musiał usiąść za kierownicą kabrioletu Mustang, nauczyć się grać w bilard, a kiedy był zbyt słaby, ojciec siadywał z nim po turecku na tapczanie i razem masakrowali zombie w grze *Resident Evil*. A czasem rozmawiali, naprawdę ze sobą rozmawiali. Bo obydwaj wiedzieli, że przyjdzie taki czas, gdy nie będzie już to możliwe.

Jeszcze jedno Tommy wiedział z całą pewnością.

To ja miałem umrzeć pierwszy.

Na tym polegał układ: on był chory, oni byli zdrowi. On umiera, oni żyją dalej. Pogodził się z tym, choć niechętnie. A później pojawił się ten głupi gołąb i wszystko zepsuł.

Tommy popatrzył na miecz i podjął decyzję.

Tamci mogą stoczyć tę wojnę bez niego.

Wyciągnął ręce do oręza, gotów wyrznąć sobie krwawą ścieżkę i wpaść prosto w ramiona rodziców. Trzymał przez chwilę dłoń nad uchwytem miecza, przygotowując się. Kiedy był gotowy, złapał mocno srebrną rączkę.

Znowu ten wstrząs. Klinga świeciła coraz mocniejszym blaskiem, była jak supernowa. Zamknął mocno oczy, bojąc się, że jasność go oślepi. Światło jednak przewiercało się przez powieki, wsączało pod czaszkę.

A potem znowu przygasło.

Otworzył jedno oko, następnie drugie.

Szklany kopczyk pod jego nogami się roztopił. Ogromny miecz w dłoniach Tommy'ego jarzył się ciemnopomarańczową barwą. Jego ciężar przygniatał go do piaszczystego dna.

Chłopiec przyłożył kciuk do krawędzi. Głębokie nacięcie pojawiło się, jeszcze zanim naprawdę poczuł, że dotknął ostrza. Krew trysnęła w górę czerwonym pióropuszem. Popatrzył na ranę; wiedział, że łatwo będzie przeciągnąć ostrzem po nadgarstku.

Ukłucie i tyle... I będzie po wszystkim.

Zbliżył klingę do przegubu ręki.

Kto tutaj za mną zatęskni?

Odwrocił wzrok od niemożliwie ostrego ostrza i skierował go na sklepienie grotu. Wyobraził sobie skwarną pustynię. Przypomniały mu się zimne palce, które uniosły mu brodę, dotknęły szyi, badały, czy jest bezpieczny.

Elżbieta.

Ona będzie za nim tęsknić. Będzie się gniewała.

Pomyślał o pozostałych: o Erin, Jordanie, nawet o widmowym księdzu Rhunie. Postawili na szali wszystko, żeby przywieźć go na tę pustynię, ocalić mu życie. A teraz być może giną.

Giną za mnie.

Zużywszy całą amunicję, Erin chwyciła długi miecz Agmundra. Potrzebne jej były do tego obie ręce. Dźwignęła go od bioder w górę i machnęła, tnąc powietrze między sobą a najbliższym *strigoi*.

Potwór gruchnął śmiechem, odstąpił na krok i lekceważąc ją, przypuścił szarżę na Christiana.

Rozejrzała się za kimś, kogo mogła zaatakować.

Zgodnie z wolą Iskarioty, który zabronił jej zabijać, żaden ze *strigoi* ani blesfemorów nie chciał się do niej zbliżyć. Jego wojownicy mieli trzymać się od niej z dala; sam miał po nią przyjść.

Może ten oręż lepiej mi posłuży.

Usłyszała za plecami ryk lwa. Kilka metrów od niej Rhun szarpał się, przygwożdżony do ziemi przez lwa blesfemora. Jordan skoczył mu na pomoc, biorąc pistoletem zamach jak maczugą.

Erin upuściła ciężki miecz i rzuciła się biegiem w ich kierunku.

Sierżant został potraktowany przez lwa niczym mucha; pazury rozpruły skórzaną kurtkę i prawie oderwały rękaw. Upadł na plecy. Rhun wykorzystał tę chwilę nieuwagi wroga i odtoczył się w bok, tracąc przy tym spory płat skóry.

Lew rzucił się za umykającą ofiarą.

Erin zaś zrobiła najgłupszą rzecz w swoim życiu.

Wskoczyła między sangwinistę a lwa, rozkładając ramiona i wrzeszcząc. Wypięła pierś do przodu jak bokser z objazdowego teatrzyku.

Blesfemor przypadł do ziemi, sycząc i prychnąc. Jego ogon gniewnie młócił piach.

– Nie możesz mnie dopaść, co? – rzuciła wyzywająco.

Potwór skrzywił czarny pysk i zawarczał, po czym się wycofał. Christian przyszedł w sukurs Erin i stanął u jej boku.

Zerknął na nią z ukosa.

– Nie wiedziałem, że parasz się tresurą lwów.

Uśmiechnęła się i opuściła gardę za wcześnie.

Lew skoczył, celnie trafiając Christiana. Przy okazji zahaczył Erin pazurem w ramię i powalił ją.

Upadła na kolana i przykryła ranę ręką. Gorąca krew sączyła się pomiędzy jej palców, spływała po ramieniu i piersi. Wtedy zrozumiała popełniony błąd:

Iskariota zakazał ją uśmiercić, ale nie wspomniał nic o tym, że nie wolno jej okaleczać.

Rhun i Christian tymczasem toczyli bój z lwem.

Słyszała, że Jordan ją woła, ale świat nagle jakby się zatrzymał. Osunęła się bokiem na piasek. Ziarenka wbijające się jej w policzek przynosiły ukojenie. Była na pustyni. A ona kochała pustynię.

16.40

Jordan dobiegł do niej i sunąc na kolanach, znalazł się u jej boku. Wiedział, że jest za późno na pomoc. Krew lała się z jej ramienia i wsiąkała w złoty piach.

Erin uniosła głowę.

Spojrzała na niego karmelowymi oczami, a później skierowała wzrok za niego.

Jej twarz wyrażała zdumienie. Trudno to było zrozumieć w sytuacji, gdy oblewała ją krew, a ze wszystkich stron dobiegały wrzaski i wycie. Uniosła rękę i wskazała coś nad ramieniem Jordana.

Odwrócił się, żeby zobaczyć.

Co jest, do cholery...?

Z ciemnego otworu studni wznosił się pomarańczowy płomień. Skręcał się niczym powietrzny wir, mierząc idealnie prosto w zasnutę niebo.

Jordan nie mógł oderwać od niego oczu.

Bitwa ustała, zapanował pełen trwogi spokój.

Oczy i twarze zwróciły się ku nowemu zjawisku.

Kiedy płomień osiągnął długość ramienia, ukazała się dłoń wyglądająca tak, jakby pchała ogień do góry. Ognisty wierzchołek wznosił się coraz to wyżej. Ten, który dzierzył tę niezwykłą pochodnię, został wraz z nią wyciągnięty ponad studnię, a następnie opuszczony łagodnie na jej brzeg.

Był to Tommy.

Gdy jego stopy dotknęły podłoża, ogień zgasł i wszyscy zobaczyli uniesiony wysoko srebrny miecz. Na krawędzi jego ostrza pozostało kilka ognistych języków, które tańczyły świetlicie na całej długości.

Oczy chłopca napotkały spojrzenie Jordana.

W nich również tańczył ogień.

– To należy do ciebie! – ryknął Tommy, który był teraz w połowie chłopcem, a w połowie kimś, kto budził trwogę.

Nagle ów chłopiec – jeśli to wciąż był chłopiec – wygiął rękę i cisnął miecz wysoko w górę. Oreż obracał się w powietrzu. Jordan chciał się uchylić, ale jego lewa ręka uniosła się sama z siebie. Rękojeść wpadła mu prosto w dłoń, jakby tam było jej właściwe miejsce. Słabe pieczenie skóry pod tatuażem zapalało życiem. Przez rozdartą kurtkę i koszulę zobaczył, że zawijasy starej blizny po porażeniu gromem zapłonęły wewnętrznym ogniem.

Do ciała napłynęła moc.

Jordan zakręcił wokół siebie mieczem, jakby tym splotem ognia i stali rzucał jakieś wyrafinowane zaklęcie. Dotąd nigdy nie władał mieczem.

Ryknął lew i odwrócił się, by skoczyć znów na Erin.

Jordan w jednej chwili zastąpił mu drogę.

Ciął mieczem łapę blestemora, gdy ten poirytowany machnął nią w jego kierunku.

Ostrze przebiło skórę i potwór ryknął z bólu. Linia cięcia rozpała się, po czym ogień zajął nogę i całe cielsko. Oszalały z bólu lew rzucił się w tył i popędził wśród mrocznej armii, wypalając ognisty szlak, zarażając ogniem wszystko na swojej drodze.

Sierżant spojrział na miecz.

Broń z piekła rodem.

A raczej z nieba.

Okręcił się wokół własnej osi i drasnął jednego *strigoi* w ramię, drugiego w udo. Obaj zawyli, gdy z ran rozeszły się płomienie. Jordan tymczasem sunął przed siebie; nogi niosły go z siłą przekraczającą możliwości ludzkich mięśni.

Śmigły niczym *strigoi*, niczym sangwinista.

Jedno stworzenie po drugim padało od jego ostrza.

Nagle skierował się dalej i głębiej, ku swemu prawdziwemu wrogowi.

Ku Iskariocie.

Judasz patrzył, jak Mąż Wojownik przemierza pole bitwy. Bestie pierzchały przed nim i rozbiegały się po pustyni. Garstkę tych, które zostały, dopadali inni. Zobaczył, że hrabina chwyta w ramiona chłopca. Anielski blask w jego oczach przygasł, gdy chłopiec przekazał miecz temu, który miał go dźwżyć na Ziemi. Tommy wtulił się mocno w wiekową istotę.

Judasz nie poczuł lęku.

Oto nadeszła ta chwila.

Setki lat usiłował znaleźć cel w swym długim życiu, poświęcił wieki na doprowadzenie świata do krawędzi zagłady, by mógł umrzeć.

A teraz przyszedł na to czas.

Mąż Wojownik go zabije, ale tylko pod warunkiem, że stanie z nim do walki. Nie należał do tych, którzy zadają śmierć bezbronnemu przeciwnikowi. Judasz schylił się więc i podniósł z ziemi porzucony oręż, wyszczerbioną staroświecką szpadę.

Podszedł do niego ostatni ochroniarz z karabinkiem automatycznym. Jego partner Henrik zginął w jaskini w Kume, ale on przeżył i zdołał uciec z panem.

– Odejdź – rozkazał Iskariota.

– Moje miejsce jest zawsze przy twoim boku.

– Wybacz. – Judasz śmignął szpadą i obciął mu głowę, po czym przestąpił ciałem. Nikt nie będzie się wtrącał w jego przeznaczenie.

Oczy Męża Wojownika rozszerzyły się ze zdziwienia, lecz nie zwolnił kroku.

Towarzysze chcieli się do niego zbliżyć, między innymi doktor Granger. Trzymała przy ramieniu zakrwawioną szmatkę.

– Zostań, Erin! – zawołał. – To jest moja walka.

Chciała się spierać, ale zrezygnowała z tego.

Judasz uniósł zakrwawioną szpadę.

– Ileż to razy mam pana zabijać, sierżancie Stone?

– Mógłbym ci zadać to samo pytanie. – Miecz świecił białym blaskiem w jego oczach, tryskały z niego strugi ognia.

Judasz aż zadrżał od oczekiwania.

Mąż Wojownik okrężał go podejrzliwie, jakby spodziewał się jakiejś podstępnej sztuczki.

Odegraj swoją rolę, Wojowniku. Nie zawiedz mnie, pomyślał Judasz.

Chcąc go sprowokować, przypuścił atak, a Amerykanin go sparował. Poruszał się z nadnaturalną szybkością. Judasz był już tego świadom i walczył z większą

siłą, nie musiał dłużej markować niezdarności. Przez setki lat pobierał nauki od wielu mistrzów fechtunku.

Atakował raz po raz, napawał się prawdziwym pojedynkiem, ostatnim, jaki był mu dany. Jak to dobrze, że trafił na godnego siebie przeciwnika. Ale nie takie było jego przeznaczenie. Niby przez nieuwagę opuścił gardę.

Jordan zaatakował i ostrze wbiło się w bok Judasza.

Ugodziło w to samo miejsce, które rzymski żołnierz przebił włócznią Chrystusowi wiszącemu na krzyżu.

Judasz podziękował Bogu i osunął się na kolana. Z rany wylewała się jasnoczerwona krew, która moczyła koszulę. Upuścił szpadę.

– No to jesteście kwita – rzucił Jordan, stając nad nim.

– Ależ nie! – Judasz wyciągnął ręce ku jego nodze. – Zostanę na wieki twoim dłużnikiem.

Upadł na bok i przetoczył się na wznak. Szare niebo wypełniło mu pole widzenia. On tego dokonał. Świat utonął w popiele i krwi. Za parę minut zajdzie słońce. Nic już nie zatrzyma tego, co rozpoczęła.

Moja śmierć, zwiastun triumfu.

To, co widział, wziął za zapowiedź nagrody za to, że otworzył bramę Piekła i spowodował Dzień Sądu Ostatecznego.

Palący ból w boku różnił się od wszystkich doznań, których dotąd doświadczył, ale on się nim rozkoszował. Niebawem zazna spokoju. Cieszył się na tę myśl. Powieki zamknęły się powoli.

Nagle padł na niego cień i przyniósł ze sobą woń kwiatów lotosu.

Arella.

Otworzył oczy i spojrzał na nią. To także była nagroda za to, że spełnił swoje przeznaczenie.

Ujęła ciepłymi dłońmi jego ręce.

– Mój ukochany.

– Stało się tak, jak przepowiedziałaś.

Gdy się nad nim pochylała, jej łzy spadły mu na twarz. Radował się każdą ciepłą kroplą.

– Och, mój ukochany... Przeklinam wizję, która cię do tego przywiodła.

Poszukał wzrokiem jej ciemnych oczu.

– To była wola Chrystusa, nie twoja.

– To była twoja wola – rzekła z naciskiem. – Mogłeś podążyć inną drogą.

Dotknął jej wilgotnego policzka.

– Zawsze kroczyłem inną drogą. Ale przepełnia mnie wdzięczność za lata, gdyśmy szli tą drogą razem.

Arella próbowała się uśmiechnąć.

– Nie obwiniaj się – powiedział Judasz. – Jeśli możesz wyświadczyć mi jedną przysługę, pragnę właśnie tej. W tym wszystkim nie ma twojej winy.

Jej usta się ściągnęły, jak zawsze wtedy, gdy ukrywała swoje uczucia.

Mimo bólu wyciągnął rękę i owinął sobie wokół palca kosmyk jej długich włosów.

– Jesteśmy jeno narzędziami w Jego rękach.

Położyła dłoń na jego ranie.

– Mogłabym przynieść wody ze źródła i cię uleczyć.

Lęk przeszył jego ciało. Szukał mądrych słów, by wyperswadować jej ten zamiar, lecz ona go знаła. Wybrał więc jedno słowo i włożył w nie całą siłę swej woli. Pozwolił, by w jego oczach zabłysła prawda.

– Proszę.

Nachyliła się i ucałowała go w usta, a potem padła mu w ramiona ten ostatni raz.

16.49

Erin ze ściśniętym gardłem patrzyła, jak anioł szłocha nad Judaszem.

Arella kołysała go w ramionach i gładziła siwe włosy na jego czole, wypowiadając szeptem słowa w starożytnym języku. On zaś uśmiechał się do niej, jakby byli młodymi kochankami, a nie dwiema bezwiewowymi istotami schwytanymi w pułapkę kresu czasów.

Rhun dotknął ramienia Erin i popatrzył na ciemniejące niebo.

Przypomniawszy jej w ten sposób, że choć bitwa została wygrana, wojna jeszcze się nie zakończyła. Erin spojrzała na słońce, które tonęło za linią horyzontu na zachodzie. Kończył się już czas na odwrócenie tego, co zapoczątkował Iskariota.

Patrzyła na niego.

Z jego boku płynęła krew; wysączało się z niego życie. W zapadającej ciemności dostrzegła łagodny blask w szkarłacie krwi. Zobaczyła go pierwszy raz, kiedy

przypadkowo zaciął się w palec w jaskini pod ruinami Kume ułomkiem srebrnej klingi, tej samej, która go teraz powaliła.

Przypomniała sobie Arellę, która ratując Tommy'ego, emanowała tą samą złocistą poświatą. Nawet jego krew świeciła blado na plaży w Kume.

Co to znaczyło?

Spojrzała na Tommy'ego stojącego nieruchomo obok studni, a potem na Iskariotę.

Czyżby obaj mieli w żyłach anielską krew?

Przypomniało jej się, że zarówno Tommy, jak i Judasz, napotkali gołębia, symbol Ducha Świętego, który zjawił się jako echo ptaka zabitego przez Chrystusa. I obaj byli wówczas mniej więcej w tym samym wieku.

Skojarzyła z tym wcześniejsze słowa Arelli.

Michała rozdarło... Nosisz w sobie to, co w nim najlepsze...

Erin zaczynała rozumieć.

Tommy nie miał w sobie całego Pierwszego Anioła, a jedynie to, co było w nim najlepsze i najjaśniejsze, czyli siłę zdolną dawać życie.

Ktoś inny nosił w sobie to, co najgorsze i najmroczniejsze, siłę, która zabija.

Zauważyła, że blask krwi Iskarioty jest wyraźnie ciemniejszy niż krew chłopca.

Dwa różne odcienie złota.

Odwróciła się i spojrzała na drugą stronę krateru, na szkło odsłonięte przy kopaniu, na wielki krążek, który zamykał niegdyś studnię. Podobnie jak sam krater, miał jedną połowę ciemnożłotą, a drugą jaśniejszą.

Przypomniała sobie skojarzenie ze wschodnim symbolem yin-yang.

Dwie części składające się na całość.

– Potrzebujemy obu – odezwała się cicho.

Zerknęła na Arellę. Sybilla poprzednio milczała, gdyż wiedziała, że nieodzowna jest obecność Iskarioty. Czy nakreśliła symbol na piasku także po to, by wiedział, że ma tutaj przybyć?

Bernard, w porozrywany i zakrwawionym ubraniu, podszedł do Erin. Musiał wyczuć, że zaczyna się czegoś domyślać.

– Co powiedziałaś?

Rhun także na nią patrzył.

Odeszła kawałek z nimi i Jordanem. Niech to usłyszą, niech powiedzą, że się pomyliła.

Oby tak było, obym się myliła.

Rhun skierował na nią mroczne nieubłagane spojrzenie.

– O co chodzi, Erin?

– Pierwszym Aniołem nie jest Tommy. Jest nim archanioł Michał, niebiańska istota, która została rozdarta. Rozdzielona na dwie. – Wskazała gestem krater wypełniony szkłem. – Musi zostać połączona znowu w jedno. Musimy naprawić to, co zostało w tym miejscu złamane.

Taki był sens ostrzeżenia wypowiedzianego przez Arellę – jeśli tak się nie stanie, władanie człowieka nad światem dobiegnie końca.

– Ale gdzie jest druga połowa? – zapytał kardynał.

– W Judaszu.

Słowa te wstrząsnęły wszystkimi.

– Nawet jeśli masz rację – odezwał się sierżant – to jak ich na nowo złączymy?

Skupiła uwagę na Iskariocie, który konał na piasku.

Na to pytanie także знаła odpowiedź.

– Trzeba ich odrzec z nieśmiertelnych powłok.

Sierżant aż otworzył usta ze zdziwienia.

– Mają umrzeć?

– To jedyny sposób – odparła szeptem. – Dlatego zostawiono tutaj miecz, dlatego musieliśmy tu przybyć.

– Iskariota już otrzymał śmiertelną ranę – zauważył Rhun. – Ostrze musi więc spaść na chłopca?

– Odważymy się na coś takiego? – zapytał Jordan. – Zdawało mi się, że w Kume postanowiliśmy, że życie Tommy’ego jest ważniejsze nawet niż ocalenie świata.

Erin chciała przyznać mu rację. Chłopiec nie zrobił nic złego. Usiłował pomóc niewinnemu gołębiowi, a stracił rodziców i spadły na niego niezliczone uderzenia. Czy to sprawiedliwe, że on także musi tutaj umrzeć?

Nie potrafiła skazać tego dziecka na śmierć.

Jednak trzeba było postawić na szali jedno życie przeciwko życiu sprawiedliwych i niesprawiedliwych na całym świecie.

Jordan ciągle na nią patrzył.

Wiedziała, że jeśli przekaże mu swoje postanowienie, on, choćby niechętnie, je spełni. Był żołnierzem i rozumiał, że trzeba dokonywać poświęceń dla wyższego dobra. Potrzeby wielu przeważają nad potrzebą jednego.

Zakryła twarz.

Już nie mogła oglądać przelewania niewinnej krwi. Widziała kiedyś, jak jej siostra została poświęcona w imię fałszywej wiary. Nie odbierze życia jeszcze jednej osobie, bez względu na to, że nakazywał jej to umysł.

– Nie – powiedziała z determinacją i westchnęła. – Nie możemy zabić chłopca po to, by ocalić świat.

Bernard ruszył nagle ku Jordanowi, chcąc odebrać mu miecz. Sierżant jednak umiał się teraz poruszać z taką samą jak on szybkością i przystawił ostrze do klatki piersiowej kardynała. Mierzył w jego niebijące serce.

– To cię załatwi niezawodnie jak każdy *strigoi* – warknął.

Bernard zerknął na Rhuna, oczekując jego wsparcia w przejęciu miecza.

Ksiądz jednak skrzyżował ręce na piersi.

– Wierzę w mądrość Uczonej Niewiasty.

– Chłopiec musi zginąć – rzekł z mocą kardynał. – Albo świat zginie wraz z nim. W męczarniach ponad wszelkie wyobrażenie. Co w obliczu tego znaczy jeden chłopak?

– Wszystko – rzuciła Erin. – Mord na chłopcu to zbrodnia. Liczy się każda zbrodnia, każda jedna. Musimy się przeciwstawiać każdej, bo inaczej... kim jesteśmy?

Bernard westchnął.

– A jeśli nie chodzi ani o dobro, ani o zło, lecz tylko o konieczność?

Zacisnęła dłonie w pięści.

Nie pozwoli zamordować Tommy'ego.

– Erin – odezwał się sierżant i z zatroskaniem spojrzał jej w oczy. Skinieniem głowy wskazał na studnię.

Tommy gestem dłoni uspokoił Elżbietę, kazał jej zostać na miejscu. Potem podszedł do pozostałych i popatrzył na każde po kolei.

– Ja już wiem – oznajmił ze zmęczeniem w głosie. – Kiedy dotknąłem miecza i postanowiłem, że wyniosę go ze studni... Wtedy zrozumiałem.

Erin zapamiętała ogień w jego oczach, kiedy trzymał oręż.

– Tu chodzi o wybór – ciągnął. – Ja muszę go dokonać, dopiero wtedy wszystko wróci na swoje miejsce.

Słyszając to, uprzytomniła sobie, jak niewiele dzieliło ich od katastrofy. Gdyby pchnęła do czynu Jordana albo gdyby Bernard przechwycił miecz, jeśliby któryś z nich ugodził mieczem chłopca bez jego zgody, wszystko byłoby stracone.

Myśl ta przyniosła jej odrobinę pociechy, ale tylko odrobinę.

Słowa Tommy'ego oznaczały, że zakończenie będzie takie samo.

Na piasku legnie ciało martwego chłopca.

– Ale Iskariota nie zgodził się, by go pchnąć – przypomniał Rhun.

Erin znieruchomiała; uświadomiła sobie, że ksiądz ma rację.

Czyżbyśmy już przegrali?

Jordan przełknął ślinę i opuścił miecz; wiedział już, że Bernard nie rozwiąże sprawy siłowo.

– Moim zdaniem Judasz się zgodził – powiedział. – Walka była wyrównana, ani przez chwilę mi nie ustępował. Potem nagle opuścił gardę. Wtedy sobie tego nie uświadamiałem, po prostu zareagowałem i go dźgnąłem.

– Myślę, że od dawna szukał śmierci – rzekł Rhun.

– No więc co teraz? – chciał wiedzieć sierżant. – Co robimy?

Erin widziała, że Jordan unika spojrzenia chłopca.

Tommy przesunął się tak, żeby stać plecami do Elżbiety, i zerknął przez ramię. Rozumiał, o co chodzi Erin.

Uniół ostrze miecza i przystawił sobie do piersi. Popatrzył na Jordana i próbował się uśmiechnąć, lecz jego dolna warga drżała ze strachu. Robił dzielną, pewną minę w obliczu tego, co nieznanne.

Sierżant wreszcie zdobył się na to, by na niego spojrzeć. Erin nigdy nie widziała takiego bólu i żalu na tym twardo ciosanym obliczu.

– Nie mogę – jęknął.

– Wiem o tym – powiedział cicho Tommy drżącym głosem. Jego wzrok powędrował ku zachodowi, do słońca i resztki światła, którego już nigdy nie zobaczy.

Od studni dobiegł zawodzący krzyk:

– Neeee...

Elżbieta skoczyła w kierunku naradzającej się grupy, uświadomiwszy sobie nagle, do czego zmierzają.

Chłopiec westchnął i rzucił się na miecz. Konając, zabrał ze sobą ostatnie światło dnia.

Siwa, Egipt

20 grudnia, 16.49 czasu miejscowego

Rhun chwycił Elżbietę w pasie, kiedy podbiegła.

W tej samej chwili Tommy upadł na ziemię, zsuwając się z ostrza miecza; na ciemny piasek połała się krew, od której biła jasna złocista poświata. Po przeciwnej stronie krateru widać było podobną, nieco ciemniejszą, złotą lunę okalającą postacie Judasza i Arelli.

– Dlaczego? – załkała Elżbieta, ściskając księdza.

Rhun wskazał w dół, na Tommy’ego.

Miecz przebił jego serce na wylot. Ksiądz usłyszał jego ostatnie gasnące uderzenia, a potem ciszę.

Sierżant opadł na kolana przy chłopcu. Wypuścił broń z ręki i przyłożył sobie dłoń do lewej piersi.

Erin się pochyliła.

– Co się dzieje...?

Rhun z minimalnym wyprzedzeniem poczuł, że wzbiera fala ogromnej niezmierzonej mocy. Zakrył ręką oczy i osłonił swoim ciałem Elżbietę.

Nastąpiła eksplozja jasności.

Jej cudowny majestat oślepił.

W żyłach księdza zagotowała się krew.

Elżbieta krzyknęła w jego objęciach i zawtórował jej chór głosów bólu i lęku.

Rzucony światłością na kolana Rhun pomimo bólu błagał o miłosierdzie i modlił się. Każdy jego grzech był ciosem dla świętego blasku, nic nie mogło się przed nią ukryć. Jego najcięższy grzech jawił się jako czarna plama bez granic, mogąca go w całości pochłonąć. Nawet ten blask nie mógł go unicestwić.

Błagam, dość...

Wreszcie, po upływie czasu długiego jak wieczność, światło ustąpiło przed miłosierną ciemnością. Sangwinista otworzył oczy. Cała powierzchnia krateru usłana była zwłokami *strigoi* i blesfemorów; nawet te, które zdążyły pierzchnąć

poza jego obręb, padły bez życia w chwili wybuchu. Ciałem Rhuna wciąż targał wściekły ból.

Palił najświętszym ogniem.

Ksiądz rozejrzył się. Erin pochylała się nad Tommym, a Jordan klęczał obok i trzymał ją za ramię. Oboje byli wstrząśnięci, lecz błysk jasności nie wyrządził im szkody. Nie byli skażeni nieczystością, toteż najpotężniejszy cios świętej mocy został im oszczędzony.

Elżbieta, spoczywająca w ramionach Rhuna, nie poruszała się.

Była *strigoj*, więc Chrystusowa miłość nie chroniła jej przed świętym gromem. Z pewnością nie przeżyła go podobnie jak reszta przeklętych stworzeń.

Tylko nie ona, modlił się Rhun, tylko nie Elisabeta.

Przygarnął ją do piersi. Wyrwał ją z jej czasu, z jej zamku i uwięził na setki lat tylko po to, by umarła na dzikiej pustyni z dala od wszystkiego i wszystkich, których kochała.

Ile razy jego czyny ściągały na nią przekleństwo?

Odgarnął pasmo krótkich włosów z jej białego czoła i strącił piasek z bladych policzków. Bardzo dawno temu trzymał ją w taki sam sposób, a ona konała na kamiennej posadzce zamku w Čachticach. Powinien był wtedy puścić ją wolno, ale nawet teraz wiedział w głębi serca, że zrobiłby wszystko, by ją odzyskać.

Gotów był nawet znowu zgrzeszyć.

Jakby w odpowiedzi na tę bluźnierczą myśl hrabina się poruszyła. Srebrzyste oczy otworzyły się i na ustach pojawił się niepewny ciepły uśmiech. W tym momencie jej wzrok błędził zagubiony w czasie i przestrzeni.

A jednak w tej chwili Rhun poznał prawdę.

Na przekór wszystkiemu wciąż go kochała.

Dotknął jej policzka. Ale jak to się stało, że w swoim przeklętym stanie przeżyła palące uderzenie jasności? Czy zasłoniło ją jego ciało? A może sprawiło to jego uczucie?

Jakkolwiek było, przepelniony miłością utonął w jej srebrnych oczach; pustynia wokół się rozmyła. Teraz liczyła się tylko Elisabeta. Uniosła rękę i miękkimi koniuszkami palców dotknęła jego policzka.

– Mój kochany... – wyszeptała.

Erin odwróciła wzrok od tych dwojga. Nadal bolały ją oczy po oślepiającym rozbłysku i mogła przysiąc, że przez krótką chwilę widziała skrzydła, które rozpostarły się i wzbily ponad pustynny piasek. Popatrzyła na gwiazdy.

Gwiazdy.

Wyprostowała się i powoli odwróciła. Ciemny całun na nocnym niebie rozwiewał się i rozpraszał na wszystkie strony. Wyobraziła sobie, że ktoś zamiata miotłą do czysta ciemny przestwór stąd aż do Kume.

Czyżby zdołali sprawić, że rozwierająca się brama z powrotem się zamknie?

Jordan także się podniósł. Napiął, rozciągnął lewą rękę i lekko nią potrząsnął. Jego gesty przypomniały Erin o bieżących zmartwieniach. Pamiętała, że runął na kolana i złapał się za bok, jakby miał atak serca.

– Nic ci nie jest? – zapytała.

Sierżant spojrział w dół na chłopca, na kałużę krwi.

– Kiedy on upadł, poczułem się tak, jak gdyby coś ze mnie wyrwano. Mógłbym przysiąc, że już po mnie.

Znowu, tak jak przedtem, pomyślał.

Erin przyjrzała się bladej twarzy Tommy'ego. Miał zamknięte oczy i zdawało się, że tylko śpi. W Sztokholmie jego dotknięcie, jego krew przywróciły Jordanowi życie i go uzdrowiły. Zauważyła, że krwawa kałuża pod nim przestała świecić. Krew po prostu sączyła się zwyczajnie na piasek.

Ścisnęła rękę Jordana i z radością poczuła ciepło.

– Wydaje mi się, że anielska esencja, którą przekazał ci Tommy, została odebrana w czasie tego wielkiego błysku światła.

– Gdzie jest miecz? – spytał sierżant, spoglądając wokół stóp.

On także zniknął.

Erin ponownie ujrzała w myślach wielkie świetliste skrzydła.

– Sądzę, że wrócił do pierwotnego właściciela.

Podszedł do nich Bernard, jego oczy zwrócone były ku niebu.

– Zostaliśmy oszczędzeni.

Miała nadzieję, że kardynał się nie myli, ale nie wszystkim się poszczęściło.

Uklękła na kolano i dotknęła przesiąkniętej krwią koszuli Tommy'ego. Powiodła palcem po jego młodej twarzy, która po śmierci wyglądała jeszcze młodziej. Rysy się rozluźniły, chłopiec wreszcie odnalazł spokój. Jego skóra nadal była ciepła pod jej palcami.

Skóra jest ciepła.

Przyłożyła dłoń do szyi chłopca, tak samo jak postąpiła przedtem z Jordanem.

– On wciąż jest ciepły. – Opuściła rękę niżej i rozerwała koszulę, tak że odpadły guziki. – Rana zniknęła!

Nagle Tommy drgnął i prawie usiadł. Przestraszony odepchnął Erin i omiół wszystkich wzrokiem. Lęk ustąpił, kiedy ich rozpoznał.

– Hej... – powiedział i spojrzał w dół na obnażoną klatkę piersiową.

Dotknął jej niepewnie palcami.

Elżbieta oderwała się od Rhuna, podbiegła, padła na kolana i ujęła dłoń chłopca.

– Nic ci nie dolega?

Ścisnęła jej palce i, nadal nieco wystraszony, przysunął się do niej.

– Nie... nie wiem. Chyba nic mi nie jest.

Jordan się uśmiechnął.

– Moim zdaniem wyglądasz świetnie, młody.

Christian i Wingu dołączyli do grupy. Wcześniej obejrzeni dokładnie nieckę krateru i jego obrzeże, sprawdzając, czy jest bezpiecznie.

– Słyszę bicie jego serca – powiedział młody sangwinista.

Rhun i Bernard potwierdzili skinieniem głów.

– Bogu dzięki – westchnęła z ulgą Erin.

– A może w tym wypadku należałoby podziękować Michałowi – wtrącił Jordan i otoczył ją ramieniem.

Hrabina postanowiła zganić Tommy’ego.

– Nigdy więcej masz w ten sposób nie robić!

Powiedziała to z taką powagą, że chłopiec się uśmiechnął.

– Słowo daję, że nigdy więcej nie nadzieję się na miecz – obiecał, unosząc rękę.

– Jego krew już nie ma anielskiego zapachu... – zauważył Christian. – Znow stał się śmiertelnikiem.

– Zapewne dlatego, że wyzwoliliśmy ducha, który w nim był. Dzięki temu mógł połączyć się ze swoją drugą połową. – Zerknęła na Iskariotę. – Czy to znaczy, że Judasz także został uzdrowiony?

Christian pokręcił głową.

– Sprawdziłem to podczas obchodu, który zrobiliśmy z Wingu. Żyje jeszcze, ale ledwo zipie. Wyczuwam, że jego serce może lada chwila nie wytrzymać.

Rhun skierował wzrok na Iskariotę.

– To nie życie miało być jego nagrodą.

Po raz pierwszy od tysięcy lat Judasz wiedział, że śmierć jest blisko. Śwędzenie rozchodziło się od rany w jego boku i krążyło w żyłach niczym lodowata woda.

– Zimno mi – szepnął.

Arella wzięła go mocniej w swoje ciepłe objęcia.

Z wielkim trudem unosił rękę do słabnących oczu. Wierzch jego dłoni pokrywały brązowe starcze plamy. Pomarszczona skóra zwisała luźno z kości.

Ujrzał kruchą i wiotką kończynę starca.

Drżącymi palcami pomacał sobie twarz i wyczuł zmarszczki tam, gdzie przedtem była gładka skóra wokół ust i kącików oczu. Oto jak wygląda starość.

– Nadal jesteś piękny, mój próżny staruszk.

Uśmiechnął się łagodnie na te czułe słowa.

Przekleństwo nieśmiertelności ustąpiło miejsca klątwie wieku starczego. Bolały go kości, rzeził, serce kołatało niczym pijak błakający się w ciemności.

Spoglądał na Arellę, niezmiennie piękną. Wydawało się niemożliwe, że kiedyś go miłowała, że wciąż go kocha. Popelniał błąd, pozwalając jej odejść.

Myliłem się we wszystkim, pomyślał.

Zdawało mu się, że cel jego życia polega na tym, by sprowadzić Chrystusa z powrotem na Ziemię. Wszystkie jego myśli były na to skierowane. Wieki całe poświęcił w służbie tej świętej misji.

A jednak to nie był cel jego życia, lecz tylko zadufanie.

Chrystus obdarzył go nieśmiertelnością nie po to, by położył kres istnieniu świata, i nie po to, by ukarać go za zdradę, lecz po to, by naprawić błąd, który sam Chrystus popełnił w dzieciństwie.

Żeby naprawił to, co zostało złamane.

No i dokonało się.

To była jego prawdziwa kara i prawdziwy cel życia, i były one lepsze, niż na to zasłużył. Powołano go, by przywrócił życie, a nie po to, by sprowadził śmierć.

Przepelniał go spokój, kiedy zamknął oczy i po cichu wyznał swoje grzechy.

Tak wiele ich było.

Kiedy je ponownie otworzył, szara zaćma już zamgliła mu wzrok. Arella stała się plamą w okrutny sposób znikającą przed jego oczami. Zbliżał się koniec.

Przytuliła Judasza mocniej, jak gdyby chciała go zatrzymać.

– Od początku znałaś prawdę – wyszeptał.

– Nie, ale miałam nadzieję – odpowiedziała także szeptem. – Proroctwa nigdy nie są wyraźne.

Zakaszła, jego płuca kurczyły się, głos zamieniał się w rżenie.

– Żałuję tylko tego, że nie mogę spędzić z tobą wieczności – powiedział Judasz.

Oslabiony do granic, zamknął oczy i ujrzał nie ciemność, lecz złocisty blask. Zimno i ból ustępowały przed światłem, pozostawała jedynie radość.

– Skąd możesz wiedzieć, w jaki sposób spędzimy wieczność? – usłyszał szeptane mu do ucha słowa.

Otworzył oczy ostatni raz. Jaśniała teraz, jej aureola przebijała się nawet przez zaćmę. Arella błyszczała w całej niebiańskiej chwale.

– Ja także uzyskałam przebaczenie – powiedziała śpiewnie. – Wzywają mnie do ostatniego domu.

Odpinęła w górę, oddalając się od niego. Wyciągnęła rękę i zobaczył, że jego ramię to tylko światło. Ujęła jego rękę i odciągnęła od śmiertelnej powłoki w swoje wiekiuste objęcia. Skąpani w miłości i nadziei pożeglowali na spotkanie ostatecznego uspokojenia.

Razem.

17.09

Nikt się nie odezwał.

Erin i jej towarzysze zobaczyli, jak Arella rozbłyska światłem. Krater zalała fala ciepła pachnąca kwiatami lotosu. A później wszystko zniknęło.

Ciało Judasza rozpadało się w proch. Pustynny wiatr unosił go i mieszał z wiecznym piaskiem. To miało być miejsce ostatecznego spoczynku Iskarioty.

– Co się z nim stało? – zapytał Tommy głosem zdławionym troską.

– Zestarzał się, osiągnął swój naturalny wiek – odparł Rhun. – W kilka uderzeń serca z młodzieńca przemienił się w starego człowieka.

– Czy mnie też to czeka? – zaniepokoił się chłopiec.

– Ja na twoim miejscu bym się tym nie przejmował – odpowiedział mu sierżant. – Byłeś nieśmiertelny zaledwie parę miesięcy.

– Czy to prawda? – Tommy odwrócił się do hrabiny.

– Tak uważam – potwierdziła Elżbieta. – Słowa sierżanta brzmią wiarygodnie.

– A gdzie anioł? – Chłopiec patrzył na opuszczone miejsce na pustyni. – Co się z nią stało?

– Gdybym miała zgadywać – odezwała się Erin – powiedziałabym, że ona i Judasz zostali razem uniesieni.

– Jemu by to odpowiadało – rzucił Tommy.

– Tak myślę.

Erin wsunęła palce między palce Jordana, a on zamknął dłoń.

– To znaczy, że wyczerpał nam się zapas aniołów. Czy chociaż jeden z nich nie powinien pobłogosławić księgi? – Odwróciła się do Bernarda.

– Może już to zrobił – odparł kardynał. – Niebo się przejaśniło.

Wsunął rękę pod strzępy ubrania i pancerz. Pociągnął za suwak, jakby go chciał rozerwać. W końcu udało mu się go rozpiąć i wyjął Ewangelię Krwi.

Trzymał ją przed sobą w drżących dłoniach, jego oczy wyrażały niepokój.

Oprawiona w skórę księga wyglądała tak samo jak przedtem.

Wszyscy wiedzieli jednak, że prawda kryje się w środku.

Bernard podszedł do chłopca i z czcią złożył książkę w jego ręce. Mina kardynała wyrażała skruczę.

– Otwórz, zasłużyłeś na to.

Z całą pewnością tak było.

Tommy opadł na kolana i oparł na nich księgę. Jednym palcem uniósł okładkę, jakby bał się, co tam może zobaczyć.

Erin zaglądała mu przez ramię; ona także czuła lęk, jej serce biło w przyspieszonym rytmie.

Chłopiec opuścił okładkę i ukazała się pierwsza strona. Pierwotny, napisany ręcznie ustęp lśnił miękkim blaskiem w ciemności, każda litera była doskonale widoczna.

– Nie ma tam nic nowego – oznajmił Bernard głosem pełnym żalu i niepokoju.

– Może to znaczy, że już po wszystkim – powiedział Jordan. – Nic więcej nie musimy robić.

Gdyby tylko tak było, pomyślała Erin, która rozumiała to wszystko lepiej.

– Odwróć kartkę – poprosiła.

Tommy oblizał górną wargę i odsłonił drugą stronę.

Ona także była czysta, lecz nagle pojawiły się na niej zapisane szkarłatem słowa; sunęły po stronicy misternie nakreślonymi linijkami. Erin wyobraziła

sobie Chrystusa piszącego greckie litery; widziała, jak zanurza gęsie pióro we własnej krwi, by stworzyć tę cudowną Ewangelię.

Wiersz po wierszu zapełniał stronę, było ich o wiele więcej niż za pierwszym razem, gdy księga ujawniła swoje przesłanie. Powstały trzy krótkie strofy zakończone podsumowaniem.

Tommy uniósł księgę i podał ją Erin.

– Potrafisz to odczytać, prawda?

Sierżant położył dłoń na jej zdrowym ramieniu.

– Pewnie, że tak. Przecież jest Uczoną Niewiastą.

Tym razem nie chciała prostować jego słów.

Jestem nią.

Kiedy ujęła księgę, z okładki do jej dłoni przebiegła dziwna moc. Wyrazy zajaśniały mocniej przed jej oczami, jakby jej przeznaczeniem od zawsze było ich odczytanie. Nagle poczuła, że księga i zapisane w niej słowa są jej niepodzielną własnością.

Przetłumaczyła ze starożytnej greki i odczytała na głos pierwszą strofę:

– *Uczona Niewiasta jest teraz związana z księgą i nikomu nie wolno jej od niej oddzielić.*

– Co to znaczy? – chciał wiedzieć kardynał.

Wzruszyła lekko ramionami, bo rozumiała z tego tyle samo co on.

Sierżant wyjął księgę z jej dłoni. Gdy tylko oderwała się od palców Erin, słowa znikły.

Bernard aż otworzył usta i westchnął.

Erin wzięła od Jordana książkę i tekst znów ożył.

Jordan wyszczerzył do niego zęby w uśmiechu.

– Nadal masz wątpliwości, kim ona jest?

Kardynał spoglądał na księgę z wielkim smutkiem, jak gdyby wydarto mu miłość jego życia. Może w istocie tak było. Erin przypomniała sobie, jak się czuła po powrocie do Kalifornii, kiedy to uznano, że jest niegodna zajmować się cudowną księgą.

– Co jeszcze jest napisane? – zaciekał się Tommy.

Wzięła oddech i przeszła do drugiej strofy:

– *Mąż Wojownik...* – Zerknęła na Jordana z nadzieją, że słowa, które nastąpią, zapowiadają coś pomyślnego. – *Mąż Wojownik związany jest z aniołami, którym zawdzięcza swoje śmiertelne życie.*

Kiedy wypowiedziała ostatnie słowo, sierżant nagle drgnął i oderwał resztkę rozprutego rękawa na lewej ręce. Odetchnął raptownie. Rysunek tatuażu świecił złościście niczym płomień ognia. Po chwili zgasł i na skórze zostały tylko granatowoczarne linie atramentu.

Potarł się po ramieniu i wstrząsnął palcami.

– Nadal czuję tam w głębi to oparzenie. Tak samo jak wtedy, gdy Tommy mnie reanimował.

– Co to znaczy? – zapytała Erin, spoglądając na pozostałych.

Ich miny świadczyły o tym, że nikt tego nie wie.

Jedynie Christian miał coś do powiedzenia.

– Krew Jordana ma nadal taki sam zapach, więc nie jest nieśmiertelnym czy kimś w tym rodzaju.

Sierżant spojrzał na niego, marszcząc czoło.

– Może przestałbyś mnie obwąchiwać.

Pozostawiając zagadkę bez rozwiązania, Erin skierowała uwagę na ostatnią strofę.

– *Jednakże Rycerz Chrystusa musi dokonać wyboru. Słowem wypowiedzianym może naprawić swój najcięższy grzech i przywrócić to, co uważano za stracone na wieki.*

Spojrzała na Rhuna.

On także na nią patrzył ciemnymi oczami, wzrokiem twardym jak obsydian. Coś wyczytała w ich mrocznym błysku, ale książdz milczał.

Tommy wskazał na dół strony.

– A tam co jest napisane?

Erin przeczytała wiersze oddzielone od trzech strof. Zapewne miały stanowić coś w rodzaju przesłania bądź ostrzeżenia.

– *Triada musi wspólnie przystąpić do ostatniej misji. Kajdany Lucyfera zostały rozluźnione, jego Kielich nie jest odnaleziony. Trzeba światła całej trójki, by wykuć Kielich na nowo i zepchnąć go znów w jego miejsce wiekuistej ciemności.*

Sierżant westchnął ciężko.

– Więc nasza robota jeszcze nieskończona.

Wciąż trzymając ciepłą księgę, Erin kilka razy przeczytała ostatni ustęp. Co to za kielich? Spędzi wiele godzin, usiłując rozgryźć sens tych ostatnich paru wierszy, wydrzeć im ich znaczenie.

Ale tymczasem mogą poczekać.

– O co chodzi z twoim najcięższym grzechem? – spytał Rhuna Jordan.

Ksiądz milczał; patrzył na pustkowie.

Odpowiedział za niego kardynał:

– Jego największym grzechem było to, że stał się *strigoï*. – Chwycił Rhuna mocno za ramię. – Mój synu, wierzę, że Księga daje ci nadzieję na życie śmiertelnika, na odzyskanie duszy.

Tylko czy on je przyjmie? – przemknęło przez głowę Erin i odczytała ponownie ostatni wers:

– *Jednakże Rycerz Chrystusa musi dokonać wyboru...*

Siwa, Egipt

20 grudnia, 17.33 czasu miejscowego

Rhun czuł na ramieniu natarczywy uścisk palców kardynała, a na szyi jego oddech. Słyszał szmer ubrania i skrzywienie skórzanego pancerza, kiedy jego mentor zmieniał postawę. Nie słyszał jedynie pulsu.

W klatce piersiowej Rhuna zalegała taka sama cisza.

Żaden z nich nie był ani prawdziwie ludzki, ani śmiertelny.

Krew wciąż piekła go po rozbłysku i przypominała o fundamentalnej różnicy między nimi a resztą rodzaju ludzkiego.

Jesteśmy przeklęci.

Mimo że pobłogosławieni i związani służbą Kościołowi, pozostawali istotami skażonymi, które najlepiej byłoby zostawić w ciemności.

Wziął do siebie słowa Bernarda i zastanawiał się, czy mogą się ziścić. Czy moje serce znów się poruszy? Czy mogę odzyskać duszę? Czy zdołam powrócić do prostego świata, zostać ojcem dzieci, czuć bez lęku dotyk kobiecej ręki?

Rzadko pozwalał sobie na taką nadzieję, pogodził się już z losem sangwinisty. Służył bez zadawania pytań od wielu, wielu lat. Jedyną ucieczką przed klątwą stanowiła śmierć.

Później jednak poznał Erin, ona zaś wątpiła we wszystko i wszystkich. Dała mu wolę nie tylko do tego, by rzucił wyzwanie losowi, ale także, by ożywił w sobie nadzieję na coś więcej.

Czy się na to odważę?

Gdy stanęła przed nim Elżbieta, odwrócił wzrok od pustyni i spojrzał na jej łagodną twarz. Spodziewał się, że hrabina zareaguje gniewem na to, że jemu będzie dana tak wielka szansa. Ona jednak zrobiła coś o wiele gorszego.

Dotknęła jego policzka.

– Musisz przyjąć tę mannę z nieba, zawsze tego pragnęłaś. – Jej zimna dłoń trwała przez chwilę nieruchomo. – Zasłużyłaś na to.

Patrzył w jej oczy i widział, że naprawdę mu tego życzy. Skinął nieznacznie głową, zdawał sobie sprawę, co musi uczynić, na co naprawdę zasłużył.

Zdjął jej dłoń ze swojego policzka i ucałował w geście podziękowania.

Odwrócił się do Erin i spojrzał na księgę świecącą łagodnym blaskiem w jej dłoniach. Zawsze powinna tam być.

Każdemu jego miejsce.

Wiedział, że musi dotknąć Ewangelii i wypowiedzieć swój najcięższy grzech, a wtedy zostanie mu odjęty.

Erin uśmiechnęła się do niego szczęśliwa.

Bernard podążył za Rhunem, uradowany, że będzie świadkiem cudu.

– Jestem z ciebie bardzo dumny, synu mój. Zawsze wiedziałem, że jeśli ktoś z naszego zakonu ma zostać przywrócony do łaski, to będziesz nim ty. Przed tobą wolność.

Rhun pokręcił głową.

Nigdy nie będę wolny, pomyślał.

Uniósł rękę nad księgę i przypomniał sobie chwilę, w której wił się w obliczu świętego blasku powracającego anioła. Każdy jego grzech był wówczas widoczny jak na dłoni, nawet ten najcięższy. Czarna plaga niepodlegająca przebaczeniu.

W jego głowie rozbrzmiały echem słowa Ewangelii:

...naprawić swój najcięższy grzech...

Zwrócił twarz ku niebu. Jego przyjaciele byli w błędzie. Znał swój najcięższy grzech, tak jak znał go ten, który zapisał te słowa w księdze.

Położył na niej dłoń.

– Biorę to na siebie, by wyrzec się najcięższego z moich grzechów – modlił się Rhun. – Aby został naprawiony i aby zwrócić to, co ukradłem.

Jego słowa zaniepokoiły Erin, i słusznie.

Elżbieta westchnęła głośno, po czym osunęła się na kolana.

– Coś ty zrobił? – zapytała szeptem Erin.

Zamiast odpowiedzieć, ksiądz spojrzał na Elżbietę. Zakrywała dłońmi usta i nos, jak gdyby była w stanie powstrzymać rękę przeznaczenia. Jednak pomiędzy palców sączył się czarny dym, wydostawał się ustami i nosem, gromadził się czarnym obłokiem przed jej załknionymi oczami. Potem w jednej chwili obłok spłynął spiralą w dół i znikł ze świata.

Elżbieta zdjęła rękę z ust i dotknęła szyi.

A potem krzyknęła.

Krzyczała tak raz po raz.

Jej okrzyki niosły się przez piaski pustyni.

Rhun wziął ją w objęcia, tulił ją i uspokajał.

– Tak musi być – powiedział. – Zawsze powinno tak być.

Jej pełna żalu i przestachu twarz zaróżowiła się. I pierwszy raz od setek lat Rhun usłyszał znowu bicie jej serca.

Zasłuchał się w jego rytm i zachciało mu się płakać.

Elżbieta patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

– To nie może być... nie...

– Ależ może, kochana.

– Nie.

– Tak – szepnął. – Moim najcięższym grzechem było to, że zrujnowałem twoją duszę. Zawsze, od początku.

Jej twarz poczerwieniała, ale nie dlatego, że wracało do niej życie, lecz za sprawą gniewu. Srebrzyste oczy zrobiły się szare jak burzowe chmury. Drapnęła go ostrymi paznokciami w rękę.

– Zrobiłeś ze mnie śmiertelnicę?

– Tak, owszem – przyznał niepewnie Rhun.

Odepchnęła go. Z jej dawnej siły pozostał tylko ułamek.

– Nie życzyłam sobie tego!

– Co ty mówisz?!

– Nie prosiłam cię, żebyś zamienił mnie w bestię, i nie prosiłam, żebyś zrobił na odwrót. – Wyciągnęła ramiona. – Słaba ludzka beksa.

– Ale uzyskałaś przebaczenie, ja także.

– Nic mnie ono nie obchodzi. Ani twoje, ani moje! – Odstąpiła od sangwinisty. – Poczynasz sobie z moją duszą, jakby to była dziecinna zabawka, którą można dawać i odbierać. Tak wtedy, jak i teraz. A gdzie jest mój wybór? Czyżby się nie liczył?

Rhun szukał słów wyjaśnienia.

– Życie jest największym z darów.

– To największe przekleństwo. – Odwróciła się i ruszyła ku szerokiej pustyni.

Tommy rzucił się za nią biegiem.

– Zaczekaj! Nie zostawiaj mnie!

Błagalne wołanie samotnego chłopca sprawiło, że Elżbieta się zatrzymała. Tommy podbiegł i objął ją ramionami od tyłu. Przeciągnęła go przed siebie

i przygarnęła. Jej ramiona drżały od płaczu, gdy oparła brodę na jego głowie.

Kardynał dotknął ramienia Rhuna.

– Jakże mogłeś zmarnować na nią taki dar?

– Ja go nie zmarnowałem.

Ksiądz ogarnął gniew. Co za głupiec z tego Bernarda! Czy on nie rozumie, że najcięższy grzech to ten, który sami popełniamy, a nie ten, który ktoś inny popełnia przeciw nam?

Hrabina stała odwrócona do niego plecami.

Kiedys zrozumie i mu przebaczy.

Musi przebaczyć.

17.48

Erin zamknęła księgę i odeszła od pozostałych. Sierżant chciał za nią podążyć, ale poprosiła go o chwilę samotności. Patrzyła na gwiazdy i wschodzący księżyc. Zmierzała przez krater do jedyne miejsce, w którym nie leżały zwłoki. Chciała zostawić za sobą ten emocjonalny zamęt.

Potrzebowała chwili spokoju.

Dotarła do studni.

Aura świętości, przypuszczalnie emanująca od miecza, który znajdował się w głębi, sprawiła, że bitewna burza ominęła to miejsce. Erin spojrzała na skutki rzezi, na rozrzucone ciała blesfemorów i *strigoi*.

Erin i jej towarzysze przeszli tę próbę.

Jednakże nie bez uszczerbku.

Gdy jej wzrok spoczął na nieszczęsnym Agmundrze, przypomniał jej się jego szeroki uśmiech od ucha do ucha.

Dziękuję ci za to, że nas obroniłeś.

Przypomniała sobie Nadię na śniegu, nawet Leopolda na dnie groty. Koniec spotkał ich daleko od krajów urodzenia i od tych, którzy ich kochali.

Tak samo jak Amy.

Uklękła przy krawędzi studni i spojrzała w przejrzystą wodę. W jej zwierciadle odbijały się gwiazdy, błyszczała smuga Drogi Mlecznej, przypominająca zarówno

o znikomości, jak i o majestacie życia. Gwiazdy tam, w górze, są wieczne. Wsłuchiwała się w szmer piasku na pobliskich wydmach, niezmienny od tysięcy lat.

W tym miejscu długo panował spokój, przepelniała je świętość.

Popatrzyła raz jeszcze na rysunki przedstawiające pierwszy cud Chrystusa i wydarzenia, które później nastąpiły. To było przypomnienie, że każdy może się pomylić, zrobić fałszywy krok. Podobnie jak Chrystus, także i ona nie знаła śmiertelnych skutków swoich poczynań w Masadzie, nie wiedziała, że spowodują kiedyś śmierć i inne konsekwencje.

Skierowała wzrok na Bernarda i przemknęła jej przez głowę nieżyczliwa myśl. O wiele mniej krwi zostałoby przelanej, gdyby kardynał nie chował aż tylu sekretów. Jeśli Erin znała wagę groźnej informacji, którą podzieliła się z Amy, może wykazałaby więcej przezorności. Tymczasem tajemnice zatajone przez sangwinistów kosztowały życie Amy oraz inne osoby.

Skupiła się na księdze, którą trzymała. Postanowiła przyjąć płaszcz Uczonej Niewiasty, ale nie pozwoli, by dalej coś przed nią ukrywano. Władze w Watykanie muszą otworzyć na oścież drzwi bibliotek i wyjawić swoje sekrety, bo w przeciwnym razie nie będzie z nimi dłużej współdziałała.

Księga była teraz powiązana z nią i Erin wykorzysta ją do tego, bo wyważyć wszystkie zamknięte furty.

Była to winna Amy.

Wsunęła rękę do kieszeni i wyjęła bryłkę. Uniosła ją do księżycy i popatrzyła na delikatne piórko w środku. Tkwiło uwięzione w bursztynie tak mocno, jak wspomnienie Amy w jej pamięci. Zostanie tam po wsze czasy, nigdy nie odpłynie.

Erin nigdy nie zapomni swojej studentki, ale być może powinna puścić w niepamięć coś innego.

Przechyliła dłoń i bursztyn zsunął się na palce. A potem stoczył się z nich i wpadł do studni. Schyliła się i patrzyła, jak grudka zaburza odbicie gwiazd i znika w wieczności.

Teraz część Amy już na zawsze pozostanie w Egipcie, spocznie w jednym z najświętszych miejsc na Ziemi, blisko tajemnic, które może nigdy nie będą odkryte.

Erin zagłądała do studni i wypowiedziała przyrzeczenie.

– Nigdy więcej.

Ani kropla niewinnej krwi nie zostanie przelana za to, by zachować sekrety zakonu sangwinistów. Czas, by zaświeciła prawda.

Ścisnęła książkę w rękę i wstała.
Była gotowa na to, by zmienić świat.

Boże Narodzenie

Watykan

25 grudnia, 12.04 czasu miejscowego

Głęboko pod posadzką Bazyliki Świętego Piotra sangwiniści zgromadzili się w olbrzymiej krypcie należącej do zakonu, swoim najświętszym miejscu nazywanym po prostu Sanktuarium. Przybywali tam jak najliczniej rok w rok, by o północy odprawiać mszę dla uczczenia narodzin Chrystusa.

Rhun zajął miejsce na skraju kongregacji. Członkowie jego zakonu zapelnili wnętrze i stali bez ruchu, trzymając milczącą straż. Panował niczym niezmacony spokój, nikt nie oddychał, nie biło ani jedno serce, nie zaszemrał ani jeden habit. Rhun sycił się tym spokojem, wiedział, że wszyscy wokół czują się podobnie. Świat tam, na powierzchni, z każdym stuleciem robił się głośniejszy, lecz tutaj ksiądz odnajdował pokój, za którym tak tęskniła jego skołatana dusza.

Wysokie sklepienie pokryte było liniami, które ciągnęły wzrok ku Niebu. Zimny kamień we wczesnych latach istnienia Kościoła wypolerowały tysiące rąk. Nie było tam ornamentów jak w zwyczajnych kościołach. Wnętrze odzwierciedlało prostotę wiary sangwinistów: twarde kamień i proste pochodnie wystarczały, by prowadzić do Niego tych, którzy byli przekłęci. Mimo że Rhun znajdował się głęboko pod ulicami Rzymu, czuł się w tym miejscu bliżej Jego chwały niż gdziekolwiek indziej.

Ich pasterka nosiła także nazwę anielskiej mszy. I nigdy nie wydawała mu się ona bardziej adekwatna niż w tę najświętszą noc wkrótce po tym, jak stąpał po Ziemi z aniołami.

Zapach kadzidła sprawił, że oderwał wzrok od sklepienia i popatrzył na środek pomieszczenia. Zobaczył tam najświętszego z kapłanów, który z powolną gracją kroczył pośród zgromadzenia. Zwierzchnik zakonu sangwinistów był w prostym czarnym habicie związanym surowym sznurem. Wystrzegał się szat kardynałów, biskupów i papieży, wolał odziewać się jak najprostszy, skromny ksiądz.

A przecież był kimś o wiele ważniejszym.

Był Tym, Który Powstał.

Łazarzem.

Gdyby nie on, każdy z nich bez wyjątku byłby skazany na potępieńczą egzystencję nieczystej bestii, mordowałyby niewinnych i winnych bez różnicy, aż w końcu spotkałaby go śmierć od miecza lub promieni słońca. Ten, Który Powstał znalazł dla nich inną drogę, ścieżkę służby w świętej i ważnej sprawie.

Rhun wiedział już teraz, że bycie sangwinistą to nie grzech.

Tam, na pustyni, podjął słuszną decyzję. Jego istnienie służyło obecnie Bogu, a takie było jego najprawdziwsze pragnienie od pierwszych dni. Zbłądził z tej drogi, kiedy skaził Elżbietę, ale dostał szansę, by zmyć swój grzech. Teraz mógł służyć znów Chrystusowi bez cienia na sumieniu.

Łazarz przeszedł obok niego.

Rhun spoglądał na jego długie palce; wiedział, że dotykały Chrystusa. Te skryte cieniem oczy patrzyły na Niego. Ta surowa twarz przemawiała do Niego, śmiała się razem z Nim.

U boków Łazarza kroczyło dwóch sangwinistów.

Mężczyzna i kobieta.

Podobno byli starsi nawet od Tego, Który Powstał, lecz ich imion nigdy nie wypowiedano. Tę parę rzadko się widziało nawet wśród klauzurowych starszych zakonu, którzy spędzali czas na wiecznych modlitwach i medytacji. Rhun pragnął kiedyś do nich wstąpić, jednak stało się tak, że został ponownie wciągnięty do świata żywych.

Mężczyzna niósł starożytny krzyż; upływające wieki zmieniły brąz drewna w szarość. Kobieta bujała w dłoni srebrną kadzielnicę. W powietrzu roznosiła się delikatna woń żywicy i mirry, wnikała do nosa Rhuna. Święty zapach otaczał go, osadzał się na szacie, włosach i skórze.

Gdy zaintonowano pieśń, Rhun przyłączył się harmonijnie do głosów braci sangwinistów. Przepiękny chór niósł się w przestronnej sali, wydobywał subtelne tony niedostępne zwyczajnym uszom. W Sanktuarium, pośród swoich braci zgromadzonych w mroku, nie musiał ukrywać swojej odmienności i mógł śpiewać naprawdę.

Łazarz zatrzymał się przed prastarym kamiennym ołtarzem, uniósł ręce i zrobił znak krzyża.

– *In nomine Patris, et Filii, et Spiritus Sancti.*

– *Amen* – odpowiedzieli zgromadzeni.

Dobrze znany rytuał uniósł Rhuna. Ani nie myślał, ani się nie modlił. Po prostu trwał chwila po chwili, pozwolił, by ciągnął go za sobą łańcuch zdarzeń. Przynależał do tego miejsca wraz ze swoimi braćmi i siostrami w habicie. To było pobożne życie, którego pragnął jako śmiertelnik, życie, które sobie wybrał jako nieśmiertelny.

Doszli do Eucharystii.

Łazarz wypowiadał słowa po łacinie:

– Krew Jezusa Pana Naszego, która za was została przelana, niech zachowa ciało i duszę dla życia wiecznego. Pijcie na pamiątkę Krwi Chrystusa za was przelanej, i bądźcie wdzięczni.

Uniósł starożytny kielich, żeby wszyscy mogli popatrzeć na źródło swojego zbawienia.

Rhun odpowiedział razem z innymi i ustawił się do Komunii Świętej.

Kiedy stanął przed Tym, Który Powstał, Łazarz spojrział mu w oczy i po jego obliczu przemknął nikły uśmiech.

– Dla ciebie, mój bracie.

Rhun odchylił głowę do tyłu i Łazarz wlał mu wino. Rhun rozkoszował się jego jedwabistym dotykiem w gardle, który rozszedł się w kończynach. Dzisiaj nie parzyło. W najświętszą z nocy nawet dla takiego jak on kara nie była przewidziana.

Tylko Jego miłość.

Rzym

14.17 czasu miejscowego

Tommy przerzucał kanały na malutkim telewizorze Elżbiety. Na każdym pokazywano obchody świąt Bożego Narodzenia z komentarzem po włosku. Tak było przez cały dzień: nic do oglądania. Westchnął i wyłączył odbiornik.

Elżbieta siedziała sztywno na kanapie obok niego. Nigdy nie widział, by kładła się na leżance, jemu też nie pozwalała.

Obie stopy mają zawsze dotykać podłogi, pouczała go surowo.

– Czy spodziewałeś się, że będą nadawane inne programy? – zapytała.

– Nie spodziewałem się, ale miałem nadzieję.

Jako Żyd nie świętował Bożego Narodzenia, ale Chanukę też opuścił. Jedyne znak sezonu świątecznego dotarł do niego z najbardziej zaskakującego źródła; była nim kartka bożonarodzeniowa od Grigorija Rasputina. Rosjanin jakimś sposobem dowiedział się, że przebywa w tym mieszkaniu w Watykanie.

Elżbieta skrzywiła się na widok kartki przyklepionej do drzwi.

Na kopercie widniał napis: *Wesołych świąt, mój aniołku!*

Kartka przedstawiała postać anioła ze złotą aureolą.

Tommy nie wiedział, czy potraktować ją jako groźbę, żart czy wyraz szczerej życzliwości.

Ale ponieważ nadawcą był Rasputin, a nie kto inny, należało brać pod uwagę wszystkie trzy ewentualności.

Chłopiec podał pilota Elżbiecie, ona zaś odłożyła go na stolik. Pokazał jej, jak posługiwać się pilotem, a uczyła się szybko. Ciekawiło ją wszystko w nowoczesnym świecie i Tommy chętnie dzielił się z nią wiedzą.

Po tym, jak opuścili pustynię w Egipcie, trafił do Rzymu, do mieszkania należącego do Kościoła. Od tego dnia miał kilkakrotnie badaną krew, ale poza tym zostawiano go w spokoju. Był teraz po prostu osieroconym dzieckiem. Zaproponowano mu inne, samodzielne miejsce zamieszkania, mógł tam zostać do powrotu do Stanów, ale on wolał przebywać z Elżbietą.

– Chcesz się nauczyć korzystać z mikrofal? – zapytał znudzony.

– Czy mikrofała to nie jest urządzenie do gotowania posiłków? – Zacisnęła usta. – To praca dla służby.

Tommy spojrzał na nią, unosząc brwi. Najwyraźniej powinna dowiedzieć się o współczesnym świecie znacznie więcej niż to, co dotyczyło techniki.

– Nie sądzisz, że będziesz musiała sama sobie gotować?

Jej oczy się zachmurzyły.

– Dlaczego miałabym tracić czas na tak trywialne czynności?

Zatoczył ręką łuk, wskazując pokój.

– Nie możesz tu mieszkać bez końca. A kiedy stąd odejdziesz, będziesz musiała znaleźć sobie pracę, zarabiać forszę i gotować.

– Kościół nie zamierza mnie uwolnić – odparła Elżbieta.

– Czemu? Mnie puszczają. – Mieli go wysłać do cioci i wujka w Santa Barbara, których ledwo znał.

– Jesteś tylko dzieckiem, nie widzą w tobie zagrożenia. Dlatego bez obawy ekspediują cię do Kalifornii.

Tommy westchnął, ale starał się nie kwękać. Elżbieta nie znosiła narzekania.

– Wcale nie chcę tam jechać – wyrzucił z siebie po chwili.

Odwróciła się do niego.

– Ale pojedziesz.

– Nie znam tych ludzi. W ogóle. Chyba tylko raz ich widziałem.

– Będą o ciebie dbali, tego wymagają rodzinne zobowiązania.

Tyle że nie będą mnie kochali, pomyślał. Nie tak jak mama i tata.

– Kiedy wyjeżdżasz? – zapytała.

– Jutro. – Tommy opuścił głowę.

Poklepała go pod brodą.

– Siedz prosto, bo skrzywisz sobie kręgosłup.

Widział jednak, że za tymi słowami kryje się bolesne zaskoczenie. Zapewne nikt jej nie uprzedził.

– Dzisiaj rano się dowiedziałem – dodał. – Wesołych świąt dla ciebie i dla mnie.

Spojrzała na niego karcąco.

– Dlaczego miałabym się nie radować z tego, że połączysz się znów z rodziną?

– Nie ma żadnego powodu – wymamrotał.

Wstał i poszedł do kuchni. Nie miał nic innego do roboty. Nie było niczego do spakowania poza paroma ubraniami, które kupił mu Christian, i naręczem książek, które Erin podarowała mu, zanim ona i Jordan odlecieli do Stanów.

– Tommy – odezwała się Elżbieta, podchodząc do niego. – Możliwe, że będzie ci trudno mieszkać z tymi ludźmi, ale oni są twoją rodziną. Lepsze to, niż siedzieć tutaj w pułapce... ze mną.

Otworzył i zamknął szafkę. Niczego z niej nie potrzebował, chciał tylko zająć ręce. Zatrzasnął drzwiczki trochę za głośno.

Odwróciła chłopca, trzymając go za ramiona, i chwyciła za brodę.

– Czemu tak się gniewasz? No co? Chcesz, żebym się popłakała na pożegnanie? Żebym błagała, byś ze mną został?

No, może trochę.

– Nie.

– Takie pokazy hysterii nie zdarzały się, kiedy byłem dziewczynką – oznajmiła. – Widziałam mnóstwo przykładów głupoty w tej waszej telewizji, ale w moim pojęciu to grubiaństwo.

– W porządku.

Dotknęła jego ramienia.

– Będzie mi brakowało twojej obecności. Tak wiele mnie nauczyłeś i sprawiłeś mi radość.

Doszedł do wniosku, że te słowa są u niej odpowiednikiem sytuacji, w której kobieta rzuca się na podłogę i szlocha.

– Będę za tobą tęsknił – powiedział.

Wyjęła z kieszeni szare pudełko i włożyła mu je do ręki.

– To podarunek pożegnalny, skoro nie obchodzisz Bożego Narodzenia.

Tommy ostrożnie rozwinął paczkę. Był w niej telefon komórkowy na kartę.

– Jeśli kiedykolwiek poczujesz, że jestem ci potrzebna, zadzwoń, a ja się zjawię – przyrzekła.

– Myślałem, że jesteś więźniem.

Prychnęła pogardliwie.

– Jakby mogli utrzymać mnie w klatce!

Chłopiec poczuł napływające do oczu łzy i je wstrzymał.

Nachyliła się i spojrzała na jego twarz.

– Niewiele jest na świecie takich, których darzę zaufaniem – wyznała. – Ale tobie ufam.

– Ja tak samo.

Właśnie dlatego wolał zamieszkać z Elżbietą. Inni byli lojalni wobec swoich przekonań, ona zaś była wierna jemu.

Objął ją, żeby ukryć łzy.

– Cóż za głupota – powiedziała, ale przytuliła go jeszcze mocniej.

Des Moines, Iowa

10.12 czasu miejscowego

Erin siedziała na pokrytych wykładziną schodach w domu rodziców Jordana. Ukryła się przed ożywioną działalnością w salonie na dole, chciała przygotować się na chaos świątecznego poranka. Wciągnęła do nosa cukrowy zapach właśnie upieczonego piernika i kuszący aromat parzonej kawy. Mimo to nie ruszyła się z miejsca.

Marudziła na schodach i przyglądała się obrazom wiszącym na sąsiedniej ścianie. Był na nich Jordan w różnym wieku, z braćmi i siostrami.

Unieśmiertelniono na nich całe jego dzieciństwo, od meczów baseballu przez wyprawy wędkarskie aż do imprezy po uzyskaniu dyplomu.

Ona nie miała ani jednego zdjęcia z dzieciństwa.

Przeniosła wzrok niżej i zobaczyła bratanków i siostrzeńców Jordana, którzy skakali w salonie niczym ziarna popcornu, objedzeni słodyczami, które dostali z prezentami w skarpetach. Takie sytuacje Erin widywała tylko w filmach. Kiedy była mała, dzień Bożego Narodzenia kojarzył się jej z dodatkowymi modlitwami, a nie prezentami, skarpetami i Świętym Mikołajem.

Wsunęła dłoń do kieszeni nowego puszystego szlafroka. Druga ręka wisiała na temblaku. Ramię prawie się zagoiło po zranieniu lwimi pazurami. Jordan przed chwilą zmienił jej bandaż w sypialni i zszedł na dół; zwałł go tam jego bratanek Bart. Obiecała, że zaraz do nich dołączy, ale na schodach panował taki spokój.

Jordan wytknął głowę zza załomu ściany, zauważył ją na schodach i dołączył do niej. Siadając, zawinął sobie między nogi brzeg nowego szlafroka. Oboje dostali szlafroki od jego matki.

– Nie możesz się tak kryć w nieskończoność – powiedział. – Moi siostrzeńcy i bratankowie cię wytropią. Oni wyczuwają cykorię nosem.

Uśmiechnęła się i szturchnęła go łokciem.

– Tam, na dole, musi być wesoło.

– Wiem, że dają się we znaki.

– Nie, zabawni są. – Naprawdę tak uważała; jego rodzina była taka normalna, tak różna od jej rodziny. – Aklimatyzacja musi trochę potrwać.

Jordan pogłaskał ją kciukiem po dłoni i ten prosty gest przypomniał Erin, dlaczego tak jej na nim zależy.

– Chcesz mi powiedzieć, że stawałaś przeciwko lwom, wilkom, niedźwiedziom i nieumarłakom wszelkiej maści, a teraz boisz się wejść do pokoju, w którym jest czwórka dzieciaków, ich zmęczeni rodzice i moja matka?

– Tak to mniej więcej wygląda.

Wziął ją w ramiona, a ona oparła policzek o jego pierś przykrytą flanelą. Słyszała tuż pod uchem równe bicie jego serca. Napawała się nim, pamiętając, jak mało brakowało, a utraciłaby go. Zaciśnęła mocniej ramiona.

Mruknął jej nad uchem.

– Hm, wiesz... Zawsze możemy się przenieść do hotelu, w którym będzie jedno łóżko dla dwojga.

Uśmiechnęła się do niego. Kiedy wczoraj przyjechali, jego matka upierała się, żeby spali w osobnych pokojach.

– Kuszące, cholera. Ale fajnie jest poobserwować cię w rdzonym środowisku.
Z dołu dobiegł dziecięcy głosik.

– Gdzie jest wujek Jordan?

– Panna Olivia się niecierpliwi. – Sierżant postawił gościa na nogi. – No, chodźże. Oni nie gryzą. Z wyjątkiem tych najmniejszych.

Prowadził ją za rękę po schodach do tętniącego hałasem salonu; Erin czuła się przy nim ciepło i bezpiecznie. Minęli ubraną choinkę i doszli do kanapy.

– Najlepiej trzymać się poza strefą bojową – poradził.

Cheryl, jego matka, uśmiechnęła się. Siedziała na brązowym skórzanym fotelu z dzierganym pledem na kolanach. Była blada na twarzy i wątła. Erin wiedziała, że walczy z rakiem i nikt nie był pewny, czy dożyje następnych świąt.

– Mój syn ma rację – powiedziała. – Proszę się trzymać daleko od choinki, dopóki nie skończy się to szaleństwo.

– Babciu! – krzyknęła Olivia na całe gardło. – Możemy już otworzyć prezenty?
Reszta dzieci podchwyciła tę śpiewkę.

Cheryl uniosła rękę.

– No więc zgoda. Do dzieła!

Maluchy rzuciły się na prezenty niczym lwy na powaloną gazelę. Pękał papier, radosne piski rozległy się w powietrzu. Nagle dał się słyszeć głos rozczarowania:

– Skarpetki?

Erin próbowała sobie wyobrazić, jaka by była, gdyby dorastała w tym domu.

Olivia rzuciła jej na kolana plastikowego jednoroźca.

– To jest Wieczorna Iskierka.

– Cześć, Iskierko.

– Wujek mówi, że masz szwy. Mogę obejrzeć? Ile ich jest? To boli?

Jordan uratował Erin przed wiwisekcją.

– Olivio, szwy są pod bandażami, więc nie można ich zobaczyć.

Dziewczynka była tak rozczarowana, jak tylko dziecko być potrafi.

Erin nachyliła się do niej.

– Mam dwadzieścia cztery szwy.

Oczka małej zrobiły się ogromne.

– Ale dużo! – Nagle jedno zwęziło się podejrzliwie. – Skąd je masz?

Erin trzymała się swojego zobowiązania, by mówić prawdę.

– Od lwa.

Matka Jordana omal nie upuściła filiżanki.

– Od lwa?

– Fajnie! – Zachwycona Olivia wręczyła Jordanowi plastikowego konika. –

Potrzymaj Jabłusia.

Zerwała się i popędziła po resztę koników.

– No to ją obłaskawiłaś – rzucił Jordan.

Olivia wróciła i układała koniki na kolanach Erin, wymieniając po kolei imiona: Milipuszek, Tęczuś, Różowy Placuszek. Erin bardzo starała się nimi bawić, ale czuła się z tym tak dziwnie, jakby wprowadzano ją w obrzędy plemienne jakiegoś prymitywnego ludu.

– Jordan mówi, że przydzielono go do specjalnej jednostki ochrony Watykanu – odezwała się Cheryl.

– To prawda – potwierdziła Erin. – Będziemy pracowali razem.

– Mamo, przestań wyciskać od niej informacje. Przecież są święta.

Starsza pani się uśmiechnęła.

– Chcę jej tylko podziękować za to, że dostałeś przydział w bezpiecznym miejscu.

Erin trudno byłoby wyliczyć wszystkie śmiertelnie niebezpieczne doświadczenia, które przeżyli od chwili, gdy poznali się w Masadzie.

– Nie mam pewności, czy słowo „bezpieczny” jest tu najwłaściwsze – powiedziała. – Poza tym, gdyby ta służba miała być całkowicie bezpieczna, Jordan by jej nie chciał.

Matka poklepała go po ramieniu.

– Mój Jordan nigdy nie wybiera najłatwiejszej drogi.

Olivii nie spodobało się, że nikt nie zwraca na nią uwagi, i pociągnęła Erin za rękaw. Oskarżycielsko wymierzyła palec w jej nos.

– Czy ty w ogóle umiesz jeździć na koniu?

– Owszem. Mam nawet dużą klacz imieniem Dymka.

Wspomnienie Blackjacka przyprawiło ją o smutek.

– Mogę zobaczyć Dymkę? – zapytała Olivia.

– Mieszka w Kalifornii, ja tam pracuję – odparła Erin i zaraz się poprawiła: – Kiedyś pracowałam.

Wczoraj wieczorem rozmawiała krótko z Nate'em Highsmithem i życzyła mu wesołych świąt. Spotkał się już z zaproponowanym przez Erin profesorem, który

mógł zostać promotorem jego pracy dyplomowej, i wydawało się, że pogodził się z jej odejściem. Teraz, bez względu na to, co będzie dalej, da sobie radę.

– A co robisz? – chciała wiedzieć Olivia. – Jesteś żołnierzem tak jak wujek?

– Jestem archeologiem. Wykopuję z ziemi kości i inne tajemnicze rzeczy i badam przeszłość.

– I fajnie się bawisz?

Erin popatrzyła na rozluźnioną i radosną twarz Jordana.

– Przeważnie.

– To dobrze. – Dziewczynka szturchnęła wujka w kolano. – Jemu przyda się zabawa. – Wygłosiwszy to głębokie spostrzeżenie, Olivia skierowała się ku stosowi zabawek pod choinką.

Jordan nachylił się i szepnął Erin do ucha:

– Oj tak, zabawa naprawdę mu się przyda.

Uśmiechnęła się, patrząc na jego niebieskie oczy, i zgodnie z prawdą odparła:

– Mnie również.

Później

Głęboko pod ruinami Kume Leopold to tonął, to znów wypływał na powierzchnię ciemnego morza świadomości. Od paru dni kołysał się na czarnych falach bólu, wznosił się i opadał.

Nóż Rhuna wbił się głęboko, miał go zabić, ale Leopold nie zginął. Ilekroć czuł, że ostatecznie zapadnie się w mrok, za swoją porażkę gotów zgodzić się na wiekiście męki, budził się na nowo. Siłą woli włókł ciało i pożywał się trupami leżącymi w pieczarze, czasem wpadał mu w ręce pechowy szczur.

Tak nędzne stworzenia były mało pożywne, ale dawały Leopoldowi nadzieję.

Myślał, że w następstwie wstrząsów grota została zasypana i że nie ma szans na uciezkę. Lecz jeśli wpełź do niej szczur, to i on mógł się przekopać. Musiał jedynie odzyskać siły.

Ale w jaki sposób?

Usłyszał gdzieś w dole dudnienie głazów; ocierały się o siebie niczym olbrzymie zęby, jakby nawoływały Leopolda do spełnienia obowiązku. Z ogromnym trudem podźwignął ciężkie powieki. Pochodnie już dawno się dopaliły, został po nich tylko zapach dymu. Był on jednak ledwo wyczuwalny obok smrodu siarki i gnijących zwłok.

Sięgnął do kieszeni i wyjął małą latarkę. Jego palce gmerały przy niej boleśnie długie sekundy, zanim zdołały ją zapalić.

Blask był oślepiający. Leopold zamknął ponownie powieki i poczekał, aż światło przestanie razić go w oczy. Potem znów je otworzył.

Lustrował wzrokiem posadzkę wokół czarnego kamiennego ołtarza. Sieć trzymająca anioła nadal tam leżała. Szpary, które rozwarły się dzięki jego krwi, ponownie się zamknęły. Wijąca się smuga ciemności również zniknęła w głębi ziemi.

Oznaki mojej klęski.

Słaby jak kocię, przetoczył się na wznak i sięgnął do wewnętrznej kieszeni habitu, w której zalegał ciężki przedmiot. Damnatus obarczył Leopolda jeszcze jednym zadaniem. Pierwsze polegało na tym, że miał pojmać sybillę i ją uwięzić.

Należało je spełnić przed złożeniem ofiary.

Drugie miało być spełnione później.

Leopold nie wiedział, czy ma to jeszcze jakieś znaczenie, ale złożył przysięgę i nawet w takiej sytuacji nie zamierzał jej łamać. Wydobyl z kieszeni mętnozielony kamień niewiele większy od talii kart. Była to cenna własność Damnatusa odkryta na pustyni w Egipcie, która przeszła przez wiele rąk; była na przemian chowana i odkrywana, aż trafiła w dłonie zdrajcy Chrystusa.

A teraz w moje.

Uniósł kamień do światła. Ciemna smuga w środku skurczyła się i cofnęła przed jasnością. Kiedy Leopold skierował promień latarki w bok, ciemny obłok rósł i pulsował budzącą trwogę siłą.

Była to rzecz związana z mrokiem.

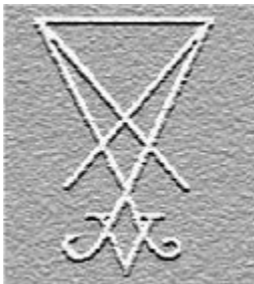
Podobnie jak ja.

Słyszał różne rzeczy o kamieniu; mówiono, że mieści się w nim kropla krwi Lucyfera. Nie wiedział, czy te pogłoski są prawdziwe. Wiedział jedynie to, że polecono mu zrobić coś z kamieniem.

Ale czy wystarczy mi sił?

W ciągu minionych lat jego domem był mrok i ból, pożywiał się i stopniowo krzepł; miał nadzieję, że siła mięśni i kości pozwoli mu spełnić ostatnie zadanie zlecone przez Damnatusa. Nigdy mu nie wyjawiono, dlaczego jest to konieczne, lecz wiedział, że jeśli spróbuje teraz, od tej pory będzie słabł, powoli umierał w ciemności z głodu.

Odwrocił kamień i przyjrzał się dziwnemu, ledwie widocznemu rysunkowi na ścianie kryształu.



Miał kształt kielicha albo pucharu. Nie był to jednak kielich, z którego Leopold tak często pił krew Chrystusa. Wiedział, że ten jest o wiele starszy niż sam Chrystus, a kamień stanowi zaledwie odprysk wielkiej tajemnicy, klucz do odkrycia prawdy o niej.

Uniósł kryształ wysoko i mocno uderzył nim o skalne podłoże. Udało mu się wyszczerbić kamień, ale to nie wystarczało.

Panie, proszę, daj mi siłę.

Leopold powtarzał czynność raz po raz i płakał z frustracji. Nie wolno mu znów zawieść. Podniósł rękę i rąbnął ponownie. Tym razem kryształ pękł w jego dłoni, rozpadł się na dwie połowy.

Dzięki ci...

Pochylił głowę, żeby spojrzeć. Odwrócił dłoń. Kryształ pękł pośrodku, po szmaragdowym szkle popłynął czarny olej i znalazł się na skórze, Leopold wrzasnął.

Nie z bólu, lecz z zachwytu, który owładnął go kompletnie i bez reszty.

W tej kolosalnie pięknej chwili zrozumiał, że płotki były prawdziwe.

Patrzył, jak kropelka Lucyferowej krwi wsiąka w jego ciało i bierze go w posiadanie. Pochłania go całkowicie i napełnia mrokiem, pozostawiając jedynie poczucie celu.

Oraz nowe imię.

Wstał pełen zatrważającej siły, jego blada skóra przybrała barwę hebanu. Uniósł głowę i wyciem oznajmił światu swoje nowe miano. Kamienie pękały wkoło od samego głosu.

Jam jest Legion, niszczyciel światów.

- 1 Przekład z koptyjskiego: ks. prof. dr hab. Wincenty Myszor.
- 2 Cytaty pochodzą z Biblii Tysiąclecia.
- 3 Apokalipsa św. Jana 8,7.
- 4 Apokalipsa św. Jana 8,3–5.
- 5 Przekład ks. prof. Wincenty Myszor.
- 6 Wergiliusz, *Eneida*; przekład Zygmunt Kubiak, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1987.
- 7 Ap. 8,7.